

De. II. 1.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 160.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1880.



SERYA V.

Listopad.

TOM IV. — ZESZYT XI.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 1028 —

Ukończono druk dnia 30 października 1880 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Franciszek Karpiński. Napisał Adam Belcikowski.	157
II. Przodownicy ruchu umysłowego w wieku XVIII. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	184
III. Siostra miłosierdzia. Powieść. Przez Emila Castelara. (Przekład z oryginału hiszpańskiego). Przez A. Gorajską. Tom I. (Ciąg dalszy).	219
IV. Przegląd najnowszej literatury włoskiej. Przez Juliana Adolfa Święcickiego. (Ciąg dalszy).	247
V. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Uroczystość konkursowa w akademii Francuzkiej.—Rozprawa o Marivaux.—„Historja Francji za małoletności Ludwika XIV” p. Cheruel.—„Dawny rząd w prowincjach Lotaryngii i Baru” przez księdza Mathieu.—„Wojna trzydziesto-letnia” p. Chaveriat.—„Studia nad historją Prus” p. Lavisse.—„Historja zbytku” p. Baudrillart.—„Mitologia Grecji starożytnej” p. Descharmes.—„Badania nad Szekspirem” p. Stapfer.—„Małżeństwa w dawném społeczeństwie francuzkiém” p. Bertin.—Przekłady z Juwenalisa i Katulla.—„Geografia Strabona” przekład p. Tardieu.—„Prawdziwa historia podboju Meksyku przez Hiszpanów,” przekład don Joze de Herredia.—„Księga rzemiosł z czasów Ludwika Świętego,” wydana z komentarzem p. Lespinasse.—„Ogródek panny Joanny” p. Debeaux.—„Instynkt i Inteligencya” p. Hement.—„Metamorfozy owadów” p. Girard.—„Astronomia popularna” p. Flamarion.—„Podróż po Szwajcaryi” p. Gourdaud.—„Zefiryn Cazavan w Egipcie” p. Edmunda Chojeckiego.—„Pamiętniki Kopciuszka” p. Fexier.—„Obyczaje wo Francji” p. Legrand.—Frechette, poeta kanadyjczyk.—Mowa Wiktoryna Sardou, przy rozdaniu nagród Monthion.—„Wercyngetyrx,” dramat p. Coffinet.—Powieść Fryderyka Uhl: „Die Botschafterin.”—„Ludwik XIV: L'état c'est moi” z Baudrillarta.—„Jeanne, poemat ludowy Juliusza Bretona.—„Eugenio Hartzenbuch,” zmarły poeta hiszpański.—Grób Owidyusza w Węgrzech.	269
VI. Kronika poznańska.	283
VII. Korrespondeneye. I. J. Aleksandrowicza. II. T. Korzona.	294
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Historji polskiej, treściwie opowiedzianej, ksiąg dwanaście. Napisał prof. Józef Szujski. Warszawa, 1880. Str. VI i 429, w 8-ce. Drukiem J. Bergera. Przez F. K.	296
Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcją F. Sulimierskiego, Br. Chlebowskiego i Wł. Walewskiego. Tom I. Zesztytów 1—10. Str. 800. Warszawa, 1880 r. Przez A. W.	313
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.	319
X. Nekrologia.	326



De. II. 1.

FRĄCISZEK KARPIŃSKI.

(ur. 1741 zm. 1825 r.).

**Wspomnienie z okoliczności postawienia pomnika temu poecie
w Kołomyi, w dniu 16 września 1880 r. ¹⁾.**

NAPISAŁ

Adam Belcikowski.

Kiedy pół wieku temu, szkoła romantyczna, po zaciętej walce z przeciwnikami, otrzymała plac boju i panowanie swoje w literaturze bez podziaku i ograniczenia rozpostarła; pomiędzy wielu innemi ogłosiła wówczas, jako niezachwiany artykuł poetycznej wiary, że pisarze z czasów Stanisława Augusta, tak nazwani klasycy, a właściwie pseudoklasycy, wiązanej mowy używający, poetami bynajmniej nie byli i jedynie tytuł rymotwórców służyć im może. Dlaczego romantycy tak bezwzględny i surowy wyrok wydali; wyrok, którego potomność nie potwierdziła i nigdy w ścisłej rozciągłości potwierdzić nie może, dla nas patrzących dzisiaj z pewnego oddalenia, jest rzeczą całkiem zrozumiałą, a nawet, powiedzieć jesteśmy gotowi, że inaczej być nie mogło. Poezya z końca XVIII wieku nie posiadała nic z tego, co według romantycznych pojęć istotę poezyi stanowi, a to naturalnie musiało wystarczyć, ażeby ją z téj dziedziny zupełnie wykluczyć.

W istocie, ta klasyczna poezya jest trzeźwa i chłodna, pomimo rodzimój treści, powleczone na zewnątrz cudzoziemskim pokostem. A co najważniejsza, jest z gruntu racjonalna, przemawia wyłącznie do rozumu; imaginacyi zaś, a zwłaszcza téż uczucia bardzo mało, prawie nic nie daje pokarmu. Jakże ją pogodzić z pojęciem poezyi romantycznym, wymagającym natchnienia upajającego, rozbudzenia fantazyi,

¹⁾ Zob. o téj uroczystości szczegółową relacją w „Bibl. Warsz.” zesz. październikowy, między „Wiadomościami bieżącemi,” str. 143, 144.



choćby drastycznymi środkami, a mianowicie wzruszenia serca, choćby do najgłębszych uczuć, choćby do łez?

Ta klasyczna poezja znała zresztą siebie samą bardzo dobrze, wiedziała czém jest, a za dowód tego może posłużyć i ta okoliczność, że poetę, który prawie sam jeden różnym był od innych współczesnych, nazwała poetą serca. Nazwa podobna możliwą tylko była przed laty sto ma; przed laty pięćdziesięciu albo dzisiaj, któżby śmiał użyć takiego pleonazmu, kiedy te dwa pojęcia w wyobrażeniu naszym nierozłączne są od siebie?

Karpiński dla swoich współczesnych był szczególném zjawiskiem, a dla nas również się to dziwném wydaje, że mógł pojawić się takim jakim jest, w owój epoce: jakby nas zadziwiło, gdyby kwiat jakiś wyrósł w obcej dla siebie strefie. Może dałoby się to wytłómaczyć tém, że Karpiński urodził się pod słomianą strzechą skromnego szlacheckiego dworku, na samym krańcu Rzeczypospolitej, na zapadłym Pokuciu, dokąd nie dochodziło nawet echo tego, co się na wielkim świecie działo; że żył zdaleka od owego wielkiego świata, w którym streszczała się ówczesna cywilizacja, na którym rozgrywały się losy polityczne narodu i jego literatury; że później, co on swoim nieszczęściem nazywał, przeznaczenie tak niespodziewanie nim pokierowało, że gdy się garnął wszystkimi siłami do tego wielkiego świata, ten świat zbył go obojętnością, nie chciał go uznać za swojego i prawie odepchnął od siebie.

W wieku indyferentyzmu i niewiary, kiedy nad umysłami panował sceptyczny Wolter, a nad sercami materialistyczne zepsucie, dochował Karpiński w całej czystości gorącą religijność swoich przodków. Biskup Krasicki żartował sobie, wprawdzie nie z religii, ale z niektórych sług ołtarza; Trembecki wygłaszał filozoficzno-religijne poglądy pełne najczystszej materializmu, a Węgierski szydził potrochu z wielu rzeczy, które dawniej za świętość uchodziły. Karpiński w tym samym czasie układał pieśni nabożne, pełne głębokiej i naiwnej wiary do tego stopnia, że mogły przejść w usta ludu i stać się wyrazem jego prostych uczuć religijnych; tłómaczył i przerabiał z dawniejszego przekładu Kochanowskiego „Psałterz Dawidowy,” aby ten pieśnioksiąż Starego Zakonu zrobić znowu przystępniejszym i popularnym dla swego wieku, i tym sposobem do rozbudzenia w nim silniejszej wiary się przyczynić. Pochopu i natchnienia do tego nabrał on nie zkadınąd, tylko z przykłądu i obyczaju panującego w rodzicielskim domu, a kiedy z niego już wyszedł, świat, w którym żył potem, nie mógł także tych jego uczuć oziębnić, ani przekonań odmienić. Całą młodość przeżył Karpiński na wsi albo po małych miasteczkach, gdzie patryarchalne od wieków panowały wyobrażenia i stosunki; krótki pobyt w Wiedniu nie mógł go także zepsuć; pojechał się tam uczyć i dopełniać swego wykształcenia i z ludźmi, mianowicie mogaćymi na niego wpłynąć, niewiele tam miał styczności. Kiedy poraz pierwszy pojechał do Warszawy, to jest właśnie w to miejsce, gdzie jako w stolicy politycznego i umysłowego życia narodu, sposób jego myślenia mógł rozmaitym ulegać wpływowi; był już w tym

dojrzałym wieku, w którym zwykle człowiek swoich zasad nie zmienia i z drogi, po której przywykł iść, czy ona dobra jest czy nie, nie tak łatwo zdoła się przenieść na inną.

Ogólny zatem prąd niereligijny w warstwach wyższych i nadających ton cywilizacji, nie miał miejsca i czasu, aby go dotknąć. Jak się wychował w prostej i sercem nawet najgłębsze tajemnice pojmującej wierze, tak dotrwał z nią do ostatka życia, a jeśli zaszła w niej jaka odmiana, to tylko na korzyść, to tylko taka, że jego przekonaniom dodawała godności i podniosłości. Wiara jego była ową staropolską wiarą, która tak pięknie krzewiła się po wiejskich dworkach szlacheckich; była gorącą miłością Boga, zgadzaniem się z Jego wolą, ufnością i nadzieją w Jego dobroci, miłosierdziu i łasce. Zagłębianie się w dogmata, ascetyczna ekstaza średniowiecznych bogomodlców albo używanie religii za sztandar i hasło politycznych stronników i celów, jak się to dzisiaj niekiedy praktykuje, nieznanne były ludziom owych czasów i owej wiary. Bóg, jak ich tego sam Chrystus w modlitwie swojej nauczył, był dla nich przedewszystkiēm Ojcem, do którego się z pokorą, ale bez niewolniczej obawy w swoich radościach i smutkach udawali. Wielbili jego wielkość i korzyli się przed nią, ale zarazem wierzyli, że obciążeni gezechami i słabościami ludzkiemi, mogą pomimo to stanąć przed Jego tronem, wynurzyć Mu swoje prośby i pragnienia z całą otwartością i z nadzieją osiągnięcia skutku.

W podobnej to myśli napisał Karpiński swój piękny i szczytny wiersz: „O wielkości Boga.” Postawiwszy sobie przed oczy potęgę i wszechmoc Stwórcy, wyraziwszy nad nią swój podziw i zdumienie, spogląda na siebie i porównywa swą małość z Jego wielkością.

Potężny Boże na ziemi i niebie!
Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko,
A potem oczy obrócę na siebie,
Jak mię ta wielkość upokarza nisko!

Przecież chociażem istotą tak małą,
Pójdę do Ciebie... Twa dobroć mi znana!
I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą,
Co się chce przedrzeć do samego Pana.

Ale odarty, jak przed Tobą stanę?
Cechę wierności z piersi mojej starłem,
I niewinności odzienie mi dane,
Ocierając się między ludźmi, zdarłem...

Przecież ja pójdę, cokolwiek mię czeka,
Pójdę do Ciebie, bo mi powiadano,
Że byleś Ty się obejrzał na człeka,
Zaraz go w stanie szczęśliwym widziano.

Tak jak dziś jestem niedołącznym płazem,
Zbitēm naczyniem, o które nie stoją,

Pokorę tylko wzięwszy z sobą razem,
 Poniosęć głupstwa i nikczemność moją.
 Mnie się rozstąpią wybranych Twych rzesze,
 Mnie nic nie będzie po drodze ustraszac;
 Jeszcze ich mojem przybyciem pocieszę,
 Bo powiem: że ja idę Cię przepraszac.
 Gdzie będą Twoi aniołowie stali
 Pójdę; i jak im przypomnę zdaleka
 Ich towarzyszków, co poupadali,
 Nad ułomnością zlitują się człeka.

Ta śmiała dusza, wdzierająca się tak natarczywie i nieustraszenie do nieba, między hufce błogosławionych i aniołów, wznioślejszą zaiste i godniejszą człowieka zanoszą modlitwę, niż gdyby w martwem milczeniu padła twarzą na ziemię i oczu podnieść do góry się nie odważyła.

Poznajemy z tego jedną także stronę w usposobieniu moralném Karpińskiego, godną uwagi. Ten wychowaniec Jezuitów, wypromowany przez nich na bakałarza św. teologii, namawiany kilkakrotnie do wstąpienia do zakonu, pomimo całej swój religijności nie przesiałkł jednakowoż ani dewocją, ani fanatyzmem, ani zabobonem, ani żadném wogóle z tych zбочeń, które w owe czasy tak często prawdziwą wiarę kaziły. Jego pojęcia religijne są czyste, niema w nich ani śladu tój trywialności, która bądź w dobrej wierze, bądź z umysłu, wzniosłość religii do poziomu maluczkich i płaskich spraw powszedniego życia poniżały. Nawet w tój pobożności, w tych religijnych przekonaniach, na które patrzył w rodzicielskim domu i które z niego wyniósł, umiał on odróżnić z biegiem czasu, w miarę rozwijającego się swego umysłu, prawdę od fałszu i oddzielić ziarno od plewy. Gdy rozum jego dojrzał, gdy go wykształcenie oświeciło, nie wahał się przyznać, że wiele wyobrażeń, któremi karmił się za młodu, nie zgadzało się z prawdziwą czystością wiary, nie wahał się w podeszłym już bardzo wieku, stojąc nad grobem, napisać w swoim Pamiętniku, że wiek jego dzieciństwa „wiekiem był wiary zabobonnej i przywidzeń,” i mimo czci, jaką przez całe życie wyznawał dla swych pobożnych rodziców, nie miał sobie tego za grzech, ażeby cudowne zjawienia, jakie mieli, ich wiarę w pokazywanie się duchów i upiórów, w czarownice, przepowiednie i wróżby, nazwać poprostu tém, czém były w istocie: zabobonem i przesądem.

Dosadnym i wymownym wyrazem tój czystości jego przekonania jest wiersz: „Przeciwno fanatyzmowi.” Kreśli najprzód obraz fanatyzmu w ten sposób:

Krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej,
 Zasłonił oczy, pozatykał uszy;
 Tak świat obiega, jak jest w sobie długi:
 Wszystkiego dotknie i z gruntu poruszy.

Gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany,
 Dojdiesz go czarnym zostawionym śladem;
 Lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany;
 Pije łyż cudze, tuczy się swym jadem.

W przeciwstawieniu do tego ponurego obrazu, wypowiada dalej, jaką jest prawdziwa wiara i czego wymaga:

Wiara! ty czysta przysłana na ziemię,
 Ale cię człowiek zabobonem szpeci;
 Ty chcesz, by ludzkie kochało cię plemię,
 Jako jednego ojca, jedne dzieci.

W tolerancyi swojej idzie nawet dalej, niżbyśmy się po nim spodziewali, bo za przykład równouprawnienia wszelkich religii i wolności sumienia stawia starożytny Rzym, składający w Panteonie bóstwa różnych narodów całego imperyum, aby tym sposobem wszystkim przekonaniom zadość uczynić.

Czyżto nie lepiej Rzym rozumiał stary?
 Aby zamieszkom powszechnym zaradził,
 Szczęśliwe skutki ze złej robiąc wiary,
 Bogi narodów w stolicę sprowadził.

W końcu zwraca się z apostrofą do swęj ojczyzny, chwając ją z tego względu, że nie wzniecała w swém łonie wojen religijnych, że unikała fanatyzmu.

A jeśli jeszcze chcemy przykładu, jaką była religia Karpińskiego, popatrzmy na ostatnie karty jego Pamiętnika, na których przeszedłszy ośmdziesiąt lat życia, kiedy każdej chwili mógł spodziewać się śmierci, czyni rodzaj powszechnęj spowiedzi: „Do kościołów, powiada, tam na jedném miejscu, nie często kwapiłem się, ale widuję Cię, Boże mój na słońcu wschodzącém siedzącego, i oglądającego światy niepoliczzone.” Jak to pięknie powiedziane, że wygląda jakby jaki wiersz z Psalmów, a przez podobieństwo wyrażenia przypomina żywo jedno słowo Wiktora Hugo o tym księżycu, podnoszącym się nad horyzont, jak hostya w rękę kapłana.

Religijność, której szukać należy nietylko w jego pieśniach nabożnych i Psalmach, ale w duchu wielu innych jego utworów, przepełnionych miłością Boga, cnoty i prawdy, tchnących w ogóle wyższą chrześcijańską moralnością, stanowi jedną z wybitnych cech, odróżniających Karpińskiego w rzędzie ówczesnych poetów. Nie jest jednakowoż jeszcze tém charakterystyczném znamięm, po którym można go szczególnie poznać i według którego jego poetycką osobistość można sobie wyobrazić. Takim indywidualném znamięm jest u niego to, dlaczego wiek jego nazwał go poetą serca.

Jako poeta miłości, pomiędzy współczesnymi, Karpiński jest jedynym, a poprzedników bardzo niewielu liczy. Muza polska rzadko

i słabo uderzała w strunę miłosną, a dziś podobno już powszechna na to nastąpiła zgoda, że się to działo z téj przyczyny, że tego co się miłością nazywa w dawniejszém życiu towarzyskiém, niewiele u nas było. Kochano się i żeniono u nas jak wszędzie, ale nie było szczególnego jakiegoś kultu kobiecego, ani téż uczuć miłosnych i władających sercem namiętności nie podnoszono do tego znaczenia, jakie im gorąca wyobraźnia albo subtelna cywilizacya gdzieindziej, na Zachodzie i na Południu nadawały. Przy ogólnej prostocie obyczajów było téż może więcej rubasznosci i poziomych afektów, ale mniej za to wyrafinowanego zepsucia albo stosunków nadwierzających sakrament małżeństwa i przyjęte zwyczaje. Jan Kochanowski opiewał swoje kochanki, może dlatego najwięcej, że tak robili jego mistrze, poeci starożytni; opiewał dosyć chłodno, czyto pożyczanemi od swych nauczycieli słowami i obrazami, czyto nawet we własnym ojczywym języku. Jędrzej Morsztyn wyższym od niego był w tym rodzaju; był téż w całej naszej dawniejszój poezyi najpierwszym śpiewakiem miłości. Czuł głęboko i namiętnie, a uczucia swoje w malowniczych oddawał obrazach, ale ani na publiczność, ani na piśmiennictwo, żadnego temi miłosnemi pieśniami nie wywarł wpływu, bo je uwieził w manuskrypcie, z którego podobno nawet odpisów nie dałoby się wynaleźć.

Za czasów Karpińskiego, świat już bardzo się był wypolerował: kobiety w życiu towarzyskiém, a nawet i polityczném, doszły już do pewnego, a jak właśnie w epoce Stanisława Augusta, zbyt przeważnego nawet znaczenia. Kochano się wiele i na wszystkie strony, zawiązywano i równie łatwo zrywano niedozwolone stosunki; szukano rozkoszy i rozrywki w silniejszych uczuciach; dopuszczano się często rozpusty i przesadzano w galanteryi: ale prawdziwej miłości w tém nie było, więc nie było i materiału dla poezyi, a natchnienia dla poety.

Przypatrzmy się teraz, w jaki sposób kochał się Karpiński, jakiego rodzaju była jego miłość i jakie miała znaczenie w jego życiu.

Pod tym względem bardzo cennym komentarzem są jego Pamiętniki. Wspomnieniom swych kochanek nie poświęca on w nich zbyt wiele miejsca; ich wizerunki jednak, które kreśli i to, co o własnych swoich uczuciach powiada, posiadają w sobie do tyła charakterystycznych rysów, że o naturze jego miłości możemy sobie dokładne utworzyć wyobrażenie.

Karpiński zaczął się kochać bardzo młodo, poraz pierwszy, kiedy jeszcze słuchał „głupiej (jak się wyraża), perypatetycznej” filozofii w Stanisławowie u Jezuitów, nie mając więcej, jak lat dwadzieścia. Pierwszą jego kochanką, pierwszą Justyną, była Marya Brüsellówna, córka kapitana saskiego, z Turkułówny urodzona, a wtenczas już, co bezwątpienia, dla młodych marzycieli ma pewien poetyczny urok, sierota bez ojca i matki. Na całym Pokuciu uchodziła za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę. Dalej pozwólmy mówić samemu pocię:

„Moja do niej miłość była niewinna, jak ona; po całych prawie nocach ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedy ją raz w piersi po-

całował, że dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność, jeszcze mi od ojca mojego wpojone, jakże daleko mocniej ta niewinna panna we mnie ugruntowała. Ona to jest moja Justyna, do której tę najpierwszą z moich sielanek: „Teśkność na wiosnę, do Justyny” napisałem i którą pod tém imieniem tyle razy potem wspominałem. (Na inném miejscu powiada Karpiński, że tylko trzy sielanki do téj Justyny napisał). Długo się można kochać, ale długim głodem, nienasyceciem się; lat kilka (sądzimy, że dwa lub trzy) i ja w mojej niewinnej i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jój zyskowne trafiło się zamęście, bo prędzej przybiega szczęście, kiedy go pięknej, a cnotliwej kobiety oczy zawołały, a ja ubogi, wzięwszy tę szanowną pannę, chyba bym z nią na służbę poszedł, że łzami oświadczyłem jój, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potem rzecze: „ja się dla ciebie pruć nauczę i grzędy kopać będę;” jużem się do niej wracał i byłbym tego nie żałował, ale jój i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyślcć małżeństwo.”

Rozstał się więc z Justyną i by usmierzyć żal po jój stracie, postanowił z tych miejsc się oddalić: porzucił Pokucie i udał się do Lwowa, na słuchanie teologii.

Co każdego w téj historii pierwszej miłości uderzy, to najprzód te niezgodne z sobą, według dzisiejszych pojęć, dwie okoliczności, że Justyna była tak cnotliwą i cały ten stosunek był tak niewinny, a z drugiej strony, że ta piękna i młodzietka panienska lubiła i mogła „po całych prawie nocach” rozmawiać i bawić się z młodym mężczyzną; powtóre: ta zbyt pochopna rezygnacya, to dobrowolne zrzeczenie się ze strony kochanka i zerwanie serdecznych związków bez żadnego gwałtowniejszego wstrząśnięcia, bez silniejszego nawet bólu, spełnione jedynie pod wpływem rozwagi i obawy o przyszłość ¹⁾.

Po kilkoletnim pobycie we Lwowie (a jak nam się znów zdaje najwięcej w trzecim roku, bo jeszcze przed r. 1763), przybył Karpiński na Pokucie dla odwiedzenia matki, mieszkającej przy jego bracie, wówczas proboszczu w Chocimierzu. O kilka mil od tego miejsca mieszkali państwo Ponińscy, starostowie ostrowscy. Karpiński poznał się z nimi, a że oboje byli ludźmi wykształconymi, zabrał ściślejszą z nimi znajomość i do ich domu się przeniósł. „Po niejakiem czasie (pisze poeta) przyszło mi się rozkochać w jejności i to była druga moja Justyna, która, jak pierwsza, do wszystkiego co dobrém jest, powodem była dla mnie.” Z innych względów, pani Ponińska zupełnie różną była od Brösellówny. Nie była zdaje się tak piękną, bo jak ją Karpiński opi-

¹⁾ Zasługujące na główną naganę takie zjawisko pustych miłostek, nie świadczy korzystnie o głębszym, moralnym gruncie charakteru Karpińskiego. Wskazane przez autora na początku niniejszej pracy zapatrywanie się na sprawę serca współczesnej mu epoki, objaśniają tylko ten fakt, że i Karpiński nie potrafił wznieść się zbyt wysoko ponad poziom swojego wieku.

suje, lubo miała wzrost hoży, ciało najbielsze, rękę najpiękniejszą, ale twarz nie wiele przyjemną; przytém o lat czternaście była od niego starszą. Na młodego poetę wywarła zapewne wrażenie jej wyższość umysłowa i wykształcenie. Druga Justyna lubiła czytać książki i dysputować; można się domyślać, że ze swoją wiedzą i nauką ostentacyjnie nawet występowała, że był to rodzaj, w owe czasy już dosyć modny, kobiety uczonój, sawantki. Z tych powodów stosunek Karpińskiego do niej przybrał właściwy sobie charakter. Pani Ponińska przyjęła na siebie rolę niejako mentora, kierującego krokami niedoświadczonego Telema-ka. Uczyła go początków języka francuzkiego, przestrzegała jeśli w towarzystwie nie znalazł się jak należy i „sam na sam, jak prawdziwa przyjaciółka,” różne nauki dawała. Pomiedzy niemi najważniejsze były zapewne te, które „młode zapędy” poety utrzymywać miały na wodzy. Ponińska była „skromna, cnotliwa kobieta,” była przykładem „nienaruszonej wiary małżeńskiej,” nielada więc miała zadanie, ażeby pohamować zapały młodzieńca, o którym wiedziała, że ją kocha i którego sama lubiła. Małe koncesye, zdaje się, że Karpiński czasem otrzymywał; robiono je, wybierając z dwójga złego mniejsze, jako nagrodę i jako zachętę dla utrzymania go na dobrej drodze. Tak zręcznie i dyplomatycznie postępując, druga Justyna osiągnęła swój cel: „najżywszą młodość moję od rozpusty zachowała” i „więcej lat dziesięć trzymała mię w szczęśliwych więzach.” A były jednak czasami i chwile bardzo krytyczne. Tak naprzykład, kiedy mąż Ponińskiej wyjechał w poselstwie zagranicę z doniesieniem do dworów europejskich o zaszłej śmierci Augusta III i żonę samą z Karpińskim w domu zostawił. Namietność poety wznowiła się tém więcej, ale tém więcej także „cnotliwa kobieta lubiąc mnie, jakem uważał, siebie i mnie martwić umiała.”

Można sobie wyobrazić, ile przez dziesięć lat takich stosunków, ciężkich westchnień wyszło z piersi poety i ile razy szukał dla siebie ochłody i ulgi w wylaniu na papier swoich tłumionych uczuć i niespełnionych pragnień.

Dość długa przerwa w tym stosunku nastąpiła, gdy Karpiński w początkach konfederacji barskiej wyjechał do Wiednia, dla uzupełnienia swojego wykształcenia. Wiedeń używał wtedy nie najlepszej reputacji pod względem moralności; Karpiński bał go się i będąc w drodze, w Krakowie, poprzysiągł sobie w kościele żyć jak najskromniej w tój stolicy, uważanej za „najrozpuśtniejszą”... Wspomnienie Justyny szło za nim...

Gdy w końcu 1770 r. powrócił w rodzinne strony, znalazł stan rzeczy zupełnie odmienny. Ponińska była już wdową i wolną. Karpiński tóż w istocie „więcej już sobie obiecywał,” ale znalazł, Justynę jeszcze surowszą. Przyjęła go najgrzeczniej, trzymała jednak jak przedtém zdaleka. Naturalném następstwem tak dawnego i serdecznego stosunku, zdawało się małżeństwo. Zapewne sam Karpiński pierwszy o niem wspominał, tak przynajmniej z jego roli wypadało. Ponińska znowu się zawahała: bała się tój różnicy czternastu lat jaka była mię-

dzy niemi. Sprawa małżeństwa poszła tedy w odwłokę. Poeta bawił tymczasem przy Justynie i nie mógł się na nic stanowczego zdecydować. Raz pragnął najgoręcej połączyć się z nią ślubem małżeńskim, to znowu zaczynał zastanawiać się nad jej usposobieniem i obawiać jej humoru „ustawicznie prawie sprzecznego.” Już wtedy kiedy pierwszy raz ją poznał, spostrzegł w niej zaniżowanie do dysputowania; z wiekiem musiała ta chęć odznaczenia się rozumem coraz więcej wzrastać, a w końcu stać się zbyt imponującą.

Łatwo zrozumieć, że kobieta z takim usposobieniem nie bardzo się mężczyźnie podoba, że na ostatku taki profesor nie w tozde ale w spódnicy, staje się i przykry i nudny. Stygnął więc pomału Karpiński w swoich żądaniach, a stygnął tak widocznie, że i Ponińska spostrzedz to musiała. Nie wzięła mu tego jednak za złe, może w głębi serca przyznała mu słusność, rozstała się z nim jak dobra przyjaciółka, a na pożegnanie, w dzień jego imienin (a że taki czas wybrała, dowód to także jej delikatności), darowała mu pięć tysięcy złotych, jako pomoc dla zabezpieczenia sobie przyszłości.

Tak w sposób prozaiczny, malujący wcale niekorzystnie naszego kochliwego bohatera, zakończył się ten dziesięcioletni romans, w którym zaledwo słaby brzask cechy poetycznej dopatrzeć można. Z pewnemi odmianami przypomina on stosunek między panią Stein a młodym Goethem, a to nie ulega wątpliwości, że żadna kobieta, nawet i pierwsza Justyna, nie wywarła tak stanowczego wpływu na naszego poetę jak pani Ponińska.

Dla Karpińskiego jednak czas miłości jeszcze nie przeszedł. W kilka lat później pokochał się w Franciszce Koziobrodzkiej, córce starosty olchowskiego, od którego trzymał wieś w dzierżawie, i który był dla niego najszczerzym przyjacielem. I tu znów bożek miłości dziwnie się dla niego przyjaznym i wrogim pokazał. Panna była ładna, posażna, kochała go wzajem i znów z nią się bawił, lecz na nieszczęście była już komu innemu zaręczoną. Tego swojego narzeczonego ona nie lubiła i, jak Karpiński pisze (mamy nadzieję, że nie są to próżne przechwałki, bo inaczej bardzooby to źle o nim świadczyło) zapomniała się tak daleko, że dała mu poznać, ażeby ją wykradł. Ale względ na przyjaźń ojca wstrzymał naszego poetę od tak grzesznego kroku; nastąpiła w jego sercu walka między uczuciem kochanka a honorem. Jakże on miałby zdradzić zaufanie tego człowieka, który kochał go jak syna, który dobrze mu czynił, który pozwalał mu być ze swą córką na stopniu poufałości, wierząc w jego uczciwość i honor i nie przypuszczając zapewne, żeby mógł mieć względem niej jakieś myśli?... Honor zwyciężył. Panna poszła za swego narzeczonego, „i była nieszczęśliwą,” dodaje z pewnym współczuciem Karpiński.

O dalszych dziejach jego serca (samych przez siebie nie ciekawych, ale dla charakterystyki człowieka niedających się pominąć) nie wiele już mamy do powiedzenia. Mimo posuwającego się naprzód wieku, piękność kobieca robiła na nim większe wrażenie, i to tak silne,

że nie zawsze mógł być jego panem, że pod jego wpływem tracił równowagę moralną i robił krok niezręczny lub rażący. Kto czyta jego Pamiętniki, tego zastanowić musi scena, jaką miał w Wilnie w domu pewnej pięknej i młodej pani, z domu Radziwiłłówny. Przybył do niej mając sobie polecone doniesienie smutnej nowiny o śmierci blizkiego jej krewnego. Przypadkiem w owej chwili, ta pani nie dokończyła była jeszcze swojej toalety... wyszła do niego pośpiesznie, usłyszawszy że przyszedł z ważną wiadomością. Widok jaki miał przed sobą, tak rozstroił Karpińskiego, że język wypowiedział mu posłuszeństwo; zaczął smutny komplement i olśniony pięknym widokiem, skończyć go nie umiał. „Tak to znowu, dodaje na swe pocieszenie, żal cudzy nie miał tyle siły, ażeby się oparł wzruszeniom piękności obaczonj.”

Ostatnią wreszcie wiadomością, jaką mamy o stanie jego serca jest ta, że mając już coś około lat pięćdziesięciu, zamierzał się ożenić. Nie mogąc spełnić z rozmaitych przyczyn zamłodu co było najgorętszym jego pragnieniem, jeszcze na schyłku lat męzkich chciał sobie tę stratę powetować. Tym razem bohdaną jego była jakaś wdowa. Rzeczy zaszyły już tak daleko, że Karpiński „dla dokończenia” tylko potrzebował wyjechać do swojej przyszłej. Ale wtém pani Branicka, siostra królewska, u której wówczas przebywał, wystąpiła ze stanowczą opozycją. Zapewne patrzyła na tę sprawę jaśniej niż nasz zaciętrzewiony poeta; pewnie nieraz robiła mu uwagi i perswazye, ale to wszystko nic nie pomagało. Karpiński taką miał niepowstrzymaną chęć do tego hymenu, że trzeba było użyć na niego przymusu i niemal gwałtu. Pani Branicka kazała mu też poprostu zamknąć konie i pojazd. Przyszły nowożeniec musiał zostać na miejscu; potem, chłodniej się nad tém zastanowiwszy, nie wybrał się już drugi raz w drogę do ulubionj i pani Branickiej przyznał później słusność, pisząc w swoich Pamiętnikach, że z ową wdową „zapewne byłby najnieszczęśliwszym.”

Oprócz tych uczuć i kochanek, których pamięć sam poeta w swoich wspomnieniach zapisał, wiele jeszcze innych wzruszeń i wrażeń, mniej albo więcej silnych i trwałych, czasem może z jednym dniem przemijających, przeszło przez jego wrażliwe i kochliwe serce. Oprócz jednj i drugiej Justyny, pieśni jego opiewają, wiele innych postaci kobiecych: Temirę, Rozynę, Palmirę, Faustynę, Zosię i t. d. Może być, że czasem pod różnemi imionami, dla zatarcia śladu, dla zachowania tajemnicy, ukrywa się jedna i taż sama osoba; ale może być także, że to są nowe przedmioty natchnień poety, o których żadnej wiadomości historycznej nie mamy.

Tak więc Karpiński kochał się z małemi przerwami prawie ciągle. Miłość była potrzebą jego duszy i najsilniejszą w niej namiętnością. Cała młodość, od lat bardzo wczesnych, przeszła mu na wzruszeniach serca; wiek męzki nie był także bynajmniej od nich wolny, i kiedy już pochylał się ku starości, kiedy może nie jeden siwy włos się pokazał, a dawny zapał młodzieńczym już nie gorzał płomieniem:

wtedy jeszcze z żalem i smutkiem żegnał się poeta z temi uczuciami, które były największą rozkoszą jego życia. Mimo wszelkich zawodów i przeciwności, wspominał sobie z tęsknotą chwile spędzone niegdyś „pod umówionym jaworem” z lubą Justyną i melancholijne wydobywając tony z gitary, z niechętną rezygnacją przyśpiewywał sobie:

„Już ja nie ten com był wczora!”

Czas róż przeminął, a poeta upajając się tak długo ich wonią, gdy się już tego wyrzec było potrzeba, żałował młodzieńczej pory swojego wieku.

Lata moje ustąpiły!
 Nie wiodą tak o mnie spory,
 Jak się dziewczęta kłóciły
 Za czasów pięknej Lindory.

Dzisiaj podstarzały,
 Próżno dla kochanki
 I śpiewam dzień cały
 I przynoszę wianki.

Schylam się już do wieczora:
 Już ja nie ten com był wczora!

I taką piosenkę powtarzał sobie z westchnieniem jeszcze... czy wiecie kiedy...? Jeszcze wtedy, gdy lat ośmdziesiąt nachyliło jego głowę ku mogile. Jakże poznać po tém „poetę serca,” jak znać pieśniarza, który przedewszystkiem był śpiewakiem miłości; jak charakterystyczne to dla człowieka, którego dusza była tak zapalną i tak całą siłą oddana temu uczuciu! U innych poetów zwykle, ta pora miłości przechodzi z czasem nieznamcnie i bez obudzenia podobnej za sobą tęsknoty; inne uczucia zajmują u nich z kolei miejsce uczuć młodości, a oni nie czują w sobie próżni po nich i nie zwracają ze smutkiem oczu na niepowrotną przeszłość, która najsłodsze radości życia ze sobą zabrała. Karpiński bolał nad tém że tak było, że tak być musiało, bo byłby pragnął, żeby było inaczej; bo ten ubytek w sercu przykro mu się czuć dawał i nie widział nic innego, coby go zastąpić mogło.

Może być, że ta jego bezustanna tęsknota, to echo młodości tak późno w życiu jeszcze się odbijające, miały swoją przyczynę w tej okoliczności, że pragnienia jego nigdy całkowicie zaspokojone nie zostały. Żadna z jego kochanek nie została jego żoną, żadna nie należała do niego całkowicie. Miłość drażniła go i nęciła ku sobie jak Tantalą, i zawsze usuwała od niego zupełne szczęście. A wątpliwości nie ulega, że nasz poeta niczego właśnie tak gorąco sobie nie życzył, jak zaspokojenia swoich uczuciowych pragnień. W jednej swojej filozoficzno-poetycznej rozprawie, w liście, jakie w owe czasy były bardzo częstą formą literacką: „O szczęściu człowieka,” wystosowanym wprawdzie do kobiety, najwyższą szczęśliwością, jakiej człowiek może doznać na ziemi, mieni on przecież miłość i to taką, „która istotném dobra ulubionego bez przeszkody będzie posiadaniem.” Jakże inaczej, jak wbrew

jego wyobrażeniom i najgorętszym chęciom, postępowały sobie z nim zawsze losy! Do posiadania dobra ulubionego nigdy dojść nie mógł. Pokochał pierwszą młodzieńczą miłością, pierwszą Justynę. Miłość ta odwzajemniana z jej strony, trwała lat kilka i musiał się z nią rozłączyć, bo oboje byli ubodzy i losu swojej ulubionej nie chciał zawiezywać. Pokochał się w drugiej Justynie, a ta znowu była mężatką. I znowu dziesięć lat przeszło na ustawném podsycaniu i tłumieniu ognia palącego się w jego piersi, a miłość stała się dla niego niby bezowocną i męczącą pracą Syzyfa. Znalazł następnie i trzecią kochankę, ale i tutaj musiała stanąć na zawadzie nowa przeszkoda: stanął pomiędzy nimi obowiązek przyjaźni i honoru, a tak szczęście, które mógł być posiadać, którego znowu był blisko, przemieniło się dla niego w wewnętrzną walkę z uczuciami i w nowy żal z rozłączenia. Gdyby te kochanki nie były przynajmniej dla niego wzajemne; gdyby wdychał był na próżno, nie odbierając od nich oznak przychylności uczucia; gdyby te słodkie dni były mu przechodziły na samotném i rozpaczliwém dumaniu nad ich obojętnością i zinném sercem, może jeszcze wtedy los poety byłby znośniejszy; bo wtedy nie doznawałby tych ciągłych pokus, nie widziałby tych zwodniczych majaków szczęścia, które w powietrzu rozplynąć się miały, gdy ku nim ręką sięgnął.

Chociaż zapewne nie brakło mu i na przeciwnościach tego rodzaju. W autobiografii swojej nie wspomina o takich wypadkach, ale w wierszach żali się i skarży często na obojętność, na zmienność i niestateczność. Musiał więc i tego doznać nieraz w swém życiu: chwilowo, od kochanek które podzielały jego uczucia, a stale od takich, które zimno przyjmowały jego westchnienia, albo też łudziły go tylko.

Ciągle więc i zawsze kochanie się—było u niego gonieniem za czémś niepochwyceném, dążeniem do celu, którego nigdy nie miał osiągnąć, było ustawiczném dreczeniem się i umartwieniem rokoszném. Bo w takim stanie, w takich okolicznościach, bywa także dużo powabu i ponęty, dużo tego, co naszemu sercu smakuje. Wszakże według jednozgodnego zdania wszystkich poetów, a zapewne i wszystkich ludzi, gdybyśmy ich opinią o tém znać i słyszeć mogli, nawet bóle miłości są dla kochającego serca rozkoszą! I ta właśnie okoliczność, że miłość jego była tego rodzaju, że jej na drodze stawały ciągłe przeszkody, że nie miała możności, bo mówiąc szczerze tak jak było, na chęciach do tego jej nie brakowało, zejść w dziedzinę rzeczywistości; to nadaje jej pewien charakter idealny, to ją przybliża do pewnego stopnia do abstrakcyjno-platonicznego jej ideału. Szczególnie stosunek poety do drugiej Justyny, do pani Ponińskiej, rozumie się w pierwszych latach swego rozkwitu, ma w sobie coś Petrarkowego. Jak Laura tak i druga Justyna jest kobietą zamężną, a zatem z góry zapowiedziane ma już jej wielbiciel, że zwyczajnemi związkami ślubu połączyć się z nią nie może. Ponieważ miłość w tych warunkach byłaby występna, więc jak Petrarca, tak Karpiński otacza ją tajemnicą. Może być, że ta tajemnica była aż nadto przezroczysta, ale to zdaje się być pewném, że

poeta wierzył w jej utrzymanie. Jeżeli mu potrzeba było napisać dla niej wiersz, o którym wszyscy mieli i mogli wiedzieć, że się do niej odnosi (a jest trzy takich wierszy na jej imieniny) to pisał stylem prawie urzędowym, chłodnym i poważnym; rozwodził się nad jej cnotami i mówił szeroko o swym szacunku i poważaniu, ale więcej nie nad to nie powiedział. Prawdziwe swoje uczucia, to wszystko co mu na sercu leżało, wypowiadał dopiero wtedy, gdy pisał do Justyny, do osobistości niby zmyślonej, albo którą mogła być ta lub owa inna kobieta. Cnota, wiara małżeńska i oddalenie nakazywały Petrarce wyrzec się wszelkich dalszych nadziei, wszelkich względów ze strony kochanki, a podobnież surowość drugiej Justyny, trzymała Karpińskiego w przywoitém od niej oddaleniu. Pomimo to trzymała go także długo „w szczęśliwych więzach;” nasz poeta wstrzymywany co chwila w swych erotycznych zapędach, wytrwał jednak lat dziesięć przy jej boku, gorzał przy niej z miłości, a choć wiedział że napróżno, nie odstępował jej, poświęcał jej chwile swoich marzeń, uwielbiał ją w swoich pieśniach, nie spodziewając się może za to innej nagrody oprócz przyjaźni i braterskiej przychylności. Bądź co bądź zatem, obok młodzieńczej namiętności, musiał być w tym jego stosunku pewien wyższy duchowy pierwiastek, a w drugiej swojej Justynie uwielbiał on nie tylko to, co w jej postaci jemu się podobało i na jego zmysły wrażenie robiło: lecz także pewne przymioty jej serca i charakteru. Ze wszystkiego widać, że pani Ponińska, do pewnego czasu przynajmniej, imponowała mu wyższością umysłową, że uważał ją pewnie za kobietę tak przez przymioty towarzyskie jak i wykształcenie, nie zwykłą. Bardzo więc łatwo mógł także widzieć w niej ideał, który warto było wielbić i opiewać dla niego samego. Dodajmy jeszcze, że ten ideał w tej właśnie roli i z tej duchowej strony najchętniej mu się przedstawiać lubił, że druga Justyna brała na siebie obowiązek być jego przewodniczką i nauczycielką moralności, że wygłaszała przed nim i wpajać w niego się starała zasady cnoty, przywoitości i surowych obowiązków życia.

Zrobiwszy powyżej częściowe porównanie z Petrarcką, bynajmniej nie mieliśmy na myśli, żeby co do nastroju poetycznego stawiać z nim na równi Karpińskiego i widzieć w tej mierze między obydwoma podobieństwo. Byłoby to rzeczą fałszywą i wręcz sprzeciwiającą się prawdzie. Kochanek Justyny uderza w ton daleko niższy i nie byłby zdolny za kochankiem Laury wznieść się w wysokie, abstrakcyjne sfery, w których przedmiot jego miłości przestaje być prawie istotą ludzką i kobietą, a staje się wymarzoną ideą i bezcielesnym przedmiotem natchnienia, tak jak np.: miłość ojczyzny, uczucie honoru, lub sławy. Podobnież dalekim jest także Karpiński od tej tragiczności uczuć, którą, jak niedawno jeden znakomity pisarz zauważył, w świat poetyczny poraz pierwszy Szekspir w „Romeu i Julii” wprowadził, a która w poezji naszego wieku, w takim Byronie, Mickiewiczu, po części w Mussecie, tak wymownych znalazła przedstawicieli. Miłość Karpińskiego była wogóle dramatyczną, ale zatrzymywała się zawsze na czas na tym punkcie, od którego mia-

łaby się zacząć tragiczna katastrofa. Z pierwszą Justyną rozstał się z żalem i smutkiem, ale dobrowolnie i bynajmniej serce mu nie pękało z rozpaczy, jak Gustawowi, bynajmniej nie przeklinał jej za to, że rękę swą bogaczowi oddała. W romansie z Franciszką Koziebrodzką podobnie w krytycznej chwili miał się z placu ustąpić i nie dopuścić do rozwoju bolesnej kolizji w swojej duszy; a wreszcie i w stosunku z drugą Justyną nie widzimy także ani szarpiących serce uczuć, ani gwałtownych jakichś kroków na zewnątrz. Z położeniem swoim niepewnym i nie mającym przyszłości Karpiński wcale rozsądnie się zgadzał, choć prawda, że w tym wypadku wielką pomocą była mu także kochanka, poważnie myśląca i mająca nad nim władzę i przewagę.

Uzucie Karpińskiego trzymało się stale umiarkowanej strefy; w chwilach szczęśliwych nie podnosiło się do ekstazy, ale poprzestawało na słodkim zadowoleniu, tak jak w chwilach przeciwności nie dochodziło do zwątpienia i rozpaczy, lecz rozpywało się w tęskny żal i smutek. Podobnie i pod innym względem nie osiągało wysokości ideału, jak również nie staczało się w te poziomy, gdzie pospolita, nieraz szpetna panuje zmysłowość. Było to uczucie dosyć powszedniej miary, takie, do jakiego mniej więcej zdolny jest każdy człowiek z tkliwem sercem i uszlachetnionym od natury, albo przez wykształcenie umysłem. Przeważa w niém tęskność i idylliczny smutek, jako następstwa przeżytych doświadczeń i okoliczności, towarzyszących prawie każdej jego miłości; rozwesela je i oblewa jakby różaném światłem jutrzeńki swoboda serca, pewnego rodzaju płochosć, kosztująca słodyczy żywota z bezmyślnością motyla przebiegającego po kwiatach, umiejąca w najdrobniejszej rzeczy znaleźć dla siebie przyjemność i uciechę. Nie można wreszcie i tego zaprzeczyć, że w sposobie jego kochania się, w jego temperamencie, była także pewna doza zmysłowości właściwej jego wiekowi; że miłość jego nie była ani tak podniosłe idealną, jak u dawnych włoskich poetów, ani tak głęboko duchową, jak zwykle u romantyków; lecz że przymieszywało się do niej niemało czysto ziemskiej pożądliwości. Duch czasu nie pominął także i serca Karpińskiego, a choć niém nie o władnął całkowiec, choć go owocne zepucie i zmysłowość nie zaraziły sobą, zostawiły przecież na niém lekki ślad swojego wpływu.

Z tego cośmy dopiero powiedzieli, wytkómaczyć sobie można łatwo, dlaczego pieśni miłosne Karpińskiego stały się tak popularne. Trafiały one do tego przeciętnego usposobienia, w ten ton pośredni uczucia, jaki na świecie jest najpowszechniejszy. Ówczesni kawalerowie i kochankowie, ówczesne panny po szlacheckich wiejskich dworach, umieli na pamięć i odśpiewywali przy dźwiękach modnej także wówczas gitary te pieśni, bo one zgadzały się z ich własnymi uczuciami, wyrażały je w ten sam sposób i tak samo, jak oni czuli i myśleli. Tak się kochać, jak się kochał Karpiński, ci ludzie mniej więcej wszyscy mogli i potrafili; naturalnie więc język jego był dla nich zrozumiały, a w jego uczuciach łatwo swoje własne odnajdywali. Przez pół wieku, można śmiało liczyć, po dworach szlacheckich, po ogrodach i gaikach wiej-

skich, gdzie świergotały w powietrzu ptaki, gdzie szemrał strumyk chłodny, gdzie były młode serca, w których miłość się wykłówała, rozlegały się czułym głosem nucone słowa poety:

Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
I coś tam kluszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

Bo owoczesne Laury z podobnym uczuciem oczekiwały swych kochanków, bo po chwilach urojonęj nieraz zazdrości i słodkich wyrzutów, z gorącym sercem odpowiadały, tak jak w sielance naszego poety, na uściśnienia lubych dłoni, pocałunkiem nagradzały ich stałość i doznaną niesprawiedliwie przykrość, a potem, gdy śmiałość kochanków dalej się posuwać pragnęła, wskazywały im na bielejące na wschodzie zorze i uciekały coprędzej do domu nawpół w trwodze, czy matka jeszcze nie wstała, a nawpół uszczęśliwione, że słońce przyszło tak w sam czas na pomoc ich skromności.

Tego rodzaju naiwno-sielankowa miłość, jaką czuł i opiewał Karpiński, w której łączyły się gorącość uczucia z prostotą i czystością obyczajów, jakże była różną i daleką od miłosnych stosunków wielkiego świata owęj epoki, tego wielkiego świata, w którym obracali się prawie wszyscy inni poeci w końcu przeszłego wieku. To téż oni wszyscy, jak w wielu innych względach, byli sceptykami i w miłości; znaczną część życia przepędzali na intrygach i komerażach romansowych, jak Trembecki, odbywali po kilkadziesiąt pojedynków za kobiety, a żaden z nich nie napisał ani jednego wiersza, w którymby znać było prawdziwe uczucie miłości. Poznawszy wszystkie słabe ich strony w buduarowych przygodach, Węgierski szydził potem i natrząsał się z kobiet niemiłosiernie; wspomniany wyżej szambelan królewski i poeta, umiał co najwięcej być wobec nich galantem, a tacy biskupi-poeci, o których tajemnych stosunkach powszechnie było wiadomo, choć się do nich przed światem przyznać nie mogli, musieli za kulisami zostawiać swoje uczucia i rzeczą jest zaiste zadziwiającą, jeżeli któremu, jak Naruszewiczowi, wyrwał się tak rażąco w ustach kościelnego dygnitarza wykrzyk, widocznie w chwili zapomnienia wydany:

„Moja śliczna brunetko, mój ty ogniu żywy!”

Inaczej było u Karpińskiego i dlatego mógł on zostać poetą „Serca. On czuł prawdziwie, miłość nie była dla niego igraszką i rozrywką, ale uczuciem choć słodkiem i życie ubarwiającem, jednak głębszém i szlachetniejszym. Kochał się nieraz, a jednak zawsze jakby poraz pierwszy; serce jego nie stępiało w zmysłowości i rozkoszach, a przez rozliczne i różnego rodzaju wzruszenia w ciągu długich lat, przez tęsknoty i zadowolenienie, przez radości i smutki, przez wewnętrzny niepokój i chwile uspokojenia, co wszystko u niego ciągle na przemiany po sobie następowało, nazbierało się w jego piersi dużo treści, dużo uczuciowego materiału, który następnie na przedmioty poetyczne mógł być

zużytkowany. Kielicha rozkoszy nigdy nasz poeta nie dopił do dna, więc pić go mógł długo i zawsze ze smakiem; kiedy inni byli już dawno przesyćeni, on uczuwał jeszcze niezaspokojone pragnienie. „Długo się można kochać, ale długim głodem, nienasyconiem się,” powtarzamy znowu jego własne wyrazy, które tak dobrze jego dzieje uczuciowe malują, a zarazem i naturę jego poetycznej twórczości tłómaczą. Jego struna miłosna dźwięczała zawsze świeżo i czystym głosem, bo fibry jego duszy w ciągłym były naprężeniu, w ciągłej gorączce, a siły ich natężenia nie zwalniały ani nuda, ani przesyt ¹⁾.

Ażebym tworzyć, Karpiński nie potrzebował nic więcej, tylko wylać z siebie to, czego jego serce było pełne. I tak też robił, szczęśliwszy w tym od wielu innych poetów, którzy nie posiadając podobnego w swym wnętrzu zapasu, wysilają mózgi i imaginacją na stworzenie sobie idealnego świata takiego, jakiego nigdy w rzeczywistości nie zaznali. U naszego poety dwie te rzeczy są w zupełnej ze sobą harmonii, w najściślejszej zgodzie. Zmyslenie i prawda przystają u niego do siebie, jak dwie jednakowe figury geometryczne. „Śpiewa jak ptaszek,” powiedział o nim Mickiewicz, a gdy to mówił, czuł zapewne całą wagę tych wyrazów, że oddaje w nich największą, jaka może być, pochwałę poecie lirycznemu, może nawet miał na myśli owego Śpiewaka w znanej balladzie Goethego, w którym ten poeta ideał takiego pierworodnego natchnienia przedstawił i też same słowa w usta owemu bohaterowi włożył: „Śpiewam, jako ptak śpiewa” (Ich singe, wie der Vogel singt).

Ta prawda uczucia stanowi też największą siłę Karpińskiego i jego poetycką wartość. Ten przymiot posiadając, mógł on się uchronić od wielu wad słabych stron swojego wieku. Jemu to zapewne zawdzięcza najwięcej, że nie popadł w „przesadę szkolną,” w nienaturalność i górnolotność, jakimi mogły go napoić ćwiczenia i wzory szkolne, i jakie widać tak często jeszcze u Naruszewicza, ilekroć do wyższego natchnienia podnieść się usiłuje. Karpiński był nieprzyjacielem wszelakiej pedanterii i scholastycyzmu tak w naukowości (przypominamy jego wyrażenie się o owoczesnej filozofii), jak szczególnie w poezji. W Książninie nie podobała mu się właśnie ta jego „przesada,” czyniąca utwory tego poety nieco chłodnemi i sztywnemi i radził mu,

¹⁾ Odwołując się i tutaj do poprzedniej naszej uwagi, nadmieniamy, że dzisiejszy pogląd na tę kwestyę wymagalby wyraźniejszego skarcenia takiej płochości serca, takiej lekkomyślności uczuć, jaką w tym poecie „Serca” z pewnym niesmakiem spostrzegamy. Wspomnienie, napisane z okoliczności postawienia pomnika Karpińskiemu w Kołomyi, nie pozwalało jednak szanownemu autorowi zapuszczać się zbyt głęboko w analizę moralnej wartości charakteru poety, który wyróżnia się wprawdzie korzystnie między poetami swojego wieku pod względem pojęć religijnych; ale nie posiadał tyle siły moralnej, aby się uwolnić zupełnie z więzów płochości obyczajów, jakie współczesnych kazily. Sumienne studyum p. Belcikowskiego cechy tej nie zatarło, ale za słabo ją uwydatnia.

„ażeby więcj prostj a tkliwj natury w wyrazach swoich szukał, a piśma jego powszechnie i zawsze podobać się będą.” Wzorami jego byli prawdziwi klasycy: poeci greccy, „tkliwy Wirgili” i Horacyusz, ale pojmował także bardzo dobrze, w czym i o ile od nich należy być odmiennym, aby nie stać się niewolniczym naśladowcą i duchowi czasów swoich odpowiedzieć. Nawet wszechwładna w owj epoce mitologia poetyczna nie znajdowała w jego oczach łaski. Rozumiał to, że starożytny Olimp ze wszystkimi swoimi mieszkańcami stał się już oddawna czczą nazwą, odartą ze znaczenia. „Za co miasto Apolina (powiada w rozprawie „O wymowie”) niema być słońce? miasto Dyany księżyc? gwiazda, miasto Cynozury? piękność, miasto Wenery? sprawiedliwość, miasto Temidy?” a wyżj nieco, z wyraźnym lekceważeniem, sztydzi sobie z nierozsądnego zwyczaju poetów, na jakich patrzył w młodości swoj, a którzy i późnij niezupełnie jeszcze ze świata zniknęli: „Zaszły śluby małżeństwa jakiego? już zaraz, wszystkich bogów i boginie poeta, w nikiemnych wierszach swoich na wesele zaprosił; już mu gra Apolo na lutni, Muzy śpiewają i Merkury coś bredzi nie do rzeczy. Umarł kto? idą szeregiem Plutony, Prozerpiny, Parki. Wojskowy kto? już on Marsa albo Belony synem?” Jak w wyobrażeniach religijnych uwolnił się od zabobonów swego wieku, tak wczesnie także umiał się otrząść z niedorzecznych praktyk i przesądów literackich.

Dzięki tjj naturalności i prawdzie, uchylił on się więcj niż jego spółczesni, także od wpływu panującej wtedy francuzkiej literatury. Znakomitych poetów Stanisława Augusta nie można nazwać naśladowcami; za dużo mają oni na to w sobie przyrodzonego talentu, za dużo swobody w myśli i w słowie. Jednakże widać po nich, że jednemu, wprawdzie zdaleka, ale w imponującej postawie, stoi przed oczami Boileau, drugiemu Wolter, innemu znowu Molier. U Karpińskiego nie znać podobnego zapatrzenia się, i mówiąc otwarcie, nie wiemy na kogo w ówczesnej poezji francuzkiej, chorującej na brak uczuciowości, mógłby się zapatrzeć on, poeta serca? Daleko prędzej możnaby go przybliżyć w pieśniach do Goethego, a w filozoficznych lirykach, bo i takie są między jego płodami, do Schillera. Ale tych obu, przy małej znajomości języka niemieckiego, pewnie nawet nie czytał, i sława tjj o nich dopiero przy schyłku jego długiego życia do nas przyszła, t. j. w czasie, kiedy on już dawno z poczuj wziął rozbrat.

Karpiński śpiewał zatem jak „ptaszek” ze siebie, bo to co przeszedł, co przemyślał i przeczł, dawało mu podostatkiem na to treści i śpiewał w sposób swój własny, nie obniżając ani podwyższając tonów swojego uczucia, bo tak nakazywało mu jego pojęcie o prawdzie i naturalności w poezji. Natchnienie brał z tego, co go samego bezpośrednio dotknęło, treść i przedmiot z tego, co sam widział lub doznał. Transcendentalnej poezji nie znał i nie uznawał, bo się urodził na śpiewaka i poetę, i pozostał nim, ponieważ jój uznawać nie chciał. Życie i świat, tak zewnątrz jak i jego duchowy, dostarczyłyby mu dosyć materyału; potrzeba go tylko było umieć użyć, a on posiadał

(jako poeta posiadać musiał) tę sztukę. „Mnie los dał serce tkliwe, poznanie ludzi i pióro w rękę, ażebym to pisał co mi serce powiedziało,” odzywa się o sobie do swego przyjaciela Prozora, w tych już dalszych latach, w których człowiek może znać siebie samego i być swym własnym krytykiem.

Wiele mogliśmy przytoczyć przykładów tej prawdy, tego powtórzenia rzeczywistości w jego poezji, poprzestaniemy na jednym tylko. Poeta pogrążony w smutku, po rozstaniu się z Rozyną, przeprosza przyjaciół przybyłych do niego w gościnę, że z tej przyczyny nie może ich przyjąć jak należy; przeprosza ich głosem, w którym czuć mocno zniekanie przykrém wydarzeniem dotkniętego serca:

Goście wy moi, moi przyjaciele,
 Jakże was smutno przyjmuję!
 Rozyna moje zabrała wesele,
 Samego siebie nie czuję.

Umysł jego niema potrzebnej jeszcze swobody, zajęty wspomnieniem rozstania, o niém tylko myśleć i mówić zdolny: więc wobec przyjaciół przypomina sobie znowu tę chwilę:

„Przyszedł nieszczęsny moment pożegnania:
 Żegnam słodkimi wyrazy...
 Mnie się Rozyna po dwa razy kłania,
 Spojrzała na mnie... dwa razy.
 Kiedy wychodząc próg nasz przestąpiła,
 Dopiero mnie ból przygniecie;
 Ona coś do mnie jeszcze przemówiła:
 Jam nie pamiętał o świecie.
 Gdy się tak we mnie żal z miłością swarzy,
 Na wyższe miejsce wstąpiłem;
 Jeszczem chciał światło zachwycić jój twarzy,
 Które pomału gubiłem.
 Wreszcie zniknęła, a boleść przebiegła
 I tęskność, na nic nie czuła,
 Jedna z nich całą głowę mi zaległa,
 A druga serce otruła.

Jak w całym tym opisie poeta nie nie uronił z rzeczywistości! Widzimy tę scenę, jakbyśmy byli jój naocznymi świadkami, nie braknie w niej najmniejszego rysu, a każdy jest charakterystyczny i malowniczy. Jestto wierne powtórzenie tego co się działo i jak się działo, dokonane z prostotą właściwą poezji wtenczas, jeżeli się opiera na prawdzie. Cały przebieg pożegnania, ze wszystkimi jego epizodami, jak i doznawane przytém uczucia kochanków, występują z plastyczną siłą, przypominającą żywo sposób kreślenia podobnych sytuacji przez Mickiewicza.

Tym téż sposobem stało się rzeczą możliwą, że Karpiński doszedł w swych utworach do wysokiego arcyzmu. Jak każdemu prawdziwemu poecie, który pisze z natchnienia, który czerpie pomysły z własnego wnętrza, i jemu było łatwo znaleźć odpowiednią formę, która niby sama i od niechcenia znajduje się zawsze w podobnym wypadku. Taki znawca jak Mickiewicz, powiada o jego pieśniach, że są między niemi takie, które dałyby się położyć obok najpiękniejszych Goethego. A nie jest to mała pochwała, zważywszy, że z dzieł Goethego, z wyjątkiem naturalnie nieporównanego Fausta, zwyczajnie pieśni na pierwszym kładą się miejscu. W tym rodzaju w poezyi polskiej Karpiński niema téż rywala. Morsztyn czuł od niego silniej i namiętniej, Mickiewicz nauczył późniejsze pokolenia głębszej, duchowej miłości; Słowacki opromienił ją opalowymi tęczami marzeń; ale jako pieśniarz miłości, jako ten co utrafił najładniej w ton ogólnej uczuciowości, który wyśpiewał te rozmaite drobne uciechy i tęskne a rozliczne smutki kochania, nie przekraczając poza granicę i ponad skalę pieśni, jest Karpiński bezwątpienia u nas jedyny. Podziwiać w nim potrzeba tę lekkość i prostotę wystowienia obok słodczy i śpiewności; podziwiać tę różnorodność form, w jakich swoje zwrotki układa, nie oglądając się na wzory klasyków, ale idąc za popędem własnego poczucia. Jestto pieśniarz w całym tego słowa znaczeniu. Jego poezya nie rozgorczy, nie rozstroi człowieka, nie zentuzyazmuje go tak, żeby rzeczywistość straciła wartość w jego oczach, ale sprowadzi harmonią w jego sercu i da mu to uspokojenie i pogodę wewnętrzną, jakie zwykle sprawia w nas muzyka.

Wreszcie, czyż nie należy wspomnieć i o tém, że już wówczas, w wieku XVIII, w epoce nawskróś klasycznej, kiedy się jeszcze nikomu o tém nie śniło, on w oryginalności swojej dochodził tak daleko, że jakby przeczuwał znaczenie poezyi „gminnej i między owemi pieśniami zostawił także i taką „Pieśń dziada Sokalskiego” i „Pieśń mazurską” i „Mazurka” z zacięciem tak czysto narodowem i ludowem, że zdaje się pod tym względem nic nie pozostawiają do życzenia:

Dobra noc Jacenta,
 I wam, usta czyste,
 I słodkie oczęta,
 I piersi parzyste! (Mazurek).

Pieśń, i to pieśń miłosna, była i jest największą chwałą naszego poety. Do opiewania tego uczucia wiodła go wrodzona skłonność, szukał go najchętniej wszędzie, nawet w odległej przeszłości historycznej, kiedy wychwalał romantyczną wierność i stałość w miłości młodego Tęczynskiego, kiedy w dumie o Ludgardzie, którą poezya polska może słusznie do klasycznych swoich wierszy policzyć, kreślił z przejmującą dramatycznością i z całą prawdą psychologiczną stan duszy zawiedzionej w swoich uczuciach i zrozpaczonej kochanki i żony. Mimo to jego „tkliwe serce” zdolne było znać i objąć w sobie inne także

uczucia. Jak wiele miejsca zajmowała w nióm wiara i religijność, to widzieliśmy już przedtém. Filozoficznym rozmyślaniami i poglądom poświęcał on również czasami swoje poetyczne pióro. Między wierszami téj kategorii, niektóre, jak „Czas,“ „Smutek,“ są dla dzisiejszych czasów przynajmniej, nie bardzo smaczniemi alegoryami. Najwyżej zapewne wznosił się w wierszu „Do mądrości,“ o której wysokie swoje pojęcie, jako o mistrzyni życia i cnoty, a nie zbiorze bezcelowych nieraz wiadomości, z prawdziwym polotem pięknymi skreślił słowami. W innych nakoniec, jak w wierszu: „Na posągi rolnictwa i poezyi,“ „Do wolności,“ zwyczajem wielu dawniejszych poetów wzdycha do minionego wieku złotego, do stanu pierwotnej prostoty, jako do ideału szczęścia na ziemi. Ale wogóle dla jego uczuciowego usposobienia, filozofia nie miała wiele powabu; lekceważył sobie dawniejszą scholastyczną dla jój niedorzeczności, a nowsza encyklopedystów i Woltera (którego zresztą jako zdolnego pisarza cenił) odstręczała go od siebie bezreligijnością i materyalizmem. Co najwięcej był Karpiński zwolennikiem téj praktycznej moralnej filozofii, która zasadza się na pełnieniu cnoty i czynieniu dobrze, a w rezultacie przynosi nie metafizyczną wiadomość wszechrzeczy, ale zadowolenie wewnętrzne i pogodę umysłu nawet w przeciwnościach i niedolach tego świata. Jestto też sama filozofia, którą wyznawał np. także i Jan Kochanowski.

My bardzo krótko żyjemy
 I nic o jutrze nie wiemy,
 Za cóż ten kwasieć czas mały!
 Nieba nie na to go dały;
 Niech niewolników złota strach obleci,
 Czego się trwożyć mają Boskie dzieci?
 Po drodze tkanęj cierniami,
 Kwiaty rzucając przed nami,
 Idźmy, nie dbając na bole,
 Choć nas co czasem ukole;
 Tam, powiadają, gdzie bez koleców róże,
 Każda się rana prędko zgoić może.

śpiewa w wierszu „O uspokojeniu z cnoty,“ podobnym z treści i nastroju, lubo nie tak wzniosłym, do pięknego hymnu Szyllera „Do radości“ (An die Freude), a w innym znowu „Przeciwno samobójstwu“ również w podobnym duchu:

Przez takie cierniowe drogi
 Idąc, kwiat rzucać pod nogi;
 Idąc śpiewam bez mrużenia
 Pieśń mojego przeznaczenia.

Silnym echem odbijały się także w jego piersi współczesne wypadki polityczne, rozmaite kwestye społeczne i w ogóle cały stan kraju. Nie żył on na widowni wydarzeń, w stolicy, na dworze królew-

skim, jak po większej części inni spółcześni poeci, ale zdaleka, na prowincyi, w zaciszy wiejskiej, setkami nieraz mil od wiru światowego oddalonéj. Pojnował téż rzeczy i ludzi okiem téj szlachty wiejskiej, politykującej na wizytach i zjazdach sąsiedzkich i według własnego usposobienia uczuciem więcej niż rozumem. Jego współtowarzysze na Parnasie, jak Trembecki, Naruszewicz, czasem nawet i Krasicki, pisali programy polityczne, wystawiali korzyści i niekorzyści rozmaitych aliansów, odzywali się w duchu i interesie tego lub owego stronnictwa; on zaś prowadził politykę uczuciową, cieszył się z tego, co było pomyslném dla kraju, unosił nadzieją, gdy szczęście z téj lub owéj strony zaświtało, bolał i płakał, kiedy jaka klęska się zdarzyła. W kwestiach społecznych najwięcej zajmowała go niedola ludu wiejskiego, o który ciągle się ocierał, z którym żył i pracował razem na roli. Przemawiał za polepszeniem jego bytu, za oswobodzeniem go z obowiązków pańszczyznianych. Między innymi trzechaktowa komedia „Czynsz,” posiadająca i pod względem artystycznym, mianowicie w charakterystyce osób pewne zalety, poświęcona jest téj tendencji. A przemawiał w słowach dobitnych, czułych, zdolnych trafić do serca przez żywe obrazy upadku i nędzy téj zaniedbanéj części społeczeństwa. Z wypadków politycznych, każdy, który silniej wstrząsnął narodem, obudzał także żywe jego zajęcie i współudział. Płakał nad rzezią Humańską, rokował sobie wiele z czteroletniego sejmku, uwielbiał i zachęcał patryotów jak Stanisław Małachowski, Adam Czartoryski, cieszył się z ustawy 3 maja, a nie mogąc innym sposobem, mścił się na austriackiej biurokracyi, na galicyjskich Kreishauptmanach, wyśmiewając ich razem z ich cyrkularzami, uniwersałami i małżonkami „pełnemi sadła” za to, że mu jego rodzinne Pokucie w kordon zabrano, a „Pieśń dziada Sokalskiego” oddał rzeczywiście pewnemu żebrakowi z tamtych okolic chodzącemu z lirą do śpiewania „za co on biedny potem od Niemców ucierpiał.” I nie tylko poetycznym swoim piórem wojował za tę sprawę; przed sejmem czteroletnim napisał także prozą cztery listy w materyi politycznej do Małachowskiego, A. Czartoryskiego, Karola Radziwiłła i Szczęsnego Potockiego, w których przedstawiał potrzebę zaprowadzenia dziedzicznego tronu i obrania królem Fryderyka pruskiego. Kiedy nareszcie przyszedł czas, że wszelki ratunek okazał się niemożliwym, że wszystkie plany i zamiary zawiodły, że potrzeba było rozstać się z nadzieją; kiedy jedném słowem ostateczna katastrofa zapadła, wybuchnął Karpiński takim żalem, w tak silny akord uderzył na swojej lutni, jak żaden z jego rówieśników-poetów. Inni ponieśli z przerażenia, pióra powypadały im z ręki; on jeszcze miał dosyć siły, aby wyśpiewać: „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta,” istotnie swoją pieśń łabędzią, napisaną na początku panowania cesarza Pawła, mniejwięcej w 56 roku życia.

„Ty śpisz, Zyguncie!” zaczyna poeta, budząc tém jedném imieniem całą świetność przeszłości, i, przeciwstając jej zaraz potem odmienną od niej terażniejszość słowami, jakby z ust Dantemu wyjętemi:

Gorzkie wspomnienia!... gdy szczęście przemienie,
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?..

Jest wiele siły, wiele nad zwyczajną u Karpińskiego skalę podniesionego uczucia w tym obrazie powszechnych nieszczęść, jakie przed oczami nam roztacza:

Gdzie spojrzysz: rozpacz, trupy, zgorzeliska!

a kiedy się odzywa:

Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza;
W tém ciele była milionów dusza!

zdaje nam się, że to napisał Mickiewicz w jednej z najszcześniejszych chwil natchnienia. Szkoda że przy samym końcu ta podniosłość uczucie obniża. Poeta wyzuwa się z wszystkiego coby go mogło pocieszyć i umocnić, zostaje mu tylko cicha rezygnacja:

Łzy mi tylko jedno
Zostały!...

Powiedzieliśmy: szkoda—i spostrzeżenie to o Karpińskim już dawno było zrobione i nieraz powtórzone. Jeszcze Brodziński w r. 1827, czytając na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk wspomnienie o zgasłym przed dwoma laty poecie, przypisał jego charakterowi ową słowiańską bierność, czyli „męztwo obronne,” jak on to nazywa, a Mickiewicz z tego powodu powiedział o nim w swoich prelekcyach, że był to kmieć polski, kmieć słowiański, Słowianin znad Dunaju, zabłąkany pośród Polaków” i co więcej, z tego powodu nie chciał mu nawet przyznać tytułu narodowego poety. Sądźmy, że byłoby to jednak posuwać się zbyt daleko, dalej, niżeli pozwala sprawiedliwość. Karpiński nie miał w sobie téj energii ducha, téj niezłomnej i niezachwianej wiary, jakich przykład dali na sobie późniejsi poeci, a w pierwszym rzędzie pomiędzy nimi sam Mickiewicz. Ale czy jego współcześni mieli jój więcej? Na to odpowiada cała poezya Stanisława Augusta i to głucho milczenie, jakie w niej nagle po katastrofie się zrobiło. Mickiewicz, jako przeciwny Karpińskiemu przykład, przytacza Niemcewicza, chociaż uznaje go niższym pod względem sztuki, nie równającym się z Karpińskim ani natchnieniem, ani co do formy; ale trzeba wziąć na uwagę, że Niemcewicz podobnie jak Woronicz, śpiewak Sybili, należeli do młodszego pokolenia, że sama młodość dodawała im więcej siły, nie licząc już tego hartu, którego nabyć mogli, wyrosłszy i wychowawszy się już w trudniejszych okolicznościach, w chwilach ciągłej walki i prób ustawicznych. Karpiński przeciwnie, zasięgał jeszcze téj miękkości, najwięcej zniewieściałości, że nie powiemy, zniechęconej generacyi, jaką epoka Sasów wydała. Prócz tego, był on z natury poetą serca; uczucie łagodne, tkliwe i delikatne, było mu wrodzone. Siły i męztwa nie „obronnego,” ale czynnego, możnaby raczej żądać od innych współczesnych

poetów, od takiego Trembeckiego, którego organizm zdolny był zmierzyć się z wszelkimi przeciwnościami; od takiego Krasickiego, którego rozległy rozum i zinna krew czyniły sposobnym do walki i do wytrwania. Karpińskiego zaś godziłoby się może zostawić takim, jakim był. Niewątpliwie byłoby lepiej, gdyby nie miał w sobie tyle miękkości, gdyby nie był wylewał tyle łez i w nich szukał jedynego ukojenia, wtenczas, gdy było potrzeba zebrania wszystkich sił i woli nieugiętej. Ale jego można przynajmniej zrozumieć i wytłómaczyć; można w nim widzieć słabości, ale była to słabość czysta i bez plamy, ugięcie się pod ciosami losu, ale nie uniżenie hańbiące w nadziei korzyści i zysku. Świadectwem i przykładem na to jego wiersz, do osobistego przyjaciela, księcia Repnina pisany, wiersz, w którym czuć bolesne zwątpienie, ale przytęm pełen godności, a jak na owe czasy, nawet śmiały i otwarty. Takim jakim był, Karpiński spełnił swoje przeznaczenie w literaturze i zajął w niej zaszczytne miejsce. Jeżeli nie było w jego duszy tego lechickiego pierwiastku, który naszym przodkom tęgość charakteru i wojowniczego ducha nadawał, to było w niej dużo tej słowiańskiej, spokojnej, a poczciwej natury, która również jedno z naszych znamion narodowych stanowi. Tę stronę i tę część narodowego charakteru, jako pisarz i poeta, Karpiński pięknie w sobie przedstawił i w pismach swoich wymownie odmalował.—To powinno już wystarczyć, tém nabył on już prawa do naszego szacunku i wdzięczności i wymagać od niego czego dać i czém być nie mógł, zdaje się, znaczy wymagać zawiele.

Pod innym jeszcze względem, ściągał on na siebie zarzuty o słabość charakteru. Uderzającym jest rzeczywiście w jego Pamiętnikach to ciągłe utyskiwanie na los, na swoje ubóstwo, gdy przecież wiadomo, że niedostatku ani nigdy niecierpiał; ta ustawiczna obawa o przyszłość, gdy był wolny od wszystkich obowiązków i nieobarczony rodziną, wreszcie te skargi na ówczesnych mecenasów, jak na króla: „żeby mi datek jaki z siebie ofiarował wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotne, królewszczyny, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali”; albo znowu gdzieindziej: „gdyby był król, albo magnaci, tyle mi się oświadczający, o poprawieniu losu mego myśleli, byłbym mógł zapewne nierównie więcej dzieł moich zostawić, ale głodnym będąc, wziąłem się raczej do roli.” Dodajmy do tego jeszcze to wieszanie się u kłamki pańskiej, jak u Ad. Czartoryskiego, dla którego umyślnie w tym celu drukował i dedykował pierwsze swoje wiersze: Sielanki; to rezydowanie cierpliwe i długie po dworach pańskich, jak w domu siostry królewskiej Branickiej, jedynie w nadziei, że mu odda jaką korzystną dzierżawę. Porównawszy w myśli te wszystkie żale naszego poety, te jego zabiegi o kawałek chleba, o fortunę, z tą wyższą obojętnością o jutro, o byt materyalny, z jaką naprzykład Mickiewicz w świat się rzucał i która go nie opuściła nawet i wtedy, gdy nie o samym sobie tylko miał myśleć; porównawszy je z ową gorącą modlitwą Słowackiego, że byle tylko posiadał sławę, gotów jest na wszystko, choćby los jego był jak najędźniejszy: to zaiste, postać Karpiń-

skiego wiele straci na tém porównaniu w naszych oczach i w nienajpochlebniejszym przedstawi się świetle.

Lecz podobne porównanie nie byłoby słuszne. Nie trzeba go mierzyć miarą naszych, ale jego własnych czasów i wyobrażeń. Nie trzeba go porównywać z Mickiewiczem i Słowackim, ale z Krasickim, Naruszewiczem, Trembeckim i innymi, na których szczerobliwość króla i prywatnych mecenasów hojnie spływała. Mecenasostwo leżało w duchu i zwyczajach owéj epoki ¹⁾. Literatura nie doznając tego szerokiego poparcia, jakie znajduje dziś, mniej więcéj wszędzie, u publiczności, szukała go u możnych jednostek, a literaci uważali pensye i inne dobrodziejstwa, które od mecenasów otrzymywali, za słuszne wynagrodzenie swéj pracy i talentu. Kto się odznaczył zdolnością i jakimś dziełem, rościł sobie prawo do takiej nagrody, jak każda inna zasługa na polu publiczném położona. Kto nie otrzymywał takiej nagrody, mógł to uważać za uczynioną sobie krzywdę, albo téż za nieuznawanie swoich zdolności i zasług. I otóż właśnie zdaje nam się, że w ciągłych utyskiwaniach Karpińskiego przeważało to drugie uczucie, chociaż on może niezupełnie zdawał sobie z tego sprawę, albo nie w zupełności swoje myśl odkrywał. W gruncie rzeczy nie powoduje nim może tyle zawiedzioną chęć korzyści, ile uczucie, że nie podług tego, jak zasłużył, dostąpił u swych spółczesnych uznania i sławy. Może to więcéj jest literacka zazdrość, niżeli pragnienie z bogacenia się. Tamtych nagradzają i obdarzają, myślał on sobie zapewne, bo ich uważają za godnych tego, bo uznają ich talent, bo to, co napiszą, im się podoba; mnie nikt nic nie dał, ani dać nie myśli, więc widać uważają mnie za mniej godnego, a moją zdolność za mniejszą i słabszą.

Czy rzeczywiście tak ludzie o Karpińskim myśleli? czy dlatego nie otrzymał ani pensyi, ani żadnego beneficjum, że podług ówczesnych sądów nie stał na równi z tymi, którzy brali nagrody? Moznaby na to i tak i nie odpowiedzieć. Talent jego musiano wprawdzie uznać, ale było talent odmiennéj natury od tych, jakie wówczas popłacały. Inni poeci widzieli w nim coś od siebie różnego, coś takiego, co nie harmonizowało z tym tonem, jakim oni śpiewali, a zatem obok całego szacunku, jaki dla niego mieli, mogli nie czuć całej jego wartości, tak jak się to częstokroć zdarza, że artysta mający jakąś własną maniérę, nie tak łatwo, albo wcale nie uzna talentu, który na inny rozwija się sposób. Dla króla zaś i innych wielkich tego świata, czy poezya Karpińskiego mogła stać w równéj cenie z tém, co inne spółczesne talenta produkowały? Im potrzeba było ludzi kierujących opinią i wpływających na nią, ludzi którzyby rozumieli prądy czasu i czuli byli na wszystkie zmiany w atmosferze politycznéj, którzyby słowem swoim przeważali zdania na ich

¹⁾ Że nas było stać na mecenasów, to zaszczyt narodu; ale obrażają nasze uszy te zbyt natrętne, żebracze głosy kapłanów Apolina. Żebranią w życiu nie można zdobyć wyższego, zasłużonego stanowiska, bo ona cechuje zawsze umysły słabe i serca zbyt lękliwe.

stronę i w ich interesie—jednym słowem, potrzeba im było ludzi więcej rozumnych, niż uczuciowych, poetów, którzy swemi satyrami wpływali na obyczaje i pojęcia ogółu, którzy w swoich okolicznościowych wierszach brali za przedmiot wypadki polityczne i na te nie z uczuciowej, ale z dyplomatycznej raczej strony się zapatrywali. Takim człowiekiem i poetą Karpiński nie był zaiste. Na polityce, jak ją rozumieją dwory królewskie, albo mężowie stanu, on się nie rozumiał, a swojemi sielankami i pieśniami, w których wypowiadał dzieje i uczucia swego serca, śpiewał swoje żale i tęsknoty, uwielbiał wdzięki albo cnoty swoich Justyn, Palmir i innych kochanek, w których zachwycał się cudami natury, szmerem strumyka, lub szelestem liści; czyż mógł dopomóc co do wpływu na kraj i obywateli królowi, albo do znaczenia jakiemu magnatowi? Broń, którą on tak dzielnie władał, w owe czasy ani użyteczna, ani szkodliwa nie była dla nikogo, a ciężkie chwile, w których żył, nie były dla takiego, jak on, śpiewaka.

To była zapewne najpierwsza przyczyna, dlaczego nie miał szczęścia do ówczesnego wielkiego świata. Kiedy się zaczął garnąć do niego, było to już dosyć późno; w roku 1780 a czterdziestym prawie swego życia przybył poraz pierwszy do Warszawy, aby objąć przy Czartoryskim G. Z. P. urząd sekretarza interesów politycznych. Naruszewicz przedstawił go po kilku dniach królowi „na rozumnym obiedzie“ a król przyjął go komplementem: „kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany.“ Ale oznak tego kochania widać nie było; przypominał się Karpiński jeszcze później królowi, ale znowu otrzymał tylko komplement: „honor waćpan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem.“ Tymczasem i stosunki z księciem Czartoryskim się zerwały, mówiąc wyraźnie, zerwane zostały przez księcia, któremu poeta nie przypadł do smaku. Trzeba było ratować swoją egzystencją w inny sposób: podwakroć ofiarowano mu, raz z poręki Czartoryskiego, drugi raz króla, nauczycielstwo paniczów z magnackich domów. Karpiński przyjmował tę „niewolniczą funkcją gubernera“ nie mając nic lepszego do wyboru, ale i rzucał niebawem, nie mogąc podołać przykrym jej obowiązkom. Wreszcie po wielu zabiegach, po długim wyczekiwaniu, otrzymał pustą kolonią na Litwie, wykarzcował ją, uprawił i przez długoletnią pracę dorobił się i wsi własnej i dość znacznego kapitału.

Na wsi, wśród ludu wiejskiego, z którym razem pracował na roli, dla którego układał pieśni nabożne, któremu nadawał prawa i przepisy moralności, jakby patryarcha Starego Zakonu, w codzienną styczność z naturą, której piękności czuł tak żywo, ten „kmieć słowiański“ więcej był na swoim miejscu, niżeli na wielkim świecie.

Na to, ażeby w tym świecie zrobić szczęście, Karpiński nie był stworzony; na to był on nazbyt prosty i szczery, zanadto jeszcze z nauk ojcowskich przesiąknięty miłością prawdy. Nie umiał nagiąć się i zastosować do obcych wyobrażeń, nie umiał potakiwać i ukryć własnego zdania; brakowało mu znajomości świata i zrzeczności, popełniał

często kroki fałszywe świadczące o pewnej jego naiwności i o tém, że nim taki krok postawił, nie obejrzał się wprzód dokoła siebie. To też przyszedł niedługo sam do przekonania, że ta jego „niedworność“ często mu szkodziła. Dodać do tego należy, że swoim wystąpieniem szorstkiem mógł nieraz rzeczywiście zrazić wyższych od siebie, że często wy daje się jakby naumyślnie pozował ze swoją spartańską cnotą i prawdomównością, i że w głębi duszy chował zawsze niechęć szarackowego szlachcica ku karmazynom i mitrom. Ileżto w jego pamiętnikach, a czasem i w wierszach, znajdzie się inkryminacyi przeciw magnatom, którym wszystko złe w kraju i całe nieszczęście przypisuje, jak często spotkać się można tam ze zdarzeniami i zdaniem, z których widać, że naprzeciwko ich arystokratycznej dumie stawiał Karpiński swoją dumę plebejowską! Sama nawet powierzchowność nie czyniła go sposobnym do salonów i wielkich dworów. Brodziński, który przynajmniej raz w życiu widział go na jednym z posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk, powiada, że twarz jego „odznaczała raczej uczciwego i pracowitego wieśniaka, niżeli czułego poetę i męża z wielkim światem obeznanego.“ Tak więc zarówno jego przymioty jak i wady, to co w jego talencie było niezwyčajnego, jak i to, czego może brakowało jego wykształceniu, przeznaczały go na to, ażeby żył i trzymał się zdaleka od tego świata, i ażeby ten świat łaskawym się dla niego nie okazał.

Długo jednakże Karpiński nie mógł się pogodzić z tą myślą, długo czuł się pokrzywdzony, ciągle nowe żywił nadzieje i do końca życia czuł niechęć ku pewnym sferom i ludziom, że został zawiedziony. Kiedy z pierwszej swojej wycieczki w świat, po rozstaniu się z Czartoryskim i po guwernerce u Sanguszki, powrócił do domu, do skromnej swęj dzierżawy w Dobrowodach, wtedyto napisał tę sławną, tak popularną elegią: „Powrót z Warszawy na wieś,“ w której wypowiedział cały swój żal i całą gorycz rozczarowania. Któż nie zna, kto nie umie na pamięć, przynajmniej pierwszych czterech wierszy téj elegii, które stały się przysłowiewami:

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnofarbne, piec niepolewany,
I niska strzecha moja!.. Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło.

Te ulubione miejsca, tę niską strzechę porzucił kiedyś w widokach szukania gdzieindziej poprawy losu. Ale jakże się przeliczył! Ze wstydem, powracając do swęj chudoby, musi sobie teraz powiedzieć:

Com zyskał na wysokie pańskie pnao się progi?
Gdzie po śliskich ich stopniach obrażając nogi,
Nio się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadulem z panem...

a dalej:

Cóżem zyskał pochlebstwem, nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.

A przecież żądania jego nie były wygórowane:

Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny;
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojnym będąc na tém, co stan mierny niesie:
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.

Szczęśliwy! Życzenia jego, choć później spełniły się wszystkie w zupełności. Trzydzieści ostatnich lat swojego długiego życia przepełdził na własnym zagonie, w wygodnym domu, przy pracy koło gospodarstwa i roli, znajdując rozrywkę w książkach i gitarze, w rozmyślniach filozoficzno-moralnych, których owocem była najulubieńsza mu, pięknym językiem napisana książka: „Rozmowa Platona,“ wreszcie w zabawie z dziećmi, z którymi bawić się w starości najmiliej mu było. Miał też poszanowanie i przyjaźń u sąsiadów, otoczył się rodziną po swój siostrze i kochał ją. Pamięć lat młodych, błogiej miłości, którą tak lubił karmić swoje serce, uprzytomniała się przed jego oczami we wspomnieniach ze swego życia, które lubił opowiadać, a potem i spisał w tych piosenkach, które wyśpiewywał za młodu, a z rozrzewnieniem do końca dni swoich powtarzał. I czegoż mu więcej było potrzeba?... A jeżeli mimo to nagabywała go chwilami jakaś czarna melancholia, jeżeli życie ciężkie mu się nieraz wydawało, to chyba było to tylko winą tej starości, która wszystko przygniata i ponuremi barwami powleka.

Czuły kochanek, tkliwy pieśniarz i skromny ziemianin, umarł w 84 roku życia, spokojnie, jakby usypiał, a na kamieniu, który miał pokrywać jego wieczne pomieszkание, kazał sobie wryć też same słowa, któremi przed tylu laty ziemską swoją siedzibę z rozczuleniem powitał:

Oto mój dom ubogil

PRZODOWNICY RUCHU UMYŚLOWEGO

W WIEKU XVIII *).

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

II.

Jan-Jakób Rousseau.

„Vitam impendere vero.”

Teraz otwieramy kilkanaście wielkich tomów in quarto, w których myśli swe i uczucia, widoki i chęci społeczne, złożył jeden z ludzi najbardziej zadziwiających, współczesny a często spółzawodnik Woltera, dążący z nim do jednego celu reformy społecznej, ale oprócz roku śmierci, mało co więcej mający z nim wspólnego.

Życie Jana-Jakóba Rousseau łatwem jest do scharakteryzowania, sam on bowiem zostawił swą autobiografią, ile być może najdokładniejszą i bardzo szczegółową, którą nazwał spowiedzią (Confessions), i za której rzetelność poręcza, czém tylko może poręczyć człowiek nie przedstawiający dowodu materyalnego: sumieniem. „Niech zagrzmie, kiedy zechce, trąba na sąd ostateczny, powiada on u wstępu do téj spowiedzi, ja przyjdę z tą księgą w ręku, by stanąć przed Sędzią Najwyższym. Rzeknę głośno: oto jest com uczynił, com myślał, czém byłem.”

Człowieka tego nazwaliśmy zadziwiającem, i on sam o sobie mówi prawie toż samo, wyrażając się, że zna ludzi, a widzi się różnym nietylko od tych, których kiedykolwiek znał, ale ośmiela się mniemać, że i od wszystkich, jacy istnieją. Rzeczywiście, warunki jego życia niepodobne są do żadnych innych; kontrastów podobnych jemu nie spotkać nigdzie: mieszanina niesłychana siły i słabości, cnoty i upadku,

¹⁾ Zobacz tom I, z r. b. (str. 73—106).

bystrości umysłu i zaślepienia; człowiek, nakształt fali, która drobnym ponikiem występując z zapadłego źródła, w miarę pędu rozprzestrzenia się do rozmiarów rzeki, razem z ożywczym żywiołem zabierając po drodze napotykaną mgłę, w biegu sprowadzając ruiny, i ze wszystkim tém coraz szerszém łożyskiem wpadając do tego morza, które w stosunkach ludzkich nazywa się wiecznością. Jeżeli Wolter głośniejszym był za życia, niż po śmierci, jeżeli dziś już, po upływie stu lat, rzadko zachodzi potrzeba potrącenia o jego nazwisko lub zasadę; Rousseau jest jednym z tych ludzi, którzy, skoro raz żyli, już się zapomnieć nie dadzą, przypominają się wreszcie, bo pozostawili po sobie wiele robót rozpoczętych i takich, których dalszego prowadzenia ludzkość zaniechać nie może, jeśli chce żyć życiem godnym siebie; bo w robotach tych wskazali węzły do rozwiązania najtrudniejsze, a które rozwiązać się muszą, jeżeli niema przez nie nastąpić zaduszenie organizmu społecznego: to sposób wychowywania ludzi, rządzenia się gromad na zasadach sprawiedliwości, nareszcie wskazanie ostatecznego celu, do którego człowiek, jako naród i jako jednostka, dążyć powinien. O wszystkim tém mówił Rousseau nie jako uczeń tój lub owęj szkoły, nie jako zwolennik tego lub innego z systematów znanych, ale jako wolny, niepodległy i zgoła pierwotny myśliciel, pobudzony tu i owdzie jakąś kartą dziejową, jakimś czynem lub myślą, lecz głównie z własnego tylko wnętrza czerpiący natchnienia i pobudki. A ponieważ poglądy jego na sprawy i potrzeby ludzkie poczone są głęboko w sercu i nacechowane wielką oryginalnością, przeto i dziś nazwisko jego staje na myśli i na ustach bardzo często: pedagog głębszy nie objdzie się bez zwrócenia uwagi na to, co myślał o jego przedmiocie mędrzec genewski; a ze wszystkiego cośmy słyszeli na trybunie ludowej w ustach takich mężów politycznych jak Ludwik Blanc, Ledru-Rollin, a nawet dzisiejszy Gambetta, rozumiemy, że duch Jana-Jakóba nie obcym jest ich natchnieniem. Filozofia jego jest czysto i bezwarunkowo osobistą a do najwyższego stopnia szczerą. Nie jestto wprawdzie, równie jak i u Woltera, filozofia w znaczeniu ścisłym, na cechach genetycznych myśli ludzkiej oparta; ona rozumuje raczej z danego punktu praktycznego o rzeczach dotyczących głównie praktyki życia, bynajmniej nie jego pierwiastków, ale tém niemniej jest ona w następstwie życiowe płodną. Jakie ona korzyści, jakie ujmy przyniosła, jaka jój wartość sama w sobie, postaram się wykazać, o ile nam warunki niniejszej publikacji pozwolą.

Nigdzie więcć jak w tym razie życie nie nadało kierunku myślom; i dlatego rozwoju życia od rozwoju myśli w Janie-Jakóbie prawie oddzielić niepodobna.

Urodził się on dnia 28 czerwca 1712 roku, w starożytnój stolicy Allobrogów, w Genewie, pod nr. 27 na ulicy Chevelu, która później otrzymała jego nazwisko. Przyszedł na świat w czasie, kiedy w państwie ościenném „ancien régime” w swym szale absolutyzmu dochodził do punktu kulminacyjnego, i jak wszystko na świecie niepomiarowane w przesadzie, groził chwilą reakcyi. Kolebkę jego otoczyło sieroctwo

i ubóstwo; matka jego życie opłaciła własném; ojciec, skromny zegarmistrz, nie mógł nawet dać dostatecznej opieki dziecku, które urodziło się prawie umierającym, i Jan-Jakób uratowanie swego życia zawdzięcza staraniom siostry ojcowskiej, dla której też dozgonną zachował wdzięczność, na starość zapewnił jej stałą zapomogę pieniężną i wypłacał ją regularnie, nawet kiedy sam zostawał w najcięższych kłopotach pieniężnych.

„Czułem wprzód, nimem zaczął myśleć,” powiada. A ta jego skłonność uczuciowa znalazła przypadkowo potężny bodziec we wczesném czytaniu romansów, których cała biblioteka została po matce. Według dat oznaczonych w jego „Confessions,” to niebezpieczne czytanie odbywało się kiedy miał zaledwie lat sześć do siedmiu, i sprawiło, że dzieciak nabył osobliwego i może jedynego, jak na swój wiek, pojęcia namiętności. Szczęściem, biblioteka romansów wyczerpała się i Jan-Jakób otworzył bibliotekę ojca, która była wyborową. Znalazł on tam „Historję Kościoła i cesarstwa,” przez Le Sueura, „Rozprawę o Historji powszechnj” Bossueta, „Żywoty sławnych mężów” Plutarcha, „Dzieje Wenecyi” przez Nani, „Przemiany Owidyusza,” dzieła Labruyera, Fontenella, Molièra i inne podobne. Czytywał je ojcu podczas jego zajęć codziennych przy zegarkach, i zasmakował w tej treści; szczególniej upodobał sobie w Plutarchu, a rozpamiętywanie życia bohaterów historycznych, odciało nieco jego wyobraźnię od bohaterów romansowych. „Z tego to interesującego czytania, powiada, z rozmów, jakie ono wywołało pomiędzy ojcem mým i mną, utworzył się ten umysł wolny i republikański, ten charakter nieugięty i dumny, nieznośny jarzma i służebnictwa, który dręczył mnie przez całe życie w położeniach najmniej sposobnych do dania mu polotu. Wciąż zajęty Rzymem i Atenami, żyjąc niejako pospołu z ich wielkimi ludźmi, sam urodzony wolnym obywatelem rzeczypospolitej, syn ojca, którego namiętnością najsilniejszą była miłość ojczyzny, zapalałem się za jego przykładem, sądziłem się Grekiem lub Rzymianinem, stawałem się tą osobą, której czytałem żywot; opowiadanie rysów mężstwa i wytrwałości, jakę mnie uderzyły, nadawały płomiennosc mým oczom a siłę głosowi. Raz, kiedy opowiadał przy stole przygodę Scewoli, przerażono się, widząc jakem wyciągnął rękę i położył ją na rozpalonej fajerce, ażeby czyn jego wyobrazić.” Dodamy od siebie, że to wczesne oddanie się studjum starożytności, wycisnęło piętno nigdy niezatarte na jego umyśle, i w późniejszym wieku stało się niejako miarą sądu jego o sprawach społecznych, które rad był do wzorów starożytnych nakierowywać, tam upatrując więcej prostoty i naturalności w stosunkach międzyludzkich.

Ta nauka domowa, pozbawiona systematu i rygoru, dotąd, jak widzimy, rozwijała w nim przeważnie uczuciowość. Kochano go, przez wzgląd na zdrowie nie zadawano mu przymusu, otaczano dobrými przykładami, i tak chłopiec, pod kierunkiem ojca, pod opieką kobiet, wychowywał się pocziwie, ale miękko i nieobowiązkowo. Wtedy też

już, jak sam wyznaje, zaczynało się w nim formować to serce dumne i zarazem czułe, ten charakter zniewieściały a jednak nieugięty, który chwiejąc się zawsze między słabością i męstwem, między cnotą i miękością, całe życie stawiał go w sprzeczności z sobą i sprawił to, że zarówno wstrzemięźliwość jak użycie, rozkosz jak surowość, były dlań rzeczami nigdy w pełni niedościgłemi.

Wypadek zrzucił, że ojciec jego zmuszony był wydaląć się z Genewy, a wtedy Jan-Jakób przeszedł pod opiekę stryja, który go wraz ze swym synem umieścił w Bossey, na pensyi u pastora Lambercier, gdzie miał odbywać edukację regularną, opartą, rozumie się, na łacinie. To pierwsze wyruszenie w świat, między ludzi obcych, nowy wpływ wywarło na jego ustrój. W tém zaciszu pokochał on wieś i upodobanie to pozostało mu na całe życie; tu wdroył się do zajęć, nie według upodobań tylko i skłonności umysłu, ale i według konieczności planu, nawykł do poddania się przymusowi; tu poznał także, iż nie wszystko jest różą w życiu człowieka, tak jak mogło wydawać mu się w domu ojcowskim, bo postępowanie jego było ściśle kontrolowanem, a za wykroczenia następowała kara. Oprócz nauki, która, jak się z jego opisu wydaje, niewiele umysł jego wzbogaciła, z tego dwuletniego pobytu w Bossey, dwa są fakta godne zanotowania. Stosunek z siostrą pastora, panną trzydziestoletnią, która pomagała bratu w wychowywaniu malców, uwydatnił w nim nadzwyczaj wczesną i nadzwyczaj silną erotyczność, wspólną wreszcie wielu organizacyom poetycznym i artystycznym, a jak u niego pobudzoną nadto wczesnem czytaniem romansów. Szczęściem, charakter jego nieśmiały i romantyczny, uchronił go i teraz, a chronił go i później od zepsucia i brutalnych uciech, które mogłyby zabić u wstępu do życia ten temperament tak zmysłowo z natury usposobiony. Drugim faktem jest kara ciężka i bolesna, otrzymana niesprawiedliwie, która wpływ oburzenia pozostawiła mu nazawsze. Po trzydziestu latach, opisując ten fakt, powiada Rousseau, jakby dla przestrogi pedagogów, że jeszcze puls mu się podnosi, i że chwile te będą mu przytomne, choćby żył sto tysięcy lat. „To pierwsze uczucie gwałtu i niesprawiedliwości—kończy—tak głęboko wryło się w mój duszy, że wszystkie pojęcia, jakie doń się odnoszą, wprawiają mnie w to pierwsze wrażenie; a uczucie to, odnoszące się wyłącznie do mnie w swym początku, tak się potem ześrodkowało samo w sobie i tak się odłączyło od wszelkiego interesu osobistego, że serce moje płomienieje na widok lub postuch każdego czynu niesprawiedliwego, jakkolwiek byłby jego przedmiot i gdziekolwiek faktyby się wydarzył, tak jakby on wprost spadał na mnie. Kiedy czytano o okrucieństwach dzikiego tyra, czy o subtelnych czarnotach przewrotnego prałata, pobiegłbym był chętnie, ażeby zasztyletować tych nędzników, choćbym miał sam sto razy zginąć. Często puszczałem się w pław, ażeby postraszyć lub rzucić kamieniem na koguta, krowę, psa, na jakiegokolwiek zwierza, dręczącego stworzenie inne, dlatego tylko, że odeń silniejszy.” Już w tych tedy okolicznościach zarysowuje się

umysł przygotowany do tój misji obrońcy słabych, która miała być udziałem późniejszego filozofa, za obejrzeniem się po niesprawiedliwościach innej skali, stanowiących treść ówczesnego prawa społecznego.

Wypadek ten głównie przyspieszył rozstanie się Jana Jakóba z domem Lamercier i powrót jego do Genewy. Co było robić z chłopcem dziewięcioletnim? Stryj jego, „człowiek lubiący uciechy,” nie potrafił go zająć niczém pożyteczném. W domu jego przebaraszkował tylko lat kilka Jan-Jakób; aż nareszcie, po długich namysłach dla postąpienia z nim stosownie do jego skłonności przyrodzonych, zdecydowano się wybrać mu stan jaknajmniej im odpowiadający, i w r. 1723 oddano go na naukę do pisarza sądowego w Genewie, u którego wszakże niedługo popasał.

Uznany za niezdatnego do palestry, oddany został na naukę do rytownika. Słynna z wyrobu zegarków Genewa, dawała wiele temu kunsztowi zajęcia, i Jan-Jakób, mając do czynienia z rzeczą estetyki, z rysunkiem, nie przykrzył sobie tego stanu. Ale pryncypał jego, Dugommun, brutalném i niegodziwém postępowaniem, nie tylko zniechęcał go do wytrwania w tym zawodzie, ale nadto przyczynił się do zabicia w nim szlachetnych i miłych skłonności umysłu i serca, a do zaszczepienia natomiast wad, któremi brzydziłyby się w innym razie chłopiec. Po niejakiem czasie ojciec poznać go nie mógł; łacina, starożytności, historia, przepadły na długo; „nie przypominałem sobie nawet, powiada, czy byli kiedy Rzymianie na świecie.” Po ucziwych rozrywkach nastąpiły gusta najlichsze, łobuzostwo w najpodlejszym gatunku, nareszcie kłamstwo, próżniactwo i kradzież, fantazyja, która dotąd nie przychodziła mu nigdy, a z której odtąd nigdy zupełnie wyleczyć się nie mógł. Cennym jest pod względem wychowawczym ten ustęp „Confessions” ¹⁾, w którym Rousseau wykłada opłakane skutki, jeżeli młodziem rzemieślnicza pozostaje pod kierunkiem bez serca, bez ludzkości, w stanie moralnego zaniedbania i pewnego rodzaju niewolnictwa; i chętniebyśmy go tu powtórzyli, gdyby nie to, że mamy przed sobą wiele jeszcze do powiedzenia dla scharakteryzowania człowieka.

Co najdziwniejsze, to, że ani ojciec ani stryj nie radzili nic przeciwko tak widocznemu upadkowi chłopca, który w tój zabójczej dla jego charakteru atmosferze, przebył do lat szesnastu życia; i byłyby może nadal, jak sam utrzymuje, pozostał przy tym zawodzie rytownika, w którym się znacznie wykształcił i który polubił, gdyby znów nie zaszedł wypadek, który, dla uniknięcia kary, zmusił go do ucieczki z Genewy. Któżby w tym nędznym zbiegu, w tym szesnastoletnim mizantropie, przewidywał wtędy, że to najpotężniejszy reformator socyalny, którego dzieła niebawem podziwiać będą, przeklinać i palić na stosie, stawia pierwszy krok ku wielkiej widowni, wychodząc z zakątka, w którym zaciasno było dla programu działań, jaki mu nakreśliło przeznaczenie.

¹⁾ Księga I, ku końcowi.

Tymczasem jednak toż samo przeznaczenie prowadziło go za rękę przez wiele upokorzeń i upadków. Nabłąkawszy się po świecie, zatrzymał się w Sabaudyi, u księdza Pontverre, proboszcza w Confignon, który nie omieszkiał korzystać z okoliczności, ażeby tę kalwińską duszę pozyskać dla katolicyzmu. Po łatwości, z jaką młody Jan-Jakób zgodził się na tą propozycyą, wnosić można o upadku jego charakteru. Nie była to wszakże z jego strony ani interesowana podłość, ani indyferentyzm: Rousseau dokonał téj apostazy, zniewolony przez uprzedniego gospodarza, który tak wziął zbawienie jego duszy do serca, że gość nie śmiał go zasmucać odmową: Jan Jakób upadł przez grzeszność. Z obmierzłością jednak wspomina o tym fakcie adept w dojrzałości umysłowej i temu apostołstwu księdza de Pontverre daje świadectwo wcale niezaszczytne, mówiąc: „Czybym ja był uczciwym człowiekiem, czy łotrem, co go to obchodziło, bylebym uczęszczał na mszę. Nie trzeba jednak mniemać, że ten sposób myślenia właściwy jest tylko katolikom, on dotyczy wszelkiej religii dogmatycznej, gdzie głównie chodzi nie o uczynki lecz o wierzenie.” Zapewne, że ksiądz de Pontverre byłby lepiej uczynił, gdyby, wyrozumiawszy młodzieńca, postarał się naprowadzić go na drogę i zwrócić rodzinie, zamiast eskamotować powierzchownie adepta, z którego kościół katolicki nigdy nie miał pościechy, ale przeciwnie, wroga: lecz takie to wówczas były pojęcia o moralnej wartości czynów.

Sabaudya snadź była wówczas pepiniarą prozelityzmu, do której prześlancowywano z sąsiedniej Szwajcaryi reformowanej, różne odpadki na grunt katolicki. Między innymi znajdowała się tam, w mieście Annecy, niejaka pani Varens, młoda separatka, awanturnica, która powodowana prawdopodobnie jakimiś niedogodnościami domowemi, uciekła od męża z Szwajcaryi i oddała się pod opiekę króla sardyńskiego, oświadczając chęć przyjęcia religii katolickiej. Król, wielki zelant, wyznaczył jęj za to dwa tysiące franków rocznej pensyi i wskazał zamieszkanie w Annecy, gdzie dom jęj stał się niejako kantorem dla całego motłochu protestanckiego, sprzedającego swą wiarę. Do nięjto więc zaadresował Jana-Jakóba ksiądz de Pontverre, ażeby dopełnił dzieła, które on tak pomysłnie rozpoczął.

Ta chwila, jak się wyraża, wywarła wpływ stanowczy na dalszy przebieg jego życia. Sądził, że będzie miał do czynienia z jaką starą dewotką, gadającą przez nos i zatabaczoną; tymczasem, za zbliżeniem się do jęj domu, pomiędzy murem i ogrodem napotkał kobietę młodą, niepospolitęj piękności. „Co się stało ze mną na ten widok!” wykrzykuje tylko autobiograf—dając tém do domysłu, jakie ona wrażenie sprawiła na jego szesnastoletnim, erotycznie nastrojonym umyśle i czyniąc niejako zapowiedź całego dalszego stosunku, jaki się ztąd z tak ogromnym wpływem na jego życie rozwinie. Pierwszy ten jednak okres jego stosunku z tą przyjemną i niepospolitą kobietą, ograniczył się tylko na znajomości i wzajemnej sympatyi oraz na ułatwieniu środ-

ków dostania się do Turynu, dla dopełnienia warunków powziętego w Confignon nawrócenia.

Opis zakładu katechumenów w Turynie, gdzie się przygotowywał do godnego przyjęcia nowej wiary, przejmuje zgrozą; i musiał w późniejszym wieku głęboko brzydzić się sam sobą Rousseau, kiedy wspominał, iż była chwila, w której bez żadnej miłości dla sprawy przedsiębranjej, bez żadnego przekonania, że zgryzotą w sumieniu, pozwolił odegrywać z sobą tak haniebną komedią. Czuć nawet w samym opisie tych przygotowań tę urazę do siebie, pogardę, ale wówczas zaszedł już tak daleko, że przy wątłym charakterze, przy widokach nędzy i zupełném opuszczeniu przez rodzinę, nie śmiał, nie mógł, nie miał siły, wyrwać się z tego ohydneho położenia, w którym z wiedzą własnego upadku, ze wstętem do celu, dał się prowadzić jak baran na ofiarę. Po odbytych przygotowaniach, zaprowadzono go procesjonalnie do katedry, gdzie dokonał uroczystego zrzeczenia się dawniej wiary; następnie do inkwizycji, gdzie otrzymał rozgrzeszenie z grzechu herezyi i wpisany został ostatecznie do Kościoła, z taką samą ceremonią, jakiej poddany był Henryk IV przez swego ambasadora. Skutek tego jednak był taki, że jeśli dzieckiem będąc, bał się tylko katolicyzmu, który przedstawiano mu zawsze jako religią tyranizującą, teraz, zostawszy katolikiem, znenawidził go w wysokim stopniu.

I czyż zyskał co materyalnie na tak osobliwém zaparciu? Bynajmniej. W chwili, gdy sądził, że otrzyma jakieś miejsce odpowiednie, wypchnięto go z dwudziestu frankami, które wpłynęły z kwesty neofickiej. Zalecono mu, ażeby żył jak przystoi na dobrego chrześcianina, ażeby wiernym był łasce; życzo no mu szczęśliwej drogi, zamknięto za nim drzwi i koniec. „Przybyło mi tylko wspomnienie, powiada, żem został apostata i dudkiem.”

Nic trafniejszego, jak konsyderacye psychologiczne i moralne samego Russa nad tym wypadkiem. Niepodobna nam tu przytaczać wszystkiego, co wielce przytoczenia byłoby godném, ale nie możemy pominąć znakomitego obrazu, w którym on przedstawia ruch woli człowieka, oddającego się nikczemnie w ręce przypadkowi, ruch idący w kierunku przeciwnym obowiązкови, z początku słaby i chwiejny, ni by ciężkiego wahałta, potem, pod wpływem okoliczności przyciągających coraz bardziej przyspieszony i zamierający tam, gdzie przedmiot ruchu zatrzymają kleszcze przypadku lub wyczerpanie siły. W gości nie u proboszcza Pontverre, za łyżkę strawy wymówił słowo, które go jeszcze do niczego nie zobowiązywało, ale słowo to wzmoenił wzięciem pieniędzy na drogę do Annecy. Tam mógł się jeszcze opamiętać, zwrócić się gdzieindziej, zapracowawszy, oddać dług zaciągnięty u fanatyzmu, ale już nie mógł zdobyć się na siłę wobec ciemnej przyszłości. Erotycznie porażony widokiem pani Warens, doznał nowego bodźca w stronę upadku; widok znowu tego, co działo się w zakładzie katechumenów, odciągał go w stronę przeciwną i mógł go być uratować przy większej energii odśrodkowej, ale tój z siebie nie wywołał.

„Widziałem—rzecze—z największą zgrozą ten rodzaj zobowiązania, które przyjąłem, oraz jego skutki nieuniknione... i nie mogłem przed sobą ukrywać, że dzieło świątobliwe, które miałem dokonać, jest w gruncie tylko czynem bandyty. Jakkolwiek młody, czułem, że którabadź z tych religii jest prawdziwą, ja sprzedaję swoją (oczywiście, gdyby jój był odstępował z przekonania, wszystko byłoby w porządku najzupełniejszym), i że, gdybym nawet dobry uczynek wybór (przypadkiem), w gruncie serca kłamię Duchowi Świętemu i zasługuję na wzgardę ludzką. Im więcéj myślałem o tém, témbardziej oburzałem się przeciwko sobie i jęczałem na los, który mnie tu sprowadził, jak gdyby los ten nie był własnym mojem dziełem. Były chwile, gdzie rozmyślania te takież nabierały siły, że gdybym na moment był zastał otwarte drzwi, byłbym z pewnością umknął: ale to było niepodobieństwem i wreszcie samo postanowienie nie trzymało się téż zbyt silnie. Zawiele życzeń tajemnych walczyło przeciwko niemu, by go nie miało zwyciężyć... Niechęć powrotu do Genewy, wstyd, trudność pozostania zdala od kraju, bez przyjaciół, bez środków, wszystko to sprawiało, że wyrzuty sumienia uważać zaczął za żal spóźniony: udawałem przed sobą, iż wyrzucam sobie to com uczynił, a to dla usprawiedliwienia tego, co uczynić miałem. Przesadzając winy przeszłe, uważałem przyszłość za ich konieczne następstwo. Nie mówiłem sobie: Nic się jeszcze nie stało, ty możesz jeszcze zostać niewinnym, jeśli chcesz; ale mówiłem sobie: Jęcz nad występkiem, którego się dopuściłeś i którego dokończenie stało się dla ciebie koniecznością... Sofizmat, który mnie zgubił, jest sofizmatem większej części ludzi, żałujących, że im zbywa na siłę wówczas, kiedy zapóźno już jest do jój użycia. Cnota, jeżeli nam jest ciężką, to jedynie z własnej naszej winy; i gdybyśmy tylko chcieli zawsze być roztropnymi (sages), rzadkoibyśmy potrzebowali zdobywać się na bohaterstwo cnoty. Ale popędy do zwalczania łatwe porywają nas bez oporu z naszej strony; ustępujemy pokusom lekkim, których niebezpieczeństwem gardzimy. Nieznacznie wpadamy w położenia zgubne, od których łatwo mogliśmy się uchronić, ale z których teraz nie możemy się wydobyć bez wysiłen heroicznych, przerażających nas, i upadamy w przepaść, powiadając do Boga: Dlaczegoż stworzyłeś mnie tak słabym? Ale Bóg odpowiada naszym sumieniom: Uczyniłem cię zasłabym do wydobycia się z przepaści, ponieważm uczynił cię tyle silnym, że mogłeś w nią nie upaść. Ja nie powzięłem stanowczego postanowienia zostania katolikiem; ale widząc kres jeszcze oddalony, miałem czas do oswojenia się z tą myślą: a tymczasem wyobraziłem sobie jakiś wypadek nieprzewidziany, który to przerwie...”

Otóż to doskonały obraz duszy słabéj, niemocowanéj w zasadach, a postawionéj w potrzebie dyplomatyzowania z sumieniem, dla której dosyć jednego podmuchu trudności lub przeciwiéństwa, ażeby cofnąć się przed głupim słówkiem *nie wypadła* i w hołdzie dlań ponieść całe życie, lub nędznie od przypadku oczekiwać rozwiązania trudności. Zapewne, że od szesnastoletniego młodzieńca, i to źle pokie-

rowanego, trudno było wymagać téj rzadkiej siły duszy, któraby zdobyła się na odwołanie wszystkiego, co dotąd przyrzekał, z narażeniem się na wszelkie następstwa inkwizycyjne takiej rewokacyi; więcej też winić należy o to rodzinę, która go pozostawiła w takiem opuszczeniu, niż jego samego: gdyby żyła jego matka, syn nie byłby z pewnością tak opuszczonym, nie wydałaby go ona z taką łatwością na poniewierkę wśród ludzi i na jój obécne następstwa. Położenie jego jest raczej przerażającym, pełném nauki i przestrogi, względnie do obowiązków życia w ogólności, niż występniém względnie do jego osoby. Jemu wolno potępić siebie, nam wolno go tylko charakteryzować.

Po téj katastrofie, opłaconój wyrzutem i dwumiesięczném zamknięciem, pocieszył się odzyskaną swobodą i nadzieją, że w tak wielkiem mieście, jak Turyn, da się przecie poznać i utoruje sobie drogę do kariery. W szesnastym roku życia człowiek ma o sobie zwykle i o swój przyszłości wyborne wyobrażenie. Jego miłość własna nie straciła ze swój napiętości, a wpośród wszystkich widoków, jakie nastęrczała mu wspaniała rezydencya królewska, to go najwięcej zajmowało, czy nie znajdzie się tam jaka młoda księżniczka, godna jego hołdu, z którąby mógł zawiązać romans. Nie składało się jakoś w tym sensie, a więcej pożądlivy niż przedsiębiorczy względem kobiet Rousseau, poprzestać musiał na ten raz na platonicznych próbach z kupcową, u której dostał liche miejsce rytownika. Usunięty ztamtąd, skutkiem zazdrości męża, dostaje się nareszcie na dwór hrabiny de Vercellis, w charakterze... lokaja. Otóż nieoczekiwany kres, do którego dobiegły wszystkie jego wielkie nadzieje młodej wyobraźni. Przez trzy miesiące pobytu w tym domu, hrabina nie mogła, czy nie chciała dostrzedz w nim nic innego, krom lokaja, przez co nie dopuszczała do tego, ażeby i on czém inném pokazać się mógł, lubo pełnił u niój pośrednio i funkcją sekretarza, ponieważ odpisywał na jój listy. Ale to nic dziwnego, skoro i dzisiaj jeszcze niektórzy ludzie rodowi, nawet w nauczycielach domowych radzi widzą czeladź służebną. „Zdaje mi się, powiada, że odtąd doznawałem na sobie téj złośliwej gry interesów ukrytych, która przeszkadzała mi całe życie i przejęła mnie bardzo naturalnym wstętem do pozornego porządku interesa te wytwarzającego.” Oj! i dał on dobrze uczuć następnie światu ten swój wstęć, wystąpiwszy przeciwko nim piórem. Pomimo téj niedomyślności hrabiny, dobre jego serce miało dla niój współczucie podczas choroby, płakał szczerze nad jój cierpieniami, doglądał jój pieczołowicie, żałował kiedy umarła.

Z okazji téj oskarża siebie Jan-Jakób o czyn tak brudny, że trzeba było wielkiego zaparcia, ażeby go przy spowiedzi publicznej jawić. Przy spisie inwentarza, po śmierci hrabiny, okazał się brak jakiejś wstążki. Rozpoczęto poszukiwanie i znaleziono ją u niego, z bardzo prostój przyczyny: ukradł ją. Drobnostka, głupstwo, ale wstyd. I otóż znowu powtórzył się w nim fenomen słabego oporu pokusom lekkim, dla oddalenia góry niedoli. Zamiast przyznać się do przywła-

szczenia rzeczy prawie bez wartości, a więc do czynu niezbyt go obarczającego, on oświadcza, iż dostał tę wstążkę od kucharki. Młoda i niewinna dziewczyna, wezwana do tłumaczenia, wypiera się; on z całym bezwstydem potwierdza wobec niej swoje zeznanie. Nie sprawdzano dalej i wydalono ze służby oboje. Odszedł Jan-Jakób nie powróciwszy nigdy dobrej sławy dziewczynie, a zgryzota tego faktu nękała go do końca życia; przy tej relacji wydatnieje ona mocniej i boleśniej jeszcze, niżeli przy poprzednim fakcie odstępstwa od wiary. „Jeżeli zbrodnię tę można odpokutować, powiada, jak śmiem tuszyć sobie, to chyba odpokutowałem za nią, tylu nieszczęściami, dręczącymi schyłek mojego życia, czterdziestu latami prawości i honoru w okolicznościach najtrudniejszych.”

Wyszedł z tego domu Jan-Jakób z trzydziestu frankami gratyfikacji i z nowym frakiem (liberyjnym) na plecach, który mu подарowano.

Pokręciwszy się jeszcze czas jakiś po mieście, bez powodzenia goniąc i to w sposób dosyć cyniczny, za awanturkami miłosnymi, przypominał sobie nareszcie poznanego w domu hrabiny pewnego księdza sabaudzkiego, nazwiskiem Gaime i udał się do niego w odwiedzinę. Był to dla niego wypadek nader szczęśliwy w tym zupełnym rozstroju moralnym, w jakim znajdował się młodzieniec. Zaczny ten kapłan, prototyp główny jego „Wikaryusza Sabaudzkiego,” zamało wprawdzie miał stosunków, ażeby mógł mu dopomóc w karierze, po co właściwie przybył do niego Rousseau, ale zawiązał się między nimi stosunek poufaty, który powstrzymał młodego urwisa nad brzegiem przepaści. Ksiądz Gaime był to człowiek młody, ale pełen rozumu, nauki i miłości bliźnich; w stosunku też z nim zyskał Rousseau to właśnie, czego dotąd daremnie szukał. Dotąd gusta jego szły zanadto wysoko albo spadały zanadto nisko; on usiłował postawić go na miejscu właściwym, nie oszczędzając go ani nie zniechęcając. Rozwinał przed jego oczami obraz rzeczywisty życia, którego młodzieniec zgoła dotąd nie znał, kreślił mu przekonywająco jego warunki i obowiązki; dobił się do jego serca życzliwością, zainteresował przedstawieniem pożytku cnoty, wskazał na czém szczęście człowieka polegać powinno, i sprawił to, że nauczania jego, zrazu bezskuteczne, stały się w sercu Jana-Jakóba „ziarnem cnoty i religii, które tam nigdy już nie zagłuchło, a dla wydania owocu oczekiwało tylko na to, by je ukochana pielęgnowała ręka.”

Rękę tę ostatecznie przyłożyć miała pani Warens, do której udał się Rousseau, po nowej praktyce lokajskiej. Dziwny był też to stosunek tych dwojga ludzi, stosunek, którego żywiołów psychicznych i sam Rousseau należycie wyświecić nie może. Jakieś powinowactwo z wyboru, ani miłość, ani przyjaźń, uczucie pośrednie, odznaczające się wszelako wielką czułością i poświęceniem wzajemnem. Z takiego uczucia powstało pożycie wspólne (faux ménage), niczem nie różniące się od małżeńskiego, prócz samej formy legalnej, pożycie uszczęśliwia-

jące obie istoty, zwłaszcza mężczyznę, który z tém wszystkiém wcale nie wyrzeka się miłości innych, poszukuje ich nawet i współcześnie i zwłaszcza następnie, co mu nie przeszkadza zawsze zwracać się do swego ideału z Annecy z największym zachwytem serca. Pani Warens nie ustępowała mu w przywiązaniu, a mimo to, w czasie dłuższej nieobecności towarzysza, po kilkoletniém z nim pożyciu, znalazła sobie zastępcę, bynajmniej z serca nie rugując poprzednika, co jednak było powodem ich rozłączenia się zupełnego. Ten to stosunek, w którym uczucie znaczne i godziwe łączy się z zaparciem godności i czystości, dziwnie symbolizuje tę sprzeczność, cechującą cały charakter i wszystkie czynności Russa. Gdyby pani Warens za warunek pożycia wspólnego położyła małżeństwo prawowite, albo gdyby uczucie swe silnie osłoniła przeciw skażeniu, Rousseau możeby nie tak naturalistycznie traktował miłość i nie został tym cyganem miłosnym, jakim się zawsze w dalszym ciągu przedstawia; kobieta kochająca ze czcią nauczyłaby go czci dla miłości: ale pani Warens uczynność postawiła wyżej nad cześć, a młody jej wychowanek zanadto dobrze był z natury ku temu usposobionym, ażeby ten pierwszy przykład praktyki miłosnej wziąć w innym znaczeniu nad wymianę zadowoleń namiętnościowych. Wszystkie téż jego miłości i miłostki zawsze trąciły tém, co miłość ma w sobie najpośledniejszego. Ważny to, ale jedyny wpływ ujemny, jakiego doznał w stosunku z panią Warens; wszystkie inne były dodatnie i one to już bezpośrednio, choć w sposób nader zawikłany, kierowały Russa ku téj roli, jaką odegrał na świecie.

Ale idźmy dalej.

Pani Warens przyjęła go więc gościnnie, a że była ukształconą i lubiła się zajmować literaturą, Rousseau, już i przedtém nawrócony przez księdza Gaima ku myśłom poważniejszym, znalazł w niej nowego w tym kierunku przewodnika, a nadto zachętę i sposobność do poważnego czytania. Tu poznał się on z ważnemi dziełami pisarzy społecznych, jak: Puffendorf, Saint-Evremond, Larocheffoucauld i Labruyère; tu czytywał Spectatora i Henryadę Woltera, w której zaznaczył nawet jeden błąd gramatyczny. Czytywali często razem z opiekunką i o rzeczach przeczytanych rozprawiali. Umysł się jego ćwiczył i bogacił, ale oboje uważali, że było to tylko przyjemne i pracowite próżniactwo, nie mogące zapewnić mu przyszłości, a jednak chłopiec dobiegał już dwudziestego roku życia, bo te drugie jego odwiedziny w Annecy przypadają na rok 1731. Pani Warens pierwsza dostrzegła w nim zdolności wyższe i ażeby je rozwijać według pewnego planu i celu, umieściła go w seminaryum, gdzie on zawarł stosunek blizki z pewnym młodym księdzem, nazwiskiem Gâtier, którego charakter łagodny i melancholijny, posłużył mu później do uzupełnienia typu „Wikaryusza Sabaudzkiego.” Nie było mu jednak widać sądzono ustalić się w jakimś powołaniu: pomimo że wówczas przejął się już szczerze ideami katolickimi, aż do uwierzenia w cud; pomimo, że doznawał zyczliwości w tém zgromadzeniu ludzi, którym daje świadectwo wiel-

kiej zacności, uzano go za niezdatnego do nauk teologicznych i odesłano napowrót pani Warens.

Z teologa więc naraz przemienia się Rousseau na muzyka. Miał on już początki tej sztuki, a nadewszystko nabrał do niej wielkiego zapędu. W tej dziwnej mieszaninie skłonności i zajęć, w tym ciężkim porodzie właściwego kierunku, sztuka ta zatrzymała go najsilniej i najdłużej. Uczyniwszy pewne postępy, brał lekcye i udzielał ich, komponował nawet, cały żył tylko muzyką, nosił się z nią i dla niej po różnych miejscach; nie zastawszy pani Warens w Annecy, po dłuższej wycieczce, udał się za nią pieszo aż do Paryża, a nie odszukawszy jej nigdzie i nie znalazłszy tam odpowiedniego dla siebie miejsca, wracał do Sabaudyi, gdy na drodze napotkał widok, który głębokie na nim wywarł wrażenie i nastęrczył mu temat do późniejszych rozmyślań w zawodzie publicysty.

W tych rozmaitych i niekiedy bardzo odległych wycieczkach, spotęgował on w sobie zamiłowanie do natury, jakiego nabył jeszcze w dzieciństwie na pierwszej swój pensyi. Załował w późniejszym wieku tego najmocniej, że nie pisywał dziennika swoich podróży; bo nigdy, jak utrzymuje, tyle nie myślał, nie istniał, nie żył, nigdy nie był tyle sobą, jak wtedy, kiedy podróżował sam i pieszo. Napotkawszy jaki piękny krajobraz, zapominał o wszystkiem, rozglądał się w nim, błąkał się zachwycając coraz nowemi widokami. Tak było i w tej podróży powrotnej do Sabaudyi. Zabłąkał się gdzieś w okolicach Lyonu, a zgłodzony, spragniony i upadający ze znużenia, dostał się do lichęj chaty chłopskiej. Myślał, że będzie to jak w Szwajcaryi, gdzie każdy chłop, jako wolny obywatel kraju, ma pewien dostatek, dający mu możność świadczenia gościnności. Tu zażądał obiadu za zapłatą i dostał trochę zbieranego mleka z kromką grubego chleba jęczmiennego, w połowie upieczonego z plewami. Dopiero, kiedy gospodarz z gościem lepiej się poznali, porozumieli, tamten wydobyl z ukrycia dobry chleb żytni, szynkę, jaja i butelkę wina: stowem, jak dla pieszego wędrowca zastawił mu ucztę Lukullusową. Kiedy przyszło do zapłaty, chłop zdragał się i widocznie bał wziąć pieniędzy. Zapytany dlaczego, po długich korowodach wyjawil nareszcie, że ukrywa chleb swój i wino przed okiem ofycjalistów skarbowych, z obawy okropnych podatków, jakie nakładają na podobne wiktuały i że byłby zgubionym, gdyby dowiedziano się, „iż nie umiera z głodu.” „Wszystko, co mi on powiadał w tym przedmiocie, pisze Rousseau, a o czém ja nie miałem najmniejszego wyobrażenia, sprawiło na mnie wrażenie, które nie zatrze się nigdy. Było to ziarnem tej nieugaszonej nienawiści, jaka odtąd rozwinęła się w mojem sercu przeciwko uciemżeniu, którego doznawał biedny lud, oraz przeciwko jego ciemżcom. Ten człowiek, lubo dostatni, nie śmiał spożywać chleba zapracowanego w pocie czoła i nie mógł uniknąć zguby inaczej, tylko ukazując taką samą nędzę, jaka panowała około niego. Wyszedłem z jego domu równie oburzony jak rozczulony i opłakując los tej pięknej ziemi, której

na to tylko natura udzieliła swych darów, by stały się pastwą barbarzyńskich publikanów.”

Było to w roku 1732, wówczas gdy dwór wersalski w swoich wytwornych lupanarach rozpraszał miliony wydzierane ludowi za chleb na uposażenia dla faworytów i na stroje dla faworytek. Rousseau, porównywając stan chłopów szwajcarskich, którzy rządzą się sami, ze stanem chłopów francuzkich, którymi rządzą panowie; wiedział już czego się miał trzymać przy kreśleniu programu instytucji politycznych.

Za powrotem do Sabaudyi, odnalazł panią Warens w Chambéry i odtąd dopiero rozpoczyna się u niego życie regularniejsze. Opiekunka wyjednała mu miejsce w biurze królewskiego kadastru, w Chambéry, kiedy miał już dwadziesty pierwszy rok życia, a umysł jego rozwinięty był więcej niż sąd. Ośm, do dziewięciu lat przebył w ten sposób na nauce, tém bardziej, iż urząd jego wymagał dobrej znajomości arytmetyki. Umiejętność ta ścisła wyrabia mu sąd, nadaje logiczność myśleniu, dbałość o należyte zastosowywanie reguł. Uczy się téż rysunku kolorowanego, maluje kwiaty i zasmakowywa w botanice, dla której roznamiętnił się później. Muzykę hoduje téż dalej z całą starannością, głównie co do harmonii i kompozycyi. Pomimo więc że stosunek z panią Warens zaciera w nim delikatność moralną we względzie miłości i rzuca cień bezpowrotnie na jego ideał, umysł jego za jęj sprawą kształci się widocznie. Pobyt zwłaszcza ich obojga w ustroni zwanej Charmettes, gdzie zamieszkali po ciężkiej chorobie jakiej uległ Rousseau, upaja go szczęściem, którego nie może dosyć wysłowić i wywiera szczególny wpływ na wywyższenie tak serca jego jako i umysłu. „Tu, powiada, zaczyna się krótkie szczęście mojego życia; tu przechodzą ciche ale szybkie chwile, które dały mi prawo powiedzieć że żyłem.“ Tu on z rozkoszą oddał się rozmyślaniu, zgłębianiu filozofów, jak Kartezjusz, Malebranche, Leibnitz, Locke; nauce geometryi, algebry i łaciny. Tu wreszcie, pod wpływem jakiegoś usposobienia melancholijnego, nabytego skutkiem choroby, wyobraziwszy sobie że nie długo żyć będzie, doznał przewrotu w życiu: wierny zasadom katolickim, zaczął jednak w samym pierwiastku religijnym, ile być może najmniej obciążonym formą, poszukiwać tych pociech słodkich i zdrowych, jakie udziałem były pierwotnych chrześcian.

Kiedy atoli do domu pani Warens zawitał nowy gość, mający go zastąpić w charakterze gospodarza, a przynajmniej z jęj insynuacji dzielić z nim jęj fawory natury bardzo delikatnej, Rousseu nie zgodził się na taki układ. Zbolały, ale bynajmniej nie zniechęcony dla kobiety, którą zawsze nazywał i słusznie swą dobrodziejką, zmuszony był rozstać się z nią. Mało co przedtém otrzymał z Włoch kilka dzieł dotyczących historii i teoryi muzyki, które przyczyniły się do podniecenia jego umysłu ku poszukiwaniu metody notowania muzyki cyframi. Spodziewając się zyskać majątek na tém odkryciu, które istotnie spowodziło pewien maleńki przewrót w muzyce, pożegnał swą dobrodziej-

kę i ukochane zakątki górskie, zapewnił ją o swém uczuciu, które rzeczywiście nie wygasło nigdy w jego sercu i udał się do Paryża.

Tak więc fatalizm życia skierował go nareszcie tajemniczemi manowcami w stronę, gdzie miało się spełnić jego prawdziwe przeznaczenie. Tu dopiero rozpoczyna się naprawdę jego życie publiczne, pełne tryumfów i udręczeń towarzyszących mu aż do śmierci. On, który kilka lat przedtem za najwyższe dla siebie szczęście poczytywał życie odosobnione w jakiej cichej ustroni na wybrzeżach Lemanu, za podmuchem ambicyi, w nadziei zrobienia majątku, rzuca się w odmęt stolicy, pełnej ruchu, wielkości, szalu i rozputy, by tam w tym tłumie milionowym, zbitym, różnobarwnym, wyznaczyć swą postać i w pamięci społeczeństwa imię swe wypisać.

Rousseau miał wtedy lat blisko trzydzieści.

* * *
 Za przybyciem do Paryża w r. 1741, Rousseau ani myślał jeszcze o zawodzie pisarskim i ani nawet przypuszczał, ażeby zawód ten był jego misją: wszystkiego on oczekiwał tylko od muzyki. Ów jednak wielki pomysł notowania jej zapomocą cyfr nie urzeczywistnił pokładanych w nim przez wynalazcę nadziei: komissya wydelegowana przez Akademię umiejętności do rozpoznania go, objawiła zdanie nie tyle przychylnie, ile obojętne. Na tym więc punkcie doznał zawodu Rousseau, ale zato, skutkiem zachodów jakie czynił w swęj sprawie, wszedł w stosunki ze wszystkimi znakomitościami literackimi, mianowicie z Diderotem, który odtąd nie przestał się nim może aż do zbytku zajmować. Dla obrony swego systematu muzycznego napisał rozprawę „O muzyce nowoczesnej,” która zwróciła na niego uwagę i otworzyła mu wstęp do ówczesnych salonów, jaśniejących gwiazdami umysłowemi wszelkich wielkości, obok kobiet słynnych pięknoscią i rodem. Tam to on ocierał się o takie potęgi jak Fontenelle i Buffon, abbé de Saint-Pierre i Voltaire. Dzięki tym uczonym stosunkom, zostaje on w kolój nauczycielem muzyki i kompozytorem, a nareszcie sekretarzem pana de Montaigu, posła francuzkiego przy rzeczypospolitęj weneccyjskiej. Pomimo uczciwie sprawowanej funkcyi, nie mógł on zjednać sobie życzliwości zwierzchnika. Pan de Montaigu, człowiek ograniczony, gbur, zazdrosny raczję względem swego sekretarza niż rad z jego posiadania, tak go udręczył swém obejściem, że go w półtora roku opuścił Rousseau i powrócił do Paryża szukać przeciw niemu sprawiedliwości.

Ale omylił się grubo. Pomimo że przed nim jeszcze wieści o głupstwach i szafach ambasadora doszły do Paryża, gorsząc wszystkie władze rządowe i publiczność; pomimo krzyku z Wenecyi, pomimo dowodów niezbitych jakie przedstawiał, sprawiedliwości żadnej otrzymać nie mógł, a nawet co do wypłaty pensyi pozostawionym został na łasce i niełasce ambasadora, i to z jedynego powodu, iż nie będąc francuzem, nie miał prawa do opieki narodowej, i że wreszcie sekretarz, sługa, nie może mieć racyi względem swego zwierzchnika. „Niesprawiedliwość

i bezużyteczność skarg moich, powiada téż Rousseau, pozostawiły mi w duszy zaród oburzenia przeciwko naszym głupim instytucjom cywilnym, gdzie istotne dobro publiczne i istotna sprawiedliwość zawsze poświęcane są jakiemuś porządkowi pozornemu, łamiącemu w gruncie wszelki porządek, a który nadaje tylko sankcyę powagi publicznej uciemiężeniu słabych, bezprawiu silnych." Porównajmy to co powiedział skutkiem wrażeń otrzymanych trzy lata temu na widok stanu chłopca francuzkiego, nie licząc innych spostrzeżeń, z których tak ścisłej sprawy nie zdaje, a zobaczymy jak się w jego duszy powoli zbiera ten materiał reformatorski, na gruncie republikańskim i gminnym, który ma on później nieco z takim hałasem sformułować.

Za powrotem do Paryża, oddaje się nanowo muzyce, poprawia partytury cudze, uzupełnia utwory muzyczne, dają mu nawet do korekty językowej całe poematy, otrzymuje między innymi jeden od Woltera, który pisze doń z tego powodu pierwszy list bardzo uprzejmy, bardzo pochlebny, „i świadczący o znanj jego giętkości dworskiej." Nie zawsze te listy Woltera były tak uprzejme: przyszłość pokazała że przeczuł on w nim umysł mający rzucić cień na jego sławę.

W tychto okolicznościach, wyczerpujących jego życie pomiędzy muzyką i staraniem o ciężki kawałek chleba, w r. 1743 zaszedł fakt mający wyrzucić przerażający wpływ na jego życie, rzucić płamę niezatartą na człowieka i filozofa. Poznał się on z młodą szwaczką, Teresą Levasseur. Poznaniu temu towarzyszyły okoliczności, dowodzące jak lichy i upokarzające miał Rousseau wyobrażenie o kobietach, wyniesione zapewne z pierwszego stosunku. Kiedy znajomość ich, która bardzo szybkie czyniła postępy, stanęła na punkcie zwiastującym blizką nierozłączność, Teresa zaczęła objawiać niepokój, dziwną obawę i pomieszanie, bynajmniej nie skutkiem naturalnej wstydlivosti dziewiczej, ale z jakiegoś powodu niepojętego. Dręczyło to okrutnie kochanka i Rousseau nie czemu innemu zdobył się przypisać ten jój osobliwy upór, jak temu, że ona przezeń ostrzega go o złych skutkach grożących jego zdrowiu. Gdy dopiero po długich korowodach przyszło do wyjaśnienia i Rousseau dowiedział się się iż Teeresa padła ofiarą jakiegoś poprzedniego uwodziciela, wstąpił weń duch pociechy, rozśmiał się tylko z jój skrupułów i zawołał: „oh! moja Tereso, jam bardzo szczęśliwy że posiadam cię uczciwą i zdrową! rad jestem że nie znajduję tego czego nie szukał!" Ta jego cyniczna wyrozumiałość jakże wybornie charakteryzuje nie tylko to, jaką on wewnętrznie wartość przywiązywał do kobiety, ale i wiek w którym kobiety odegrywały taką rolę.

Był-to zatem drugi jego faux-ménage, związek nieuprawniony z kobietą, zgoła inną od pani Warens, która swobodę postępowania opłacała przynajmniej umysłem szlachetnym i czułością serca, a dziwaństwa poświęceniem bez granic. Nowy dowód osobliwych kontrastów w duszy tego człowieka, któremu zarówno łatwem jest połączyć się związkiem poufałym z osobą wykształconą, istotą uczuć delikatnych i pojęć wyrafinowanych, jak z pierwszym lepszym kopciuszkiem, niema-

jącym za sobą nawet uroku prostoty i niewinności. Dawną czułość dla swej ukochanej mamy Warens, przelał on teraz na prostą dziewczuchę bez wychowania, pospolitą, niegodną go pod żadnym względem. Z nią przywiązał on sobie kulę do nogi, która też ciążyła mu już całe życie i stała się w znacznej części powodem jego błędów, dziwactw i nieszczęść. Z nią wziął on też sobie na ręce całą jej rodzinę: matkę sekutnicę, ojca i dalsze potomstwo, słowem rodzinę, która nietylko że wysysała jego zasoby materialne, ale i moralnie zatruwała mu życie. Słabości tylko charakteru przypisać trzeba, że nie chciał nigdy już strząsnąć z siebie tego nieznośnego i upokarzającego ciężaru: słabość to niewytlómaczona w człowieku, który zkażdym okazywał tyle niepodległości.

Niebawem też okazały się skutki takiego związku i takiego życia. Bo jużż trzeba zapomnienia siebie najwystępniejszego, braku zupełnego sądu o dobrém i złém, jakiegóś ostatniej nikczemności moralnej, ażeby ojciec dzieci własne oddawał jedno po drugim do domu Podrzątków i to ojciec, układający jednocześnie dzieło reformy społecznej na podstawie wychowania („Emil”). Powody, jakie przytacza Rousseau, skłaniające go do tego kroku, są tak wątle i liche, że żaden nie zastępuje ani na uwagę, ani na przytoczenie i wreszcie, jakież to powód mógłby usprawiedliwić takiego ojca? Taka jakaś pogarda rodzi się dlań przy odczytywaniu tych jego tłómaczeń, że musimy raz skończyć z tym faktem, ażeby nie odjąć sobie ochoty do dalszego życia jego rozbioru. Opomniał się on zapóźno i gorzko potępia sam siebie niejako, mówiąc po kilkunastu latach w „Emilu”: „Kto nie może spełnić obowiązków ojca, niema prawa być ojcem. Ani ubóstwo, ani trud, ani wzgląd ludzki, nie uwalniają go od tego, ażeby żywił swe dzieci i sam je wychowywał. Wierzajcie mi czytelnicy: każdemu kto ma serce, a zaniedba tych świętych obowiązków, przepowiadam, że nad swą winą długo będzie wylewał gorzkie łzy i nigdy nie dozna pociechy.”

Zważmy jednak, jaki był stan moralny ówczesnego społeczeństwa, którego też zepsuciem zasłania swój postępek Rousseau. Zdawałoby się, że po takim czynie nikt porządny nie powinienby mu ręki podać: tymczasem wszyscy wiedzieli o nim, wytykano go palcami na ulicach, ale sprawca takiego zgorzenia moralnego, nigdzie miru nie stracił i jakie miał zachowanie w towarzystwie, takie mu i nadal pozostało.

Jeszcze pierwsze lata jego związku z Teresą schodziły mu na zajmowaniu się muzyką, na komponowaniu oper, których nie mógł doczekać się wystawienia, na sekretarstwach i ćwiczeniach chemicznych. Wiele przez ten czas nagromadziło się w nim zółci przeciwko instytucjom, tak nierówny dział w dobru społeczném zaprowadzającym między ludźmi, przeciwko klasom wyższym, które, same tak mało warte, nie umiały cenić człowieka według jego wartości intelektualnej, co nader często i boleśnie sprawdzał na samym sobie; aż nareszcie wybuchła chwila, w której ostatecznie miał zaprodukować Rousseau publicznie wszystkie te swoje urazy. Akademia w Dijon, roku 1749, to jest, gdy

Rousseau miał już lat 37, ustanowiła konkurs na rozprawę p. t.: „Czy odrodzenie nauk i sztuk przyczyniło się do zepsucia, lub do oczyszczenia obyczajów?”

Pytanie to padło w jego duszę, jak iskra na długo zbierający się materyał palny. Przeczytawszy to ogłoszenie w gazecie, „urząłem, powiada, inny świat i stałem się innym człowiekiem.” Okoliczności towarzyszące temu faktowi zbyt są ważne, ażebyśmy pominąć je mogli milczeniem: chodzi bowiem o to, czy Rousseau z własnej inicjatywy nadał taki, a nie inny kierunek rozwiązaniu tego tematu, czy też z obcej; że zaś kierunek ten jest kamieniem węgielnym całej niemal późniejszej budowy, przeto dobrze jest wiedzieć, z kąd właściwie kierunek ten powstał.

Otóż, mamy co do tego dwie wersje. Sam Rousseau już w „Confessions,” już w liście (drugim) do Malesherbes'a, inicjatywę rozwiązania, poczętą przy najgwałtowniejszém wzruszeniu, połączoną z biciem serca i płaczem, przypisuje samemu sobie, dodając tylko, że wyjawiał swój plan, już w głównych zarysach nakreślony, Diderotowi, który go pochwalił. Inna wersja, Marmontela ¹⁾, powołując się na świadekstwo samego Diderota, utrzymuje, że ten właśnie filozof wpłynął na Russa, ażeby rozwiązaniu swemu nadał kierunek, jaki rozprawa jego przybrała w wykonaniu, to jest kierunek potępiający ukształtowanie się cywilizacji nowoczesnej. Gdyby tak było, znikłaby cała oryginalność Russa, tak wybitne miejsce nadająca mu między pisarzami społecznymi, jak powiedzieliśmy bowiem, żywioł zawarty w tém jego rozwiązaniu, tkwi i potęguje się tylko we wszystkich pracach jego późniejszych. Sprzeczności téj jednak dokumenta materyalne nie rozwiązują, a prawdy szukać trzeba raczej w samym charakterze Russa.

Jakoż, przypomnijmy sobie jego życie. Toż to ustawiczny kontrast pomiędzy wyższością wrodzoną, a losem, często między aspiracją i czynem. Niespokojna, nienasycona potrzeba niepodległości i nowości, pędzi go od lat dzieciennych z wygnania na wygnanie. Włóczęga i żebrak, sekretarz i autor oper, lokaj i mentor, złodziej i bohater bezinteresowności, kochanek kobiety wyższej i popychadło pomywaczki: widział siebie przez lat trzydzieści nie na właściwóm miejscu; widział, a więcéj jeszcze domyślał się losu podobnego u wielu ludzi; czuł i miał przekonanie, że układ społeczny, wyradzający takie anomalie, jest złym. Wprawdzie nauki i sztuki nie są jeszcze instytucjami samemi, ale są dźwigniami cywilizacji, która przyszła za jego czasu do wyników takich, jak niesprawiedliwość i niemoralność; więc uderzyć na tę cywilizację, krytyką najsurowszą pomścić krzywdy swoje i innych, mogło być wcale naturalnym i bezpośrednim popędem jego wyobraźni bujnej, a rozdrażnionej od czasu, kiedy chodził w liberyi i posługiwał przy stole. Zeznania wreszcie Marmontela nie popiera sam Diderot, który bynajmniej nie przypisuje sobie inicjatywy, ale przeciwnie, obelgi miota-

¹⁾ Mémoires; ks 8.

jąc na Russa ¹⁾, przytacza tylko okoliczność następującą: „Kiedy się ukazał program Akademii Dižońskiej, przyszedł do mnie radzić się, jak ma z tém postąpić. Ty postąpisz tak—odpowiedziałem mu—jak nikt inny.” W tych słowach jeszcze nie mieści się rada, ani insynuacja; przeciwnie, jakiś rodzaj wzgardy.

Cóżkolwiekby, Rousseau użył tego tematu za pretekst do wypowiedzenia wszystkiego, co mu leżało na sercu, przeciwko układowi społecznemu. Rozprawa jego, dowodząca paradoksu, że postęp umysłowy psuje obyczaje, w gruncie jest głosem duszy oburzonej przeciw pyszałkowatości ludzi naukowych, despotyzmowi akademii, przeciw wzdardzie lub obojętności, okazywanéj ludziom nie posiadającym patentu towarzystwa wyższego. Wywołuje on w téj rozprawie widma klasycyzności, zakłète wspomnieniami wieku młodocianego, kiedy upajał się obrazami Plutarcha i porównaniem przygnębia obyczaje spółczesne. Długo przyćmiony ideał jego, rozbudził się i błysnął całym ogniem żalu i zapału. W imię téj czystości duszy, którą w części z własnéj winy, w części z cudzéj utracił, stać się ma on odtąd pożąga nieczystości. Biczuje téż bez miłosierdzia, a sprawiedliwie, spółczesne piśmidła niemoralne i sprosne, równie jak dzieła bezbożne; ale przeklinając nauki, przeklina on raczej wiek, który ich za narzędzie do zepsucia użył.

Pierwsza to była jego praca literacka, kosztowała go téż trudów niemało. „Poświęciłem jéj, powiada ²⁾, bezsenność moich nocy. Rozmyślałem w łóżku z otwartemi oczyma, a obracałem na wszystkie strony okresy w głowie z męką niesłychaną; aż kiedym nareszcie był zadowolony, składałem je w pamięci dopóty, aż mogłem złożyć je na papier. Ale nimem wstał i ubrał się, zapominałem wszystkiego i kiedym wziął się do papieru, nie przychodziło mi na myśl prawie nic z tego, com sobie ułożył.“ Pomimo takich trudów i staranności, Rousseau nie zupełnie zadowolony jest z téj prymicyi literackiéj. „Dzieło to, dodaje, pełne gorąca i siły, pozbawioném jest zgoła logiki i porządku; ze wszystkich, jakie wyszły z pod mego pióra, jest ono najszabszém pod względem rozumowania, najuboższe w liczbę i harmonią; ale—kończy—przy jakimby talencie wrodzonym, sztuka pisania nie nabywa się odrazu.“ Rozprawa jego, sądzona ze stanowiska dzisiejszego pod względem pisarskim, wydaje się rzeczywiście nazbyt deklamatorską, ale niemniej posiada w ogólności szczeróść zapału, a w ustępach dotyczących starożytności wznosi się do rzetelnego krasomówstwa. W roku 1749, nowóść pomysłu, utrafienie w samo serce kwestyi pałacéj, koloryt słowa gorący, wzbudził powszechne uniesienie i rozprawa zyskała premium, otaczając autora rozgłosem, o jakim nie marzył.

Ten chrzest literacki, odbyty przy tak hucznych oklaskach, namościł go już na całe życie. Odtąd Rousseau, poczuwszy skrzydła orle, nie myślał ich składać, ale pragnął lot jaknajszerszéj rozwinąć. Ku

1) Vie de Sénèque, 66.

2) Confessions; ks. 8 pod rokiem 1749.

temu potrzebował niezależności zupełnej od tego społeczeństwa, któremu niejako wypowiedział wojnę. Rozstał się więc z domem arystokratycznym gdzie pełnił obowiązki kasyera i dla utrzymania życia wziął się do przepisywania nut, ażeby żadne zobowiązania osobiste nie kępowały go w poświęceniu się zawodowi pisarskiemu. Postanowienie to przynosi mu tém większy zaszczyt, że gdyby talent swój chciał stosować do gustu powszechności, albo ku dworskim nakierować widokom, byłby mógł i aplauz zyskać na dobre i grosza sobie przysporzyć; gdy przeciwnie, stanowisko opozycyjne i wysoko reformistyczne, na którym stanął, bardzo wątpliwe przedstawiało widoki. Lubo zatem, wkrótce przedstawiona nareszcie jego opera „*Devin du village*,” dopełniła miary jego wziętości, nie chciał pozostać przy dworze, ani przedstawić się królowi i odmówił pensji której uczyniono mu nadzieję; a wszystko to uczynił trochę wprawdzie przez wrodzoną i nabytą nieśmiałość, która go w towarzystwie wykwintném czyniła zgoła niezdatnym i na co niejednokrotnie narzeka, głównie zaś dla utrzymania niepodległości osobistej i zachowania godności pisarskiej, której piękny obraz daje w swój „*Spowiedzi*,” a więc dla poświęcenia się odtąd zasadzie którą obrał za dewizę: *vitam impendere vero*.

We cztery lata po pierwszym konkursie, bo w r. 1753, Akademia diżońska ogłosiła inny, p. t.: „*Jaki jest początek nierówności pomiędzy ludźmi, i czy ona upoważnioną jest przez prawo natury?*”

Jak widzimy, Akademia ta nie może być posądzoną o ubieganie się za tematami bardzo konserwatywnymi: jak na ciało spokojne i czysto naukowe, temata jęj pachną nieco rewolucyjnie. Któżboto śmie mówić o nierówności, kiedy równość, jako hasło przewrotu, stała już prawie za drzwiami. Jeżeli kiedy, to tu, ze względu na stosunki ówczesne Francji, tak srodze uprawiające nierówność, najwłaściwiej można było zastosować przysłowie francuzkie: „*Il ne faut pas parler de la corde dans la maison d'un pendu*” ¹⁾. Akademia jednak była tyle śmiałą, czy tyle nieogłdną, by z pierwszym konkursem, któremu takie jak wiemy, dał rozwinięcie Rousseau, połączyć drugi, mogący w rozwinięciu tematu nastreczyć ogółowi bogate źródło rozmyślań, istniejącemu porządkowi rzeczy wcale nieprzychylnych. Zarówno z nami, zdziwił się i Rousseau temu że kwestyę tę „*Akademia śmiała proponować;*” ale niemniej odważny od Akademii, przedsięwziął ją po swojemu obrobić. Ta jego rozprawa jest w zasadzie niejako dalszym ciągiem pierwszjej, tylko znacznie uzupełnionym i przy mocniejszym rozwinięciu wiedzy, przy wielu uwagach niezmiernie trafnych w szczegółach, jeszcze bogatszym w paradoksa. Na paradoksie bo tóż polega całość, tak samo jak i poprzednia. Dwie nierówności postrzega Rousseau w rodzie ludzkim ²⁾: fizyczną, polegającą na przymiotach naturalnych; i moralną (powinien był raczej powiedzieć, cywilną), powstałą z różnicy przywi-

¹⁾ Nie trzeba wspominać o postronku w domu wisielca.

²⁾ *Origine de l'inégalité*, wstęp.

leją, jakich używają jedni z krzywdą drugich, jako to, jeżeli posiadają więcej bogactw, dostojęństw, władzy, a nawet jeżeli mają prawo rozkazywać. Rozprawa jego zatem ma za zadanie wskazać tę chwilę w biegu rzeczy, w której za wstąpieniem gwałtu na miejsce prawa, natura poddana została pod ustawę, i wytłómaczyć przez jakie to skojarzenie cudów, siły mógł się oddać na posługę słabemu, a lud okupywać rzekomy spokój za cenę szczęścia rzeczywistego. Rousseau istotnie zda się nie widzieć przed sobą, tylko Francję społeczną z całym jej zepsuciem klas używających wszelkich przywilejów cywilnych, i dla przeciwstawienia jej kreśli jakiś urojony stan natury, poprostu dzikości, któremu nadaje pierwszeństwo nad stanem społecznym, a to z dwóch zwłaszcza przyczyn: raz że człowiek w stanie natury ma jak najmniej potrzeb; powtórę, że jest wolnym, i ten przymiot wolności jedynym jest który go odróżnia od zwierząt. Z pomieszania rozmaitych pojęć i nagromadzenia rozmaitych sprzeczności, trudno z nim dojść do ładu w tém, czy jego stan natury odpowiada téj doskonałości nieruchomej człowieka, jaką posiadał gdy wyszedł z rąk Stwórcy, czy téj formie jaką przedstawiają ludzie społeczni, tak zwani dzicy, których stan kreśli raz w sposób przerażający, drugi raz zazdrości im że nie potrzebują męczyć się jak ludzie uspołecznieni. Zdaje się raczej iż ten jego stan natury jest stanem człowieka, który wychodzi z rąk Stwórcy, za pośrednictwem natury, zdrowy i dobry; i takim pozostałby nazawsze, gdyby mógł postępować wciąż i niezbochenie według jej wskazówek, ku czemu przeszkodę stanowią właśnie prawa i instytucje społeczne, sztuczne: stan zwany przez Russa pierwotnym, a więc poprzedzającym zarówno dzikość jak i uspołecznienie cywilne, będące tylko inną odmianą dzikości, stan, którego nigdzie nie napotykamy w historii, a który jest tylko czystym romansem wyobraźni autora. Kreśli on szczegółowo, zawsze, rozumie się, hypotetycznie i himerycznie, historię kształcenia się człowieka pod względem fizycznym i moralnym. Podnosi, płacząc się już wówczas, myśl ewolucyi i dyskutuje nad nią zupełnie w sposób przypominający dzisiejsze spory pomiędzy stronnikami Darwina i Quatrefages'a; a oświadczając się raczej przeciwko doktrynom materialistycznym, rozpoczyna od człowieka jako już istoty „dwunożnej,” tłumaczy w duchu Locke'a, ale zawsze z krytyką własną, rozwój instynktów psychicznych i mowy, doprowadzając tym sposobem człowieka do stanu gotowości ku uspołecznieniu.

Dwa główne tu upatruje on powody nierówności moralnej, a rozumie się i klęsk jakie ona za sobą pociąga.

Pierwszym jest jego doskonałość umysłowa; ale o tym powodzie wyraża się on nieśmiało i zgoła warunkowo, lubo tém niemniej powód ten figuruje wciąż na tle rozprawy, jako jeden z czynników siły obróconej przeciwko słabości. „Smutno byłoby nam, pisze ¹⁾, być zmuszonymi przyznać, że ta zdolność charakterystyczna (doskonalszość) i pra-

¹⁾ Origine de l'inégalité, wstęp.

wie nie ograniczona, jest źródłem wszystkich nieszczęść ludzkich; że to ona kolejną czasu wyprowadza go z tego stanu pierwotnego, w którym pędziłyby dnie spokojne i niewinne; że to ona, która z wiekami wytwarzając jego światła i błędy, jego występki i cnoty, czyni go z czasem tyranem samego siebie i natury. Byłoby okropnym zmuszonym być do pochwalenia jako istotę dobroczynną tego, kto pierwszy nasunął mieszkańcowi brzegów Orenoku, stosowanie tych tarcic, które umocowują do skroni swych dzieci, a które zapewniają im przynajmniej część ich głupoty i szczęścia pierwotnego." Według tego możnaby mniemać że pisarz ten potępia postęp, albo weni nie wierzy. Tak nie jest: on, choćby przedsiębiorąc reformę społeczeństwa, musi wierzyć w postęp. Tylko trudno bardziej mylić się co do idei postępu i tworzyć bardziej ograniczony ideał cywilizacji: usuwa on z niej nauki, sztukę, umiejętności, a w części i przemysł. Postęp dla Russa leży w rozwoju uczuć rodzinnych pod względem moralnym, a pod względem materialnym w równiejszym rozdziale dóbr, w zmniejszeniu nędzy na drodze prawodawczej, w ulżeniu cierpień ciężących na człowieku społecznym przez życie swobodniejsze i prostsze. Złoty wiek którego on żałuje i który wystawia w tém idealizowanym życiu dzikiem, polega na nieobecności zła moralnego a w części i fizycznego, na mierności pożądań, na stanie osamotnionym i prawie beczynnym.

Warunkowość wreszcie tego rozumowania o doskonałości nieograniczonej, nie potępia jeszcze stanowczo ukształcenia i domyślać się każe tylko pewnych warunków, pod jakimi ono prowadzonem być powinno; i wreszcie późniejszy autor „Emila“ musiał sobie taką rezerwę zostawić. Ale drugi powód nierówności, brzemienny klęskami, jest już bazwarunkowo stanowczym i bezwarunkowo a najgwałtowniej potępieniem.

Pierwszy to raz w Europie nowoczesnej odezwał się ten głos, donośniejszy i płodniejszy w następstwa niż głosy wszystkich Wolterów, Dalembertów i Hobbesów; głos który z pokolenia w pokolenie podawany masom, dziwnymi echemi powtarza się aż dotąd: to potępienie własności. I oto jak się odzywa o niej ten patryarcha socjalizmu ¹⁾. „Pierwszy, kto zagrodziwszy grunt jaki, śmiał powiedzieć: to moje, i znalazł ludzi tak prostych by mu uwierzyli, był istotnym założycielem społeczeństwa (*société civile*). Ileż zbrodni, wojen, nędz i zgrozy oszczędziłby był rodowi ludzkiemu ten, kto wyrwijąc kołki lub zasypując rów, zawołałby do swych bliźnich: strzeżcie się słucać tego oszkańca; zgubieni jesteście, jeżeli zapomnicie że płody są własnością wszystkich, a ziemia nieczyją." To pojęcie Russa skoncentrował po stu latach Prudhon w jednym wykrzykniku: „*La propriété c'est le vol!*” Ważną tę chwilę poprzedził naturalnie, według Russa szereg ewolucji doprowadzających, które z pojęciem własności głównie, zerwały błogłość owego stanu pierwotnego, problematycznego. Dopóki ludzie po-

¹⁾ Origine de l'inégalité, początek części drugiej.

przestawali na swych chatach sielskich, dopóki ograniczali się na robotach mogących wykonywać się przez jednego, na sztukach nie wymagających współdziałania wielu rąk, dopóty żyli wolni, zdrowi, dobrzy i szczęśliwi, o ile takimi mogli być z natury, i używali dóbr wzajemnego stosunku na stopie niepodległości. Ale od chwili gdy człowiek zapotrzebował pomocy drugiego, gdy spostrzeżono że pożyteczniej jest posiadać jednemu zapasy potrzebne dla dwóch, równość znikła, wprowadziła się własność, praca stała się potrzebną, a obszary leśne zamieniły się na wesołe pola, które zlewać trzeba było potem ludzkim, i na których niebawem niewolnictwo i nędza zakiełkowały i wzrosły razem z zasiewem. Metalurgia i rolnictwo były to, według niego, dwie sztuki, których wynalazek sprowadził ten wielki przewrót. „Dla poety, powiada, to złoto i srebro; ale dla filozofa, to żelazo i zboże ucywilizowały ludzi i zgubiły ród ludzki.”

To jednak zauważyć trzeba, pomimo goryczy słów Russa o własności, że w powyższym jego ustępie, tak często przytaczanym przez komunistów, nietyle on uderza na własność samą w sobie, jako na to że ona mianowicie stała się kamieniem węgielnym układu społecznego, a przez to, spowodowawszy nierówność, wyrodziła wiekuisty stan wojenny wśród ludzi. Przedmiotem więc prawa powinno być, ile możności kłaść kres tej wojnie anarchicznej, czyli, odbyć nasamprzód rewizję tej odwiecznej umowy między silnym i słabym. Rewizya ta, która wykazała że społecznie umowa taka, zapewniająca bogatemu dobra, nie zapewnia jednak, tak jak to było celem jej pierwiastkowym, życia i wolności wszystkim, a przeciwnie, wszystkie korzyści przeciąga na stronę małej liczby przeciwko masom,—rewizya taka, powiadamy, brzemioną jest silnym przecuciem tej ery przewrotów przepowiedzianej później w „Emilu.” Przecucie też to stanowi główną oryginalność rozprawy tej, poprzerzynanej groźnemi błyskawicami.

Wziąwszy za punkt wyjścia własność tak pojętą, Rousseau z łaźnością już i z żelazną logiką rozwija z niej wszystkie namiętności dążące do ujarznienia jednych przez drugich, cichaczem dochodzą aż do ujarznienia wszystkich przez jednego. Tak iż ta jego rozprawa, osłodzona cukierkiem dla rządów sławnej pamięci Ludwika XIV, jest niczem inuém tylko grubym szkicem, zaledwie zaczątkowym programatem rzeczywospolitej socjalistycznej, za prototyp i cel mającej zwrot do pierwotnego stanu ludzkości, a w połączeniu z poprzednią, stanowi introdukcją do tej wielkiej opery rewolucyjnej, którą z większym niż muzyczne powodzeniem przedstawił Rousseau p. t. „Contrat social” i „Emil.” Politycznie, pierwszy ten jego manifest radykalny zamierza tylko podstawić jakąś urojoną równość na miejsce nierówności nadzwyczajnej, czyli utopią na miejsce nadużycia. Filozoficznie, pomimo silnych protestacyi na rzecz Boga i Opatrzności, traci ona materyalizmem, ponieważ nie bierze zgoła żywiołu zasługi w rachunek nierówności, a z wytłómaczenia formacyi społecznej usuwa tak samo wszelki pierwiastek wrodzony, jak go usunął Condillac z wytłómaczenia duszy.

Tu mimowolnie stanął Rousseau po stronie wieku który potępia, i po stronie filozofii z którą idzie w zapasy.

Czy to przerażono się takiego rozwiązania, którego zapewne nikt nie oczekiwał, czy że z paradoksem naraz tylko udaje się sztuka, dosyć, że rozprawa ta, w kwestyi najgroźniejszej nie miała takiego rozgłosu jak poprzednia; a Wolter przesyłając mu powinszowania ironiczne, wyraził się: „czytając ciebie, ocho!ta bierze chodźć na czterech łapach.” Niechętni widzą w tój rozprawie tylko pyszny szal rozdrażnionej wrażliwości, podstawienie zepsucia francuzkiego na miejsce cywilizacji wszechludzkiej, oburzenie przeciw bogactwu którego nie posiadał sam, pamięć niewygasałą uraz osobistych; i ci niechętni mają częściową słusność: wszystko to wpłynęło na jego rozumowania, ale wpływ nie na tём się tylko ograniczał. Rousseau żywił szczere przekonanie że społeczeństwo jest złém i że potrzebuje reformy: oto główny grunt jego myśli, paradoks i utopia stanowi tylko jój oprawę i przyprawę. Coście zrobili z temi środkami w jakie was uposażyła natura? zdaje się mówić; użyliście ich na to ażeby zamiast szczęścia, uczynić piekło na ziemi. Nie byłby synem swego wieku, gdyby nie wywiesił chorągwi „szczęścia społecznego,” które było wówczas przedmiotem powszechnym pionierstwa myślicieli: Rousseau tём nie poprzestanie na tych ekskursjach dorywczych, z cudzego tylko impulsu podejmowanych, odbywanych zbyt pośpiesznie i pobieżnie ażeby mogły należycie i wszechstronnie wybađać tę tajemniczą krainę szczęścia. Weźmie się do tego z inicjatywy własnej, pracować będzie rozważnie i metodycznie, ogarnie szczegółowo wszystkie kierunki życia i postara się zaprowadzić między niemi odpowiednią harmonię; ale już główna myśl reformistyczna, polegająca na odprowadzeniu człowieka do stanu pierwotnego, to jest do utopii, nie przestanie być odtąd jego przewodniczką. Nie będzie on budował tak jak chce Monteskiusz, opierając się na historyi, i z nadzwyczajną ścisłością usiłując to co będzie, wyprowadzić z tego co było; nie przyjmie za podstawę budowy tego co sobie istnieje postępowego wypracowały wieki, ale zapragnie zrzucić wszystko (*commençons par rejeter tous les faits, ils ne touchent pas à notre question*), i budowę rozpocząć zupełnie z gruntu według swojego własnego planu i z własnego materiału. Oto misya jaką wyznaczył sobie Rousseau, i jaką w swoim kierunku spełnił, różniąc się tём od Woltera, że tamten był tylko destruktozem, i to głównie w jednym kierunku (religijnym), kiedy Rousseau ogarnął kierunki wszystkie, jako destruktor zarówno jak konstruktor. I z budowy jego dotąd utrzymało się kilka dzielnic niezdruzgotanych ręką czasu. Jego sposób zapatrywania się na przyczyny nierówności, przeszedł następnie przez alembik rozmaitych namysłów i wyszedł w rozmaitych postaciach, jużto doktryn politycznych, już systematów naukowych. Własność, którą on pierwszy potrzęsnał tak, że aż zwróciła uwagę, stała się przedmiotem troskliwych badań i tylko nazwy jój rozwoju przybrały znamiona bliższe znaczenia rzeczy: zamiast przeciwstawienia majątku do ubóstwa, mamy

dziś kapitał i pracę, zamiast panów i niewolników mamy wyszukujących i wyszukiwanych. Nauka i namiętność nie spoczęły na tój drodze, na której on zuchwale pierwszy krok postawił.

Ażby misję swą skutecznie * prowadzić dalej, Rousseau uważał, że wypada mu załatwić z samym sobą rachunek nie zamknięty od czasów młodości. Jeszcze ta druga jego rozprawa nie została wydrukowaną, kiedy on, w r. 1754. korzystając z pewnej sposobności, udał się do miasta rodzinnego. Widok Genewy, rozbudzone wspomnienia lat dzieciennych, dodały nowego bodźca jego zapałowi republikańskiemu, a dobre przyjęcie, jakiego doznał od współziomków, jeszcze ten zapał wzmogło. Postanowił więc odzyskać przedawnione niejako prawa obywatela w swym kraju, a tём samém powrócić do religii przodków, której lekkomyślnie wyrzekł się zamłodu. Dokonawszy tych formalności, już miał pojechać na chwilę do Paryża, ażeby tylko urządzić interesy domowe, by potem, zabrawszy Teresę, stałe osiedlić się w Genewie, ile inne okoliczności zamiar ten wstrzymały, a było ich aż trzy. Nasamprzód, dostojni panowie radni (magnifiques seigneurs), sławetnego miasta Genewy, nie z wielkim zapałem przyjęli obszerną dedykację jego drugiej rozprawy, co go znacznie ku Genewie ostudziło. Powtóre, tuż w sąsiedztwie tego miasta, założył sobie, w Ferney, stałą siedzibę Wolter, od którego on zawsze wolał być dalej niż bliżej, obawiając się (czego wszakże jawnie nie wyznaje), ażeby jutrzeńka jego reputacji pisarskiej nie spełzła przy słońcu sławy tamtego: rzeczywiście, bez względu na to, jaka była wartość ich prac piśmiennych, biorąc porównawczo, Rousseau, niemrawy, niewymowny, myślący leniwo, giął zupełnie w towarzystwie obok Woltera, który był przytomny, giętki, grand seigneur; i często tęż uskarża się na te różnice przyrodzone biedny towarzysz Teresy, zapewniające nad nim taką wyższość jego współzawodnikowi. Po trzecie, pod ten czas właśnie pani d'Epina y ofiarowała mu rozkoszne mieszkanie.

Od młodości zamikowany aż do entuzjazmu w naturze i życiu sielskiem, najpodatniejszym do jego samotnych rozmyślań, Rousseau skłonił się przyjąć ofiarę pani d'Epina y, żony dzierżawcy generalnego, i w kwietniu 1756 r. osiadł w pobliżu Paryża, w miejscowości zwanój Hermitage, który przypomniiał mu rozkosze życia w Charmettes, obok pani Warens. Odtąd tęż nie wrócił na stałe zamieszkanie do Paryża, aż dopiéro kiedyś, po wielu przebytych burzach; a ciągły pobyt w ustrojach wiejskich był epoką najplodniejszą jego twórczości.

Ze wszystkich prac, jakie miał w tece, tą, która go najbardziej zajmowała całe życie, były „Instytucje polityczne.” Pierwszą myśl tój pracy, powziął on jeszcze za pobytu w Wenecyi, gdzie miał sposobność poznać wady tamecznego rządu. Odtąd poglądy jego wielce się rozszerzyły przez studia historyczne nad moralnością. W jego przekonaniu wszystko wiązało się głównie z polityką, i myślał, że bądź cobądź, wszelki lud tём tylko stać się może, czém go uczyni natura jego rządu.

Tak więc ta wielka kwestya, jaki rząd jest najlepszym, sprowadziła się w jego pojęciu do pytania: jaka jest natura rządu najwłaściwszego, do zrobienia ludu najcnotliwszym, najoświećszym, najmędrszym, słowem najlepszym, w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu? Pytanie to rozłożyło się znowu drogą prostą analizy na inne pytania: Jakim jest rząd, który z natury swęj trzyma się zawsze najbliżej prawa? Dalej, co to jest prawo? I tym sposobem rozwinął się przed jego umyśłem łańcuch podobnie ważnych pytań. Lubo już około sześciu lat pracował nad tém dziełem, co mu znacznie ułatwiło śpieszne wykonanie dwóch poprzednich rozpraw w duchu rozmyślań, jakie nad tém odbywał, dzieła tego, według pierwotnego planu, nie dokończył on nigdy, ułamek jego tylko dostał się do „Contrat social,” lubo po naturze przedmiotu domyśleć się można, że do tego traktatu wpłynęły wszystkie główne myśli pracy niedokończonęj.

Jednocześnie przeglądał i opracowywał ogromny zbiór rękopismów, pozostałych po głośnym polityku Abbé de Saint-Pierre. Utyskuje on na mózół, jakiego przy téj pracy, podjętej na prośbę rodziny zmarłego, doznawał. Przebrnąwszy jednak przez ocean wodnistości, pousuwawszy dużo gadaniny płytkiej, zdołał wygotować do druku dwa tylko dzieła: „O wiecznym pokoju” i „Polysynodię.” Ponieważ zaś nie ze wszystkimi ogłoszonymi w tych dziełach zgadzał się zasadami, żeby więc ogół nie sądził, iż zajmując się ich redakcją, przyjmuje zarazem doktrynę, do każdego z tych dzieł dołączył krytykę własną.

Obok tego nudnego zajęcia, szkicował on pewien rodzaj monografii psychologicznęj, której nadać miał tytuł: „Morale sensitive,” do której pochop wziął z zastanawiania się nad niektórymi objawami własnéj jaźni. Zauważył nasamprzód u siebie, a następnie i u innych, że ludzie w biegu życia często bywają, niepodobni do siebie samych i zdają się w pewnych porach przemieniać na ludzi całkiem innych. Postanowił więc poszukiwać powodów tych zmian, i główną zwrócić uwagę na te, które od woli naszęj zależą, ażeby je ku udoskonaleniu naszemu skierować. Badając siebie i innych dla wykrycia na czém zmiany te należą, wpadł na myśl, że powodem ich jest wrażenie, otrzymane poprzednio od przedmiotów zewnętrznych; oraz że ustawicznie zostając pod wpływem zmysłów naszych i narządów, bezwiednie do naszych pojęć, uczuć, a nawet czynów, przenosimy skutek tego wpływu. Ponieważ więc jego obserwacye ściągały się do gruntu fizycznego, widział on możliwość ustanowienia zasady, na mocy której możnaby było oprzecz jakiś tryb zewnętrzny, urozmaicony stosownie do okoliczności, a utrzymujący duszę lub wprowadzający ją w stan najpodatniejszy do praktykowania cnoty. „Ileż zbroceń możnaby oszczędzić rozumowi, powiada, ile występków możnaby nie dopuścić nawet w zarodzie, gdybyśmy umieli zmusić ekonomię zwierzęcą do sprzyjania porządkowi moralnemu, który ona tak często nadwiera! Klimaty, pory roku, rodzaj pożywienia, wrzawa, cisza, ruch, spoczynek, wszystko oddziaływa na naszą machinę, a tém samém i na naszą duszę; wszystko to dostarcza nam tysiącz-

nych środków, niemal pewnych do zawładania w ich pierwiastku naszymi uczuciami, którym panować nad sobą pozwalamy" !). Taki był plan zasadniczy dzieła, którego wprawdzie nigdy nie wykonał Rousseau, ale którego szkic wskazuje, że autor w samém upatrzeniu zależności fenomenów duchowych od organizmu, mimowolnie może stawał na gruncie pozytywnym myślenia, gdzie spotkałby się musiał z takimi materyalistami we Francyi, jak: Holbach, Lamettrie i bezimienny twórca dzieła „Système de la nature,” przeciwko któremu wystąpił jednak z całą zajadłością, jakiej dotąd przebaczyć mu nie mogą stronnicy teorii pozytywnych.

Ta sprawa zmienności usposobień duchowych témbardziej teraz mogła go bliżej i głębiej zajmować, że sam wielką zmianę dostrzegał w sobie. Debiut literacki rzucił go w nowy świat intelektualny, na którego prostą a dumną ekonomikę nie mógł spoglądać bez zapału. W miarę głębszego zastanawiania się, błędy tylko i cześć widział w dziełach uczonych, a ucisk i nędzę w porządku społecznym. W złudzeniu zaślepionej dumy wyobrażał sobie, że zdoła rozwiązać te uroki, a sądząc, że, aby być słuchanym, potrzebuje przedewszystkiēm ustanowić zgodność u siebie pomiędzy postępowaniem i zasadami, wszystkie usiłowania ku tēj zgodności skierował. Sam oświadcza o sobie, że jeżeli dotąd był dobrym, teraz stał się cnotliwym, a przynajmniej upojonym cnotą. Upojenie to poczęło się w głowie, ale przeszło i do serca. Najszlachetniejsza дума osiadła tam na szczątkach próżności wykorzenionej. Nie grał żadnej roli nie swojej: stał się rzeczywiście takim, jakim się przedstawiał; a przez lat blisko sześć, jak trwała ta egzaltacya, nie było nic tak wzniosłego, do czego podjęcia nie byłby gotowym. Ztąd tēż nagle zrodziła się u niego wymowa, któręj niēmiał nigdy, ztąd tēż powstał ten święty ogień natchnienia, rozlewający się w pierwszych księgach, jakie wtedy wyszły z pod jego ręki, ogień, którego przez lat czterdzieści nie przysła ani jedna iskierka, bo nic go jeszcze nie roznieciło. Przeistoczył się istotnie: przyjaciele i znajomi nie mogli go poznać. Nie był to już ów człowiek nieśmiały, raczēj wstydlivy niż skromny, który nie umiał ani przedstawić się ani porządnie ust otworzyć; człowiek, którego zbijało z tropu lada żartobliwe słówko, a spojrzenie kobiety przyprawiało o rumieniec. Śmiały, dumny, nieugięty, wszędy zachowywał pewność siebie tēm silniejszą, że była prostą i leżała więcj w duszy jego, niż w obejściu. Pogarda, jaką głębokie rozmyślenia przejęły go dla obyczajów, zasad i przesądów wieku, czyniła go nieczułym na szyderstwa tych, którzy byli typami tego wieku; a jednēm zdaniem kruszył ich koncepta, jak robaka w palcach. Jakaż to ogromna zmiana! Cały Paryż powtarzał teraz ostre i gryzące sarkazmy tego samego człowieka, który dwa lata przedtēm i w dziesięć lat potēm, nigdy nie mógł na razie znaleźć tego, co był powinien powiedzieć, ani natrafić na wyraz, który-

1) Confessions, ks. 9, pod rokiem 1756.

by myśl jego oddał i dopięro na schodach wszystko sobie należycie uszykował.

A cała ta zmiana, całe to podbudzenie energii żywotnej, stawiające go wyżej nad usposobienie przyrodzone, cały ten nawet zwrot do cnoty, o ile da się wywnioskować z jego spowiedzi, zawdzięczał Rousseau nie czemu innemu, tylko widokowi nędz i występków we Francyi, a zwłaszcza w Paryżu. Z obrzydzenia ku złemu chciał się postawić na wprost odwrotném stonowisku moralném, wysiłek uczynił go silnym, im większą ucuwał nienawiść do występku, tém większa miłość pałała w nim dla cnoty. Ale w miarę oddalania się od tego widoku, egzaltacya ta słabła; stan stawał się łagodniejszym, lecz mniej wzniosłym i niepostrzeżenie ów chwilowy Samson znowu po latach kilku został napowrót bojaźliwym, uległym, nieśmiałym, słowem tym samym Janem-Jakóbcem, który przedtém więcej ludzi rozśmieszał niż budował.

Otóż te wpływy otoczenia na organizm duchowy, miały być przedmiotem ścisłej analizy w owém dziele psychologiczno-moralném; i zapewne straciła coś na tém literatura, a może i umiejętność, że ono w szkicu tylko pozostało.

Za to obmyślał on tam pilnie system wychowania, o zajęcie się którym prosiła go pani de Chenonceaux, a to z téj racyi, że widząc jak wychowanym był jój mąż, drżała o wychowanie swego syna. Ani się domyślała zacna niewiasta, jaką przysługę insynuacya jój wyświadczała światu i zarazem jaki pożar roznieci rzucona przez nią iskierka, pośród téj staréj rudery, która zwała się wówczas edukacyą. Miała to być zrazu instrukeya przyjacielska i poufna, ale wśród takiego usposobienia, w jakim podówczas znajdował się Rousseau, wyrosła do rozmiarów, które uczyniły z niej istną teorię moralną natury ludzkiej, poruszającą wszystkie wielkie kwestye moralności, polityki i religii: to Emil!

Wszystkie te przedmioty obmyślał i opracowywał Rousseau na przechadzkach, inaczej bowiem nie umiał, jak twierdzi niejednokrotnie, myśleć o rzeczach skali wyższej ani ich w formę odpowiednią układać¹⁾. Zabezpieczył się także co do roboty gabinetowej na wypadek niepogody i układał swój „Słownik muzyczny;” nadto czytywał wtedy książki czerpane z biblioteki królewskiej.

Mówiąc o wzroście swéj cnoty, Rousseau zdaje się głównie objaw ten stosować do swego pożycia z Teresą, z jój niecznośną a nicodczepną matką i całą dynastją Levasseurów. Przyjaciele jego, jak pani d'Épinay, Diderot, Holbach i nowy znajomy Grimm, widocznie uważali, i nie bez słuszności, że ten stosunek niekorzystnie na niego oddziaływa, że jest dlań niewłaściwy i stanowi wielką zawadę w zawodzie, do którego był powołanym. A nie mogąc działać na niego bezpośrednio, rozpo-

¹⁾ „Je ne puis méditer qu'en marchant; sitôt que je m'arrête, je ne pense plus, et ma tête ne va qu'avec mes pieds.”

częli tajemne knowania z matką Levasseur, mające na celu rozwiązanie tego stosunku. Rousseau, przez wzgląd na Teresę, która była doń szczerze przywiązana, oraz z uwagi na przyrzeczenie, jakie jój niegdyś uczynił, że nie opuści jój nigdy, z oburzeniem przyjmował te intencje przyjaciół, mieszających się w nieswoje rzeczy i pomimo okrutnych udřeceń, jakich w tym stosunku doznawał, nie tylko nie rozluźniał go nigdy, ale znosił utrapienia z największą rezygnacją, ze spokojem, z przebaczeniem dla winnych; owszem, coraz więcej zbliżał się do Teresy, uznawał ją za część integralną swojej istoty, tak, że aż przy schyłku życia połączył się z nią legalnym węzłem małżeńskim.

A jednak, o! dziwo kontrastów! Jeżeli z jednej strony Rousseau czyni wszelkie usiłowania, jeżeli rozbija się o to, ażeby nie dać sobie wydrżać tój wybranej, i to nie tylko już w moc obowiązku, ale z potrzeby serca, z drugiej nie kryje tego bynajmniej, że jój wcale nie kocha, tą miłością, której dusza jego potrzebowała, nie kocha jój zarówno, jak nie kochał pani Warens. Zkąd zatem te wszystkie uniesienia? Wszystko co mówi Rousseau dla wyjaśnienia siebie, jeszcze go bardziej w oczach naszych zaćmiewa: paradoksalność jego uczuć nie mniejszą jest od paradoksalności jego umysłu. Kocha on i wspomnieniami i obecnością, a utyskuje gorzko na to, że serce jego, pełne żądz, zgoła próżnym jest zadowolenia; stan zaś jego, w czterdziestym piątym roku życia tём jest nieznośniejszym, że projektów na przyszłość tworzyć już nie może i że nie było nawet dlań innego, który byłby lepszym. „Złotyłem, powiada, wszystkie moje uczucia w osobie według mego serca, która mi je wywzajemniała. Tajemny jednak ucisk serca nie opuszczał mnie ani przy niej, ani zdala od niej.” Chciałby on dla siebie jakiegoś dziwnego monopolu miłości i brak takiej wyłączności podaje za powód niezadowolenia serca. Ale tłómaczy to sobie błędnie. Po prostu, z całego wizerunku swego, jaki nam przedstawia, widać, że w nim nastrój erotyczny przemagał i wszystkie chłonał potrzeby serca; zawiele żądał od zmysłów, a wyobraźnia jego zanadto ulegała marzycielstwu, ażeby mógł poprzestawać na zadowoleniach natury więcej duchowej; brak ten więc i tę czezość swego serca mylnie odnosił do przedmiotów: leżał on już w podmiocie samym. Są ludzie podobni jemu, u których przedrażnienie zmysłów przeszkadza uczuciu całe życie; ubiegają się za coraz nowymi przedmiotami bez większego zadowolenia niż przedtём; schodzą z ziemi nie kochając, z narzekaniem, że nie znaleźli nikogo po swoim sercu.

Rousseau zanadto żył imaginacją i zmysłami, ażeby mógł pokochać prawdziwie. A jak nie zadowolniła go pani Warens i Teresa, tak byłaby go nie zadowolniła i żadna inna. Dęczone tym sentymentalizmem i marami erotycznymi, w które osoby rzeczywiście nigdyby się gwoli jemu prziczożyć nie mogły, „goniąc i błędząc, w błędach nieustrudzony goniec,” wyrwał się do samotności, by tam przywoływać przeszłości widma: pannę Galley, Graffenried, Breil, panią Bazile, Larnage, młode uczennice swe i tę uroczą Zuliettę, której serce jego nigdy

zapomnieć nie mogło. Czterdziestopięcioletni filozof, wśród zajęć najwyższej wagi, chwycił te echa młodzieńczych gruchań pasterskich, aby ułudą zapełnić bezdenną czczość serca.

A kiedy i to się zużyło, bujna i podrażniona wyobraźnia dostarczać mu zaczęła istot według pożądań. W nieustannéj ekstazie, wyobrażał sobie miłość, przyjaźń, dwa bożyszcza jego serca, w postaciach najczarowniejszych. Z lubością zdobił je we wszystkie powaby płci, którą uwielbiał zawsze. Utworzył sobie dwie przyjaciółki, nadał im charaktery podobne a różne; dwie postacie, nie zupełnie doskonałe, ale według swego gustu, ożywione dobrocią i czułością. Jedna była ciemna a druga płowa; jedna żywa, druga poważna; jedna silna, druga słaba, ale słabością tak wzruszającą, że cnota na niej zdawała się zyskiwać. Jedną z nich obdarzył kochankiem, którego druga była czuką przyjaciółką, a nawet czémś więcej; ale nie dopuścił ani rywalizacji, ani kłótni, ani zazdrości, raz dlatego, że wyobraźnię jego nie stać było na tworzenie uczuć przykrych, powtóre, że nie chciał zaćmiewać tego uśmiechliwego obrazu niczém, coby naturę przedstawiało z ujemnej strony. Zachwycony swemi dwiema lubemi postaciami, siebie samego identyfikował w kochanku i przyjacielu, o ile mógł; ale uczynił go przyjemnym i młodym, nadając mu przymioty i wady, jakie upatrywał w sobie. Ażeby dla swego personelu urządzić odpowiednią scenę, myślał przebiegał okolice najczarowniejsze, jakie w życiu kiedykolwiek widział, i z tych wspomnień utworzył kompilacją tak gorącą, z takim głębokim poczuciem piękności natury ułożoną, że chyba we śnie można coś podobnego wymarzyć.

Romans ten jego, kejący do pewnego stopnia braku rzeczywistości, nie powstał pod jego piórem odrazu, tak jak i nie wreszcie, co przez te lat sześć porozpoczynał. Mięszając zatrudnienia dla ulgi roboty przez jój urozmaicenie, przechodził on często od jednego przedmiotu do drugiego, w miarę nastroju. Postępowanie takie miało nadto ten skutek, że wszystkie jego owoczesne prace jakiegobądź natury, traktaty, rozprawy, listy, romanse, zawierają pewną jednolitość myśli i zapatrywań, nie przeczą sobie w zasadach głównych, owszem, dopełniają niejako sumę i naturę wyobrażeń. Romans, o którym mówimy, pisany był w przerwach, bez porządku wypadków, ale w miarę przejęcia się jakąś myślą szczegółową, lub sytuacją: znać téż te przerwy i ten brak ciągu w wykonaniu, zwłaszcza pomiędzy częścią pierwszą i drugą. Podbudzenie erotyczne, w jakim autor zostawał, zwiększyło się jeszcze okolicznością rzeczywistą, za przybyciem do Hermitage pani de Houdetot, siostry pana d'Epinay, w której zakochał się Rousseau nie na żarty, ale bez ujmy uczuciu, jakie miał dla Teresy. Plan jego dzieła skomplikował się tym szczegółem, z którego powstały dwie postacie główne: Julia i Wolmar.

Takimto sposobem zrodziła się owa sławna „Nowa Heloiza,” czarująca sielanka, która w swoim czasie tyle głów nazawracała; utwór wyjęty wprost z pod serca, a tak doskonale malujący całą istotę Russa, z jego wiarą, uczuciem, aspiracyami, z jego filozofią i jego religią natu-

ralną, że nikt nigdy na świecie prawdziwszego i doskonalszego zwierciadła duszy swęj nie przedstawił. Ale jak pierwowzór nie miał w sobie należytego zdrowia, tak pozbawionym go jest i utwór. Zmysłowość, lubo powściągnięta cnotą i względem na obowiązki, zajmuje tam szerokie miejsce, wyznacza się obrazami bardzo subtelnymi, a co większa, jak w samym autorze, uchodzić ma pretensją za uczucie czysto duchowe: usprawiedliwienie samobójstwa ¹⁾ motywowane tam zbyt silnie i ponętnie, by nie miało w oczach niektórych uchodzić za zasadę sprawiedliwą. Nie stanął jednak w tym utworze bynajmniej Rousseau w niezgodzie z prawami moralnymi. Obrazowanie miłości egzaltowanej, silnej i głębokiej, która jednak niebawem wraca pod jarzmo surowego obowiązku, a nawet romantycznie heroicznego, czystsze było nierównie, niż powszechne obyczaje spółczesnej społeczności. Zboczenia, jakie ono przedstawia, są tylko zboczeniami serca, nie uczuwającego dostatecznie prawdy życiowej, niepomnego na analogią i proporcją. Zboczenia te jednak okupuje teza, polegająca na dobroci wrodzonej człowieka, podnoszenie uczucia moralnego, obrona wolnej woli, nareszcie rewindykacja świętości małżeństwa. Barwna i szeroko obrazowana psychologia tego romansu, jakkolwiek wadliwa w zasadzie, miała tę zaletę, że zabiła w upodobaniu czytelników te tania a liche efekty teatralne, które współcześni mierni powieściopisarze umieli uczynić modnemi i za którymi ubiegali się czytelnicy. Sztuka, jeśli nie koniecznie moralność, zwłaszcza czysta umysłów niedojrzałych, zyskała na tém. „Nowa Heloiza” stanowi rzeczywiście pierwotyp, przegrywkę do romansów, że ich tak nazwę, wewnętrznych, w których, z wielką dla sztuki korzyścią, na pierwszym planie stoi malatura człowieka, z jego zasadami i pojęciami o zadaniach życia, z jego uczuciami i charakterem, z jego zapatrywaniem się na świat i obowiązki. Wpływu tego najpierwszy doznał na sobie Gothe, tworząc swego „Wertera” i odtąd różne szkoły, mianowicie angielska, trzymają się téj metody w romansie. Słynna autorka francuzka, George Sand, jest córką duchową Russa, przypominającą w swęj fizygnomii główne rysy protoplasty, tak co do zasad filozoficznych i religijnych, jako i co do metody traktowania romansu.

Pomimo tych dystrakcyi, połączonych z dość liczną korespondencją, rozpoczyna się niebawem dla Russa szereg nowych utrapień, spowodowanych częścią jego kapryśnym charakterem, częścią niewyrozumiałością przyjaciół. Poróżniwszy się nagle z panią d'Epina y i Grimmem, zarówno jak z Diderotem, po szorstkiem obejściu się pani d'Epina y, opuścił on Hermitage (r. 1757), odesłał do Paryża mamę Levasseur, główną intrygantkę we wszystkich jego nieprzyjemnościach i osiadł w Montmorency.

Zdjęty monomanią pesymistyczną, w odpowiedzi na artykuł w Encyklopedyi: „Genewa,” napisany przez d'Alemberta, gdzie między innymi filozof ten domaga się przywrócenia tam widowisk publicznych,

¹⁾ Część II, list 1.

tu już Rousseau ogłosił swój sławny „List do d'Alemberta,” a właściwie traktat obszerny i mocno motywowany przeciwko widowiskom, jako rzeczym dla moralności szkodliwym.

Nowy to paradoks, w duchu dwóch rozpraw konkursowych, napisany jednak z wielką wymową i werwą, który przeto był rozchwytywany, zrobił wielkie wrażenie i autorowi przyniósł niemały dochód. Oczywiście, ponieważ każda rzecz ma dwie strony, jeżeli więc ktoś zakryje jasną, a przyczepi się jedynie do ciemnej i tę charakterystycznie rozwinie, może mieć za sobą wszystkie pozory prawdy, zwłaszcza u ludzi, którzy na tej jednostronności poznać się nie chcą, czy nie mogą. Czém jednak, jeśli nie paradoksalnością natury, wytłómaczyć to, że ten sam człowiek, który ubiegał się o przedstawienie swych oper na teatrze, teraz z tak prawdziwem i szczerem oburzeniem występuje przeciwko teatrowi, że aż uważa to sobie za obowiązek względem swój ojczyzny? Gdybyśmy nie znali jego bezinteresowności i niepodległości, możnaby mniemać, iż chciał przeto przypochlebić się purytanizmowi pastorów Genewskich, którzy teatr z łona swój ojczyzny wyrzucili. Ale tak nie było. To tylko dalszy ciąg sprzeczności w człowieku, który sam chciwie biorąc się do nauki i życie jej poświęcając, w danym razie zwraca się przeciwko naukom i uczonym, uważając ich za plagę społeczną; który upajając się dziełami cywilizacji, przenosi nad nią stan pierwotny.

Jakkolwiek to jeden z obszerniejszych traktatów Russa, nie mamy powodu zastanawiać się nad nim, gdy krytyka wieków rozwiązała w ostatniej instancyi kwestyę. Po dobrém jednak wczytaniu się w treść traktatu, nie trudno dostrzedz, że on wymierzony jest nie przeciwko teatrowi w zasadzie, ale przeciwko czarnym jego punktom. Jakież bo pytania rozwiązać ma ten traktat? Oto: czy widowiska są dobre, lub złe same w sobie? czy mogą godzić się z obyczajami? czy znosi je surowość republikańska? czy można je cierpieć w małym miasteczku? czy zawód aktora może być ucziwym? czy aktorki mogą być tak ucziwymi, jak inne kobiety? czy dobre prawa wystarczają dla powstrzymania nadużyć? czy prawa te mogą być ściśle przestrzegane?

Przyznajmy, że niektóre z tych pytań, nie wymieniając ich, stoją dziś jeszcze z równą siłą, jak za czasów Russa, nie jednak nie upoważnia nas do przemawiania za obaleniem teatrów, lecz tylko za ich reformą. Ale Rousseau ani tu, ani nigdzie, nie chciał słuchać o reformach i poprawach. Był-to w całym znaczeniu radykalista: jak w jakimś dziele widział złe, dewizą jego było znieść i postawić co innego. Co do wartości teatru in merito, nie widzi on w nim pożytku, ale tylko zabawę, ta zaś, ażeby była istotną, musi schlebiać skłonnościom ludu, choćby te były złe: inaczej, lud odwróci się od niej. „Lud dzielny, poważny i okrutny, powiada, chce widowisk narodowych i niebezpiecznych, w których jaśnieje waleczność i zimna krew... Lud lubieżny chce muzyki i tańców. Lud wykwintny chce miłości i grzeczności. Lud lekkomyślny przepada za krotoczwilą i śmiesznością. Ażeby więc im się podobać trzeba im dać widowiska odpowiednie ich skłonnościom, zamiast takich,

któreby je moderowały.“ I tu rozprawia Rousseau tak, jakby tylko co wyszedł z przedstawienia „Pięknój Heleny,” która dowiodła nam, że właściwie, o tém stosowaniu się widowisk do gustów publiczności, można pisać to samo w roku 1880, co pisało się na sto dwadzieścia dwa lat przedtém, to jest w roku 1758. „W Londynie, mówi na inném miejscu Rousseau, dramat interesuje, jeżeli każe nienawidzić Francuzów; w Tunisie, piękném uczuciem byłoby korsarstwo; w Messynie, dobrze zaprawna zemsta; w Goa, zaszczyt spalenia żyda. Niechajże autor lekceważy te maksymy, to może utworzyć bardzo piękną sztukę, na którą nikt chodzić nie będzie: wtedy trzeba będzie posądzić autora o nieświadomość tego, co stanowi pierwsze prawo jego sztuki, służące za podstawę wszystkim innym, czyli powodzenie.”

Nie powiadamy, jakieby wnioski uczynił Rousseau na rzecz determinacyi dzisiejszego społeczeństwa, gdyby wiedział, że warunkiem powodzenia sztuki są lekceje prostytucyi, jako najliczniej reprezentowane w teatrze i najliczniejszą ściągające publiczność, zarówno u nas jak gdzieindziej; ale i tu przyznać musimy, że i dziś jeszcze ta jego uwaga należy do czarnych punktów teatru. A tych w jego traktacie zebrała się taka liczba, że, bez względu na powodzenie, jakie on miał w swoim czasie, i dziś jeszcze wiele pożytecznych myśli zeń wyciągnąć można. Jestto rzecz napisana ze spokojem, godnością i z wielkim smakiem: widać w tém piękném dziele, wymownym i dowcipnym epilogu do rozprawy pierwszej o przywróceniu nauk i sztuk, wpływ republiki Platona, który wyganiał poetów z państwa w imię moralności, oraz wpływ kalwinizmu, który zamykał teatru, zarówno jak obrazy i posągi z wnętrza kościołów wydierał. Jakaż tam wreszcie szlachetna panuje protestacya na rzecz wrodzonego uczucia wstydlivości; jaka wszędzie podniosłość duchowa i odwołanie się przeciwko duchowi rozwiozłości do ducha rodziny. Tam to już, jak zarówno w „Nowej Heloizie” zapowiedziany jest „Emil,” tak samo, jak w rozprawie „O nierówności” zapowiedziany został „Contrat social.” To jedno tylko rozprawie o widowiskach zarzucić można, iż nie w porę została ogłoszona. I to wówczas, kiedy toczyły się zacięte spory między duchowieństwem i ludźmi świeckimi o wartość i utrzymanie teatrów, i kiedy aktorom odmawiano pogrzebu w miejscu poświęconém: wolnomyśliciel stanął po stronie fanatyzmu, rozumie się, bynajmniej o tém nie myśląc, ale z równym fanatyzmem filozoficznym. „Pomimo zgnębienia, w jakim zostawałem, mówi ¹⁾, pomimo zmartwień i cierpień fizycznych, surowej pory i niedogodności nowego mieszkania (w Mont-Louis), wzięłem się do roboty z gorliwością, która przemogła to wszystko.” A którą, dodamy od siebie, godną była lepszej sprawy.

To jednak zyskał na tém autor, trudniący się wciąż dotąd przepisywaniem i nut i własnych rękopismów na cudze zlecenie, dla utrzy-

¹⁾ Confessions; ks. X, pod rokiem 1758.

mania życia, że poprawił swoje finanse, które podczas pobytu w Hermitage znacznie się nadszarpały. „List do d'Alemberta,” oraz „Nowa Heloiza, która także w tym czasie wyszła z druku (1758—1759 r.), wzbogaciły go tak, że miał przed sobą zapasu około tysiąca talarów. Zabrał się więc do wykończenia „Emila,” z którym już znacznie postąpił, a prócz tego zajmowały go „Instytucje,” które nareszcie w części porzucił, w części wyzyskał na rzecz „Contrat social,” około którego także pracował nieustannie. Od dzieła „Morale Sensitive” odstąpił zupełnie.

Choćby kto na pierwszy rzut oka dał się złudzić narzekaniom Russa na los i ludzi, niczem jednak nie potrafi tego wytłómaczyć, tylko jego mizantropią, przechodzącą zapewne po części ze złego stanu zdrowia. Bo, jakkolwiek poobrażał sobie tylu ludzi przychylnych, w obecnym swym położeniu, dzięki sławie, jaką mu uczyniły dotychczasowe jego publikacje, doznaje uprzejmości i opieki i osób tych samych i innych. Bolało to jego rogatą duszę, że stosunki te z wysokimi sferami tamują jego niepodległość, której najchęciwiej pożądał; ale nie pomyślał o tém, że absolutna niepodległość mogłaby istnieć tylko w absolutnym odosobnieniu. Ażeby jednak zachować ją ile możności, nie przyjął posady ofiarowanej w instytucji „Journal des Savants” z pensją osmset franków za dwa artykuły miesięcznie; i dobrze uczynił, bo jego uzdolnienie ściśle naukowym nie było. Odmówił także miejsca w Akademii Nancy, ofiarowanego mu przez Stanisława Leszczyńskiego, jako też podobnego miejsca w akademii Francuzkiej, gdzie go forytowały kobiety, zwłaszcza marszałkowa Luxemburg. Za to przyjął ofiarę tej ostatniej, dotyczącą zamieszkania w parku Montmorency, na czas póki jego domek w Mont-Louis nie będzie należycie wyporządkowanym.

Tutajto, otoczony najświetniejszym gronem paryzkiem, które mu przeszkadzało i męczyło go, nie umiał z niem wychodzić. Niedowierzanie, zły humor, nieodczepna zgryźliwość, czyniąca go często niesprawiedliwym względem innych, brak przytomności umysłu, kompromitowały go często i podawały za człowieka co najmniej nietaktownego. Stosunki jednak się utrzymywały i w takichto okolicznościach nastał rok 1762, w którym nareszcie wyszły na świat prawie jednocześnie dwa jego kapitalne dzieła, znane już przedtém z czytania wyciągów w rozmaitych kołach dystygnowanych: „Contrat Social” i „Emil” wraz z „Wyznaniem wiary wikaryusza Sabaudzkiego,” które jest tego ostatniego epizodem.

Pojawienie się „Contrat social” zrazu przeszło jakoś spokojnie, ale „Emil,” który w druku nadszedł z Amsterdamu, wywołał istne piekło. Kiedy autor spokojnie siedział w domu, dziwiąc się nawet jak mało wrażenia sprawiają jego dzieła, duchowieństwo paryzkie razem z parlamentem wzniciło nad jego głową burzę szaloną. Dnia 9 czerwca 1762 roku „Emil,” jako dzieło bezbożne, gorszące i t. d., skazany został między innymi motywami, za to, że „ludzie wychowani w podo-

bnych zasadach, gotowi przejąć się tolerancją! Za taką zbrodnię rozszarpano go w Paryżu, u podnóża wielkich schodów pałacu Sprawiedliwości i spalono ręką kata. Rozchodziły się przytém insynuacje po parlamencie, że to na nic się nie zdało palić książki, ale należałoby zastosować tę operację do samych autorów. Kto wie, coby się stało z Russem, gdyby nie opieka potężnych osób w Paryżu, jak marszałkowa Luxembourg i książę de Conti. Oni to oboje uprzedzili go o usposobieniach dworu i doradzili ucieczkę. Nie czekając, Rousseau zabrał się i wyjechał do Yverdon, w szwajcarskim kantonie Bernu.

Był zatém w ojczyźnie, bezpieczny wśród swoich; cóż może być rozkoszniejszego, jak republikanowi paść w objęcia republikanów: jedno serce, jedna wiara. I otóż tak marząc Rousseau, dowiaduje się nazajutrz w Yverdon, że rodzinne miasto jego, Genewa, w dziesięć dni po egzekucyi paryżkiej, sprawiła mu miłą niespodziankę. Na rynku, przed bramą ratusza, jego i „Emil” i „Contrat social,” zostały ręką kata rozdarte i spalone, a sam autor skazany zaocznie: wszystko to zaś uczyniono dla przypodobania się księciu de Choiseul, ministrowi Francyi, który tego od nich nie żądał. Rozumiemy postępek rządu francuzkiego z dziełem wolnomyśliciela, był on aż nadto konsekwentnym; ale podłość ichmości panów rajców genewskich musimy chyba uwielbiać. Ażeby nie zostawić żadnej co do swego usposobienia wątpliwości, rada miejska po pierwszym swym dekrete co do dzieła, wydaje drugi co do osoby autora, oświadczając, że „w razie gdyby przybył do miasta albo na terytoryum kantonu (Seigneurie), ma być ujęty i uwięziony, by następnie wydanym był wyrok na jego osobę jako przynależny.”

Do Genewy to jednak, której był obywatelem, tak śpieszył Rousseau: teraz nie było już po co śpieszyć. Trzeba było pozostać w Yverdon, gdzie znalazł życzliwych i względnych. Ale kiedy zabierał się do instalacji, burza z Genewy przeniosła się do Bernu, posypały się cyrkularze prześwietnej rady do prefekta Yverdon, by wypędził z kraju Jana-Jakóba Rousseau, „znanego ze swych dzieł, a zwłaszcza z książki o „Wychowaniu,” oraz do dozoru szkolnego, aby starał się książki jego wytepić ze wszystkich księgarni.

Nic było co robić. Ścigany jak dzikie zwierzę, Rousseau schronił się do kantonu Neufchatel, dzielnicy króla pruskiego, przyjaciela filozofii, i tam rzeczywiście, pod opieką marszałka Keitha, gubernatora kantonu, z ramienia króla, osiadł w miasteczku Mottiers, w dolinie Travers. Był też wielki czas potemu: zgnębiony i chory, mógłby był gdzie zamrzeć z wysilenia.

Nic bardziej oburzającego, jak widzieć tę zajadłość wstecznictwa i ciemnoty, ścigającą człowieka walczącego w obronie przekonań, które ma za święte. Niepodobna jest w kilku słowach opisać rwetesu, jaki wszczął się około tego męczennika myśli; ale tomy dałyby się ułożyć z tych wszystkich nakazów policyjnych, pozwów, wyroków, listów, odczw, cyrkularzy, jakie ściagały się w ciągu jednego miesiąca koło jego

osoby; to wszakże jest ciekawém, że Genewa trzyma prym w tój barba-
rzyńskiej gorliwości. Charakterystyka wieku niezmiernie wiele zysku-
je na zebraniu dokumentów, dotyczących tój sprawy; rozmaici autoro-
wie francuzcy i szwajcarscy uczynili już tę przystugę historyi, dla
usprawiedliwienia niejako tym przyczynkiem dziejowym ważności prze-
wrotu, jaki dokonał się w wyobrażeniach o prawie człowieka za pośre-
dnictwem rewolucyi francuzkiej. Polecamy w tym celu przejr-
zenie, choćby książki wydanej z powodu przeszłorocznego obchodu
śmierci Russa, mającej tytuł: Jean-Jacques Rousseau, par A. Meylan.
Berne, 1878 r., rozdziały 3 i 4.

(Dokończenie nastąpi).

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

*A. Gorajską *)*.

Tom I.

XX.

Zamknąwszy się w swoim pokoju, Aniela całymi siłami pracowała nad pokonaniem siebie, nad uśmierzeniem i uspokojeniem bólów swego serca. Dla niej potrzeba było poświęcić się, uczynić z siebie ofiarę dla jakiejś wielkiej idei, dla jakiegoś wielkiego uczucia. Dusza jej była burz igrzyskiem, wyobraźnią jej szła owładnął. Sama jedna na świecie, bez żadnej podpory, oprócz staruszki matki, potrzebowała kogoś, komuby mogła powierzyć swoje zgrzyzoty. I oto przypomniała sobie o pewnym człowieku, którego wszyscy stawili w całym Neapolu.

Nad brzegiem morza, w prześlicznym położeniu, w pośrodku cyprysowego gaju, wznosiła się wieżyczka pustelni. Kilka wierzb zasadzonych wokół téj ustroni nadawało jej pewien melancholijny urok. Ptastwo, jak: słowiki, gołębie, szczygły, gnieździło się na wierchołkach tych drzew, a wolne tu od napaści, płaciło wdzięcznym śpiewem

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za październik r. b.

za tak miłą gościnność. Niekiedy mewy, morskie płaszyny, znużone, bujaniem ponad falami, albo nie spotykając masztu, na którymby przysiąść mogły lub wichrem pognane, przybywały tu wypocząć z trudów i białe stulić skrzydła. Cała tu natura uśmiechała się w spokoju podobnym do spokoju duszy, która w zgodzie z sumieniem, jaśnieje niepokalaną czystością, a że nieśmiertelna, więc nie zna co to zaćmienie lub zachód.

W owój pustelni odbierała cześć Madonna, umieszczona na postumencie, a wyobrażająca Bożą pasterkę, która swoje owieczki karmi różami. U stóp jej widać kwiaty uszczknięte na błoniu, z mórz wyłowione perły, niezaprzeczone godła zjednoczenia się w miłości ducha z przyrodą. Pod sklepieniami tej pustelni płonęła całemi nocami lampka nigdy nie gasnąca, której światło widać było z zewnątrz przez mały zakratowany otwór i zdawała się być gwiazdką tułaczą, zbłąkaną, która spoczęła przed świętą Dziewicą. I wieśniak, gdy w ciszy wieczornej szedł się pomodlić lub w stajence zaopatrzyć w jadło swoje bydełko, patrząc na błyskające światło, wyobrażał sobie, iż Matka Najświętsza nad nim tam czuwa. I żeglarz na pobrzeżu albo na morzu, udając się na wodną wyprawę lub z niej powracając, kiedy w noc spokojną widział tę świecącą lampę, przypominał sobie, iż Bóg jest na drodze życia jasnym i niezmiennym punktem, jak gwiazda polarna na drogach po morzu.

W zacisznej tej ustroni wszystko tchnęło miłością i pokojem. Tam i przyroda we wdzięki się stroiła i człowiek mógł znaleźć spokojność jednostajną, lecz pogodną i mistyczną, zbliżoną do stanu błogosławionych. Wilgotny powiew od morza, woń kwiatów, czyste z drzew wyziewy, gruchanie gołąbków, słowika melodyjne pienia w cieniściej gęstwinie, krzyż uświęcający całe otoczenie, cyprysy wystrzelające ku niebu: wszystko to razem składało się na obraz piękny, czarujący, nad którym duch wlatuje jak motyl w pośród wonności pól żyznych.

Otóż tam poszukał sobie schronienia filozof, który, obiegłszy wszystkie sfery wiedzy, popadł w zwątpienie, i zakosztowawszy wszelkich uciech życia, doszedł do rozpaczy. Dusza jego oschła, wyczerpana, szukała kropli rosy, któraby ją odwilżyła, promyka światła, któryby zabarwił kwiat jej wyblakły i zwiędły. Człowiek ten, który na nieszczęście wpadł w negacyą, w zniechęcenie, po nadaremnie poszukiwaniu Boga w nauce, usunął się do samotnej wśród pól zacizsy. Tam dusza jego, przedtém toczona zgnilizną rozmaitych zdrożności, zwolna zaczęła na nowo żyć i odkwitać, owiana błogięm tchnieniem niebios.

Człowiek ten, zamknawszy się w tém ustroni, sam jeden ze swoim sumieniem i z przyrodą, rozbudził się do życia, uznał i uwielbił Boga. Skoro tylko religijne pojęcie przeniknęło umysł jego, natychmiast w ślad za niem miłość, wiara i miłosierdzie wstąpiły w jego serce. A skoro tylko miłosierdzie go posiadło i miłość bliźniego oblała jego duszę, stał się dobroczyńcą wszystkiego co go otaczało: opatrzył

nością biędnych, uzdrowieniem chorych, pocieszeniem zasmuconych. Ktokolwiek w te strony przybył, aby go zobaczyć, poznać, odchodził od niego z pokrzepioném sercem, z rozjaśnionym umysłem. Tak samo, jak staraniem swoim upiękzył pustynię; grunt zeszczyły, jałowy, zamienił w rozkoszny ogród; tak samo siłą cnót swoich, gorącego miłosierdzia, zamienił swoją duszę w zdroj żywej wody, z którego tryska dobro i pociecha. Wyzwoliwszy się z więzów ziemskich, wzniosłszy się ponad ten świat poziomy, w zapomnieniu o sobie, a w przejęciu się miłością, wiarą i nadzieją, silna jego dusza promieniła się niebieskiem światłem.

Czas swój dzielił na modlitwę i na pracę, między Boga i ludzkość. Wstawszy bardzo rano, widział dnia świtanie, i cześć składał Stwórcy, i wielbił Go w pierwszych brzaskach różowej jutrzeńki. Odgłosem dzwonu zwoływał wieśniaków, a potem własnymi rękami przyrządzał dla robotników śniadanie. Następnie i on także brał się do pracy. Schylony nad ziemią, polewał ją potem swojego czoła i jak każdy inny poświęcał jej cząstkę swojego żywota. Później zamykał się w swojej izdebce i tam, słysząc w oddali szmery przyrody, przy świetle przedzierającym się przez zielone drzew liście podczas lata, a przez sieć nagich gałęzi w zimie, czytał lub rozmyślał o rzeczach nauki. Kiedy nadeszła godzina obiadu, spożywał go pospółu ze swoją czeladką. Po przyjęciu skromnego posiłku, modlił się na podziękowanie, utrzymując zawsze duszę swoją w stosunku z Bogiem. Potem zabierał się w drogę do chat, do ubogich domków, wchodził pod niskie dachy, niosąc w sakwach owoc swojego pola, i rozdzielał chleb pomiędzy biędaków.

Lecz ponieważ nie samym chlebem człek żyje, ale także i duchem Bożym, niezbędnym dla jego istnienia, prawdą, ideą, tym chlebem duchowym jeszcze pożywniejszym, a więc gromadził naokoło siebie maluczkich, mówił im o Bogu, o cnocie, dawał im pojęcie o cudach przyrody, a odczytując im niektóre wiersze wielkich poetów, niektóre z Ewangelii ustępy, roztwierał niewinne ich dusze ku przyjęciu wzniosłych wrażeń, istnie jak poranna rosa rozwija piękne kwiatów kielichy.

Ilekoć go dzieci nadchodzącego zdaleka ujrzały, pędem biegły go witać, niby pisklęta trzepoczące się w gniazdeczku, na widok nadlatującej matczy; a żegnały go ze łzami, które mu były trudów nagrodą, szczęściem jego życia. I w całej okolicy nie znalazłbyś istoty, któraby go nie poważała, nie darzyła go błogosławieństwem.

W ten sposób spędziwszy popołudniowe godziny, słońce się skryło i noc zapadała; wtedy on szedł do pustelni i znów w dzwon uderzał na zwołanie robotników i na uczenie Najświętszej Panny, i wraz z nimi odmawiał Pozdrowienie Anielskie.

Wieczorami, letnią porą, przechadzał się po morskiem pobrzeżu; niekiedy zatrzymywał się gdzieś na skale, i wtedy, natchniony wpływem przyrody oraz wewnętrznych uczuć, w pięknych rymach opiewał Stwórcę lub stworzenie. Podczas zimowych wieczorów zamykał się

w swoim pustelnicznym domku i pisał. Dzieła jego pióra nie rozplywały się w czczym mistycyzmie i szczerze miłując człowieka, z przekonaniem, iż właściwą dlań atmosferą jest społeczność, pragnąc dobra jak każda dusza prawa i szlachetna, i wierząc, iż dobro nie może się inaczej osiągnąć, jak przez wolność i że każde stulecie przynosi rozwiązanie lub jest zwiastunem którego z wielkich zagadnień społecznych; starał się o poprawę społeczeństwa, o krzewienie, o rozpowszechnianie pomiędzy ludźmi wielkiej, świętej idei prawa i obowiązku.

Bo i na cóż przyda się życie, jeżeliby miało bezowocnie zmarnieć i ulotnić się? Na co przyda się cnota, jeżeli się zasklepia w twardej egoizmu skorupie? Żywoć nasz, jako deszcz z nieba, niechaj pokrzepia żywoty bliźnich naszych. Cnoty nasze, jak promień słoneczny, powinny budzić zarody cnót w sercach wszystkich ludzi. Myśl nasza nie powinna zaginać przemknąwszy się przez nasz rozum: czy to trwalsza, czy ulotna, należy ona do braci naszej. Przeklęty, kto się rodzi tylko dla siebie samego! Będzie on jako deszcz wsiąkający w piaski pustynne, jako czarny aerolit, co spada z powietrza martwy i zimny, jak przelotna błyskawica, co chwilę tylko zamigocze na widnokręgu. Prawdziwa cnota płodna jest i udzielająca się. Jak manna spada na wszystkich ludzi. Ona nie przejdzie obok nieszczęśliwego, bez udzielenia mu pomocy lub przynajmniej bez okazania współczucia dla jego niedoli. Ona błogosławi każdej chwili, jaką jej nadarzy Opatrzność ku spełnieniu dobrego czynu, i dni swoje liczy na ły, które osuszyła, na ilość biednych, których wspomogła, na dusze, które ku dobremu pokrzepiła, na zamroczone sumienia, w których roznieciła światło; a tak, trwalsza od wszystkiego, co ją otacza, wie, iż żyć ma dłużej, aniżeli ziemia i słońce i gwiazdy i wszechświat cały.

Otóż u tego niepospolitego męża szła Aniela szukać rady. Głowa jej pałała, serce wydierało się z piersi. Pojmowała to, iż potrzeba jej jakiegoś lekarstwa na uspokojenie dojmującego bólu, jakiegoś błysku nadziei w pomroce jej życia. Kiedy nas ukochana opuści istota, wtedy zdaje się, że dusza pogrąża się w noc ciemną. I jak gdyby jedynie miłości siłę widziała, oddychała, czuła, zaledwie zdolną jest zapragnąć czegoś innego aniżeli śmierci. Wydaje się jej, że świat jest pusty, że gwiazdy pobladyły, że na polu niema kwiatów, że wszystko schnie, obumiera, tak samo, jak zranione serce. Gdyby przez dłuższy czas pozostała dusza w tym stanie, w końcu gorączka jej strawiłaby, zniszczyłaby ciało. Otóż błądność Anieli, jej błędne spojrzenia, oddech tłumiony, niesmak, jaki w niej wszystko poza obrębem jej uczuć wzbudzało, obojętność, z jaką słuchała oklasków tłumów i patrzyła na wieniec do stóp jej spadające, ciągły stan gorączkowy, wskazywały aż nadto jasno, iż czuły jej i delikatny organizm rozstraja się i niebawem upadnie pod brzemieniem tak wielkich a niezasłużonych cierpień.

Tego dnia, kiedy postanowiła udać się do pustelnika, szła brzegiem morza. Za każdym krokiem zwracała głowę, by z nieopisaną tkliwością popatrzeć na fale. Przypominała sobie, jak się do niej

wdzięczyły, niosąc ku brzegom łódkę Edwarda. Zdawało się jój to niepodobnem do wiary, iż one jeszcze mogą szumić, iż się nie stały martwe, jak jój serce, nieruchome, jak jój myśl; że blaskiem słonecznym oblane tak się uśmiechały, jak w onych dniach błogich minionego jój szczęścia...

Z obawą przybliżała się do pustelni, ze czcią do pustelnika. Jednakże, młoda, na wsi wychowana, jak każdy artysta, rozmyślona w nadzwyczajności, wracając bezustannie na drogi i ślady dawniejszego życia i przypominając sobie czasy, kiedy wszystkie wątpliwości powierzała jednemu kapłanowi, jaki się znajdował w owój wiosce, pragnęła wywnętrzyć swoje sumienie i serce przed kimś odsuniętym od świata. Będąc już tak bardzo znaną w całych Włoszech, lękała się, że jój zgrzyoty mogłyby się stać pastwą pogawędek salonowych, a w dodatku może nawet ukazać się w szpaltach jakiego dziennika. Czując się tedy zbyt słabą do udźwignięcia brzemienia cierpień swoich i myśli, bez czyjś pomocy, widziała się zmuszoną szukać jój w tej ustroni.

Wierzby, rosnące przed drzwiami pustelni, przypomniały jój te, które rosły w okolo źródła, gdzie zwykle oczekiwała na jego przybycie. Głęboka panowała cisza. Słychać tylko było szum wiatru po gaju i świegot ptactwa. Słońce zapadało w morze. Wieczór był prześliczny. Zdawało się, iż całe przyrodzenie oblane falą światła, poruszało się i odzywało pobożną modlitwą. I Aniela pomodliła się w duchu, a modlitwa przyniosła jój niejaką ulgę.

Lecz nie było widać nikogo. Po upływie kilku chwil, ukazało się we drzwiach pustelni śliczne jasnowłose dziecko, mogące mieć około ośmiu lat.

— Powiedz mi, mój chłopczyku, gdzie jest pustelnik?— spytała Aniela.

— Niéma go w domu.

— Ach!.. i nie wróci?

— Wróci niedługo. Poszedł tam, gdzie chodzi codziennie po południu.

— A gdzie tak codzień chodzi?

— Powiada, że idzie szukać Pana Boga.

— Pana Boga idzie szukać?.. O, mój Boże!—dodała z cicha Aniela—i ja także Ciebie potrzebuję!.. A nie wiesz, gdzie on szuka Pana Boga.

— Idzie do chatek, gdzie są biedacy. Tak i do naszego domku chodził!..

— Albożto tutaj nie twój dom?

— Nie.

— A gdzież mieszkasz?

— Ja niémam domu.

— Biedactwo!

— Matkę wczoraj pochowali, a ojciec umarł już temu trzy miesiące.

I dziecko, które w rękę trzymało szczygiełka, a całe powalane było kurzem, znać od wielkiej swawoli, zaczęło krzywić twarzyczkę do płaczu i w końcu zaszłochało na dobre.

— Biedna dziecina! Uspokój się.,. Cóż tutaj porabiasz?

— Pan pustelnik tu mię przyprowadził.

— Kochasz go?

— O, bardzo. A kochałbym jeszcze więcej, gdyby mi nie kazał uczyć się katechizmu.

Aniełę mimowolnie rozśmieszyła ta niewinna dziecięcia szczerota.

— I tak sam jeden zostałeś na świecie?—pytała dalej.

— Mam jeszcze braciszka.

— Czy starszy od ciebie?

— Nie, jeszcze ssie.

— A gdzież on?

— Także jest tutaj. Nasz pan kupił dla niego kozę.

Miała Aniela przed oczyma jedną próbkę dobroczynności samotnika.

— O, o! patrz pani!—krzyknęło dziecko—idzie już, o tam, idziel

W istocie schodził ze wzgórza, odziany w biały habit. Broda równie biała jak suknia, sięgała mu do połowy piersi. Podpierał się koszturzem, a na rękę niósł małe dzieciątko; za nim biegła koza, skacząc po kępach i urwiskach. Z ramion jego zwieszały się próżne sakwy. Zpod kaptura jaśniały źrenice, jakby małe skrawki błękitu pogodnego nieba, wyglądające niekiedy z pomiędzy obłoków. Na poorném zmarszczkami czole, znać było wyraźnie bruzdy, wyżłobione myślą wielką a głęboką. Postawę miał surową i majestatyczną, a w ruchach i całym obejściu, pomimo téj sukni, wszelkie oznaki człowieka światowego, z jaknajwytworniejszém wychowaniem.

— Idzie już, idzie!—wołało ciągle dziecię podskakując i radośnie klaszcząc w ręczęta.

— Peppino, Peppino!—mówił doń wesoło starzec.

— A przyniósł pan braciszka?

— A jakże, przyniosłem. Ale śpi teraz.

— Gdzież mama?—pytało dziecko, zapominając już, że matka nie żyła.

— Wiesz przecie, że poszła do nieba i że kiedyś ztamąd powróci.

— Nie, nie powróci—mówił mały, z niedowierzaniem kręcąc główką i nawpół z płaczem.

— Masz—rzekł starzec i rzucił mu na trawnik piękną pomarańczę.

— A, jaka śliczna, śliczniutka!—wykrzyknął dzieciak, i rad i wesół pogonił za toczącym się owocem, puszczając na wolność szczy-

giełka, który zatrzepotał skrzydełkami, zadzwonił piosenką i uleciał wysoko.

— Patrzenie, przyszła tu jakaś pani—odezwał się znów chłopczyk.

— A! widzę.

— Podobna do Najświętszej Panny.

— Ej! ty figlarzu!

Pustelnik pocałował malca i, zwracając się ku Anieli, pozdrowił ją w imię Boże.

— Ojczy, ja tu do was przyszedłam.

— Jestem na rozkazy. Proszę tylko poczekać małą chwilkę. Matka tych dzieci umarła, zostały się same na świecie, bez opieki; lecz Bóg, który o najmniejszej ptaszynce pamięta, nie opuści i tego drobiazgu.

Niemowlę zakwiliło, a starzec zaczął wołać:

— Flor! Flor!

Natychmiast w podskokach koza przybiegła: wyszedłszy z gestwiny, miała na sobie listki róży, uczeplone między białym włosem, a między rogi wplątana bluszczu zieloną gałąź. Zwierzę to, tak ruchawe, skoczne, płochę, które, rzekłbyś, że jak ptak przelatuje z wzgórek na wzgórek, z urwiska na urwisko, ponad przepaściami, z niepojętą zwinnością, skoro tylko pustelnik pokazał mu dziecię, stanęło w miejscu, bez ruchu, łagodnie becząc, jakby przez pieczęotę, a dziecię ze swój strony, instynktem wiedzione, uchwyciło w usteczka pełne wymiona i ssąc, zaczęło powoli usypiać owym snem słodkim, rozkoszującym, jakim spać może tylko wiek dziecięcy i niewinność.

Gdy się już uspokoiło zupełnie i smacznie spało, pustelnik wyrzekł:

— Idź sobie.

Natychmiast koza pobiegła w płasach i skokach po błoni.

— Przebacz, pani: muszę zanieść dziecię do kolebki. Pepin!

— Co?—spytał chłopczek, zaledwie mogąc wyrzec słowo, zapakowawszy usta pomarańczą.

— Chodź ze mną.

Starzec wraz z dwójkiem dziećmi wszedł do pustelniczego domku.

Po niedługiej chwili znów wyszedł, i głęboko skłaniając głowę, zapytał:

— Co pani masz mi do rozkazania?

— Pozwól, ojczy, nieszczęśliwej uciec się do was po ulgę; boleść znajduje oddźwięk w waszém sercu, cierpienie was szuka, a nadewszystko cierpienie moralne, najsrozsze ze wszystkich.

— Tak, pani: poświęciłem życie moje dla ludzkości. Przekonany, iż nie powinniśmy żyć dla siebie samych, lecz dla naszych braci, porzuciłem uciechy świata i poszedłem tą ścieżką, na którą wstępowa-

łem z przymusem, a dobiegnę nią do końca z zamiłowaniem, gdyż jest kwiatami zastana.

— Właśnie dlatego przyszedłam tu, do was, ojcze. Świat nie chce patrzeć na cierpienie, ono mu wstręt sprawia. Chce on, ażeby ukrywać cierpienia duszy, tak samo, jak się kryją rany trędowatych.

— A jednakże, dziecię moje, cierpienie jest najczystsze źródłem nauki, sztuki, wszystkiego, co uszlachetnia ludzkość. Wszakże wszystkie tony, które czarowały ludzkość, i które dotąd następujące po sobie pokolenia powtarzają bez przerwy, to są łzy, westchnienie, skargi serca.

— Moje cierpienie jest tak wielkie, iż zdaje się, że mi ono życie ukróci.

— Tego nie przypuszczaj. Pomnij, iż cierpienie bywa zwykle znamieniem wybrańców Bożych. Umysły płytkie lub poziome, zrodzone do pełzania po ziemi, poprzestają na widowisku, jakie im przed oczy stawia przyroda, społeczeństwo, człowiek. Ale dusze wielkie, te co marzą o pojęciach wyższych nad ziemską rzeczywistość; które tęsknią za innym światem lepszym niż tutejszy, za innym społeczeństwem, wznioślejszym, doskonalszym; dusze, które pragną i łakną sprawiedliwości, prawdy: te wiele ucierpią na świecie i doczesną tę pielgrzymkę przebywają wśród boleści, oczekując błogiej godziny innego życia, zgodniejszego z ich ideałem; życia, które zapełni głębie ich najczystszych pragnień.

— Nie tego rodzaju jest moje cierpienie. Owszem, ja czułam się szczęśliwą, dopóki mię coś wiązało z tym światem, dopóki... przebaczcie mi—mówiła Aniela z zająknięciem i rumieniąc się—dopóki miłość pewnego człowieka przyświecała mojemu życiu, a odkąd miłość ta zgasła, ach! ojcze! jam bardzo nieszczęśliwa!

— Zaprzeczyłaś mi, a jednakże sama potwierdzasz moje słowa. Szczęśliwą byłaś, kiedy jakiś maluczki przedmiot zajmował ci całe serce, a odkąd ten przedmiot straciłaś, czujesz się nieszczęśliwą; tak utrzymujesz: a mimo to, nie znam cię, jednak powiadam, żeś się stała większą, cnotliwszą.

— Ach! mój ojcze... to prawda, że więcej myślę o Bogu, więcej o moich bliźnich.

— Alboż nie mówiłem? Czyż sobie wyobrażasz, iż kochać można jedną tylko istotę? Nie. Ten co ogranicza swoje życie na sobie samym, poprzestaje na osobistym szczęściu, nie wychodzi ze swojej konchy, jak muszla, jak istota niższego rzędu w stworzeniu, ten nie żyje; pędzi dni, zatopiony w materji, bezużytecznym jest przez ciąg życia i umierając, nie zostawia na świecie najmniejszego śladu swego ducha.

— Otóż to właśnie, mój ojcze, pragnienie, które trapi moją duszę, Sama, jednostka bez spójni ze światem, truję się tym nędznym życiem. Dzień za dniem mija, a ja się pytam siebie, na co się przydam na świecie? Komu jestem potrzebna? Wszakże wyrывa się bez-

pożyteczną roślinę. Ja oddycham tém powietrzem, które jest potrzebném dla innego stworzenia; zabieram miejsce na świecie, które się należy innemu stworzeniu.

— Biédna! Myśli te zrodziły się z chorobliwego stanu twojej duszy. Ziarnko piasku, rzucone na pustyni, służy całemu przyrodzeniu, a nie miałażby się na nic przydać wolna istota ludzka, chcąca spożytkować swój żywot na korzyść swoich bliźnich? nie miałażby się przydać całej ludzkości? Myśli takie są przemijającym obłędem, który przejdzie tak szybko, jak burza w powietrznych sferach. Kiedyś, moje dziecko, sama przed swoim sumieniem rumienić się będziesz, że ci one do głowy przyjść mogły.

— Życ nie kochając!—zawołała rozpaczliwym głosem Aniela, kryjąc twarz w dłoniach.

— Życ, nie kochając! A któżto mówi, abyś żyła nie kochając? Jakże? czyżto niema ludzi? niema świata? Rozegzaltowany umysł wyśni sobie jakąś istotę i ukocha ją; a gdy téj zbraknie, zdaje mu się, iż już wszystko się skończyło, a myli się.

— Drugi raz kochać! O! nie, mój ojczu, nie.

— Z pewnością mię nie rozumiałaś. Oto co chciałem powiedzieć: są jeszcze nieszczęśliwi, potrzebujący pociechy, są chorzy, których można uzdrowić, są istoty potrzebujące podpory i opieki, dusze w upadku, które można ratować, rozumy w ciemnościach pogrążone, które można oświecić; jeszcze w sercu twojem istnieć może miłość większa, potężniejsza, doskonalsza, aniżeli ta, którą utraciłaś.

Aniela pokiwała głową jakby z niedowierzaniem i boleścią.

— Patrz na ten precudny widok, jaki masz w około siebie. Ta fala drgająca i rozpryskująca się bez gwałtowności, szmerem swoim chwali Stwórcę. Ta gwiazdka, co zza obłoczków wygląda, oddaje hołd Panu. Ten kwiat, co kielichy swoje roztwiera do wieczornego pocałunku, czekając na rosy kropelkę, ma w swoich listkach, w swojej łodydze, jakąś cząsteczkę miłości ku Bogu. Ten słowik, co przy świetle księżyca, kiedy w całym przyrodzeniu tajemnicza zapanuje cisza, przerywa ją melodyjnemi hymnami miłości, które, niby modlitwa, wznoszą się w etery, i on bezwiednie także Boga chwali, tak samo, jak słońce, kiedy się zjawia na Wschodzie, jak motyl, kiedy swoją zrzuca powłokę, jak wszelkie stworzenie, które bezustannie w dźwiękach swoich i szmerach śpiewa pochwalny hymn Przedwiecznemu.

— O, tak, tak!—mówiła Aniela, porwana tą mistyczną mową.

— A dusza ludzka, moje dziecko, dusza ludzka potężniejsza niż wszechświat, jaśniejsza niżli słońce, pełniejsza idei, myśli, aniżeli cała przyroda jestestw, dusza ludzka trwalsza od wszystkich tych światów, które zaginą, zgasną, jak te oto świecące robaczki, podczas gdy dusza nasza żyć będzie zawsze na wieki, czyliż dusza ludzka, ten najpierwszy utwór Bożej wszechmocy, nie przyłączy głosu swego do powszechnego chóru czci i uwielbień?

— Ach, tak!—szepnęła Aniela cała rozpromieniona, nie śmiejąc oddychać, aby nie stracić ani jednego słowa z mowy pustelnika.

— A więc jakżeż możesz mówić o utracie miłości?... Miłość! Niezto razy namiętność ziemską profanuje ten wyraz! Lecz owa miłość niebiańska, która się przemienia w źródło dobra dla ludzi, ta jest jedyną prawdą ich życia. Wszelkie inne rodzaje miłości, to są czczone mary, złudy, nicność...

— Masz słusność, mój ojczy: jam zawiniła względem Boga, zawiniłam względem samej siebie. Ten, którego ukochałam miłością tak czystą, tak wielką, nie wart był takiej miłości, o! nie. I wielką winą z mojej strony, winą, której sobie przebaczyć nie mogę, jest to, że go tak bardzo kochałam... co mówię, że go kochała? że go dotąd kocham całą duszą. Czasem, kiedy wśród udręczeń serca uczułam wyrzut sumienia, zadawałam sobie samej pytanie: gdyby on cię kochał, czybyś go kochała tak bardzo? I myślałam sobie, że ta miłość tak wielka, tak głęboka, to może kara za moją pychę; o! bo ja kiedyś, będąc jeszcze o wiele młodszą, w marzeniach moich, w bezrozumnych urojeniach, miałam siebie za coś tak doskonałego i wyższego nad ludzi, iż wyobrażałam sobie, że przeznaczona na pokochanie anioła. Za grzeszną tę dumę, Bóg mię ukarał strąceniem w piekielne otchłanie.

— Nie rozpaczaj, moje dziecko. Aby tylko źródło dobra mieć w sobie, to mniejsza, żeś nie umiała ocenić tak wielkich skarbów. Strumień wytryskający ze skały, długo się toczy wśród opok i głazów, oczyszcza swoje nurty, a wpływający na równinę, wody ma czystsze i jaśniejsze i gasi pragnienie ludzi i niebieskiego ptastwa. Miłość, jaką posiada twoje serce, dotychczas mogła być bezowocną i smutną; lecz odtąd, obracając ją na dobro twoich bliźnich, rozlewając ją jak wody chrztu na czoła tych, którzy płaczą i cierpią, może być pewną, iż stanie się niewyczerpanym źródłem czystych rozkoszy dla twojej duszy, którą bezwątpienia Bóg przeznacza do przyświecania Jego chwale tam, w niebiesiech.

— Wasze słowa, mój ojczy, ukrzepiają ducha do walki. Zdaje mi się że nabieram mężstwa, że mogę już wojować ze złem, że usunę te wszystkie zasłony kryjące mi moje przeznaczenie i będę szczęśliwą.

— Zawsze u kresu życia wielka dusza chwali Boga, albowiem On lepiej znał niż ona jej przeznaczenie. Duszom tym zwykła Opatrzność silnie zadawać ciosy, pozbawiać je uciech niezbędnych w życiu, odosobnić je, osamotnić, zostawić bez miłości, bez nadziei: a wtenczas boskie te arfy wydają z siebie najcudniejszą dźwięki, najwspanialsze nuć hymny. Nie dawaj się porwać tym prądom, które unoszą resztę ludzkości. Nurty rzeki dobiegającej aż do morza, mieszają swoje słodkie wody z gorzkimi oceanu falami; a tymczasem kropla która utkwiała na przybrzeżnych trzcinach i sitowiacz i zdaje się że na zatra-

— Mówcie, Ojczy, mówcie jeszcze. Nie wyobrażacie sobie ile do-
brego wasze słowa wlewają w moją duszę, ile otuchy dodają sercu.

— Nie znam cię, moje dziecko, lecz w oczach twoich zabłysła mi
twoja dusza. Nie znam cię, lecz w twojej mowie usłyszałem uderze-
nia twego serca. Bardzo wiele w tobie duszy, wiele życia. A gdzie
jest nadmiar duszy, nie powinno się jej trzymać na uwierzy w głowie,
bo ją przepełni i rozsądzi; gdzie nadmiar życia, nie trzeba zamykać go
w sercu, z którego wybuchnie i uleci: ta dusza, to życie należą do świa-
ta, należą do tych którym na nich zbywa; albowiem Bóg przez wza-
jemny stosunek dusz wielkich z małemi ustanowił równowagę swojej
sprawiedliwości.

Aniela z gorącym uniesieniem zawołała:

— Będę walczyć i pokonam siebie! Odpędzę tę myśl, która mi
umysł zamąca; a boleść trawiąca mi serce stanie się podniecią do wal-
ki, będzie bodźcem dla mojego sumienia i życia. O tém tylko będę
myśleć, iż wiele się znajduje istot które mię potrzebują, że każdy dzień
mojego życia potrzebny dla czegoś, dla kogoś. Taka miłość to egoizm
ciała; dla mnie konieczną jest miłość duszy, miłość idealna, która
płonęłaby we mnie jak czysty płomień, pochłaniający wszystkie moje
słabości, zagładzający wszelkie skazy. O! Boże mój, Boże! miej mił-
osierdzie nademną!

— O! tak, wznos duszę do Boga, bo On nigdy nie jest głuchym
na głos swojego stworzenia. On daje ptakowi skrzydła, by mógł szy-
bować w powietrzu; rybce daje łuskę, aby żyć mogła w wodzie, a nie-
miałżeby udzielić również duchowi, sercu, tego co im potrzebne do
życia?

— Ja potrzebuję pokoju.

— I będziesz go miała. Skoro tylko myśl twoja podniesie się
z téj sfery, w której się dziś błąka, do innéj, jaśniejszój, zobaczysz jak
wnet ustąpi niepokój który cię dziś trapi; życie miasto być walką,
przemieni się w Boską harmonię.

— Miałam nadzieję iż sztuka mię uspokoi.

— Jesteś artystką?— spytał pustelnik.

— Tak jest, mój Ojczy.

— Domyślałem się tego. Jakiéjż sztuki dar jest ci udzielonym.

— Jestem znaną w Neapolu śpiewaczką.

— Nazywają cię Aniela, nieprawdaż?

— Tak... czyż aż tu doszła wieść o mnie?

— Doszła aż tutaj... a raczéj, ja znam ciebie: słyszałem cię.
Przypomnij sobie, iż raz śpiewałaś w kościele. Ja tam byłem, słucha-
łem cię z zachwytem i powiedziałem sobie: to anioł przeznaczony dla
nieba.

— Oby Bóg was wysłuchał!

— Taka potęga nie jest nikomu daną naprózno. Kiedy Pan wy-
brawszy sobie jedną istotę obdarzy ją tak cudnym głosem, taką siłą
natchnienia, czyni to niewątpliwie w tym celu, aby z niéj wiele, bardzo

wiele dobrego spłynęło na inne dusze. Czy zastanawiałaś się kiedy nad tém co to jest sztuka?

— Nie.

— A więc głęboko nad tém się zastanów.

— Powiedzcie mi wy, Ojcze, oświećcie mię także i pod względem znaczenia sztuki.

— Ty, dziecko moje, posiadasz w swoim sercu zasób ogromnych skarbów. Stwórca zważywszy, iż życie człowieka jest długie a tak mozolne, postawiał w pewnych odstępach takie istoty, któreby mu zdobiły jego drogę, ukrzepiały go na duchu, by snąc nie upadł w omdlenie i rozpacz. Bóg chce ażeby na dnie naszego żywota przechował się ów jasny płomień, który wszystko oczyszcza, ów płomień który się zowie nadzieją, a bez którego byłaby nam niemożliwą pielgrzymka przez tę pustynią. Jakże potrafilibyśmy znieść to pragnienie miłości, tę wielką, nieskończoną żądzę prawdy, dobra, która nas raz po razu opanowywa i tak dręczy, gdybyśmy w dali u kresu naszej ścieżki pełnej niebezpieczeństw, nie dostrzegali źródła żywej wody?

— Nigdy nie utraciłam nadziei w Bogu.

— Otóż właśnie jakim jest zadanie sztuki: iżby człowiek nie osłabł, aby się serce jego nie zawarło przed wszelkiem wzniosłym uczuciem, Bóg umieścił w pośrodku spraw wszelkich, w łonie społeczeństwa, ową boską harmonią, którą my zwiemy sztuką. Harmonia ta jest głosem wołającym z nieba; jestto niby z ojczystej ziemi błogi powiew, którym żeglarz oddycha i napawa się wprzód, zanim do jej brzegów przybije; jestto owe białe światło które się w gwiazdach iskrzy, a po którym domyślamy się jasności Bożego przybytku.

— I ja to sobie zawsze w ten sposób wyobrażałam.

— A więc zważ to sobie, moje dziecko, iż artysta, którego rolę na świecie jest wysokie kapłaństwo, który wzniesić ma ogień nadziei w duszach nieprzystępnych wszelkim wznioślejszym uczuciom, umocnić do dobrego chwiejne serca, artysta musi być czystym, niepokalnym, cnotliwym. Znałam ja wielu artystów w tej naszej uprzywilejowanej sztuk ojczyźnie. Bardzo wielu takich znałam, którym Bóg użył skrzydeł, by wzlatali nad poziomy, a oni z umysłu w kale brudzili te skrzydła; Bóg ich utworzył na gwiazdy swojego nieba, a oni woleli być głazami w piekielnych głębiach: otóż Bóg ich pokarał, i źródło ten który jasno tryska jedynie pod uderzeniem czarodziejskiej cnót różczki, wysechł w ich sercach i przestał odżywiać myśli ich i żywot.

— Ach! to prawda. I dlatego też ja wiedząc o niezliczonych na tej drodze pokusach, postanowiłam porzucić zawód artystki.

— Nie czyn tego, moje dziecko, nie radzę ci. Jakkolwiek może się ta droga wydawać otoczoną przepaściami, lecz możeż być coś piękniejszego, jak przejść bez szwanku wpośród niebezpieczeństw? A zresztą, nie godzi ci się zamknąć usta, stłumić twój głos. Bóg dał ci ten głos dla ludzkości. Cobyś na to powiedział, gdybyś słowik w cichości się kołysząc na gałęzi drzewa, obojętnie spoglądał na swoje gniazdko

i nie napełniał powietrza melodyjnym swoim śpiewem? Otóż tak samo, jak Bóg słowikowi dał śpiewny gardziołek ku upiększeniu natury, tobie dał głos ku upiększeniu ducha. Nie miej się przeto za nieszcześliwą. Mogłażby nieszcześliwą być młoda istota posiadająca taki skarb pociech? O! nie wierzę temu, gdyż niepodobna w to uwierzyć. Ilekroć cię zle prześladowuje zawzięcie, gdy zwątpienie wkrada się w twój umysł, gdy czujesz słabnące bicie twego serca, wtedy zwróć się ku Bogu; proś Go by ci dozwolił urzeczywistnić dobro, miłość prawdziwą, doskonałość na ziemi, a potem wyjdź z domu poszukać jakiegóż niedoli i pociesz ją, a uczujesz znów w sobie spokój i pogodę, jak gdyby żadna boleść nigdy nie zakłóciła twój duszy.

— Usłucham rady waszej, mój Ojcze.

W tej chwili uderzyła godzina przeznaczona na wieczorne dzwonicie. Aniela pożegnała starca ze smutkiem, lecz z orzeźwionem sercem. Pustelnik pobłogosławił ją z głębi duszy i wszedł do pustelni. Aniela zbliżyła się do kraty, zpoza której połyskiwała lampka, i przykłąknawszy zmówiła krótką modlitwę.

Księżyc zaczynał już wypływać na niebieskie stropy: wspaniała jego tarcza oblała światłem pola i błonia, a odbijając się w jasnych błękitach Śródziemnego morza, taką je miłą i piękną pomalowała barwą, iż myślałbyś że to jest niebo, co się skłoniło do spoczynku na tono ziemi.

XXI.

Było to już późno w nocy. W mieście pozamykane wszystkie okna, Neapol we śnie spoczywał. Na ulicach nie widać ani żywej duszy; tylko od czasu do czasu dawał się słyszeć turkot powozu: jakiś magnat powracał z balu, z uczyty, z wieczoru. Jedyną postacią przechadzającą się po ulicach, był to gorliwy i podejrzliwy stróż królewskiej władzy; agent policyi neapolitańskiej, czuwający nad snem stołecznego grodu.

Tylko w pałacu Margarity jedno okno pozostało niezastłonięte. Zpoza firanek dwie osoby wyglądały ukradkiem na ulicę, jak gdyby z wielką niecierpliwością i niespokojnie kogoś oczekiwały.

Był to Edward z Margarity.

— Nie idzie?— pytała niecierpliwie Margarity.

— Nie widzę go— odpowiedział Edward obojętnie.

— Co za niepokój!

— Samaś tego chciała.

— I nie żałuję.

— Nie potrzebujesz się zaklinać, wierzę temu.

— Czegóż się tak spóźnia?

— Może go pochwycili na rogu której ulicy.

— Masz słuszność... złą noc obraliśmy.

— Wszakże sama ją wyznaczyłaś.

— Ach! Edwardzie, jesteś dla mnie rzeczywiście nieznosnym.

— I temu także wierzę.

— Oh! co za człowiek!

Edward wzruszył ramionami.

— Niczemu nie zaprzeczysz.

— A to właśnie powinno być dla ciebie ideałem szczęścia.

— Bynajmniej: ja potrzebuję oporu, walki.

— A małoż jeszcze walk masz dokoła?

— Potrzebuję więcój: potrzebuję żebyś ty się opierał mojej woli.

— Tego się nie doczekasz.

— Oh Boże! co za człowiek!

— Najlepszy, najstosowniejszy ze wszystkich, jacy są na świecie.

— Edwardzie, oburzasz mię.

— Ja sam siebie oburzam.

— Nie powinieneś być takim.

— A cóż chcesz?

— Rozbudź w sobie duszę.

— Kiedy się zaczyna schodzić po szczeblach znikczemnienia, najtrudniej zstąpić po pierwszych, a potem to już się leci z głową na dół, aż na samo dno przepaści.

— Edwardzie, wstręt we mnie obudzasz.

— Zbyt późno wstręt ten cię napada.

— To prawda... Ależ powiedz mi, czy ty nic nie czujesz?

— Nie, nic a nic.

— Głupiec!

— A tak, kto nie ma serca ten jest głupcem.

Margarita wyrzała znów za okno.

— No! jeszcze go nie widać!

— Cóż na to poradzić?

— Pewno go pochwycili.

— To jest bardzo prawdopodobne.

— A w takim razie, cóż z nami się stanie? jesteśmy zgubieni!

— Cieszyłbym się z tego.

— Ty? a dlaczego?

— Bo to przerwałoby nieznosną monotonią tego życia.

— Przyznam ci się że i mnie takie życie stało się już nieznośnym. Taka samotność!

— Ale jak zasłużona samotność!

— Nie, nie mów tego!

— Mówię to, co czuję.

— Wszyscy nas opuścili.

— Wszyscy co do jednego.

— Nudzisz mnie twoją psalmodyą.

— A cóż chcesz, żebyś mówił?

— Mamże ci jeszcze podpowiadać z czém się masz odezwać?

— Ach! moja kochana, tak zleniwiiałem... nawet do mówienia... niedługo już zapomnę całkowiecie mówić. Co za życie!

— Masz słuszość, co za życie!... Ale cóż to ma znaczyć że jego nie widać? Co za męczarnie!

— Ha! uparłaś się: nie było innój rady, jak tylko przystać na to co chcesz.

— Tobys ty chciał żebym ja nie była pomszczoną?

Edward znow wruszył ramionami z oznaką najwidoczniejszej obojętności.

— Ja żyć nie mogę, jeżeli się nie zemszczę. Każda godzina, każda chwila co mi ja, i widzę mojego największego wroga że żyje, uśmiecha się, o! to jest dla mnie, jakby kto serce mi sztyletem przebijał!

— Znadto wysoko stoi przedmiot twojój zemsty.

— To nic nie znaczy. Wedrę się choćby do nieba, będę góry walić jedna na drugą...

— Żeby ci się to przytrafiło co owym bajecznym olbrzymom?

— I tyś mężczyzna? ty masz serce w piersi?

Edward rozśmiał się przykrym śmiechem.

— O!—zawołała Margarita w gniewném uniesieniu—kiedy widzisz że tobą gardzi i opuszcza cię całe towarzystwo Neapolu, że zbeszczeszczone twoje imię, życie twoje zagrożone, że szpiegują twoje kroki, że lada chwila może spaść konfiskata na twój majątek, i że pozbawiony wszystkiego, będziesz musiał jako tułacz na obcej ziemi chodzić od drzwi do drzwi żebrząc jałmużny; kiedy może cię i to spotkać, że któregoś dnia jeden z tych co nam zazdrościli, tnie cię szpicrutą po twarzy: ty masz odwagę śmiać się?

— A cóż chcesz abym czynił?

— Żebyś mnie naśladował.

— W czym?... Dziwno, zaprawdę, że to mówisz; bom ja przecie twoim automata. W czymże to mam cię naśladować?

— W tej nienawiści co gore w mojem sercu, w tych gwałtownych uczuciach co miotają moją duszą, w tém pragnieniu zemsty.

— To trudno: nie mogę mieć twojój duszy.

— No, toż przynajmniej ojczyzna; dla ojczyzny...

— Dajże mi pokój, Margarito: co mię to tam obchodzi!

— Co cię obchodzi? ojczyzna ci obojętna? Wielki Boże!

— Tak się temu dziwisz?

— Jakże nie ma mię dziwić taka nieczułość na wszystko?

— Nie poznajesz własnego swego dzieła?

— Mojego dzieła?

— A tak: serce nie może usychać częściowo; nie może nadgnić z jednéj tylko strony: usycha i gnije całe.

Margarita ciężko westchnęła.

— Alboż mi nie powtarzałaś co dnia, co godzina, co minuta, że wszystkie te poetyczne uczucia są złudzeniem? Musiałem w końcu uwierzyć. Dusza moja słaba, miękka, dawała się jak wosk przerabiać

na wszelkie kształty. Uwierzyłem ci, i odtąd każde wielkie uczucie, każdą wielką ideę, sprawiedliwość, prawdę, miałem za czczy wymysł...

— Dosyć, dosyć!

— A kiedy chcę z tego oschłego serca wywołać miłość ojczyzny, miłość swobody, miłość ku czemuś co wielkie i wzniosłe, serce to namśmiewa się ze mnie, i w odpowiedzi daje mi wyrzut sumienia.

— Edwardziel!

— Wy kobiety, zawsze kochacie lub nienawidzicie. W największym nawet znikczemnieniu, zawsze na dnie życia, w samych jego męztwach, znajdują się jakieś uczucia.

— To prawda.

— Ale my biedacy, nie obdarzeni takim jak wasze sercem, my ubodzy w duchu, kiedy znikczemniejemy, wtenczas najpierwszym co musimy utracić, jest uczucie.

— A można żyć bez uczucia?

— Żyć można, życiem okropnym, zimnym, takim, jak życie kamienia.

— Jabym żyć mogła bez kochania, lecz nie mogę żyć bez nienawiści—rzekła Margarita z zapalem.

— Szczęśliwa jesteś: nienawidzisz, a więc czujesz.

— O! gdybym mogła zemścić się...

Zgrzytnęła zębami z wściekłością.

— Oto ci powiem—mówił znów Edward—iż gdzieś w najskrytszym, w najciemniejszym, w najgłębszym zakątku mojego jestestwa, pozostały mi się jeszcze jakieś szczątki sumienia i kiedy czasem ono mię gryzie wyrzutem, błogostawię tym zgrzyzotom, bo przynajmniej cierpię, a więc coś czuję.

— Pragniesz cierpieć? A więc idź za mną jedną drogą.

— Przecież idę wszędzie za tobą.

— Ale nie idź z tą lodowatą obojętnością, bo to jest śmierć, lecz z życiem, z wiarą, z zapalem.

— A! z zapalem! Spróbuj nacerpać wody z kamienia.

— Potrzeba, żebyś tak nienawdził, jak ja nienawidzę.

— Ja jestem, jak szatan, pozbawiony zdolności kochania i jak ciało martwe i zimne, niezdolny również do nienawiści.

— Co za człowiek, co za człowiek!

— Cóż chcesz, Margarito? W tym wieku, kiedy życie rodzi kwiaty, życie zeschło; w wieku, kiedy wszystkie uczucia z serca wytryskają, serce wyschło. Teraz choćbym chciał kochać, nie potrafiłbym, bo zwiędłe uczucie już się napowrót nie zazieleni. Musiałby na mnie chyba spaść potop łez, aby zmył tego raka, co pożarł mi już moje życie.

— Ale czy przynajmniej będziesz miał dosyć siły, dosyć męztwa, by stawić odważnie czoło niebezpieczeństwu?

— Tak mi się zdaje. Idę za tobą tak, jak satelita za swoim planetą; idę bezwiednie tam, gdzie ty idziesz.

— W żyłach moich płynie krew korsykańska: jestem bardzo mściwą.

— A ja nie jestem wcale mściwy.

— Widzieć mego nieprzyjaciela, własną moją ręką, ugodzonego, padającego u stóp moich, tarzającego się we krwi i boleściach, zgrzytającego ze wściekłości, a potem konającego, z wzrokiem zamglonym i błędnym, ku mnie zwróconym i widzieć go rozciągniętego u nóg moich bez życia, oddychać wyziewem jego krwi i deptać po jego trupie, ach! to najwyższa rozkosz!

— Milcz! dreszcz mię przejmuj!

— O! czemuż się odwleka ta pożądana chwila!.. on nie przychodzi!..

— Wiész co? podobną jesteś do lwicy.

— Cała dyszę nienawiścią i zemstą.

— Piękna jesteś, tak, jak teraz, ponura, groźna i gniewna.

— Bo przez oczy moje przegląda moja dusza.

— Dusza zgubiona!

— Nie, dusza ognista.

— Tak, ale to ogień, co trawi i wyniszcza życie.

— A twoja dusza jest bryłą lodu.

— Jednakże lód ten, choć tak napozór stwardniały, może od słonecznych promieni roztopić się i użyźnić gdzieś rolę; twój zaś ogień...

— Mój ogień może spalić nikczemników, a może także hart nadać drugiej duszy.

— Dla mnie już nie czas.

— Więcej spodziewać się można po moim zapale, aniżeli po twojej obojętności.

— Nie myślę się o to spierać. Przekonałem się tylko, iż dla mnie już niema ratunku.

— No, dajmy temu pokój: poco te wieczne spory.

— Ha! połączyliśmy się, moja Margarito i dusza nas obojga jest jedną czarną chmurą, jedną zgryzotą sumienia.

— Mnie nigdy niepokoju nie sprawia ani serce, ani sumienie.

— Widać, że jesteś głazem.

— Obecnie jedyna rzecz, która mię niepokoi, to jest, że ten człowiek nie przychodzi.

— Patrz... tu, ku téj stronie jakiś cień sunie...

— Czy téż Piotr tam pilnuje?

— Cień ten cichutko wemknął się do naszego domu.

— O! to on!.. odetchnęłam.

Po chwili drzwi się otwały i wszedł do pokoju młody mężczyzna w stroju marynarskim.

— To ty, Rafaelu?—rzekł Edward.

— Ja sam—odrzekł nowoprzybyły.

— Jakżeś się pan spóźnił!—zawołała Margarita.

— Posiedzenie było nadzwyczaj długie.

— I cóż?

— Będziecie przyjęci.

— Zemsta! zemsta!—wołała Margarita, podnosząc ręce do góry. Rafael obracając się do Edwarda, rzekł:

— Anioł w upadku został szatanem. I kobietę zwą aniołem...

— Dajże pokój—przerwał mu Edward, trzęsąc się jak w febrze.

— I ja będę przyjętą?—pytała młoda kobieta.

— A tak.

— Jakimże sposobem pokonałeś pan trudność?

— Powiedziałem, że pani jesteś mężczyzną.

Margarita rozśmiała się na głos.

— Przebierzemy cię po mężku—mówił Edward, a potem jeszcze pytał Rafaela:

— Jakże? czy oboje razem?

— I tak i nie.

— Cóż to znaczy?

— To, że przyjdziecie razem i jedno wejdzie wprzód, a drugie nieco później.

— To dobrze—mówiła Margarita.

— Ale na Boga... pani Margarito—mówił Rafael—tu idzie o życie.

— Nie troszcz się pan: wiemy o tém. Czy związek ten ma wielkie rozgałęzienie?

— Bardzo wielkie.

— Ja, abym się tylko zemścić mogła, przyniosę do wspólnej kasy wszystko moje złoto... Są tam ludzie z wysokości sfery?

— Najwięcej takich... Wszyscy, którzy zostali odsunięci od króla... Ale muszę już iść.

— Wyjdź tylnymi drzwiami, jak można najpotajemniej—rzekł Edward—ja ci pokażę drogę.

— I owszem, nic nie mam przeciwko temu.

— Oh! gdybyśmy zostali ujęci!—zawołała Margarita.

— Wtenczas byłoby już po nas—dorzucił Edward.

— Nie o siebie się troszczę—odrzekła Margarita.

— Zapewne się pani tak troszczy o siebie—zawołał Rafael, chytrze spoglądając na Edwarda.

— Nie: chodzi mi o moją zemstę—rzekła Margarita.

— Wpadłaś w prawdziwą manię—odezwał się Edward.

— Tylko Bóg jeden wie, jak ich nienawidzę.

— No, bądźże mi przewodnikiem, Edwardzie... Żegnam—rzekł Rafael, obojętnie kłaniając się młodej kobiecie.

— Przecież się zemszczę!—zawołała Margarita zostawszy sama. —Wrogi moje upadną przytłoczeni moją nienawiścią, moim gniewem. Nikczemnicy! Zdawato im się, że mi wydrą potęgę i siłę! Jeszcze mi życia pozostało. Dopóki tchu we mnie, będę ich męczyć, dręczyć, przesładować. To dla mnie uciecha, to życie, w tej zatrutej atmosferze!

Zdaje mi się, że serce żywiój uderza, że krew swobodniej krąży w żyłach, odkąd się rozpoczęła ta walka; jam do niej stworzona: będę walczyć i zwyciężę i nieprzyjaciele moi legną u stóp moich. Niegodziwi! Wtém wrócił Edward, odprowadziwszy Rafaela.

— No, Edwardzie, trzeba się wziąć prędko do przygotowań.

— Poczekajże, moja kochana, poczekaj.

— Nie mogę.

— Przecież niema nic tak pilnego.

— Mnie pilno zemścić się.

— Gdyby tak szło o zrobienie czegoś dobrego...

— Zanadto wiele jadu nagromadziło się we mnie, abym o czémś dobrém mogła choć pomyśleć.

— Margarito! Margarito! jesteś nad brzegiem przepaści!

— Wiem o tém. No, to i cóż?

— Ratuuj się: jeszcze czas.

— Ty się boisz—rzekła Margarita z pogardą, patrząc na Edwarda.

— Boję się o ciebie.

— Kłamstwo!

— Margarito!

— Dajże mi pokój.

— A więc gińmy, kiedy tak chcesz koniecznie.

— Dlaczegoż nie mamy zwyciężyć?

— Cobądź się stanie, zawsze nas czeka zguba; bo jeżeli wygrasz, będziesz sprawczynią złego dla drugich, a jeśli przegrasz, samój sobie złe wyrządzisz: w każdym przeto razie dążysz ku złemu.

— Co za kaznodziejska wymowa! Boisz się.

— Nie powiem ci już ani słowa.

— Pójdę sama.

— Nigdy. Jestem twoim mężem: zginiemy razem.

To mówiąc, Edward wziął świecę i wyszedł zostawiając Margarity. Udał się do swego gabinetu i tam usiadłszy, zaczął medytować nad swoim smutnym losem. Kiedy był najbardziej pogrążony w myślach, usłyszał pukanie do drzwi.

— Kto tam?—zapytał.

— To ja—odrzekł głos, po którym zdawało mu się, że poznaje Rafaela.

Edward natychmiast otworzył: Rafael wbiegł do pokoju zdyszany i przestraszony.

— Co ci się stało?

— Wymknąłem się z rąk zbirów.

— O! mój Boże!.. może widzieli, jak wchodziłeś?

— Nie, nie widzieli.

— Odpocznij-że, mój kochany.

— Ach!.. już dwie noce nie spałem. Co za życie!

— Bardzo smutne.

— I powiedz-że mi, Edwardzie, więc się już zdecydowałeś? przystępujesz do tajemnego towarzystwa.

— Ha! trudna rada! to już rzecz postanowiona.

— Ale czy wiesz, jakimi niebezpieczeństwami otoczony jest ten związek?

— Wiem i ryzykuję się.

— I pocóż to? powiedz mi, proszę.

— Bo się tak Margaricie podobało...

— Oj, kobiety, kobiety!

— Nie sądź, abym ja się w to mieszał z wielkim zapałem. Gdyby zresztą chodziło o swobodę kraju. Wiesz przecie, że się wiele narażał dla téj sprawy, kiedyś tam, gdy jeszcze nie byłem automata.

— Tutaj bo ani jednej niema duszy, na prawdę miłującej swobodę.

— Cóż chcesz, Rafaelu? niewola znikczemnia i upadła i w ostatecznym wyniku może z siebie wydać tylko zbydlęcenie.

— Te towarzystwa tajemne są najgorszej natury, jak tylko być może. Kamarylla obalona łączy się z sobą w celu obalenia Kamarylli tryumfującej.

— A tak; wszyscy ci co w niełasce u króla, ci, którym się nie powiodły ich plany, którzy nie dostali urzędów, o jakie się ubiegali; ci, co jak np. moja Margarita zapragnęli wszechwładztwa: wszyscy ci łączą się z sobą bez względu na nic, tylko dla prześladowania swoich przeciwników. Co za podniosłość uczuć!

— Mój Edwardzie, cóżto dziwnego? Jestto koniecznym następstwem podeptania zasadniczych praw naszej natury, wiekuistych podstaw rozumu i nauki. Tym stowarzyszeniom tajemnym, w których ktoś jeden rozkazuje według własnego widzimisię, nie idzie bynajmniej o wolność, lecz o prowadzenie wojny podziemnej.

— Ach, Edwardzie! co tu głupstw na tym świecie!

— Ale największym ze wszystkich głupstwem, Rafaelu, to moje życie. Kochałem istotę szlachetną, anielską, a ożeniłem się z kobietą, której nigdy nie kochałem. Byłem kiedyś miłośnikiem wolności, a dziś muszę być dworakiem i to dworakiem w niełasce, wzgardzonym; pragnę zawsze walczyć w biały dzień, a dla dogodzenia czyjś zemiście wchodzę do tajemnego stowarzyszenia, które działa w celu obalenia nie jakiegoś systemu, rządu, lecz dworskiego spisku. Z pewnością niema nieszczęśliwszego człowieka nademnie.

— Cóż robić? nikt sobie położenia nie wybiera, ale je przyjmuje od losu.

— Nie wierz temu; dosyć jest raz tylko wejść na złą drogę. Ja wierzę, iż człowiek jest istotą wolną; lecz wierzę także, iż kiedy z własnego popędu zstąpi na pochyłość, wtenczas wpaść w złe musi koniecznie. Logika faktów jest tak ścisłą, jak logika idei. Każdy pierwiastek, jaki postawimy, zawiera w sobie długi, bardzo długi szereg następstw nieodzownych i nieuniknionych. Ja nie przyjąłem złego z rąk losu, lecz znajduję się w nim z własnego wyboru; i dlatego uznaję, iż wart jestem wielkiej kary.

— Ależ możesz się jeszcze cofnąć na tę drogę.

— Już nie mogę. Nie pozostaje mi jak przyjąć moją rolę i dobrze ją odegrać. W upadku ma pewien udział lenistwo. Wiele pracy kosztuje otrząsać się ze złego. Idzie się wciąż jedną drogą przez brak energii, przez zbyt ciężałość.

— Oj, bięda, bięda!

Rafael, usadowiony w wielkim krześle z poręczami, usypiał, podczas gdy Edward rozmyślał nad swojemi biędami.

XXII.

Noc była ciemna, ponura. Na niebie zbierała się burza. Chmury czarnemi krawędziami dotykały ziemi. Gdy błyskawica rozdarła grubą chmur opońgę, widać było niebo posępne i mroczne jak otchłań. Morze wichrem chłostane, ryczało i najeżało spienione bałwany, jak gdyby w zuchwałym zapędzie chciało z brzegów wystąpić i wylać się na lądy. Wichur, roztrzaskując się o drzewa, wydawał dźwięk żałobny, istnie jęk serca boleścią szarpanego. Z taką siłą i impetem podrzucał w górę piasek i kamyki, iż miotał nimi w twarze biędaków, którzy w tych chwilach przechodzili ulicą lub polem. Wezuwiusz wrzał w swoim wnętrzu, a buchająca zeń lawa rysowała się jak płomienisty obłok na tle horyzontu, czerwieniąc go krwawą łuną. Od czasu do czasu roznosił wiatr echa ludzkich głosów, żalonych lecz energicznych, brzmiających trwogą i zarazem mężką siłą. Były to krzyki żeglarzy, którzy w nadludzkich wysiłkach starali się zmódcz straszną tę zawieruchę. Od czasu do czasu przez horyzont ważył ognisty przebiegał, niecąc za sobą huk straszliwy i przeciągłe trzaskanie: piorun uderzał w drzewo, albo zapalał biędną jaką chatkę. Dzwony kościelne donośną wrzawę zlewały z ogromnym burzy zgiełkiem. Nocne ptaki, z oslepiłą od błyskawic źrenicą, z przeraźliwym wrzaskiem szukały swoich kryjówek, aby się schronić przed natarczywością burzy.

Strasza to była godzina. Wycie wichru, przerażający grzmot piorunu, chrapliwy ryk miotającej się fali, wrzenie wulkanu, podobne do warczenia olbrzymiego zwierza, trzask łamiących się gałęzi na

drzewach, frasobliwe wołanie żeglarzy, owianych mgłą chmury, żałobny odgłos dzwonów, przeraźliwy pisk nocnego ptactwa: słowem, cały ten okropny rozstrój i przewrót natury, grozę wzbudzał w umyśle, przestрах w sercu. O! przyrodol! człowiek dotąd nie dociekł i nigdy może dociec nie potrafi tajemniczych stosunków, zachodzących pomiędzy tobą a jego duszą; to jest tylko pewnym, iż cierpienie twoje jest naszym cierpieniem, a twoja radość naszą radością, że nie możemy słyszeć rozhukanych wichrów, żebyśmy nie uczyli także wielkiego w duszy wzburzenia.

Otóż wśród tak ogromnego wzburzenia natury, w pośród rozszałych wichrów, w stronie pobraża najbardziej bezludnej, widzieć można było dwoje błakających się samotnie. Wnosząc z ubioru, byli to dwaj młodzieńcy. Kiedy szli, wiatr ich powstrzymywał; gdy przystanęli, wiatr ich porywał i pędził. Głuche stękania wydierały się z ich ochrypłych krtani. Kamyki były ich po twarzy, piasek oczy zasypywał; a jeden z nich milczał, drugi zaś osłabłym, kobięcym głosem biadał smutno, żałośnie... Kiedy czasem błyskawica przebiegała horyzont od końca do końca, ci dwoje obejmowali się w ramiona i tulili się do siebie, jakby czekając aż piorun ich razem obejmie płomieniem.

Niekiedy jeden z nich, niższy i smuklejszy od drugiego, wyczerpany pasowaniem się z szakami wichru, zatrzymywał się i padał na ziemię. To znów w innych chwilach, przystawał, jęknął z głębi serca, składał ręce, ugiął kolana, a wznosząc oczy ku niebu, drżał jak wiotka trzcina; i wśród ciężkich westchnień wzywał imienia Bożego, a przy świetle błyskawic widzieć można było twarz jego łzami zalaną.

Towarzysz jego obojętnie, chłodno, podnosił biédaka, który się tak lękał zajądłosci burzy, tak drżał na przerażający huk gromów, a gdy mu się tamten wieszał u szyi, ten go tulił do siebie z czułą troskliwością.

Nietrudno odgadnąć kto byli ci dwaj młodzieńcy wędrujący w noc burzliwą. Jednakże w duszy Edwarda i Margarity straszniejsze szalały burze, aniżeli ta wielka i straszna co mordowała ich ciało.

Przedsięwziąwszy wszelkie środki ostrożności, pod zastoną nocnych cieni, wymknęli się z Neapolu i puścili się polami dla uniknienia wszelkich poszlak i podejrzeń, dążąc ku miejscu, gdzie się odbywały potajemne spiskowych narady. Noc naznaczona już naprzód na schadzke, której odłożyć nie było w ich mocy, noc ta wypadła niepogodna i okropna.

Burza zawsze bywa najstraszniejszą w południowych krajach, gdzie upał zdaje się jakby rozogniał jój wściekłość, nad morzem, które jój wtóruje swoim wyciem i hukiem i miotaniem się szalonem, tuż obok wrzącego wulkanu, który się sroży dwoma objawami, jednym na

zewnątrz, drugim w łonie ziemi, niemniej przerażającym. Burza ta rozpostarłszy olbrzymie skrzydła, pomiata wszystkiem, co się tam znajduje; szamocze lasy, piaski na pomorzu, łódzie i okręta na falach rozpieczęte, ognistemi wyziewy pożogę nieci w budowlach, a straszliwy huk i łoskot odzwierają naokół góry i wąwozy: przeciągłe te echa w dwójnasób wzmagają grozę takiej burzy i są to chwile tak uroczyste a straszne, jak gdyby świat cały zachwiał się na swych podstawach.

Edward i jego żona musieli się chcąc nie chcąc narazić na wszelkie przygody tej nocy. Była już noc późna i bardzo ciemna, kiedy przebrani wychodzili tylnymi drzwiami ze swego pałacu; głęboka ciemność skutecznie osłaniała tajemniczą ich wycieczkę. Powozem nie mogli jechać, ani własnym, ani pożyczonym, ani też najętym: byłoby to narazić się na nieuchronną zdradę. Szli więc pieszo.

Gdy przybyli do jednej z najodludniejszych dzielnic Neapolu, jakiś agent rządowy zatrzymał ich. Była to ich pierwsza niefortunna przygoda. Wreszcie Edward, przebrany do niepoznania, uciekł się do najkrótszego wybiegu, mogącego wybawić ich z kłopotu.

— Są to sprawy nieszczęśliwej miłości!—rzekł.

Agent mimowolnie rozśmiał się i odpowiedział:

— Hm! miłość między dwoma kawalerami: zgrabna wymówka.

— To kobieta—odparł Edward.

Pocziwy agent spojrzawszy bacniejszém okiem, pomiarkował, iż towarzysz młodego człowieka w istocie musi być kobietą; pozwolił im przeto wędrować dalej, mówiąc: „Bóg z wami i z waszą miłością.” Rzeczywiście neapolitańska policya, aby tylko nie był to spisek przeciwko królowi, zresztą bardzo mało się troszczyła o czyjeś tam miłostki, jakiegokolwiek mogły one być rodzaju.

Jednakże niepożądana ta okoliczność zbyt długą uczyniła im przerwę w drodze. Przyśpieszyli nieco kroku, ale Margarita męczyła się. Wreszcie, po tysiącnych niepokojach i utrudzeniu dostali się za obręb miasta.

Wtedy odezwał się Edward:

— Złotem wybrukowaliśmy naszą drogę.

— Wszakże tu miał powóz czekać na nas—spytała Margarita.

— Nie!—odrzekł Edward—długo wahaliśmy się czy go sprowadzić, czy nie; lecz w końcu rozmyśliliśmy się, że byłoby to niebezpiecznym.

— Okropnie zmęczona jestem. Ale to nic nie znaczy: idźmy dalej.

— Poczekaj, niech się zorientuję.

Wtém sinawy błysk a tuż za nim huk grzmotu przerwał rozmowę.

— Oh! Boże—krzyknęła Margarita czepiając się ręki Edwarda—Boże! grzmoty, piorun! już po nas!

Drżała i wstrząsała się jak w konwulsjach.

— A cóż mamy począć? powiedz sama.

— Ach!... okropnie lękam się burzy!

— Doprawdy, trudno temu uwierzyć, tak to niepodobne do twojego męznego usposobienia.

— Cóż ja na to poradzę?... Umieram... piorun w nas uderzy... Oh! Panie Boże, ciężkie nasze winy!...

— Teraz ci to przychodzi na myśl?—rzekł Edward z gorzkim śmiechem.

— Nie widzisz że to palec Boży? Wróćmy, oh, wróćmy!

Czarna chmura przewalała się coraz bliżej, rycząc niby zwierzę zgłodniały. Błyskawice następowały po sobie z jasnością coraz jaskrawszą. Margarita zamykała oczy, zatykała sobie uszy i wołała:

— Wracajmy!

— Już teraz w żaden sposób nie można wracać; zupełnem jestto niepodobieństwem: sama tego chciałaś.

— Tak... masz słuszność. Idźmy; idźmy gdzie chcesz.

Uwiesiła mu się u szyi, on ją podtrzymawał i tak szli dalej.

— Edwardzie—odezwała się po chwili Margarita—czy ty uczyleś się fizyki?

— Uczylem się—odrzekł obojętnie Edward.

— Nieprawdaż, że tu jesteśmy bardzo wystawieni na niebezpieczeństwo?

— Nie wiem gdzie się znajdujemy. Jeżeli są tu w pobliżu przedmioty bardzo wysokie, w takim razie nie nam nie grozi; lecz jeśli nie ma, piorun może spaść na nasze głowy.

Jasna błyskawica oświeciła na chwilę cały obszar.

— Ach, Boże!—krzyknęła Margarita tonem najokropniejszej rozpacz. —Jesteśmy sami wśród pustej równiny... Piorun nie ma innego celu jak nasze głowy... Ach! musimy ginąć!... Boże! gdyby przynajmniej spowiednik...

— Margarito! tyżeś to, owa mężna niewiasta?

— Ach, Edwardzie! to nad moje siły... Od dziecka miałam to w sobie, że się okropnie lękałam burzy, wbrew mojej naturze i charakterowi. Nie mogę przemódz się... Dotknij mojego czoła: patrz, zimne jak u trupa... drzę cała... Panie, Panie, przebacz wielkiój grzesznicy!

Uklękała, zaciskając konwulsyjnie dłonie.

Edward wziął ją na ręce i niosąc jak piórko, biegł przez czas niejaki; lecz niebawem ugiął się pod ciężarem i usiadł znużony. Kłę-

by piasku i kamyków kręcąc się nakształt wiru, zasypywały im oczy. Gdy siadali na kupie gałęzi, wyskoczyła zpod nich sowa z okropnym wrzaskiem. Margarita wraz z nią zakrzyknęła przeraźliwie. Groza téj nocy, zjadłość huczącej burzy, powróciły jęj na chwilę niewieścią naturę. Ona co nie znała bojaźni, teraz umierała z trwogi i przerażenia.

A co było najgorszym ze wszystkiego, to, że idąc lub biegnąc bez przewodnika, pozbawieni kierunku, bez żadnego punktu, któryby mógł im służyć za wskazówkę, gdyż cały Neapol utonął w pomroce, zablądziłi. Margarita nie zwracała uwagi na to ostateczne nieszczęście, cała zajęta przyzywaniem na pomoc Najświętszej Panny, wszystkich świętych, a zwłaszcza patrona Neapolu, którego krew co roku staje się płynną. Odrzuciwszy religią dobrą i miłości, Margarita musiała się uciekać do religii grozy i bojaźni. Straszna to, zaprawdę, kara dla tych, którzy wtenczas tylko uznają Boga, kiedy czują gniew Jego. Jak wszelkie ciężkie winy, również i wina Margarity sama już w sobie zawierała pokutę. Zaprawdę, człowiek nigdy nie powinien zapominać iż kara jest nieodzownym następstwem złego.

— Kiedyż dojdziemy?—mówiła Margarita.—Żeby przynajmniej dostać się pod jakibądź dach, nie widziałabym tego straszego nieba. Zamykam oczy, a jednak przez zaciśnięte powieki widzę błyskawice... Jaki huk okropny!... A te chmury... wyglądają jak potwory... Oh! litości, Matko Boska! litości, miłosierdzia!... Edwardzie, Edwardziel Boże! Najświętsza Panno! co za grzmoty!... Niebo się pali!... Ja zwaryuję... Uciekajmy!...

— Dokąd? gdzie pójdziemy?—mówił Edward zrozpaczony nie już z powodu burzy, lecz rozpaczą Margarity.

— Powiedz mi gdzie jesteście?

— Nie wiem. Wszystko sprzysięgło się na odjęcie mi możności rozpoznania kierunku.

Trwoga Margarity rosła w miarę wzmaganja się burzy. Edward pozostał więcej obojętnym. Bóg ściagał ich tak samo jak Kaina. Szli na tajemne posiadzenie, ale nie w żadnym celu politycznym lub społecznym, lecz li tylko dla uczynienia zadość nikczemnej namiętności. Nie może być nic wznioślejszego nad ukochanie wielkiej jakiejś sprawy; nie ma nic niższego i nędzniejszego jak używanie polityki lub religii za narzędzie do wyniesienia się lub zemsty. Kiedy to co powinno być celem, wielkim celem życia, przestoczy się jedynie w środek, człowiek hańbi tém siebie i poniża się aż do upodlenia. W życiu powinniśmy szukać dobra bezwzględnie, powinniśmy szukać prawdy całą duszą; a znalazwszy prawdę, powinniśmy postępować dobrze, nie dla nagrody ani dla interesu, ale przez miłość dla dobra, miłość czystą, idealną, Boską: a wtedy spokój zapanuje w sumieniu i w sercu, wprowadzamy w czyn zasadę bytu i spełniamy naszą powinność. Przeklęty, kto poli-

tyki używa za narzędzie dla swego wywyższenia lub swojej próżności! Przeklęty, kto bierze religią za pokrywkę dla swojej polityki!

Zasłaniać się celami politycznymi dla pozyskania osobistych korzyści lub rozgłosu jest niegodziwem świętokradztwem. Tego świętokradztwa dopuszczała się Margarita z wyrachowania, Edward przez obojętność. A Bóg zawsze sprawiedliwy, karzący wszystkie wielkie nieprawości, związaawszy karę wraz z przestępstwem, Bóg, zdawało się że oskarżał ich o zbrodnią głosem swoich wichrów, swoich fal, wulkanów, chmur płomienie ziejących, głosem całego chóru burzy: szczytna ta mowa odbijała się w sercu i w sumieniu Margarity hałaśliwym gwarem wewnętrznych niepokojów, które się spiknęły na jej potępienie i karę.

Nagle przy świetle jednej błyskawicy, nieszczęśliwi tułacze dostrzegli w pewnej odległości małą chatkę.

— Chodźmy tam, Edwardzie, chodźmy!—zawołała Margarita.

— A cóż tam będziemy robić?

— Schronimy się pod dach... na Boga!

— Margarito, coś mi się zdaje, że ty się jeszcze czegoś lękasz daleko więcej aniżeli burzy.

— Niczego w świecie, niczego: ani nawet śmierci.

— Nie, straszniejszym jest dla ciebie w tej chwili groźny głos sumienia, od hałasu burzy i huku piorunów.

— Ach! i teraz jeszcze masz serce dokuczać mi.

— Masz słuszność; bez litości jestem: to prawda.

— A ja umieram ze strachu...

Przybliżeli się ku chatce bardzo wolno. Czasami zamiast iść w prostym kierunku, zbaczali w jedną lub drugą stronę. To się uderzali o drzewo i ranili sobie twarz i ręce: zwłaszcza z rąk Margarity krew ciekła. Brzemienna burzą chmura zawisała wprost nad ich głowami. Wyglądała niby kruk olbrzymi, napadający z krakaniem na niewinną ptaszynę, która drząc czeka aż ją rozszarpie, a ulecieć nie może, bo ją urzekła ciężąca nad nią straszna groza: zdawało się, że ta olbrzymia i czarna chmura pożre te dwie zbłąkane istoty...

— Al! przecież już doszliśmy.

— Wejźmy coprędzej pod dach.

Margarita pędem puściła się ku drzwiom chatki; lecz w téjże samej chwili rozwarły się niebiosa przerażającym błyskiem, który oślepił Margaritę i rzucił ją na ziemię; ogromny huk, jakby wystrzał z wielu dział polowych ogłuszył słuch i natychmiast chatka wybuchła ogniem ze wszystkich czterech stron i paliła się niby stos niezwykłej wielkości. Piorun w nią uderzył! Margarita straciła przytomność i zmysły, Edwarda także z nóg zwaliło. Podniósłszy się, sam nie wiedział gdzie się znajduje: Margarity nie było obok niego.

— Margarito! Margarito! zaczął wołać.

— Odpowiedział mu tylko huk grzmotów i łoskot morskiej fali.

— Gdzie jesteś, Margarito?—wołał przestraszony, lecz innej odpowiedzi nie usłyszał, oprócz rozżartych głosów natury.

Jak szalony biegał tu i owdzie szukając zgubionój, aż potknąwszy się o jakieś ciało, przewrócił się na ziemię. Było to ciało Margarity.

— O, mój Boże!... czy nie żyje?...

Sledził jój oddechu i uderzeń serca... przy świetle błyskawicy ujrzął twarz jój zsiniałą, jak u nieżyjącej istoty.

W końcu czarna ta chmura spuściła się na ziemię straszną ulewą. Zdawało się że ziemię zatopi. Smutne położenie Edwarda jeszcze się pogorszyło. Trzymając na rękach nieruchomą Margaritę, nie miał sił żeby ją z miejsca podźwignąć; dęszcz potokami lał na niego, zabrakło mu już oddechu, jak gdyby wpadł w morskie tonie.

Jednakże woda spływająca po skroniach Margarity, orzeźwiła ją, przywróciła jój zmysły i przytomność.

— Gdzież jestem?...

— Przy mnie, przy mnie, Margarito.

— Okropność!... Umieram... Ach! toniemy...

— Podnieś się, Margarito, bo inaczej będzie to ostatnia godzina naszego życia.

Rzekłbyś iż niebios sklepienie zawałiło się na ziemię: tak straszny był huk grzmotu i nawałność ulewy.

— Oh! litości, Boże!—wołała Margarita.

Nareszcie zdołała się podnieść.

Szli długi czas szamotani wichrem i deszczem oblewani, aż na koniec napotkali jakiś szałas, gdzie się mogli schronić.

— I tu mamy noc przepędzić?

— A tutaj: nie mamy nic innego do wyboru.

— Strasznie! okropnie!... A... żeby wrócić do Neapolu?

— Wiesz sama że to jest niemożliwem.

— Ach, prawda!... dzień się robi, zobaczą nas w tém przebraaniu... pochwyć!... — mówiła Margarita.

— Widzisz więc że trzeba nam myśleć o sposobach uniknięcia tój nowój burzy.

— Ale patrz, Edwardzie! woda ze wszystkich stron tu się wciska... zatoniemy!

W samój rzeczy, woda lała się przez szczupły otwór służący za wejście do tój opustoszałej budy rybackiej. Pola naokoło stały w wodzie. Straszno było tym dwojgu tu pozostać, albowiem z napływem wody lękali się ażeby nie zatonąć. Wyjść także nie mogli, nie wiedząc zupełnie w którą się udać stronę. Wichry i burza przyniosły ich tu jak powiewne piórka.

A co więcej, pomimo ciemności dzień już nadchodził, i może gdyby nie gęste chmury, jużby brzaski świtu rozwidniały horyzont. Za nadejściem dnia, większe jeszcze zagrażało im niebezpieczeństwo. Powód aż nadto widoczny: mogli być odkryci. Cóż się z nimi wtenczas stanie?

Na dworze oczekiwano tylko sposobnej chwili aby ich zgubić. Czychano tylko na pierwą lepszą sposobność, któraby posłużyła za pozór do przyczepki i do wymierzenia kary. A jakaż mogłaby się lepsza nastęczyć sposobność, jak spotkanie ich przebranych wśród pola? Nie było ratunku. Więzienie, konfiskata majątku, może nawet śmierć...

Takiem było położenie dwojga tych ludzi, którzy na świecie uciechom tylko hołdowali. Do takiej ostateczności doprowadziły ich namiętności niepohamowane i żądza zemsty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD
NAJNOWSZEJ LITERATURY WŁOSKIEJ.

PRZEZ

Juliana Adolfa Świącickiego.

II.

Romanse i nowele *).

Salvatore Farina: „Capelli biondi;” „Prima che nascesse;” „Le tre nutrici;” „Mi figlio studia“ (Torino, 1879).—F. Bernardini: „Novelle“ (Milano, 1879).—F. Marazzi: „Onesta assoluta ed onesta relativa,“ romanzo con ilustrazioni (In Fano, 1878).—Federiga Guerini: „Un vero amico,“ romanzo (Milano, 1879).—Luigi Capranica: „Donna Olimpia Pamfili,“ romanzo storico (Milano, 1875).—B. Busnelli: „Lampi di fantasia,“ bozzetti e racconti (Milano, 1879).—G. Galatti: „Sogno d'un ora,“ ricordi d'una donna (Messina, 1878).—Giovanni Faldella: „Rovine“ (Milano, 1880).—Pietro Zaniboni: „Scapolo,“ romanzo (Padova, 1879).—Riccardo Bonati: „L'ebrea o l'assedio di Mantova del 1796,“ romanzo storico (Mantova, 1879).—Bruno Sperani: „Cesare“ (Milano, 1880).—Vittorio Bersezio: „Gli angeli della terra“ (Milano, 1879); „Povera Giovanna“ (Milano, 1877).—Anton Giulio Barrili: „Castel Gavone,“ storia del secolo XV (Milano, 1875); „Cuor di ferro e cuor d'oro“ (Milano, 1877); „Il tesoro di Golconda“ (Milano, 1878); „Il merlo bianco“ (Roma, 1879).

Wobec wzmagającego się we Włoszech zamiłowania do romanów francuzkich o jaskrawym, przeważnie skandalicznym charakterze, do romanów odtwarzających gwałtowne namiętności, lub nagą szkaradę występku, Salvatore Farina usiłuje zwrócić smak czytelników na inne pole, nie dostarczające wprawdzie sensoryjnej strawy dla zmysłów, lecz szlachetniejsze i pełne słodkich, spokojnych wzruszeń, drogich sercu. W mniejsze pochłanianych gorączkowo opisów scen niemoralnych

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za czerwiec r. b.

i orgii wstrętnych, Farina tworzy pogodne malowidła rodzinnych uczuć, pragnąc tym sposobem przeprowadzić czytelników z atmosfery zgnięj do zdrowej. Pierwsze prace tego pisarza: „Due amori“ (Dwie miłości); „Un segreto“ (Tajemnica); „Fiamma vagabonda“ (Błądny ognik), przeszły bez echa; ale następne romanse, jak: „Amore bendato“ (Miłość ślepa); „Tesoro di Donnina,“ a nadewszystko „Capelli biondi“ (Blond włosy), przedstawiły talent Fariny w korzystnym świetle. Treść téj ostatniej książki następująca:

Bogaty hrabia Konrad, strwoniwszy kilka lat młodzieńczych na usługach zmysłów, w atmosferze uczt kawalerskich i w towarzystwie kobiet upadłych, doświadczył wreszcie nieuniknionego przesytu i.. znużenia. W tym stanie ducha spotkał pewnego razu w izbie fryzjera bladą, piękną i.. niepokalaną dziewczę, która przyszła złożyć na ofiarę jedną z najdroższych ozdób swój piękności... wspaniałe blond włosy, żeby za otrzymane ztąd pieniądze nabyć dla umierającej matki... lekarstwo. Konrad ocalił skarb dziewczęcia, które téż odplaciło dobroczyńcy swemu najczystszym ogniem szlachetnego serca. Na nieszczęście jednak w tym samym czasie, kiedy święte uczucie dla Grazietty zaczęło kiełkować w piersiach Germinatiego, na drodze dwojga kochanków stanęła, niby szatan, w najponętniejsze kształty wcielony—zalotnica. Szukając uroczej właścicielki cudownych blond włosów, Konrad zaszedł przez omyłkę do mieszkania ponętnej zalotnicy, która rzuciła w duszę hrabiego żarzewie zmysłowej żądz. Szarpany walką wewnętrzną i niezdecydowany w wyborze pomiędzy niewinnością skromnej Grazietty, a namiętną kokieterią Agnieszki, porzuca obie na czas jakiś i usiłuje w ciągłych podróżach uciec przed grozą myśli rozpacznych, które go ani na chwilę nie opuszczały. Po powrocie swoim znalazł Grazietkę na łożu śmierci; uroczę kiedyś jój lica tonęły marmurowo blade w potokach odkupionych przez Konrada blond włosów; wyplakane źrenice dziewczyny spotkały się z wzrokiem kochanka raz jeszcze, by go powitać i.. pożegnać!.. Jednocześnie prawie zrehabilitowana potęgą miłości zalotnica zostaje matką, powierza opiece Konrada skarb swój drogi i żeby się kiedyś nie rumienić przed własnym dzieckiem, rozrywa przedzę swego życia... samobójstwem w nurtach rzeki. Konrad opuszcza miasto i w cichęj ustroni wiejskiej truje się goryczą bolesnych wspomnień, upadając pod ciężarem życia, z którym łączy go tylko... syn sierota.

Fabuła powieści jest tu, jak widzimy, bardzo prosta, a nawet nie zupełnie świeża; nie w treści wszakże spoczywa urok tego romanu, lecz w tém uczuciu wewnętrzném, które go wywołało i które téż najdelikatniejsze struny serca poruszyć umie. Prostotę architektoniki nagradza autor prawdą charakterów, świeżością wiosenną opisów, trafnością spostrzeżeń i harmonią w układzie wewnętrznym opowieści, a nadewszystko pewną poezią kolorytu, która w takich rozdziałach, jak: „Grazietta“ (str. 87); „Una strofetta di Mario“ (str. 275); „Madre e figlio“ (str. 315), chwyta czytelników za serce. To téż romans Fariny doczekał się w krótkim czasie trzech wydań; ostatnie, które mam przed

sobą, bardzo wytworne. Jeszcze większą prostotą środków posiłkuje się Farina w trzech najświeższych nowelach swoich: „Nim przyszło na świat“, „Trzy mamki“ i „Synu mój ucz się“, które to obrazki, stanowiące same w sobie całość skończoną, składają się wszakże na jedną trylogią... uczuć rodzicielskich, z nadzwyczajną prawdą odmalowanych.

Młody adwokat Placidi, żeni się z panną Ewangeliną, młodą również i piękną. Cały rok pierwszy pożycia małżeńskiego zszedł młodemu ludziom na wzajemnych pieszczotach i... oczekiwaniu klientów, którzy się do adwokata „prosto z pod igły“ nie śpieszyli. W drugim roku, pomimo, że miłość małżonków nie się nie zmniejszyła, aniół smutku przeleciał nad ich gniazdkiem. Oboje mieli w duszy jakiś ciężar, który ich przygniatał; śmieli się coraz rzadziej, wdychali częściej, a kryli przed sobą i ten smutek i jego źródło, siląc się na spokój i wesołość. Dla kogóż ptaszyna ściele gniazdko?.. dla dzieci. Bohaterowie nasi byli smutni, bo... gniazdko ich było pustel.. Oni tak gorąco pragnęli syna, a Bóg im szczęścia tego odmawiał. A tu w dodatku niedyskretni ludziska pozwalają sobie żartować na ten temat i robić aluzje nieprzyjemne; ba i teść nawet, ojciec młodej małżonki, ustawicznie zaprasza się w listach na chrcziny, pozwalając sobie przytém na wybryki humoru tak dokuczliwe... Nierozważny starzec!

„W tém osamotnieniu naszém, opowiada Placidi (str. 26), wybrałiśmy sobie towarzysza, który był dla nas przyjacielem i dyskretnym dźwiękiem swego głosu uprzyjemniał nam życie. Był-to ptak przypominający kosa i wróbla. Pamiętam dziś jeszcze ten dzień okrutny, kiedy spostrzegliśmy, jak nasz śpiewak, mógłbym powiedzieć, nasze dziecko, siedział w kąciku klatki nieruchomy, z oczyma zamglonemi, dla których już nie miały żadnego powabu... nawet glisty. Żona moja nie wiedziała, co o tém myśleć; pytała znajomych bliższych i dalszych, coby to być mogła za choroba i jak ją leczyć należy; okazywała biędnemu zwierzątku tysiące pieszczot; wołała do niego z przymileniem najczulszém—wszystko naprózno. Biędna istota skrzydlata zmarła, jak się to mówi, w kwiecie wieku. Śmierć tój ptaszyny była dla nas bardzo bolesna. Ile razy spojrziałem na opróżnioną klatkę, zawsze mi przychodził na myśl towarzysz sepeśnych, bo sierocych dni naszego życia. Widząc Ewangelinę zasepioną, pocieszałem ją przypuszczeniem w duchu metampsychozy, że kos nasz musi być już w tój chwili pieskiem, a niedługo może stanie się godnym bytu człowieka i... synem pani Ewangeliny, żony adwokata Placidiego. „Pomyśl, mówiłem nieraz do nięj, cóżby to było gdybyśmy zamiast kosa stracili syna“? Ta uwaga skłoniła mię nawet do wypowiedzenia bardzo głębokiej myśli, że jedyną prezerwatywą przeciwko śmierci dzieci jest... nie posiadać ich wcale... To odkrycie tak nas uradowało, że odtąd jedyném pragnieniem mego serca był... pierwszy klient...”

Po upływie pewnego czasu młoda małżonka zasłabła... Przerazony adwokat sprowadza lekarza, który zapytany o stan zdrowia chorej, odsyła męża po odpowiedź do żony. „Czy wiesz, jak się nazywa

twoja choroba?..“ Ewangelina objęła namiętnie szyję męża, a okrywając czoło jego pocałunkami, szeptała ze łzami w oczach: „Zdaje mi się, że cię teraz kocham jeszcze więcej...“ „Najwyższego pojęcia nabrałem o sobie, mówi Placidi (str. 48), nie wtedy, kiedyś świetnie złożyłem egzamin z prawa kanonicznego na uniwersytecie Padewskim, nie wtedy, kiedy mi odzianemu w togę poważną, kładziono na palec pierścień doktorski, nie wtedy, kiedyś wobec syndyka zaślubiła Ewangelinę moję na wieki: lecz najwyższe pojęcie o wartości swojej powziąłem w tym dniu jedynym, gdym poczuł, że jestem ojcem.“

Pełen prawdy życiowej jest rozdział, w którym Placidi opowiada rodzaj ekstazy, jaką budził w jego piersiach ten wyraz „ojciec.“ Upojony niewystowioną radością, wybiegł za miasto, na łąki kwieciami pokryte, żeby najmniejszy odgłos gwaru miejskiego nie zakłócił rozkosznych wrażeń, jakich wówczas doświadczało jego serce. „Syn mój! syn mój!...“ powtarzał entuzjastycznie w przekonaniu, że w tym wyrazie zogniskowały się wszystkie promienie ziemskiego szczęścia. A jeżeli nie syn to będzie? myślał nieraz w chwili zwątpienia. Smutek płynący z tego źródła mógłby dla duszy ojca być bardzo gorzkim, gdyby go nie osładzał ten aksjomat, że jeśli dziecię mające przyjść na świat nie będzie synem, musi być niezawodnie... córką (str. 70). Przeszły wreszcie długie miesiące fatalnego wyczekiwania i niepewności, aż oto „usłyszałem, opowiada ojciec, ten krzyk rozkoszny, który jest zwiastunem raj, ten głosik, będący muzyką, ten płacz żalony, który jest pieszczotą!..“

W następnej nowelce autor przedstawia z niemniejszą prawdą pierwsze chwile po urodzeniu się syna, te uwagi stereotypowe sąsiadów o piękności czoła, ustek i rozumnym wyrazie oczu dziecka, te naiwne horoskopy krewnych, a nadewszystko te świetlane rojenia rodziców, snujących nad kołyską jedynaka najpromienniejszą przędzę myśli o wielkiej jego przyszłości. „Ileżto razy, opowiada ojciec, budził mnie pośród nocy sen okropny, że nie jestem już ojcem i wówczas całkowicie w słuch się zamieniałem, by usłyszeć słodki oddech mego maleństwa niewinnego“ (str. 42).

W trzeciej wreszcie nowelce autor kreśli wyborny obraz tych radości nowych i nieodłącznych z nimi kłopotów, jakich rodzice doświadczyc muszą od chwili, kiedy chłopiec zaczyna się uczyć, a obsypywać matkę i ojca tysiącem najróżnorodniejszych pytań, na któreby nieraz i mędrzec odpowiedzi znaleźć nie umiał. Ileżto razy ojciec biedny pocić się musiał, żeby odgrzebać w pamięci jakąś historyczną lub geograficzną wiadomość, która już oddawna z głowy wywietrzała. „Zadali synowi memu trudny przykład do rozwiązania (str. 45) i biedny chłopiec, nie będąc silnym w matematyce, nie mógł wybrnąć z tego kłopotu:

— August nie może zrobić zadania—mówiła do mnie Ewangelina—nie wiem gdzie ci nauczyciele mają głowę. Piękny sposób drę-

czenia biédnego chłopca!.. Przez cały ranek siedzi schylony nad stolikiem, powinienes mu przeciw dopomódz.

— Ja dopomódz?—zawołałem—ależ w takim razie na co mu się przyda chodzić do szkoły? Jeżeli mu dają przykłady, to widocznie, że je powinien umieć rozwiązać, a zresztą ja jestem bardzo zajęty.

— Ależ to jest zadanie bardzo trudne. August nie może go rozwiązać, płacze...

— Płacze?..

Pobiegłem szybko, a przestąpiwszy próg pokoiku, w którym się biedził August, doznałem jak gdyby przecucia blizkiej katastrofy. Ale nie było ratunku; zbliżyłem się do swego syna, popieściłem zalane łzami jego policzki i rzekłem nie bez trwogi:

— Gdzieżto?... „Fabrykant cegły ma dostarczyć tyle cegieł, ile potrzeba do wyłożenia posadzki pokoju w formie trapeza... i t. d.“ To nie trudne—rzekłem.

Syn mój nic nie odpowiedział, tylko utopił we mnie wzrok osłupienia i podziwu. Ja zaś dodałem:

— Nie mam czasu na rozwiązywanie twych zadań; pocóżbyś zresztą chodził do szkoły, gdybym ja odrabiał twoje prace. Wierzę, że jesteś znużony długim ślęceniem; idź, pobiegaj trochę, gdy wrócisz, zadanie łatwiejszém ci się wyda.

— Ono jest zatrudne—protestował chłopiec.

— Ono jest łatwe—odparłem.

August poszedł biegać, a ja zająłem miejsce jego przy stoliku. Niechaj miłosierdzie niebieskie ochrania każdego ojca od tortury, jakiej ja doświadczałem tego rana. To, co mi się wydawało tak łatwém zdaleka, najeżone było później tysiącem niepokonanych trudności. Głowa mi puchła od miliona kombinacji liczbowych; myliłem się nieustannie, tracąc czas drogi i odprawiając klientów, którzy przychodzili po radę. Rozwiązałem wreszcie zadanie ku wielkiej swój dumie i uwielbieniu Ewangeliny. Ale nie długo trwała ta radość... August powrócił ze szkoły z miną psa pobitego. Gdym go zapytał, co mu się stało, odpowiedział, że zadanie było źle rozwiązane.

— To być nie może—zawołałem.

— Patrz, ojcze—rzekł melancholicznie syn mój—powinno być cegieł 4526 a jest tylko 3916.

Spoglądałem na kajet nic nie widząc. Gdyby mi spadły na kark te wszystkie cegły, stan mój nie byłby zapewne okropniejszy...”

Wobec tysiąca pieprznych elaboratów powieściowych, nie dających nic dla rozumu i dla serca, nowelki Fariny, jakkolwiek zupełnie bezpretensjonalne, są nowością bardzo przyjemną. Idealizowanie życia rodzinnego, na którym gruntuje się przeciw byt społeczeństw, pozycyujemy autorowi za zasługę.

• • • • •
 Jak poemat liryczny, sonet (w pierwotnej swój postaci) i ballady z poezji prowansalskiej; tak poemat opisowy, epos i nowela przeszły

do Włoch od północno-francuzkich truwerów. Zczasem nowela stała się tutaj tak narodową, jak i sonet; przedstawiała się ona rozmaicie w różnych miejscowościach kraju włoskiego. We Florencyi np. oznaczała przeważnie opowiadanie o jakiejś błahéj śmieszności, przeznaczonéj ku rozweseleniu słuchaczy; takie przynajmniej określenie noweli daje krytyk Bonziani, arcybiskup, który pisał teorią tego rodzaju prac literackich, stosując do nich przepisy Arystotelesa. Współczesny Bokacyuszowi, Franciszek Sacchetti, w przedmowie do swego dzieła mówi, że ma pisać nowele, „t. j. rzeczy nowe, które tyle znaczą, co głupie, próżne wszelkich zasad i zdrowego rozsądku.” Bokacyusz nazywa swego Calandrina prostakiem i człowiekiem obyczajów nowych, t. j. inaczej głupcem. Zasadniczą więc podstawą noweli jest głupstwo ludzkie, na co zresztą nie brak tysiącznych dowodów w ogromnéj liczbie noweli włoskich, poczynwszy od XIV w. Zyskawszy prawo obywatelstwa w całej Europie, nowela zmieniła zczasem pierwotny swój charakter, a obecnie będąc w ogóle dość modną, jest najróżnorodniejszój treści szkicem powieściowym drobnych rozmiarów. Najwięcej wszakże noweli wychodzi, jak zawsze, na samém południu Europy: we Włoszech i w Hiszpanii.

Mamy przed sobą książkę o 190 stronicach małej ósemki, zawierającą aż 16 noweli, wyszłych z pod pióra Bernardiniego. We wszystkich prawie tych drobiazgach, rolę główną odgrywa pierwiastek erotyczny, przedstawiony w rozmaitych, po większój części bardzo zużytych kombinacjach. Tu rozkochana dziewczica, składając „ostatni pocałunek” na ustach ubóstwanego kochanka, ginie na schadzce miłosnój od sztyletu Jana, któremu tryumf rywala pomieszał zmysły (*L'ultimo bacio*); tam wrząca namiętnością Nina, dowiedziawszy się, że ten, któremu ona oddała serce i który miał ją poprowadzić do ołtarza, jest żonaty, odbiera sobie życie w nurtach rzeki (Nina); gdzieindziej rozpustny pasożyt, Karol, pod wpływem uczucia dla Adeliny, wchodzi na drogę cnoty (*Lavore*); w inném miejscu Antonio, zdradziwszy Różę i zamordowawszy jój brata, dostaje się w ręce sprawiedliwości w tój właśnie chwili, kiedy, po powrocie od ołtarza, zasiadł obok oblubienicy swojej u biesiadnego stołu (*Vendetta*) i t. d. i t. d. Nowelki te, obracające się prawie wyłącznie w sferze stereotypowych, że tak powiem, motywów, rzadko wkraczają w dziedzinę podnioslejszój myśli, chociaż mogą się ratować od zapomnienia formą powabną, a nawet w wielu miejscach poetyczną.

.....
 Już to przyznać trzeba, że włosi dbają o zewnętrzną formę swych książek. Aż miło wziąć je do ręki. Większa część dzieł belletrystycznych, celniejszych mianowicie pisarzy, drukuje się tu przeszlicznym elzewirem, na welinowym, chińskim papierze, z najrozmaitszemi ozdobami. „Uczciwość absolutna i uczciwość względna,” romans Marazziego, z którym poznać się mamy, posiada nawet ilustracye, nie osobliwe wprawdzie, ale jak do takiej treści..... Młody hrabia

Hektor, porucznik, pokochał piękną Henrykę, która mu za to uczucie gorącą odpłaciła wzajemnością. Ponieważ rodzice młodych kochanków pragnęli również tego związku, ślub więc byłby natychmiast przyszedł do skutku, gdyby nie wojna, która będącego na urlopie Hektora do szeregów bojowych powołała. Tymczasem Hektor miał rywala w Orlandzie Malfinim, z którym przyszło nawet do pojedynku. Rannego Hektora odwożą do najbliższego dworu hrabiny Rina, pięknej i młodej wdowy. Choroba trwała bardzo długo, pomimo największej troskliwości ze strony gospodini domu. To długie obcowanie ze sobą młodych ludzi, wyrodziło pomiędzy nimi przyjaźń gorącą, od której do miłości... krok tylko. Jakoż krok ten nastąpił, wywołując katastrofę. W chwili, kiedy Hektor, zajrzawszy w głąb swego serca, spostrzegł z rozpaczą, że ono dla dawniej władczyni swojej bić przestało, przychodzi list od Henryki, pełen miłości najczystszej i tęsknoty za ukochanym. Trzeba było wreszcie odkryć tajemnicę Rinie.

— Posłuchaj mię, droga—mówi Hektor—ja już względem pewnego dziewczęcia uroczystą obietnicą jestem związany; więc...

— Podły!—zawołała ze zgrozą hrabina—cios śmiertelny zadałeś memu sercu.

— Przez litość, przez litość... posłuchaj mię jeszcze... jedno słowo, a będę twoim.

— Mów prędzej, cóż nam pozostaje?...

— Umrzeć!—zawołał Hektor—cisnąc kochankę do drżących piersi (str. 189).

Nazajutrz rano doktor Buni przyszedł, jak zwykle, do pacyenta i, ku zdziwieniu swemu, zastał drzwi zamknięte. Stuka—milczenie. —Hektorze, Hektorze! woła donośnie, żadnej odpowiedzi. Pobiegł do pokoju hrabiny i znalazł go otwartym, lecz pustym. Woła na służbę: nikt mu nie umie dać objaśnienia. Wyłamują wreszcie drzwi od pokoju Hektora i znajdują dwoje kochanków... bez życia. Na stoliku leżało pismo krótkie tej treści: „Gdybyśmy w imię miłości naszej chcieli żyć razem, nazywanoby nas podłemi; dzisiaj, gdyśmy dobrowolnie żyć przestali, ochrzciecie nas mianem bohaterów. My zaś byliśmy jedynie kochankami, dla których śmierć najmiłsza.”

Wkrótce potem Henryka została żoną doktora Buni i romans skończony.

Pomijając chorobliwą sentymentalność zasadniczej idei tego romansu, wymagającej od narzeczonego albo ślubu z wybraną dziewczyną, albo... śmierci, zaznaczyć muszę, że utwór Marazziego grzeszy zupełną bezbarwnością charakterów, niemowlęcym intrygi, brakiem prawdy psychicznej i rozwlekłością opisowych epizodów. Dodatnią stroną romansu jest jego szata stylowa, bardzo powabna.

Nierównie pożyteczniejszą, jakkolwiek daleką od zaspokojenia średnich nawet wymagań, jest książka p. Guerini p. t.: „Przyjaciel prawdziwy.” Bohaterem tego romansu jest hrabia Franz, który, za-

kochawszy się w żonie swego serdecznego przyjaciela, był tyle szlachetnym, że postanowił wyjechać z miejsca pobytu Laury i tyle... najwinnym, że przed wyjazdem wypowiedział tę miłość swoją przed... mężem ukochanej, a przyjacielem swoim. Włócząc się następnie po różnych kątach, Franz spotkał w Londynie młodą panienkę, która była uderzająco podobna do Laury, w skutek czego zakochał się w niej na poczekaniu i... ożenił. Po ślubie dopiero przekonał się biedak, że podobieństwo zewnętrzne nie zawsze chodzi w parze z podobieństwem ducha i że Alicya, przypominająca twarzą anioła, z tysiąca wad charakteru podobna była... do djabła. Szczęściem, po kilku latach męczarni, Bóg oswobodził Franza od niezbyt miłej towarzyszkki i zbliżył go do syna zmarłego przyjaciela, na którego po śmierci rodziców chłopca przelał Franz swoją przyjaźń. Podróżując razem, zamieszkali pewnego razu w sąsiedztwie starego poety, który miał młodzieńką i piękną córkę. Właśnie w tej porze starzec rozchorował się ciężko, a doświadczony od Franza opieki, troskliwości i pomocy, złożył pewnego razu rękę swjej Maryi w szlachetną dłoń Franza i błogosławił im, mówiąc, iż umrze spokojny o przyszłość swego dziecka, gdy je zostawi pod opieką takiego jak Franz człowieka. To błogosławieństwo było strasznym ciosem dla młodego Antonia, który pokochał Maryję całym ogniem swego serca. Pod wpływem zazdrości i rozdrażnienia, obraża zacnego przyjaciela i wyjeżdża w daleką podróż. Na szczęście jednak Franz był prawdziwym przyjacielem. Usłyszawszy z ust Maryi wyznanie miłości dla Antonia i domyśliwszy się wreszcie przyczyny nagłego odjazdu młodzieńca, odnajduje go i łączy z Maryją.

Gadulstwo niewieście i pierwotna prawdziwie prostota, pod względem architektonicznym, stanowią ujemną stronę tego romansu, który jednak, z uwagi na etyczną jego tendencją, może być dla młodych czytelników zdrowym pokarmem.

Romans historyczny należy niewątpliwie do tej kategorii utworów, które bez względu na swoją wartość artystyczną, zawsze mogą liczyć na szerokie koło czytelników. Mają one, szczególnie dla młodego pokolenia, bardzo silny, bo podwójny urok prawdy dziejowej i fantazyi, które się tu nawzajem dopełniają zwykły. Pamiętam, że za moich studenckich czasów „we wszystkich czytelnictwach prywatnych, takie utwory, jak: „Zamek Kaniowski,” „Zamek Warszawski,” „Zygmunt z Szamotuł,” „Pojata,” „Hipolit Boratyński,” „Jan Sobieski” i w. i., były nieustannie w obiegu, tak, że czytelnicy na ich otrzymanie, długie nieraz miesiące, ku udręczeniu swemu czekać musieli. Niemniejszym powodzeniem cieszyły się romanse historyczne, z obcych języków tłumaczone. Uwagi powyższe nasunęła nam „Donna Olimpia Pamfili,” która w krótkim czasie miała we Włoszech trzy wydania, pomimo, że do arcydzieł nie należy. Autor tej książki, Ludwik Capranica, osnuł opowieść swoją na tle spraw wewnętrznych dworu rzymskiego, za papieża Innocentego X (Jan Baptysta Pamfili 1644—1665 r.). Nie mo-

gąc przytaczać treści tego utworu, powiemy tylko, że szpetne intrygi bohaterki romansu, będącej wdową po bracie papieżkim, jej wpływ ogromny na bieg ówczesnych wypadków miejscowych, a tém samém do pewnego stopnia i europejskich, łotrowstwa oddanego zupełnie tej kobiecie Mascabrano; awanturniczo-miłosne perypecje Bankeriniego i Plantilli, wypełniają romans, o którym mowa. Czytać go można z zajęciem, tak ze względu na jego stronę dziejową, popieraną troskliwie cytatami, będącemi w tego rodzaju literaturze osobliwością, jak i na plastyczność bohaterów głównych opowieści i dość umiejętnie skomplikowaną fabułę. Ujemną stroną książki jest nadmiar nagromadzonych cieniów, brudu i skandałów, oraz zbyt duża hazardowość takich np. epizodów książki, jak „Il letto di nozze” (str. 281). Romans taki tylko krytykom czytać wolno!

.....

„Błyski fantazyi” Busnellego, najzupełniej usprawiedliwiają ten tytuł. Zawierają one aż 28 szkiców i opowiadań, powiększając części bardzo białych. Autor jużto opowiada drobne przygody w czasie podróży („A Parigi,” „In Ferrovia”) albo zaprawne wątpliwym humorem kłopoty zakochanych („Un primo amore;” „Azurro;” „La mia prima vittoria;” „Una tragedia... da ridere” i t. d.); już téż kreśli drobne obrazki historyczne („Patriottismo,” „Meglio tardi che mai”) lub próbuje opowiadań alla Gaborieau („L'Alibi”). Pośród tych szkiców zwraca na siebie uwagę, jakby tu wypadkowo zabłąkana, polemika gorąca z Dumasem synem, w przedmiocie teorii tego pisarza o małżeństwie. Włoski autor, w artykule stosunkowo dość obszernym („L'uomo-donna”) powstaje z oburzeniem przeciwko Dumasowi za jego osławione „tuez-la.” Duma mężczyzn do tego stopnia ich zaślepia, mówi Busnelli, iż nie chcą widzieć, że oni sami są jedynymi sprawcami nieszczęść kobiety. Na sto wypadków hańby niewieściej, do 99-ciu trzeba szukać klucza w winie mężów. Mężczyźnie wszystko jest dozwolone, cudzołóstwo nawet, bo on sam sobie kreśli prawa; kobieta natomiast, będąca z natury słabszą, nieodpowiednio wychowaną, częstokroć dreczoną przez męża, ma być za to karana śmiercią, że czychający na jej zgubę mężczyzna, korzysta z najdrobniejszej okoliczności, by ją podejść, otumanić, usidlić i wtrącić w przepaść!.. Gdzież sprawiedliwość?! „Ze przy dobrym mężu, woła z galanterią Busnelli, niema złyż żony, to pewnik” („Il buon marito fe la buona moglie: e una massima per me indiscutibile” str. 125).

Na końcu tomu dał autor „I raffinati della galanteria e dell'umorismo,” to jest myśli aforystyczne, obracające się przeważnie w sferze serca. Oto próbki: „Chcieć szukać w życiu rzeczywistém miłości wiecznych i bezwzględnych, jest to samo co szukać na placu publicznym kobiet tak pięknych jak Wenera Praksytelea lub mniemać, że słowiki śpiewają symfonie Bethovena.” „Na serce kobiety oddziaływa-

ją magicznie wojskowi nie wdziękami swoimi lecz dewizą: „O d j e ż d z a m jutro i nie wracam;” „Kobieta nie nuży się nigdy miłością, lecz przyzwyczajają się do niej, podobna do tych pijaków opium, którzy nie odczuwaliby działania swęj ulubionęj trucizny, gdyby nie zwiększali ustawicznie jęj dozy;” „Najsmutniejszą rzeczą w małżeństwie jest to, że gdy niewiasta zachowa iluzyc dla wszystkich innych męzczyzn, traci je tylko dla swego męza;” „U ludzi, którzy kochają raz tylko, miłość kieruje ich wolą; u tych, którzy kochają więćej razy, wola kieruje miłością;” „Małżeństwo bez miłości jest uświęceniem prostytutcy;” „Z kobietami przytrafia się to często, co z pieniędzmi: bierze się je po to, żeby oddać komu innemu;” „Czy wiecie dlaczego królowe angielskie panują lepiej od królów?... Bo pod panowaniem kobiet rządzą męzczyźni, a pod panowaniem męzczyzn... kobiety;” „Jeżeli chcesz poznać kobiety, obcuź z niemi; jeżeli chcesz poznać męzczyzn, obcuź z kobietami: bo męzczyźni są tylko męzczyznami przy kobietach;” „Miłość jest pojednaniem i złaniem się dwu egoizmów, które sobie wzajemnie czynią zadość;” „Miłość jest jedynęm szaleństwem rozumnęm i jedyną przykrością, która... uszczęśliwia;” „Małżeństwo w społeczeństwie dzisiejszém jest najokrutniejszą parodią wiary, przysięgi i wieczności;” „Prawie zawsze niewierność żony wchodzi temi samymi drzwiami, któremi mąż wyszedł, żeby się zejść z kochanką;” „Kobieta jest znakiem zapytania, wobec którego każdy niedołęga w wykrzyknik się zamienia;” „Ze wszystkich istot stworzonych, kobieta ma najmnięj egoizmu; gdy kocha, jęj „j a“ zmienia się w „o n;“ „Łatwiej być kochankiem niż męzem, bo trudniecej być zawsze rozsądnym niż czasami;” „Miłość jest poezją zmysłów;” „Miłość nie przechodzi w przyjaźń, nie można budować na popiołach.“

Śród tych aforyzmów spotykamy wiele reminiscencyi, chociaż autor o tēm nie wspomina.

Że błędy wychowania okupują się nieraz zwichnięciem całej przyszłości: oto czego chciał dowieść Galatti w swoich wspomnieniach kobiety, zatytułowanych „Sen jednęj godziny.“ Piętnastoletnia Ginerwa, skończywszy pensyą w Turynie, przyjechała na stałe mieszkanie do ojca, który od lat kilku był wdowcem. Oddany interesom i uciechom życia, bo dość młody jeszcze wdowczyk, nie mogąc, a bardziecej nie chcąc poświęcać czasu samowolnęj i nad wszelki wyraz chciwęj zabaw jedynaczce, sprowadził dla jęj towarzystwa i opieki starą siostrę, kobietę zrędną i nader surowych obyczajów. Od pierwszęj chwili wybuchła między ciotką a siostrzenicą gorąca walka. Z jednęj strony dziewczyna była rzeczywiece dzieckiem zepsutém, a nadewszystko nieznośnecem niczycęj woli, z drugięj wszakże, staruszcze zbywało na rozsądnęj wyrozumiałości i taktcie, któryby na charakter Ginerwy korzystnie oddziaływał. Każdy niewłaściwy postępek dziewczyny sprowadzał ze strony ciotki burzę uniesień i wyrzutów, które zwykłe aż interwencyi ojca wymagały. Naturalnie, obejście się takie z dziewczyną

rozjątrzało ją tylko, do coraz nedorzecznějších kroków zachęcając; tém więcéj, że ostatecznie zawsze Ginerwa tryumfowała. Jakoż pomi-mo argusowych oczu ciotki, paniénka potrafiła wejść w koresponden-cyą miłosną ze studentem, który ją wszędzie ści-gał i zaczepiał.

Pewnego razu panna miała iść z ojcem na bal poraz pierwszy. Na dwa tygodnie naprzód, nieustannie myślała tylko o toalecie, która wreszcie okazała się w stanowczéj chwili tak rażąca, że ciotka zgor-szona do żywego biustem paniénki, zawołała brata, mówiąc z furją:

— Patrz, bracie, na swoję córkę.

Dziewczyzna, przewidując burzę, tak umiejętnie ułożyła ramiona, że udało się jéj złagodzić choć w części niedyskretną wyrazistość gorsu.

— I cóż?...—zawołał ojciec.

— Jakto, czy nic nie widzisz?

— Że wygorsowana?... czy o to idzie?

— Że naga, powiedz, panie bracie!...

Staby ojciec wahał się przez chwilę z postanowieniem, lecz wkoń-cu rzekł do dziewczyny:—pójdźmy!

— Pani! miej litość nad nimi!—wołała z rozpaczą ciotka, pa-dając na kolana (str. 25).

Nazajutrz opuściła dom brata, a jéj miejsce zajęła guwernantka francuzka, Julia, kobieta najgorszych obyczajów. Odgadnąwszy bar-dzo łatwo złe skłonności dziewczyny, schlebiała im jaknajgorliwiéj, rozwijaniem w swéj wychowance popędów dzikiej zmysłowości. Na pierwszym balu zajął Ginerwę silnie hr. Vallaux i rozpoczął kroki celem usidlenia pustej wietrznicy, która zapomniawszy o studencie, zaczęła tajemną korespondencyą z drugim kochankiem. Na nieszczęście stu-dent dowiedział się o tém i zagroził, że odda hrabiemu wszystkie listy. Przerażona zalotnica, za radą Julii, postanawia przyjąć w swym domu studenta, w czasie nieobecności ojca i wymó-dz na nim zwrot listów.

— Ja ci sprzedam, pani, te listy—woła młodzieniec, gdy Julia stała na straży.

— Co to znaczy?

— Że chcę ci sprzedać twe listy?—powórzył chłopiec.

— Za jaką cenę, panie?—spytała dziewczyna tonem wyniosłym.

— Twojego pocałunku!...

— Kto ci dał prawo znieważać mię!—krzyknęła Ginerwa tonem Junony obrażonéj, ale w téj chwili wbiegła nikczemna Julia, błagając dziewczynę, żeby uczyniła zadość skromnemu żądaniu Pawła.

— Ależ to hańba!—broniło się dziewczę.

— Pocałunek? Żartujesz chyba: prę-dź, bo ojciec wróci.

— A więc... panie!—szepnęła dziewczyna, patrząc w ziemię.

— Zgadzasz się pani na tę cenę?

— Cóż mam czynić?...

Zaledwo wymówiła te wyrazy, dwoje ust zetknęło się w serdecz-nym pocałunku. Po tym wypadku Ginerwa przerażona tą spadzistoś-

cią, po której biegła coraz gwałtowniej, postanowiła co *ù te que co ù te* wyjść za mąż. Jakoż wezwawszy na pomoc niewyczerpane zasoby kokieterji, bardzo prędko została żoną najszlachetniejszego człowieka. Na nieszczęście związek ten, w którym nie uczestniczyło serce dziewczyny, nieposiadającej zasad moralnych, musiał sprowadzić smutne następstwa. „Mogłażem się wstrzymać nad przepaścią, opowiada sama bohaterka, gdy poczucia godności człowieczej nikt we mnie zamłodu nie rozwijał, gdy o świętości związków małżeńskich najmniejszego nie miałam pojęcia, a przewodnikami wychowania mego były: awanturnica francuzka i zatrute karty zgniłych romansów Woltera. Jedynym na drodze występku hamulcem dla mnie była obawa skandalu publicznego.“ W kilka zaledwie tygodni po ślubie, zacny mąż Ginerwy został najohydniej zdradzony przez żonę i przyjaciela, który został szczęśliwym jęj kochankiem. Po pewnym jednak czasie dusza Ginerwy doświadczać zaczęła nieznanych jęj dotąd wrażeń. Zaślubiona człowiekowi, którego wartości nie oceniła, po dłuższym dopiero pozyciu spostrzegając zaczęła ze zdumieniem, że mąż jęj pod każdym względem jest wyższym o całe niebo od wszystkich męczyzn, jakich znała. Jego takt w postępowaniu, rozum niezwykły, szlachetność nadzwyczajna, jego delikatność uczuć, wzniosłość poglądów i w ogóle tyśiące rzadkich między ludźmi zalet, tak olśniły Ginerwę, że serce jęj naprawdę uderzyło poraz pierwszy.

Wyobraźmy sobie rozpacz kobiety, która odrodziwszy się cudownie pod wpływem miłości, odzyskuje świadomość strasznej zbrodni, spełnionej względem człowieka, któremu to odrodzenie zawdzięcza. „Chciałam się rzucić na szyję Frańciszka, by mu wyjawić tę straszną tajemnicę, lecz mi odwagi zabrakło. Być kochaną przez człowieka, którego się kocha równą miłością, żyć z nim pod jednym dachem, być żądną jego słodkich pieszczot i jednocześnie drżać przed nim z trwogi, nie mieć śmiałości spojrzeć mu w oczy, ani podać zbrukanego czoła do pocałunku a! to męczarnie! Ciężki był mój upadek, ale kara za niego... straszna.“ Pod brzemieniem tęj niedoli upadając, zwróciła się teraz przejęta skruchą, ku Bogu, z którym od tak dawna rozbrat wzięła, a pojednawszy się z Nim przez spowiednika, śniła rozkosznie czas jakiś, że utracony spokój odzyska. Ale był to tylko *Sogno d'un ora!* Daremne były usiłowania nieszczęśliwój kobiety, żeby zerwać wszelkie nici, które ją ze spółnikiem zbrodni łączyły; daremnie patrząc na niego ze wstrętem, od towarzystwa jego stroniła; wice-hrabia coraz natarczywiej dopominał się o swoje prawa, a wreszcie zastawszy ją pewnego razu samą, począł jęj oświadczać swoje miłosne afekty. W tęj właśnie chwili wszedł mąż Ginerwy... Nazajutrz, dzięki amerykańskiemu pojedynkowi, wice-hrabia musiał sobie sam odebrać życie, a mąż Ginerwy opuścił natychmiast siedzibę ojców, zostawiwszy w mieszkaniu swoim list tęj treści: „Gdy czytać będziesz to pismo, ukochana, już mnie nie będzie na świecie. Pomimo zdrady twojój, oddalenia od ciebie znieśćbym nie mógł i dlatego idę szukać kresu cierpień w nurtach

Renu. Postąpię w ten sposób, że śmierć moja za przypadkową ucho-
dzić będzie i podejrzeń na sławę twoją nie ściągnie. Udaj, że jak
przykładna żona płaczesz po mnie. Bądź zdrowa Ginerwo, poraz
ostatni!“ W kilka dni potem, gazeta koblencka ogłosiła, że dzięki
fatalnemu wypadkowi, szlachetny markiz di Warford utonął w Renie.

Podaliśmy cokolwiek obszerniej treść książki Galatti'ego, bo te
bolesne wspomnienia kobiety, to pospolita wprawdzie, ale pouczająca
zawsze i pełna prawdy karta, wyrwana w całości z księgi życia. Ież
to Ginerw podobnych tuła się po bożym świecie, padając ofiarą wycho-
wania, które z nich, zamiast człowieka z sercem i rozumem, zrobiło
lalki marmurowe i bezmózgje!...

Jan Faldella jest humorystą. Młody ten pisarz piemoncki dał
tu poznać poraz pierwszy swoją „Wycieczkę do Wiednia“ (Gita a Vien-
na), w której złożył dowody rzeczywistego talentu, opisując z humo-
rem, artyzmem i wdziękiem cudy różnych narodów, na wystawie pow-
szecznej zgromadzone.

W następnej pracy, noszącej tytuł „Figurine,“ kreśli powabnym
piórem piękności wiejskiego życia, nie wpadając w cikliwość sielanki.
Z pełnych prawdy krajobrazów Faldelli, zalatuje woń balsamiczna łąk
skoszonych, a myśli jego tchną prawie wszędzie świeżością wiosenną
kwiatów. W pośród niecierpliwości i gorączkowych ruchów obecnej
chwili, pisma Faldelli dźwięczą zawsze nutą pokoju; posiadają one
zwykle tę miękkość, delikatność i słodycz, która pisarzom piemonckim
jest właściwa. Faldella posiada jako artysta pewną odrębność indy-
widualną, która go odróżnia od wszystkich młodych pisarzy współ-
czesnych. Ma on właściwą sobie fizyognomią tak w zaletach jak w wa-
dach, która stanowi oryginalność jego jako pisarza. Oryginalność ta
wszakże, będąca często naturalną, przechodzi nieraz w manierę i nuży
czytelnika; autor bowiem wysila się na składnię bardzo skomplikowa-
ną, na zwroty wymuszone i zawiłe, gromadząc ze szczególną predylek-
cją antytezy ¹⁾, które niekiedy zupełnie rzecz zaciemniają. Tą wadą
grzeszy i ostatnia książka Faldelli, („Ruiny,“ „Godna śmierci,“ „La-
ur miłości“) zapełniona w trzech czwartych biografją humorystyczną,
jakiegoś półgłówka Pinotto, zapoznanego literata, będącego synem
„matki psów“ (madre dei cani), które też tak poważną rolę odegrały
w jego życiu, że cierpiący aberracją umysłową literat, smarując usta-
wicznie bibułę coraz nowemi pomysłami, wśród rozlicznych aforyzmów,
zostawił między innymi i następny: „Bezważdźnemi nieszczęściami
w rodzinie są psy i... literatura niewydana.“

Wyobraźcie sobie przewodnika, który w celu wyprobowania dro-
gi, po którejby innych mógł przeprowadzać bezpiecznie, idzie sam na-
przód bez wskazówek żadnych, ot tak na oślep, przez bagna bujną po-

¹⁾ Molmenti, „Nuove impressioni letterarie,“ Torino, 180.

rosłe trawą lub przez góry, potykając się ciągle i żałując często, że w danym razie, wiedziony instynktem tylko, poszedł na prawo nie na lewo. W takiem położeniu znajduje się zwykle sprawozdawca z literatury zagranicznej. Najświeższy katalog wymienia, dajmy na to, kilkanaście utworów powieściowych: którez z nich warte są bliższej znajomości?... Brać za busołą w takim razie sławę nazwiska, byłoby rzeczą niesprawiedliwą, boć wiadomo, że i dzieła drugorzędnych pisarzy mogą mieć wysoką wartość swoje, a niekiedy pierwszy raz nawet występujący autor wchodzi odrazu na stanowisko bardzo wybitne. Poradzić się w takim razie pism peryodycznych byłoby dobrze, gdyby one zaznaczały najskrupulatniej, choć pobieżnie, ukazanie się i wartość wychodzącej książki. Ale gdzież tam!... Przejrzyjcie np. taki popularny tygodnik medyolański („Illustrazione italiana“) za ostatnie dwa lata, a znajdziecie jedno sprawozdanie z powieści pierwszorzędnego pisarza i to w dodatku bardzo liche. A jednakże trzeba te powieści przeczytać, bo... taki obowiązek sprawozdawcy.

Do wypowiedzenia powyższych myśli skłoniło mię wspomnienie romansu Zaniboniego „Kawaler“ (Scapolo). Treść „Kawalera“ jest następująca:

Hrabia Persegni, bardzo miły i bardzo ponętny jeszcze stary kawaler, wróg małżeństwa, utrzymujący wraz z Montaigne'em, że ono istnieć może harmonijnie tylko między żoną ślepą a mężem głuchym, przyjechał z młodym siostrzeńcem swoim Campiglia do domu baronostwa Falinich, dla przepędzenia w ich towarzystwie jakiegoś czasu. Pani baronowa była osobką o tyle zalotną jak piękną, to też nawet podstarzały pan hrabia nie mógł się oprzeć jój wdziękowi, płacąc zdradą za gościnność, oświadcza skłonną do romansów baronowej, swoje afekty. Powabna pani przyjmuje z wdzięcznością miłość hrabiego, oddawszy się jednocześnie siostrzeńcowi Campigli, który olśniony wdziękami baronowej, na swoją rękę romans rozpoczął. Jednocześnie autor rekomenduje czytelnikom młode i kochające się bardzo małżeństwo, któremu w podróży do państwa Falinich towarzyszy przyjaciel męża, łobuz salonowy, Caldani, dobijający się podle do serca żony... swego druha. Pomimo jednak szpetnych intryg i zabiegów Lowelasa, Rina pozostaje wierną swemu mężowi. Tymczasem hrabia kudzony przez czas długi mniemaną wiernością swój kochanki, w końcu rozczarować się musiał. I baron wreszcie, który dotąd nie podejrywał nawet swojej żony, przekonał się także o jój podłości. Separacją baronostwa i zupełnym rozdźwiękiem duszy „Kawalera“ kończy się romans Zaniboniego, w którym szczypty zdrowego rozsądku trudno odnaleźć. W dodatku treść powyższa jest rozwodniona w morzu długich i niesłychanie nudnych opisów o niebie, ziemi, powietrzu, kwiatkach, Darwinie i... o czém chcecie. „Wszystkie rodzaje są dobre, ale zachowaj nas Panie od nudnych.“

.

Z upadkiem w r. 1707 panowania Gonzagów, księstwo Mantuańskie, jako lenność cesarska, przeszło pod panowanie niemieckie, a Mantuańczycy, zmęczeni tyranią i złemi rządami ostatnich książąt, którzy niepohamowaną ambycją i polityką chwiejną ściągnęli klęsk tyle na swoje miasto, sprowadzając upadek handlu i przemysłu, przyjęli prawie z radością panowanie cudzoziemskie, zwiastujące im pokój, bezpieczeństwo, wymiar sprawiedliwości i dobrobyt.

Niektóre przezorne rozporządzenia Maryi Teresy i reformy Józefa II, umocniły silnie węzły przyjaźni między Mantuańczykami i Cesarstwem; obok tych jednak, którzy się cesarzowi niemieckiemu oddali całkowicie nie brakło i liberałów, piastujących w duszy uczucie niepodległości i swobody, a co zatem idzie niechętnych obcej niewoli. Rewolucya francuzka obudziła właśnie nadzieję w łonie tego stronnictwa, tém więcj, że, jak wiadomo, cesarz Franciszek II znalazł się w bardzo kłopotliwem położeniu. Jakoż w r. 1796, w którym się rozpoczynają wypadki, opisane w romansie historycznym Bonatiego („Żydówka,” czyli „Oblężenie Mantui”), wojska francuzkie zajęły ziemię włoską pod dowództwem Bonapartego, który, jako 25-cio letni młodzieniec, wstąpił się już przy oblężeniu Tulonu. Wojskiem cesarskiem we Włoszech dowodził baron Béaulieu, a hrabia marszałek Canto d'Yrles był gubernatorem fortecy mantuańskiej, posiadającej załogę z 14,000 ludzi złożoną. Postępy generała Bonapartego tak przerażały Mantuańczyków, iż w przewidywaniu blizkiego oblężenia prosili cesarza, za pośrednictwem posła Cavrianiego, o posiłki. Jeżeli wszakże jedni obawiali się zbliżenia wojsk francuzkich, drudzy oczekiwali na nie z niecierpliwością, myśląc jedynie o ułatwieniu im wejścia do miasta. Do kategorii tych ostatnich należał między innymi Henryk L..., syn jednego z najpierwszych magnatów Mantui, bohater romansu Bonatiego. W chwili, kiedy dumny ojciec Henryka planował sobie małżeństwo jego z córką gubernatora miasta, odbiera fatalną wiadomość, od jednego ze sług swoich, że młodzian rozgorzał miłosnym ogniem dla... żydówki. Wściekłość magnata nie miała granic. „Jakto, wołał w uniesieniu sam do siebie, miotając się w gabinecie swoim, jak tygrys w klatce, syn Sigismunda, prawnuk hrabiego Castelbares, miałby upaść tak nisko, by się zakochać w żydówce... w kobiecie innéj wiary... to niemożliwe, to zawielfka hańba dla mego domu!” W końcu, poleciwszy przywołać do siebie ojca żydówki, mówi do niego pełen gniewu:

— Jak się nazywasz?...

— Izaak.

— Handlarz?..

— Do usług waszjéj ekscelencyi. Miałem już nieraz sposobność usłużyć JWpanu, a ostatni raz nawet i synowi...

— A! synowi memu?..

— Kupił płaszcz.

— Mój syn przychodzi zapewne często do twego sklepu?

- Był wtedy poraz pierwszy.
 — Dawno?..
 — Przed dwoma miesiącami. Ale niech JWpan wybaczy... syn może nie kontent z płaszczą... ja mu przecie usłużył jak prawdziwy przyjaciel.
 — Aha!.. jak przyjaciel!..
 — Zapewniam waszę ekscelencyę, że sukno było prosto z Wiednia!... fein!..
 — A później już go nie widziałeś?
 — Płaszczą?..
 — Syna mego, niedołęgo!..
 — Nie, ekscelencyo.
 — Powiedz mi, Izaaku, czy masz ty córkę?..
 — Mam.
 — Jak się nazywa?..
 — Rachela—odpowiedział żyd z trwogą.
 — Piękna?..
 — Ależ... bardzo proszę... co znaczą te pytania?..
 — Odpowiadaj... czy piękna?..
 — W moich oczach...
 — Czy masz zamiar wydać ją za mąż?..
 — Myślałem o tém, ale córka...
 — Musisz ją wydać za mąż: ja tego żądam.
 — Dlaczegoż wasza ekscelencya tego żąda?
 — Bo córka twoja romansuje... z moim synem—zawołał D. Sigismondo, pieniąc się ze złości.

Słowa te spadły na Izaaka jak piorun; biędny handlarz nie mogąc ustać na nogach, pod brzemieniem tego ciosu, upadł bezsilny na blizkie krzesło. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, podniósł się, przysięgł Sigismondowi, że jaknajśpieszniej wyda córkę za mąż i pobiegł do domu, żeby natychmiast oświadczyć Racheli, iż za tydzień będzie ślub jój z kupcem Leonem, który oddawna prosił Izaaka o rękę córki. Rachela była w rozpacz, tém więcéj, że strzeżona pilnie nie mogła się widzieć z Henrykiem. Udało jój się przecież napisać do kochanka, który odebrał smutne to pismo w chwili właśnie, gdy wybrany przez tajemne stronnictwo liberalne na posła do armii francuzkiéj, miał niezwłocznie wyjechać do Medyolanu. Jakoż, napisawszy tylko serdeczny list do Racheli, zalecający dziewczęciu wytrwałość i odwagę, opuścił miasto. Zbliżył się nareszcie wyznaczony przez Izaaka dzień ślubu. Rachela, nie mogąc najgorętszemi prośbami i też potokiem wyebrać u ojca odroczenia fatalnéj chwili, uciekła z domu wśród nocy. Błądząc pó ulicach miasta, w śmiertelnéj trwodze długie godziny, upadła wreszcie bezprzytomna pod drzwiami jakiegoś domu, gdy przechodzący szczęściem młody człowiek, spostrzegłszy stan nieszczęśliwéj, zanosił ją do klasztoru zakonnicy. Tymczasem wojsko francuzkie obległo Mantuę, od granatów Napoleońskich zapalił się klasztor, z którego

serdeczny przyjaciel Henryka uprowadził Rachelę w bezpieczne miejsce. Mantua wreszcie poddaje się, Henryk, jako poręcznik francuzki, wchodzi z wojskiem do miasta, znajduje Rachelę i otrzymuje od Izaaka rękę córki, którą biedny ojciec już za straconą uważał.

Romans Bonatiego grzeszy zupełnym brakiem jednolitości. Spotykamy w nim dwa równoległe opowiadania, prawie że nie mające ze sobą nic wspólnego. Dość szczegółowa opowieść o postępach oręża francuzkiego we Włoszech i romans Henryka, nie wiążą się tutaj nicią wspólnego interesu, lecz tylko co chwila sobie ustępują bez żadnej przyczyny racjonalnej. Pomimo jednak tej wady „Żydówka” jest pracą nie bez talentu napisaną. Postacie Izaaka, Racheli i jej matki, a wreszcie ojca Henryka, nakreślone są z prawdą psychologiczną, która im nadaje cechy istot, mających krew, życie i charakter: szczególnież też udają się Bonatiemu dyalogi, pisane żywo i barwnie.

Emilia, pieszczona jedynaczka, należy do tego rodzaju istot, które powszechnie „romantycznymi” nazywamy. Z niechęcią odwraca oczy od wszelkiej powszedniej rzeczywistości, goniąc na skrzydłach marzeń młodzieńczych... ideały!... Przy takim charakterze nietylko śmiać się musi z afektów podtatusiałego pana Artura, który za radą stryja panny, ciągle puka do jej serca, ale nawet piękny jak Endymian, kuzynek, Cezar, doświadcza kamienną obojętności ze strony panny Emili, którą przecież kocha tak serdecznie. Dziewica nie przeczy, że Cezar jest wyjątkowo ładnym chłopcem, że mu inteligencji odmówić niepodobna, że jednem słowem posiada wiele zalet... powszednich; ale czoło jego nie opromienił jeszcze nimbus... nadzwyczajności. Jest on powabnym, ale... pospolitym śmiertelnikiem. Na szczęście wybuchła wojna. Zrozpaczony obojętnością Emilii, Cezar śpieszy na pole walki, żeby zdobyć laur sławy lub... zginąć. Emilia żegna młodzieńca bez szczególnego żalu, a jednak, gdy wkrótce potem wieść o męztwie Cezara i tryumfach jego marsowych doszła do panny, zrobiła w niewzruszonym dotąd jej sercu... wyłom. Ale za tą pierwszą wieścią, promienną, przyleciała niezadługo inna jak grom... fatalna!.. Cezar zginął!.. Rozpacz Emilii niema granic. Teraz dopiero zajrzawszy w głąb swego serca, widziała jasno, że królował tam Cezar oddawna i że nawet pierwotna obojętność była tylko fantastyczną obłonką, pod której cieniem bezświadome jeszcze uczucie dojrzywało. Wieść jednak była mylną; wyleczony z ran Cezar, wraca niespodzianie ku najwyższemu szczęściu swój lubój, która też naręczoną jego zostaje. Na kilka dni przed ślubem, Emilia odbiera bezimienne pismo, donoszące o zdradzie Cezara i o miejscu schadzek jego potajemnych z kochanką. Biedne dziewczę nie wierzy zrazu oczom swoim, lecz zazdrością wiedziona, bieży na wskazane miejsce i znajduje Cezara wiarołomcą. Tu potrzeba słów kilku wyjaśnienia. Cezar, będąc studentem jeszcze miał romans z biedną dziewczyną, której dał Pan Bóg córeczkę. Po długim bardzo rozłączeniu, spotkał ją

biędną i nieszczęśliwą, ale zawsze jednakowo kochającą. Uczucie ojcostwa tak silnie w piersiach młodzieńca zakotłowało, że się nie mógł oprzeć pokusie popieszczenia ukradkiem dzieciny, skazanęj na sierocstwo i niedolę. Emilia okupiła to odkrycie chorobą śmiertelną, z której wyszedłszy, postanawia zaślubić przez zemstę... Artura. Ojciec znów Cezara, zawiadomiony o stosunkach syna z jakąś przybłądą, zagrożających mezaliansem, odszukuje biędną kobietę, znieważa ją okrutnie tysiącem najniesłuszniejszych wyrzutów, doprowadzając nieszczęśliwą do takiego stanu rozpaczy, że pod jej wpływem biędna matka, poleciwszy sierotę swojej opiece Boskiej, zakończyła dobrowolnie żywot cierniowy, w nurtach rzeki. O tej samej prawie godzinie odbył się ślub Emilii z Arturem!...

Sperani kocha się widocznie w czarnych barwach, bo i druga w tym samym tomie nowela jego „Noc ostatnia” („L'ultima notte”) ma także posępny koloryt. Przedstawia tu autor ostatnie chwile suchotnicy młodej, która przeżywszy z ukochanym małżonkiem lat dziesięć, skonała na jego rękach. Złamany ogromem straty wdowiec, odebrał sobie życie wystrzałem.

Niemniej tragiczna jest trzecia nowelka w tymże tomie p. t.: „Jesięń” („Autunno”). Młody oficer Ludwik jest birbantem, zaniedbuje piękną żonę Biankę, którą przeciw pojął z miłości i zdala od ogniska rodzinnego pędzi marnie żywot na hulankach i rozpuście. Bianka znieawidziła męża. Karol, człowiek wykształcony i poważny, był jedyną istotą, która, w czasie osamotnienia Bianki, potrafiła odczuć jej niedolę; więc też w sercu opuszczonej kobiety wyrodziła się naprzód przyjaźń serdeczna, a później... miłość. Po powrocie swoim z długiej wędrówki awanturniczej, Ludwik, przesycony nadmiarem życiowych wrażeń, zrobił się czulszym dla żony, która, kochając nad życie Karola, ze wstrętem na męża spoglądała. Gdy Ludwik przekonał się wreszcie o stanie rzeczy, wyzwiał na pojedynek swego rywala, i ciężko go ranił. Bianka wreszcie, nie mogąc wyżyć z Ludwikiem opuszcza go i przybywa do Karola w chwili, kiedy osamotniony biedak miał już godziny życia policzone.

Niepodobna odmówić Speranieniu daru żywego i malowniczego opowiadania, które poetycznym kolorytem przyciąga czytelnika i każe mu zapomnieć o pospolitej treści utworu. Bohaterowie romansów tego pisarza, powiększając część drgają życiem i niejednokrotnie świadczą, że autor umie sięgać wzrokiem badawczym w głąb duszy ludzkiej.

Wiktor Berscio należy do najpopularniejszych pisarzy włoskich, zarówno dzięki niewątpliwemu talentowi jak i dość znacznej płodności. Probał on sił swoich w najróżnorodniejszych rodzajach literatury; dramat, nowela, romans, krytyka, mają w nim swego przedstawiciela. W r. 1855 Berscio dał się poznać poraz pierwszy publikacją p. t.: „Noveliere contemporaneo,” której trzy serye są poświęcone: miłości, rodzinie i ojczyźnie. W pierwszej z nich odmalował

z werwą młodości dzieje miłosne Romualda i Marceli; w drugiej, opisując nieszczęście nieuleczalne rodziny, dotkniętej... idyotyzmem jedynego syna, jest naśladowcą wzorów francuzkich i moralizatorem dość niesmacznym; w trzeciej wreszcie i najlepszej, przedstawia sceny patryotyczne, nakreślone z niepospolitą siłą i talentem. Niemniej rozgłosu miały utwory dramatyczne Bersecia, grywane z wielkiem powodzeniem, z których jeden „Niedola Travettiego” wyszedł w przekładach francuzkim i niemieckim. Przerzuciwszy się znów od dramatu do powieści, wydał Bersecio słynny swój romans: „Gli angeli della terra,” niepospolitej wartości. Jestto utwór, przykuwający do siebie czytelnika od początku do końca. Przedmiotem jego są nieszczęścia Riny Mandozzi, która będąc zmuszoną, zaślubić, wbrew swój woli, podłego rozpustnika, przekonała się zapóźno, że mąż jej jest zwykłym oszustem. Opuściwszy żonę i dziecko, udał się on do Ameryki, z kąd, po niejakiem czasie, przyszła wieść o jego śmierci. Rina, będąc wolną, pokochała człowieka, zasługującego ze wszech miar na jej miłość i już miała oddać mu rękę, gdy pierwszy mąż jej zjawia się na przedstawieniu publicznem, jako kuglarz. Awanturnik ten, skazany w Meksyku na śmierć za morderstwa, potrafił uciec z więzienia i przybył upomnieć się o swoją żonę, która do niego prawnie należała. Po rozmaitych wreszcie perypejach, nie zawsze dość prawdopodobnych, łotr ginie a Rina zostaje ocalona. Niemniej interesującą jest „Biédna Joanna,” w której autor maluje rzewną historią duszy. Bohaterka téj powiastki była szpetna i niekształtna, więc już przyjście jej na świat, zamiast radości wywołało niechęć rodziców. Dzieciństwo spędziła wśród urągawiska i boleści, młodość wśród nudów i utrapień. Kochała samotność, w której żyjąc z myślami swemi, mogła się hartować w rezygnacji i kształcić z łatwością w téj cnocie, która pochodzi z serca i zagrzewa do wielkodusznych czynów. Sny młodego wieku, niby wizye ponętne, uśmiechały się do umysłu Joanny; niemożebność jednak urzeczywistnienia ich nie zostawiała w jej duszy podniosłej ani śladu nienawiści lub goryczy. Zdawało jej się, że jest istotą wzniesioną do raju, w którym nic niéma fałszywego, nic konwencyjonalnego. Zrezygnowana przepędzała życie wśród chmur i ciemności, nie mając żadnej nadziei spotkać się kiedykolwiek z promykiem światła. Pewnego razu Joanna, dzięki kaprynowi losu, została bogatą; biédaczka poniewierana i przeklęta od wszystkich, odziedziczyła wielki majątek.

Za bogactwo wiele kupić można. Krzywdy i zniewagi przechodzą w oznaki uszanowania i względów, a liczni konkurenci ubiegają się o rękę bogatej panny. Dziewczyna zapomina przez chwilę o szpetności swój twarzy i bezkształtności całej figury, a okłamując sama siebie, w przekonaniu, że jest kochaną, daje się uwieść uczuciu, które w niej rozbudził Piotr kuzynek. Ale sen złoty rozwiął się prędko. Kuzynek kocha wprawdzie, ale siostrę Joanny, a ta straszna prawda przejmuje duszę nieszczęśliwej dziewczyny bolesnym wstydem i męczarnią. By

się poświęcić, ułatwia ślub swojej siostry i po niedługim udręczeniu umiera, błogosławiąc wszystkim.

Treść tego utworu nie zbyt nowa, lecz analiza uczuć bohaterki, przeprowadzona przez wszystkie ich fazy i odcienia, jest pełną finezyi i prawdy. Autor mówi wszędzie naturalnym językiem duszy, unikając starannie afektacyi. Scena odbywa się na wsi, w zaciszu sielskiem, a opisy, które autor kreśli, są po większej części zwarte, dosadne i prawdziwe. Czuć w nich szczerą pogodę natury i świeżość pól, przypominającą nieraz echo wierszy Wirgiliusza, lub romansów sielskich Sanda i Auerbacha. Niebrak tu dokładnej i bystrzej obserwacyi szczegółów, oraz głębokiej znajomości ludzi i rzeczy. Znać, że autor wiele się nauczył z książek, lecz jeszcze więcej z życia ¹⁾.

.....

We Włoszech, mówi Molmenti, literaturze chwili obecnej zbywa na ciepłe i życie. Autorowie nasi nie posiadają poczucia natury, daru spostrzegawczego i delikatności wrażeń. Pisarze lat ostatnich, z małym wyjątkiem, wpadali w nienaturalność myśli i formy; to też wyjątek taki, wśród ubóstwa intelektualnego, które nas otacza, musi zwracać na siebie baczną uwagę.

Na tém wyjątkowem właśnie stanowisku jest obecnie Barrili, szlachetna i twórcza inteligencya, uprawiająca sztukę z miłością prawdziwą, która poświęca się podniosłym upodobaniom ducha, a pogardza łatwymi sukcesami. Barrili nie robi dla publiczności żadnych ustępstw, to też talent jego nie jest jeszcze tak ceniony, jak na to zasługuje. Namiętności delikatne i łagodne, głęboka i spokojna analiza uczuć, nie zdobywają łatwo wyobraźni czytelników, których umysły żądne są po większej części albo fantazmatów konwulsyjnie śmiesznych, albo dziko strasznych. Opowiadania Barrilego natomiast oddychają technieniem poezyi spokojnej i przejrzystością uczuć, nienazbyt pożądaną dla tych wszystkich, którzy w sztuce szukają intrygi skomplikowanej, jakiejś tendencyi moralnej, lub kary dla występku. Młody romansopisarz genueski, trzymając się zasady, że w sztuce nim się jest moralnym, potrzeba być prawdziwym i że ona jest nawskroś arystokratyczna, pisze, mało się troszcząc o publiczność. „Il libro nero” jest piękną fantazyą w guście Pöe, Hoffmanna i Hawthorne’a; „l’Olmo e l’Edera” i „Santa Cecilia,” to subtelne studia psychologiczne; „Capitano Dodero” i „Rossi e i Neri,” to opowiadania oryginalne i zajmujące, a „Val d’Olivi,” to romans, który do najlepszych prac Barrilego zaliczyć można.

Za najujemniejszą stronę prac Barrilego uważamy nieznośną rozwlekłość, która bardzo obniża wartość utworów tego pisarza i wielce nuży czytelników. Taki np., romans historyczny: „Zamek Gavone,” rozwałkowany na 318 stronicach, mógłby być o połowę krótszy. Treść jego następująca:

¹⁾ Molmenti *Nuovo impressioni letterarie*, Torino, 1870—161.

Doża genueński, Giano Fregoso, oblega zamek Gavone, broniony przez potężnego przeciwnika markiza Galeotto del Caretto. W pięknej córce tego ostatniego Nicolosinie, pokochał się jeden z dworzan jej ojca Giacomo Pico. Gdy jednak panna, nie zwracając uwagi na afekt gorący młodziana, oddała rękę hrabiemu, szaleństwem zemsty uniesiony Pico, zdradza swojego pana i wpada zbrojny do sypialni młodej hrabiny, która dość wcześnie ostrzeżona przez powiernicę swą Gildę, wybiega ze swjej komnaty, zostawiając w niej młodą dziewczynę. Gdy słowa Gildy, hamujące wściekłość napastnika, nie odniosły skutku, energiczna Włoszka topi sztylet w piersiach zdrajcy, który konając, błaga wszystkich o przebaczenie. Ten drobny wątek rozsunął autor na długą opowieść, której olbrzymie epizody, nie mające żadnego związku z treścią główną, doświadczają cierpliwości czytelnika.

Do głośnych utworów Barrilego należy romans: „Serce żelazne i serce złote,” tłómaczony już i na język polski. Jestto rodzaj „Pojedynku szlachetnych,” w którym działające osoby walczą o lepsze pod względem wielkoduszności. Ruggero Altawilla, wydziedziczony niesprawiedliwie potomek księcia Melito, utrzymuje siebie i piękną córkę Małgorzatę z lichego talentu malarskiego. Młody Don Renato, jedyny potomek Fryderyka Altawilli, księcia Melito, który odziedziczył po skrzywdzonym kuzynie Ruggerze wielki majątek, poznał przypadkowo Małgorzatę i nie wiedząc zupełnie o pochodzeniu jej ojca, oddał mu wizytę pod zmyślonem nazwiskiem Eryka Sarno. Bardzo prędko młody książę zdobył serce dziewczyny i staruszka, który pokochał mniemanego Eryka, jak ojciec, tusząc sobie, że będzie jego zięciem. Pewnego razu, stary malarz pod wpływem silnego zaufania do młodzieńca, wypowiedział mu się ze swjej przeszłości i oświadczył wreszcie, że jest potomkiem księcia Melito, że został niesłusznie pozbawiony majątku i że posiada dowody, na mocy których mógłby utracony majątek odzyskać, gdyby posiadał fundusz na przeprowadzenie procesu. Don Renato, stawszy się panem tajemnicy Ruggera, odbiera od niego wszystkie dokumenty i przyrzeka zająć się gorliwie całą sprawą. Poczem szlachetny ten młodzieniec nie waha się poświęcić samego siebie na ołtarzu sprawiedliwości i prawdy i składa wzięte od Ruggera papiery w rękach adwokata Garantinięgo, prosząc o jak najprędze przeprowadzenie procesu. Z drugiejż znów strony nie mniejszy dowód szlachetności składa ojciec Don Renata, który znalazłszy wśród starych szpargałów testament dziada swego i przekonany o krzywdzie Ruggera, oddaje mu dobrowolnie większą część swego majątku.

Na takiej kanwie wyhaftował Barrili bardzo wiele scen pięknych i obrazów, składających się na wyborną charakterystykę działających osób, rozumnie pomyślanych i konsekwentnie przedstawionych. Szkoda jednak, że autor nie ujął tego romansu w ramy o połowę mniejsze. Drobiazgowość opisów jest niekiedy bardzo nużąca.

„Skarb Golkondy” jest dramacikiem miłosnym, który się kończy dwoma obrazkami szczęścia małżeńskiego. Wprowadza tu autor an-

gielkę powabną, włoszkę oryginalną, księcia hiszpańskiego, bramina, który dnie przepędza na modlitwie, gubernatora brytańskiego, który nic nie robi, uczonego włocho, który studjuje i jego lokaja, który wszystko robi. Wiedza archeologiczna i literatura, sanskryt i parsism, flora i fauna, moralność i humorystyka, przeplatają co chwila miłosne duety głównych bohaterów tego romansu. „Biały kos” wreszcie, najświeższa praca Barrilego, opowiada przygody podrózne Battisty Dodero, który nie mając pojęcia o medycynie, był na dworze tureckiego Auranybada lekarzem. Awantury miłosne i mniej lub więcej ciekawe, przeważnie jednak nudne opowieści o losach bohatera, tułającego się wśród obcych ludów, wypełniają gruby tom wzmiankowanej pracy Barrilego, nie przedstawiającej wielkiego interesu.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość konkursowa w akademii Francuzkiej.—Rozprawa o Marivaux.—
„Historya Francyi za małoletności Ludwika XIV” p. Cheruel.—„Dawny rząd
w prowincjach Lotaryngii i Baru” przez księdza Mathieu.—„Wojna trzydzie-
stoletnia” p. Chaveriat.—„Studia nad historyą Prus” p. Lavisse.—„Historya
zbytku” p. Baudrillart.—„Mitologia Grecyi starożytnéj” p. Descharmes.—
„Badania nad Szekspirem” p. Stapfer.—„Małżeństwa w dawném społeczeń-
stwie francuzkiém” p. Bertin.—Przekłady z Juwenalisa i Katulla.—„Geogra-
fia Strabona” przekład p. Tardieu.—„Prawdziwa historya podboju Meksyku
przez Hiszpanów,” przekład don Joze de Herredia.—„Księga rzemioł z cza-
sów Ludwika Świętego,” wydana z komentarzem p. Lespinasse.—„Ogródek
panny Joanny” p. Debeaux.—„Instykt i Inteligencya” p. Hement.—„Meta-
morfozy owadów” p. Girard.—„Astronomia popularna” p. Flamarion.—„Po-
dróż po Szwajcaryi” p. Gourdaud.—„Zefyrin Cazavan w Egipcie” p. Edmun-
da Chojeckiego.—„Pamiętniki Kopciuszka” p. Fexier.—„Obyczaje wo Fran-
cyi” p. Legrand.—Frechette, poeta kanadyjczyk.—Mowa Wiktoryna Sardou,
przy rozdaniu nagród Monthion.—„Wercyngetoryx,” dramat p. Coffinet.—
Powieść Fryderyka Uhl: „Die Botschafterin.”—„Ludwik XIV: L'état c'est
moi!” z Baudrillarta.—„Jeanne, poemat ludowy Juliusza Bretona.—„Eugenio
Hartzenbuch,” zmarły poeta hiszpański.—Grób Owidyusza w Węgrzech.

Doroczna uroczystość konkursowa w akademii Francuzkiej, żywe
budzi zawsze zajęcie w świecie umysłowym. Ktokolwiek śledzi ruch
literacki, rad powziąć wiadomość o uwiecznionych dziełach, które ina-
czej, w ogromnym nawale pojawiających się codziennie publikacji, mo-
głyby nieraz przejść niepostrzeżone. Nie wątpimy, że są dzieła zna-
komite i między temi, których autorowie nie podawali do konkursu, to
jednak pewna, że prace zaszczycone uznaniem tak poważnej instytucyi,
muszą mieć rzeczywistą wartość. Uważamy téż za obowiązek, wy-
mienić szczegółowo te dzieła, znane nam w wielkiej części, nie z sa-
mego tylko sprawozdania sekretarza akademii.

Według ustaw zatwierdzonych wolą fundatora, kardynała Ri-
chelieu, akademia ogłasza co drugi rok dwa temata: jeden na literac-

ką rozprawę, drugi na poetyczny utwór: oba mają być kolejno przedstawione do konkursu w ciągu dwóch lat następnych. W tym roku przypadła kolej na rozprawę o znanym pisarzu Marivaux, którego powieści i komedye słynęły w połowie XVIII wieku. Trzydzieści rozpraw nadesłano na konkurs, z tych akademii uwieńczyła treściwą pracę p. Lescure. Odsądzono tymczasem od nagrody, obszerne i wyczerpujące rzecz dzieło innego autora, z powodu wielkich rozmiarów, nie odpowiednich programatowi. Czyż te niewolnicze pęta, krępujące myśl nie trąca pedantyzmem? Nie byłoby dozwoloném akademii zmienić programat nakreślony dwieście lat temu? Inaczej snąc sądzą akademicy, sekretarz bowiem w imieniu uczonego grona, zapowiedział stanowczo, że przyszłe rozprawy niemają przechodzić trzydziestu stronnic zwykłego druku; poemata zaś konkursowe, muszą bądźco bądź obejmować zaledwie trzysta wierszy.

Jako przedmiot na przyszłoroczny konkurs poezyi, zalecono poemat o Lamartinie. Przedmiot to bogaty i rozległy. Każdy niemal utwór Lamartina, czyto wierszem czy prozą, pełen autobiograficznych szczegółów. W „Medytacyach” i „Harmoniach” poeta analizuje głównie uczucia duszy własnej. Sama „Podróż na Wschód,” w której pobożny pielgrzym przebiega miejsca święte od Betleem do Kalwaryi, z której zbolały ojciec wraca przez morza do Francyi, pochylony nad trumną jedyne dziecko, nie dostarczaż wątku do smętnéj Odyssei, przechodzącej rozmiar trzechset aleksandrynow? Dodajmy do tego trzynomowe „Zwierzenia,” pośmiertnie ogłoszone „Autobiografie,” sześciotomowe listy i t. p., a przyznać musimy, że trudno będzie konkursowym poetom, wybrnąć z takiej powodzi i na dziesięciu drukowanych stronniczkach, odmalować wspaniałą postać, nie sprowadzając jęj do mikroskopijnego rozmiaru.

Za przedmiot do przyszłej rozprawy literackiej, na rok 1882, ogłoszono ocenienie dramatycznego poety Rotrou, którego współczesny mu Corneille, nazwał był ojcem swoim. Sława tego poety, zbladła w oczach potomnych, przyćmiona geniuszem Corneille'a i Rasyne, ale życie jego, chlubną zakończone śmiercią, jest samo przez się najpiękniejszym poematem. Rotrou urodzony w Dreux, sprawował wysoki urząd w rodzinném mieście. Przebywał czasowo w Paryżu, kiedy morowa zaraza wybuchła nagle w Normandyi. Uwiadomiony o tém pośpiesza co żywo do Dreux; z narażeniem życia stawia czoło najstraszliwszej pladze; urzęduje szpitalu, sprowadza lekarzy, dnie i nocie trawi przy łożu chorych. Napróżno Paryżanie piszą błagalne listy, próżno wzywają go do siebie. „Kto z was, odpowiada poeta, zapewni mi śmierć zaszczytniejszą?” Nazajutrz potem Rotrou upadł jak żołnierz na wyłomie. Miasto Dreux uczciło go pomnikiem.

W pośród dzieł w tym roku nagrodzonych, główne jak zwykle miejsce, zajmują prace historyczne. Pierwszą nagrodę Gobert (10,000 fr.), akademii przyznała p. Cheruel za „Historyą Francyi podczas małoletności Ludwika XIV.” Trzy tomy tego pomnikowego

dzieła, wyszły dopiéro z druku, czwarty i ostatni dotąd niewykończony. Wielu już historyków obrało za przedmiot badań te burzliwe a pełne intryg czasy, regencyi Anny austriackiej, pod kierunkiem kardynała Mazaryniego; mimo to pozostało jeszcze mnóstwo nierozstrzygniętych pytań. P. Cheruel odkrył w bibliotece narodowej nieznaną dotąd listy i wspomnienia Mazaryniego, które dopomogły do odmalowania, w właściwém świetle, tej historycznej epoki.

Drugą nagrodę Gobert otrzymał ksiądz Mathieu, profesor w seminarjum w Pont à Mousson, autor ważnego dzieła: „Dawny rząd w prowincjach Lotaryngii i Baru.” Ta sumienna praca już w roku zeszłym zjednała uczonemu profesorowi takąż samą nagrodę.

Zwróciło uwagę akademii, niezbyt obszerne, lecz bogate w szczegóły dzieło p. Charveriot „O wojnie trzydziestoletniej.” Z wielką potęgą talentu, autor ukazuje cały szereg mężów, którzy w tej zaciętej a długiej walce, występowali do zapasu, uzbrojeni bądź orężem, bądź piórem. Ożywia kolejno wielkie postacie Gustawa Adolfa i Oxenstierna, kardynała Richelieu, Kondusza, Wallenstejna, wreszcie Tureniusza w pierwszym blasku jego młodzieńczej sławy. Obraz to nadzwyczaj dramatyczny, pełen przytém głębokiej erudycji. Autor pozyskał nagrodę fundacyi Thiersa.

Nagrodę Therouanne rozdzielono między dwóch historyków: połowę jęj otrzymał p. Ernest Lavisse, za „Studia nad historią Prus.” Jest to dalszy ciąg pracy o margrabstwie Brandeburskiem, uwiecznionej zarówno, z której zdawaliśmy szczegółową sprawę przed trzema laty. Snać akademia pragnie pobudzić pisarzy do tego rodzaju studyów, skoro nagradza dzieła tak niedokładne, a tak suchą nastrożone erudycją, jak praca p. Lavisse. Drugą połowę nagrody przyznano p. du Bled za „Historią monarchii lipcowej.”

Nad oba powyższe dzieła, większe ma nierównie znaczenie wielka publikacja p. Baudrillart p. t.: „Histoire du Luxe public et privé depuis l'antiquité, jusqu'à nos jours.” Akademia przysądziła autorowi nagrodę Bordin. Ważne to dzieło jest owocem czternastoletniej pracy. Znakomity ekonomista usiłuje rozstrzygnąć w niem pytanie, czy zbytek a raczej blask (luxe), jak określają rzecz ludy romańskie, szkodziwym jest czy pożytecznym? czy w dodatku, czy też w ujemny sposób oddziaływa na społeczeństwo i na jednostki? Jest-li on rzeczywistą potrzebą duszy ludzkiej? azali przyczynia się do podniesienia jęj, lub do zepsucia i upadku?

Pytania te oddawna zajmowały teologów i myślicieli. Podczas gdy surowi moralisci, gwałtownie powstawali na blask zewnętrzny, pokazując niebezpieczną jego stronę, wymowne znów głosy w imię wolności i miłości piękna, silnie występowały w jego obronie. Sprawa pozostała nierozstrzygnięta. P. Baudrillart usiłował wyjaśnić rzecz na prawach ekonomii politycznej. Już w r. 1866 podjął ten przedmiot z katedry kollegium francuzkiego; w ciągu lat następnych opracował go w czterech wielkich tomach, z których ostatni świeżo opuścił prasę.

W przekonaniu autora, zbytek (luxe) nie jest złem bezwzględnie, idzie tylko o to, aby społeczeństwo nie przebrało w nim miary, aby właściwy czyniło z niego użytek. „Biorąc rzecz z moralnego stanowiska, mówi ekonomista, powinniśmy przyjąć jedynie ten rodzaj zbytku, który dąży do podniesienia inteligencji w masach, bez poniżenia dusz i charakterów. Ze stanowiska ekonomicznego, można przyjąć jedynie zbytek względny i dozwolony, który daje rzeczywisty popęd do pracy, a tём samém otwiera nowe źródła bogactwa narodowego. W dalszym ciągu kroniki, powrócimy jeszcze do tego dzieła.

Nagrodę Guerin przeznaczoną literackim utworom, akademія rozdzieliła między trzech laureatów. Jedną część (2,000 fr.) otrzymał p. Decharsnes, za „Mitologię Grecyi Starożytnej.” Autor nie stawia żadnych hipotez, nie nakręca rzeczy do sformułowanych przez siebie teoryi, jak to czynią dziś inni pisarze, zajmujący się badaniem starożytnych mytów, ale poprostu kreśli poetyczne obrazy, jasnym i pięknym stylem. Tak dokładnego dzieła w tym przedmiocie brakło dotąd w literaturze francuzkiej. Rzecz to godna podziwienia, nigdzie bowiem poeci, równie jak malarze i rzeźbiarze, nie hołdowali tak niewolniczo mytom greckim; nigdzie po przewrocie romantycznym, bóstwa olimpijskie nie pozostały w takiej czci, jak u Francuzów, którzy chlubią się dotąd nazwą Ateńczyków zachodnich. Ileżto razy w utworach dzisiejszych poetów, spotykamy się jeszcze z Wenerą i Kupidynem.

Drugą część nagrody przyznano profesorowi Stapfer za badania nad Szekspirem, pełne erudycji i nowych całkiem poglądów. Od czasu rozbudzenia się pangermanistycznych mrzonek między Niemcami, Szekspir stał się dla nich żywotnym wyrazem germańskiego geniuszu; przywłaszczyli go sobie, tak samo, jak niegdyś Kopernika, jak w ostatnich czasach przywłaszczyć chcieli Chopina. Gerwinus w obszernej historii literatury niemieckiej, podniósłszy Szekspira do najwyższej apoteozy, mieni go z chlubą germaninem. Otóż w krytycznym dziele Stapfera, łatwo nam odgadnąć protestacyą przeciw dumnym zachciankom patryotów niemieckich. Analizuje on najściślej dramata Szekspira, pokazuje niezbitemi dowodami, że wielki poeta angielski znał dokładnie arcydzieła starożytnych tragików greckich i łacińskich, że był dzieckiem ich i spadkobiercą. Jeśli zaś zerwał z tradycją jedności Arystotelesowskiej, jeśli dopuścił się w historii tyłu anachronizmów, nie czynił tego wcale przez nieświadomość, ale raczej porwany siłą własnego geniuszu, nieznoszącego żadnych więzów. Poważne studia nad Szekspirem przyszły dla Francyi w samą porę, pokazują bowiem czcicielom Woltera, jak błahym był krytyczny pogląd wielbionego przez nich pamflecisty.

Trzecią część nagrody Bordin otrzymał p. Ernest Bertin za ciekawe dzieło „O małżeństwach w dawném społeczeństwie francuzkiem,” pełne rysów charakterystycznych, skreślone z niepospolitą werwą. Autor nie czerpie bynajmniej w kronikach skandalicznych tój lub owój

epoki. Badając w jaki sposób kojarzyły się przez długi czas małżeństwa w rodzinach szlacheckich, dopatrzył on nową stronę dawnych ustawa, odczuł ducha, jaki ożywiał starodawne społeczeństwo. W zajmujący sposób wydobywa na jaw całą sieć rokowań, zabiegów, intryg, towarzyszących matrymonialnym układom; kreśli fizyognomią osób odgrywających główną rolę; unika pilnie wszelkiej przesady, mimo to obrazy jego przybierają częstokroć prawdziwie komiczny charakter. Pamiętniki St. Simona, pysznego arystokraty i dowcipne listy pani de Sevigné, dostarczyły głównie wątku autorowi.

Wdowa po słynnym publicyście Juliuszu Janin, który w ostatnich latach życia z upodobaniem tłómaczył Horacego, aby uczcić pamięć męża, ufundowała trzyletnią nagrodę za najlepiej dokonany przekład klasyków łacińskich. Konkurs ten poraz pierwszy ogłoszony został w tym roku. Z pomiędzy mnóstwa nadesłanych prac, akademia wybrała przekład satyr Perseusza i Juwenalisa, dokonany przez prof. Cass-Robine, oraz tłómaczenie Katulla, dokonane wierszem rymowym przez młodego lingwistę Eugeniusza Rostaud. Prace obu filologów odznaczają się najściślejszą wiernością; obaj wzięli za cel nie uronić jednego słowa z oryginału. Wiadomo, że znakomici lingwiści: Villemain, Cousin, Burnouf i Remusat innę trzymali się zasady; tym szło głównie o przejęcie się duchem starożytnych autorów, stosując formę do wymagań dzisiejszego języka. Która metoda lepsza? spór dotąd nierozstrzygnięty. Wolter utrzymywał, że tylko przekład wierszem może mieć wartość rzeczywistą i stać się prawdziwem dziełem sztuki, ale zarazem dodawał, że aby wykonać go dobrze, potrzeba być wielkim poetą.

Inną konkursową nagrodę Langlois, za przekłady bądź z nowożytnych, bądź z dawnych pisarzy, rozdzieliła akademia pomiędzy dwóch laureatów. Jednym z nich jest Amadeusz Tardieu, uczony konserwator biblioteki Mazaryniego, za dokonany przekład geografii Strabona, owoc mozolnej piętnastoletniej pracy. Drugim znów laureatem, młody Hiszpan Joze Maria de Heredia, wychowany w Paryżu, znany już jako poeta władający dzielnie językiem francuzkim. Przełożył on z ojczystego języka stare dzieło Bernula Diaz p. t.: „Prawdziwa historia podboju nowój Hiszpanii.”

Ów Diaz Bernul, stary żołnierz Fernanda Korteza, w ostatnich latach życia ośmielił się, jak mówi, opisać dla pożytku i przyjemności własnej zdobycie Meksyku, w którym wziął czynny udział. Wywiązał się z tego bez najmniejszej pretensyi literackiej, opowiadając po prostu rzeczy, jak je widział, malując wrażenia, jak się odbijały w jego duszy. Wśród wojsk Korteza, wielu było podobnych wiarusów; historia Bernula jest przeto najwierniejszém odbiciem téj epoki. P. Heredia, aby tém lepiej oddać myśl oryginału, przyjął w tłómaczeniu niektóre archaizmy i zwroty używane w wieku XVI, nie nadużył ich przecież. Stary żołnierz przemawia rubasznie, po swojemu: to prawdziwie

typowa postać. Z wielu rysów przypomina on naszego J. Ch. Paska. Zajmiemy się później tém charakterystyczném dziełkiem.

Nagrodę Deperouse, z działu erudycyi i filologii francuzkiéj, rozdzielono między dwóch pracowników. Połowę (2,000 fr.) otrzymał uczony lingwista Chassang, za pracę nad językiem XVII wieku; drugą połowę przysądzono dwóm młodym erudytom, pp. Lespinasse i Bonardot, za krytyczne wydanie rozprawy p. t.: „Księga rzemiosł napisana w XIII-tym wieku, przez Stefana Boileau, na rozkaz Ludwika S-go.” Lespinasse skreślił ciekawy obraz korporacyi, tak licznych w Paryżu, w wieku XIII. Bonardot dołączył do tekstu glosaryusz, obejmujący nazwy różnych rzemieślniczych narzędzi, całkiem dziś zaniebane.

Oprócz powyższych konkursowych nagród, są jeszcze inne powierzone przez fundatorów do rozporządzenia akademii, bez wyraźnie określonego celu. Te rozdawane bywają tytułem zachęty lub zasiłku. Jedną otrzymała pani Fèngère, wdowa po młodym i sympatycznym profesorze kolegium Francuzkiego, zmarłym nagle w chwili najświetniejszego powodzenia. Drugą przyznano powieściopisarzowi de la Madèlène, złożonemu od lat kilku ciężką chorobą; trzecią, w ilości 6,000 franków, przysądzono dwóm młodym i utalentowanym pisarzom, którzy odznaczyli się zarówno w powieści, w dramacie i poezyi: pp. Theuriot i Delpit.

Przechodzimy nakoniec do konkursowych nagród fundacyi słynnego filantropa Monthion'a, przeznaczonych za dzieła różnej treści, tak naukowéj, jak pedagogicznéj i literackiéj, uznane przez akademią, jako prawdziwie pożyteczne dla społeczeństwa. Z pomiędzy stu przeszło dzieł nadesłanych do konkursu, akademія wybrała dziesięć najcenniejszych.

Z działu pedagogicznego otrzymał nagrodę p. Desbeaux, za wyborną książkę dla młodzieży p. t.: „Ogródek panny Joanny.” W szczyptych ramach znajdujemy tu mnóstwo ciekawych spostrzeżeń, dotyczących botaniki, entomologii i t. p.

Drugą nagrodę przyznano p. Hement, za dziełko pod tytułem: „Instynkt i Inteligencya.” Autor odróżnia zupełnie obie te władze; zbija naukowo, ubliżające godności ludzkiéj teorye przyrodników, którzy mieszają instynkt zwierzęcy, jeden od wicków, nieuległy żadnéj zmianie, z inteligencyą człowieka, zdolną rozwijać się wiccznie i doskonalić.

Wyższe jeszcze znaczenie pod względem naukowym, ma trzecie uwieńczone dzieło Maurycego Girard p. t.: „Metamorfozy owadów,” pełne nowych i głębokich spostrzeżeń.

Z wydziału nauk ścisłych otrzymał czwartą nagrodę p. Flamarion, autor „Astronomii popularnéj. W szczyptych obrębie jednego tomu, uczony ten zebrał ostatnie wyniki nowoczesnych badań i w sposób dostępny dla ogółu, pokazuje organizacyą świata, siły, utrzymujące go w nieprzerwanym ruchu, jak niemniej rządzące niemi prawa. Dając poznać wielkość i piękność światów stworzonych autor podnosi,

niemniej mądrość i wszechpotęgę Stwórcy. Książka ta pisana wyłącznie dla profanów, zaciekawia i uczy zarazem. Styl prosty, jasny, a obok tego wytworny, tembardziej podnosi jej wartość.

Piątą nagrodę Monthion, przyznano Juliuszowi Gourdan, za znakomity opis podróży po dwudziestu dwóch kantonach szwajcarskich. Wspaniała to publikacya, ozdobiona mnóstwem kart i drzeworytów, ze smakiem wysoko artystycznym. Turysta prowadzi nas kolejno na najwyższe wierzchołki Alp i Jura; obok cudnych krajobrazów, stawia nam przed oczy dramatyczne przygody z życia tego pracowitego ludu, który, dzięki geograficznemu położeniu i wielkiej wytrwałości, umiał zdobyć i utrzymać niepodległość. W każdym kantonie zatrzymuje się chwilę, bada archiwa domowe najdawniejszych rodzin, a nie zapuszczając się w suche kronikarskie wywody, daje nam poznać, jakim zbiegiem wypadków różne grupy helweckie zdołały w końcu utworzyć ten potężny związek i wyrobić ową jedność, stanowiącą ich siłę.

Inny podróżnik, bliżej nas obchodzący, p. Edmund Karol Chojecki, otrzymał szóstą nagrodę z tegoż konkursu, za ostatnie dzieło swoje p. t.: „Zephirin Cazavon w Egipcie.” Powtarzamy tu dosłownie chlubne świadectwo, oddane tej pracy przez sekretarza akademii; hołd publicznie złożony polakowi, nie może być dla nas obojętnym.

„P. Charles Edmond, rzekł sprawozdawca, nie tylko że zwiedził Egipt, lecz długo w nim przebywał; zna dokładnie ludzi i stosunki miejscowe. Wniknął zarówno w tajemnice domów, jak i w tajemnice serc ludzkich. Pozostawiając na boku piramidy, które uczeni tylokrotnie już opisywali, otwiera nam raczej drzwi zawarte dla drugich i ukazuje znane sobie postacie. Umię on wybornie pokazywać i opowiadać; posiada w wysokim stopniu ów ton poufale dowcipny, łączący czytelnika z pisarzem. Książka jego naucza i bawi; daje nam prawdziwy pogląd na rzeczy, ukazując je w nowém świetle, uderza wyobraźnią mnóstwem świetnych i oryginalnych obrazów, jakie nam przesuwa przed oczyma.”

Siódmą nagrodę przysądzono dwom autorom powieści p. t.: „Pamiętniki Kopciuszka,” pp. Texier i Le Senne. Powieść to bardzo dramatyczna i oryginalna, pełna wdzięku poetycznego, a co więcej osnuta na zdrowej myśli. Rzecz rozpoczyna się w konserwatorium muzycznym, rozwija do końca w świecie sztuki.

Otrzymał ósmą nagrodę p. Doueu, za dziełko p. t.: „Pierwsi pasterze na pustyni.” Autor jest protestantem, opisał próby wytrwane przez współwyznawców swoich, w końcu XVII wieku, po odwołaniu edyktu nantejskiego. Studium to poważne, spokojne, wolne od ducha niezgody i nienawiści.

Ośm powyższych dzieł zjednało autorom po 1,500 fr. z konkursu Monthion'a; wyższą nagrodę (2,500 fr.) osiągnął ekonomista Le-grand, autor ważnej rozprawy: „O małżeństwie i obyczajach we Francji.” Ta znakomita praca, uznana za wielce pożyteczną w dzisiejszém

rozprężeniu społeczném, uwieńczoną już była przez Akademię nauk moralnych i politycznych.

Ostatnią wreszcie nagrodą sąd akademicki zaszczycił poetę Ludwika Frechette, zrodzonego w Kanadzie, téj dalekiej kolonii, która, mimo stu lat ubiegłych od zerwania węzłów z dawną metropolią, pozostała francuzką z religii, z języka i obyczajów. Frechette jest zarazem poetą, publicystą i mężem stanu. Kilka miesięcy temu, dramat jego odegrany na francuzkim teatrze w Montreal, przyjęty był z żywym zapalem.

Sprawozdawca odczytał rzewny sonet Frechetta do Francji; oto zakończenie:

Miłość w głębi serc naszych dla ciebie nie skona,
Ziemio, gdzie Lamartina dzwonił śpiew uroczy,
O! święta matko ziemio! bądź błogosławiona:
Szczęśliwy, kto dla ciebie krew z piersi wytoczył!

Łatwo pojąć jak gorąco sala przyklasnęła tym słowom. Zapal powszechny, podniecony obecnością Frechetta, który przybył z Ameryki po nagrodę; zapal, powtarzamy, wzmógł się jeszcze, kiedy sekretarz akademii przypomniał, jak głęboko Kanadyjczycy dzielili boleść Francji podczas jéj klęsk ostatnich. Przytoczył on słowa prostego robotnika, wyrzeczone wtedy w Montreal, wobec licznego tłumu:

„Chcecież wiedzieć, zawołał ów robotnik, o ile my Kanadyjczycy jesteście Francuzami? Idźcie oto do miast i wiosek, przystąpcie do pierwszego lepszego prostaczka, opowiedźcie mu przygody téj olbrzymiej walki, która dziś porusza świat cały? mówcie mu, że Francya była zwyciężoną! Przyłóżcie potém rękę do jego piersi i powiedzcie mi, czemu to serce uderza z taką siłą? co szarpie je tak gwałtownie, jeżeli nie miłość ojczyzny?”

Wobec takiej miłości Kanadyjczyków do dawnéj metropolii, akademia pominęła prawo, zastrzegające, aby sami tylko Francuzi przypuszczeni byli do konkursu Monthion'a. Jeśli p. Chojecki otrzymał jedną z nagród, to jako naturalizowany we Francji.

Sto dziek, jak mówiliśmy wyżej, nadesłanych było na ten konkurs; sąd w myśl testatora, rozporządzał tylko dziesięciu nagrodami; inne cenniejsze prace zaszczycił pochwałą, z ogłoszeniem ich tytułów. Powtarzamy je chętnie dla pożytku czytelników naszych, którzy radzi zapewne posłyszają, że w téj powodzi książek, roznoszących zarazę i obrażających smak estetyczny, są przecież i to w znacznej liczbie powieści i rozprawy, nacechowane myślą zdrową, zalecone przez poważny akademicki areopag. Aby ułatwić nabycie tych książek, tytuły ich dajemy po francuzku.

Oto powieści zaszczycone chlubną wzmianką:

„La Bourgeoise d'Anvers“ Konstantego Gueroult; „Les Rivalités,“ Armanda Lapointe; „Le fils du Garde chasse“ Ludwika Collas; „Seule dans Paris,“ przez panią Bourdon; „Martine“ przez panią Vat-

tier; „Les Borotins“ pani Eugenii Niboyet; „Les aventures de Jean Paul Riquet“ panny Maryi Maréchal: „Les Aventures de Martin Tromp,“ pani Roul de Navery.

Z wydziału pedagogii i nauk społecznych i t. d., Akademia zaleca szczególnie: „Mes penseés“ pani Calmon; „Les Amis de Dieu, au XIV siècle,“ przez Jundt'a; „Eustache Deschamps“ p. Sarradin; „Patrons et Ouvriers de Paris,“ p. Fourguerousse; „Lettres aux meres de famille sur l'éducation,“ przez zmarłego niedawno pedagoga Libricha; „Voyage à travers la Gaule,“ dzieło Lucyana Bonnemire, w rodzaju podróży młodego Anacharsysa po Grecyi. O tém zajmującym dziełku, wprowadzającym nas w starożytny świat galski, powiemy szczegółowo w przyszłej kronice naszej.

Z pomiędzy poezyi zasłużył na pochwałę zbiorok „Pierwszych pieśni,“ panny Celiny Renard („Premiers chants“); szczególną zaś zwrócił uwagę pośmiertny zbiór poezyi „Poemes posthumes“ Henryka Read. Młody ten, pełen talentu śpiewak, zmarł niedawno w dziewiętnastym roku życia. Franciszek Coppée zebrał rozpięchłe jego strofy i wydał je z pełnym uczucia wstępnym słowem, dodając do zbioru rzewny wiersz na cześć zmarłego poety. Oto pierwsza zwrotka Coppéeego:

Po młodziuchnym śpiewaku zrośmy Iżę żalosań.
 Tak drzewo migdałowe, gdy wybuja wiosną
 Nie stawi czoła śniegom, ani wicherów sile;
 Tę wiązkę kwiatów świeżych, puścinę ostatnią
 Ja starszy druh po lirze, kładę ręką bratnią
 Na cichéj piewcy mogile!

Sprawozdanie z dzieł uwieńczonych, stanowiło tylko część uroczystości akademickiej; druga część według stuletniej tradycyi, poświęconą była na rozdanie nagród za czyny cnotliwe, na ogłoszenie imion i zasług laureatów. Obowiązek ten spełnił prezydujący w tym dniu Wiktoryn Sardou. Świetny pisarz dramatyczny, który niedawno w „Danielu Rochat“ schłostał i ośmieszył bezbożność sterników Rzeczypospolitej, w mowie akademickiej wystąpił przeciw innej pladze toczącej dziś łono społeczeństwa, przeciw szkole, zagrzęzłych w realizmie fizyologów, których doktryny mącą tradycyjne pojęcia dobra i zła, burzą sumienia ludzkie, zrzucając z jednostek wszelką odpowiedzialność za zbrodnie, a przypisując je wyłącznie wpływom fizycznych usposobień. „Cnota wyszła dziś z mody!“ od tych słów rozpoczął świetny mówca i rozwinął rzecz tak logicznie, że to, co zrazu zakrawało na paradoks, okazało się smutną prawdą. „Kto mi zaprzeczy, dodał, że moda ogarnia wszystko, że panuje zarówno w świecie sztuki i literatury, jak w świecie przemysłu, nauk ścisłych i polityki, że i sama nawet filantropia ulega potężnym jej wpływom? Otóż cnota była w modzie

u schyłku XVIII wieku. Nie praktykowano jój wprawdzie, lecz sławiono jój piękność. Filantrop Monthion szedł z duchem czasu, zbudował dla niój ołtarz."

"Wiek XIX, ciągnie mówca, wszystko przeistoczył po swojemu. Biedna cnota! on jój nie praktykuje i nie wysławia też bynajmniej. Jego filantropia innym potoczyła się prądem. Nie idzie jój o podnoszenie pięknych czynów, usiłuje raczej tłumaczyć zło wpływem zmniejszających winę okoliczności, i wyjednać dla winnych pobłażliwość. Nie zajmujemy się dziś człowiekiem cnotliwym, ale raczej zbrodniarzem! Nowa oto szkoła filozoficzna, która nie chce widzieć w człowieku nic więcej, nad prostą kombinacją materyi, oświadcza dziś, że moralność jego zależy wyłącznie od doskonałej równowagi organów, a ponieważ doktryna ta liczy wielu zwolenników pomiędzy lekarzami, ztąd, w zbroczeniach jednostek, uznaje tylko chorobliwe objawy. Teorya ta najczęściej określona: każdy złoczyńca jest według niój istotą źle uorganizowaną; jego złe instynkta są skutkiem stanu chorobliwego, częstokroć dziedzicznego. Okoliczności w jakich żył rozdrażniły go w rozpaczliwy sposób, maż być za nie odpowiedzialny? Wart on litości a nie gniewu. Potrzeba go żałować, uleczyć jeśli można, a nadewszystko zagrozić mu drogę do zbrodni, ale nie wolno gardzić nim, wkrótce nawet nie będzie wolno karać, bo i na cóż kara? Wszak pielęgnujemy chorego, ale go nie karzemy.

"Gdyby teorye te, dodaje Sardou, budziły w nas tylko litość dla zbrodniarzy, nie byłyby tyle niebezpieczne, ale następstwa ich stokroć zgubniejsze jeszcze! Od pobłażania dla zbrodniarza, prowadzą nas zwolna do niewdzięczności za cnotę. Przywykłszy rozpatrywać bez odrazy najobrzydliwsze czyny, patrzymy bez zapalu na najszczytniejsze poświęcenia.

"Taka filozofia musi logicznie przywieść do tych smutnych wyników: jeżeli zbrodniarz nie wiele winien, że uległ wrodzonym popędom do złego, człowiek dobroczynny nie ma zasługi, kłoniąc się instynktowo ku dobremu. Gdzie nie ma zasługi, tam wdzięczność nie potrzebna. Idźmy dalej. Posuńmy do krańcowych następstw tę medyczną filozofią: ona da nam zrozumieć, że w tych szczytnych wysileniach, w tych bohatérskich ofiarach, które nagradzać mamy, jest cokolwiek egzaltacyi. Bo koniec końcem powie nam: „poświęcać dla bliźniego najdroższe rzeczy jakie posiadamy: życie, zdrowie, majątek, czyż to zgodnie z rozsądkiem? Nie widzimyż w tém jakiejś chorobliwój przesady, jedném słowem manii, manii poświęcenia się, oddania wszystkiego, jak inni mają manią zgarniać wszystko dla siebie. I za cóż nagradzać takich ludzi? spełniona ofiara nie byłaż dla nich dostateczną nagrodą?

"Oto ostatnie słowo téj smutnój filozofii, kończy Sardou: gdzie ona zapanowała, gdzie wysuszyła serce, tam cnota wyszła z mody. Niechajże nagrody nasze będą protestacyą zdrowego zmysłu francuz-

kiego, przeciwko tym zgubnym teoryom. Moralnością naszą, nienawiść ku złemu, umiłowanie cnoty! Stara to metoda, ale dobra!"

Po tym energicznym wstępie, akademik z uczuciem opowiada czyny owych maniaków, w których życie całe było szeregami najszczytniejszych ofiar, urzeczywistnieniem nauki chrześcijańskiej. Obok znakomitej fundacyi Monthiona, przybyła dziś inna, wynosząca 200,000 kapitału, oddana przez księżnę Otranto pod rozporządzenie Akademii francuskiej.

Nie same tylko oklaski, ale i łzy słuchaczów, były odpowiedzią na gorące słowa akademika. Ostre wystąpienie jego przeciw szkole fizyologów dzisiejszych, zapowiada nam, że słynny dramaturg, nie poprzestanie na tej rękawicy rzuconej dziś wbrew naturalistom, lecz że powtórzy chłostę na szerszej arenie, na deskach teatru francuskiego. Sardou nie lęka się walki, a zwycięstwo jakie odniósł w „Danielu Rochat,” da mu niewątpliwie pobudkę do nowych zapasów, na témże samém polu.

W chwili gdy to piszemy, w teatrach paryzkich jesień nie ukazała jeszcze nowych plonów. Zapowiadają tylko dwie nowe sztuki dwóch pierwszorzędných pisarzy dramatycznych: Augier'a i Wiktoryna Sardou. Obie wprowadzą nas w tajemnice finansowego świata. W druku tymczasem ukazał się nowy dramat historyczny Edmunda Coffinet „Wercyngetoryks,” napisany prozą z niepospolitym talentem, a co więcej, natchnioną myślą wysoko patriotyczną.

Bohatér Gallów nie pierwszy raz występuje w dramacie. Podjął już z miłością tę postać znakomity historyk Henri Martin, uosobił w niej konającą epokę samodzielności galskiej, w zetknięciu ze zwyciężkim Rzymem, który miał podbić Gallów i otworzyć im nowe dziejowe drogi. Piękny dramat Henri Martin'a grany tylko na porankach dramatycznych, nie ukazał się dotąd na deskach teatru francuskiego, z powodu wielkich kosztów, jakichby to przedstawienie wymagało. Archeologia przestała już być nauką oderwaną; potrzeba z nią się liczyć. W zetknięciu dwóch światów, rzymskiego i druidycznego, przypadła jej nadzwyczaj ważna rola, a wszelka niedokładność z tej strony, mogłaby sparodyować rzecz, ośmieszyć sztukę i spowodować jój upadek.

Dla téjże samój przyczyny, nowy dramat p. Coffinet nie ukazał się na scenie, lecz w drukowanym tomiku. Zgorszyło to poważną krytykę, która najsluszniej zarzuca dyrektorom teatrów, iż trwonią bajeczne sumy na wystawę miernych sztuk działających tylko na zmysły, szarpiących nerwy widzów; przeciwnie-zaś, skąpią ich tam, gdzie wielka myśl otoczona całym blaskiem arcyzmu, tém silniej zagrzewałaby serca i podnosiła umysły.

Zbyteczna ostrożność kierowników Rzeczypospolitej, stoi tu niemięcej na przeszkodzie. Walki pierwszych Gallów przeciwko Cezarowi nasuwają mnóstwo przystosowań do ostatnich nieszczęść, z których

Francya dotąd otrząsnąć się nie mogła. Przesadzona ta ostrożność czyż nie ubliża godności narodowej?

„Wercyngetoryks” p. Coffinet, uznany został przez głos powszechny, za najznakomitszy dramat jaki się pojawił w tych czasach. Wielki żar tryskający z całości, przyćmiewa drobne skazy napotykane w dykcji, tu i owdzie niezgodnej z duchem zapadłej starożytności; autor z głębokim przejęciem przystąpił do dzieła: bacznym okiem zgruntował przeszłość; badał ją w dawnych kronikach, w komentarzach Cezara, w wielkiej liczbie starożytnych legend, zagrzebanych pod pyłem wieków, w pomnikach archeologii celtyckiej, a co ważniejsza jeszcze, w owych żywych tradycjach, które niby nic złota, przechodząc z pokolenia na pokolenie, przetrwały dotąd w drgającej piersi ludu. Z tych to kronik i żywych podań, odtworzył autor poetyczny obraz dawnych czasów, ukazał praojców dzisiejszego narodu francuzkiego, silnych wiarą, pełnych dowcipu i szczerzej wesołości, miłujących ziemię ojczystą, aż do bohaterskiego poświęcenia.

Zywym wyrazem starożytnej Galii jest w dramacie, galska dziewczica Kambra, mityczny prototyp Joanny d'Arc. W jej miłości, w jej cierpieniach i ofiarach uosobił autor miłość i boleść całego ludu.

Dramat rozpoczyna się w Rzymie. Młody Celtillonat, przyszły bohater przebywa u boku Cezara. Ulubieniec konsula, siada przy jego stole, dzieli z nim szalone biesiady, ulega jego wpływom. Złowrogi ten wpływ tak otumaniał umysł Galla, tak zobojętnił go na los własnej ojczyzny, że młodzian gotów przekroczyć Alpy wraz z Cezarem, ubroczyć oręż we krwi Gallów, pokonać ich, aby złotem z nich wyciśniętym, popłacić własne długi. Co więcej, młody Arweńczyk kocha Poppeę wnuczkę Sylli, trzecią małżonkę Cezara. Poeta żywymi barwy odmalował obraz potężnej jeszcze Romy. Dumnież ona podnosi czoło w górę, ale pierś jej toczona już rozpustą, zaraża jadem całe ciało społeczne. Złoto ze wszystkich krańców ziemi napływa do miasta, mnoży zepsucie, coraz większą rozbudza chciwość!

Pałac Cezarów bije w oczy przepychem, ale pod tą pozorną świeżością cuchnie zgnilizna, pod kwitającym wawrzynem lęgną się jadowite gady.

W akcie pierwszym, odgadujemy stan rzeczy z cynicznej rozmowy patrycyuszów. Akt ten kończy się przybyciem Kambry, krewnej i narzeczonej Celtillota. Ojciec jego tylko co skonał: Gallowie powołują go do ziemi ojczystej. Pełna zapału dziewczica, wrywa go z rzymskiego odmetu, gwałtem pociąga młodziana do Galii.

Między pierwszym a drugim aktem, upłynęło lat sześć. Tu rozpoczyna się patryotyczny zawód Celtillota. Pokolenia galskie powstały, wykrzykują go wodzem; imię jego odtąd Wercyngetoryks. W galskiej mowie imię to oznacza bohatera, ojca i przewodnika narodu.

Głównym węzłem w dramacie jest miłość i zemsta Poppei, odtrąconej małżonki cesarowej. Przybywa ona do obozu Wercyngetoryksa, przypomina mu dawne związki.

— Oto moja oblubienica!—rzecze wódz, ukazując jój Kambrę.

— Oto mój podarunek ślubny—zawoła dumna Rzymianka i zaptapia sztylet w piersi dziewczycy galskiej.

Pocisk nie był jednak śmiertelnym. Trawiona zazdrością Poppea, poprzysięga zgubę dawnemu ulubieńcowi; śpieszy do obozu rzymskiego, sprzymierza się z Cezarem, przebacza mu zniewagę, podnieca go do zemsty; działa z niestychną przebiegłością i okrucieństwem.

Walka Galii z Rzymem rośnie do olbrzymich rozmiarów. Galia kona wreszcie, złamana przemocą. Ostatnia nadzieja narodu spoczywa w Alezyi. Gród ten niezdobyty jeszcze: Wercyngetoryks czeka nowych posiłków. Dzielna Kambra przyprowadza mu 200,000 ludzi, zebranych z całej przestrzeni ziem galskich: z nad Sekwany, Rodanu, Loary i Garonny. Sama przebrnęła śnieżne zasy i wieczne lodowiska; wdarła się w głąb lasów nieprzedartych jeszcze ludzkim wzrokiem, gdzie panuje czarodziejska Welleda, otoczona orszakiem licznych dzieci, gdzie uderza serce Galii!

Daremne wysilenia!... Gallowie pokonani, nadzieja gaśnie w sercach, jak promień słońca w tumanie czarnej chmury. Rzymianie opanowali Alezyą. Wercyngetoryks wpadł w moc nieprzebłaganego Cezara. Liktorowie z łańcuchem w ręku przystępują do niego.

„Galia nie zginęła!—woła wódz w najwyższym uniesieniu. Naród ma także duszę, a ta jest nieśmiertelna! Spieszcie Rzymianie dobijając konającą Galia, połóżcie się na jój grobowcu!... po was przyjdą inni i uczynią toż samo... ależ wy będziecie tylko nawozem... niczem więcej!... Acz grube wasze pokłady, ziemia pochłonie was nakoniec!.. Pod warstwami onych pokładów, zakiełkują znów galskie ziarna, a po długiej zimie, chociażby ta miała przetrwać lat tysiąc, te ziarna wznijdą zielono i wybiegną ku słońcu i połączą się razem i pełnemi zadzwonią kłosa!”

Liktorowie kują w łańcuchy wodza. Trąby rzymskie tymczasem, dzwonią za sceną marsza na galską nutę. Tak kończy się akt czwarty.

I znów ubiegło lat sześć. Wercyngetoryks jęczy w podziemiach Tulianum. Cezar pogromił wreszcie Pompeusza na polach Farsalii, równie jak pokonał Galia. Rygle więzienne otwierają się nagle: wchodzi centuryon z oddziałem rzymskich żołnierzy, a raczej Gallów przybranych w rzymskie zbroje. Przynoszą wodzowi złocisty hełm i kirys. Mściwy Cezar przebaczyłże Gallowi? Niel Cezar nie przebacza! On stroi jeńca, aby ukazać go miastu za tryumfalnym swoim wozem. Przybrany bohater, wyciąga dłoń po oręż; w téjże chwili żołnierze chwytają ręce jego, kują obie w łańcuchy.

— Pójdziesz za tryumfalnym wozem—rzecze centuryon—potém rzucą cię w fale Tybru.

— Dzięki ci, Tybrze! zawoła Wercyngetoryks.

Za kratę więzienną wcisnęły się tymczasem dwie niewieście postacie. Jedną z nich okrutna Poppea, drugą galska dziewczica Kambra. Spostrzega ją wódz, woła z najwyższém uniesieniem:

— Tyś mnie nie pokonał Cezarze! Ja szydę z twoich tryumfów, ja szydę z téj bezczelnój nikczemnicy! W tłumie twoich niewolników i rozpustnic, nikt nie zobaczy upadłego Wercyngetoryksa! Dalej żołnierze! ukażciez go ludowi, niech sypnie nań gradem kłąt i kamieni!... Tych zniewag, tych pocisków ja czuć nawet nie będę; te kławy nie dojdą mi do ucha; przedemną, wokoło mnie, nademną, ty będziesz Kambro, bohaterska dziewczico! drogi obrazie méj Galii. Spieszmy...

Na tém kończy się pyszny dramat. Niewiadomo jak prędko Paryż zobaczy go na scenie.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika poznańska.

Przez kilkanaście lat ostatnich ścierały się pojęcia i wyobrażenia o sprawach publicznych naszego społeczeństwa z pojęciami, które wśród straszego doświadczenia niedawno minionych czasów, z trudnością się formowały: ale z wolna coraz wyrazistsze przybierały kształty jaśniejszego i wszechstronniejszego poglądu na prawdziwe interesa narodu. Dziś możemy wprawdzie jeszcze natrafić na wiele upartych jednostronności i rażących sprzeczności w opiniach i zdaniach, wszelako, ogólnie rzecz biorąc, o tyle przynajmniej zyskaliśmy, że możemy z pewnym spokojem poważnego i krytycznego poglądu rozierać dawniejszą jednostronność i analizować zaciekle nieraz aż nadto sprzeczności.

Tą ogólną uwagę nasunęła nam broszura, wydana przed paru miesiącami w Poznaniu, u K. Żupańskiego p. t.: „Literacki i polityczny spadek po Aleksandrze Wielopolskim.” Autor pisma nie raczył nam się jawnie zaprezentować: ale z całej osnowy sądząc, widzimy, że, prócz może kwestyi włościańskiej, jest dokładnie obeznany ze sprawami przedmiotem dyskusyi będącemi; że jest w kwestyach mianowicie specjalnie prawniczych *versatissimus*; że posiada dużo polotu polemicznej dyskusyi, którąbyśmy z daleko jeszcze większą przyjemnością czytali, gdyby styl jego nie był często kępowany, powiedzielibyśmy, prawie nękania zwrotami językowi ruskiemu właściwemi. Zatem idzie, że niekiedy i punkt samego widzenia przedmiotu, zapewne bezwiednie został zwichnięty, chociaż ostateczne zdanie jasno wypowiedziane. Zadanie, jakie sobie autor postawił, polega na chęci udowodnienia, że p. Lisicki i hr. Tarnowski w sporze swoim o działalność margrabiego Wielopolskiego grzeszą zbyt jaskrawą jednostronnością. Dotknijmy przede wszystkim uwagę autora o czterotomowym dziele p. Lisickiego, które, jak słychać drukuje się w Wiedniu w tłumaczeniu francuzkiem, przecho-
zwraca na siebie uwagę nie tylko polskiej, ale i zagranicznej publiczności. Autor pyta, ażali dzieło p. Lisickiego mieści wedle jego głośnej zapowiedzi „prawdę zupełną i całkowitą” i odpowiada, że o tém za dni naszych stanowczo sądzić nie można, skoro całkowitej prawdy nawet ewangelia nie obejmuje; wszelako zastanowić się trzeba, czy podawana za całkowitą prawdę robota, odpowiada warunkom pracy historycznej. Sposób pisania p. Lisickiego ma chyba swój pendant w opisie Żywo-

tów Świętych, lub mowach adwokatów, a w obu razach staje się stanowisko piszącego zależnym: w pierwszym razie bezwiednie, w drugim rozmyślnie, w obu zaś schodzi z wysokości, na jakiej stawać powinna praca historyczna i staje się pamfletem. Dowody p. Lisickiego sięgają daleko poza dozwoloną granicę, skoro malują zbyt jaskrawo i z pewnym oburzeniem całe społeczeństwo. Pan Lisicki nie posiada dosyć zmysłu artystycznego dla utworzenia wdzięcznego obrazu, bo byłby czuł, że przedstawiać podziwu godny obraz męża stanu, który o dobro społeczeństwa myślał i dobro to osiągnąć usiłował, a równocześnie malować to samo społeczeństwo, jako pozbawione racji bytu, jestto owego męża stanu poniżyć, a nie wywyżżyć, skoro na rzecz niemożliwą całą swąłożył pracę. Panu Tarnowskiemu zarzucił autor, że zbyt myślnie główną obsłonił i ubrał, że niestosownie zaprzął się, niemal wyłącznie pytaniem: gdzie wina? że wreszcie w zbyt lirycznej formie uwagi swe podał. Że ani p. Lisicki, ani p. Tarnowski nie zużytkowali wszystkiego, co albo sam margrabia drukował, albo co o nim drukowano, popiera autor broszury w powołanych licznych ustępach prac filozoficznych, prawniczych, ekonomicznych i literackich margrabiego, a d usum przyszłych biografów, a w tych ustępach, zawierających większą część broszury, podniósł autor te okoliczności w życiu i charakterze margrabiego, które dotąd mało uwzględniono. Rzecz całą zamknął autor raczej w ramy polemiki z pp. Lisickim i Tarnowskim, poprzestając na pobieżnym w końcu prześlizgnięciu się” po epoce, w której margrabia pragnął na obszerniej widowni publicznej idee swoje w czyn wprowadzać.

Pojawienie się „Dwutygodnika naukowo-beletrystycznego,” o którym donosiłem, odłożone do 1 października. Może dlatego, że osoba młoda, która fundusze na to pismo gromadzi, miała jeszcze pewne trudności do usunięcia. Będzie to u nas pierwszy fakt wystąpienia młodej osoby na polu literackim, dotąd bowiem starsze panie tylko autorstwem się zabawiały. Niedawno temu wyszedł u Żupańskiego obraz dramatyczny z połowy XI wieku p. t.: „Starzowie.” Autorką jest pani Baranowska z Lipskich. Trudnoby domyślić się, że to pisała babka dla wnuka, bo pełno w tym utworze tchnień, jak gdyby wiosennych. Są, którzy mniemają, że to chyba płód dawniejszy, a dziś tylko przejrany i dopełniony ¹⁾.

Żupański przysłużył się ostatnimi czasy dwoma znów nakładami, a nasamprzód nakładem prelekcji ś. p. profesora literatury słowiańskiej, Wojciecha Cybulskiego, mianych na uniwersytecie berlińskim w półroczach akademickich zimowych 1842/43 i 1844/45. Przejrzał je Ludwik Kurzmann, znany z kądinąd tłumacz wielu naszych poetów. Tytuł prelekcji tych brzmi: „Geschichte der polnischen Dichtkunst in der I Hälfte des XIX Jahrs.” Profesor Cybulski zajmował od r. 1861

¹⁾ Zobacz relację p. Kaszewskiego w zeszycie październikowym z r. b. Bibl. Warsz.

katedrę literatury słowiańskiej przy uniwersytecie we Wrocławiu, który po jego śmierci objął i dotąd zajmuje prof. Wł. Nehring.

Drugie wydawnictwo p. Żupańskiego, na które uwagę zwracamy, jest poprawna edycja mapy Księstwa Poznańskiego, zwanéj mapą Kurnatowskiego. Ś. p. Kurnatowski w swoim czasie wielce się przysłużył swą mapą, bo była ona i najdokładniejszą i najwyraźniejszą i pozostała taką aż do czasów ostatnich. Zasób jéj przecież już się był dawno wyczerpał. Chodziło więc o to, aby powtórnią jéj edycją uskutecznić, z dodaniem uzupełnień, jakie czas przyniósł. I otóż mamy teraz mapę dawną uzupełnioną tak, że nietylko wszystkie koleje i drogi żwirowe są oznaczone, ale nadto wszystkich miasteczek ilość mieszkańców podana. Podane są także znaczniejsze łąki, lasy, wydmy, dalej stacje pocztowe i telegraficzne, wreszcie dodany podział na dekanaty. Odbitkę uskutecznił wzorowo zakład litograficzny Szulca, co tém trudniejsze było, że obszerność mapy nie wielka, więc nazwy nader nabitostać przy sobie muszą.

Leitgeber wydał opracowany z angielskiego przez d-ra Koehlera z Kościana: „Poradnik dla matek.” Dawniej zasłużył się był podobnym dziełem dla matek dr. Matecki.

Zresztą wspomnimy jeszcze, że w odcinku „Dziennika” wychodzi powieść J. I. Kraszewskiego p. t.: „Pan z panów,” ta sama, którą drukowała i „Gazeta Warszawska,” a „Kuryer” nie przestaje w swych listach p. t.: „Zbliżka i zdaleka,” zasłużonego budzić uznania.

Oto plon literacki z ostatnich miesięcy, który możnaby jeszcze uzupełnić mowami pogrzebowemi, mianowicie ks. d-ra Stablewskiego. Dobrych kaznodziejów nie rzadko u nas napotkać można, jak świadczą dzieła. Dwóch najwybitniejszych z ostatnich czasów, z których ks. Prusinowski dawno umarł, a ks. biskupowi Janiszewskiemu, zmuszonemu opuścić Księstwo, przed namyślnym rygorem praw majowych, Bismarck zamknął usta!

Mówiliśmy co dopiero o kobietach, garnących się do pióra. Różnie dotąd u nas na tę działalność kobiet się zapatrują. Jedni żądają aby kobiéta poprzestała na domowém pożyciu i całą swą zdolność obracała na upiększenie i ugładzenie ogniska familijnego. Odmawiają kobiecie zdolności istotnych w dziedzinie literatury i sztuki i mniemają, że kobiecość traci na zajęciu się piórem, lub pędzlem. Lubią oni z pewnym szyderyczym uśmiechem spoglądać na płydy literackie kobiet. Niektórzy, przeciwnie, głoszą aż równouprawnienie kobiet z mężczyznami w świecie literatury i sztuki. Prawią oni, że kobiéta to nie li mamka, lub sługa powolna mężczyzny, że zdobywać ona będzie coraz obszerniejszy zakres dla swéj działalności, aż przyjdzie czas, że dokona dzieł wielkich, że pojawią się Homery kobiece, Rafaele i t. d. Jak w tylu innych kwestyach, tak i w téj obustronna przesada. Talent i światło obok cnoty, czyż to nie skarb, jaki kobiéta przynosi w dom i zostawia dzieciom, jako najcenniejszą spuściznę? Rafaelami i Homerami nie będą podobno nigdy kobiety, ale jeśli już przyczyniały się da-

wniej tak zaszczytnie do tworzenia znakomitych dzieł, wnosić trzeba, że nadal zawdzięczać im będzie świat tém większy udział w znakomitych utworach.

Wszakże towarzystwo nasze na tém tak bardzo cierpi, że młodzież niema podniety towarzyskiej do tych pragnień idealniejszych, które winny być pielęgnowane zawczasu w sercach, aby mogły później przynieść owoc! W Poznaniu ani jednego domu otwartego nie mamy, ani jednego punktu zbornego prywatnego, w którymby posłuchać można pogadanek, wynurzań i rozmów osób, żądnych podtrzymania każdej iskry myśli, zdolnych pochwyć w lot i upiekszyć każdą osnowę! U nas tak w ogóle rzecz się ma, niestety! że potrzeba tych iskiei, że upodobanie w chwytaniu i rozwijaniu drgnień myśli nawet nie zdaje się być pożądane. Więc często, zbyt często, jedni drugich... nudzimy. Rozmowa lotna, wymiana myśli nadobna, ustają, a więc i przyjemność towarzyskiego pożycia. Brak ten wielu czuje, ale jak mu zaradzić? i z kądże pochodzi? W naszym mniemaniu, pochodzi on przeważnie z ogólnej sytuacji, jaką tu nam wytworzyły stosunki. Były domy, które, nie zrozumiawszy dobrze rzeczy, mniemały, że potrafią t. z. literackimi wieczorkami, nieco towarzyskiego nadać impulsu, ale po niefortunnych próbach musiały dać za wygraną. Fiasco było zupełne. Złośliwi twierdzili, że brak podstaw kulinarnych, stosownych, już w zaczątku rzecz popsuć musiały.

Minęła pora wód i kąpeli i popowracali do domu ci, którzy tam szukali zdrowia, a przynajmniej ulgi. Mało kto z nas odwiedził dotąd wody inowrocławskie, a raczej solanki tameczne, które równają się najlepszym, a znajdują się tak blisko, rzekłbym, że zablizko, bo w naszym Księstwie. Że prowincya nasza posiada wapno i węgle ziemne, to rzecz była dawno wiadoma: że posiada bogate warstwy soli, ostatniemi dopiero sprawdzono czasy. Śledzić zrazu zaczęto solą przepełnione źródliiska w powiecie Szubińskim. Już w r. 1848 rozpoczęto wiercenia z polecenia państwa pod wsią Słonawy, ale nie otrzymano spodziewanych rezultatów. Dopiero w ostatnich latach zajęli się ludzie fachowi gromadzeniem dowodów, że w bliskości Inowrocławia, w niewielkiej stosunkowo głębokości, bogate być muszą warstwy gipsu i soli i po pierwszej zaraz próbie przekonał się rząd, że znajdują się w tamtych stronach obfite pokłady soli. Powodzenie rządowe nie dało pokoju prywatnym przedsiębiorcom, dopóki także nie zabrali się do eksploatawania tyle zyskownego, co ważnego produktu. W r. 1879 na wiosnę dokopano się czystej soli, a gdy prace przygotowawcze ukończone zostaną, będzie można dobywać dziennie około 30,000 centnarów soli. Dotąd wynoszą koszta tego przedsiębiorstwa sporą sumę: 2,420,000 marek. Dawniej mieliśmy dość uczęszczany zakład wodo-leczniczy w Dębnie, nad rzeką Wartą, ale zakład, wraz z przejściem dóbr w ręce obce, zwinięty został, lat temu 25. Ówczesny właściciel tych dóbr, Stanisław hr. Mycielski, lubił towarzyskość, był zarazem lubownikiem i znawcą muzyki, więc starał się o to, by jego zakład stanowił nie tylko

przystań dla tych, co się leczć chcieli, ale dbał zarazem o nadanie Dębnu cechy powabnej towarzyskości. Artystów naszych muzycznych zwykł był na dni kilka zapraszać do siebie, urządzał wtedy wieczory towarzysko-muzyczne, które dotąd w miłej u gości pozostały pamięci, zawierując między uczestnikami tę nić srebrną, która wśród szarej tkanki żywota, tak jest człowiekowi potrzebną. Nie już przelotnym przystankiem, ale przybytkiem dla artystów był niedawno jeszcze Miłostaw. Można tam zawsze niemal było zastać którego z artystów, lub literatów. Dziś inaczej. Spadkobierca ś. p. Sewerynostwa Mielżyńskich, należy wprowadzić do najhójniejszych szafarzy środków na cele publiczne, ale nie lubuje się, jak poprzednik jego, w artyzmie.

Bo i znojne codzienną bardziej życie nasze; na wszystkie strony oganiać nam się przychodzi; maczuga wprowadzić w nas nie uderza, ale wpijają się w nas bezustannie jak gdyby pijawczane żądła. Kluci jesteśmy co krok, jak gdyby śpiłkami. Pozbędziesz się jednej, aliści druga i trzecia znów wchodzi w ciało. Jakże tu więc wyrastać ma zamitowane wykwniętych potrzeb, wyższego gustu? jakże pielegnować kwiat subtelny, duchowy? Żydowszczyzna, która się wpiła we wszystkie stosunki, oblicza bezustannie i wedle rachunków równie szczegółowych, jak i ogólnych postępuje; osaczyła ona i niemiecki w pewnej części żywioł, ależ on także rachować umie. My, chociaż się i silimy, rachować nie nauczyliśmy się jeszcze, jak już w ostatnim nadmieniałem liście, a tak, jak te dwa zastępy rachują, nigdy podobno nie nauczymy się. Mamy wprowadzić w Księstwie nie więcej, jak 84,000 żydów; podczas, gdy Niemców jest mniej więcej 600,000, a nas 900,000, ale mimo tej przewagi naszej liczebnej, nie rośniemy w siłę. Nam w niczym nietylko nie pomagają władze, ale przeciwnie, we wszystkiem zapory stawiają. Przykłady tego gromadnie cisną się pod pióro. Otóż np.: żydzi i Niemcy posiadają zupełną swobodę stowarzyszeń, Niemcy nadto zyskują za każdym razem i pomoce rządowe. A my? My upośledzeni systematycznie jesteśmy. Mamy centralne Towarzystwo agronomiczne, mamy także powiatowe towarzystwa. Niemcy otrzymują premie i zapomogi dla swego Towarzystwa agronomicznego ogólnego i specjalnych powiatowych, my nie. Mamy Towarzystwo pomocy naukowej, istniejące od lat 40; w Prusach Zachodnich istnieje ono od lat 30. Naudaremnie czekaliśmy i dopominaliśmy się o prawa korporacyjne, mające dopomódz ich działalności. W Toruniu związało się przed kilkanaście laty Towarzystwo naukowe, na wzór poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, rozciągając działalność swoją na całe Prusy Zachodnie. Władza nietylko żadnemu z nich nie przyznaje praw korporacyjnych, ale nadto poddaje Towarzystwo toruńskie dozorowi policyi, narzucając mu obecność delegatów policyjnych. Nasze poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk nietylko nie może uzyskać praw korporacyjnych, ale nadto nie może przyjąć do swego gremium urzędników rodaków, mianowicie zaś profesorów, bo tego władze surowo zakazały. Nawet do spółek zarobkowych i innych podobnych stowarzyszeń wgląda cieka-

wość policyjna, śledząc, podsłuchując; tak samo wprasza się i na zebrania kótek włościańskich. Można by myśleć, że przecież wolno jest nauczycielom naszym tworzyć między sobą stowarzyszenia, tak jak to wolno nauczycielom niemieckim i żydowskim? Gdzież tam. Pięknieby wyszli, chociażby tylko zamiar taki powziąć mieli! „Suum cuique” jest w tém państwie okrutną, cynizmu pełną ironią. Gdyby inteligentniejsze warstwy nasze nie trudniły się takimi np.: kótkami włościańskimi, ale gdyby sama tylko warstwa ludowa w nich była czynną, możeby wtenczas przychylniej władze na wzrost tych kótek patrzyły, możeby nawet starały się w takiej np.: kwestyi, jak wybadanie opinii kótek co do środków ochronienia własności chłopskiej od rozbicia, ofiarować swą pomoc. Skoro zaś inteligencja polska nad jaką sprawą czuwać pocznie, zaraz truchleje spokój i porządek żandarmski.

Ciekawi może jesteście, jak dziś stoi sprawa z wybadaniem opinii wieśniaków co do środków utrwalenia ich własności. Pisałem był, że się tą sprawą u nas zajmować mocno zaczęto, a to pod impulsem wniosku sejmowego p. Schorlemera, posła z Westfalii. Pan Schorlemer wychodzi z faktu, że chłop westfalski ma za sobą tradycją, albowiem zagrodę swą posiada bądź tytułem lennym, bądź wieczystej dzierżawy, a prawo spadkowe z góry jest przepisane. Nasz włościanin niedawno został właścicielem, niema więc tradycyi, niema téż i porządku dziedziczenia spadku z góry przepisanego. Rozpoczęte w łonie kótek włościańskich wybadywania, nie dały stosownych owoców. Kmieć nasz twardo stać zwykł przy swych zwyczajach, do których pod względem ekonomicznym, należy t. z. wyderek. I otóż fakta dowodzą, że skoro te wybadywania nie mają atrybucyi sądu, uprawnionego do wymagania przysięgi na poczynione zeznania, niczego właściwie dowiedzieć się przez nie nie można. Zapisuje się, co najwięcej, w protokule chęć dobra i jaka taka dyskusya, ani kompetentna, ani rzecz, o którą chodzi, wyjaśniająca. Nasz wieśniak jest, gdy mu się kto miesza w jego interesa, nielada dyplomatą; chcąc coś wymiarkować, co on myśli, na to potrzeba mieć dar wtajemniczania się w jego usposobienie i umieć się domyślić raczej tego, czego nie wypowiada, aniżeli budować na tém, co mówi. Patron kótek, p. Jackowski, radził, aby włościanie zamiast wyderków, zabezpieczali swe dożywocie w towarzystwach. Taby może najłatwiejszy był sposób załatwienia się ze sprawą, ale tu znów zachodzi ta trudność, że włościanin nasz strasznie nie lubi wdawać się z wszelkiemi stowarzyszeniami asekuracyjnemi. Jeszcze on nie dorósł do uznania ich użyteczności. Prędzój już udział weźmie w stowarzyszeniach zarobkowych i pożyczkowych, lub oszczędności.

Kłęska, jaka w skutek deszczów i powodzi pogorszyła jeszcze stan, i tak nieszczególny naszych rolników, i to nietylko większych właścicieli, ale i ludu, roztacza przed nami smutną perspektywę przyszłości niedalekiej, jeżeli nie nadejdzie pomoc gruntowna. Coraz głębsze wszęszad odzywają się skargi, że cięższe położenie rolnictwa wśród pokoju, bodaj da się pomyśleć, aniżeli jest obecne; sypią się po

dziennikach i w rozmowach prywatnych rozliczne propozycje zaradcze, ale do poczynienia kroków wspólnych, mających wskazać na pewne praktyczne środki, jeszcze dotąd nie przyszło. A tymczasem czas na gli o pomoc rychłą, o środki bezzwłoczne. Rząd sam uznaje, jak sły chać, potrzebę pomocy, jest więc nadzieja, że za impulsem, danym przez interesowanych bezpośrednio, pomoc tém śpieszniej nadejdzie. Nie chodzi o moratoria, bo te tylko pozornie na chwilę ulgę przynieś- by mogły. Tę sumę, z jakąby nam dziś czekano, trzeba by wszakże jutro podwójnie zapłacić. Tu chodzi o zwolnienie z podatków na pe- wien przeciąg czasu, chodzi dalej o pozwolenie zwołania walnych zgro- madzeń Towarzystw kredytowych ziemskich, których celem musiały by być uchwała: zapłacenia rat, chociażby dwóch, z funduszu t. z. rezer- wowego. Ponieważ tak dobrze my jak i Niemcy klęską nawiedzeni zostali, cóż naturalniejszego, że pójdziemy ten raz ręką w rękę i dopo- minać się będziemy pomocy od instytutów, które dla naszego wspólnego dobra, na zasadzie wzajemności, utworzone zostały? Trzeba ko- niecznie wziąć się raźnie i energicznie do rzeczy. Płacimy ogromne podatki, nakładają na nas, jak na mułów, coraz większe ciężary, egze- kwują zaraz, gdy się nie uiszczamy, z rolnictwa żywi się społeczeń- stwo, o ułatwienie więc warunków, zagrożonego codziem bardziej bytu naszego, i my i państwo postarać się musi. Już w ostatnich latach widać było, że rząd coraz baczniejszą na kwestyą rolniczą zwraca uwagę, że przychodzi do uznania, iż istniejące prawodawstwo po macoszemu traktuje rolników; że podczas gdy handel i przemysł obtawiają się coraz bardziej, wyzyskują wszystkie pozycje na swoje korzyść, rolnictwo w coraz gorszych żyje warunkach, uważane będąc za niewyczerpany róg obfitości, dla wszystkich i na wszystko. Nie go- dzi się, zdaniem naszym, wątpić, że stanie się sprawiedliwość i że pań- stwo, przejrzawszy raz położenie, przekonawszy się z sprawozdań, za- żądanych z okolic, klęską świeżą nawiedzonych, o palącą potrzebie, stosowne poczyni kroki, t. j. gruntowne, nie zaś połowiczne, i że od- tąd dalej i dalej wznosić będzie wał obronny dla interesów rolnictwa.

Najwięcej ucierpiały w naszym Księstwie powiaty wschodnie. W Prusiech Zachodnich zebrano daty, wykazujące, iż szkoda w poje- dyńczych powiatach, jak np. Toruńskim, wynosi aż blisko 9,000,000 marek. I Górny Szlązk mocno ucierpiał i to przeważnie w tych sa- mych okolicach, dla których w zeszłym roku tak powszechną niesiono pomoc.

Ktokolwiek bliżej się przypatrzy naszemu tutejszemu dzien- nikarstwu, dostrzeże w niém dwie zmiany. Nasamprzód dostrzeże, że rozdrobnienie czynności dziennikarskiej na mnogie pisemka przynio- sło ze sobą wglądanie coraz bliższe w potrzeby i kwestye prowincyo- nalne, miejscowe i rozbieranie tych potrzeb i tych kwestyi ze stano- wisk, na jakich każde z pism się postawiło. Jestto z wielu względów dodatnia strona, ale tuż obok ukazuje się nieraz i ujemna, gdy to lub owo pismo albo pisemko rozkoszować się zaczyna w przyznawaniu odła-

mowi społecznemu, dla którego oświecenia i skupienia pracują wyjątkowej ważności, gdy temu przeczenianiu swojego „sztandaru” towarzyszyć zaczyna arrogancja i insynuacje drażniące. Zbyt natarczywe wywieszanie chorągwi jątury i wywołuje spory, które, zwykłym ludzkich spraw biegiem, zaostają się wkrótce w osobiste zaczepki. Nerwowa nasza epoka dziwnie ulega obraźliwości i otóż ta obraźliwość drugą stanowi zmianę w łonie naszego dziennikarstwa. Nie powiemy, aby się tak u nas dziać miało, jak zwykło dziać się we Lwowie; ale stwierdzamy, że nie tak dawno zanosiło się już u nas na formalne osobiste hece. Mogą się one znów rozpocząć za lada daną sposobnością, a mogą tém snadniej, że ciągle niemal wśród ciężkiej walki się obracamy, walki, w której prowadzeniu, niepowodzenie miesza się często z szukaniem winy. Dawniej istnieli u nas znani powszechnie ludzie pojednawczy; dziś to się zmieniło, a dziennikarstwo częścią nie potrafiło jeszcze, częścią nie chce w swém ściślejszém kole dostatecznie uwzględnić obowiązków, nakazanych przez położenie nasze. Więc raz gotowe jest odmówić przeciwnikowi dobrej wiary, to znów nie kwapi się odwołać podanych wiadomości, skoro to zamiarom jego nie odpowiada; w polemice chwyta się ustępów pewnych inkryminowanych, nie chcąc baczyć na ducha całości; zamilcza nieraz, czego zamilczć nie należałoby i t. d. Trudno to wprawdzie wśród żaru walki zachować należy spokój, ale pamiętać powinniśmy, że stoimy tutaj bądź co bądź jako obóz naprzeciw obozowi i że potrzebą jest konieczną, abyśmy jedni drugich otaczali tą miarą szacunku, jaka przystoi szeregowcom różnej wprawdzie broni, ale tego samego wojska ¹⁾.

Przypatrując się dalej dziennikarstwu, widzi nam się stosowném zwrócić uwagę raz jeszcze na tę mnogość pism czy pisemek, jaka u nas tutaj wychodzi. Wspomniałem w minionój mój kronice z czerwca, że nie jeden talent zużywa się w tych jakgdyby wyścigach, których nie wywołała istotna potrzeba. Dziś mnożą się nietylko już tu u nas piszący do pisemek ochotnicy w niezwykły dotąd sposób; zdaje się nieraz, jakgdyby ludzie obawiali się, że bliższa rozważa gotowa ich pozbaczyć przyjemności figurowania na arenie publicznej. Czy zyskuje na tém piśmiennictwo, czy podnosi się przez to stopień jego? Dość, że piszących coraz więcej i u was i u nas. Czy w równój mierze rośnie liczba czytających? Wedle powziętych wiadomości, tyle choć można twierdzić, że mocno ona u nas urosła w porównaniu do niedawnego jeszcze czasu. Niémamy na myśli żadnych moralizowań, rzucimy tylko pytanie, które się przy sposobności tej ciśnie pod pióro: czy uzyska-

¹⁾ Przyczyna tego smutnego zjawiska szarpania się wzajemnie, zdaje nam się głównie w tém leżeć, że w myśl ducha epoki i z powodu materialnego położenia nie idee, nie ogólniejsze względy, ale bardzo często obrona wyłącznych jakichś interesów jest pobudką publicystycznej pracy i literackiej szermierki. Ztąd wynika, że szeregowców u nas niéma, tylko sami... wodzowie!

liśmy przez mnogość czytania—a i pisania, więcej samodzielności; czy wrażeniom téj lub owéj kwestyi ulegając, zatrzymujemy miarę potrzebną refleksyi osobistéj?

Podczas gdy z należnym interesem i radością zajmujemy się uroczystymi chwilami, jakie się spełniają dla starego grodu Kraka i dla nadpęktawskiej stolicy, przychodzi nam równocześnie czytać pruskie wynurzania wstępne o rocznicy sedańskiej, w mocno na kwintę spuszczoneym tonie. Czyto pozor umyślny, czyto maska dla zakrycia pewnych planów? Któż wie. „Nie chęłmy się, nie nadymajmy odniesionym tryumfem, woła np. „Gazeta Krzyżowa,” bo buta zapowiada upadek.” „Nie my, Niemcy, zwyciężyliśmy, ale woła Boska,” prawi „Gazeta kościelna pruska.” Inne narzekają, że wzniosły płomień entuzjazmu tak prędko gaśnie i że niemiec zaczyna brać sobie coraz bardziej, w coraz szerszych kołach, za motto: „ubi bene ibi patria.” Tymczasem kierownicy nawy pruskiej nawołują w swych organach do obchodzenia z wielką uroczystością rocznicy sedańskiej, chociaż zarzekają się zarazem, że, broń Boże, nie chcą wyzywać i drażnić „przeciwnika.” Pół-urzędowa „Post” nie wyklucza nawet prawdopodobieństwa dobrowolnego zwrotu Lotaryngii i... Alzacyi. Czyż to nie zastanawiające, gdy porównamy z temi korowodnemi elukubracyami, z temi dziwnemi niejasnościami, inne objawy niemieckich kół decydujących, brzemienne groźną przyszłością? W Księstwie społeczeństwo nasze zawsze z równą trzeźwością i poważnym chłodem na tę sedańską patrzy rocznie. Ten raz odbył się obchód jój bez tego hałasu i oznak radości, co dotąd. Powiewały ot! chorągwie na budynkach rządowych i miejskich, było nieco hymnów i „wachtów,” mowa burmistrza i pohulanka w ogródkach. Wieczór zeszedł bez oświecenia miasta. Radość, jaką Niemcy z razu objawiali z swego ogromnego tryumfu, ustaje widocznie; niesmak natomiast i niezadowolenie rosną, co my tu najlepiej dostrzedz możemy.

Od czasu swego tryumfu nadeły się były Niemcy tak dalece, że albo inne ludy miały bez ogródkki za zgnite, albo za upośledzone i na wieczne już czasy na niższość skazane. Opór przeciw niemczeniu przedstawiać lubiło dziennikarstwo oszalałe za bunt przeciw porządkowi Opatrzności, jak zwało, historycznej. Pozwalała sobie prasa, pruska przedewszystkiém, orgii tych przez lat 5. Dziś z tonu spuszcza, ale nas, ale Słowian w ogólności, z góry, po protektorsku lubi traktować. Dawniej, przed laty, mniemał Niemiec, że dzierży palmę myśli, że *κατ' ἐξοχήν* nauka w nim ma swe siedlisko; nie dawno temu zaś, gdy pierwszorzedny mąż stanu pojawił się u nich, mniemają, że „wszystko co się dzieje, przezeń się dzieje,” a to na mocy kwintesencyi rozumu stanu niemieckiego, która się w niego wcieliła. Nas w Księstwie wzywają ciągle do zmetamorfozowania się, na różne tony opiewając, ile zarobilibyśmy na zniemczeniu się. Rozumny to naród pod wielu względami; ale nie pokazuje rozumu, a nawet wprost na brak higieny

mózgowej cierpi, siląc się na argumenta, dające się mniejwięcej streścić tak: cóżto za dobrodziejstwo dla gruszki, zostać jabłkiem!

Spółeczeństwo nasze u góry i u dołu, zgodne dziś jest co do stosunku swego rdzennego do pruskiej niemczyzny. Pokazują to wybory do sejmu i parlamentu, udowodnia postawa wśród walki uciśnionych praw Kościoła z wszechwładztwem państwa, unaozcniła powszechna skarga na ciężary zostające bez proporcji z korzyściami; manifestują wreszcie te mnogie, a wybitne dicta prozą i wierszem, jakie, wraz z przygodnymi piosnkami, zyskały prawo powszechnego obywatelstwa. Przy naszej swojskości stoimy i stać chcemy, dopóki sił starczy!

Wspomnieliśmy co dopiero o ciężarach. Żałujemy, że niemal za każdym naszym listem przychodzi nam o nie potrącić. Nie nasza wina, że w obrazie tutejszego oblicza cienie tak obficie przemagają. Ten raz mówić chcemy o ballon d'essai, jaki dla zbadania opinii publicznej w państwie, pojawił się w „Schlesische Zeitung,” a dotyczy planu reformy podatków ze stanowiska „konserwatywnego,” na jakim się teraz stawiać chce kanclerz. Niepocieszające, w każdym razie, otwierają się dla naszych wycieńczonych worków widoki, gdy czytamy komentarz pólsruzędowy onego planu. O zmniejszeniu podatku dochodowego mowy niema, a spodziewać się nie można, aby dochód z zwiększonych w roku minionym podatków użyty został na umniejszenie ciężarów. Powiększenie uchwalone wojska pochłonie przewyżkę z ceł i podatku od tytoniu i rząd będzie znów żądał nowych podatków, mianowicie monopolu na tytuń, albo t. z. podatku wojskowego, który płacić mają wolne od służby wojskowej osoby. Prusy chcą wprowadzić przez przekazanie połowy podatku gruntowego i budynkowego gminom, ulżyć im ciężarowi, ale w dochodzie państwa powstaje zaraz ztąd deficyt 33,000,000 marek; chcą zmniejszyć podatek klasyczny, ciężący na biedniejszych warstwach ludności, ale to znów zmniejszy dochód o jakie 28,000,000 marek. Wedle wyżej wspomnianego ballon d'essai otrzyma państwo prawdopodobnie z proponowanych nowych podatków 46,000,000 marek, pozostanie więc deficyt 14,000,000 marek, który pokryć mają albo podatek wojskowy, albo monopol tytoniowy, albo może oba te środki skombinowane; gdyby zaś sejm na to się nie zgodził, ma ów ballon d'essai zaraz pod ręką nową propozycją, t. j. podwyższenie znaczne podatku od spadków. Koniec więc końcem, tyle widoczném jest, że podatki znów urosną, a gdyby u nas przeprowadzić je także chciano, bez względu na klęskę, o jakiej w swoim miejscu wspomniatem. zbliżylibyśmy się o krok jeden więcej ku ruinie... Tém więcej krzątać się nam trzeba, jak wykazałem wyżej, około nagromadzenia danych, wykazujących stopień poniesionój klęski, ile że rząd zdaje się przeziierać coraz lepiej położenie tak ogólne, jak i wypadkowe rolnictwa. Inaczej... przyszłoby u nas chyba do eksperymentu głodzenia się à la dr. Tanner, z tą tylko walną różnicą, że dr. Tanner zarobił

zkładną na wycieńczeniu swoim piękną sumkę, bo podobno aż 100,000 dolarów.

Wiązanekę dzisiejszą kronikarską przychodzi mi zakończyć wzmianką nekrologiczną. Zmarła znów jedna z naszych pań, w wieku jeszcze młodym; umarło kilku starszych obywateli, jak np.: Kajetan Morawski († 13 sierpnia), w dobrach swoich Jurkowie w W. Ks. Poznańskim, po 63 latach pożytecznego życia. Mieliliśmy do niedawna jeszcze dwa wśród naszego społeczeństwa prądy. Od pewnego czasu jeden z tych prądów nabierać zaczął coraz więcej spoistości, aż się dosyć wyraźnie skryształizował, jeśli tak wyrazić się można, podczas gdy drugi prąd do ukonstytuowania się w pewnej formie nie doszedł. Skryształizował się prąd ultramontański. Taką nazwę mu dajemy, bo sam sobie taką daje i dawać chce, chociaż nie koniecznie mamy ją za odpowiednią, skoro w naszym społeczeństwie nie wiemy o żadnym Józefinizmie lub Gallikanizmie. Zatrzymajmy tymczasem tę nazwę dziś już utartą. Ultramontanizm sformułowawszy sobie zasady swe, naśladował mniejwięcej wzory, opinie i poglądy legitymistowskie; tworzy obecnie u nas armią, ma licznych żołnierzy i stosowną liczbę oficerów, podczas gdy ów prąd drugi, pozostawszy w znacznej części prądem, ma tylko prawie oficerów, a szeregowcy są raczej tylko gerylasami. Ztąd poszło, że ultramontanizm silną zajął pozycyą i że, podczas gdy ów prąd, ruchliwy ale bezładny, jeden właściwie tylko posiada organ, ultramontanie posiadają jakich 5. Są wprawdzie pisemka, które chcą stanowisko zająć pojedyncze, ale ku przeprowadzeniu tego zadania nie posiadają sił, a może że dziś jeszcze nie wyjaśnił się dosyć, nie wyrobił, bo i wyrobić bodaj mógł, środkowy jakiś kierunek o syntetycznym znaczeniu.

Ten faktyczny stan stronnictw naszkicowaliśmy dla usprawiedliwienia wzmianki o ś. p. Kajetanie Morawskim, który należał do stronnictwa ultramontańskiego; działał, pisał w tym kierunku, a że był jedną z wybitniejszych osobistości, więc téż działanie jego zapisało się w dziejach naszego zakątka wielu dobroczynnemi i zbawiennemi dziełami.

Wspomnimy tymczasem jego „Kroniki sejmowe” z sejmu pruskiego, drukowane w „Przeglądzie Poznańskim,” którego przez czas jakiś ś. p. K. Morawski był redaktorem odpowiedzialnym; wspominamy dalej, że zmarły był przez długi, długi czas, bo z jakie 26 lub 28 lat korespondentem do „Zsasu” i pozostał nim do końca swego życia; że należał do sformułowania poglądów, które później, jako wyraźnie sformułowane zasady, mniejwięcej zastosowano do postępowania naszego społeczeństwa, nietylko na wewnątrz, ale i na zewnątrz.

KORRESPONDENCYE.

I.

W „Bibliotece Warszawskiej” za październik roku bież., we wstępie do Projektu ustawy leśnej Królestwa Polskiego, podano objaśnienie o składzie komisji wybranej na kongresie leśnym do opracowania rzezonego projektu, jak niemniej o składzie komitetu redakcyjnego, wybranego z łona téjże komisji. W tém atoli objaśnieniu przepomniano nadmienić, że po odbytych naradach, na ogólném zebraniu komisji, nad pierwotną redakcyą projektu ustawy, postanowiono dla przerobienia tegoż projektu, wzmocnić komitet redakcyjny przez przybranie członka komisji Józefa Jeziorańskiego; skutkiem czego, pomieniony członek przyjmował czynny udział w ostatecznych pracach tegoż komitetu.

Chciej przeto Szanowny Pan, niniejsze objaśnienie w następnym zeszycie swego pisma zamieścić, gdyż pracy członka Jeziorańskiego, projekt ustawy leśnej, wiele zawdzięcza.

Przy téj sposobności, racz Szanowny Panie Redaktorze przyjąć zapewnienie rzetelnego szacunku, z jakim mam zaszczyt dla Niego pozostawać.

Warszawa, d. 12 października 1880 r.

J. Aleksandrowicz.

przewodniczący w komisji leśnej.

II.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeglądając „rachunki generalne,” składane przez podskarbiów wielk. kor. i przez komisję skarbu koronnego sejmującym stanom, widziałem w długim szeregu lat XVIII wieku, stale wpisywaną opłatę XX. Karmelitom warszawskim, po kilkaset złp. za przechowanie obicia, czyli szpalerów Rzeczypospolitej „Potop” zwanych. Tak np. w rachunkach z r. 1748, Karola Odrowąża Sedlnickiego, znajdujemy wyka-

zana na ten cel opłatę za dwa lata po tynfów 100, czyli po złp. 126 gr. 20, a nadto niejakiemu W. Lullie „zwyczajną pensją od dozoru i przesuszania obicia potopowego“ po złp. 400 na rok (w księdze nr. 85). Znika ta pozycja dopiero wtedy, gdy komisya skarbowa koronna, zakupiwszy od biskupa kamienieckiego pałac, do dziś dnia noszący nazwę pałacu Krasińskich, na siedzibę dla siebie i dla innych wyższych władz rządowych, znalazła dla „Potopu“ miejsce we własnym lokalu, oszczędzając tym sposobem niewielkiego, ale stałego wydatku skarbowi.

Wyznaję w pokorze, iż ten „Potop“ był dla mnie zagadką aż do chwili, gdym odczytał w zeszycie wrześniowym „Biblioteki Warszawskiej“ z r. b. w „Wiadomościach literackich“ nauczający artykuł prof. Łepkowskiego o albumach, reprodukujących gobeliny, z powodu wydanego świeżo przez ks. Polkowskiego albumu gobelinów katedry krakowskiej na Wawelu. Dowiedziałem się ztąd pierwotnej historii „Potopu“, czyli kosztownych arrasów, nabytych przez Zygmunta Augusta; dowiedziałem się również, że ich daremnie poszukują oddawna nie tylko nasi, ale i zagraniczni archeologowie. Moje notatki z rachunków skarbowych nie wieleby się przyczyniły do rozjaśnienia kwestyi, mogłyby tylko dostarczyć dowodu, iż „Potop“ był przechowany do roku 1794, ale nie usuwały wątpliwości, czy przechował się do dziś dnia? czy nie uległ zniszczeniu w dniach 17 i 18 kwietnia 1794 roku?

Niniejszóm objaśniony dokładnie o tym przedmiocie, uzupełniam sprawozdanie p. Łepkowskiego, zamieszczone w „Bibliotece Warszawskiej“ wiadomością, że „Potop“ istnieje, że okrywa ściany pałacu w Gątczynie pod Petersburgiem, że każdy może z łatwością oglądać te nieoszacowane arrasy, uzyskawszy na to pozwolenie miejscowego komendanta. Oprócz scen „Potopu“, przedstawiają arrasy pomienione wiele jeszcze innych wypadków z historii świętej, jak np.: „Kuszenie Ewy przez węża“, „Wygnanie z raju“, „Kain i Abel“ i t. p. Wniosek nasz co do tożsamości tych olbrzymich obrazów z poszukiwanym „Potopem“, opieramy na tej okoliczności, że znajduje się tamże niewielki kobierzec (długi około 3½ a szeroki blisko 1 arszyna), przeznaczony, zdaje się, do zaściętania miejsca przed łóżkiem, z orłem białym, z cyfrą Zygmunta Augusta i długim napisem łacińskim u dołu. Barwy, szczególnie jasn. spłowiały i zszarzały; wszakże rysunek jest jeszcze zupełnie wyraźny. Arrasy o których mowa, przechowane starannie, doznały jednak znacznych uszkodzeń z powodu, że dla przykrótkich ścian poprzecznych i innych przeszkód urządzenia salonowego, odkrojono, lub powycinano z nich znaczne kawały. Czy się te części gdzieindziej przechowują? nie wiadomo.

Podzieliwszy się tą wiadomością z ciekawymi archeologami w interesie nauki, mam zaszczyt załączyć przytém wyrazy szacunku i poważania, z jakim zostaję Sz. Red.

d. 15 października, 1880 r.

T. Korzon.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Historyi polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście. Napisał prof. Józef Szujski. Warszawa, 1880. Str. VI i 429, w 8-ce. Drukiem J. Bergera.

Byłoby pożądaném, gdyby ktoś z kompetentnych pisarzy przejrzał i krytycznie, ze względem na pedagogiczne warunki, ocenił rozmaite podręczne, szkolne książki, obejmujące wykład dziejów naszych. Mamy już dość sporą ilość takich książek w naszym języku, kilka w obcych, a zatem możnaby, oceniając ich dodatne i ujemne strony dojsć do pewnych wniosków, o ile celowi swojemu odpowiedziały, i o ile chybiły, a témsamém wskazać przynajmniej w przybliżeniu, jak sobie przyszli pracownicy na témże polu winni poczynać.

Wszakże wiadomo, że od przeszłego wieku począwszy, starano się o dostarczenie młodzieży podręcznych książek do poznania naszych dziejów. Zapewne wszystkim czytelnikom znane są z tego powodu nazwiska takich autorów jak: Bielski Jan, Waga, Jerzy Samuel Bandtke, Lelewel, Miklaszewski, Tatomir, Siemiński, Bobrzyński i kilku innych mniejszego znaczenia ¹⁾. Do tego szeregu przybył świeżo zasłużony i czynny profesor uniwersytetu krakowskiego p. J. Szujski, który napisał dla młodzieży książkę, wydaną pod powyższym tytułem, staraniem p. A. Pawińskiego. Profesor Szujski znany już dobrze w literaturze historycznej z obszerniejszych swoich „Dziejów Polski“ (4-y tomy, 1862—1865) był do napisania podręcznika szkolnego bardziej niż ktokolwiek inny usposobiony.

¹⁾ Z pisanych w obcych językach przytoczyć można, jako lepsze od innych K. Forstera: „La Pologne“ (1840) i „The history of Poland“ (1831), w zbiorze zatytułowanym „The cabinet cyclopaedia,“ wydawanym przez D. Lardner'a.

Długoletnia praca na polu badań historycznych, znajomość wielu źródeł, do których wydania sam rękę przykładaj; ogarnięcie w jednolitym obrazie historycznym zdarzeń kraju naszego, dokonane w przytoczonych „Dziejach Polski;“ niezaprzeczony talent dziejopisarski; gorąca miłość przedmiotu i wytrawny sąd, jaki się w témże dziele napotyka: wszystko to kazało się spodziewać, że i podręczne dzieło p. Szujskiego będzie pracą godną autora. Dlatego z dobrém usposobieniem braliśmy je do ręki i po staranném przeczytaniu, chcemy dać z niego sprawę. Nim do tego przystąpimy, pozwalamy sobie zrobić małe zboczenie o tém, jak pojmujemy warunki, którym zadość czynić powinna podręczna historia naszego kraju. Nie będą to wcale przepisy dla historyków, zwłaszcza tak wyrobionych jak prof. Szujski, ale raczej osobisty nasz pogląd, który w części służył za miarę do ocenienia w mowie będącej jego książki.

Dobra podręczna historia naszego kraju, powinna zawierać najprzód: opisanie ziemi, czyli terytoryum, na którym się zdarzenia historyczne rozgrywały. Granice naturalne, wśród których pewne plemie osiadło, ich natura pociągająca za sobą taki lub owaki system obronny; bogactwa przyrodzone tak na powierzchni jak i w łonie téj ziemi zawarte, pociągające za sobą taki lub owaki system gospodarstwa, w obszerném znaczeniu tego wyrazu: oto co w tym rozdziale mieściłby się powinno. Że terytoryum historyczne pod temi względami rozważane, zostaje w związku z przebiegiem zdarzeń politycznych; że tych zdarzeń bez rozumienia onego związku, dobrze rozumieć nie można, na to, jak sądzimy, rzadkiby się nie zgodził.

Drugim czynnikiem tworzącym dzieje narodów, jest człowiek. Trzebaby poświęcić osobny rozdział na rozważenie plewienia i rasy, do której ono należy; przyrzec się jego fizycznym, moralnym i umysłowym zdolnościom, coby pozwoliło na wyjaśnienie wielu objawów życia historycznego tak ze strony dodatniej jak i ujemnej. Powie kto może, iż o tém traktuje geografia i etnografia, i że wiadomości tego szeregu, przystępujący do studyowania dziejów swojego kraju, powinien już mieć w głowie. Ale, odpowiadamy, i w takim razie konieczne jest rozważanie tych dwóch czynników, gdyż historyk patrzy na nie z innej strony niż geograf lub etnograf.

Po załatwieniu się z ziemią i człowiekiem, historyk powinien materiały dziejowy sprawdzony, to jest autentyczny, uporządkować, to jest rozdzielić go na wymotywowane, nie sztuczne okresy, a te znów na mniejsze działy i rozdziały, w których obok zdarzeń czysto politycznych, wojen, traktatów, zmian dynastycznych; muszą znaleźć miejsce w odpowiednich ustępach, krótsze lub dłuższe, osobne rozdziały obejmujące wiadomości o sprawach, przywilejach rozmaitych stanów składających państwo; o urządzeniach politycznych (np. sejmy, konfederacye i t. d.) statystyczne dane, o ile są możebne, o skarbie, wojsku, wymiarze sprawiedliwości, oświeceniu; o gospodarstwie rolném, han-

dlu, rzemiosłach; o sprawach religijnych rozmaitych wyznań, literaturze i sztuce: są to dalsze czynniki tworzące dzieje.

Tu znów ktoś powie, że traktowanie o tém należy do wykładu prawa publicznego, ekonomii politycznej i specjalnych historii (np. kościelnej, literatury, szkół). Tak jest; ale historyk rozważa je w całości i związku ze sobą, a przez to daje nam obraz całkowitego życia: bez takiego rozważenia nie masz historii, tylko suchy szkielet nazwisk, dat i bitew.

Nareszcie nieodzowném jest dodać do podręcznej historii przynajmniej dwie, trzy mapki wyobrażające ważniejsze zmiany terytorjalne.

Ugrupowany tym lub podobnym sposobem materiał dziejowy, należałoby potem uporządkować w pięknej architektonice, jeżeli tak wolno nazwać; wystawić na czoło wszystkie ważniejsze fakta i odziać je piękną, poważną i czystą szatą językową.

Nie sądzimy, żeby w tym programacie było coś niewiadomego jeszcze światu; widzieliśmy książki w obcych językach tak pisane, i myśleliśmy sobie, czy téż kiedy dojdziemy do takiego podręcznika naszej historii? Czy téż dzieje nasze przestaną być vile corpus, na którym demokraci, monarchiści i anarchiści próbują swoich teoryjek? Czy one staną się dla nas nauczycielką życia, magistra vitae? I oto jak naraz otrzymaliśmy od prof. Szujskiego nową „Historję polską.” Co ona zawiera nowego? O ile prostuje i rozjaśnia pogląd nasz na własne dzieje?

Gdybyśmy ją chcieli sądzić tylko według powyżej ułożonego programu, powiedzielibyśmy, że jej dużo brakuje. Ale byłżeby to sąd słuszny? Nie zdaje się. Każdego autora należy sądzić według tego co zrobił, nie według tego, co zdaniem recenzenta powinien był zrobić. Tak i my postąpimy.

Autor w przedmowie usprawiedliwia wydanie swojej książki tém, że badania i prace źródłowe około naszej historii, znacznie w ostatnich czasach postąpiły, że zatem każde pokolenie powinno mieć obraz swoich dziejów zgodny z temi badaniami. Konieczne to témbardziej, ile że „z błędów i zбочeń myśli politycznej utworzyliśmy sobie szkodliwe laury idealne” (Wstępne słowo, III). Niektórzy historycy, jak Korwinowicz, H. Schmit, Jędrzej Moraczewski, a w części i Leleweł traktowali dzieje nasze bardzo po doktrynersku, przenosząc wyobrażenia dzisiejszego liberalizmu w dawne wieki i solidaryzując się z anarchicznymi dążeniami dawnych oligarchów, chociaż „sam jeden rząd reprezentował interesa samodzielności państwa” (ibid.). Już z tego wstępnego słowa widać, z jakiego punktu autor będzie patrzył na dzieje nasze. Z góry możnaby zgadnąć, że stanie w obronie rządu, nie tego lub owego monarchy, ale w obronie idei rządu, którą anarchiczna teoria i praktyka z narodu niejako wyrwały. I tak jest w istocie; jeżeliśmy dobrze zrozumieli myśl autora, dzieło jego jest apologią idei rządu, a z drugiej strony ostrą i często zasłużoną chłostą społeczeństwa,

które czasami nie umiało, a najczęściej nie chciało popierać usiłowań rządu.

Nie uprzedzajmy jednak ostatecznej konkluzji autora. Mówi on dalej we wstępie, że książkę swoją przeznacza dla „młodzieży i światłej publiczności;” że „nie jest ona popularną w zwyczajnym znaczeniu tego słowa, bo nigdzie nie liczy się z pedagogicznymi i dydaktycznymi względami;” chce być, albo raczej przemawiać językiem, którymby „ściśle naukowa książka przemawiała” (Słowo wstępne, V). Szkoda że się nie liczy z pedagogicznymi względami, nawet dla młodzieży akademickiej zachowanie ich nie byłoby zbyt cennym: a cóż dopiero dla młodzieży nieakademickiej i mieszanej publiczności! Że jednak sama książka powstała z prelekcji uniwersyteckich, a obecnie prof. Szujski jest wielce zapracowany, więc może i nie miał czasu na przerabianie swych prelekcji: dlatego i my nie czyniąc mu zarzutu, rozstajemy się ze „Słowem wstępnym.”

Swoję „Historią polską” podzielił p. Szujski na ksiąg dwanaście. Czemu na dwanaście? Tego nie wiemy. Ale gdy Długosz dzielił swoją historią na ksiąg dwanaście, a Kromer na trzydzieści, mogło to pochodzić z chęci naśladowania starożytnych greckich i łacińskich historyków, i to ich upodobanie wcale nas nie gorszy. Inaczej rzecz się ma z prof. Szujskim: jego bowiem księgi są razem okresami naszych dziejów. Okresy zaś, jak chce propedeutyka historyczna, powinny być tworzone z wybitnych zwrotów dziejowych, gdy stosunki zewnętrzne lub wewnętrzne przybrały bardzo różną i charakterystyczną formę. Czy takich zwrotów w naszych dziejach było aż dwanaście? Nie sądzimy. Że jednak nie każdy taksamo pojmuje ważność jednych i tych samych zdarzeń historycznych, że zatem gdzie jeden stanowi dwanaście działów, drugi sześć: więc z tego również nie czynimy zarzutu autorowi.

Pierwsze trzy księgi (od 965—1279) obejmują najpród wyliczenie rozmaitych plemion słowiańskich, wydobywanie się na widownią dziejową z pośród nich Polski i panowanie Piastów aż do Łokietka. (Pomijamy tu krótkie rządy Leszka Czarnego i Wacława). Na wyłożenie dziejów lat przeszło 300, poświęcono około 54 stronic. Czy to nie zamało? Wprawdzie faktów autentycznych nie wiele podają swoje i obce źródła z tych czasów: jednakże takie przelotne ich zbycie, słabe zostawia wrażenie. Mijają się jakby na wyścigi plemiona, książęta swojscy i obcy, przesuwają się najrozmaitsze postacie, a żadna prawie nie przykuwa do siebie naszej uwagi. Po przeczytaniu takiego cyklu, nie powstaje chaos, brak jakiegóż nicy żeby z niego wybrnąć. Widoczny pośpiech w robocie nie pozwolił autorowi zgrupować faktów tak, ażeby oświetlić ważniejsze, a mniej ważne pozostawić w półcieniu, lub wcale niedotknięte. Streszczać ich nie widzimy potrzeby, gdyż są i tak streszczone, a raczej tylko skatalogowane. My szukamy ducha tych faktów i dlatego podnosimy to, co autor z nich wysnuł jako konkluzją. Mówiąc o Słowianach, taką daje ich charakterystykę: „Słowianin od naj-

dawniejszych czasów występuje jako fatalista, długo znoszący złe, chociaż nie bez dzielnej siły (?) gdy się zerwie do walki. Z fatalizmu płynie jego niedbalstwo o jutro, jego żywa i lekkomyślna wesołość w przededniu nieszczęścia. Przyczyny złego rzadko szuka w sobie, tém chętniej za sobą; używający w chwili pomyślniej, kłótliwym jest, niezgodnym i nieufnym w chwilach, gdzie potrzeba zebrania wewnętrznego i jedności. Ruchy ludowe lubi, skuteczność organizacji rzadko uznaje. Despotyzm znosi, rządu nigdy długo utrzymać nie umiał" (str. 11). Otóż, zdaje nam się że ta charakterystyka została wysnuta z dzisiejszego lub niedawnego stanu rzeczy i co najmniej nie odpowiada X lub XI wiekowi. To zaś w czém odpowiada, nie różni się wcale od charakteru wszystkich ludów półdzikich, jak je nam opisują podróżnicy. Komunały takie niczego nie uczą, mogą być przypięte do wszystkich plemion.

Daleko słuszniejsze jest zwrócenie uwagi czytelnika na wpływ religijny, idący do Słowian z Bizancjum i Rzymu; było w istocie fakt doniosły, który poprowadził linię graniczną między wschodnią a zachodnią słowiańszczyzną i na długie czasy wytknął drogi plemionom, zbliżył je do cywilizacji wschodniej lub zachodniej europejskiej, którą do dziś dnia czuć w życiu, obyczajach i literaturze (tamże, str. 11—12).

Panowanie Wł. Łokietka i Kazimierza W., objęte księgą czwartą już nieco obszerniej, lubo jeszcze bardzo pobieżnie traktuje p. Szujski. Pobieżność zaś ta, o której mówimy, nie dotyczy samych faktów, które mniejwięcej dokładnie są wyliczone, ale zbyt krótkiego ich wykładu. Czytelnik, zwłaszcza mniej z dziejami naszymi obyty, nie zdoła ocenić sam ich doniosłości. Zatargi z Krzyżakami obu tych królów, utrata Szlązka, nabycie Rusi Czerwonej, ugoda wyszehradzka, prawodawstwo wiślickie: wszystko to wymagałoby, zdaniem naszym, osobnych rozdziałów, bardziej szczegółowego obrobienia, aniżeli to się dało skutecznić na jednej lub mało co więcej stronnicy. Widoczny wszędzie pośpiech nie pozwolił na uwydatnienie tych faktów, bądźco bądź bardzo ważnych dla przyszłości państwa. Również stan rzeczy po śmierci Kazimierza W. zbyt krótko odprawiony; mianowicie pragnęby można ocenienia przywileju, wydanego przez Ludwika w Koszycach (1374 r.), ażeby czytelnik zrozumiał, że już tak wczesnie oligarchia umiała z jednej strony nadwątlić naczelną władzę, a z drugiej usunąć się prawie zupełnie od płacenia podatków.

Księga piąta obejmuje pierwszych dwóch Jagiellonów. Zabiegi panów małopolskich o wytargowaniu na Jagielle jaknajkorzystniejszych dla siebie przywilejów za oddaną mu rękę Jadwigi, uważane ze stanowiska zdrowej polityki, były równie jak przywilej koszycki pętami na władzę panującego, psowały rząd, potęgowały pretensje oligarchów, słowem nie zdają nam się godne pochwały. Tym królikom już wówczas tak było śpieszno do wyzwolenia się z pod władzy rządzącej, że przywilej swój wynękali na Jagielle, w dzień jego ślubu. Pomimo tego autor nazywa tych małopolskich ojców „rozumnymi.” Jużciż mie-

li rozum dla własnego interesu, osłanianego miłością ojczyzny i gorliwością o nawrócenie Litwy.

Zarówno w Koszycach jak i w Krakowie chodziło możnowładztwu o zagarnięcie w swoje ręce i władzy i wszystkich dochodów państwa, ażeby król o swoim koszcie rządził, sądził, wojował i utracone prowincje odzyskiwał. Byłże to rozum polityczny?

Rządy Władysława Jagiełły traktuje p. Szujski dość starannie; brakuje atoli charakterystyki Litwy, którą wprowadzając pierwszy raz w organiczny związek z Polską, należałoby coś powiedzieć o jej stanie pod względem religijnym, społecznym i t. d., jak niemniej o wpływie Rusi na nią, co pozwoliłoby ocenić trudność zadania, jakiego się podjął dom Jagielloński, gdy chciał nietylko złączyć, lecz spoić dwa dość różne żywioły. Już w tej epoce na brak materiałów skarżyć się nie można. Szczególniej sprawy krzyżackie, raz po raz wracające zapełniają większą część obrazu tego panowania. Autor dobrze ocenia dążność Jagiełły co do ukrócenia Zakonu. Będzie to chwata tego króla, że dobrze nadkruszył potęgę niemieckiej; ale dla historyka, kreślącego ówczesne dzieje nasuwa się ciężkie przewidywanie co do przyszłości świetnie rozpoczętej walki, zwłaszcza dla braku dostatecznego poparcia ze strony narodu, czém on do końca swojego bytu politycznego grzeszył.

Krótkotrwałe panowanie Władysława Warneńczyka i bezkrólewie po jego zgonie, przechodzi autor również krótko, i na końcu podaje treściwy obraz stosunków kościelnych, prawnych i społecznych. Obrazy takie powtarzają się co pewien okres i stanowią dla umysłu niejaka ulgę po nacytaniu się niezliczonego mnóstwa nazwisk książąt polskich, litewskich i ruskich. Ogólnym tym poglądom brak tylko dostatecznego rozwinięcia. Tak np. stosunek hierarchii kościelnej do rządu i państwa, osobliwie polityka Zbigniewa Oleśnickiego nie dość została opracowana, ażeby czytelnik mógł ocenić, co w niej było pomyślnego, a co szkodliwego dla dalszego rozwoju państwa.

Z pomiędzy Jagiellonów najlepiej rozumiejącym warunki rządu mocnego był niezawodnie Kazimierz Jagiellończyk, który niechętnie zabierał się do rządzenia krajami koronnymi, przewidując większy w nich opór, aniżeli w dziedzicznej Litwie. Zakończenie długo ciągnącej się wojny pruskiej, dynastyczne projekta Kazimierza względem osadzenia synami tronów czeskiego i węgierskiego, zatarg z hierarchią krajową i rzymską o obsadzanie biskupstw, przyczém król miał powiedzieć, że „woli stracić królestwo, niż mieć biskupa nie po swojej myśli:” oto główne zdarzenia za rządów tego króla. Są one dość dokładnie opisane tak, że pozwalają czytelnikowi utworzyć sobie znośne wyobrażenie rzeczy publicznych z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Najciemniejszą stroną rządów jego, albo raczej narodu, były wyprawy wojenne w interesie dynastycznym przedsiębrane, jak np. wyprawa przeciw Maciejowi, królowi węgierskiemu, w której 60 tysięczna armia polska rozlała się z pod Wrocławia niczego nie dokonawszy, jedno

spustoszenia kraju (1477 r.); albo ta druga, gdy po śmierci Macieja wysłano Jana Alberta na zdobycie Węgier z 12 tysiącami ludzi, zakończona również przegraną (1491 r.). Charakterystyka króla zdaje nam się być trafną. P. Szujski pisze o nim: „Ostro sądzony przez współczesnych, nie zdradza (t. j. nie okazuje) on nadzwyczajnych zdolności i nadzwyczajnego umysłu, ale nosi na sobie piętno niepospolitej trzeźwości, konsekwencji i wytrwałości. Warunków na króla organizatora nie posiada, wolę rządzącego i politykę swoją dynastyczną środkami, jakie ma pod ręką, przeprowadzić umie” (str. 141). W króciutkiem wspomnieniu o ludziach uczonych godziło się Janowi Ostrorogowi poświęcić więcej niż trzy wiersze (str. 146). Rozebranie jego „Memoryału” (Monumentum pro ordinanda republica) pokazałoby czytelnikowi najznakomitszego naszego statystę teoretyka. Kto tego „Memoryału” nie czytał, nie zdoła z kilku wierszy ocenić jego doniosłości. I Długoszowi należało się więcej wspomnienia, nietyłe co do szczegółów biograficznych, ile co do tendencji jego „Dziejów.”

Najodpowiedniejsze, jak nam się zdaje, miejsce na traktowanie początku i rozwoju parlamentaryzmu polskiego byłoby za tego króla. Nie byłto parlamentaryzm dzisiejszy z odpowiedzialnymi ministrami a nieodpowiedzialnym królem; dla braku jednak stosownej nazwy można go tak nazywać ¹⁾. Rozmaite przywileje, wydawane na rzecz ma-

¹⁾ Co do téj kwestyi nie podzielały zdania sz. recenzenta. Od dosyć dawnego czasu, bo dawno przed tak zwaną najnowszą szkołą, spotykamy się w literaturze naszej historycznej z tą mylną opinią, że w dawnéj Polsce były rządy parlamentarne, parlamentaryzm, którego anarchiczność wywołuje oburzenie gorliwych apostołów silnej władzy nietylko wykonawczej, ale i prawodawczej. Opinia ta zapanowała w naszej literaturze z chwilą, gdy historycy nasi, zamiast historii przeszłości poczęli pisać instrukcyje dla polityki, prądami dzisiejszych interesów kierowanój. Tego politycznego blichtru nadużywała z pewną ostentacją od r. 1830 r. równie szkoła republikańska jak i monarchiczna, z wielką szkodą dla gruntownego poznania i zrozumienia przeszłości naszej. Falszywa ta doktryna ośmielała zastęp historyków republikańskich do idealizowania nawet pierwiastków anarchicznych w naszych instytucjach politycznych, a pod wpływem tego złudnego technienia wychowały się późniejsze pokolenia, które w chwili stanowczej nie umiały sobie zdać jasno sprawy z najżywotniejszych warunków życia społecznego i politycznego. W imię téj samój doktryny, ulegając naturalnemu prawidłu reakcyi, dzisiejsza szkoła monarchiczna pociąga przeszłość narodu przed swój stronnicy surowy trybunał: a stawiając jaknajniesprawiedliwiój dawne nasze sejmy na jednéj linii z dzisiejszą reprezentacją całego narodu, widzi w każdym głośniejszém poruszeniu lokalnych interesów — anarchią, podkopującą regularność rządu parlamentarnego. W tém leży dużo anachronizmu, a jeszcze więcej niezem niesprawiedliwionój doktryneryi. Parlamentaryzm jest bowiem, prócz Anglii, rzeczą w Europie dosyć świeżą i nową, a polega głównie na tém, że obok królującego monarchy rządzą ministrowie, wybierani przez koronę

gnatów, począwszy od ugody w Koszycach i powołanie do udziału w nakładaniu podatków, na wojnę pruską niższej szlachty za Kazimierza Jagiellończyka, stanowiły początek udziału narodu w sprawach publicznych; rozwinięcie i rozszerzenie tego udziału za obu jego następców Alberta i Aleksandra dopełniły miary swobód stanu rycerskiego ze szkodą władzy królewskiej. Otóż, co do wszystkich tych przywilejów, autor czyni wprawdzie w odpowiednich miejscach wzmianki, podaje króciutką ich treść; ale to nie wystarcza do utworzenia sobie dobrego pojęcia o tym rzekomym parlamentarzmie. Należałoby go opracować w osobnym rozdziale i pokazać, w czém się różnił od podobnych form rządowych w ówczesnej i teraźniejszej Europie, kładąc zwłaszcza nacisk na usuwanie od udziału w obradach publicznych stanu miejskiego. Niekoniecznie też moglibyśmy się zgodzić z p. Szujskim z jego zdaniem o parlamentarzmie, jakoby w nim należało „szukać w pierwszej linii niepowodzeń politycznych Polski w wieku złotym” (str. 194). Przyczyn tych niepowodzeń zapewne było dużo, wyliczać ich nie potrzebujemy, jako znanych powszechnie; ale parlamentarizm ten nęcił sąsiednie plemiona, powoływał je do nowego bytu politycznego; a jeżeli go nie umieli użyć naczelnicy państwa i powołani reprezentanci narodu, to już nie jego, ale ich wina. Autor

z większości sejmowej, odpowiedzialni przed reprezentacją kraju i tracący władzę z chwilą, gdy większość sejmu odmówi im swojego poparcia. W obec wotum, odrzucającego ich wnioski ustępują miejsca drugim reprezentantom większości—(jeden Bismarck nie troszczy się wiele o takie skrupuły parlamentarysty).

Pytamy się tedy czytelnika, choćby pobieżnie z historią naszą obeznanego, czy w obec tego faktu, że w Polsce byli ministrowie dożywotni, że na sejmach polskich nie było mowy o formaluém głosowaniu, o liczeniu głosów; ale decydowano zawsze, t. j. od chwili ukonstytuowania się izby poselskiej obok rady panów (senat), decydowano, mówię, wszystkie sprawy, prócz sądowniczych, na podstawie możliwej transakcyi między posłami pojedynczych ziem i województw pod hasłem: czy jest zgoda lub niema zgody, czy, mówię, wobec tego niezaprzeczonego faktu może być mowa o parlamentarzmie w dawnéj Rzplitej polskiej? Zdaje się, że nie może. Uwaga sz. recenzenta, przyjmująca ten wyraz p. Szujskiego dla braku odpowiedniejszej nazwy, nie usprawiedliwia ze stanowiska naukowego w żaden sposób téj nietylko niewłaściwej, ale wprost fałszywej denominacyi, bo w ten sposób wprowadzamy do historii polskiej pojęcia, których tam nie było i być nie mogło i pomny do historii polskiej pojęcia, Szujskiego i Bobrzyńskiego niesprawiedliwość względem przeszłości naszej, chłoszcząc demagogów szlacheckich za to, że nie stosowali się do rutyny dzisiejszego porządku obrad publicznych. Zastanawiamy się szczegółowiej nad tém zjawiskiem, bo ono roznamiętnia bez potrzeby nietylko „dyagnozę” polityków republikańskich; ale trwoży także zanadto monarchicznych polityków, wywodzących „fałszywą politykę” z „fałszywej historii.”

Uwaga Redakcyi.

nazywa go „przedwcześnie ustanowionym.” A jestże, pytamy się, czas określony, od któregooby naród jakiś miał prawo zaprowadzać u siebie taką formę rządu? Powiadają, że gdy naród dojrzeje. A kiedy dojrzeje? Jeżeli nie rozpocznie iść tą drogą, to nigdy nie dojrzeje. Zresztą, nie myślimy się spierać o to, czy zawcześnie został do nas parlamentaryzm zaprowadzony; chcieliśmy tylko zaznaczyć, że zdanie o nim p. Szujskiego jest zaryzykowne i że punkt ten nie został jak należy opracowany.

Za to wcale dobrze scharakteryzował autor prawodawczą działalność sejmów za Alberta i Aleksandra, zwłaszcza słynną ustawę sejmu radomskiego (1505 r.) orzekającą, że król nic nowego bez powszechnej zgody senatorów i posłów ziemskich nie postanowi. Uwydatniono też jak należy antagonizm między oligarchami a niższą szlachtą, u której królowie zaczęli szukać poparcia swoich planów (str. 157—159). Uwagi te kończą księgę szóstą.

W księdze siódmej mamy dzieje ostatnich dwóch Jagiellonów. Im się autor dalej posuwa w pracy, tém się staje wyrazistszym. Opowiadanie nabiera żywości, bo też i zdarzenia toczą się żwawo. Ruch religijny za obu królów, wojny ze wschodnim sąsiadem, zwłaszcza spółzawodnictwo z nim o Inflanty, unia lubelska i wiele innych spraw wielkiej wagi, stanowią wdzięczny materiał dla historyka. Nie spotkaliśmy też w tej księdze niczego, na coby się nie można było zgodzić.

Księgę ósmą rozpoczynają królowie elekcyjni, a zamyka rokosz Zebrzydowskiego. Kandydatów było kilku, a między nimi Iwan Groźny, „który liczył między możnymi panami Litwy, jak niemniej między szlachtą sandomierską i krakowską żywioty z politycznego zmysłu popierać go chcące” (str. 205). Na czém się ten ich zmysł polityczny zasadzał, zrozumieć nie możemy. Jeżeli te żywioty myślały, że Iwan swoje państwo odda im na użytek, jak niegdyś Jagiełło, musiały być bardzo naiwne i bez zmysłu politycznego. Tém gorzej dla nich wobec historii, że Iwan swojej kandydatury poprzec „nie chciał czy nie umiał” (ibidem). Czytając ten ustęp, przypomnieliśmy sobie podobne mniejwięcej poglądy na tę sprawę p. Bobrzyńskiego w jego „Dziejach Polski” ¹⁾ i dziwiliśmy się tej nowej szkole historycznej. Czyżby i w głowach trzeźwych historyków krakowskich już bruździła mrzonka wszechsłowiańska? Miałżeby Haraburda być prorokiem tej przyszłości, kiedy to rzeki słowiańskie zleją się w jedno morze słowiańskie? Tak więc z pośród kandydatów do tronu utrzymał się Henryk Walezy, o którym prawie nic dobrego nie można powiedzieć. Kilkomiesięczne jego rządy zbywa autor, jak słuszna, bardzo krótko.

Ze wszystkich królów obieralnych najwięcej sympatyi budzi Stefan Batory. Im lepiej z dawnych i nowo wydanych źródeł tę wspaniałą, rozumną i męzną postać poznajemy, tém większa budzi się dla niej cześć w późnych pokoleniach i autor dobrze mówi, że „od wstąpienia na tron przegląda w postępowaniu Batorego myśl wydobycia Polski

¹⁾ Patrz Bibl. Warsz. zeszty za maj z r. 1879, str. 291.

z anarchii" (str. 213). Tak zapewne każdy sądzi, kto rozumie znaczenie anarchii i gdyby wielki król tego był dokonał, gdyby oligarchią złamał, byłoby to nie mniejszym tytułem do jego sławy, jak świetne czyny wojenne, na wschodnich kresach państwa dokonane. Ale jak zwyciężkiemu pochodowi króla bohatera na Wschód stanęły na przeszkodzie: mała ofiarność, „niechęć” do dalszej wojny ze strony narodu i płonne nadzieje kuryi rzymskiej, tak i ukrócenia możnowładczej swawoli nie dozwoliła przedczesna śmierć jego.

Zygmunt III inną szedł drogą od Batorego tak w polityce zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Jego skłonności ku austriackim związkom nie podobały się możnym; zaczęto się lękać o złotą wolność, przewidywano rządy absolutne, do których miał Zygmunt ochotę i przykład sąsiadów. Z tej jego skłonności niechętni mu, jak np.: Jan Zamoyski, korzystali, by go podać u narodu w podejrzenie. Wielki wódz za Batorego, Zamoyski, staje teraz na czele malkontentów i „doprowadza opozycją do rozmiarów najgorszego na przyszłość przykładu. Natura bogata, ruchliwa, upada pod strych zwyczajnego malkontentyzmu możnowładczego, zostawia w spuściznie rokosz...” (str. 232). Jestto sprawiedliwe ocenienie tego męża niepospolitych zdolności i wielkich zasług z początku, zchodzącego następnie przez niechęć dla Zygmunta do roli demagoga i przywódcy ochlokracyi szlacheckiej.

Niefortunne wyprawy po koronę szwedzką, popieranie fałszywych Dymitrów w Moskwie, rokosz Zebrzydowskiego i wiele innych przyczyn, spowodowały „znaczne wyuzdanie moralne szlacheckiego społeczeństwa. Ruina stanu mieszczańskiego dokonywała się szybko wśród aplauzu szlachty” (str. 242). Takie owoce przyniosło pierwszych dwadzieścia parę lat rządów Zygmunta III. Szlachcic polski z początkiem XVII wieku przedstawia różne postacie: „demagoga, wichrzyciela, żołnierza, kondottiera, gospodarza, kolonisty, karyerowicza politycznego lub pieniężnego, regalisty, dewota, lub zaciekłego nieprzyjaciela tronu i Kościoła.” To społeczeństwo szlacheckie, „politycznie uważane, było tylko kupą nieświadomych zadania swojego i wyobrażenia o warunkach państwa nie mających jednostek... Europa uczyniła z anarchii polskiej dogmat równowagi europejskiej” (str. 245—246). Obraz zaiste niepocholebny! Gdyby go malował cudzoziemiec, nazwanoby go niezawodnie paszkwilem. Ale jeżeli takim był ów naród szlachecki, to oczywiście i winy Zygmunta zmaleją i początek tragicznego końca ma swoje uzasadnienie już w tej epoce. Pessimizm przeglądający z tej charakterystyki dyktowało zapewne szlachetne oburzenie: jednakże zdaje nam się on być mocno akcentowanym, a gdybyśmy porównali naszych ludzi z ludźmi tych samych czasów we Francyi, Anglii lub blizkich Niemczech, nie wyglądałoby oni gorzej od nich. Skrucza i spowiedź publiczna, jakie czynią nowsi historycy nasi, może być bardzo zbawienną reakcją przeciw modnemu jeszcze niedawno samochwalstwu, ale trzeba je nieco miarkować, by nie wpaść w drugą ostateczność ¹⁾.

¹⁾ Od pewnego czasu słyszymy o nowej szkole historycznej. Dotych-

Księga dziewiąta opowiada resztę panowania Zygmunta III i syna jego Władysława IV. Powtarzać za autorem wypraw do Moskwy, przeciw Szwecyi i Turcyi, przedsiębranych w tój drugiej połowie rządów Zygmunta III, nie widzimy potrzeby. Wszędzie i zawsze spotykamy to samo: brak skutecznego poparcia ze strony narodu polityki królewskiej, czy to ona była dynastyczną, czy też narodową. Dlatego tém mniej rozumiemy składania winy na króla, który zbyt lichy pod piórem p. Szujskiego wygląda. A jednak był to król rozumiejący potrzebę silnego rządu i dążący do zmian w tym kierunku. Nie wiemy zatem, jak pogodzić sąd autora, który twierdzi, że forma rządu „wymagała obalenia, ażeby państwo wprowadzić w szczęśliwszą epokę,” a z drugiej strony obwinia Zygmunta, że przeprowadzając dążenia antykonstytucyjne, dał hasło nielegalności poddanych (str. 256). Chcąc obalić złą formę rządu, wynikającą z konstytucyi, trzeba było działać antykonstytucyjnie. Rokosz Zebrzydowskiego nie potrzebował hasła od króla do powstania przeciw niemu: magnaci tacy, jak on i Zamoyski, a nawet dawniejsi już trzęśli tronem. Nie sądzimy też, żeby rokosz Zebrzydowskiego miał być „granicznikiem,” od którego począwszy, widzi się „nieszczęśliwy rozbrat między społeczeństwem, które nie umiało sformułować, ani przeprowadzić swojej drogi politycznej, a królewską władzą nie umiejącą narzucić mu własnej” (ibid.). Taki rozbrat już istniał za Jagiełły i społeczeństwo magnacko-szlacheckie umiało jeszcze przed Zebrzydowskim wicherzyć i władzą poniewierać. Z tych powodów nie możemy się zgodzić na uważanie tego rokoszu za granicznik i początek nowego okresu dziejowego.

Wogóle, dzieje Zygmunta III, tak jak je autor przedstawił, wyglądają zbyt ciemno; niektóre sprawy, np. unia brzeska, o której pan Szujski powiada, że „stworzyła jedno więcej zawikłanie na wschodzie Rzeczypospolitej” (str. 229), wymagały staranniejszego opracowania. I sam król Zygmunt III, eokolwiekbyśmy powiedzieli o jego misyonarskiej polityce, nie był takim zerem, za jakie ma go nasz historyk. Rozumiał on powagę majestatu, dążył niewątpliwie do ukrócenia swawoli oligarchicznej, ale z takimi Zebrzydowskimi mógłby sobie poradzić ledwie jaki Richelieu. O ile mogliśmy z naszych historyków wymiarkować, największą jego winą miało być słuzenie interesowi kuryi rzymskiej, apostołowanie katolicyzmu i stawianie spraw religijnych nad dobrze zrozumiany interes polityczny. Pan Szujski nie z tego mu czyni

czas wyprodukowała ona kilka rozprawek bądź historycznych, bądź prawnych i jeden podręcznik „Dziejów Polski.“ Czytaliśmy te wypracowania, zamieszczone w pismach warszawskich i co prawda, nowych, nieznanych faktów, spostrzegliśmy bardzo mało. Jeżeli zaś fakt taki z nowo ogłoszonych źródeł wydobyto, rozpuszczono go zaraz w morzu frazeologii. Może z czasem nowa ta szkoła zmęcznieje i rzeczywiście nowemi dziełami sprawi postęp naszego dziejopisarstwa, a wtenczas chętnie jój tytuł nowój przyznamy.

zarzut, ale z tego, że nie dorósł do rozwiązania tylu ważnych spraw, jakie mu okoliczności nasunęły i konkluduje, że wybór jego był „nie-szczęśliwym” (str. 220). I my go nie nazywamy szczęśliwym; był jednak lepszym od innych, jeżeli zaś „nie dorósł” do téj miary, jaką historyk pragnąłby naznaczyć, za to ani król, ani zwykły śmiertelnik nie może odpowiadać. Słowem, opinii o panowaniu tego króla, jaką głosi p. Szujski, nie uważamy za ostateczną.

Syn jego, Władysław IV, otrzymał po ojcu, oprócz innych, zawikłane sprawy: kościelną i związaną z nią kozacką. Chociaż mu nie brakło odwagi i rozumu, jednak nie czując się na siłach do rozciągnięcia węzła, prowadził politykę „popularną i godzącą.” Tym sposobem odwlekł ostateczne rozwiązanie kwestyi kozackiej, a schlebując mołojcom ukraińnym, gotował się potajemnie do wyprawy przeciw Turcyi. Ztąd posądzenie króla, że przy pomocy kozaków chce przyciągnąć cugli swawoli szlacheckiej. Do wojny z Turcyą królewia, t. j., magnaci, nie mieli ochoty, bo już rozpoczęli kolonizatorską gospodarkę na wschodnich kresach; chęć bogacenia rodów swoich wzięła górę nad animuszem wojennym i Władysław musiał zaniechać swoich planów przeciw Turcyi. Ostatecznym rezultatem tego pokojowo-gospodarskiego usposobienia narodu była „abdykacya polityczna” (str. 266). Postrzeżenie słuszne, jak niemniej i to drugie, że „piętnem społeczeństwa staje się rozwielmożnienie wszechwładnej oligarchii” (str. 269 i 271). Trzeba przyznać, że autor lepiej, głębiej, niż inni nasi historycy, rozumie i ocenia wszystko złe, jakie magnaci wyrządzili krajowi. Słusznie powiada p. Szujski, że w XVII wieku, w interesach możnych rodów gubi się wątek przyczyn historycznych. Przybywa „królewia”, ale króla zpoza nich coraz mniej widać, póki i cień jego w następnym wieku nie zniknie.

W księdze dziesiątej mamy opowiedziane rządy Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego. Dlaczego obaj ci monarchowie objęci są osobną księgą, nie wiemy: ani bowiem czasy, w których panowali, nie wiele się różnią cechami od czasów poprzednich i po nich następujących, ani same osoby tych monarchów, zwłaszcza ostatniego, nie zasługują na oddzielne w kształcie okresu traktowanie. Rzecz to jednak mniejszej wagi, zwłaszcza, że autor nazywa tą część dziejów tylko „pod-okresem” (str. 305).

Co do treści rządów Jana Kazimierza, wiadomo, że stanowią ją zdarzenia nadzwyczaj bolesne, wojny: szwedzka, kozacka, moskiewska, rokosz Lubomirskiego Jerzego, konfederacye niepłatnego wojska: oto przedmioty do rozmyślenia dla historyka i polityka. W wojnach jeszcze tu i owdzie oręż polski okrył się chwałą, ale brak wytrwałości i rozumu, obracały nawet zwycięstwa ledwie na krótkotrwały pożytek. Rozstrój wewnętrzny paraliżował wszelkie usiłowania nieszczęśliwego monarchy i rozumnej jego żony: nie mogąc poddać brzemieniu władzy, zrzekł się król korony. Na nim zakończył się dom Wazów. Chociaż królowie téj dynastyi byli wybieralni, jednak panując jeden po

drugim, jeszcze jako tako utrzymali tradycją rządu. Po nich już nastąpiła elekcyjność w ścisłym znaczeniu. Wybrano Michała Wiśniowieckiego, który tak był ubogim, że na początek musiał sobie pożyczyć u posła cudzoziemskiego 300 talarów (str. 301).

Król bez pieniędzy, który nie miał czém zaspakajać łaknących i pragnących wymagań magnackich i szlacheckich, toż-to ironia tronu, a jeszcze w Polsce XVII wieku! Tylko niezgoda rozmaitych intrygantów sprawiła, że się nie mogli zgodzić na bogatszego kandydata i ztąd poszło, iż, jak mówi autor, „wołanie: Niech żyje król Michał! przyjęło się epidemicznie.” Żeby ocenić całą zgrozę położenia i polityczny upadek narodu za rządów Michała, dość sobie przypomnieć, że Podole z twierdzą Kamieńcem zostało paszalikiem tureckim, a Polska zobowiązała się traktatem buczackim (1672 r.), płacić haracz sułtanowi (22 tysiące dukatów); „straty i hańby, mówi p. Szujski, nie miały dotychczas równych w dziejach narodu” (str. 303).

W ogólnych na ten okres poglądach autor słusznie zaznacza niekorzystny wpływ na sprawy nasze sąsiednich i dalszych dworów, mianowicie: Austrii i Francji; jestto punkt, na który historycy dawniejsi mało zwracali uwagi. Używano nas już wtenczas za pionek na szachownicy europejskiej, by z własnych wyjść kłopotów. Nie zmniejsza to oczywiście winy tego, kto się za taki pionek użyć pozwalał. Na jedno nie moglibyśmy się zgodzić z autorem, a to mianowicie, jakoby się dopiero wtenczas zjawiła „pokusa korupcji pieniężnej” (str. 306). Alboż już Jagiełło nie płacił w téj lub owéj formie mądrych panów małopolskich? Zresztą uwagi inne uważamy za trafne i słuszne, bo na faktach oparte.

Księga jedenasta obejmuje czasy do pamiętnego sejmu niemego (1717 r.), inaczej do zwycięstwa wpływu rossyjskiego. Jestto okres trafnie wybrany. Zwycięstwa Jana III jeszcze na chwilę rozniosły po Europie sławę oręża zwycięzcy z pod Chocimia i Wiednia, ale nie zdołały powstrzymać wewnętrznego rozkładu Rzeczypospolitej, tytułującej się najjaśniejszą. Do chaosu w sprawach naszych nie mało się przyczyniają za panowania tego króla Austrii i Francji. Polska traci ostatecznie nawet pretensye do Kijowa, Smoleńska i Czernichowa w osławionym pokoju, zawieranym przez równie osławionego dyplomate Grzymułtowskiego (1686 r.). Był to, jak sprawiedliwie mówi autor: „najcięższy błąd polityczny Sobieskiego.” Ostatnie lata jego rządów zeszyły niechwalebnie na „powiększaniu fortuny domowej” i dogadaniu kaprysom Marysieńki. Zwłok bohatera nie dopuszcza syn Jakób do zamku warszawskiego z obawy, żeby matka nie zachwyliła skarbów nieboszczyka. Królowej téż przedewszystkiém trzeba przypisać, że syn po ojcu nie dostał korony i że ją zakupił na licytacji u ojców ojczyzny niestawnéj pamięci August II.

August, zwany „mocnym,” był jakby stworzony na to, żeby „pokarać naród za zmarnowanie własnego, znakomitego króla, w osobie Jana III” (str. 321). Ponowity się w pewnej mierze czasy Jana Kazi-

mierza. Karol XII szwedzki strąca Augusta, niszczy Polskę, osadza na tronie chwilowo Stanisława Leszczyńskiego, nareszcie sam pobity przez Piotra Wielkiego, ani sobie, ani protegowanemu nie zdołał już pomódz. Nędzniejszej, a gdyby to nie było zamocno powiedziane, podłej roli trudno by pomyśleć nad tę, jaką w całej tej wojnie północnej odegrał król August II. Przemarsze wojsk swoich, saskich, szwedzkich i rosyjskich, zubożyły kraj ze szczeniem. Sprawy publiczne upadły tak nisko, że trzeba było dla nich koniecznie opiekuna. Takim opiekunem okazał się Piotr Wielki, sprzymierzeniec Augusta, który dla pogodzenia króla z konfederacją Tarnogrodzką, przysłał 18,000 wojska. Nastąpił traktat warszawski (1717 r.), w którym „tajemnym skryptem zredukowano wojsko koronne do 18,000, a litewskie do 6,000; wpływ polityki rosyjskiej miał widoki stałego wzrostu. Pod jego egidą układała się Polska do długiego, straszego snu, który musiał być śmiertelnym” (str. 335).

To, co autor mówi pod koniec jedenastej księgi o stanie umysłowym, że fałszem jest: „jakoby poziom inteligencji nisko się przedstawiał” w tej epoce, nie dałoby się obronić. Tak jest, poziom ten był nadzwyczaj niski. Ani „Rozmowy Artakserksesa z Ewandrem,” ani „Wojna Chocimska” Potockiego, nie uratują tej epoki od zarzutu straszego obskurantyzmu. Kto się rozejrzył w panegirykach tego czasu, i języku ogłaszanych wtenczas wypracowań literackich, ten się nie da przekonać: „że żadna literatura współczesna nie posiada równie silnych i zdrowych dźwięków, równej potęgi słowa” (str. 336). Jestto przesada niezgodna z faktami. By się o tem przekonać, dość zajrzeć do jakiegokolwiek większej biblioteki i odczytać choćby niektóre literackie utwory owego czasu. Były nieliczne wyjątki, ale ogół narodu wyglądał bardzo ubogo pod względem rozwoju umysłowego. Nastąpiło zaćmienie Polski i to nie figurowe, ale najrzeczywistsze. Jeżeli humorystom dzisiejszym zabraknie materiału, niech sobie odczytają „Nowe Ateny” Chmielowskiego. Nie z samych też śmiesznych tytułów książek ówczesnych, bo takich tytułów niebrak i w spólczesnej literaturze naszej, ale z treści sądząc, nie wahamy się twierdzić, że koniec XVII w. i pierwsza połowa XVIII, stanowią pod względem umysłowym istotną „Eclipsis Poloniae.”

Księga dwunasta dochodzi do r. 1795. Reszta panowania Augusta II nie warta więcej od pierwszej połowy rządów. Autor nawet nie pisze jego charakterystyki: opowiedziana treść starczy za podstawę nieodwołalnego potępienia. Śmierć jego otworzyła pole do nowej elekcji; dwóch było kandydatów: Leszczyński i syn Augusta, także August, zwany u nas III-im. Leszczyński, słabo popierany przez Francją, w końcu ustępuje, a zaś August zostaje wybrany „wśród salw artylerji rosyjskiej” (str. 344). Teraz nastąpiło trzydzieści lat błęgiego spokoju, t. j.: powolnego konania. Naród nie czuł swojej hańby i powstać z niej nie pragnął. Było jednakże kilku ludzi, którzy i hańbę czuli

i o ratunku myśleli; na ich czele dwaj bracia: August i Michał Czartoryscy, oraz Stanisław Poniatowski, ojciec przyszłego króla. Usiłowania tych ludzi zapowiadają jutrzeńkę odrodzenia. Jednakże, aby przeprowadzić swoje plany, potrzebują pomocy, t. j., pieniędzy i tak zwanego dzisiaj moralnego nacisku: pierwszych i drugiego dostarczyła Rosya. Gdy August III zamknął oczy, już kandydat Czartoryskich, siostrzeniec ich, młody poseł w Petersburgu, był przeznaczony na króla i wstąpił pod imieniem Stanisława Augusta. „Zasiadł więc na tronie polskim król rodak, pełen zdolności i dobrych chęci, ale miękkiego i chwiejnego charakteru, ślizkich obyczajów, a koronę zawdzięczający przemocy dwóch państw sąsiednich. Krokami jego mieli kierować: poseł rosyjski, ksiązę Repnin i wujowie Czartoryscy” (str. 354). Chodziło więc o to, kto kogo zaszachuje. Z góry można było przewidzieć, że zasobniejszy, zręczniejszy i mocniejszy. Dwie polityki pozornie zgodne, w gruncie jak ogień z wodą, przeciwne, doprowadzają chory organizm do zupełnego wyczerpania. Nie brakło heroicznym lekarstw, ale chory nie mógł żadnego strawić. Na co skończył, wiadomo. Mówią, że musiał skończyć i jestto prawda.

„Przyczyny tego na zawsze pamiętnego i bezprzykładnego w dziejach faktu (t. j. upadku i podziału kraju) wskazywać nie będziemy, mówi p. Szujski w końcowych uwagach swoich; przedstawienie nasze dostatecznie ją wykazuje” (str. 383). Czy dostatecznie, to dla nas wątpliwe. Zamiast mówić o przyczynie, należałoby mówić o przyczynach. Z rozmaitych miejsc książki widać przecież, że autor redukuje wszystkie przyczyny do „braku rządu,” do wadliwej jego organizacji z jednej strony, a z drugiej do braku poszanowania władzy i anarchicznego usposobienia narodu. Jestto prawdą niezaprzeczoną, ale gdy się mówi o upadku państwa, trudno go jednej tylko przyczynie przypisywać. Tymczasem cała książka p. Szujskiego głównie w to bije. Z tego też powodu jego przedstawienie dziejów naszych nie wystarcza do zrozumienia upadku. Autor prawie wyłącznie ograniczył się do dziejów politycznych i po dawnemu zapełnił dzieło swoje mnóstwem faktów, ale przeważnie natury politycznej, mianowicie wojnami, sojuszami, i nazwiskami mniejszych i większych dynastów. Wśród tego nawału zabrakło miejsca na zastanowienie się nad wielu innymi, niemniej ważnymi faktami. Do takich zaliczamy prawie zupełnie pominięcie najliczniejszej klasy narodu, włościan. Wprawdzie historia nasza, zwłaszcza od wstąpienia na tron Jagiełły, zdaje się rozwijać wśród kilkunastu rodzin możnowładczych tak, że nie tylko włościanie, lecz i mieszczenie nikną z widowni i nie biorą udziału w sprawach publicznych; jednakże historyk nie może pomijać takiej np. kwestyi, jak zaprowadzenie legalne pańszczyzny, jurydykcyja patrymonialna, ucisk starostów i t. p. Nie powodowani sentymentalną chłopotomanią, ale upatrując w tém zgnębieniu wielkiej masy ludu wiejskiego, a po części i miejskiego, jedną z przyczyn naszego upadku,

pragnęlibyśmy, ażeby nas historyk czy w jednym paragrafie, czy w rozmaitych epokach i na rozmaitych miejscach swojej pracy czegoś o tej sprawie nauczył.

Daliej, widzimy pominięta prawie zupełnie sprawę żydowską, czyli wyraźniej mówiąc, dzieje ludu żydowskiego u nas, który tak jak dziś tak zapewne i niegdyś nie mało ważył na szali naszych interesów ekonomicznych, a przez to i na politycznych kolejach narodu. Rozpatrzenie się w tej sprawie bez żadnych antysemitycznych uprzedzeń, odkryłoby jedną z przyczyn naszej słabości, a tém samém pozwoliło i upadek lepiej zrozumieć.

Potrzebie, stan ekonomiczny kraju tak mało w ogóle przez naszych historyków uwzględniany, a tak wysoce ważny, nie znalazł choćby treściwego opracowania w dziele autora. Nie twierdzimy, żeby żadnej o tém nie było wzmianki; tylko że te napomknienia są tak krótkie i luźne, że prawie znikają z pamięci czytelnika.

Tak samo co do spraw edukacyjnych, religijnych, co do literatury i nauk spotykamy w „Historji Polskiej” p. Szujskiego bardzo przelotne i aforystyczne uwagi. Wprawdzie po każdej księdze autor zamieszcza ogólny pogląd na epokę, ale poglądy te, obejmujące naraz zawiele rzeczy i pobieżnie dotkniętych, nie czynią zadość warunkom nawet podręcznej historyi. Słowem, to, co nam autor w dziele swoim podał, stanowi zrab budowlę, któremu wiele jeszcze brakuje, by mógł wyobrazić całość wykończoną.

Nie małą wadą roztrząsanej pracy p. Szujskiego jest brak symetrii i ładu. Przechodzimy, a raczej przelatujemy od faktu do faktu, nie mając czasu nad żadnym dobrze się zastanowić. Jakkolwiek w naturze wiele faktów dzieje się spólcześnie, jednak nie wszystkie są jednakowej dla historyka wagi. Jeżeli więc mniej ważne pominiemy, a ważne dostatecznym światłem obrzuci, zostają one w pamięci i cel bywa osiągnięty. Brakując fakta i dobrze naprzód obrachowawszy o czém się ma mówić, możnaby na tyluż kartach pomieścić nie tylko dzieje polityczne, najmniej podobno interesujące, lecz także dotknąć nie tak pobieżnie, faktów życia społecznego, stanowiących ciasto szkieletu, podwaliny zrębu. Uczy to więcj myśleć i lepiej rozumieć rozwój historyczny, niż drobne wojny malutkich książąt lub intrygi magnatów.

Nie bardzo też rozumiemy pewnych poglądów autora, które zdają się być nietyle wynikiem teorii wyrozumowanej, ile raczej niedopatrzenia. Tak np. co znaczy nazywanie „dopustem Opatrzności” zdarzenia bardzo naturalnego, jak śmierć Zygmunta Augusta? (str. 194). Czyliż zawsze za błędy nasze czynić będziemy odpowiedzialną Opatrzność? Albo znów taką absolucją daną Zygmuntovi III jak rozumieć? „Jeżeli pozbycie się prawie zupełnie akatolików z senatu, było potężnym środkiem legalnym (?), którego użycia ani sumieniu ani polityce królewskiej za złe brać nie można; to bezkarność, z jaką uchodziły burdy i gwałty przeciwko tymże, rzuca na tron ów cień nielegalności” (str. 259). Więc pozbycia się rady ludzi, dlatego że byli akatolikami,

nie można brać za złe nawet ze względu na politykę? Nam się zdaje, że to był wielki błąd i Zygmunta III i jego następców: rozum polityczny niekoniecznie chodzi w parze z wyznaniem wiary. Krok ten Zygmunta jak i podobne następców jego pociągnął skutki, o których z poetą można powiedzieć: *Quidquid delirant reges, plectuntur Achivi.*

Mówiąc na początku o warunkach, jakimby podręczna historia kraju naszego odpowiadać winna, nadmieniliśmy między innymi, że trzeba by się autorom starać o piękną formę, rozumiejąc przez to żywość, plastyczność narracji, oraz poprawny gramatycznie język. Pod tym względem książka p. Szujskiego pozostawia dużo do życzenia. Opowiadanie jego jest wogóle suche, monotonne, bez przejęć, gdy się przedmiot zmienia, co wielce nuży czytelnika. Brak odpowiednich podziałów (gdyż tylko na księgi całą historią rozłożono) i proporcji w częściach, nie czyni nawet na oko tego wrażenia, jakie sprawia dobrze zbudowana całość. Zbierzmy więc w końcu naszego przeglądu to, co nam się zdaje mylném odnośnie samych faktów, a następnie usterki językowe.

Fakta mylnie podane wynikły niezawodnie z pośpiechu, a może z niedozoru korekty. I tak „Konrad uwięził nie Leszka Białego i jego matkę” lecz Bolesława (str. 39). Jan Kapistran nie był założycielem Bernardynów (str. 119). Ustawy soboru trydenckiego były przyjęte od duchowieństwa na synodzie piotrkowskim (1577 r.), ale przez stany państwa i sejm nie były przyjęte. Tymczasem autor twierdzi, że je król Zyg. August przyjął na sejmie w Łomży (str. 227). Jest to niejasne. Ks. Fabisz wspomina, że król przyjął je „w gronie rady i senatu” („O synodach” str. 176). Piotr Goniądzka (str. 201) czy z Goniądza albo Goniądzki?

Co do zwrotów mowy, wyrażeń i wyrazów, zauważyliśmy z pomiędzy innych następujące niepolskie: doniesienia pisarzy (str. 8); szerszy węzeł (str. 10): wysłać na apostołkę (str. 17 i 24); pozbyszy Lachów (str. 26); przydzielony Sieradz (str. 42); pod Worską (str. 114); kryzys zażegnwana (str. 119); prepozyt zam. proboszcz (str. 147); klęska elementarna (str. 151); kandydować (str. 211); krok prymasa zakryto (str. 207); Zawolocie, Uświat (str. 215); od przypadku do przypadku (zapewne to niemieckie von Fall zu Fall, (str. 147 i 233); stanąć na opak, zamiast na przekór (str. 246); zrozbujał rycerstwo (str. 250); skandal (str. 259); w pierwszej linii, in erster Linie—kilkakrotnie powtórzone (str. 310, 338); pod auspicjami (str. 355); pod mandukacją (str. 356); ludzie wytyczni (str. 368); promienie oświaty nie zaważały złego (str. 369).

Do dzieła dołączono Dodatek, obejmujący spis źródeł i opracowań, odnoszących się do historii Polski. Spis taki nie szkodzi co prawda, ale też niewiele pomaga. Badacze dziejów wiedzą, gdzie szukać informacji; młodzież zwykle takich wykazów nie czyta. Na bliz-

ko trzech arkuszach druku można było coś pożyteczniejszego zamieścić, lub chociażby tylko sam tekst właściwych dziejów pełniej rozwinąć. Przydałby się téż spis alfabetyczny i kilka mapek, pokazujących zmiany terytoryalne w różnych epokach.

Cokolwiek zresztą moglibyśmy zarzucić książce p. Szujskiego tak pod względem układu, formy i budowy materiału historycznego, jak i pod względem opuszczonej lub niedość rozwiniętej treści, sądźmy przecież, że jest ona, jak dotychczas, jednym z gruntowniejszych podręczników, do nauki dziejów naszych. Zdrowe, trzeźwe i po większej części zgodne z faktami ogólne poglądy na polityczne życie państwa, surowa ale zasłużona krytyka anarchii, dążenie do „podania swemu społeczeństwu przedmiotowej prawdy,” stanowią dodatnie strony dzieła p. Szujskiego. Życzyć sobie można, ażeby je czytano i rozumiano, że historia, zwłaszcza taka jak nasza, jest w istocie nauczycielką życia politycznego i groźném—memento!

F. K.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcyą F. Sulimierskiego, Br. Chlebowskiego i Wł. Walewskiego. Tom I. Zeszytów 1—10. Str. 800. Warszawa, 1880 r.

Wydane w przeciągu dziesięciu miesięcy bieżącego roku dziesięć zeszytów téj publikacyi, pozwala już o wartości dzieła i zasłudze pracownikóv, ukształconemu ogółowi krótką zdać sprawę.

Przedewszystkiém należy się uznanie odwadze obywatelskiej w podjęciu pracy pożytecznej a otoczonej trudnościami wykonania i nie mogącej bardzo liczyć ani na zwrot całkowity kosztów wydania, ani na ocenienie należyte włożonego trudu. Przyznając bowiem najzupełniej, że publiczność nasza coraz więcej uczuwa potrzebę poważniejszego dla umysłu posiłku, nie można jednak zaprzeczyć smutnemu faktowi, że zastęp czytelników książek niezabawnych, ściśle naukowych, jest dotąd nieliczny, i nie wystarcza na wytworzenie stałej podstawy dla pism tego rodzaju; przedsięwzięcie więc u nas publikacyi naukowej, nie może być wolne od obawy, czy zdoła się ostać zasobami własnymi, bez pomocy rzadkich wszędzie ludzi zamożnych a światłych. Trudność zadania w zebraniu materiału, zwłaszcza przy tak utrudnioném u nas czerpaniu ze źródeł urzędowych, wydawcy widzieli jasno i przedstawili to zrozumiale w przedmowie na początku zeszytu pierwszego umieszczonej, podającej plan całego dzieła, objaśnienia ułatwiającego jego używanie, tudzież porozumienie się niejako z czytającym ogółem co

do formy obrobienia całości i nieuniknionej z natury przedmiotu nierównomierności w opracowaniu szczegółów. Przedmowa ta obmyślona dojrzałe, dostarczy każdemu coby chciał do budowy dzieła przynieść cegiełkę potrzebnych wskazówek, w łonie zaś ogółu zdoła może wzbudzić większe zainteresowanie się przedsięwzięciem, co w następstwie niewątpliwieby się przyczyniło do uzupełnienia i dokładności dzieła. Nie w sposobie więc tak często nadużywanej reklamy, ale w interesie podniesienia naukowej wartości pisma, należy głośno wyrazić życzenie, aby „Słownik geograficzny” jak najobszerniejszego na ziemi naszej doznał rozprzestrzenienia, obywatelom jój wszędzie stał się podniętą do przyjęcia udziału według możliwości w téj sprawie, a wtedy z liczniejszych powstała źródół, pełniejsza wypłyne rzeka. Zrozumienie obowiązku rozszerzenia stosunków redakcyi Słownika z ogółem, leżało właściwie na pismach codziennych, obficie po kraju rozchodzących się; żałować można, że w zbyt skąpej mierze z tego się wywiązały, chociaż trzeba przyznać, donosiły niekiedy o przeszkodach, jakie w wielu miejscach zbieraniu materyałów stawiała nieprzychylna lub podejrziwa ciemnota.

W dziele mającém układ słownikowy, sprawdzanie szczegółu po szczególe wymagałoby wiele czasu, a przedsięwzięte byćby chyba mogło w celu wyszukania wszystkich omyłek i niedokładności, dla ułożenia na końcu dzieła wykazu sprostowań i dopełnień. Do powzięcia ogólnego zdania o wartości dzieła takiego złożonego z mnóstwa oddzielnych szczegółów, wystarcza uważne przejrzenie dziesięciu wydanych dotąd zeszytów.

Zeszyty pomienione obejmują trzy litery alfabetu od A do Cze. Ostatnim większym artykułem zeszytu dziesiątego jest Czeremosz, rzeka na Pokuciu. Całość przedstawia się jako dzieło informacyjne, do obeznania się z krajem przydatne; nazwać je można inwentarzem nomenklatur ziemskich, o ile być może dokładnym i współczesnym, kierunek bowiem dzieła jest głównie statystyczny. Lecz chociaż zapowiedziano w przedmowie że Słownik ma przede wszystkim na uwadze obecny stan kraju, a do przeszłości o tyle tylko się odwołuje, o ile ważniejsze wspomnienia lub główne zarysy geografii historycznej tego wymagają, nie przeszkodziło to jednak uzupełnieniu suchego materyału statystycznego rzeczywiście dla znawców umięjących go użyć cennego, lecz dla większości nie ponętnego, wiadomościami innéj natury, przyczyniającemi się do urozmaicenia treści. To pografia kraju, zwłaszcza okolic pod tym względem szczodrzej uposażonych, jest należycie tak co do orografii jak i hydrografii uwzględnioną. Ustępy historyczne, chociaż traktowane ubocznie, ożywiają dzieło, zawierające opisy miejscowości w granicach Królestwa Polskiego i innych ziem słowiańskich pod względem geograficznym, statystycznym, społecznym (szkoły, stosunki religijne, przemysł, komunikacye, handel), historycznym (założenie miejscowości, wypadki ważniejsze, przechodzenie z rąk do rąk) i archeologicznym.

Staranność w prowadzeniu dzieła jest widoczna, sprawozdawca jednak według zwyczaju, powinien zakończyć wytknięciem pewnych usterków i podaniem pewnych rad. Dla wywiązania się z tego obowiązku, nie powie on zapewne nic takiego, o czémby redakcja sama dobrze nie wiedziała; nacisk jednak bywa niekiedy pożyteczny.

Materyał tak różnorodny i z najrozmaitszych źródeł spływający, potrzebuje przed ogłoszeniem bacznój nad sobą kontroli; bezwątpienia ocenić każdy potrafi, jak rzecz to mozolna, a nietylko że trudna; lecz nawet w pewnych tylko granicach dająca się wykonać. Dane statystyczne np. nie bywają nigdy stałemi, cyfry zmieniają się tu ciągle z biegiem czasu i pod wpływem przygodnych okoliczności, sprawdzać je na każdym kroku jest czystém niepodobieństwem; z natury rzeczy muszą one pozostać na odpowiedzialności podającego, co najwięcej można tylko zasięgnąć pewnych informacji o wartości źródła lub kompetencji współpracownika. W innych gałęziach zato, kontrola jest możliwą, dokładność nazwisk, ustępy odnoszące się do fizyografii kraju lub wydarzeń dziejowych sprawdź się dają. Kilka pod tym względem niedokładności może się przyda wskazać do przyszłego wykazu sprostowań. Tak np. w artykule niemającym podpisu: „Bałtyckie morze” Torneo umieszczono pod 60° 51' sz. p. (66°). Zatoka pruska zamiast pucka. Kilka razy zatoki powtórzone zamiast cieśniny. Woda Bałtyku ma zamykać w sobie $\frac{1}{30}$ część soli, to jest z funta wody wydziela się jeden, a najwięcej dwa łuty soli, (jest to ilość przynajmniej dwa razy za wielka dla zachodniej nawet części tego morza, dla wschodniej zaś i północnej przeszło trzy razy zawielka). W tymże zeszycie drugim pod nazwą Batog, stoi, zepewne przez omyłkę drukarską, regimentarz Małachowski, zamiast Machowski, (pułkownik pod Czarnieckim, komendant Stawiszcz, ten sam co w Korsuniu rozstrzelał Wyhowskiego. Zobacz o tém zeszyt dziewiąty pod nazwą Chwastów). Pod n. Bochnia sz. i dług. geograficzna są przestawione.

Ponieważ w dziele tego rodzaju pcawie niepodobna uniknąć omyłek w niektórych szczegółach, nie myślimy obszerniej wykazywać tych uchybień, wyznajemy chętnie niezbyt częstych w „Słowniku geogr.;" ale dla ostrzeżenia redakcyi, że powinna z nadzwyczajną oględnością i krytyczną kontrolą przyjmować relacye swoich współpracowników, zwracamy jój uwagę jeszcze na niektóre ogólniejszej natury fakta. Pod wyrazem Błonie pominięto w liczbie gmin gminę Passy. Charakterystyka gruntów ornych w powiecie błońskim nie jest dokładna nietylko pod względem ich ogólnej geograficznej sytuacji; ale i w szczegółach. Ziemie piaszczyste zalegają tylko część powiatu, położoną na południe od plantu drogi żelaznej Warsz.-Wiedeńskiej, drugą zaś część stanowią czarnoziemy, utrzymujące aż 4 fabryki cukru. W pierwszej części przeważa uprawa żyta i kartofli (choć i buraki na znacznych przestrzeniach spotkać można); w drugiej zaś stanowi główną rubrykę dochodu pszenica i buraki cukrowe, dźwiga się tak na wielkiej jako i na małej uprawie do pewnego stopnia gospodarstwo przemysłowe, po-

stępową hodowlą inwentarza i t. p. Sam autor art. znalazł w powiecie folwark, posiadający najlepszą (?) ziemię w Królestwie, my dodamy, że obok Kłódzienka z równym prawem postawić możemy znaczne terytorium Czubina, Żukowa, Błonia, Bienewic, Kopytowa i w. i. Pod wyrazem Brwinów jest mowa o ciężkich do uprawy łąkach i rdzinnych szczyrkach, których na tém terytorium, prócz małego płata przy granicy od Kotowic niema; większą bowiem przestrzeń zajmują grunta piaszczyste z małym bardzo procentem gliny; a czarnoziem tutejszy nie jest bynajmniej ciężkim łąkiem, ale jestto tak zwany cepuch błoński, przesycony próchnicą ze zbyt małym procentem gliny, na podskibiu nieprzepuszczalnym, oziębionym i zakwaszonym rudą żelazną, która na roślinność niekorzystnie wpływać może przy niesprzyjających wpływach atmosferycznych. Dla zaprowadzenia rybołówstwa wykopano wprawdzie kilka stawów; ale prawidłowej piskycultury niema i przy miejscowych warunkach zapewne nie będzie. Czytelnicy „Słownika” naprózno by tedy szukali tutaj tego towaru. Pod wyrazem Babinost (wogóle zachaotyczny artykuł) powtórzono 2 razy wiadomość, że naczelnik powiatu nie mieszka w miejscu; ale w Wolsztynie (str. 70 i 71).

W pisowni nazwisk, zwłaszcza obcych, niejednostajność: Bodrog, rzeka w Węgrzech, okolica, którą Bodrog przepływa po Madyarsku, zwie się Hed'elą, t. j. podgórzem. W następnym zaś artykule: Bodrog Keresztur miasteczko w Hegyallyi o milę od Tokaju. Należało ostrzedz tu czytelnika o sposobie pisania i wymawiania u Madziarów (Magyarów); jaką przytém korzyść odnieść można z wiadomości, że skały są tam porośnię krzewiem, mającym podobieństwo do dzikięj chińskiej herbaty. Inni autorowie dokładniej umieją naturę obserwować: artykuły np. podcyfrowane literami Br. G. wymieniają po nazwisku rzadsze lub charakterystyczniejsze twory, i tak: pod nazwą rzeki Czeremosz powiedziano, szczyt góry Baby Ludowej pokrywają ogromne głazy, rośnie tu kępkami różanecznik (*Rhododendron ferrugineum*); dla geografii roślin nie byłaby błahą wiadomość, czy i na południowych stokach Karpat, w Hegyallii, alpejska ta krzewina rośnie, bo w niej to chyba autor artykułu o Bodrogu upatrzył podobieństwo do herbaty. O pewnych wydarzeniach dziejowych, niezbyt znanych, przydałby się nieraz choćby krótki, ale wyjaśniający przypisek redakcyi, tak np. pod n. Borszczahówka, miasteczko pow. Kijowskiego stało się pamiętnym, z powodu odbytej tu w r. 1708 d. 15 lipca kaźni Koczubeja (niema wątku sprawy, ani czyj wyrok).

Ograniczę się tu sprostowaniem jeszcze drobnego szczegółu: Bychawka wieś, powiatu lubelskiego. W B. mógł odwiedzać miejscowego proboszcza, później biskupa Wal. Baranowskiego, brat jego astronom Jan Baranowski; ale przebywał tam i spostrzeżenia w okolicy, robione nad przelotem ptactwa, ogłaszał w „Bibl. Warsz. (rok 1846—1849) naturalista Wład. Taczanowski.

Na wytknięciu kilku tych niedokładności muszę poprzestać. Redakcyja „Słownika” czuje dobrze potrzebę kontroli ogółu nad swoją

pracą i ze swój strony w tym celu robi co może, ponawiając od czasu do czasu w pismach publicznych wezwania o komunikowanie jój dostrzeżonych pomyłek, a to w przekonaniu, że każdemu czytelnikowi przyjdzie to zrobić łatwiej w znanj sobie okolicy, niż ślepczącemu w gabinecie redakcyjnym. Współudział ten pracowników przyczynić się może najskuteczniej do utworzenia na końcu dzieła dokładnego wykazu sprostowań i dopełnień.

Krótkie to sprawozdanie o wydanej dotąd części „Słownika geograficznego,” zamknąć można uwagą, że dzieło to jest bardzo pożądanym i cennym nabytkiem dla naszej literatury. Dotychczas była ona na tém polu bardzo ubogą; dosyć jest przejrzeć wskazaną na początku zeszytu pierwszego bibliografią ziemioznawczą naszego kraju, aby się przekonać, że obejmuje ona zaledwie kilka dzieł obszerniejszych, które w przeszłości miały swoją wartość, ale z biegiem czasu stały się nie wystarczającymi do obeznania się z krajem, a w szczegółach nie odpowiadają już wcale obecnemu stanowi rzeczy i potrzeb informacji zaspokoić nie mogą¹⁾.

Godzi się w końcu przyznać, że wyrzeczone w przedmowie słowa „Słownik nasz jest pierwszą w literaturze naszej próbą encyklopedyi

¹⁾ Podana w 1-szym zeszytcie wiadomość bibliograficzna nie wyczerpuje bynajmniej przedmiotu i nie możemy z niej odgadnąć zasady, która ją poddyktowała. Wymienienie dzieł, na które najczęściej w całym dziele powoływac się Red. zamierza, jest (ściśle rzecz biorąc) prawie niepodobne przy tytu współpracownikach i nie może mieć ani naukowej ani praktycznej wartości, ponieważ przy tak różnorodnym materyale, stanowią pożądaną skarbnicę informacji nietylko głośniejsze dzieła, ale i drobne książeczki, skoro zawierają fakta zebrane przez wiarogodnych i kompetentnych pisarzy. Redakcyi nie chodziło oczywiście o dokładny spis dzieł informacyjnych, z których korzystać powinna przy pilném kontrolowaniu prac swoich współpracowników, ponieważ w takim razie nie wypadalo pominąć prac, opierających się także w pewnej części na materyalch urzędowych, jak np. Romana Lisickiego i Wojciecha Szymanowskiego („Słownik geografii powszechnj,” Warsz. 1850—1854, tomów 2), tudzież Józefa Wiślickiego („Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajów i obyczajów, 1850 r., t. 2), Tyszkiewiczza, Aleks. Przedzieckiego i i. Wprawdzie Red. zastrzega wyraźnie, że monografii specjalnych na tém miejscu nie podaje, i na to się zgadzamy; ale obok tego, skoro postanowiono podać wiadomość bibliograficzną, to wypadalo czytelnikowi wskazać przynajmniej dzieła ogólniejszej treści; lecz nie w formie prostego suchego spisu, tylko w wyrozumowanym szczegółowym krytycznym przeglądzie całej literatury geograficznej, tak ze względu na źródła, jako i na istniejące opracowania tych źródeł, na opisy pojedynczych terytoryów, podróży po kraju nietylko zwyczajnych turytów, ale i naturalistów, geologów, botaników i t. p. Wreszcie wypadalo zwrócić uwagę na mapografią, która prócz względu orientującego ogół pracy redakcyjnej, miałaby niamalą wartość naukowo-informacyjną i mogłaby się stać podstawą nowj kartograficznej roboty,

krajoznawczej na tak wielką skalę," zostały możliwie dobrze wypełnione.
A. W.

jakaby całe dzieło uwieńczyć powinna. Badacze przeszłości powitaliby takie dzieło z niewypowiedzianą wdzięcznością. Przedmowa określa dokładnie cel, jaki Red. osiągnąć postanowiła: w interesie nauki pragnęlibyśmy prócz tego poznać dokładnie „środki,” jakie Red. miała „poza sobą“ (str. 5), ponieważ z tego pokazałoby się, czy „Słownik geogr.“ wzrasta na zupełnie zaniedbaną pustyni, czy też na polu w pewnych przynajmniej kierunkach podoraném. Brak zatem takiego krytycznego przeglądu dotychczasowej literatury geograficznej w granicach „Słownikiem geogr.” zakreślonych, uważaćby można za brak, utrudniający naukową kontrolę tak mozolnie zbieranego materiału. Pragnęlibyśmy także, aby przy miejscowościach, mających kilka (i to z rozmaitych języków pochodzących) nazwisk, podawano zawsze całkowity wyczerpujący opis przy nazwie historycznej, polskiej, wskazując tylko przez odsyłacz nazwę późniejszą w drodze administracyjnej zadekretowaną, np. w Prusiech, Szlązku i W. Ks. Poznańskim. Te nazwy administracyjne powinny stać w alfabetycznym porządku w swoim miejscu; ale już bez żadnych szczegółów, bo te należy wyczerpać przy nazwie historycznej, tak, że nie powinniśmy szukać jednych szczegółów np. pod wyrazem Ełk, a drugich pod wyrazem Lyck, czém nam Red. grozi (zob. Przedmowę str. 11), bo w ten sposób powstałby chaos nawet w „Słowniku” niedozwolony. Ta sama zasada powinna kierować Red. przy wyrazach na ów i owo; ice i icze. Prócz tego zwracamy jeszcze uwagę na następującą okoliczność. Najpożądanym może przymiotem takiego dzieła jest przejrzystość, jasność, ład w uporządkowaniu szczegółów informacyjnych: przymiot ten jest może nawet ważniejszym od samej obfitości szczegółów. Otóż w dotychczasowych zeszytach panuje w niektórych obszerniejszych artykułach pewna chaotyczność, której tak wielostronnie udowodniona staranność, sumiennosc, i przeczornosc Redakcyi zapobiedz łatwo potrafi, jeżeli trzymać się będzie ściśle porządku, jaki sobie sama zakreśliła (Przedm. str. 6 ustęp 7). Wypada szeregować stale zebrane wiadomości, o ile tylko się da, w następującym porządku: 1) Wiadomości geograficzne i topograficzne; 2) etnograficzne i statystyczne; 3) społeczne; 4) historyczne i 5) archeologiczne. Będzie wprawdzie wiele artykułów, nie przedstawiających dostatecznego materiału dla wszystkich rubryk; ale jest i wiele takich, których obfitosc materiału narusza względy ładu i porządku; dlatego trzeba z całą ścisłością trzymać się nietylko tych korbów, ale nawet i ich następstwa. Zdarza się prócz tego, że przy miastach gubernialnych i powiatowych nie dosyć ściśle odgraniczono to, coby wejść powinno do monografii miasta, od tego, co należy do monografii powiatu, przez co ogólny widok się zaciemnia. Ceniąc wysoko sumienną pracę sz. Red. czynimy to uwagi, wiemy, że nie łatwe wśród ogromu materiału do zaspokojenia, nie z pobudek drobiazgowej krytyki, ale z tej życzliwej intencji, że pragnęlibyśmy w poważnej tej pracy powitać dzieło doskonałe, o ile przy działach ludzkich o tém mowa być może.

Przyp. Red.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Październik 1880. — W Kolonii odbyła się dnia 15 i 16 października uroczystość z powodu ukończenia głośniejszej budowy katedry kolońskiej, do której kamień węgielny położono w dniu Wniebowzięcia N. M. P., to jest 15 sierpnia 1248 r. Akt zamykający ukończenie dzieła architektonicznego, na którego wzrost patrzyła sześc przeszło wieków, ma sam w sobie coś tak majestatycznie-uroczystego, że ubolewać trzeba, iż przypadł właśnie w chwili, która zakłopotana niepokojem interesów kościelnych, pozbawiła go zapału tego ciepła religijnego, które jedno zdołałoby odpowiednio nastroić umysły i serca. Dzieło, mające świadczyć o jedności myśli i ducha narodu niemieckiego, w pierwszej zaraz chwili swjej aktualnej działalności, zdaje się niejako protestować przeciwko sztucznym hymnom oficjalnej bezwyznaniowej prasy, bo wśród tej uroczystości czuć było jaskrawe rozdwojenie między państwem a kościołem: widziałeś pewien niesmak, niezadowolenie, powiedziałbym, prawie zaniepokojenie. Przy uroczystości wyłącznie kościelnej, duchowieństwo, pozbawione w skutek praw majowych swego pasterza, zaledwo uczyniło zadość oficjalnej swjej powinności w kościele; zresztą nie było go widać: na każdym kroku czuć było prawdę słów naszej korespondencyi (zob. zeszyt wrześniowy r. b., str. 448) o „umundurowaniu” kościoła w Prusiech, z czego rodziła się nieprzyjemna uwaga: „ne misceantur sacra profanis.” Pisma codzienne opowiedziały szczegóły uroczystości kolońskich: nam o nie się nie opowiedzieć; lecz pomijając tymczasem kwestye odnoszące się do architektury i sztuki, zapisujemy główne fakta historyczne odnoszące się do kolei, jakie ta budowa przechodziła. Kamień węgielny katedry kolońskiej położył arcyb. koloński, Konrad z Hochstaden, w d. 15 sierp. 1248 r., w przytomności króla Wilhelma z Holandyi, antagonisty ostatnich Staufów, w chwili zaciętej walki kościoła z cesarstwem niemieckim. Budowa ta wznosi się na gruncie starożytnej Colonia Agrippina, tudzież na miejscu, na którym stał dawniej kościół ś. Piotra, wystawiony przez

kapelana Karola W., Hildebolda. Pomędzy pierwszymi budowniczymi tój świątyni, spotykamy Gerharda z Ryle (albo Rile, miejscowość w bliskości Kolonii). Ryle wybudował tylko częśćkę tój kolosalnój budowy: to jest presbyteryum, które w r. 1322 poświęcił arcybiskup koloński Henryk v. Birneburg. Po uroczystém przeniesieniu tu relikwii śś. Trzech Króli, darowanych roku 1162 arcybiskupowi Rajnaldowi z Dassel przez cesarza Fryderyka I, prowadzono dalej budowę południowój części; a chociaż śród okrutnych zamieszek w ówczesnych Niemczech musiano robotę często przerywać, podniosły się jednak mury tój części tak, że w r. 1447 sięgały już 50 metrów wysokości.—Następujące burzliwe wypadki w Niemczech wstrzymały zupełnie całą robotę. Opuszczone i na ruinę, zdawało się, skazane kolosalne dzieło; przetrwało tymczasem w zupełném opustoszeniu, bez żadnój opieki, prawie przez trzy stulecia. Dopiero gdy najazd Napoleona I obudził w Niemczech silniejsze poczucie patriotyzmu, gdy obudzony przez tak zwane wojny o wolność (Freiheits-Kriege 1813—1815) zapal ideai narodowych podniósł w Niemczech ideę jedności narodowój i gdy kraje nadreńskie dostały się pod berło Hohenzollernów, monarchów, którzy się w dziele oswożenia Niemiec najwybitnój odznaczyli, odżyła myśl budowy katedry kolońskiej, którój projektowane stare plany się znalazły. Myśl ta, podjęta gorliwie przez takich koryfuszów umysłowości niemieckiej jak Goethe, Goerres, Schinkel i Boisserée, znalazła silny odgłos w całym narodzie: monarchowie, miasta, katolicy i protestanci zapalili się do dzieła, które, zdaje się, tylko wieki średnie skoncytować mogły.—Pierwszy między innymi, Fryderyk Wilhelm III król pruski, postanowił ocalić tę Bogu poświęconą, a ostateczną ruiną zagrożoną budowlę. Już w roku 1816 pokryto ją dachem, a w roku 1824 rozpoczęto reparacyą zrzządzonych przez tyle wieków uszkodzeń, pod okiem budowniczych Ahlerta († 1833) i Zwirnera. Skoro uratowano te części, które dawniejsze wieki już były postawiły, powzięto śmiały plan wykończenia całości. Idea ta znalazła silnego opiekuna w Fryderyku Wilhelmie IV (1840), kochającym się w rzeczach estetycznych i mającym żywe poczucie interesów religijnych. Wobec kolosalnych kosztów, jakich wymagało godne wykończenie takiego pomnika narodowój myśli i chwały, powzięto pod wpływem oświećcińszych obywateli Kolonii, myśl zawiązania Towarzystwa budowy katedry kolońskiej (Dombau-Verein), którego celem było gromadzenie funduszów na zupełne wykończenie katedry według dawnego planu. Fryderyk Wilhelm IV nie tylko zatwierdził statuta tego Towarzystwa (8 grudnia 1841 roku), ale przyjął protektorat nad niem. Z pomocą wyznaczanego corocznie z kasy państwa pruskiego dość znacznego wsparcia, nie mniżej z pomocą darów reszty monarchów i miast niemieckich, tudzież rozsianych po całych Niemczech Towarzystw, na wzór kolońskiego zorganizowanych, zabrano się energicznie do wykończenia chwalebego dzieła, któróm i następcą Fryderyka Wilhelma († 1861), panujący dzisiaj cesarz Wilhelm I nie przestał się opiekować. W roku

1863 można już było usunąć mur, który dotychczas oddzielał presbyteryum od głównej nawy. W następujących latach dokonano reszty według planów budowniczego Voigtel'a: ze spiżu dział francuzkich ulano kolosalny dzwon cesarski i całe dzieło ukończono już w sierpniu r. b. Cesarz-protector, chcąc uczcić zasługi przy tém dziele przednika swego, naznaczył uroczysty akt zakończenia tego monumentu architektury i sztuki na dzień urodzin Fryderyka Wilhelma IV i ten odbył się dnia 13 października w sposób, którego Fryderyk Wilhelm IV nie przeczuwał. Wskazawszy te historyczne fakta, chętnie posłuchamy zdania architektów i miłośników sztuk pięknych, o ile sztuka niemiecka sprostała zadaniu, jakie nauka i rozwój sztuki w ogóle dziełu takiemu dzisiaj zakreśla.

— Z pomiędzy kwestyi, które nietylko w szkole, ale i w służbie biurowej, niemniej i w dziennikarstwie i w piśmiennictwie, wogóle dopominają się bardzo głośno stanowczego uporządkowania: zajmuje sprawa ujednostajnienia pisma, bardzo poważne miejsce nietylko w języku polskim, ale i w innych językach europejskich, skarżących się na nieznośną anarchią, jaka na tém polu powszechnie panuje. Zadanie to nie jest jednak tak łatwem, jakby się zdawać mogło, bo dla jego zadowalniającego rozwiązania potrzeba nietylko gruntownej nauki lingwistyki, ale i wiele praktycznego zmysłu, roztropności i przeczności, żeby grafika nie teroryzowała fonetyki, żeby doraźne przepisy ortografów nie gwałciły prawideł etymologii i nie utrudniały dokładnego zrozumienia gramatycznego życia języka w jego narodowej indywidualności. Wiadomo, że z tego powodu, iż przyjęte przez naszą szkołę: „Wnioski deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk,” nie uwzględniały wszechstronnie tych warunków: wyrodził się i w naszej pisowni chaos, z którego wyjście bardzo jest utrudnione. I reszta języków europejskich, tak pierwotnych (germańskie i słowiańskie), jako i pochodnych (romańskie), szuka napróżno wyjścia z tego labiryntu jak najrozmaitszej praktyki ortograficznej. Potrzeba uregulowania ostatecznego tej sprawy okazała się tak wielką i tak nagłą, że dbali o organiczny rozwój fonetyki swoich języków uczeni gramatycy, lingwiści i filologowie, postanowili wydawać od 1 października r. b., osobne pismo miesięczne, poświęcone wyłącznie kwestyom ortograficznym, p. t.: „Zeitschrift fuer Orthographie.” Unpartheisches Central-Organ fuer die orthographische Bewegung im In- u. Auslande. Wydawane przy współudziale znakomitszych uczonych przez d-ra Wilhelma Victora z Wiesbadenu, u Wilhelma Werthera w Rostock'u. Pomiedzy współpracownikami tego czasopisma spotykamy następujące znakomitości naukowe: Maks. Müller, Sayce, Wilmanns, Bartsch, Duden, Morris, Fricke, Imelmann, Michaelis, Raoux, Pittman, Kraz, Fleay, Bobertag, Lattmann, Lohmayer, Müllendorff, Pfeiffer, Piper, Krause, Cox, Feeton, Pigliardini, Reyer, Moon i inni. Czasopismo, o którym mowa, nie ograniczając się na samym języku niemieckim, podawać będzie naukowe sprawozdania o ożywionym w tej chwili ruchu na polu ortografii w An-

gii, Ameryce, Francji, Skandynawii i t. d. Redakcja tego czasopisma postanowiła drukować każdy artykuł w rodzinnym języku autora i z zachowaniem ortografii, jakiej autor używa i jaką zaleca: w dziale zaś, płynącym już wyłącznie z pióra samej redakcji, unikać będzie nowatorstwa, przez ogół jeszcze nieuznanego, zachowując, o ile możliwości, stanowisko neutralne. Zapowiedziane do pierwszych numerów rozprawy, każą nam witać w tém przedsięwzięciu pracą poważną, obiecującą dojrzałe i zdrowe owoce. Wskazując te zapowiedziane studia, scharakteryzujemy najlepiej stanowisko tego pożądanego organu. Drukować się tam będą: Kraeuter'a (z Saargemünde): „Mowa i pismo” (niem.); Sanders'a (z Altstrelitz): „Kilka uwag nad różnicą, jaka zachodzi między teoretycznymi objaśnieniami, a praktyczną reformą na polu ortografii, wraz z wskazaniem stanowiska autora względem kwestyi ortograficznej” (po niem.); Sayce (z Oxfordu): „Why we want a reformed Alphabet” (Dlaczego potrzebujemy poprawnej pisowni) (ang.); Strackeryan (z Oldenburga): „Prawo obywatelstwa wyrazów cudzoziemskich w języku niemieckim (niem.); Wiebe (z Hamburga): „Kilka uwag o przenoszeniu zgłosek” (po niem.); Faulmann (z Wiednia): „O zadaniu reformy ortografii;” Schreiber (z Wiednia): „O reformie ortografii w stosunku do niemieckiego handlu księgarskiego” (niem.); de Beer (z Amsterdamu): „O ortografii w Niderlandach” (niem.); Koch (z Marburga): „Ruch na polu ortografii w wieku XVIII” (niem.); Grabow (z Opola): „O pruskiej książce reguł” (niem.); Beissel (z Kopenhagi): „O ortografii w Danii;” Schmidt (z Wismaru): „O wartości dobrej pisowni,” „O znakach pisarskich,” „O wymawianiu wyrazów cudzoziemskich” i t. d. Prenumerata półroczna wynosi 3 marki.—Życząc powodzenia temu pożytecznemu przedsięwzięciu, pragnęlibyśmy niniejszą wiadomością zwrócić na to zjawisko uwagę nie tylko naszych, ale i innych słowiańskich uczonych gramatyków i lingwistów, którzy oceniając sprawiedliwie wpływ pisowni na fonetykę języka, pojmują dokładnie korzyści, jakie wyniknąć powinny z uporządkowania pisowni dla naukowych badań indywidualności każdego języka. Prócz poważnych usiłowań „Deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk,” traktowano przynajmniej u nas kwestyą tę zanadto powierzchownie, więcej się nią bawiono, a zamało gruntownie studyowano. Z tego, cośmy powyżej nadmienili, należałoby wnosić, że Redakcja ma na uwadze tylko języki germańskie i romańskie; lecz nie wątpimy, że przy odpowiednich pracach naszych uczonych, utworzyłaby także chętnie swoje pismo i dla studyów ortograficznych z dziedziny języków słowiańskich, które mają już dzisiaj nie małe znaczenie w literaturze europejskiej, jak tego między wielu innymi faktami dowodzą liczne tłumaczenia poetów polskich, czeskich, ruskich, serbskich i t. d., na język niemiecki, francuzki, angielski i włoski.

— Badanie kraju naszego pod względem przyrodniczym, spozstrzeżenia nad jego klimatem, eksploracya pokładów ziemi, a nawet tak powabne a łatwe badanie krajowej flory i fauny ze względu na zjawiska życiowe: są to wszystko kierunki, w których praca nasza al-

bo zgoła się nie rozwinęła, albo też występuje sporadycznie, bez planu i ginie w falach dziennikarskich bez śladu. A jednakże przyroda, jako materyalny podkład téj gleby, na której się rozwija życie społeczne, warunkuje w znacznym stopniu objawy tego życia, tak że poznanie tych przyrodzonych danego kraju stosunków niemniej jest ważne od poznania jego przeszłości. Dlatego też we wszystkich państwach europejskich wydatki na cele fizyograficzne, stanowią w budżecie oświaty narodowej rubrykę stałą, a stowarzyszenia prywatne ze swojej strony popierają gorliwie tego rodzaju badania. W sąsiedzkiej nam Galicyi dzieje się podobnie, a ktokolwiek przejrzy kilkanaście tomów „Sprawozdań” komisji fizyologicznej krakowskiej, ten łatwo oceni pożytek wynikający z gromadzenia takich materyałów i ze skoncentrowania ich w jednym wspólnym wydawnictwie. Przykład komisji fizyograficznej od lat kilkunastu oddziaływał na przyrodników naszych podniecająco, tu i owdzie zajęto się badaniami na wzór gorliwych fizyologów galicyjskich; niektórzy tego rodzaju badacze u nas, wyprzedzili nawet kolegów tamtejszych i pod ożywczeń tchnieniem zamiłowania nauki, bez względu na cele praktyczne, robili poszukiwania i obserwacje. W ostatnich latach zupełny brak odpowiedniego ogniska naukowego w kraju zagrażał rozproszeniem sił i zwątleniem dobrych chęci, które dwadzieścia lat temu budziły się z taką energią pośród naszej młodzieży. Wielu poświęciło swoje usługi nauce, nie sprzeniewierzyło się powołaniu, ale z téj nauki fizyografia krajowa nie korzysta. Z radością wyczytujemy w gazetach pochlebne wzmianki o Dybowskiem, Czekańskim, Czerskim, Wróblewskim, Strasburgerze, Laskowskim i w. i., ale wolelibyśmy widzieć ich przy pracy w kraju, gdzie z pewnością obok studyów znaleźliby czas na praktyczne zajęcia fizyograficzne. W ubiegłym miesiącu powstał w Warszawie projekt wydawnictwa, które na wzór owych „Sprawozdań” komisji fizyograficznej zbierać będzie materyały, dotyczące przyrody kraju naszego i prowincyi przyległych. Będzie to rocznik p. t.: „Pamiętnik fizyograficzny,” a jako redaktorowie podpisywać go będą pp. Eug. Dziewulski i Bron. Znatowicz. Liczne koło współpracowników jest już prawie zapewnione, a do redakcyi tego rocznika należą prawie wszyscy w Warszawie zamieszkali miłośnicy badań fizyograficznych, którzy radami swemi i stosunkami przyczyniać się będą do ożywienia i dokładności w przedsięwziętych na tém polu pracach. Mamy nadzieję, że i cała prowincjonalna inteligencya w kraju wesprze to wydawnictwo swoim poparciem, zgłaszając się wprost do p. Dziewulskiego (Podwale nr. 2) z radami i wskazówkami. Prospekt niebawem określi bliżej program rocznika i zakres prac fizyograficznych, które się mają w nim gromadzić; my tylko na zakończenie dodamy, że prace te dotyczą: fizyki i meteorologii, hydrografii, geologii, botaniki i zoologii, archeologii i etnografii. *F. S.*

— „Goniec urzędowy” donosi, że główny wydział prasy udzielił koncesye na wydawnictwo następujących nowych czasopism w Warszawie: a) „Przewodnik bibliograficzno-archeologiczny,” pismo dwuty-

godniowe, wydawać będzie Cezary Wilanowski; b) Aleks. Świętochowski wydawać będzie od Nowego Roku tygodnik literacki „Prawda;” c) K. Benni „Gazetę świąteczną;” d) Kruziński dwutygodnik „Nowości muzyczne.” Podobno również posiada koncesyą p. Wiktor Gomulicki na tygodnik „Figaro.”

— Muzeum przemysłowo-rolnicze ogłosiło sprawozdanie ze swojej działalności w r. 1879-ym, z którego podnosimy następujące szczegóły: Biblioteka zubożyła się w roku 1879, 219 tomami, tak, że posiada dziś zbiór dzieł w 718 tomach, cyfra wcale skromna. Zbiory muzealne posiadają przedmiotów 2,380, z których 792 odnoszą się do rolnictwa, a 1588 r. do przemysłu. Jeden i drugi skarb naukowy, (t. j. biblioteka i zbiory rolnictwa i przemysłu) powstał z ofiar prywatnych i pomnaża się mianowicie co do zbiorów dosyć szczęśliwie po każdej wystawie, urządzanj przez Muzeum, ponieważ wielu właścicieli pozostawia wystawione przez siebie przedmioty do użytku publicznego w Muzeum. Z tych przedmiotów mogłoby już Muzeum urządzić stałą wystawę; ale niestety, niema dosyć obszernego lokalu, w którymby mogło zbiory swoje rozłożyć i ustawić. Funduszu na wynajęcie obszerniejszego lokalu niema, a o pozyskaniu jakiej publicznej budowli dla sprawy tak pożytecznej niema już mowy. Pracownia chemiczna, pod kierunkiem p. Napoleona Milicera, posiada 200 aparatów chemicznych, 69 narzędzi fizycznych i 564 naczyń szklanych. W roku 1879 wykonał p. Milicer 107 rozbiórów: w ciągu 7-miu miesięcy korzystało z pracowni osób 28. Co do odczytów, to nadmieniamy, że było w ogóle w Muzeum lekcyi 53, które zajmowały się przedmiotami w trojakim kierunku, mianowicie: 1) p. Berdau czytał o żywieniu się roślin; 2) p. Boguski wykładał niektóre działy z fizyki; 3) p. Milicer wykładał ustępy z chemii w zastosowaniu do przemysłu. Do nowo urządzonych sal rysunkowych dla kopiowania modeli i wzorów uczęszczało przecięciowo po 80 osób dziennie, z pomiędzy których 35 pracowało nad rysunkiem technicznym, 45 zaś nad rysunkiem ręcznym. W skutek naglących prośb, otworzył zarząd osobną salę rysunkową dla kobiet, które zgłosiły się w takiej liczbie, że, dla braku miejsca, trzeba było rozdzielić zajęcia w tej sali na ranne i wieczorne. Zarząd zaznacza istotne w tej sferze postępy. Muzeum udziela wszystkim potrzebnych pomocy i materiałów rysunkowych. Smutne przy tej sposobności zaznaczamy zjawisko: instytucya tak pożyteczna nie może się dostatecznie rozwinąć dla braku środków, gdyż liczy tylko 51 członków, wnoszących opłatę roczną po rs. 25; a w liczbie tej najmniej jest przemysłowców i rolników, dla których przecie Muzeum powstało i dla których istnieje.

— Wskutek rozpisania konkursu historycznego przez poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w czerwcu r. 1877, a ponowionego w listopadzie r. z., nadesłano następujących pięć prac: 1) „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych” i t. d., przez d-ra Sieniawskiego (Podczas przedłużenia konkursu o rok jeden, autor ogłosił swoją pracę

drukiem, własnym nakładem). 2) „Dzieje Słowian bałtyckich, a mianowicie: Polabian, Szlązaków, Pomorzan i Prusaków, aż do ich zniemczenia” (2 vol.). 3) „Walki Lechitów zachodnich z Teutonami.” 4) „Stosunki handlowe w Połabowszczyźnie lechickiej do XIII wieku.” (Obydwie te prace: 3 i 4, jednego autora). 5) „Dzieje Słowian północno-zachodnich.” (Praca obszerna, jeszcze nie nadesłana w zupełności). Wybraną na posiedzeniu wydziału historycznego w dniu 18 października dla ocenienia tych prac komisją składają: Wł. Bentkowski, K. Jarochowski i ks. dr. Łukowski. Hrabia Ciecierski ofiarował Towarzystwu 59 obrazów pędzla rozmaitych malarzy, oraz dzieła Cuvier’a. Po krótkiej dyskusji o mających się wydawać od czasu do czasu „Wiadomościach” o pracach Towarzystwa, których redakcyi podjął się hr. Engeström, zapowiedziano następujące posiedzenie na 25 października, na którym jeden z członków odczyta rozprawę p. t.: „Prusy i Kościół katolicki od 1640—1740 roku.”

— W sprawie miejsca urodzenia Tadeusza Kościuszki, ogłasza „Wiek” następujący list księdza Marcina Hryniewicza, z Rudławia, w gubernii Wileńskiej, wraz z kopią metryki urodzenia Kościuszki:

„W numerze 210 „Wiek” fałszywie doniesiono o urodzeniu generała Kościuszki w majątku Siechnowicach, w powiecie Kobryńskim, gubernii Grodzieńskiej. Nie zaprzeczam: może ten majątek familia jego miała od wieków, nadany sobie od królów; lecz generał Kościuszko nie tam się urodził, ale w Mereczowszczyźnie. Na dowód tej prawdy załączam przy niniejszém jego metrykę, wyjętą z akt kościoła parafialnego Kosowskiego, oddawna u mnie zachowaną, jako wielce szacowną pamiątkę.”

Kopia metryki brzmi jak następuje:

„Mereczowszczyzna, 1746 r. 12 Februarii R. P. Romualdus Korsak S. T. L. Prior Kosieviensis Ordinis Praedicatorum baptisavit infantem legitimorum conjugum filium Andream Tadaeum Bonaventuram Perill. M. D. Ludovici Tadaei et Theklae Ratomska Kościuszków miecznych Województwa Brzeskiego. Patrini fuere. M. D. Casimirus Narkucki, Starosta Kuszliki (?) cum M. D. Protasewiczówna Suchodolska et M. D. Adamus Protasewicz, vice Capitaneus districtus Pinscensis cum M. V. Anna Suchodolska, Pisarz. Ziemska Słonimska.”

— „Encyklopedyi Wychowawczej” wyszedł tomu I-go zeszyt 42 i zawiera następujące artykuły: „Ameryka południowa” (dokończenie); „Analiza,” przez K. Kaszewskiego; „Antropologia,” d-ra B. Lutostańskiego; „Arabowie,” J. S. Święcickiego; „Armiński,” „Arnold,” J. F.; „Arystoteles,” Stefana Pawlickiego (początek).

— Dr. A. Chałupczyński wydał rozprawę swoją, drukowaną w „Przyroda i Przemysł” w osobnej odbitce p. t.: „O niektórych błędach w teoryi Darwina. Warszawa, 1880, str. 95. Pracę tę zalecamy czytelnikom, interesującym się sprawą postępu nauk przyrodzonych.

— Dr. Kazimierz Szulc, znany ze swoich prac archeologicznych, wydał własnym nakładem, z przyczynieniem się Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, dzieło, poświęcone rozjaśnieniu epoki bajecznej naszych dziejów p. t.: „Mytyczna historia polska i mythologia słowiańska.” Poznań, 1880, str. XV, 244. Autor tłumaczy postacie bajecznych naszych dziejów (Krakus, Wanda i inne), jako bóstwa pogańskie i stara się za pomocą nauki archeologii i mythologii rozjaśnić tę zamierzłą przeszłość. Jestto studjum gruntowne, sumienne, systematycznie przeprowadzone, rozbierające cały materiał bibliograficzno-krytyczny, odnoszący się do tego przedmiotu i rzucające wiele nowego światła nie tylko na bajeczną epokę naszych dziejów, ale i na wiele zwyczajów i obyczajów ludowych.

— K. Kaszewski, zasłużony w różnych kierunkach pracy literackiej autor, wydał bardzo pożyteczną i dla uczącej się młodzieży pożądaną książkę pod tytułem: „Wypisy z autorów starożytnych dla użytku młodzieży.” Warszawa, 1880, str. 350. Dzieło to zawiera wyjątki z ośmiu pisarzy greckich i rzymskich, przedstawiające niektóre charakterystyczne pojęcia dwóch najoświecieńszych narodów starożytnych, sceny z życia i rysy charakteru ich obywateli. W słowie wstępniem daje autor treściwą charakterystykę przymiotów i wyobrażeń narodowych, religijnych, i politycznych, pojęć moralnych i społecznych, idei państwowych Greków i Rzymian z wskazówką, określającą stosunek tych pojęć do wyższych i podnioslejszych wyobrażeń chrześcijańskich. Wybór dokonany według pewnego planu, postępuje od faktów drobniejszych, do coraz rozleglejszych traktatów w sześciu osobnych rozdziałach. Autor, pamiętając o tém, że od najdawniejszych czasów życie ma dwie strony: światło i cienie, wybrał ustępy malujące jedno i drugie z zachętą, aby młodzież starała się o to w życiu, żeby cienia było z każdym dniem coraz mniej a światła jaknajwięcej. Autor mało mógł korzystać z dawniejszych tłumaczeń; ale tłumaczył sam i przedstawił każdy przedmiot w stylu naturalnym, potoczystym, godnym dawnych klasyków. Uderzyła nas tylko pewna chwiejność w nazwach starożytnych, kończących się na *ius*, które czasem niezmiennie zachowuje a czasem, i za témbyśmy głosowali, na *jusz* zmienia.

† Dnia 12 września r. b., zmarł w Kijowie *Albert Antoni Marcinkowski*, zasłużony pracownik na niwie literackiej, w ostatnim lat dziesiątku cokolwiek zapomniany; lecz w swoim czasie znany i ceniony powszechnie pod pseudonimem Alberta Gryfa (herb), albo Antoniego Nowosielskiego od Nowosiółek, wsi dziedzicznej. Prace jego z zakresu filozofii, krytyki literackiej, powieściopisarstwa i etnografii, dały mu słusznie prawo do pamięci potomnych i dlatego poświęcamy mu to wdzięczne wspomnienie.

Ś. p. Marcinkowski urodził się we wsi Mostyszczach, w gubernii kijowskiej d. 29 stycznia 1823 r. W r. 1838 przygotowanego już w do-

kowej edukacji, oddano na pensją, utrzymywaną w Kijowie przez Józefa Korzeniowskiego, z której po kilku już miesiącach zdał egzamin do piątej klasy gimnazyalnej. Z domu rodzinnego, dzięki wpływowi matki, pięknie ukształconej i wielkiej miłośniczce literatury, wyniósł ś. p. Antoni, ten namiętny pociąg do zajęć umysłowych, jakim się całe życie odznaczał; zdobywszy sobie nie mały zasób wiedzy gruntownej i znajomość ledwie nie wszystkich europejskich języków pracą zupełnie samodzielną; studyów bowiem uniwersyteckich po trzech latach musiał zaprzestać, zapadłszy na chorobę piersiową.

Zawód swój literacki rozpoczął ś. p. M. w „Tygodniku petersburskim,” zachęcony przez mieszkającego w Kijowie Jakóba Jurkiewicza (Benedykta Dołęę), który był współpracownikiem owego pisma polityczno-literackiego, mającego wówczas wziętość nie małą. Wkrótce jednak razem z J. J. własny organ założył, objąwszy wydawnictwo rocznika p. t. „Gwiazda,” który był powstał w Petersburgu z inicjatywy Padalicy (Zenona Fisa), a następnie przeniósł się do Kijowa, i stał się tam bronią walki zażartej postępowców z koteryą „Tygodnika petersburskiego,” przeważnie zaś z Przecławskim, Rzewuskim, Grabowskim i ks. Hołowińskim. Walka ta, która wiele narobiła hałasu, dała pierwszy rozgłos Marcinkowskiemu, występującemu w niej pod nazwiskiem Alberta Gryfa. Po dwóch latach usunął się M. od „Gwiazdy” a natomiast wydał na własną rękę książkę zbiorową p. t. „Lewiatan,” gdzie, po dotychczasowych pracach w dziedzinie filozofii i krytyki, ogłosił pierwszą swą próbkę powieściową p. t. „Ideały i karykatury” (r. 1848).

Odtąd działalność literacka M. w obu kierunkach rozwija się coraz szerzej, zwłaszcza kiedy pisać zaczął do „Dziennika Warszawskiego” i „Gazety Warszawskiej,” w których ogłosił szereg studyów zajmujących filozoficzno-krytycznych, przedrukowanych później przez Teofila Glücksberga w dwóch tomach (r. 1857). W tymże czasie odbywszy podróż do Odessy i Krymu, wywozi on z niej wspomnienia, które wydał u Glücksberga p. t.: „Stepy, morza, i góry” (r. 1854). Z powieści zaś, po „Ideałach i karykaturach,” ogłosił w 1857 r. powieść: „Dwie siostry,” która ogromne miała powodzenie, jako pełna dowcipu i obrazów, stosunków towarzyskich na Ukrainie, dalej w tymże rodzaju niejmniej udatne „Pamiętniki kuratora zbożowych magazynów” i nareszcie „Starego biuralistę.”

„Pogranicza naddnieprzańskie,” powieść historyczna z czasów najdamacyzny, mniej już była udatną i stanowiła pewien przełom w umyśle i duszy Marcinkowskiego, który w tym czasie wyrzekłszy się heglizmu, stanowiącego ulubioną jego doktrynę, i wszedłszy na drogę religii objawionej, oddał się pracy już zupełnie w innym kierunku: studyował dzieła religijne, przetłómaczył „Konferencye” Lacordaire’a, oraz „O pełnieniu powinności chrześcijańskich” ks. Dubois, oraz skompiłował „Dzieje Kościoła” (nie wydane); a obok tego ze szczególnem zamiętowaniem zabrał się do badań ludowych i mitologii. Owocem pra-

cy na tém polu było dzieło „Lud ukraiński,“ ogłoszone w dwóch tomach, oraz niewydana dotychczas „Mitologia porównawcza słowiańska“ i „Historja bajek ludowych.“ W téjże epoce przetłómaczył z Lewesa „Żywot Goethego.“

Skutkiem tych studyów umysł Marcinkowskiego stracił dawną energią, a nawet uległ wreszcie rozstrojowi pewnemu. A że przytém, zagrzebany w księgach teologiczno-filozoficznych, pisanych w obcych językach, nie dość żywo w ostatnich czasach zajmował się piśmiennictwem krajowém; stracił na końcu nietylko dawną łątwość i jasność stylu, ale i świadomość potrzeb i kierunku obecnej chwili; skutkiem tego, jakkolwiek pisał ciągle i artykuły swoje proponował różnym redakcyom, nie wiele się z tego mogło drukować.

Ostatnią pracą powieściową Marcinkowskiego była „Złota doba“ z życia ludu ukraińskiego, ogłoszona w piśmie zbiorowém kijowskiém p. t. „Kwiaty i owoce,“ ostatnie artykuły krytyczne drukował „Wiek“ przed kilku laty; „Kłosa“ w t. XXIV umieściły „O zapożyczaniu anekdot i legend,“ oraz „Badania wierzeń i podań ukraińskich;“ wreszcie „Tygodnik mód i powieści“ podał roku przeszłego szkic biograficzno-literacki p. t. „Józef Ignacy Kraszewski w literaturze i społeczności naszej.“

W ostatnich czasach ś. p. Marcinkowski zajmował się z upodobaniem archeologią i napisał rozprawę (niewydaną) „O stopkach znajdowanych na kamieniach w kurhanach,“ nadto zaś opisywał wspomnienia z własnego życia, kreśląc w nich wizerunki ludzi wybitnych, których znał z oblicza, jak np. Korzeniowskiego, Grabowskiego, Świderskiego, Padalicy i innych.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*



De II. 1

POGLĄD

NA OBECNY STAN FILOZOFII SPOŁECZNEJ

W SYSTEMACIE UMIEJĘTNOŚCI.

SKREŚLIŁ

Dr. J. B. Oczapowski.

Kto śledzi uważnie współczesny ruch umysłowy, dostrzegł niezawodnie, że w piśmiennictwie zapanował w ostatnich czasach obok wyrażnej dążności specjalizowania umiejętności, rozstrzeliwiającej pod hasłem „podziału pracy,” umiejętne badania i onych rezultaty, zapanował, mówię, od lat kilku pewien prąd skupienia samych wyników, wynioskowania i kondensacyi zasad przewodnich i przewodnich myśli. Dążność ta objawia się bądź jako wypadkowa owych prac poszczególnych, bądź jako syntezujące dążenie do ujęcia ich w mniejsze lub większe całości i całości kształty umiejętne. Zamiast poszukiwań analitycznych, których obszar i zakres dalekie są od tego, aby mogły być wyczerpane lub zeszyły na drugi plan badań, owszem specjalizują się one coraz więcej, nastaje i wznaga się potrzeba zjednoczenia poszczególnych prawd i faktów umiędnych, zestawienia i odtworzenia ich w całości kształcie przestronniejszych prawd ogólnych. Bliżej przyglądając się temu ruchowi, nabywamy przekonania, że wzgardzona przez naukowych specjalistów, w części z własnych win zdyskredytowana filozofia wraca do nieprzedawnionego swego prawa porządkowania i jednoczenia zasad nauk, członków i jednostek umiędnej rozplitej rzeszy naukowej.

W miejsce wielu pojedynczych nauk „społecznych,” w miejsce „grupy” nauk szukających odnośnie do reszty, własnych jeszcze granic, zagarniających bez powodu, to przyswajających sobie nowe dziedziny, światła zaczyna obiecująca dziedzina ogólnych przemian, filo-



zofia społeczna, ogarniająca to, na co zdobywały się dotychczas poszczególne „filozofie:” prawa, państwa, obyczajów, życia ekonomicznego, dziejowego rozwoju ludzkości i t. p.

Dawniej wystarczały też dla pragnących zorientować się w obszarze nauk społecznych, badania tych pokrewnych przedmiotów, disjecta membra owjej syntezy; dziś nawet wystarczają dla pogłębienia i rozszerzenia umysłowego widnokregu we „własnym” zakresie, encyklopedye: prawnicza, polityczna, ekonomiczna, historyczna, bądź wykładane po wszechnicach jako przygotowanie, bądź też jako przypomnienie i głębsze w jedność powiązanie wyników a prawd naczelných pojedynczych „fachowych” umiejętności, wreszcie połączone z właściwą każdój grupie tych nauk metodologią. Piśmiennictwo naukowe może się poszczycić nieposledniej wartości utworami jak: Ahrensa, Waltera, Holtzendorffa, Mohla, Morgensterna, Baumstarka, Droysena, encyklopedyami i metodologiami prawa, nauk politycznych, nauk gospodarczych i historyi.

Dziś pracownicy w rozlicznych dziedzinach nauk, odnoszących się do człowieka zbiorowego, oglądają się za wyższą jeszcze syntezą i encyklopedyą, któraby wcieliwszy w siebie owe członki rzeszy naukowej, roztopiła je w sobie poniekąd i wyższy całokształt filozoficzny utworzyła. Kierunek pozytywny w filozofii, nie usuwając owych pomniejszych, obracających się w ciśniejszym zakresie „encyklopedyi” i „filozofii” poszczególnych, sięgnął do generalizacji więkšej i wytworzył „Socyologią.” Prawda, że „nie wszystko złoto, co się świeci” i że wiele niedostaje zapowiadanej, w części z niewątpliwym skutkiem rozpoczętej wszechspołecznej filozofii, niedostaje w tém coby zdołało zwyciężko i nieodwołalnie przekonać skromnych badaczów mniejszych obszarów o potrzebie i zwyciężkiem wyrugowaniu pomniejszych społeczno-encyklopedycznych badań i generalizacji.

Z tém wszystkiém panująca szkoła myślicieli „integruje” mówiąc jēj słowy zagadnienia „ustroju” i „życia” społecznego. Prace jēj wiele obiecują, choć nie wiemy o ile dotrzymają. Herbert Spencer wydał pierwszy tom i początek II^o, Socyologii („Cereinonial Institutions”), kurlandzki gubernator Lilienfeld, myśliciel nieposledni, 4 tomy „Gedanken über die Socialwissenschaft der Zukunft,” Schäffle zaś ukończył już prawdziwą encyklopedyą społeczno-naukową ¹⁾, którą mieni sam rysem encyklopedycznym anatomii, fizyologii i psychologii społeczeństwa, gdzie 1-szy tom obejmuje zasady ogólne wraz z psychologią i etyką społeczną, 2-gi rodzaj historyozofii, 3-ci ekonomikę i populacyonistykę, sprawy plemienne i klasowe, 4-ty wreszcie dzieje mowy, ducha zbiorowego towarzyskości, pisma, wychowania, wreszcie gminy i państwa, wraz z etnologicznym przeglądem ras i uspołecznienia onych.

¹⁾ „Bau und Leben des socialen Körpers. Encycl. Entwurf oiner realen Anatomie, Physiologie und Psychologie der menschlichen Gesellschaft. Tübingen. Laupp.” 1875—1878 r. 4 tomy.

Nad tą pracą, jako ukończoną, zastanowimy się bliżej przy innej sposobności, dzielając zdanie Frantza, że przewyższa znacznie dotychczasowe polityczne i społeczne utwory i systematyki. Tutaj zaznaczamy, że czasopisma naukowe i literackie skwapliwie pochwyliły te „nowości” i zdają sprawę z ułamków, nie czekając aż autorowie „socyologii” wypowiedzą ostatnie swe słowo, dadzą poznać, odsłoniwszy budowę, ogrom pojedynczych a spożytkowanych badań, spojonych jedną przewodnią myślą. Wiemy też, że nawet dzieła z ogólnej dziedziny nauki o państwie i o prawie politycznym omawiają te „najnowsze prądy” szkoły ewolucyjno-pozytywnej, mimo że, z wyjątkiem Schäffle’go, autorowie nie doszli w badaniach swych do rozbioru państwa i jego urzędzeń. Sądy te wszakże pozwalamy sobie uważać za przedwczesne.

„Moda” wywiera wprawdzie wszechwładny swój wpływ nie tylko na obyczaje i stroje; lecz wyciska swe piętno na utworach współczesnego naukowego piśmiennictwa, a nadto na literackich kierunkach i sprawozdaniach o „nowościach” poszukiwanych, bo—popłatających. Niezgorzej wszakże byłoby przekonać się o tém, ażali istotnie „najnowsze prądy” nie miały poprzedników, ażali pisarze mniej wprawdzie doniosłego imienia i umysłu, przed nimi nie kusili się o ową syntezę nauki społecznej. Możeby usiłowania ich dały się wydrzeć niepamięci, a oraz przekonać czytelnika, że „socyologowie” dawniejsi dążyli również do syntezy społeczno-filozoficznej, lubo w czasie naszym, bijącym pokłony przed powodzeniem i skutecznym w selekcji naukowej i niewzruszonym pomysłem,—zapomniano o nich. Wszakże nateraz zostawiamy na stronic owe „socyologiczne” początkowania i próby.

Pominiemy też „socyologią” Augusta Comte’a, raz dlatego, że była tylokrotnie u nas rozbiegana; powtóre, że Comte jest przeciwnikiem a priori różnych nauk społecznych i ich encyklopedycznego opracowania, mniemając, że jedna tylko istnieje nauka społeczna. Mimo to wstrzymać się nie możemy od słów kilku ad vocem Socyologii, nazwy przyjętej i uświęconej przez tak wytrawnego myśliciela jak Spencer.

Wyraz ukuty przez Comte’a przyjęlibyśmy z „dobrodziejstwem inwentarza...” gdyby nie wykluczał znaczenia pojęć dotyczących związków społecznych w umiejętności dawniejszej nieco od „Socyologii,”—w jurysprudencji.

Prawda, że znawcy języka odrzucają i statecznie potępiać będą słowo urobione z bizanckiej prawniczej łaciny, skojarzonej z końcówką starogrecką, a łączące w sposób przypominający kulinarne przyprawy, wyrób językowy wzięty z dwóch odmiennych cywilizacji. Wszak zmarli angielscy myśliciele J. S. Mill i nieoceniony polityczny metodolog Cornewall Lewis słowo Comte’a wyraźnie uważają i piętnują jako barbaryzm. „Cobyśmy powiedzieli o Niem-

cu, pyta Lewis, któryby się posługiwał mianem Gesellschaftologia??” Mniejsza jednak o to.

Comte snadź nie znał zgoła znaczenia i odcieni myśli i słowa, przywiązywanych przez prawników do słów *societas* i *universitas* (patrz „Held, Staat und Gesellschaft“ t. I, str. 110). Nie użyłby bowiem w takim razie słowa utworzonego z *socius*. *Societas* oznacza spółkę i stowarzyszenie rozwiązalne, sklejone i sprzęgnięte wolą ludzką, nie zaś związek naturalny. Uczestnik *societas* może ze związku tego wystąpić dobrowolnie a przez to nie sprawia on ujmy całości, lubo trudno zaprzeczyć, że byt stowarzyszenia byłby na szwank narażonym, gdyby wolno było uczestnikom w większej ilości występować z niego. Co innego „*Universitas*,” *Communitas*, z kąd poszły francuzkie i angielskie *communauté*, *community*. Mowa prawnicza zaś oznacza społeczny związek trwały, niespożyty, nierozwiązujący się wraz ze śmiercią jego uczestników i nieustający mimo że się z tego związku uczestnicy usuwają przez śmierć. Taki związek stoi właśnie wspólnością i jednością założenia, może on osobników, t. j. uczestniczące w nim jednostki przetrwać, bo pokolenia całe rodzą się w nim i umierają, cementuje go pasmo podania (tradycji), a utrzymuje go w skupieniu duch wspólny—przedmiot badania nowej gałęzi psychologii, t. zw. „społecznej psychofizyki“ albo „Psychologii plemiennéj“ (*Völkerpsychologie*).

Otóż nie ulega kwestyi, że Comte miał na myśli właśnie taką społeczność niespożytą, a nie tylko stowarzyszenia założone gwoli chwilowemu—w pasmie wieków—pożytkowi lub przyjemności, że miał na uwadze „*Universitas*“ a nieśmiertelną społeczność przezwiał mianem znikoméj, względnie biorąc „*Societas*.“ Nazwa ukuta z „*Societas*“ bałamuci tedy umysł słuchacza lub czytelnika niewytrawnego. Lepiej w każdym razie mówić i pisać „filozofia społeczna.“

Powyższe znaczenie do umiejętności społecznej przywiązują téż pisarze kierunku pozytywnego. Lilienfeld, Spencer, Schäffle pojmują społeczność tak rozlegle. Nauce przeto o niej nadają (jako uogólniającej poszczególne badania dziedzin społecznych), charakter syntetyczny, a więc jakkolwiekbyśmy to chcieli obrócić—filozoficznój umiejętności.

Obok tego wszakże umiejętność nowa jest ramą, cyklem, opasującym drobniejsze dziedziny badań, ma więc znaczenie także i encyklopedyczne, co wyraźnie Schäffle zaznacza w nagłówku swéj pracy. Poniekąd, w zastosowaniu do dziedzin drobniejszego widnokregu, których wyniki w sobie jednoczy, jest ona tedy „umiejętnością o umiejętnościach“ społecznych, albowiem daje im wskazówki poznawcze; lecz metodologicznego charakteru swego nie tylko że wyużyć się zupełnie nie może: ale nawet nie pragnie. Wszelka znowu metodologia zakresu pewnych lub wszystkich nauk—nie może się obejść bez umiejęt-

tnego układnictwa, bez teorii związku i osnowy nauk, czyli klasyfikacji mniej lub więcej filozoficznej.

Pokrótkie kilkoma słowami dotknąć musimy encyklopedycznych i klasyfikacyjnych usiłowań poprzednich pisarzy, którzy wyprzedzili dzisiejszą filozofią społeczną.

Pomysł zjednoczenia w jeden obraz i całość kształt encyklopedyczny ludzkiej wiedzy sięga starożytności. Poniekąd za przyczynki do umiejętniejszej encyklopedyi można uważać Libri IX Rerum humanarum et divinarum antiquitates et disciplinarum Varrona, oraz „Historiam Naturalem“ starszego Pliniusza. W średnich atoli dopiero wiekach udało się mrowczej pracy klasztornych samotników zebrać materiał do całości kształtu wiedzy tak duchownej jak świeckiej. Naturalnie, zgodnie z charakterem całej owiej doby dziejowej, piętno tej pracy było teologiczne.

Dzieło Wincentego z Beauvais, dominikanina (Vincentius Bellovacensis): „Speculum majus“ (1250 r.) streszcza w sobie wszystko co znają wieki średnie z umiejętności i sztuk. Oczywiście pochodnią jego układu i budowy był Arystoteles. Mieszczą się więc w całym „Speculum“ trojaki nauki. Obok „speculum historiale“, niejako empirycznemu zapasowi wiedzy poświęcona encyklopedia dogmatyczna, mamy: speculum doctrinale—logika; naturale—fizyka i morale—etyka.

Wraz z odrodzeniem ukazały się przedmioty i zadania umiejętniejszej encyklopedyi w odmiennym świetle świeckiej wiedzy. Ale prądy renesansu nie sprzyjały zjednoczonej w całość wiedzy, zwłaszcza, że niezbędnym środkiem do układnictwa i encyklopedycznego traktowania była jasność w drogach poznania. Dopiero więc od czasu umiejętniejszej metodologii, czyli od Bakona werulamskiego, świtać poczynają pomysły encyklopedyczne. Usiłowania odosobnionych niemieckich badaczy, co grunt chcieli w tej mierze oczyścić jak Marcin z Bremy, Alsted (w XVII w.), nie mogły wydać owoców przy braku klucza poniekąd umiejętnego, jaki wiekopomny „Organon“ i dzieło de Augustis scientiarum (1646 r.) stworzyły dla układnictwa nauk.

Drogoskazy myśliciela werulamskiego, jak wiadomo, spożytkowali uczeni zeszłego stulecia, a sama nazwa dzieła ich zbiorowego, wskazuje, że umysłowość počęła się skupiać wkoło, że sławna „Encyclopédie“ ogarnia ruch naukowy, nadaje mu piętno charakterystyczne wszystkowiedztwa niekoniecznie głębokiego, ale zawsze ilościowo imponującego.

Nie chcemy ani możemy oceniać dążeń tych tylokrotnie zresztą omówionych i wyświeconych. To tylko pewna, że d'Alembert w sławnym zagajeniu „Discours préliminaire“ słownikarskiej „Encyclopédie, dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers“ (1751—1780 r., 37 tomów) sprowadza i nawiązuje układ wiedzy do psychicznych funkcji: pamięci, rozumu i wyobraźni, według wskazó-

wiek Bakona. Owocem téj zbiorowój pracy, torującej drogę do opracowań bardziej szczegółowych i specjalnych jest większa jeszcze „Encyclopedie méthodique“ w 158 tomach in 4-to między 1783 a 1814 r. wydana.

W naszym stuleciu były próby mniej udatne pisarzy niemieckich: Schmida i Kruga, Krünitz'a i t. p. do mniejszego zakresu się odnoszące. Prawnik i statysta ze szkoły liberalnej starego autoramentu, Welcker, mając na oku budowę encyklopedyi prawa i polityki, wystąpił w r. 1829 z „Universal- und juridisch-politische Encyclopädie u. Methodologie, oprócz jednak niezgorszych wstępnych poszukiwań o istocie prawa, wolności i dziejów prawa, poprzestał jedynie na klasyfikacyi nauk, w związku dosyć luźnym. Chodzi mu bowiem głównie o wykształcenie wyższe t. zw. dzisiaj fachowe. Według tego pedagogicznego sprawdzianu tworzy grupy: a) poznania życia wewnętrznego, b) dóbr zewnętrznych, doczesnych, c) społecznego i sprawiedliwego skojarzenia w uorganizowanym związku funkcji i praw żywotnych ludzkich; ztąd klasyfikuje nauki na: 1) filozoficzne; 2) teologiczne; 3) przyrodnicze i lekarskie; 4) techniczno-przemysłowe (ekonomiczne) i 5) prawne i państwowe, które nazwać można społecznymi (Gesellschaftswissenschaft).

We Francyi zajął się związkiem i układem umiejętności znany przyrodnik i myśliciel Ampère. Jego „Essai sur la philosophie des sciences“, wydane w r. 1834 i 1843 w dwóch tomach, obejmuje przegląd i układ nauk według dwóch działów: kosmologicznych i umiejętności noologicznych (od greckiego νοῦς).

Drugą część noologiczną wydał po śmierci ojca znany historyk Juliusz Ampère, w 9 lat po pierwszej.

Umiejętności kosmologiczne badają zjawiska rodzajów i gatunków królestwa mineralnego, roślinnego i zwierzęcego; czynników przyrody i ich wynikłości, ustroju ciał martwych i żywych w stanie normalnego żywotnego procesu lub zboczeń chorobliwych; wreszcie zajmują się temi „oderwanemi jestestwami“ i wyrobami umysłowemi, które jednak tak się zespoliły z umysłem, że niepodobna wydzielić ich z całości kosmicznych zjawisk. Takiemi są pewniki i twierdzenia matematyki i mechaniki. Ztąd bierze Ampère pochop do ukłasyfikowania w dwie grupy nauk, badających zjawiska świata martwego oraz ilościowe i jakościowe objawy życia organicznego. Nauki matematyczno-fizyczne stanowią pierwszą, kiedy drugiej odpowiadają fizyologiczne, nazwane dziś trafniej biologicznymi przez nieboszczyka G. H. Lewesa'a, mieszczące w sobie to, co potoczna mowa zowie „Historją naturalną“ oraz nauki lekarskie. Pierwszy dział zowie Ampère „właściwemi“ kosmologicznymi naukami, w czém zgadza się z Lewesem ¹⁾.

¹⁾ Ob. niżej.

Może być, że systematyka ta zostawia nieco do życzenia w obec dzisiejszego stanu umiejętności „przyrodniczych,” w czym zresztą piszącemu niewolno kusić się o sąd. To jednak pewna, że w drugim piśmie dzielnym dziele i tomie spotykamy się z podziałem (już na owe czasy nie wystarczającym) tego, co Francuzi podciągają pod akademickie miano „sciences morales et politiques,” dziś nieodpowiednie ¹⁾, a co nasz Supiński zowie „światem ludzkim.”

Co prawda, uczony noologizm („noologiczne” umiejętności), zbyt jest naciągnięty. Wprawdzie starzy grecy ściągali do *vous* wszystko, co wypływa z ludzkiego umysłu i woli a więc i działania, aczkolwiek „praktyczne” dziedziny „świata ludzkiego” w części są umiejętnościami ściśle badawczymi, w części „konstrukcyjnymi” teoryami sztuki np. wychowania, postępowania z ludźmi, jak wykazali J. St. Mill i Bain o pedagogice, etyce i t. p. Mniejsza jednak o to. Utwory uczucia, o pamiętności, rozumu, smaku zapewne w wielkiej łączności zostają z *vous* w bliższej zawsze jak z matematycznymi i fizycznymi, a nawet organicznymi prawami przyrody.

Ampère zbija mimochodem klasyfikacją Ventury, który uszykował dziedziny wiedzy, według tego, czy mają za podstawę: powagę, rozum lub obserwację. U Ventury „obserwacja” stanowi bowiem i podstawę i narzędzie tylko kosmo- i biologicznych nauk, kiedy wiadomo, że i w społecznych dzisiaj uznano jej niezbędność, zwłaszcza, gdy „rozum,” t. j. metafizyczne zaciekania—dużo narobiły złego w tym rzędzie badań. Zkądinąd znowu nazbyt widoczny tutaj zamiar podciągnięcia prawa i państwowostwa pod Objawienie i prawdy teologiczne, że już zamilczymy o „służalczym” charakterze filozofii. Zresztą umiarkowani myśliciele obozu O. Ventury sami wypierają się dziś takiego metodologicznego poglądu, który był na czasie... w wiekach średnich.

Noologiczne tedy nauki obejmują u Ampère’a dwa główne działy: a) właściwych i b) społecznych. Właściwe noologiczne nauki stanowią to, co dotychczas uważano za przedmiot „zawodowej” (?) filozofii i co filozofowie uprawiają. A więc: metafizyka, logika, psychologia, etyka, estetyka.

„Społeczne” nauki Ampère klasyfikuje jako etnologiczne i polityczne. Do pocztu pierwszego wchodzi obok etnologii i języko-

¹⁾ Grupa „sciences morales et politiques” jest nazwą bałamutną, bo w Akademii odnośnej zajmują się zagadnieniami czystej „filozofii,” metafizycznymi i psychologicznymi obok prawd etycznych. Otóż, rzecz dowodu nie potrzebuje, zagadnienia te nie są społecznymi, lecz wkraczają w sferę biologiczną i kosmologiczną, jeśli rozbiór ich ma być wielostronnym; 2) dotychczas nikt jeszcze nie określił w zadowalający sposób we Francji, zakresu i osnowy nauk politycznych właściwych.

znawstwa,, nauki historyczne, do drugiego wszystko co rozumiemy przez nazwę nauk prawnych, ekonomicznych i państwowych. O ile wypada uznać trafność pomieszczenia etnologii między społecznymi gałęziami wiedzy, (Fryderyk Müller, przedstawiciel dzisiejszy tej umiejętności, zaznacza to wyraźnie, a Schäffle w 20 oddziale swój Encyklopedyi, zaświadcza potrzebę wciągnięcia prawd, odnośnych w całokształt naukowo-społecznych badań) o tyle mniemamy, że lepiej zarzucić rozgraniczenie powyższe na dwa wrzekome działy nauk społecznych, zwłaszcza, że poczet nauk politycznych Ampère podaje wcale niedostatecznie. Nie tu miejsce ani czas do polemiki z układem pisarza przyrodnika, przed laty czterdziestu, zwodzącego w jedną klasę to, co na pierwszy rzut oka nominalnie tylko do niej się odnosi. Dostyć powiedzieć, że ani t. zw. „polityczna“ geografia, ani ekonomia, nie mogą już dziś powoływać się na ów tytuł. Pierwsza jest bowiem niezdarnym zlepkiem ziemioznawczych etnograficznych wiadomości, obok należących do statystyki ludności i do statystyki ekonomicznej, z rysem faktycznych stosunków państwowego układu. Gdyby myśl Kniesia i Rummelina oraz piszącego ¹⁾, względnie od dzielenia tego politycznego krajoznawstwa od właściwej ilościowej statystyki, weszła w życie, czém nie łudzimy się wobec metodologicznej anarchii pośród statystyków i statystów, mielibyśmy coś, coby zastąpiło „polityczną“ geografią i zajęło pożyteczne miejsce, jako opisowa gałąź nauk państwowych. Co się tyczy ekonomiki, jest ona tak samo ogólnospołeczną nauką, prawdy i wywody jej niezawisłemi są od badań państwowznawczych, jak prawdy teorii wzrostu ludności, czyli populacyonistyki. Że poniekąd miała ekonomika prawo i zasadę, zwać się „polityczną“ w wieku zeszłym, za Ad. Smith'a i fizyokratów, którym chodziło o zmiany administracyi państwowej, to prawda. Ale „co było a nie jest, nie pisze się w rejestr,“ fuit politica sed non est. Niewłaściwą téż jest nazwa „Nomologii“ dla nauk prawnych, bo prawnik naukowo wykształcony nie poprzestaje na pisaném prawie, lecz bada i zycza jowe.

Pochwalić znowu tylko należy, że Ampère zamieszcza pośród państwowych, nauki wojskowe, lekceważone przez statystów, zwłaszcza w owym czasie.

Jakkolwiekbyż układ Ampère'a nie jest arcydziełem, przyznać trzeba, że wtedy był niemałą zasługą. Może okaże się potem, że poczyniwszy stosowne poprawki i uzupełnienia, encyklopedia społeczno-umiejężna, mogłaby nawiązać doń klasyfikacją swych rozczłoni i gałęzi pojedynczych.

Układ i rozczłonkowanie nauk Ampère'a, aczkolwiek widocznie oparte na dualizmie ducha i materyi, dzisiaj coraz bardziej zlewanych z sobą nie dla celów płytkiego materyalizmu, jak mniemają umysły nieoswojone z biegiem ludzkiego myślenia iście filozoficznego,

¹⁾ Por. „Statystyka i Poligrafia“ w *Ekonomiście* za r. 1873.

lecz gwoli racjonalnemu monizmowi, znajdują dziś uzupełnienie w poglądzie Lewesa, dalekim od skrajności.

Lewes wszystkie uniejętności dzieli na kosmologiczne, gdzie przemaga pogląd mechaniczny, do ilościowych zjawisk wszystko sprowadzający,—i na biologiczne, w których żywotne zjawiska wymagają, oprócz pierwiastku ilościowego, wzięcia w rachubę sensoryjnego czynnika jakości, ile że czucie mechanicznie nie da się wytłómaczyć¹⁾. Żąda też Lewes zbliżenia między naukami badającymi zjawiska organiczne i społeczne, czyli pragnie, aby filozofia społeczna więcej jak dotąd ma miejsce, posiłkowała się metodą badań fizjologii. Zdrowy ten postulat nieco dawniej wypowiedział był już niemiecki filozof Krause, którego głębokie pomysły znają tylko współcześni, przez uczniów jego filozofów prawa: Ahrensa i Rödera. W ostatnim czasie Flint podniósł słusznie znaczenie historyozoficzne Krause'go.

Jakkolwiek bądź trafnym jest zdanie Lewesa, że nauki badające życie czy osobników czy zbiorowości, mają to wspólne, że zajmują się jakościami zjawiskami Czucia, nie tylko mechanicznymi środkami i rozumowaniami wytłómaczyć się dającego. Są przeto sui generis w porównaniu z kosmologicznymi. Zadaleko zaprowadziłyby nas metafizyczna myśl, ukryta w tej oględnej klasyfikacji, która trzeźwego myśliciela angielskiego stawia w innym świetle, jak koryfeusza pozytywizmu francuzkiego, popłacającego u nas. Myśliciele angielskich mała lubimy i pojmujemy, może dlatego, że nawyknięcia wiekowe „zachodniej cywilizacji“, którą się szczycimy, skłaniają nas do absolutyzmu w myśleniu równie jak do skrajności wszelakich, właściwych umysłowości plemion romańskich. Niedarmo nazwano nas „Francuzami Północy.“ Piszący zawsze jest i był wrogiem owej romańsko-plemiennej wrażliwości i skrajności umysłowej. Mniema też wraz z Fr. Krupińskim, M. Wiszniewskim, że siedlisko „porządnego myślenia“ nie jest nad celycką Sekwaną, lecz w Albionie.

Pominiemy klasyfikacją i rodowód „seryalny“ uniejętności Comte'a, który także cieszy się uznaniem u „Francuzów mazowieckich“, raz dlatego, że czytelnik osłuchał się i naczytał niemało o owych „wielkich odkryciach“, sławetnym „prawie trzech stanów“ umysłowości (loi des trois états) o naukach wrzekom o oderwanych i konkretnych.

Do 6-ciu zasadniczych nauk dodał Comte 7-ą etykę, ale wtedy, kiedy przechodząc w „podmiotowy“ okres swego filozofowania, marzył o nowej religii, a wziął rozbrat z rozsądkiem.

Podzielamy zupełnie zdanie Franciszka Krupińskiego²⁾ co do niedostatków w układzie tym, mianowicie co do braku w nim Psychologii i Estetyki. Uczniowie „prawowierni“ mistrza nie ulepszyli, zdaniem

¹⁾ „Forthnightly Review“ za rok 1871. Artykuł „Course of modern thought, część dzieła „Physical Basis of Mind.“

²⁾ Szkoła pozytywna, w „Bibliotece Warszawskiej“ z r. 1868.

naszém, układu umiejętności. Utożsamiać historią z „socyologią,” jak to czyni Littré ¹⁾ lub przyłączać dla przywidzeń psychologią do biologii, nazywając pierwszą „physiologie psychique,” jest to nierozumieć warunków metodologicznego pozytywnego myślenia. Tylko materyaliści z odstoniętą przyłbicą mogą dziś zaprzeczać samodzielnosci Psychologii po pracach Spencer'a, Bain'a i Lotze'go. H. Spencer wykazał niedostatki i jednostronność klasyfikacji nauk Comte'a. Według tego dziś największego pozytywnego choć nie pozytywistycznego na modłę paryzko-warszawską myśliciela, jedynie właściwym jest podział nauk na umiejętności, zajmujące się badaniem jestestw oderwanych i umiejętności o rzeczowych objawach. Owenagie, oderwane formy bytu badają Logika i Matematyka. Są to nauki o postaciach bytu. Z objawów zaś bytu, każdy jest mniej lub więcej złożony i wyjawia się pod różnemi postaciami i trybami. Tryb badać można osobno lub we wzajemnym trybów na siebie oddziaływaniu i związku. Jeżeli pominiemy wpływy postronne, możemy wyrozumieć i zbadać osobno dane prawo zjawiskowego bytu. Uwzględniając łączne działanie różnych wpływów, staramy się wytłumaczyć objaw w jego całkowitości, jako wynik wielu sił współdziałających. Prawdy, do których dochodzimy pierwszym trybem badania, jakkolwiek są konkretne, bo odnoszą się do przedmiotów namacalnych, jakkolwiek odnośnie teoretyczne zagadnienia składają się na zadania praktyczne, które rozwiązać usiłuje praktyczno-techniczna nauka odpowiedniego kunsztu; o tyle jednak są też i oderwanemi, o ile jedynie tylko uwzględniają niektóre bytu strony. Prawdy zaś otrzymane drogą łącznego badania wpływów warunkujących dane objawy, są w całym tego słowa znaczeniu konkretnemi, gdyż biorą w rachubę kombinacją trybów sił, tak jak tryby te bytują w odrębnej całości. Ztąd obok abstrakcyjnych: logiki i matematyki, otrzymujemy poczet umiejętności abstrakcyjno-konkretnych jak: mechanika, fizyka, chemia wraz z onych rozgałęzieniami, oraz poczet prawdziwie konkretnych nauk: astronomia, geologia, meteorologia, biologia, psychologia, socjologia i etyka (wraz z filozofią prawa) ²⁾.

Wszystkie powyższe klasyfikacje umiejętności zgadzają się z sobą i zbiegają w tej układowej i metodologicznej prawdzie, że ostatnią dziedziną wiedzy jest to, co nasz Supiński zowie „Światem ludzkim“ albo Człowieczeństwem. Człowieczeństwo, jako realny całokształt jestestw rozwijających się we współistnieniu i kolekwików, stanowi przedmiot tych umiejętności, które zajmują się wszys-

¹⁾ „La science au point de vue philosophique,” 1873 r., str. 432.

²⁾ Oprócz „Classification of sciences,” patrz przedmowę do „First Principles.” Dawniej już nadmieniliśmy, że „Social Statics“ należy do etyki nie zaś do „Socjologii.”

tkiem, co nie dotyczy przyrody bądź martwej bądź organicznej. Jest tedy przedmiot badań filozofii społecznej i etyki „nadorganicznym.“ „Istnieją przeto, pisze myśliciel francuzki umiarkowany, co prawda, Dufau, „fakty przyrodzone i fakty społeczne.“ „Sapientia sat.“ Dzieło Schöfflego, mniej wprawdzie wydatne, łączy w jedną całość zagadnienia tych „dwóch światów umiejętnych.“

Całe zagadnienie o jednorodności praw i objawień świata przyrodzonego z jednej, a społecznego z drugiej strony, nie da się w kilku słowach rozwiązać, rozciąć, zaprzeczyć, lub gołosłownymi, apodyktycznymi wywodami i twierdzeniami poprzec; lecz wymaga rozbioru bardzo ogłędnego i wyczerpującego. Stanowi ono też rzeczywiste punkt wyjścia filozofów społecznych nowszych. To, co pisali w tej mierze Carey, Schöffle, Lilienfeld, stosowna będzie roztrząsnąć wtedy, gdy poznamy „ustrój ciała społecznego,” za przewodem Schöfflego. Niniejsza praca, badająca postulat filozofii społecznej z punktu widzenia naukowego ukłádnictwa, winna sobie jeszcze postawić pytanie, o ile pożądana wszechspołeczna umiejętność sprostać zdoła w dzisiejszych warunkach społecznej wiedzy, swemu syntetycznemu zadaniu.

Poprzednicy dzisiejszego filozoficzno-społecznego kierunku i rozumowania, dochodzą w każdym razie do przekonania, że wszechspołeczna umiejętność, o jakiej traktują dzisiejsi „socyologowie,” jeśli ma być pełnym odbiciem potrzeb, stosunków, dążeń, norm i upostaciowań całej ludzkiej społeczności, powinna objąć i uwzględnić wszystko, co się odnosi do tak zwaną „materyalną” strony społecznego bytu i rozwoju, a więc do gospodarstwa i przemysłu; do uprawy umysłu i uzacnienia obyczajów; do urzędzeń wreszcie społecznych, t. j., do prawa i państwa, układu politycznego, administracyi, kościelnych i towarzyskich stosunków, opartych na odcieniach i różnicach zajęć i zawodów, oraz rozdzielającego zawody te interesu.

Trzy więc głównie obejmuje, na trzy rozgałęzia się główne odnoży obszar badań wiedzy społecznej, które tymczasowo oznaczyć możemy, jako ekonomikę, naukę oświaty i wychowania, oraz etykę. Rozmyślnie usuwamy teraz na stronę ukłádnicze zagadnienie, o ile etyka ma następować po socyologii, lub integralnie wchodzi w skład wszechspołecznej umiejętności. Nie chodzi nam bowiem o związek rozczłonki filozoficznego całokształtu i kolei badań, lecz o to, czy społeczna umiejętność bada objawy społecznej woli. Nie ulega kwestyi, że tak jest, że urzędzenia państwowe i prawne ściśle wiążą się z obyczajem. Zogółowanie prawd wyświeconych przez owe trzy główne odnoży filozofii społecznej, stanowi właśnie cel badań nauki syntetycznej, do której dążą „socyologowie.”

Ze bodźce i czynności gospodarstwa, t. j., opanowania gwoli potrzebom zachowania bytu społecznego i jednostkowego sił przyrody i wymiennych sił ludzkich, działają i ukłádają się według praw po-

wszechnych, bez względu na to co godziwe, prawne, lub odpowiednie założeniom i ideałom różnych ludów i plemion—to stało się dziś niemal komunalem. Ekonomia, bądź ogólna nauka produkcji, wymiany i spożycia dóbr i wartości społecznych, bądź szczególnych zawodów gospodarczej pracy, posiada znamiona umiejętności niemal ścisłej, a zawdzięcza to wielostronnej metodzie badań, wielostronniejszej, jak w innych społecznych naukach. Nie jest co prawda tak dalece kosmopolityczną i pozbawioną charakteru narodowo-społecznego, jak mniema pewna szkoła ekonomistów, abstrakcyjnie budujących swe teorie, posługujących się błędną premisą psychologiczną o wrzekomym interesie osobistym, ślepym na instynkta społeczne, a głuchym na dziejowe uwarunkowanie prawa, obyczaju i urządzeń politycznych kraju, lub epoki. W tej mierze nowsi ekonomiści wyrzekają się Ricard'a i jego jednostronnych wniosków o „żelazném” prawie zarobków, jakoby zysk kapitalistów i przedsiębiorców zawsze zależał od stopy płacy robotnika; wyrzekają się zarozumiałej pewności szkoły manczestersko-żydowskiej, podszywającej się pod powagę Ad. Smith'a, zamiast przyznawania do genialnego, ale w najwyższym stopniu jednostronnego Ricard'a; wątpią, ażali podział bogactwa następuje zawsze i wszędzie w myśl kosmopolitycznych dźwigni i rachub ¹⁾. Ale z tém wszystkiém spór ten cały nie powinien przekroczyć szranków szkoły pism fachowych, nie powinien uwłaczać doniosłości ogólnie uznanych prawd ekonomiki. Jest on eksoterycznym w całym tego słowa znaczeniu i nie dziwić się, że dla „szerszych kół czytelników” jest niejasnych wiele zagadnień wewnętrznych, niedostatków i próżni, które ekonomika posiada, jak każde ułomne dzieło ludzkie. Jakkolwiekbądź, nauka społecznego gospodarstwa, niezaprzeczenie jest najbardziej rozwiniętą i uznaną gałęzią filozofii społecznej.

Możnaż to samo powiedzieć o etyce?.. Przypominamy, że przez to ogólne, jak się rzekło, tymczasowe przestronne miano, rozumiemy całokształt nauk, badających wolę ludzką we wszelkich jój ukształtowaniach: teorie o obyczaju, obowiązku, prawie i państwie. Powie może kto, że to odwieczne, starogreckie pojęcie, zarzucono dzisiaj po wyodrębnieniu w XVII wieku: *justum*, *honestum* i *decorum*? Niechaj zechce rozejrzeć się w programie K. Spencera (Przedmowa do 1-go wydania „*First Principles*”), gdzie do etyki wchodzi zagadnienia prawne i polityczne, gdzie etyka łączy się i uzupełnia z filozofią społeczną.

Naczelné pojęcia etyczne, lubo w systemach filozoficznych i utworach myślicieli, zestrzajają się w spójny „moralny kosmos” i według znaczenia swego nadają etyce pojęcie dobra najwyższego: rozbiegają się atoli w inne, nieraz przeciwne strony w tém, co wynika z założeń

¹⁾ Porównaj znamienite dzieło: „*Cliffe Leslie Essays in political and moral philosophy*,” 1879, zwłaszcza 26 *Essay*: „*On Political Economy and Sociology*,” tudzież 15: „*Philosophical method in political economy*.”

i metafizycznych poglądów różnych wyznań religijnych, służących im za kryterium i nieomylną wskazówkę. W kazuistyce zaś, w szczególnych normach ludzkiego postępowania, widzimy jeszcze większe odstrzygnięcie, w etyce np.: Talmudu, Koranu, Chińczyka Meng Tse i t. d.

Pomijamy rozbrat szkół filozoficznych co do kwestyi: czém jest „dobro najwyższe?” Być może, że odnośnie różne pojęcia i przykazania moralne sprowadzi do wspólnego mianownika umiejętność społeczna syntetyczna, głosząca: „że etyczne poglądy, że zasady pojęć tego, co jest prawe i godziwe, że rozpowszechniające się coraz więcej w społeczności i spotęgowane poczucie prawa, wolności i mocy moralnej, odpowiadają nieodbitym warunkom uzacnienia i udoskonalenia całego ustroju społecznego; że prawa etyczne, poczucie wyższego obowiązku i t. p., zostają w związku najściślejszym i są jeno wyższym szczeblem praw przyrodzonych.” Tak mniema przynajmniej i spodziewa się Liebfeld.

Jak obecnie rzeczy stoją, wielkie jeszcze zachodzą różnice i wielkie jeszcze sprzeczności dzieł zapatrywania na moralność, prawo i państwo, na społeczną i jednostkową etykę różnych ludów, zamieszkujących kulę ziemską. Choćbyśmy nawet przyjęli, jako niewątpliwy fakt, że główne zasady etyczne wspólne są ludom rasy śródziemnej (szczepów: aryjskiego i semickiego), to wyobrażenia religijne, metafizyczne i etyczne ludów cywilizowanych, rasy mongolskiej, jak Chińczycy i Japończycy, długo jeszcze stanowić będą przeszkodę do osiągnięcia pożądaney zgody. Niema już co mówić o niemowlęcych pojęciach etycznych ludów rasy czarnej, bo co się tyczy czerwonoskórnych amerykańskich Indyan, ci prawdopodobnie wyginą w niezbyt długim przeciągu czasu.

Dosyć nateraz przeciwstawić sobie wyznawców Buddyzmu i Chrześcijaństwa. Buddyzm liczy obecnie 500 milionów wyznawców, pośród mongolskich i malajskich narodów, stosunkowo wysoko wykształconych, i to nie licząc jeszcze w tém pokrewnych myślą metafizyczną zwolenników „Filozofii Bezświadości” Hartmann’a, ejusdem generis pesymistów wszelakich... Chrześcian jest 400 niespełna milionów. Prawda, że etyka ludzi, co wzrosli w wyznaniu Sakiemuni’ego, zbiega się w wielu punktach z przykazaniami chrześcijańskimi, a 5 przykazań Buddy mógłby chrześcianin podpisać—towarzystwu przeciw drczeniu zwierząt, marzenia Haeckla o „chrześcijaństwie mrówek”¹⁾ dzielnie wspomagają etykę buddystowską: ale gdzie znajdzie u Sakiemuni’ego wspańiałe, chrześcijańskie: Kochaj bliźniego, jak siebie samego?²⁾

¹⁾ Por. Edinburgh Review July 1879, str. 251: Art: „Fallacies of Evolution.”

²⁾ Bardzo dobry sąd o buddyzmie w „Introduction” do „Philosophy of History in Europe,” Flint’a. Quinet („Génie des religions,” str. 206) przeczy wprawdzie, aby buddyzm w teorii był pantoizmem, ale przyznaje (str. 207, l. c.), że jest antysocyalnym.

Wszelako nie tajno nikomu, że metafizyczną podstawą buddyzmu jest panteizm, idealny wprawdzie; wynikiem i postulatem etycznym unicestwienie własnej woli i jestestwa ludzkiego, wobec nieprzepartych potęg Bytu, kiedy Chrześcijaństwo opiera się w każdym razie na indywidualizmie i monoteizmie. Nietylko etnologia (Peschel) współczesna, lecz pozytywna filozofia społeczna przyszłości, przyznają zgodnie, że Chrześcijaństwo ma wyższość etyczną nad buddyzmem, równie jak nad etyką innych wyznań, gdyż „wyjawia najpotężniej różnicowanie między cielesnością a duchowością, współ z integracją ducha Boga i ludzkiego”¹⁾. Zalecamy odnośny ustęp Lilienfelda pozytywistom nieuprzedzonym i poważnym, a lekkoduchów filozofujących, w pozytywistyczne strojących się piórka, prosimy, aby sądy ferowali po wysłuchaniu za i przeciw...

W każdym razie nietrudno pojąć przepaść, jaka dzieli obydwa etyczne poglądy chrześcijaństwa i buddyzmu, jeśli zważymy na Nirwanę panteistyczną i na chrześcijański Indywidualizm. Z jednej strony brana rezygnacja i zatopienie się w bóstwie, które wierny uważa za świat, nie za Niepoznalnego—korzenie się przed wszelakimi władcami; z drugiej podniosła i otuchę wzbudzająca samodzielność i uczucie odpowiedzialności, które licuje i owszem, przypuszcza, a nawet wie o Niepoznalnym, lecz nie korzy się niewolniczo przed władcami i przed bezświadomą Siłą. Niema potrzeby rozprawać skutków tych różnic, tych odskoków. Biją one w oczy każdego nieuprzedzonego. Ostatecznie etyka jest wprawdzie umiejętnością dla ras wyżej uspołecznionych, ale nie umiejętnością wszechludzką, czyli społeczną; zasady jej teraz jeszcze nie kojarzą myślicieli, ani ludów kuli ziemskiej, ztąd i poglądy na zadanie urządzeń prawnych i państwowych, nie mogą się zbliżyć lub stopić w jedno. Nie odsądzamy przez to, ani ujmujemy rzetelnej doniosłości naukom prawa i polityki, chcemy tu, aby etycznie niżsi wzniesli się do nich, co już Japończycy czynią.

Co do wychowania i ukształcenia tak umysłu jak ciała i skutków tego procesu kształtowania charakteru osobników ludzkich, rozchodzą się także zapatrywania myślicieli i systemów pedagogicznych. Wprawdzie widoczny tu postęp od pewnego czasu, w obrębie przynajmniej ludów śródziemnych. Uznać tylko można i trzeba przyklasnąć usiłowaniu tak stworzyszeń kształcących, jak myślicieli nawołujących do rozwijania wielostronnego ciała i umysłu. Między pedagogami wszakże, utrzymują się wciąż różnice poglądów nie tylko co do zadań, ale i co do środków, wiodących do celu. Kiedy np. Herbart i jego szkoła stawia jako cel wychowania kształcenie wychowanego, to jest samego siebie; Beneke znów uważa umysł wychowawca za tablicę niezapisaną i utrzymuje zgodnie z Pestalozzim, że w charakterze odbija się wpływ zewnętrznych warunków, jakoteż towarzyszków współ-

¹⁾ „Gedanken über die Social wissenschaft der Zukunft,” tom III, str. 370 i nast. (Sociale Psychophysik).

wychowawców („z kim kto przestaje”). Fröbel znów twierdzi, że wychowanie rozwija tylko drzemiące w myśli i sercu skłonności pierwotne i pobudza wyrobienie charakteru. Już przed Spencerem i Bainem wykazał młodszy Fichte, że różność pedagogicznych systemów opiera się w gruncie rzeczy na odmiennych teoryach w zapatrywaniu się na własności funkcji i serca, czyli na odmiennych poglądach psychologicznych. W Europie zbliżamy się prawda do jednakość psychologii, a Stany Zjednoczone, najmniej w świecie filozoficzny kraj, przyswajają sobie widzenia myślicieli europejskich, w dobrej wierze, mniemają zapewne, że wynalazki „opłacające się” tak im, jak reszcie świata, są jak ongi w Anglii „philosophical inhumants...”. O psychologach atoli mongolskich ani murzyńskich nie słyszeliśmy. A przytém trudno temu zaprzeczyć, że między poglądami psychologicznymi, na których bez zaprzeczenia wspierać się powinna pedagogika, a etycznymi ideałami pewnej społeczności, ścisły istnieje związek. Nie tylko bowiem wychowanie wyrabia umysł, na co się wszyscy zgodzą, lecz powinno kształcić serce i wolę; ta zaś urobiona, jest materiałem stosunków i węzłów obyczajowych i ostatecznie społecznych stosunków i ukształtowań. Ideały społeczno-etyczne wpływają też wiele jako dźwignie społecznych przeobrażeń lub wytyczne i kryteria, do których wnoszą się oczy, serca, za którymi podążają czyny, na rezultaty wychowania. Wyciskają one zarazem odmiennie piętno całemu życiu tak towarzyskiemu jak politycznemu. Tak np. Chińczycy dążą w systemie wychowawczym swym nie do tego, aby uzyskać harmonijny rozwój człowieka dla niego samego i dla człowieczeństwa, lecz chodzi im o to, aby otrzymać przez jednostajne wychowanie i ukształcenie; — polityczną jednostajność, opartą na układzie państwowym patryarchalno-rodzinnym, na rodzinnym jedynowładztwie spotęgowanym biurokratyczną hierarchią urzędników, na „mandarynach” mniej lub więcej wyuczonych, egzaminowanych, na państwowym patentowanym rozumie gwoli ustrojowi politycznemu Niebieskiego cesarstwa. Tu więc wszystko polega i zasadza się na pamięciowej formalnie dresurze, na pedantyzmie rządowych egzaminów w gwarze uczonej, na odrębnej pisemności wyższych, przez państwo podwyższonych warstw i klas. Ostatecznie całe wychowanie jest mechanicznem. Forma krępuje samego monarchę tak jak poddanych i podwładnych, ścisła i nieubłagana cenzura obyczajów, przestrzega zachowania ceremoniału i ceremonii. Oświata, to jest poler pisemności, bardzo jest rozpowszechnioną w tym ludzie oschłym i pozbawionym porywów wznioślejszych; utylitarnym par excellence, bezpłatne i obowiązkowe nauczanie kształci ożywione narzędzia, ale indywidualność ludzką niszczy. Plemienność żółtej rasy wroga jest indywidualizmowi.

U ludów znowu romańskich w Europie, szkoła zapatrzona na starodawnych Greków i Rzymian, przesadzony klasycyzm w nauczaniu tak zwanem „średniem.” Wiadomo przecież, że ludy Rzplitych dawnych żyły jedynie polityczną wolnością, żyły tylko dla państwa

i przez państwo, że nie dbały, z wyjątkiem stoickich myślicieli, o ludzką dostojność, o wszechstronną uprawę umysłu, że dążność ta w praktyce wytwarzała rządy retorów, umiejętność krasomówczą i przesadę oratorską. To też u ludów romańskich w politycznych burzach i przewrotach swada starczy często za tytuł męża stanu, a w każdym razie jest bodźcem ambicyi, drogą do osiągnięcia zwierzchniej władzy. Minęły i mijają wszelako czasy, kiedy narodami rządzili mówcy ¹⁾.

Wielu badaczy społecznych niezdają sobie sprawy z różnicy między pedagogiką a oświatą czyli kulturą.

Samo słowo kultura, daje powód do nieporozumień. Kultura, jako ogłada i powierzchowny polór umysłowy, bez gruntownej wiedzy może być i bywa nieraz wysoką przy moralnej zgniliznie i obyczajowym rozprzężeniu. Dowodem Ateny w wojnie peloponezkiej, greccy demagogowie, Alcybiades, świetność sztuki greckiej obok zdrożności a przewrotności charakterów. Dowodem też Rzym Cezarów a choćby nawet Antoninów, kiedy zgnilizna lub indyferentyzm, nieodłączny od smętnej a szczytniej filozofii stoickiej Marka Aureliusza, toczył społeczność rzymską. Sami współcześni nam „zjednoczeni“, syci sławy i złota Niemcy, dowodzą życiem swém społeczném, zwłaszcza zaś w dziedzinie politycznych czynów i publicystyki, skażonej wstrętném samochwalstwem a pychą, że spadli na poziomy szczebel powierzchownej umysłowej ogłady, która licuje i zgadza się owszem z drapieżnym wyzyskiwaniem lub krótkowidzącą pogardą innych ludów i plemion. Jakże różnym stan umysłowy i obyczajowy posiadańskiego „Culturnation“ od wzoru i pojęcia jakie jeszcze „Kulturze“ nadawał Wilhelm Humboldt, kiedy mienił ją być „wszechstronném ucłowiczeniem, wyższém nad ów polór i szych społeczny, kiedy utożsamiał (?) kulturę „Bildungsfestigkeit“ i nazwał kulturę owocem dojrzałym tej zdolności wykształcenia i uzacnienia wszechstronnego?

„Kulturę“ jako naukę znali Niemcy jeszcze przed „Reichem“, (?) kulturkampfem i innemi przymiotnikami i imiesłowami z kultury urobionemi. Zarysy jój nakreślił przed 40 laty filozof społ. Lavergne Peguilhen, a już przed 65 ekonomista Storh. Wrzekoma ta społeczna odrębna nauka ma jednak tę wadę, że obszar jój zbyt jest rozległym, niemal tak przestronnym jak „socyologii“, że gdyby obszar był uprawnym a gmach „Culturwissenschaft“ wykończonym, toby stał się dla filozofii społecznej „ein Doppelgänger“ przynajmniej co do ilości zagadnień.

Najznakomitszy badacz dziejów „Kultury“, Klemm, który napisał w dziesięciu tomach historią jój, starał się wprawdzie w 1854 roku streścić obok dziejowego przebiegu, istotę owój kultury sławetnej i złożył zasadniczy swój pogląd na kulturę, w dziele osobném a niedokończonym, które zowie „Allgemeine Culturwissenschaft.“

Plan dzieła tego założył autor, co prawda, na wielkie rozmiary. Niestety, wykonał go ledwie w trzeciej części i to stosunkowo biorąc,

¹⁾ Pogląd ten cokolwiek za jednostronny, wypadalo bliżej uzasadnić.

w ułamku tylko tój $\frac{1}{3}$. „Kultura“ obejmuje według Klemm'a całe człowieczeństwo i wszelkie jego strony w przeciwstawieniu do bezświadomości (sic) „natury.“ Nie przestaje ona na pewnych szczepach, nie ogranicza się na pewnych utworach i płodach ludzkiego przemysłu, na dziełach i sprawach wojennych, piśmienniczych, zwyczajach, prawodawstwie i t. d. Łatwo poznać, że ten zakres łączy się nieraz z zakresem całej społecznej filozofii. Szkoda niepowetowana, że autor urwał swą pracę i olbrzymiego gmachu nauki ogólnej cywilizacji nie wykończył. Ale takie to już fatum nieubłagane, że z wyjątkami nieznanymi, mało która teorya wszechspołeczna czy wszechcywilizacyjna doczekała się zupełnego wyrobienia, uwieńczenia i całości. Może ta syzyfowa praca barki śmiertelnika przeciąża...

W dwóch dotąd wyszłych tomach, Klemm zastanawia się szczegółowo z niezmierną erudycją, (dla której posługiwał się własnymi zbiorami), nad zbadaniem przeróżnych muzeów etnograficznych i archeologicznych, okazując erudycją przedmiotową obok podmiotowej, do której nie umywają się (?), „les rapides lectures“ A. Comte'a. Rozbiera wszystkie dzieła ludzkie odnoszące się do: ognia, pożywienia, ubiorów, sprzętów, narzędzi, siedzib i oręża. Zowie on te przedmioty „materiałnemi“ kultury podstawami. Drzewo- i stalo-ryty mają unacznie badane przedmioty.

Dwie pozostałe dziedziny nietknięte przez autora, mają objąć to co się odnosi do rodziny i do państwa, tudzież do rozwoju umiejętności i sztuki, a więc to co zowią dotąd popolicie „historyą oświaty“, „umysłowości, (dziejami cywilizacji w znaczeniu utartém).

Jakież atoli znaczenie mają cenne te studia w obec dzisiejszych poszukiwań opisowej nauki społecznej Spencera, także niedokończonych—ale więcęć obiecującej kompilacji? Wiązkę szacownych co prawda, porównawczo-histerycznych poszukiwań nad tém, co w nowożytniej etnologii i antropologii zowiemy „warunkiem uspołecznienia plemion pierwotnych“, ludów tak zwanych rodzimych (Naturvölker), czyli tych, u których polityczny ustrój, umiejętności, sztuki piękne i kunsztu spowite są i spoczywają w kolebce, a więc warunki „pierwotnej“ kultury, nierównie głębiej odtworzone przez Tylor'a, w części przez Lubbock'a, w każdym razie warunki i podstawy społeczne przed nastaniem prawdziwej cywilizacji, państwa i uspołecznienia.

De facto jest przeto ułamek teoryi kultury Klemm'a, jednym na wielki rozmiar dokonany ustępem, rozdziałem, cząstkową dziedziną antropologii, nauki o człowieku w jego przeważnie rodzajowym bycie fizycznym, wprawdzie i psychicznym, zwłaszcza odkąd przyrodnik-myśliciel Perty uznał za stosowne wcielić do tej nauki etnologią i psychologią, zawsze jednak nauki więcęć przyrodniczej jak społecznej. Tłómaczymy się bliżej.

Etnolog i lingwista Fryderyk Müller usiłuje w ogólnej swój etnografii rozgraniczyć antropologią od właściwej etnologii i, zdaniem naszym, udaje mu się to zupełnie. Człowiek jako istota mówiąca i zwy-

czajem uspołeczniona, stanowi przedmiot etnologii; rodzaj ludzki zoologiczny, przedmiot antropologii. W świecie uczonym nie zgodzono się wszakże na te rozgraniczenia, które znajdujemy zresztą dawniej u Anglika Latham'a. Ten bowiem tak samo zakreśla przedmiot antropologii, jako rodzaj ludzki w świecie zwierzęcym, etnologii zaś każe badać odmiany tego rodzaju, szczepy, plemiona, vulgo rody rozrodzone i krewne nie tylko ze względu na skład fizyczny, na fizyognomiczne i fizyologiczne właściwości; lecz bacząc więcej jak to czyni antropologia na węzeł duchowy; łączący i znamionujący plemiona, na duchowy wyrób, mowę oraz plemienne zwyczaje i obyczaje. O ile etnologia wyrosła z antropologii, co historycznie da się niemal udowodnić, lub naodwrot, o ile antropologia zagarnie prawem starszeństwa dziedziny społecznych badań, które do niej nie należą, jak cały ustrój językowy i psychiczny; o to spierać się nie będziemy, aczkolwiek klucz etnologicznych układów i rozumowań porównawczej umiejętności języków powstał i utworzył się niemal za naszych czasów, podobnie jak młodsza jeszcze odrośl badań antro-po-etnologicznych, tak zwana dziś plemienna albo społeczna psychologia. Lingwiści, przyrodnicy i zasłużony w psychologii bądź co bądź filozof Herbart, dali pomysł lub złożyli przyczynki swe na polu tych umiejętności nowych, odznaczających się, (zwłaszcza dwie ostatnie metodą) analitycznych poszukiwań, duchem zalotnym badań genetycznych. W każdym razie gdy sprawdzono i dowiedziono, że przedmioty ich badań są wyrobem społecznym, że tak umiejętne badanie języka jak plemiennych właściwości, roztrząsają objawy życia społecznego. nie tylko zaś przyrodzonego w ogóle; nie przeto trafniejsze jako wniosek, że należy tak etnologią jak językoznawstwo porównawcze uznać za rozgałęzienie społecznej wiedzy, i co za tąd idzie, umiejętności objawów społecznych. Dla prawnika, ekonomisty, polityka, moralisty i psychologa, badania etnologiczne zawsze będą miały wagę i znaczenie większe, jak wywody antropologii.

Taki przedstawia się tedy bilans i stan obecny głównych rozgałęzień pożądanęj ale nie ukończonęj, z wyjątkiem, powtarzamy, Schaffle'go, społecznej filozofii. Nauki gospodarcze, grupujące się około ekonomiki oraz technologii, opracowały przedmiot swój; spożytkowanie i o władnięcie przyrodą gwoli celom i potrzebom ludzkim, w sposób niemal zupełnie zadawalający. Wiedza ekonomiczna i techniczna systematycznie uporządkowana, dozwala istotnie z mnóstwa nieprzeliczonych odnośnych objawów, wyciągać powszechne niemal prawo bytu i rozwoju. Czy zechcemy dział ten uważać za rozgałęzienie społecznej filozofii, jak pragnie Ingram, czy poprzestaniemy na mianowniku ekonomiki, jednoczącym społeczne objawy odnośne obok techniki, jak chce Schaffle, zawsze niepodobna zagadnieniom i wnioskom tych nauk odmówić piętna ogólno-umiejętnych. Moralna, prawna i polityczna wiedza narodów śródziemnych i państw z chrześcijańską lub monoteistyczną cywilizacją, przedstawia również niepośledni zasób da-

nych umiejętności; ale przewodnie swe zasady i prawa, rozciąga tylko do zakresu ludów o pokrewnych i jednorodnych poglądach etycznych. Tak samo w obrębie tylko ludów filozoficznie ukształconych, w szczególności zaś wybrednych pod względem poglądów psychologicznych, możliwymi wydają się prawdy ogólnej umiejętności, odnoszące się do wychowania i oświaty. Na postawione powyżej pytanie, ażali syntetyczna całość i oświata umiejętności społeczna dojrzała się wydaje pod każdym względem tak ilościowym jak jakościowym, odpowiedzieć możemy tak w $\frac{1}{3}$ części, z zastrzeżeniem, że widownią doniosłości umiejętności prawnych, politycznych, etycznych (in stricto sensu), społeczno-psychologicznych i pedagogicznych, $\frac{2}{3}$ reszty zagadnień stanowiących, ograniczymy do ludów przodujących w oświacie i dziejach. Nie bez powodu podkreślamy ostatnie słowo. Razem z Schöfflem uważać musimy narody i społeczności stykające się przed wiekami z sobą nad morzem Śródziemnym; zwycięzki pochód uspołecznienia przesuwające ku Spokojnemu oceanowi nawskroś Ameryki za jedynie historyczne ludy ¹⁾, za podmioty dziejowego dramatu rozgrywającego się na przestrzeni od Wschodu ku Zachodowi. Pod pewnym względem podmioty te społeczne są też przeważnym przedmiotem badań nauk prawnych, politycznych i historycznych, albowiem wyjawiają następstwo, szczeble i epoki w rozwoju społecznym. Czy dlatego jednak większość zafałszowanego lub tradycyjnie w martwocie społecznej pograżonego innoplemiennego człowieczeństwa, ma być wyłączoną po wszystkie czasy z zakresu badań społeczno-filozoficznych, to jest powtarzamy, syntetyzujących i syntetycznych?? Bynajmniej. Wnioskujemy tyle tylko, że trzeba zaczekać, aż badania analityczne etnologii, plemiennej psychologii i porównawczej filologii zgromadzą zapas dostatecznych wniosków, któreby dozwoliły owe społecznie nisko postawione ludy wyrozumieć, i określić ich związek ogólnie-społeczny z dojrzałszymi. Póki to nie nastąpi, należy uważać generalizacye syntezy społeczno-filozoficznej za przedczesne.

¹⁾ Warunki, od których zależy historyczność narodów, są daleko rozleglejsze. *Red.*

PRZODOWNICY RUCHU UMYSŁOWEGO

W WIEKU XVIII.

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

II.

Jan-Jakób Rousseau *).

Tak więc wyroki paryzkie i genewskie były hasłem do okrzyku przekleństwa, jaki wznosił się w całej Europie przeciwko zuchwałstwu pisarza. Dzienniki, broszury, wskazywały światu zniewagę uczynioną społeczeństwu, religii, władzy. Rzekłbyś, że wszędzie obawiano się jakiego zajścia z policją, gdyby nie obarczano bezbożnika najsroższymi obelgami. Biedny Rousseau myślał, że cały świat zwaryował. W mizantropii swój prześladowanie to odnosił on nie do dzieł swoich, lecz do osoby. „Gdyby objawienie mych zasad, powiada ¹⁾, miało powodować to obejście się, jakiego doznałem, nie dopiero padłbym jego ofiarą, skoroż to pismo moje, w którym zasady te objawiły się z największą śmiałością, powiem nawet z zuchwałstwem ²⁾, zdawało się wywierać swój skutek, jeszcze przed mojem usunięciem się do Hermitage, a nikt nie pomyślał, nietylko ze mną sprzeczać się o nie, ale nawet przeszkadzać ogłoszeniu go we Francyi, gdzie sprzedawało się równie publicznie jak w Holandyi. Potem, „Nowa Heloiza” ukazała się z równą łatwością, śmiem powiedzieć, z równym poklaskiem; a, co zdaje się prawie nie do uwierzenia, wyznanie wiary téjże samój Heloizy umierającej, jest zupełnie takim samym jak wikaryusza sabaudzkiego. Wszystko co jest śmiałego w „Contrat social,” było przedtém w „Discours sur l'inégalité;” wszystko co jest śmiałego w „Emilu,” było pierwotnie w „Julii.” Owóż, te rzeczy śmiałe nie wywołały żadnej wrzawy przeciwko dwom poprzednim dziełom; nie oncto zatém wywołały ją przeciwko ostatnim.”

*) Dokończenie—patrz zeszyt za listopad r. b.

¹⁾ „Confessions,” ks. IX, pod rokiem 1756.

²⁾ „Discours sur l'inégalité.” Jesteśmy względem tego pisma takiegoż zdania jak i autor, i dlatego streszczając je oświadczyliśmy, że ono zawiera niemal cały system i kierunek Roussa, w punktach przewrotu socyalnego.

Zgoła jednak mylném jest mizantropijne przypuszczenie autora co do pobudek osobistych. Zapomina on, że we wszystkiém dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. A wreszcie lubo dwa jego, a nawet trzy dzieła pierwotne są téjże saméj myśli co następne, te ostatnie jednak przez rozwinięcie szersze, przez usystematyzowanie pojęć, nadające organiczną całość doktrynie, przez mocniejsze wyakcentowanie wszystkich szczegółów drażliwych, zgoła więcéj zwrócić mogły uwagę i silniejsze sprawić wrażenie.

Czas abyśmy i my przyjrzeni się bliżej tym tak straszliwie potężnym dziełom.

„Contrat social” (Umowa społeczna), jako rozwinięcie rozprawy konkursowéj „o nierówności pomiędzy ludźmi,” przedstawia warunki bytu społecznego, zgodne (według opinii twórcy systematu) z naturą człowieka. „Emil” przedstawia znowu warunki wychowania jednostki, zastosowane do wzoru społeczności w poprzedniém dziele uwarunkowanej; tak, że oba dzieła, bez względu na zdarzające się sprzeczności, od których umysł autora, równie jak i jego charakter nigdy nie był wolnym, ściśle się z sobą trzymają głównemi ogniwami zasad, a nawet każde z nich ma pewne rozdziały poświęcone streszczeniu obu respective dzieł. Oba więc te dzieła, z dołączeniem „Wikaryusza sabaudzkiego,” poparte nadto pismami poprzedniemi, przedstawiają pojęcia Russa o polityce, moralności i religii.

Jeżeli używamy wyrazu polityka, na oznaczenie jego traktatu socyologicznego, nie bierzemy go w znaczeniu téj sztuki zdmuchiwania kart, nie mającéj żadnego związku z moralnością: o takiéj polityce Rousseau mówi rzadko i tylko epizodycznie, nie zna się na niéj; to minister spraw czysto wewnętrznych i czystych. Dla niego nawet państwo, ze swym obszarem i różnorodnością interesów jest czémś wstrętném. Dosyć już, zdaje się, poznaliśmy człowieka, ażeby wiedzieć, że ta natura sielankowa, ubiegająca się za arkadyjską błogością, nie cierpiąca gwaru, uniesień i burzy, radaby społeczność ograniczyć do grup jaknajmniej licznych; ba, nawet do kilku osób, gdzieby można kochać się wzajem bez przeszkody, na małym poprzestawać, mieć jaknajmniej zachodów a jaknajwięcéj swobody do użycia wczasu, i szczęścia używać w rozwinięciu uczuć dobrotliwych: czemu właśnie najprzeciwniejszém jest nagromadzenie tłumów pod dach jednego interesu, gdzie jedno drugiemu zasłania widoki sympatyczne, jedno drugiemu następuje na nogi, a przez to przychodzi do niezadowolień, zwad i sprzeczek, słowem do wojny. Wzorem uspołecznienia, za którym ogląda się jego upodobanie wewnętrzne, nie byłaby, naprzykład, taka kilkudziesięcimilionowa Francya, która téż istotnie za jego czasów przedstawiała coś powrotnego, ale takim wzorem byłyby raczéj drobne państewka niemieckie, same w sobie, ciche, gemütliche, najmniej oddalające się od wyobrażenia jednéj rodziny. Mniej nawet niż to, gmina; i nie to nawet; obrazka rodzin: oto prawdziwy duszy jego postulat. Ta minimalność w jego pojęciach socyologicznych, którą on przejął się już to ze skłonności

wrodzonych, już też jako dziecię Szwajcaryi, a za którą wszędzie wyraźnie czy domyślnie przemawia, wysławiając stan natury, nie była bez wpływu na urządzenie stosunków w stanach Ameryki Północnej, dokąd z Russem pod pachą śpieszyli pierwsi wychodźcy pod sztandary Washingtona. I Rousseau pisze też swój „Contrat social“ jako złe konieczne, *à son corps défendant*, jak mówią Francuzi. Zdaje się jakby rozumował tak do ludzi przed napisaniem: Wasze terażniejsze uspołecznienie jest waszą klęską; ja w gruncie nie chcę uspołecznienia. Opisałem wam w rozprawie „O nierówności“ stan natury tak uroczo, że aż ślina idzie do ust; ale widzę, że was do tego stanu chyba już nie namówię. Stan ten zerwała umowa pierwotna pomiędzy bogatym i ubogim (po naszymu dzisiaj: silnym i słabym), która już była złem, o wzajemną wymianę korzyści: ubogi dawał pracę, a bogaty zapewniał mu poszanowanie jego praw co do życia i swobody. Po pewnym przeciągu czasu wszystko to w łeb wzięło: po pierwszej stronie pozostały same korzyści, po drugiej same niedogodności, i miliony wysługują się jednostkom nie tylko już pracą, ale życiem i wolnością. Owóż, jeżeli chcecie przerwać ten stan rzeczy, daję wam na to środek; nie środek: półrodek. Jeżeli nie chcecie lub nie możecie, ślepi! powróćcie do stanu natury, to wróćcie przynajmniej do tej pierwotnej umowy, do której doprowadzi was mój „Contrat social.“

Oto cel jego traktatu, cel szlachetny, cel dokładnie zrozumiały dla obydwóch stron kontraktujących. Jedna też z nich, ta pierwsza, łuną z pożaru traktatu oświeciła pałac sprawiedliwości w Paryżu, i śmiała się. Ale „*rira bien qui rira le dernier*.“ Druga strona zebrała popioły, po odrobinie rozdzieliła na masy, które sobie te relikwie pozawieszały na piersiach i w danej chwili na każdej piersi zjawił się feniks. A wtedy ten pałac sprawiedliwości mógł być co innego powiedzieć i ma co do powiedzenia.

Jak Platon, nie dowierzając skuteczności swojej radykalnej „Republiki“, zstąpił do napisania „Praw“, tak Rousseau, z żalem widząc bezskuteczność radykalizmu swęj rozprawy „O nierówności“, zrobił ustępstwo na rzecz uspołecznienia w swoim „Contrat social.“

Ale na nieszczęście i to jego ustępstwo w gruncie nie daleko prowadzi, grzeszy u samej podstawy, tą wadą wszystkich systematów apryorycznych, że mieszcząc mnóstwo prawd niezbitych, zaczyna on niemal od tej prawdy ¹⁾: „Człowiek urodził się wolnym, a wszędzie jest w kajdanach. Ten sądzi się panem innych, kto nie przestaje być niewolnikiem więcej niż oni. Jakim sposobem—dodaje—powstała ta zmiana? Nie wiem. Co może ją uprawowić? Zdaje mi się, że będę mógł kwestyą tę rozwiązać.“ Rzecz zatem traktowana rozkłada się na dwie części, według tego programu: na ocenienie stanu rzeczy, który jest nieprawowitym, oraz na ustanowienie prawowitości stosunków między rządzącymi i rządzonymi. Traktat też jego rozpoczyna

¹⁾ „Contrat social“, ks. I, rozd. 1.

się krytyką umów, jakie zastaje na miejscu, lub gdziekolwiek w dziejach napotka, przy każdej stawiając zapytanie: z kąd się wzięła, gdzie jej prawowitość?

Nie jest prawowitą władza patryarchalna, lubo przedstawiająca najdawniejszą formę społeczną i jedynie naturalną. Ojciec dopóty ma prawo nad dziećmi, dopóki te jego opieki potrzebują: następnie weszły zależności ustępują przed swobodą przyrodzoną człowieka, pozostają tylko uczucia wzajemne. Inaczej, następuje przymus, który nie stanowi cementu umowy, o tyle ważnej, o ile jest dobrowolną. Tém przeto mniej za zasadę umowy uznawać można prawo mocniejszego (Rousseau nie znał jeszcze teorii Darwina). „Ustępować sile, powiada ¹⁾, jest aktem potrzeby, nie woli, a co najwięcej, aktem roztropności; w jakim znaczeniu może to być zobowiązaniem?... Zgódźmyż się, że siła nie jest prawem i że posłuszeństwo należne jest tylko władzom prawowitym: moja więc kwestya pierwotna powraca wciąż. W pierwszych nawet dwóch razach umowy właściwie nie było: tak dobrze Abraham, jak Czyngishan, przedstawiają tylko siłę, nie pytającą o pozwolenie słabszych.” Ale w poddaniu się zachodzić może istotnie dobra wola poddanego, a wtedy rzecz się pozornie komplikuje. Nic świetniejszego, jak argumentacya, którą autor zbija podobną teorią i żal nam, że nie możemy powtórzyć tu całego rozdziału. Polega ona na tém, że człowiek, który się poddaje, czyli oddaje w niewolę, traci swe najwyższe prawo przyrodzone, wolność, stanowiące jego istotę; skoro się sprzedał, oddał na własność cudzą, stracił wszystko, wszystkie prawa, istotę swoją, a nie zyskał nic, bo nabywca unicestwionego niema względem niego obowiązków żadnych, może mu tylko wyświadczać łaski, o ile mu się podoba. Jeżeli więc człowiek takie zrzeczenie się wszystkiego czyni z konieczności, że inaczej postąpić nie może, np. w rezultacie wojny, to wchodzimy w przypadek prawa mocniejszego, któremu zobowiązanie żadne nie odpowiada; jeżeli zaś czyni to człowiek nieprzymuszony niczém, to popełnia czyn nieprawdy wobec prawa naturalnego, albo jest waryatem i znowu niema zobowiązania. To, co o jednostce, z większą jeszcze słusznością powiedzieć się daje o ludzicy całym i fakt podobny tak jest nieprawdopodobnym, że chyba trzeba przypuścić cały lud waryatów, a więc bezwłasnowolnych, nikt tylko względem siebie, lecz co większa, względem swoich potomków, którzy o tym fakcie mogą mieć zgola inne wyobrażenie. „Z jakiegobądź więc strony, mówi w zakończeniu ²⁾, patrzyliśmy na tę rzecz, prawo poddaństwa jest żadnym, nietylko dlatego, że jest nieprawowitym, ale że jest niedorzecznym i nie znaczy nic. Te słowa: nie w o l a i p r a w o, stanowią sprzeczność, wyłączają się wzajem. Czy to między człowiekiem i człowiekiem, czy między człowiekiem i ludem, zarówno bezrozumnym będzie oświadczenie: „Zawieram z tobą umowę całkowicie na twój ciężar i całkowicie na moją korzyść, której

¹⁾ Ks. I, 3.

²⁾ Ks. I, 4.

ja przestrzegać będę, dopóki mnie się podoba i której ty przestrzegać będziesz, dopóki mnie się podoba.”

Wszelkie zatem uspołecznienia, dokonane na podstawie którego z tych trzech punktów, t. j.: władzy patryarchalnej, prawa mocniejszego i dobrowolnego poddaństwa, są nieprawe, a wszelki akt nieprawy uważać można za nieobowiązujący i niebyły. Mogli się tam gdzieś, kiedyś, ludzie rozproszeni poddać jednemu i nawet w znacznej liczbie, zawsze to tylko będą pan i niewolnicy, zbieranina, nie stowarzyszenie: niema tam ani dobra publicznego, ani ciała politycznego. Nie zbieranina stanowi organizm społeczny, ale lud. Czy znowu lud ma i jak dalece prawo poddawania się jednemu, autor pozostawia to dalszemu namysłowi: na ten raz, do wszelkiego kroku prawomocnego, potrzeba tylko, ażeby był przedewszystkiēm ludem, a więc już ciałem społecznē, uorganizowanē na mocy jakiegoś poprzedniego paktu; inaczēj, jego elekcyja nie będzie nic warta. I oto cała czēść krytyczna.

Do tēj więc pierwotnej umowy wciąż zwraca się myśl autora. Ale czy taka umowa istniała kiedy i jaka? O to on nie pyta. Jeżeli nie istniała, albo istniała zła, to wszystkie ufundowane w ten sposób społeczności są nieprawowite, a zatem niegodne istnienia; i o to mu tēż głównie chodzi. Jeżeli umowę tę pierwotną możnaby nazwać prawowitą, to musiałyby zawrzēć się według paktu socyalnego, którego on podaje warunki. Kto dziś zdolny jest sprawdzić, jak tam było w pierwiastkach? Nikt. W gruncie więc jego postulatu leży konieczność sporządzenia nowego paktu socyalnego, tworzącego nasamprzód to ciało społeczne, nazywające się ludem, któryby następnie utworzył sobie to, co nazywamy władzą.

Widzimy zatem, że projekt reformy społecznej Russa zachodzi nieco dalej, niż takż projekt Monteskiusza, który staje na podstawie praw już istniejących, a tylko chce je modyfikować dla zbliżenia ich więcj do prawa natury i rozumu. Projekt Russa jest zgoła radykalny, wywołujący budowę od początku na ruinach przeszłości. Jest w tēm niezawodnie bład historyczny i praktyczny i Monteskiusz ma słuszość. Społeczeństwa nie formowały się teoretycznie, z myślą tą, czy droga ich formacyi wytrzyma kiedyś subtelną, a ścisłą krytykę filozofa z wieku XVIII ery chrześcijańskiej. One formowały się pod naciskiem potrzeb fizycznych w łonie hord, które chciały bądź jak bądź, byle tylko żyć, władzę oddając każdemu, kto umiał ją wziąć. Nie o to chodzi, czy to było złe, czy dobrze, ale tak być musiało, a skoro być musiało, to stanowiło harmonię. Jeżeli postęp czasu i idei tę harmonię pierwotną zerwał, to należało ją naprawić, prędzej czy późniēj: to myśl Monteskiusza i wszystkich reform konstytucyjnych, które nie odgrzebuują żadnych zatraconych legitymacyi, dotyczących umowy pierwotnej, ale tak samo, jak hordy pierwotne, nie kierują się niczēm innē, tylko tym samym instynktem potrzeby, zastosowanym do nowych wymagań. Rousseau nie chce słyszcēć o tēm wszystkiē. On za warunek konieczny wyboru władzy stawia to, ażeby ten, co ją wybiera, był ludem, nie zgrają i musi

nasamprzód rozpoznać, czy jest w porządku akt, na mocy którego lud stał się ludem, to jest wyborcą prawnym. Więc ku temu trzeba mu nasamprzód usunąć wszystkie przeszkody, tamujące odezwanie się woli ludowej. Drobnostka, którą jednak, z jego insynuacyi, przeprowadziła Konwencya narodowa francuzka.

Otóż ten jego pakt socyalny, wiążący jednostki w ciało, zowiące się ludem, jest punktem najbardziej interesującym „Umowy Społecznej.”

Odstępuje on nieco od zasad, wygłoszonych w rozprawie „o nierówności,” przypuszcza bowiem, że w stanie natury nie same są róże i że przychodzi taki czas, gdzie siły jednostki nie starczą oporowi natury, a wtedy jednostki dla wzmocnienia sił wiążą się w gromady i rozpoczynają się stan społeczny. Chodzi więc o to, ażeby tę wspólność celu pogodzić z zachowaniem sił i wolności każdego, pomimo obrócenia ich na usługę wszystkich. Zadanie to ściąga się do następującego postulatu ¹⁾: „Znaleźć formę stowarzyszenia, która ma całą siłą wspólną bronić i oślaniać osobę i dobro każdego stowarzyszonego i przez którą każdy, łącząc się ze wszystkimi, podlega jednak tylko samemu sobie i pozostaje równie wolnym, jak przedtém.” Nic piękniejszego, postulat znakomity! Trzeba tylko, dla jego wprowadzenia w życie, znaleźć sposób pogodzenia tej nietykalnej wolności osobistej, ze zobowiązaniami względem wszystkich. W tém leży całe jądro zadania, którego rozwiązanie nada charakter stały ogólnemu systematowi społecznemu.

Ze drzeniem powinien przystępować prawodawca w tym wypadku, który ma na wieki zawrzec społeczeństwo w pewnym kole, iżby się ono nie stało lksyonowém. Rousseau długi czas się przygotowywał, ażeby wypowiedzieć to słowo stanowcze, które my zaledwie śmiemy dzisiaj jeszcze powtórzyć za nim. Otóż warunki swego postulatu ściąga on wyraźnie i bez zastrzeżenia tylko do jednego, którym jest odstąpienie całkowite: każdego stowarzyszonego ze wszystkimi jego prawami na rzecz gminy.

Tu moglibyśmy chwycić za rękę tego niepokonanego logika i zatrzymać go, mówiąc: Ależ sam wywiódłeś przed chwilą tak znakomicie, że nikt niema prawa odstępować siebie, a teraz każesz się odstępować całkowicie: to sprzeczność. On odpowiada nam na to: Skoro każdy oddaje się całkowicie, więc warunek równym jest dla wszystkich. A! rozumiemy; więc to jest niewola wszystkich... podjęta na cześć widma wolności, względem czego usuwa wszelką wątpliwość naszą sama konkluzja tej formy stowarzyszenia, wyrażająca się słowami: „Każdy z nas składa wspólnie (en commun) swoją osobę i całą swą władzę (puissance) pod najwyższy kierunek woli powszechnej, a nadto przyjmujemy każdego członka, jako część niepodzielną całości.”

Ależ to oczywisty komunizm, a przynajmniej ten rodzaj socyalizmu, który wszelką swobodę osobistą poświęca na rzecz państwa. I lu-

¹⁾ „Contrat social,” I, 6.

bo zwartą moc tego żądania modyfikuje nieco program władzy najwyższej, gdzie czytamy ¹⁾, że to odstąpienie praw osobistych nie jest całkowitem, a nieco dalej, że nie jest ono nawet prawdziwem odstąpieniem, ale tylko zamianą korzystną, to nie uspakaja nas bynajmniej. Możemy tylko powiedzieć, że autor „Umowy” niedość jasno i zgodnie z sobą się tłumaczy, ale niemniej jasnym jest dla nas, że jego „Umowa” zanadto pochłania człowieka na rzecz obywatela: a czyż to jest zgodne z temi prawami naturalnemi, które on tak usiłuje oszczędzać i za któremi my zarówno z nim obstawiamy?

Wreszcie „Contrat social” jest księgą tak głęboką, tak pełną i tak różnostronną, że w każdej chwili i w każdym położeniu socyalnem, każdy umysł reformistyczny w różnym kierunku, znajdzie ztamtąd coś dla siebie do wzięcia i zastosowania. Ludzie XVIII wieku wzięli ztamtąd to, co pod uczuciem ich położenia nasamprzód im pod oczy podpadło: przeszli po wierzchu. Ludzie XIX wieku zastanowili się baczniej nad radykalną stroną paktu socyalnego, a Babeuf, Saint Simon, Proudhon, Pyat, Raspail, Considérant, czy Ludwik Blanc, dają każdy po swojemu, ale w gruncie bardzo zbliżone interpretacye, które ostatecznie znalazły zastosowanie w komunie paryżkiej, nie będącej jeszcze, jak wiemy, ostatnim rozdziałem procesu, podjętego przez Russa.

Gdybyśmy nawet mieli jeszcze jaką wątpliwość w tém ojcowstwie Russa, odnośnie do teoryi socyalistycznych, posłuchajmy, jak on pojmuje w podobnym uspołecznieniu własność ²⁾. Jednym z pierwszych czynów tej woli powszechnej, która u niego pochłania wszystkie wole pojedyncze, będzie uprawnienie własności, nie z obowiązku wprawdzie, bo państwo (nie mamy dobrego wyrazu na wyłomaczenie état), odnośnie do wszystkich swych członków, panem jest wszystkich ich dóbr, skutkiem umowy społecznej, będącej podstawą praw wszystkich, ale jedynie z uwagi, iż w jego interesie leży: nie szkodzić żadnemu ze swych członków. Nietylko zatem gmina, przyjmując dobra pojedynczych, nie ogalała ich z mienia, ale zapewnia im jego posiadanie prawne, zamienia uzurpacyę na istotne prawo, a używalność na własność. Wtedy to posiadacze, uważani będąc za depozytaryuszów dobra publicznego, z prawami szanowanemi przez wszystkich członków państwa, podtrzymywani wszystkimi jego siłami przeciw obcemu przez cesyę korzystną na rzecz publiczną, a więcej jeszcze na rzecz własną, nabywają niejako wszystko to, co dali. Niema tu więc własności rzeczywistej, niema tego, o czém powiadamy: „to moje;” żądano od nas przedtém odstąpienia naszych jestestw, osób, praw naturalnych, na rzecz ogółu, teraz żądają odstąpienia własności: słowem, cały człowiek konkretny rozpada się w abstrakcyjnej idei państwa.

Układ państwowy Russa, to mieszanina Sparty i Rzymu, Helwecyi i Kalwinizmu, w potężnej indywidualności duchowej przestoczona;

¹⁾ Ks. II, 4.

²⁾ Ks. I, 9.

stowarzyszenie, ratujące logikę swych argumentacyi, tém głównie pojęciem aprioristycznym, tym pewnikiem, że człowiek z natury jest nie tylko wolnym, skoro ma odstępować wolność, ale nadto, że jest z natury dobrym, skoro w kilku miejscach przypuszcza się o nim, że w tym systemacie mając tyle sposobności szkodzenia innym, nie będzie szkodził dla własnego niby interesu, lubo to wcale nie jest wstrzemięźliwość tak prosta, jak się wydaje.

Wolno taką zasadę uspołecznienia przyjąć, albo nie; nikt wszelako nie może odmówić takiemu uspołecznieniu spójności i siły: to armia karna, nie mogąca się wyłamać z pod rozkazu dziennego, chyba buntem powszechnym i rozprzężeniem, nie posiadająca swojego nic, a jednak mająca własne mundury i rynsztunki i konie, armia poruszająca się razem na skinień wódza: tylko któż to jest tym wodzem?... Wola powszechna, wszechwładztwo ludu: armia sama sobie jest wodzem i rozkazodawcą.

Stowarzyszenie, takim dopiéro paktem wzajemnych koncesyi związane, nazywa się ludem, którego każdy obywatel ma swój stan cywilny; a ponieważ zawiązkowi takiemu towarzyszyła wolność zupełna, przeto lud jest sam sobie panem i przy nim tylko, jako ciele zbiorowém, pozostaje władza najwyższa, która przeto nie może być odstąpioną nikomu i jest nienaruszalną. Nie może jój lud odstąpić ani rodzinie, ani pojedynczemu człowiekowi, bo nie jest pewien, czy wola tego, lub tamtej, dziś zgodna z jego wolą, będzie taką jutro. Gdyby nawet znaczna część stowarzyszenia zgodziła się na taką alienację, mniejszość ma prawo zaprotestować w imię paktu socyalnego i odłączyć się, bo nikt nie może być zmuszonym do wyrzekania się woli na zawsze, czy chwilo-wo ¹⁾. Przywódcy téż ludu, pod jakim bądź tytułem wybrani (może to być konsul, prezydent i tym podobnie), są niczém inném, tylko jego parobami (officiers), odpowiedzialnymi przed nim za swoje sprawy, gdy władzą nie jest żaden zwierzchnik, lecz tylko sam lud. Ta mała zmiana, jaką w słownictwie politycznym wprowadził pustelnik z Hermitage'u, była hasłem do wielkiego przewrotu w samych zasadach gramatyki politycznej.

Ten tedy lud wszechwładca (souverain), wyobraża wolę powszechną, czyli raczej ta ostatnia zasady władzy jego stanowi i jako taka, jest nieomylną ²⁾. Jakiękolwiek wysilenie czyni twórca systematu, by uzasadnić ten przymiot woli powszechnej, widzimy w tém czystą tylko dyalektykę, bez znaczenia realnego, a dążącą jedynie do mocniejszego utwierdzenia tej tyranii, leżącej w samej redakcyi pierwotnego paktu socyalnego, który wymaga zrzeczenia się wszystkich praw jednostkowych na rzecz gminy. Definicja woli powszechnej tém mniej jest zrozumiałą, że autor odróżnia ją (dosyć arbitralnie) od woli wszystkich, z pomiędzy których niejeden może się mylić: w każdym więc razie, przy

¹⁾ Ks. I, 7; ks. II, 1.

²⁾ Ks. II, 3.

głosowaniu, w braku jednomyślności, tak rzadkiej w konkluzjach narad, będzie to tylko wola większości, a więc częściowa, nie powszechna i tym sposobem, ze względu na wartość uchwały, pytanie jeszcze, kto ma słuszość: większość, czy mniejszość? Wola więc powszechna znaczenie realne może mieć jedynie przy układzie pierwotnego paktu socjalnego, zawiązującego stowarzyszenie; w rozwinięciu działań jego jest tylko jakimś ideałem, zakrawającym na chimery. Z drugiej strony, choćby nawet zredukowana tylko do większości, może, na mocy paktu socjalnego, uważać się za powszechną i wymagać dla siebie uszanowania, ale nigdy tak bezwarunkowego, jakie jej nadaje Rousseau, w tym mianowicie razie, kiedy chodzi o forum internum człowieka, o jego sumienie i myśl. Konwencya francuzka, zanadto literalnie biorąc tę zasadę Russa, ustanowiła wolę powszechną, między innymi sposób pojmowania Boga i Jego czci: i było to tyranią dla wielu, którzy idei tej w żaden sposób tak pojmować nie mogli; było nietolerancją, fałszem i jako fałsz, upaść musiało. Gdzież tu więc jest nieomyślność woli powszechnej? Komunizm i socjalizm równie daleko zachodzą w przyznawaniu jurysdykcji woli powszechnej, bo aż do głębin sumienia i dlatego są postrachem raczej, niż przynętą dla umysłów, dbałych o swobodę swych praw nie naruszalnych.

Ażeby więc zrozumieć tę wolę powszechną Russa, musimy ją ściągnąć: 1) do większości zdań; 2) do przedmiotów tylko najpotrzebniejszych i niezbędnych, nie dotykających w niczem przekonań człowieka, nadto nieomyślność, którą jej przypisuje autor, brać w znaczeniu ustępstwa dla mniejszości: inaczej, nie moglibyśmy pójść dalej za nim ani kroku.

Ale nie tu jeszcze kończą się trudności. Pakt socjalny urządził organizm polityczny: iżby nadać temu organizmowi życie i ruch, potrzeba jest praw. Rzecz to najważniejsza ze wszystkiego, bo od charakteru i doskonałości tych praw, względnie do charakteru i potrzeb ludu, zależy mniejsza lub większa doskonałość jego życia. Znakomite jest rozumowanie autora nad naturą praw i warunkami ich zastosowania do warunków, w jakich znajduje się dana ludność. Ale zachodzi pytanie, kto te prawa ułoży? Według definicji autora, prawo jestto: „wyrażenie publiczne i uroczyste woli powszechnej o przedmiocie interesu wspólnego” i na to zgoda. Lecz autor rozumieć to dobrze, iż ten lud, przystępujący dopiero do stowarzyszenia politycznego, jest hordą, nie mającą, pomimo wszystkich przymiotów swęj woli powszechnej, żadnych przymiotów, zdolnych wytworzyć system prawodawczy; „wola powszechna, powiada ¹⁾, jest zawsze prawą, ale sąd, który ją prowadzi, nie zawsze jest światłym.. trzeba skłonić jednych do zastosowania woli ku rozumowi, trzeba rozum nauczyć, jak ma poznać to, czego chce,” a ztąd wyradza się potrzeba prawodawcy.

¹⁾ Ks. II, 6.

Prawodawca, podług niego ¹⁾, to człowiek pod wszystkimi względami nadzwyczajny w państwie, czyto z uwagi na geniusz, czy na urząd. Bo nie jestto ani magistratura, ani zwierzchnictwo: przeciwnie, z powodu że lud tylko jest swoim wszechwładcą, prawodawca niema władzy żadnej. Ztąd, w dziale prawodawstwa występują ustawiczne sprzeczności. Przedsięwzięcie prawodawcy przechodzi zwyczajną siłę człowieka, a środków do przeprowadzenia go nie posiada on żadnych. Użycie siły wypędzonym jest z całego systematu, jako wprost jemu przeciwne; perswazyja jest nie skuteczną, bo wyjaśnienie subtelnosci praw ludowi byłoby anachronizmem, przypuszczeniem jego dojrzałości politycznej, do jakiej właśnie dopiero prawa doprowadzić go mają. Podaje też na tę trudność autor sposób, który jest obejściem, przytaczając przykłady ze starożytności, jako prawodawcy (Mojżesz, Likurg, Mahomet), zrzekając się władzy politycznej i nie mogąc używać ani siły, ani rozumowania, uciekali się do powagi i interwencji innego porządku, zdolnej pociągnąć bez gwałtu, a przekonać bez rozumowania: do powagi i interwencji nieba; niepomny znowu na to, ile pod płaszcz takiej powagi schronić się może zły wiary i szarlataneryi. Z drugiej strony, jeżeli autor raz żąda i to bardzo słusznie, ażeby prawodawca miał na bacznym względzie obyczaje kraju i starał się nie gwałcić ich prawami, zkąd nawet mocno krytykuje zawczesność ustaw Piotra Wielkiego ²⁾, gdzieindziej znowu wkłada na prawodawcę obowiązek, ażeby przekształcił „naturę każdej jednostki, która sama w sobie jest całością doskonałą i odosobnioną, na część całości większej, od której ta jednostka otrzymuje niejako życie i byt;” a więc niwelacya, maksyma niebezpieczna, która wywoła wkrótce Robespierów i Babeufów. Dalej jeszcze, pod ciągłym zapatrywaniem się snadź na drobne rzeczypospolite starożytne, nadając im pierwszeństwo nad państwami rozległemi, motywując pierwszeństwo to z całą siłą ³⁾, wyrażając się nawet, że „w ogólności państwo małe stosunkowo silniejszym jest od wielkiego,” utrzymuje on ⁴⁾, że „granice możebnego w rzeczach moralnych mniej ciasne są, niż myślimy,” a biorąc za wzór Rzym starożytny, nie wątpi, że i do wielkich państw wprowadzić można wszechwładztwo ludu, na zasadach wolności.

Ta myśl nasuwa nam jedną jeszcze trudność. Wszechwładztwo u niego spoczywa tylko przy ludzie i przy woli ogólnej. Jest ono, jak wiemy, nieprzelewalnym, a prócz tego niepodzielnym, i, jak się zdaje, dziwnie o swą władzę zazdrośnym. Kiedy prawodawca przybywa z kodeksem, nie może on go narzucić, ale poddać tylko woli powszechnej, która go rozpoznaje... a prawodawca znika. Otóż Rousseau zna tylko parobów ludowych, funkcyonaryuszów, ale nie zna komitetów

¹⁾ Ks. II, 7.

²⁾ Ks. II, 8.

³⁾ Ks. II, 9, 10.

⁴⁾ Ks. III, 12.

czyli reprezentacyi. Podług niego ¹⁾, droga reprezentacyi ludowej w zgromadzeniach narodu, powstała skutkiem osłabienia miłości ojczyzny, ożywienia interesu prywatnego, ogromu państw, nadużyć rządu. Idea reprezentacyi to nowoczesność, zbytek po rządzie feodalnym, po tym rządzie „bezprawnym i niedorzecznym, który ród ludzki poniżył i imię człowieka zniesławił. Od chwili, powiada, gdy lud daje sobie reprezentantów, już nie jest wolnym, nie istnieje.” U niego głosowanie jest jedynie powszechnem, i to nie tylko w zawotowaniu praw zasadniczych, ale w każdym wypadku wymagającym uchwały, gdyż parobowie jego nie mogą sami nic postanowić bez ratyfikacyi ludu, gromadzącego się nieustannie na forum i nieustannie głosującego. Czuje Rousseau (i my to czujemy z nim razem), że tu wymagana przezeń ustawiczna obecność całego ludu na forum, stanowi wałą przeszkodę do rozwoju gospodarczego, ale to go nie powstrzymuje: raczej nędzą niż niewolą. A lubo tę ostatnią potępia stanowczo, przypomina jednak, iż w starożytności niewolnicy stanowili ten właśnie środek wyjścia pomiędzy ludem tracącym czas na obrady polityczne a ekonomią. Przypomnienie straszne, z którym kiedyś nosić się mają Stany południowe Ameryki, i powtarzać jego wyrażenie: „Co do was, ludy nowoczesne, wy nie macie niewolników, ale sami niewolnikami jesteście: ich wolność okupujecie waszą. Próżno chełpicie się z tej wyższości, dla mnie to raczej podłość (lâcheté) niż ludzkość!” Co to znaczy! Ależ to wyraźna zachęta, by raczej niewolą osobistą jednej części mieszkańców okupywać wolność drugiej. Jedna z tych sprzeczności, która nie powinna nas dziwić w pisarzu, gdyżmy ich tyle wykryli w człowieku. Bądźcobądź jednak, trudności trudnościami, ale idea wszechwładztwa, wyczerpana z prawodawstw republik starożytnych, postawiona tak śmiało i z takim krasomówstwem wygłoszona, była wówczas zjawiskiem nowem, a wobec wszystkich systematów prawodawczych społecznych, zjawiskiem wstrząsającym.

Ażeby jednak dobrze zrozumieć system cybernetyczny Russa, trzeba mieć wciąż na pamięci różnicę, jaką on ustanawia pomiędzy ludem wszechwładcą (souverain) a ludem wyobrażającym zbiór jednostek, czyli ludnością. Tamten stanowi całość, jedność, organizm jakoby o jednej jedyniej duszy, przez co też on jego woli powszechniej przypisuje prawość i nieomylność (droiture, rectitude), a na komisjach uważa go jakoby zgromadzenie natchnione Duchem Świętym. Ten drugi lud, w jednostkach rozsadzonych, życiem i sprawami prywatnemi zajętych, nie posiada tych przymiotów i musi być prowadzonym ku wspólnemu celowi pomyślności. Od tego mamy nareszcie prawa, uchwalone przez wszechwładzę, do których stosować się powinien podwładny, jeden i tenże sam, tylko w dwóch charakterach: tam zjednoczony, tu rozczłonkowany. Ztąd też pomiędzy prawem a wykonaniem prawa ukazuje się potrzeba jakiegoś pośrednictwa, a tём pośrednictwem jest

¹⁾ Ks. III, 15.

ząd. Tym sposobem Rousseau rozdzielił ciało polityczne na trzy części: na władzę prawodawczą, wyobrażającą wolę; na władzę wykonawczą, wyobrażającą siłę i na powładnych tym obu; a rząd, podług jego definicyi ¹⁾, jestto „ciało pośredniczące, ustanowione między poddanymi i wszechwładzą ku ich wzajemnemu znoszeniu się, zobowiązane do wykonania praw i do utrzymania wolności tak obywatelskiej, jako i politycznej.” Inaczéj jeszcze, rząd czyli administracyę najwyższą mieni on „sprawianiem prawowitem władzy wykonawczej.” Rząd otrzymuje rozkazy od wszechwładcy, które przekazuje ludowi; a iżby państwo było w należytej równowadze, potrzeba, ażeby zachodziła równość pomiędzy władzą rządową, wziętą samą w sobie, i władzą obywateli, będących z jednéj strony wszechwładcami, a z drugiejęj poddanymi.

Autor co krok naciska na tę różnicę pomiędzy zwierzchnictwem i rządem, czyniąc drugi zależnym od pierwszego, co stanowi, na jego czasy zwłaszcza, nowość i kapitalną ważność systematu; i, jak samej idei wszechwładztwa ludowego, tak podziałowi władz na prawodawczą i wykonawczą, który wreszcie wszedł dzisiaj nietylko do wszystkich ustaw państwowych europejskich, ale i do wszystkich stowarzyszeń prywatnych, nie byłoby nic do zarzucenia, gdyby nie przesada, z jaką autor, zazdrosny o prawa ludu, ustanawia tę zależność od niego władzy wykonawczej. Lud zwierzchnik może co chwila ograniczać rząd, zmieniać go, odbierać mu władzę, „kiedy mu się podoba;” rząd musi przyjąć obowiązki bez żadnych ze swéj strony warunków; a wówczas, gdy władza prawodawcza (lud) zbierze się na komicya, ustaje wszelka władza rządu, bo wtedy czuwa ktoś starszy. Cóż to za straszny despotyzm tego zwierzchnika! Wykonanie literalne takiej ustawy doprowadziłoby z pewnością do anarchii i do rozsyпки: to też to ideał tylko, w którym praktyka znalazłaby wiele do zmodyfikowania.

Bez względu na tę przesadę, która w praktyce psuje wykonanie zasady w gruncie najracjonalniejszej, mamy już ustanowioną potrzebę rządu i miejsce jego pomiędzy władzą prawodawczą a ludem doskonałe oznaczone. Teraz chodzi o wykazanie, jaki rząd jest najlepszym. Już poprzednio, mówiąc o prawie ²⁾, wyraził się autor: „Nazywam rzeczpospolitą wszelkie państwo rządzone przez prawa, pod jakąkolwiekby formą rządu to się odbywało: bo wtedyto rządzi interes publiczny, a rzecz publiczna jest przecie czémś. Wszelki rząd prawowity jest republikańskim.” Ale niebawem dodaje on w przypisku: „Przez wyraz ten nie rozumiem jedynie arystokracji lub demokracji, ale wogóle wszelki rząd, kierowany wolą ogólną, którą jest prawo. Ażeby był prawowitym, nie trzeba, iżby rząd mieszał się ze zwierzchnictwem, ale żeby był jego ministrem, a wtedy nawet monarchia jest rzeczpospolitą.” Zkądinąd, pomimo swego ideału republikańskiego, Rousseau

¹⁾ Ks. III, 1.

²⁾ Tamże II, 6.

przyznaje, że nie każda forma rządu do każdego nadaje się kraju ¹⁾; oświadczając za Monteskiuszem, że wolność, nie będąc owocem wszystkich klimatów, nie jest dostępną wszystkim ludom. I dziwna rzecz, Rousseau wtedy już, ustroj rządowy mierzy przyczynami naturalnemi, mianowicie klimatem, oraz warunkami ekonomicznemi, to jest produkcją i konsumcją, siłą pracy i użytkowania, dostatkiem i kapitałem, co wszystko również czyni zależnym od klimatu; tak, że w ostatecznym rezultacie, monarchia, według niego, przystoi krajom bogatym; arystokracja państwu średniego bogactwa i rozległości; demokracja państwu ubogim i małym.

Z tego już samego widzimy, że przypuszcza on trzy formy rządu możliwe: demokracją, arystokracją i monarchią; ale w języku jego mają one znaczenie specjalne. Nie żywioł generyczny, wewnętrzny, sprawia ten podział, gdyż wszystkie trzy formy u niego chowają w gruncie republikę, ale liczba członków rządzących i to jedynie odnośnie do władzy wykonawczej, gdyż prawodawcza, jak wiemy, pozostaje tylko przy woli powszechnej: różnicę zaprowadza większa lub mniejsza liczba uczestników rządu. W demokracji rządzą niemal wszyscy; w arystokracji wybrani, celniejsi rozumem i cnotą, w monarchii jeden. Jestto sposób pojmowania całkiem starożytny, i całe rozwinięcie tych trzech form, jakie daje Rousseau, niczem więcej nie jest, tylko wykładem rządów starożytności, przepełnionym uwagami krytycznemi w zastosowaniu do nowych warunków życia politycznego. Lubo autor niejednokrotnie powtarza, iż prawa mniej więcej liberalne, wraz z formą rządu odpowiednią, stosować się winny do miary moralnej ludu, nie przeszkadza mu to osądzać tych trzech form in merito.

Demokracja jest podług niego formą najodpowiedniejszą wolności, „bo ten kto tworzy prawa, wie lepiej niż ktokolwiekbydź jak one powinny tłómaczyć się i wykonywać.” Ale przyznaje też niezmiernie trudności w sprawowaniu rządu przez wszystkich (w połączeniu władzy prawodawczej z wykonawczą). „Niéma, powiada ²⁾, rządu tak podległego wojnom domowym i rozruchom wewnętrznym, jak demokratyczny czyli ludowy, bo żaden nie dąży tak silnie i tak ustawicznie do zmiany formy i żaden nie wymaga większej czujności i odwagi, by nie występował ze swojej. W takiéjto nadewszystko konstytucyi obywatel winien uzbroić się w siłę i wytrwałość, a w każdym dniu powtarzać sobie w głębi serca to, co mawiał jeden cnotliwy wojewoda na sejmie polskim ³⁾: „Malo periculosum libertalem quam quietum servitium.” Całe zaś rozumowanie swe o demokracji zamyka tém, że „gdyby istniał lud bogów, toby rządził się demokratycznie: rząd tak doskonały nie nadaje się dla ludzi.” Ani słowa, dowiodła tego demokracja ateńska, nie pierwsza ale w dziejach rządów ostatnia. Prze-

¹⁾ Ks. III, rozdział 8 cały.

²⁾ Ks. III, 4.

³⁾ Stanisław Leszczyński, gdy był wojewodą poznańskim.

ciwko rządowi jednostkowemu znajduje tyle zarzutów, że niepodobna nam tu wszystkich wyliczać. Jestto odwrotna strona demokracji, a ani Harmodios i Aristogiton nie byli zapewne gorzej przeciw tej formie usposobieni od niego. To tylko zauważyliśmy, że jego filipika jest więcej tendencyjną, ze względu na jego wstręty współczesne, złągodzone dalekim komplementem dla Choiseula ¹⁾, niż konsekwentną z systematem. Zamiast bowiem wykazywać słabe i ujemne strony monarchii, tylko jako władzy wykonawczej (skoro raz na zawsze z góry ustanowił w swym systemacie, iż prawodawcza oddzielnie spoczywa w masie ludowej), on krytykuje tę formę tak, jakby w niej istniały razem obie władze, czyli krytykuje sam fakt, na który patrzył jednocześnie, a który bynajmniej pod jego system podchodzić nie mógł, ponieważ on taki ustrój państwowy nazywa wprost despotyzmem, negacją wolności, a więc teoretycznie usuwa go z rachunku rządów. In merito zatem zdaje się przemawiać za arystokracją, powtarzamy nie w znaczeniu dzisiejszém, lecz w starożytném, t. j. za rządem najlepszych (aristoi), i rozumie się bez reprezentacji ludowej, a tylko pod temi uciążliwymi warunkami ciągłej kontroli mas, która w żaden sposób przy większej rozległości państwa istnieć nie może. System więc ten, ażeby się mógł utrzymywać ciągle, musiałby i państwo zamykać zawsze w granicach jaknajszcuplejszych.

Pomijamy wykład jego wielce charakterystyczny o sposobie sprawowania rządu tak, ażeby i moc zachowaną była państwu i wolność ludowi: ciężkoby nam było wyjść z tego zadania, gdy każdy niemal ustęp tego myśliciela stanowi przedmiot do osobnej rozprawy. Ale poprzestając na znamionach jego systematu najgłówniejszych, wskażemy tylko jeden jeszcze rys niezbędny, t. j. podział religii na czysto ludzką i państwową. W przeglądzie historycznym uzasadnia on ściśłą jedność religii z państwem, czyto w pogaństwie, czy w judaizmie, je-

¹⁾ W rozdziale o „Monarchii” („Contrat Social,” ks. III, rozdz. 6) wydaje Rousseau zdanie bardzo nieprzychylnie o ministrach monarchicznych, kończąc tém, że kiedy szczęśliwy nareszcie przypadek ześle jakiego godnego męża stanu, to on naprawia zniszczenia, dokonane w państwie przez poprzedników i stanowi epokę. Lubo aluzyja ta nie wymienia nikogo, doszliśmy, że dotyczy ona ministra ówczesnego, Choiseula, którego zapewne chciał Rousseau ująć tém dla swego dzieła, czytamy bowiem w jego „Confessions” (ks. XI, rok 1761): „Przejęty szacunkiem dla jego talentów (jakże się strasznie omyli!), oprócz których nie coby go dotyczyło nie znałem; pełen wdzięczności dla jego dobrej woli; nie wiedząc wreszcie w mém ustroniu zgoła o jego gustach i sposobie życia (dziwna rzecz, kiedy rozpustą jego brzmiała cała Francja), uważałem go zgóry za mściciela ogółu i mego; a przykładając natenczas ostatnią rękę do „Contrat Social,” oznaczyłem tam jednym rzutem to, com myślał o poprzednich ministrach i o tym, który zaczął ich zaćmiewać.” Ten sam jednak Choiseul rozkazał dzieło jego spalić przez kata, a autora aresztować.

ność, którą nadweryżyło dopiero chrześcijaństwo. Nie chce on przyjąć systematu Hobbesa, który jedność tę przywraca przez połączenie zwierzchnika religijnego i państwowego w jednej osobie, dowodząc i słusznie, że połączenie to jest tylko sztucznym nadużyciem, a nie widząc sposobu pogodzenia naturalnego, proponuje, obok religii wewnętrznej, wprowadzenie religii państwowej. Rozróżnienie to wśród ludności chrześcijańskich motywuje tém mianowicie, że zasada ewangeliczna, wszystkich ludzi łącząc w jedno braterstwo, niema żadnego związku z ciałem politycznym, nie zna go, nie zajmuje się nim, a nawet widoki ję często występują przeciwko widokom państwowym. Chrystyanizm, według niego, jako religia czysto duchowa, zajmuje się jedynie rzeczami nieba, ojczyzna chrześcianina nie jest z tego świata. On spełnia wprawdzie swój obowiązek, ale z całą obojętnością na zły czy dobry skutek swych starań. Byle nie miał sobie nic do wyrzucenia, mało mu na tém zależy, dobrze czy źle pójdzie na tym świecie. Jeżeli państwo kwitnie, on zaledwie śmie cieszyć się z pomyślności publicznej, obawia się pyszni chwałą swego kraju: jeżeli państwo upada, on błogosławi rękę Stwórcy, która zaciężyła na jego ludzic, mówiąc sobie: kogo Pan kocha, temu krzyżyki daje. Słowem, skoro interes ewangeliczny jest w niebie, a państwowy na ziemi, przeto interesa te są nie do pogodzenia.

Oprócz zaprzeczeń, jakie przeszłość z licznych faktów złożona, stawia temu zarzutowi, cofnąćby go musiał Rousseau, gdyby mógł widzieć zakładane i rozwijające się osady religijne chrześcijańskie w Ameryce północnej, które, jako pierwszy związek społeczeństwa, ustanawiały trzy rzeczy: szkołę, dziennik i kościół. Kwitnienie ich, nie osłabiając w niczém aż dotąd ich ducha religijnego, dowodzi aż nadto, iż gmina chrześcijańska w niczém nie przeszkadza rozwojowi gminy państwowej, bez potrzeby uciekania się do środka tak tyrańskiego, jakim jest zaprowadzenie religii państwowej, czyli zwrot do pogaństwa.

Wprawdzie, Rousseau nie znosi religii wewnętrznej, jaką każdy ma dla siebie i zaleca tolerancją dla wszystkich wyznań, ale żąda, ażeby władza prawodawcza ustanowiła artykuły wiary obywatelskiej, nie jako dogmata religijne, ale jako warunki społecznościowe, bez których nie można być dobrym obywatelem i wiernym poddanym. Artykuły te są nieliczne ¹⁾: Bóg wszechmocny, wszechmądry, dobroczynny, wszechwiedzący, opatrny; życie przyszłe, szczęście sprawiedliwych, kara dla złych, świętość umowy społecznej i praw. Tyle co do dogmatów pozytywnych, co do negatywnych, wyłączną jest jedna nietolerancja.

Ale czyż może być coś bardziej nietolerancyjnego, jak ten środek i sposób jego wykonania! Wprawdzie jego dogmata państwowe wchodzi w uczucia ewangeliczne i żadnemu chrześcianinowi nie sprawią zamieszania, ale dobrzeby na nich wyszli materyaliści i bezwyznaniowi,

¹⁾ Ks. IV, 8.

słowem wszyscy wolnomyśliciele, przy rygorze jaki zapowiada Rousseau: „Nie mogąc nikogo zmusić do wierzenia w nie—powiada—zwierzchnik może wypędzić z państwa każdego, kto w nic nie wierzy; może go wypędzić nie jako bezbożnego, ale jako niespołecznego, niezdolnego szczerze ukochać praw, sprawiedliwości, oraz poświęcić w razie potrzeby życia obowiązkowi. A jeżeli kto, uznawszy publicznie te dogmaty, postępuje tak, jakby w nie nie wierzył, ma być ukaran śmiercią!”

Otóż koniec związany z początkiem paktu socjalnego. Przy związku społecznym żądał zrzeczenia się całej osoby na rzecz państwa, przy zamknięciu zrzeczenie to ponowił pod karą śmierci. Jak taką srogą niewolę pogodzić z wolnością, której odbudowie właśnie poświęcony jest „Contrat Social?”

Powstawano i powstają na system państwowy Hobbesa, jako na doktrynę, pod pozorem wolności, urządzającą najabsolutniejszy despotyzm, co jest prawdą niezaprzeczoną, i dlatego sam Rousseau często z nim stacza piorunujące walki. Tymczasem nie podobniejszego, jak obu ich systematy, napozór tak odwrotne. W Rusście nie można przypuścić z góry powziętego zamiaru tyranii, nie jego teorye metafizyczne i etyczne naprowadziły go na władzę absolutną: jest on spirytualistą, czyli człowiekiem głęboko przejętym wolnością i godnością człowieka. Obałamuciły go dwie główne wady metody. Nasamprzód, jak wszyscy wielcy publicyści jego czasów, wyjąwszy Monteskiusza, za punkt wyjścia do swych badań obiera on początek społeczeństw; następnie zajmuje się porządkiem politycznym przed ustanowieniem porządku naturalnego i cywilnego, który, zgodnie z praktyką, należy utrzymać i rozwinąć, dzięki rządowi do tego celu zastosowanemu. Zaszкодził mu jego radykalizm, nie zważający na tę ważną okoliczność, że społeczeństwa już są ze wszystkimi swymi zaletami i wadami, że je można tylko reformować w stanie, w jakim istnieją, i że nie można ich ani znieść, ani cofać do jakiegoś stanu pierwotnego, przedhistorycznego, by na nich odbywać swe ćwiczenia cybernetyczne. Tymczasem, przypominajmy sobie dla streszczenia całości, że Rousseau wyobraża sobie jakiś stan pierwotny człowieka, już nie dziki, ale i nieucywilizowany, w którym człowiek żył szczęśliwy i wolny pod rządem praw natury. Ten złoty wiek ludzkości, uchodząc z ziemi, zabiera z sobą wszystkie prawa jednostki, która naga i bezbronna wchodzi w to położenie, nazywające się stanem społecznym.

Oto punkt wyjścia dla filozofa. Z tego położenia domyślnego trzeba przejść, ale jak? Najlepiej podług pewnych wzorów, według tego jak przechodziły społeczeństwa starożytne; mamy przecież Dra-kona, Likurga, Solona, mamy znakomity wzór w republice Platona; mamy nadto przed oczyma obecny wzór gminy Genewskiej, gdzie mieszkańcy różnią się od siebie zaledwie nieco mniejszą lub większą zasobnością; tylko trzeba tam coś poprawić, postęp pojąć i warunki czasu uwzględnić, obejrzeć każdy szczegół ze wszystkich stron i starać się

najusilniej, ażeby wszystko tam było odwrotnie, jak w tój przeklętój Francyi, której widok zakrwawia serce filozofa. Więc tóż kiedy państwo Hobbesa uosobistnia się w człowieku, w monarsze, w królu, u Russa będzie to zbiór obywateli, uważanych kolejno jako rządzący i jako podwładni; tak, iż zamiast despotyzmu jednego, ciężącego nad wszystkimi, mamy despotyzm wszystkich, ciężący nad każdym pojedynczo. I otóż dopiéro wychodzą podobieństwa dwóch koryfeuszów wolności, zmierzające do jój zabicia: u Hobbesa wszyscy są równi wobec bata o jednym pręcie, u Russa wszyscy są równi wobec dyscypliny o wielu prętach. Prawo u Russa nie jest zarazem mniej więcej wiernym sprawiedliwości przyrodzonej, ale wyrazem woli powszechniej. Ta jedna tylko jest wolną; wole pojedyncze są niewolnicami. Pierwsza posiada wszystkie prawa; drugie posiadają te tylko, których im użycza pierwsza. Siła u Hobbesa („Traktat o obywatelu”) stanowi podstawę społeczeństwa, porządku, praw i obowiązków przez same tylko prawa ustanawianych. U Russa wola powszechna spełnia tąż samą funkcję; i wreszcie niczém się ona nie odróżnia od siły: jest to przewaga liczebna, a więc siła. Z obu stron jednakowa tyrania. Rousseau zarówno z Hobbesem i wszystkimi koryfeuszami despotyzmu, ani myśląc o tém, tłumi człowieka w obywatelu, a święte prawa ludzkości poświęca temu, co nazywa wolą powszechną, bożyszczu złudnemu, dyktującemu swój zakon z mieczem w ręku. Rozprawia on tak, jakby wcale nie pojmował różnicy pomiędzy życiem wewnętrzném człowieka, a życiem politycznym, jakby nie pojmował, że to pierwsze stoi u każdego z nas na pierwszym planie, a drugie podporządkowywać się musi tak, iżby posługiwało tylko do szczęścia pierwszego, jako środek, nie zaś stanowiło cel. Tymczasem, nieprawda! Nikt lepić od Russa nie rozumiał tój różnicy; nikt bardziej nie przepadał za tém szczęściem wewnętrzném; nikt go czuliej i wymowniej nie opisywał, jak on w „Nowej Heloizie“ i wielu urywkach.

I otóż to kontrast z zasadami własnymi, z moralnością własną, która ma jedyny tylko punkt wspólny z jego polityką, a mianowicie, że „człowiek urodził się dobrym,“ czyli, że instynkt, uczucie pierwotne, niezspsute, bezpośrednio zmierza ku dobru. We wszystkich innych punktach napotykaemy mnóstwo sprzeczności.

Ale czy ten punkt jest właściwym punktem wyjścia do polityki społecznej (nie mówmy już o wiedzy państwowej!), czy on należycie oświeca przedmiot, to inne pytanie. Rozumie się, że jeśli ktoś przypuszcza, iż człowiek z natury jest bezwarunkowo dobrym, to pocóż żądać od niego rękojmii w państwie? Jeżeli instynkt z konieczności zmierza ku dobremu, to czemuż nie wygłosić i nie uświęcić pośrednictwa, wszechwładztwa i nieomylności mass? Jeżeli człowiek urodził się dobrym, a społeczności obecne ukazują go zepsutym, to trzeba przerebić społeczności. Taką jest polityka Russa, a zarazem grunt wszystkich tych szkół, które mniej więcej datują od niego. Sęsymonizm ze swym rozdziałem, mającym się dokonać przez państwo; furieryzm ze swą

atrakcją namiętnościową, wyrodzoną z systematu doskonałości instynktowej, z niego także biorą początek. Ale jakąż jest wartość zasady samej w sobie? Że instynkt wzięty ryczałtowo, w całym rodzie ludzkim dobrym jest w swęj istocie, że dąży do zachowania i postępu, temu zaprzeczyć nie można bez ujny dla Opatrzności. Ale czyż zatem idzie, żeby rozdziła instynktów po jednostkach był zarazem nieposzlakowanym i żeby każdy człowiek, bez wyjątku, rodził się zarówno dobrym? Wcale nie. Natury pojedyncze tak silnie się wzajem odróżniające, nie przedstawiają ani tęg prawości bezwzględnej, ani tęg harmonii doskonałej, czyli właściwie jednostajności; a ztąd właśnie wyradza się potrzeba walki, cnoty. Nic bardziej przeciwnego takiemu uważaniu, jak pogląd Russa i szkół nań się powołujących, z pod jakiegóbyd chorągwi. Teza dobroci bezwzględnej, u wszystkich równęj, prowadzi do uważania ludzi za jedności, mające wartość jednaka, za cyfry; prowadzi słowem do teoryi liczb. Teorya dobroci względnej, niedoskonałej, doskonalącej się za pomocą pracy, za cenę odpowiedzialności, prowadzi do następstw przeciwnych, nie do dodawania czysto numerycznego sił społecznych, ale do wyszukiwania harmonii różnic, t. j. do nierówności uporządkowanej według sprawiedliwości i rozumu, nie zaś do tyranicznego a niesprawiedliwego zniwelowania. Byłoby to zapewne pożądane dla wielu, jak chce mieć Pyat, razem z innymi socyalistami, ażeby próżniacy, niedołęgi i trutniowie społeczni używali praw obywatelskich na równi z każdym czynnym, energicznym i przedsiębiorczym; ale czyż taka repartycya godzi się z rozumem i sprawiedliwością?

Wpływ polityki Russa jest przeto, jak widzimy, niezmierny. Siega on aż do dzisiaj; cóż dopięro mówić o dobie prawie spóczesnej! To nie wpływ Woltera, który, rzec można, był tylko agitacyą, i to po największej części jednostronna. Rousseau już wyraźnie wskazuje cel agitacji, nakłada strzałę na cięciwę łuku i mierzy. Rewolucya francuzka, która od niego zapożycza opinii i środków, odczuwa na sobie samęj wszystkie wpływy, kierujące autorem „Umowy społecznej.” Te wzory starożytne, ta wolność w niewoli, te kontrasty krzyżujące się nieustannie, to cały Rousseau. „Wpływ jego na rewolucyą francuzką był ogromny, powiada Barny ¹⁾, on ją niejako przeniknął całą; można powiedzieć bez przesady, że obywatel genewski był duszą tęg wielkiej rewolucyi.“ Zgadza się z tęg zdanie Pawła Janeta, który, ogłoszone w roku 1789, jeszcze za rządów królewskich, tak nazwane uznanie praw człowieka i obywatela (*Déclaration des droits de l'homme et du citoyen*), przesliczny elaborat Zgromadzenia prawodawczego, nazywa „kontraktem zawartym pomiędzy wszystkimi członkami państwa, według pomysłów Russa ²⁾. Toż samo uznaje i Villemain, mówiąc ³⁾: „Od uchwały zwanęj „uznanie praw człowieka,“ aż do konsty-

¹⁾ „Histoire des idées morales et politiques en France au dix huitième siècle.“ Tom II, lekcy 31.

²⁾ „Histoire de la philosophie morale et politique,“ str. 508.

³⁾ „Tableau de la littérature du XVIII siècle,“ lekcy 23.

tucy z r. 1793, niema żadnego wielkiego aktu téj epoki, w którymby nie można znaleźć dobrze lub źle zrozumianego wpływu Russa. Był on pod niektórymi względami Biblią owego czasu."

Przez długi czas utrzymywano, powiada Barny (l. c.), że Rousseau wpływ swój wywierał dopiero od Konwencyi, a na Konstytuante wpływał Monteskiusz. Tymczasem tak nie jest. Dość spojrzeć na kilka uchwał najpierwszych, ażeby się przekonać, że rewolucya od samego początku kierowała się wskazówkami Russa. Jakoż, jednym z pierwszych jéj czynów (Serment du jeu de paume) było zastąpienie głosowania stanami, według „Esprit des lois“ Monteskiusza, przez głosowania pojedyncze według Russa. Ten bowiem w „Contrat Social“ powiada wyraźnie: „Ażeby otrzymać należyty wyraz woli powszechnéj, potrzeba, iżby nie było żadnych cząstkowych towarzystw (stanów) w państwie i ażeby każdy obywatel głosował tylko sam za siebie.“ Jestto zatem głosowanie powszechne, nie korporacyami, jak chce mieć Monteskiusz; i ta uchwała Konstytuanty jest tylko tłumaczeniem owéj myśli Russa.

Zniesienie, w nocy z dnia 4 sierpnia, ostatnich śladów rządu feodalnego przez odjęcie oddzielnych prerogatyw stanowi rycerskiemu, u Monteskiusza zachowanych, jest także w duchu Russa, który wszędzie tak energicznie przemawia za równością.

Sama ta wreszcie wielka uchwała Konstytuanty, zwana Uznaniem praw człowieka, lubo w nią weszło wiele myśli Monteskiusza i Woltera, jest w gruncie tylko urzeczywistnieniem idei zasadniczéj z „Contrat Social.“

Ale lubo Rousseau przydał się i dla Konstytuanty, w gruncie monarchicznéj, przyznać trzeba, że duch jego republikański przyczynił się znacznie do popchnięcia rewolucyi ku rzeczypospolitéj, podjętej przez Konwencyę. Przyznać również trzeba, że duch ten niejednokrotnie szkodliwie oddziaływał na członków Konwencyi i na całą politykę tego ciała. Jak przelicali zwykle zachodzą dalej od samych założycieli doktryn, tak Robespierre zachodził dalej od Russa. Prawodawcy Konstytuanty urzeczywistnili myśl Woltera w ustanowieniu konstytucyi cywilnéj dla duchowieństwa (r. 1790), która, lubo jeszcze dosyć umiarkowana, jednak była kamieniem, jaki sobie do nogi przywiązała Rewolucya. Ale inaczej jeszcze wziął się do tego Robespierre, natchniony widocznie rozdziałem „Contrat Social“ o religii cywilnéj. Na jego to insynuacyę, w imieniu komitetu bezpieczeństwa publicznego, Konwencya pod dniem 18 floreala roku II (7 marca 1794 roku) wydała uchwałę, którój pierwszy artykuł brzmi: „Lud francuzki uznaje byt Istoty najwyższéj i nieśmiertelność duszy.“ Myśl to Russa, powtarzał on, oświadczając, że nie należy wytaczać procesu żadnym opiniom filozoficznym, ale tylko uważać ateizm za rzecz przeciwnarodową. Od téj zasady ogólnéj, zapożyczonéj, jak wiemy w „Contrat Social“, przechodząc do zastosowania jakie mu się w okolicznościach danych podobało uczynić, Robespierre dodawał, że trzeba uważać doktrynę ateistyczną

jako związaną z systemem konspiracyi przeciwko Rzeczypospolitéj; i piorunował przeciwko opiniom materialistycznym ludzi objętych przez niego w tym systemacie, których on téż z tego tytułu wysyłał na rusztowanie, począwszy od Guadeta, Vergniauda i Gensonné aż do Dantona i Héberta. Nie uczyniłby zapewne tego Rousseau jako człowiek, ale jako twórca systemu poddał myśl, przypomnijmy sobie, mówiąc: „A jeżeli kto, uznawszy publicznie te dogmaty, postępuje tak, jakoby w nie nie wierzył, ma być ukaran śmiercią!“ Wprawdzie uchwała Konwencyi nie wymierzała żadnej kary na dyssydentów; ale na co się to zdało, skoro materializm podciągnięty został pod system konspiracyi przeciwko Rzeczypospolitéj, a topór grozy wisiał wciąż nad wszystkimi głowami?

Nie od kogo téż innego, tylko od Russa, zapożyczyła przez Robespiera Konwencya tego socjalistycznego określenia własności, wyrażonego w nowém „Uznaniu praw człowieka,” oświadczając, iż własność jestto prawo użytkowania z części dóbr zabezpieczonych nam przez ustawę.“

Nie był więc Rousseau wcale bezpiecznym przewodnikiem dla tych zapaleńców z Konwencyi, którzy jego głównie dzieło wybrali sobie za podręcznik polityczny, fałszem jednakże byłoby utrzymywać, że ta polityka szlachtuzowa była także jego dziełem bezpośredniem. Trzeba tylko umieć odróżnić wpływ dobry od złego, zamiast mieszać jedno z drugim. Trafnie o tém wyraża się Barny (l. c.): „Sądzę, że można powiedzieć o Rusie toż samo co i o rewolucyi francuzkiej: złe przeszło lub przejdzie, dobre samo pozostanie, a ludy będą mu za nie miały wiekniłą wdzięczność.“

* * *

Tę zasadę prawości instynktów ludzkich i dobroci wrodzonej człowieka, na której polega jego polityka, stosując Rousseau do swéj moralności, lepsze nierównie otrzymać mógł rezultaty; a to z dwóch powodów. Pierwszym jest różnica przedmiotów; drugi leży w samym sposobie zużytkowania téj zasady przy zastosowaniu. Jakoż, rzeczą jest oczywistą, iż uczucie w moralności daleko większe ma znaczenie, niż w polityce: ta jest umiejętnością bardzo trudną i skomplikowaną, gdy moralność zamyka się w przepisach nierównie prostszych. W zastosowaniu do moralności, autor téż często zasadę tę swoję oczyszcza i ogranicza. W polityce opierał się on na instynkcie surowym, pod nazwą woli; tu stara się odwoływać do instynktów oświeconych rozumem, wydelikatnionych przez edukację. Nawet i w tych warunkach jeszcze zapytać go można, czy dostateczną jest podstawa, jaką on daje moralności, ale niemniej zdobywa on sobie wszechstronne uznanie tém, co jest wysoce szlachetnego w jego doktrynie. Ma ona za cel zwrócić sumienie ludzkie do pojęcia dobra i zła, zaciemnionego przez sofizmat; w pośród cywilizacyi zepsutej ożywić poczucie natury; w świecie nierówności sztucznych i w łonie głębokiego egoizmu wzbudzić litość dla cierpiących; rozniecić uczucie religijne ośpałe lub zeschłe; rozgrzać

w sercach kobiet uczucie macierzyńskie. Sprawę tego wszystkiego podejmuje Rousseau wymownie i z powrozeniem, broni uczucia we wszystkich jego objawach pięknych: i w témto rzecznictwie spoczął jego geniusz, ono stanowi główny jego tytuł do społeczenia i szacunku potomości.

Jak „Contrat Social” zajmuje się człowiekiem zbiorowym, tak znowu „Emil” zajmuje się człowiekiem pojedynczym, co do jego wychowania pod wszelkimi względami. Dwa te dzieła uzupełniają się wzajem, a pomimo różnic w zastosowaniu zasady, wiążą się z sobą nierozzerwanie punktem głównym, który autor zaraz na czele dzieła swego zaznacza, mówiąc: „Wszystko jest dobrém, wychodząc z rąk Twórcy wszechrzeczy, wszystko wyrodnieje w ręku człowieka.“ Jak tam, tak i tu gardzi Rousseau wszelką paliatywą, wszelkiem ustępstwem na rzecz instytucji istniejących; zmiana, proponowana przez niego, jest zmianą radykalną: zwalić co stare, a postawić natomiast nowe. „Proponuj co jest do zrobienia możliwe, powtarzają mi wciąż, powiada w przedmowie. To tak jak gdyby mi powiedziano: proponuj robić to samo, co robią, albo przynajmniej, proponuj jakie dobro, łączące się ze złem istniejącem. Projekt taki, w pewnych materyach, jest więcej nierównie chimerycznym od moich: bo w téj mieszaninie dobro się psuje, a złe nie leczy. Wolałbym już iść we wszystkiem za praktyką ustanowioną, niż przyjąć dobrą połowicznie; byłoby mniej sprzeczności w człowieku: nie może on naraz ciągnąć do dwóch celów przeciwnych.“ I tego radykalizmu dowiódł on w praktyce życia, bo w témże samém dziele przytacza ¹⁾, że odmówił proponowanego mu przez wielkiego pana nauczycielstwa domowego, mówiąc: „Gdybym był przyjął jego propozycję, a zbłądził w metodzie, byłaby to edukacja chybiona: gdybym osiągnął skutek, byłoby to daleko gorzej. Jego syn wyparłby się swego tytułu; jużby nie chciał być księciem.“

Rzeczywiście, Rousseau chce wychować tylko człowieka, w znaczeniu, że tak powiem, abstrakcyjnym tego wyrazu. „Ja chcę go nauczyć sposobu życia, powiada. Wychodząc z rąk moich, nie będzie on, przyznaje, ani urzędnikiem, ani żołnierzem, ani księdzem; będzie przede wszystkim człowiekiem: wszystkiem, czém człowiek powinien być, on będzie umiał być w razie potrzeby tak dobrze jak ktobądź; i niechaj tam losy zmieniają mu miejsce, on zawsze pozostanie na swoim ²⁾).

Nic pożądansego. Ale jak to uskutecznić?

Trojakiego rodzaju jest, według niego, edukacja: pochodzi ona od natury, od ludzi, albo od rzeczy. Uczeń, w którym kłóca się między sobą nauki od tych trojga mistrzów pobierane, jest uczniem złe wychowanym: ten, w którym one zbiegają się do jednego punktu i zmierzają do jednych celów, żyje konsekwentnie, i jest dobrze wycho-

¹⁾ „Emile,” ks. I, str. 32, podług edycji „Bibliothèque nationale,” z r. 1877.

²⁾ Ks. I, str. 16.

wanym. Ale niepodobna prawie pogodzić tych trzech wpływów, gdyż od nikogo nie zależy zgodność ich współdziałania, tak potrzebna do powodzenia; i wszystko co można siłą starań uczynić, ogranicza się tylko na przybliżeniu do celu: ażeby go całkowicie osiągnąć, potrzeba szczęścia.

Jeżeli gdzie, to tu najwięcej przebija ten pesymizm społeczny Russa, a który już wykazywaliśmy kilkakrotnie. Człowiek z rąk Stwórcy wyszedł doskonałością, społeczność go zepsuła. Instynkt prawy, poczucie rzeczy dobre, zmieniło się skutkiem opinii. I do jakiegożto stopnia nareszcie wychowawca narodu w „Contrat Social,” walczy z wychowawcą jednostki w „Enilu!” Tam, za warunek dobrego obywatelstwa położył zrządzenie się osoby własnej na rzecz społeczeństwa; tu z goryczą powiada ¹⁾: „Człowiek społeczny jest tylko jednostką ułamkową, tkwiącą w mianowniku, której wartość polega na stosunku z całością. Dobre instytucje społeczne są właśnie te, które umieją najlepiej zwyrodnić człowieka, odjąć mu byt bezwzględny, a nadać względny, i przenieść jaźń do jedności wspólnej, tak, iżby każdy pojedynczy człowiek nie czuł się już jednostką, ale częścią jedności, i znacznym był tylko w całości.” Poczóż więc było, możemy go zapytać, urządzać samemu w ten sposób społeczność i to z takim naciskiem: albo poczóż teraz na to narzekać i kierować jednostką w ten sposób, ażeby ona nigdy do takiego trybu społecznego nie przystała? Ale gdybyśmy mieli wciąż zaczepiać Russa o kontrasty, nie skończylibyśmy z nim nigdy. Pogodzenia musimy szukać sami, a przynajmniej brać z niego wszystko co się da, pomimo kontrastów.

Kto, podług niego, pragnie w porządku społecznym górą utrzymać uczucia natury, ten sam nie wie jak się ma. Zawsze w sprzeczności sam z sobą, zawsze wahający się między skłonnością a obowiązkiem, nie będzie on nigdy ani człowiekiem, ani obywatelem, nie będzie dobrym ani dla siebie, ani dla drugich. „Będzie to człowiek naszych czasów, powiada, Francuz, Anglik, mieszczanin; będzie to nic.” Ażeby być czémś, ażeby być sobą i zawsze jednym, trzeba czynić tak jak mówi; trzeba zawsze być zdecydowanym na to, czego się ma jać, brać z wysoka, wytrwać. „Czekam—mówi—aż mi kto pokaże takie cudo, by się dowiedzieć, czy to człowiek, czy obywatel, albo jak się on do tego bierze, ażeby być zarazem jednym i drugim.”

Niéma więc, według Russa, środka na pogodzenie tych dwóch charakterów ludzkich: człowieka i obywatela; nie można być jednym i drugim całkowicie, jeden drugiemu musi uczynić jakieś ustępstwo. Powiedzieliśmy też, przystępując do rozbioru „Contrat Social,” że sam autor czyni z siebie ustępstwo, pisząc to dzieło, a uważając uspołecznienie tylko za złe konieczne. I to nam teraz dopiero może poniekąd objaśnić, dlaczego on tam tak radykalnie poświęcił człowieka obywatelowi: dlatego, że nie widząc pogodzenia, nie chce, ażeby jeden kłó-

¹⁾ Ks. I, str. 12.

cił się z drugim, trzeba go więc zatrzyć. Ale teraz, kiedy mu w jedności chodzi o człowieka, więc na odwrót: niechaj mu obywatel nie bruździ.

Stanowczo bowiem w „Emilu,“ Rousseau staje po stronie natury, ażeby człowieka w jćj kierunku prowadzić. Dlatego usuwa on edukacyę publiczną, zostającą pod kierunkiem rodzicielskim, która rozpoczyna się od samego urodzenia. Edukacya ta ma nauczyć człowieka, żyć, fizycznie i moralnie według natury, a więc odsunąć wszystkie przesady, kierujące wychowaniem w społecznościach ludzkich. Ten wychowanym jest najlepiej, kto najlepiej potrafi znosić dobre i złe tego życia; za czém idzie, że edukacya prawdziwa polega nietyle na przepisach ile na ćwiczeniu. Niedosyć jest uchowywać dziecko, należy sprawić, ażeby umiało samo się uchowywać będąc człowiekiem, znosić wypadki losów: bogactwo i nędzę, żyć, jeśli się zdarzy, tak samo pod biegunem jak pod równikiem, a choćby na pustyni i umieć samemu sobie zaradzić. Edukacya więc ma być naprowadzającą, nie zaś dogmatyczną, pod dewizą: naturam sequere dućem. Nazywa on właściwie edukacyę negatywną, t. j. taką, która polega nie na nauczaniu cnoty, ale na strzeżeniu serca przeciw występkom i duchowi błędowi, a to na mocy tćj tezy, w gruncie nieuzasadnionej, że człowiek z natury jest dobrym, więc dosyć go tylko ustrzedz od nieprawości, a wrodzona dobroć jego ocaleje. Nie przeto jednak same tylko błędy wysnuł Rousseau z tćj edukacyi negatywnej, zwłaszcza odnośnie do niemowlęcćj doby człowieka: przeciwnie, wypowiedział wiele prawd użytecznych i głębokich. Doba niemowlęctwa zajmuje prawie całą pierwszą księgę jego dzieła, a trudno trafniej i w sposób bardziej zajmujący kreślić swoje przekonania co do zachodów materyalnych, oraz co do warunków swobody lub przymusu, jakich ta pierwsza doba wymaga. Ponieważ dziecko jest wtedy więcej zwierzęciem niż człowiekiem, zajmuje go nade wszystko strona fizyczna, ale już jako grunt do przyszyłych żniw moralnych. Chodzi mu o to, ażeby wychowanek posiadał zdrowie silne i czerstwość sił. „Trzeba, powiada on, czego i dziś nie można dosyć zalecać rodzicom i wychowawcom społeczeństw,—ażeby ciało miało wszelką siłę, potrzebną do posłuszeństwa duszy: dobry sługa powinien być mocnym... Im ciało jest słabsze, tćm więcej rozkazuje; im silniejsze, tćm snadniej ulega. Wszystkie namiętności zmysłowe mieszkają w ciałach zniewieściaych; a tćm więcej doznają podrażnień, im mniej mogą im zadość uczynić ¹⁾. Należałoby to ostatnie zdanie wypisać na czele wszystkich podręczników pedagogicznych, tam zwłaszcza, gdzie pokolenia, na których barkach silniej niż gdzieindziej zaległ ciężar przyszłości, rozpoczynają życie od zniszczenia wigoru ciała. Wielką jest zasługa Russa w tak silném zwróceniu uwagi na wychowanie fizyczne od samćj kolebki. Rozumowanie jego jest jednym okrzykiem oburzenia przeciwko lekceważeniu niemowląt przez rodziców, przeciw-

¹⁾ Ks. I, str. 39.

ko tym skrepowaniom fizycznym, w jakich dziecko pozostaje, począwszy od powijaka, słowem, przeciwko całemu trybowi postępowania, na który patrzył. Kto wie, że Rousseau nie był z profesyi biologiem, musi albo podziwiać jego intuicyę, albo też nie uznawać słów jego powagi. Ale Rousseau miał poprzednika swego w Buffonie, i to co ten wykazywał na zasadzie nauk fizyologicznych, on powtórzył za nim wymownie, z przejęciem, od serca, zwracając się zwłaszcza do matek z upomnieniem, ażeby same były karmicielkami. Głos jego, przemawiający w imię uczucia i obowiązku, poskutkował więcej, niż wywód umiejętny Buffona.

Co większa, już on z tém hodowaniem fizyczném łączy względy wychowania moralnego, zwracając uwagę na to, że z każdym dniem budzi się w dziecku coraz więcej dusza, mężnieje, a tém samém wyzywa baczność wychowawców. Rodząc się, dziecko już krzyczy; pierwsza jego doba przechodzi w płaczu. Cóż na to robią wychowawcy? zapytuje. To wstrząsają niém, to pieczą je dla uciszenia; to znowu grożą lub biją by mu usta zatkać. Czynią to, 'co jemu się podoba, albo wymagają odeń tego, co podoba się im; albo sami poddają się jego fantazjom, albo dziecko pod swoje poddają. Niema środka: albo ono wydawać musi rozkazy, albo je odbierać. Nasamprzód więc budzą się w niém pojęcia władzy i służebnictwa. Nim się nauczy mówić, już rozkazuje; nim zacznie działać, ulega; a czasami nawet karzą je wprzód, nim zdolne jest rozpoznawać winy, a raczej je popełniać. Takimto sposobem—utrzymuje Rousseau—szczepią w jego młodem sercu wczesnie namiętności, które następnie przypisują naturze, a natrudziwszy się dosyć nad tém. ażeby dziecko uczynić złém, skarżą się potem, że złe.

Autor „Emila“ w przekonaniu, że edukacya dziecka rozpoczyna się od jego urodzenia, nie poprzestaje na mnóstwie względów higienicznych, które tu przemilczamy, ale śledzi właśnie z całą bacznością te symptomata moralne w pośród łez i uśmiechów, giestów i okrzyków nieinowłęcia, zalecając, ażeby mu ani się sprzeciwiać, ani nie ulegać; starać się rozpoznać ukrytą intencyę, rodzącą pewien objaw przykry lub ucieszny; rozróżnić kaprys od potrzeby.

I na kogóż to on wkłada ten obowiązek? Oczywiście na matkę, bez której, wykrzykuje, niema dziecka! oraz na ojca, któremu stawia za powinność, ażeby raczej porzucił wszystkie interesa, wszystkie względy światowe, niż zajęcie się wychowaniem dziecka. Zgadza się jednak na zastąpienie ich przez wychowawcę, jeśli inaczej być nie może. Ale też żąda od niego przymiotów, którychby z pewnością w żadnym ojcu nie znalazł. Jestto, co do umysłu i charakteru, jakaś istota zjawiskowa, nakształt prawodawcy z „Contrat Social; a nadto musi on cały utonąć niejako w swém zajęciu, ponieważ do niego należy kierunek i wychowawczy i naukowy, pod tym jednak warunkiem, ażeby nie dawał uczniowi żadnych przepisów z góry, ale go na nie naprowadzał. Ta metoda indukcyjna stanowi właściwą treść całego systema-

tu, i, w oczach naszych przynajmniej, ma wartość niepospolitą i niedość jeszcze dotąd ocenioną. Okupuje ona wiele dziwactw szczegółowych, jakie mieszczą się w łonie systematu. Odtąd więc nie z rodzicami mieć będziemy do czynienia; jego „Emil“ jest sierotą; lecz tylko z wychowawcą i wychowawcem. Ale i ten ostatni wybranym jest niebezwarunkowo i nie byle gdzie umieszczonym. Musi on być przede wszystkim zdrowo urodzony i bez żadnych skłonności chorobliwych, bo Jan-Jakób godzi się być tylko wychowawcą, a nie szpitalnikiem. Dalej żąda on, ażeby edukacja odbywała się nie w mieście, gnieździe zepsucia fizycznego i moralnego, ale na wsi, i to nie w byle klimacie lecz umiarkowanym. Z tego widzimy, ile to kosztować musi owo wychowanie człowieka według natury, mówiąc jego językiem, człowieka naturalnego. I wychowawca i wychowaniec muszą zostawać w warunkach wyjątkowych; inaczej on nie odpowiada za nic: a więc na samym wstępie autor wygłasza sprzecznosc z samym sobą, skoro system jego, który on podaje za konieczność ludzką, nie może być uogólnionym. System też ten i z tego powodu i z innych, które okażą się później, słusznie za utopiję uznany został jako całość, jako szczegółowe myśli, spostrzeżenia i rady, po odjęciu szczegółowych dziwactw, nie przestaje być powagą aż dotąd.

Zobaczymy więc jak funkcjonuje ta maszyna jego edukacji negatywnej.

Pominiemy funkcyę czysto fizyczne, jak: wybór mamki, sposób żywienia, kąpiele, ruch, hartowanie organizmu na wszystkie niedogodności i t. p., a to dla tej prostej przyczyny, że musielibyśmy powtarzać niemal dosłownie ustępy z przewodników higienicznych, co tém większą chlubę przynosi autorowi „Emila“, o ile pierwszym był w literaturze nowoczesnej, który zwrócił w wychowaniu uwagę na to, do czego tak wielką ważność przywiązywały jeszcze narody starożytne, a czego zaniedbanie przyczyniło się do zwyrodnienia dzisiejszych pokoleń.

Pozostaniemy tylko przy względach moralnych. Ale i w tém nie pójdziemy śladem tych, którzy w wykładach swych ganią lub chwala każdy szczegół pojedynczo, każdy ustęp: raz dlatego, że byłoby to zbyt techniczném i niestosowném, powtóre, że utworzyćby musiało nową książkę pedagogiczną przeciwko książce. Postaramy się przedstawić, jak sam Rousseau rozumiał tę rzecz, a i samo obiektywne przedstawienie tej rzeczy, tak mało u nas znanéj, niemałego wymaga zachodu.

Zwróciliśmy już uwagę na potrzebę obserwowania symptomatów moralnych, jakie objawiają się w krzyku, płaczu i gestach dziecięcia, ażeby ani nie ulegać jego kaprysom, ani go nie zmuszać do postuszeństwa kaprysom naszym, lecz odkrywać w tém jego istotne potrzeby, od których ono jest rzeczywiście zależném i czynić im zadość. Pierwsze łzy dziecka, to jego prośby; niebacznie puszczone, staną się rozkazami. Te oznaki dumy, gniewu, czy pomsty, słowem, wszystkie te wady, zdające się przebijać w dziecku, nasunęły myśl niektórym filozofom, powia-

da autor, że człowiek rodzi się złym. Zbija on tę potwarz, którą oczerniają najpiękniejsze dzieła natury i w ruchach tych niemowlęcych widzi tylko potrzebę czynności i probowanie sił. Jeżeli dziecię okazuje skłonność do niszczenia, to wcale nie przez złość, ale przez żywość. Ztąd wypływają cztery następujące zasady postępowania:

Dozwolilić dzieciom używać wszystkich sił, które daje im natura i których one nadużyć nie mogą. Pomagać im i nadstarczać to, czego im brak, czy to w pojęciu, czy w sile, względnie do wszystkiego, co ma związek z potrzebą fizyczną. W udzielaniu téj pomocy ograniczyć się jedynie na pożytku rzeczywistym, nie folgując w niczém fantazyi, to jest pożądaniu nierozumnemu. Starannie badać ich język (niemowlęcy) i znaki, ażeby w wieku, w którym nie umieją udawać, rozpoznać można, co wynika bezpośrednio z natury, a co z opinii.

Zwyczaj dużego mówienia do niemowląt nie podoba się naszemu obserwatorowi. Żąda on, ażeby pierwsze wyrazy, jakie zwracamy do nich, były rzadkie, łatwe, jasne, powtarzane często, a odnosiły się tylko do przedmiotów zmysłowych, które można wskazać. Nieszczęśliwa łatwość—uważa—z jaką poprzestajemy na słowach nierozumianych, poczyna się i tak wcześniéj, niż sądzim. Manija wymagania od dzieci zbyt wczesnego mówienia, sprawia według niego to, że zaczynają naprawdę mówić późniéj i niezrozumiale. Zbyteczna uwaga, jaką zwracamy na wszystko, co plotą, zwalnia ich od wymawiania dobrego. Najważniejszą rzeczą w tém jest, ażeby o ile można, ścieśnić słownik dziecka, a wielką niedogodność upatruje on w tém, iżby dziecko nabywało więcéj wyrazów, niż pojęć. Jeżeli chłopci posiadają sąd trafniejszy od mieszczuchów, to przypisać należy mniejszój, według niego, rozciągłości ich dykcyonarza. „Mało oni mają pojęć, powiada, ale je lepiej porównują.”

Tym sposobem przychodzimy do drugiego okresu życia, a oznaczającego się tém, że dziecię przestaje być niemowlęciem (infans), mówi. W tym to okresie (pueritia), cierpienie jest pierwszą rzeczą, którój chłopca (pamiętajmy, że „Emil” jest chłopcem) nauczyć trzeba, bo to nauka, która kiedyś ma nam najwięcéj się przydać. Autor odrzuca te wszystkie paski, wózki i stolki na kółkach, któremi dziecko zabezpieczają od wypadków. Woli on raczéj śmierć, niż niedołęztwo. Zamiast trzymać Emila w duszném powietrzu pokojowém, prowadzi go codziennie na łąkę. Niechaj tam biega, niech się tarza, niech pada sto razy na dzień; tém lepiej: nauczy się prędzój wstawać; uciecha swobody okupuje wiele ran. Z uwagi na niepewność i krótkość życia ludzkiego, filozof nasz chce pierwszemu wiekowi zachować całą szczęśliwość, do jakiej jest zdolnym. Powiadacie, że to właśnie pora do walczenia przeciw złym skłonnościom dziecka? Oh! nieszczęśliwa przezorność! która istotę czyni nieszczęśliwą obecnie, w nadziei dobrze lub źle uzasadnionej, że ją szczęśliwą uczyni kiedyś! Nie możnaż nigdy odróżnić swawoli od swobody, a dziecka czującego się szczęśliwém od dziecka psowanego?

I tu ¹⁾ następuje opis kilkokartkowy, jakim sposobem najłatwiej szczęście zdobyć sobie można, na podstawie umiarkowania pożądań według sił i zdolności, opis zachwycający krasomówstwem, z którego wynika to, że tylko taka proporcya zapewnić może człowiekowi szczęście rzeczywiste. Człowiek prawdziwie wolny i szczęśliwy jest ten, który chce tego tylko, co może, a czyni co mu się podoba. Wielką sztuką jest umieć trzymać się na właściwem sobie miejscu. Dziecko, nie znające swojego, nie umiałoby się na niem utrzymać; wychowawców rzeczą utrzymać je na niem. Nie powinno ono być ani zwierzęciem, ani człowiekiem, jedno dzieckiem; powinno czuć swą słabość, ale z jój powodu nie cierpieć; powinno pozostawać w zależności, ale nie ulegać przymusowi. Ono podległe jest innym tylko z powodu swych potrzeb; a nikt, nawet własny ojciec niema prawa nakazywać dziecku tego, co mu się na nic nie przyda.

Rousseau wykazuje dwa rodzaje zależności wieku dziecięcego: jedna pochodzi od rzeczy i ta jest naturalną; druga pochodzi od ludzi i ta jest społeczną. Druga niweczy wolność i często wytwarza występki; pierwsza, nie mająca żadnego charakteru moralnego, nie szkodzi wolności, a tém mniej cnotom. Utrzymać zatem dziecko w jedyniej zależności od rzeczy, znaczy to iść za porządkiem natury w postępie wychowania. Niechaj ono nie wie, co to jest posłuszeństwo, kiedy coś działa, ani co to jest władza, kiedy ktoś działa za nie. Oto jest wielka zasada, na której się opiera i którą konsekwentnie nasz pedagog rozwija. Tym sposobem słowa: posłuszeństwo i rozkaz, nie istnieją w słowniku Emila, jak również wyrazy: obowiązek i zobowiązanie. Natomiast obszerne tam zajmują miejsce wyrazy: siła, potrzeba, niemożność, mus.

Walczy on przeciwko systematowi Locke'a, który zaleca z dziećmi jaknajwięcej rozprawiać. Obawia się, ażeby przy tej metodzie nie nabyło ono pojęć fałszywych, które raz pochwycone, stają się niezawodnym zarodem błędu i występku. Jakoż, ażeby rozumować z dzieckiem, np.: o kłamstwie, które popełniło, potrzeba subtelnymi zakrętami, ale nieuniknionemi, naprowadzić jego słaby umysł aż na pierwszą zasadę prawdy i fałszu, sprawiedliwości i niesprawiedliwości, albo też poprzestać na słowach nie tłómaczących nic, żadnej dlań myśli nie zawierających. Ostatni ten środek uczyni zeń papugę, powtarzającą dźwięki bez ich zrozumienia; pierwszy, ani myśleć, żeby się pomieścił w jego biednej głowie. Wszakżeż—uważa—celem dobrego wychowania jest uczynić człowieka rozumnym: a my chcemy przemienić niejako rolę i za środek używamy celu. Dopóki wychowanie czułym jest jedynie na wrażenia zmysłowe, dopóty, według Russa, wszystkie jego pojęcia ograniczyć się powinny tylko do rzeczy zmysłowych: niechaj on widzi koło siebie jedynie świat fizyczny.

Dzieci powinny być karne: ale do tego celu nie doprowadza się ich przez posłuszeństwo. Sztuka polega na niedopuszczeniu ich do

¹⁾ Ks. II, str. 83 i następn.

uczynienia tego, od czego powinny się powstrzymywać, ale bez zakazu, bez tłumaczenia, bez rozumowania. To, co uznajemy za dopuszczalne, winno się dozwalać z przyjemnością od pierwszego słowa, bez nalegania, bez prośb, a zwłaszcza bez warunków. Odmawiać należy ze wstrętem, ale odmowa winna być nieodwołalną. Próżność, chciwość, obawa, nawet emulacya, jako sprężyny, są tu wypędzone raz na zawsze; jedyłą sprężynę stanowi dobrze urządzona wolność. Słowem, negatywność w całym znaczeniu, polegająca nie na wskazywaniu cnoty i prawdy, ale na ochronieniu serca od występków, a umysłu od błędów.

Ta edukacya negatywna, mniej szwankująca w pierwszym dzieciństwie, chromieje jednak coraz bardziej w miarę posuwania się do dalszych okresów, bo iżby ochronić ucznia od tych złych wpływów, pedagog nasz musi go trzymać odosobnionego, niby roślinę w cieplarni, gdyż najmniejsze zetknięcie ze stosunkami zewnętrznymi staje się niebezpiecznym dla wytkniętego systematu.

Ponieważ ten okres życia wychowanka, w którym on nie uczy się niczego, trwa do lat dwunastu, ażeby przeto nie uchodzić za ostatniego utopistę, Rousseau przypuszcza możliwość takich wpływów zarażających i chodzi mu już tylko o to, ażeby je modyfikować, podając na to trzy sposoby. Naprzód ochmistrz, nim pocznie kształcić człowieka, powinien sam się uczynić człowiekiem. Powtóre: powinien zawładnąć wszystkiem, co go otacza, a iżby władza ta była wystarczającą, postara się ugruntować ją na szacunku i cnocie. Potrzebie: wychowywać będzie Emila na wsi, „zdala od zgrai lokajów, ostatnich wyrzutków ludzkich po swych panach, zdala od czarnych połysków miast, które polityra, jaką się pokrywają, czyni ponętami.” Nie mogąc wreszcie zapobiedz widokowi złego przykładu, postara się przedstawić go umysłowi ucznia we właściwym obrazie, któryby odeń serce ucznia odstępował.

Przyznaje też Rousseau, łamiąc coraz bardziej tę zasadę postępowania negatywnego, że w łonie społeczeństwa niepodobna doprowadzić chłopca do lat dwunastu, nie dając mu jakiegokolwiek wyobrażenia o stosunkach międzyludzkich. Ale żąda on naprzód, ażeby wyobrażenia te odkładać ile można; następnie, ażeby rozpoczynać od wyjaśnienia obowiązków względem samego siebie. Na samym wstępie widzi on pojęcie własności, jako podstawę moralności. I o dziwo! w przesłicznej rozmowie pomiędzy ogrodnikiem, uczniem swym i sobą, wyklada Emilowi własność, na zasadach zgoła innych, niż te, które głosił w rozprawie „o nierówności, tudzież w „Contrat social.” „Powiekszam, mówi, tę radość Emila (pochodzącą ztąd, że coś posiada na własność), powiadając doń: to należy do ciebie; a wtedy tłumacząc mu ten wyraz należec, daję mu uczuć, że on w to włożył swój czas, pracę, trud, słowem osobę swoją; że w tej ziemi jest coś z niego samego, o co upominać się może wobec kogobądź, tak jakby mógł wycofać rękę swą z ręki innego człowieka, któryby mu ją chciał mimo jego woli zatrzymać.” Ależ to jest prawo pierwszego osadnika, jedyne, najbliższe logiki w uzasadnieniu prawa własności. Zasada, głoszona w wieku XVIII przez Que-

snay'a, a w naszym przez wszystkie szkoły filozoficzne. Rousseau uzupełnia tę zasadę szacunkiem dla zobowiązań i tym sposobem ustanawia swoją moralność.

Umowy dotyczące zobowiązań, otwierają wrota kłamstwu, niszczącym społeczeństwo. Tu Rousseau wchodzi w długi wywód tego występkę, zmierzający do tego, ażeby nigdy nie naprowadzać dziecka na kłamstwo, pytając je, czy zrobiło to lub owo: ale urządzić się tak, ażeby chłopiec chybiający zobowiązaniom, lub zapierający czynu istotnego, uległ w skutek kłamstwa złym następstwom, wynikającym z samego porządku rzeczy, a nie z rozgniewania wychowawcy.

Jak z ćwiczeniem rozumu, tak i z ćwiczeniem pamięci nie należy się śpieszyć: dzieci bowiem, nie mogąc zdobyć się na sąd, zapamiętywają tylko próżne znaczenia wyrazy; potępione więc są nawet bajeczki, nietylko nauka języków, chronologii i geografii. Czytać nawet nie będzie się uczył Emil do lat dwunastu, ale wciąż ćwiczyć tylko uczucie, ciało i zmysły, a ćwiczenie to, dobrze pokierowane, nauczy go myśleć jasno i odpowiednio do zakresu wieku. W liczbie zmysłów znajduje nasz filozof, szósty, tak nazwany zmysł wspólny (*sens commun*), nie dla wspólności, ale raczej dlatego, że on jest jakoby wynikiem innych, dobrze pokierowanych, a objaśnia nas o naturze rzeczy przez współdziałalność wszystkich objawów zewnętrznych. Ten szósty zmysł niema organu właściwego; mieści się on tylko w mózgu, a jego wrażenia czysto wewnętrzne, nazywają się percepcjami, czyli ideami. Jestto sztuka porównywania ich między sobą, którą nazywamy rozumem ludzkim, a którego uprawę pozostawia autor dalszemu okresowi. Jak widzimy, Rousseau, który w tém dziele często polemizuje z Locke'm, jako pedagogiem, składa hołd jego teorii, jako psychologowi.

Przed wejściem w okres nowy, Rousseau rzuca raz jeszcze pogląd wsteczny na drogę, którą odbył z uczniem przez lat dwanaście i każe mu niejako złożyć egzamin przed areopagiem mędrców. Rekapitulacja ta wykrywa wszystkie środki, użyte do prowadzenia i skutki każdego środka. Rozumić się, jak w każdym systemacie a priori, rzecz urządzona tu jest tak, jak w układzie kart, przygotowanych przez grającego z góry do wygranej. Chłopiec nie umie żadnego katechizmu, ani niczego, co mu dotąd nie potrzebne; nie zna nic z tego, co znają rówieśnicy jego, wychodzący z edukacji zwyczajnej, ale jestto dziecko skończone (w przeciwstawieniu do wyrażenia, czło wiek skończony). Przedstawia on budowę silną, ciało zdrowe, zmysły tego wyćwiczone, umysł zamknięty dla błędu, serce niedostępne dla występkę, duszę naiwną, na której radość niewinna utrzymuje niezmienną pogodę: obraz szczęścia i dobra.

W takim stanie rozpoczął Emil rok trzynasty życia (adolescencia). Trzeba z nim już poczynać poważniej i ostrzeliwać go z drażliwszemi kwestyami życia. Nie zna on jeszcze przesądów i ciężarów społeczeństwa; namiętności jeszcze się nie ozwały w jego sercu: jego więc siły przewyższają o wiele potrzeby i pożądania. Cóż on z tym nadmiarem

uczyni? „On—powiada Rousseau—w przyszłość rzuci nadmiar swój istoty obecnój. Dziecko silne gromadzić będzie zapasy dla człowieka słabego: ale magazynów swych nie założy on ani w kufrach, które mogą mu być skradzione, ani w obcych spichrzach. Dla przywłaszczenia sobie rzeczywistego nabytków, umieści on je w ramionach swoich, w głowie: czas zaś na nauki i studia.”

Ale jakież to nauki wykładać mu będzie ochmistrz?... Tu znowu odzywa się duch autora pierwszej rozprawy konkursowej, duch sprzeczności, pesymistyczny zarówno względem nauki jak i względem organizacji społecznej. Program jego naukowy ogranicza się do niewielu przedmiotów, w których wyborze ma głównie przewodniczyć idea utylitarna, ale utylitaryzmu niższego: metoda tylko naprowadzająca i tak zwana dzisiaj, poglądowna, godną jest zalecenia. System jego polega na rozwijaniu prawidłowem tych zapytań, jakie zadaje sam uczeń potrącony przedmiotem zmysłowym: co to jest? do czego to służy? Pytania te powtarzają się nieustannie. Ustanawia też on pewną kolęję racjonalną nauk, nakształt systemu Comte'a, w której pierwsze miejsce zajmuje ziemia; i tu daje przykład swój metody, w nauczaniu Emila początków geografii astronomicznej. Celem jego nauczania nie jest mnogość umiejętności, ani łamanie się w nabywaniu trudniejszych; chodzi mu głównie o to, ażeby wiadomości ucznia były jasne, pewne, trwałe, a nazwyczajają człowieka do najpierwszego z obowiązków, do samodzielnego myślenia. Nieprzyjaciel książek, wyklucza on je z edukacji: wykład ma być tylko ustnym. Za jedyną zaś książkę poleca „Robinsona Kruzoe,” jako taką, w której z jednej strony wszystkie potrzeby przyrodzone człowieka występują w sposób dostępny umysłowi dziecka, a z drugiej, rozwijają się stopniowo i z równą łatwością sposobem samodzielnego zadosyćczynienia tym potrzebom, czyli samopomoc. Pragnie on, ażeby sobie tą książką Emil zawrócił głowę. Niechaj myśli, iż jest Robinsonem, w jego położeniu; niech дума nad wszystkimi środkami tego bohatera, niech się zastanawia nad sposobami jakich on używał dla zapewnienia sobie życia dogodniejszego; niech go kontroluje i wyobraża sobie, że zdobyłby się na lepsze. Dumania te naprowadzą go na pierwotny stan ludzi i na kunszt naturalne; te zaś na kunszt wymyślone w społeczeństwie, które Rousseau poddaje pod surową krytykę, gdzie, zgodnie z „Listem do d'Alemberta,” sztuka (ars) zepchnięta jest daleko poza rzemiosło (utylitaryzm niższy), a już zbytki rzeczowe wybiczowane do kości.

W imię też zasady, że „trzeba żyć,” Rousseau, uważając urodzenie, majątek, zachowanie, za nader krucho zasoby, ob staje za tém ażeby jego uczeń, choćby dziecko książęce, miał własny sposób do życia, czyli, jak to mówią fach w rękę: żeby był użyteczny drugim, a więc potrzebny. Każe mu się tedy uczyć rzemiosła, uważając je za dogodniejsze od rolnictwa, i wybiera stolarstwo.

Takim to sposobem prowadzi on swego Emila aż do lat piętnastu. Nasamprzód ćwiczył jego ciało i zmysły; następnie uczucie, umysł

i sąd, nareszcie połączył działalność członków z władzami umysłowymi: czynił zeń istotę działającą i myślącą. Teraz zaś, ażeby dokonać człowieka, uczyni zeń istotę czułą, czyli udoskonali rozum przez uczucie.

Rok szesnasty ucznia, (juventus), to okres najkrytyczniejszy dla mentora. Gotują się burze, namiętności niebawem zakipią. Rousseau zwraca się do początku namiętności, i uważa je za dar natury, który niweczyć byłoby szaleństwem. Pierwiastkiem ich jest miłość siebie (zważmy jak blizkim tu jest dzisiejszych teorii egoistycznych); ta przeniesiona do społeczeństwa, przeistacza się tam niebawem na miłość własną, która wywyższa siebie samą, pragnie być wywyższaną, wymaga tyranicznie względów. Ztąd miłość (erotyczna), przyjaźń, wdzięczność; ale i ztąd też zazdrość, nienawiść, zemsta. Wywodzi z tego nasz filozof, że dobrym czyni człowieka to, gdy mało ma potrzeb i nie przyrównywa się do innych: mnogość potrzeb i zbyteczne przywiązywanie się do opinii, czyni go przeważnie złym.

Najpierwszém uczuciem, może najniebezpieczniejszém, a więc wymagającym najbacniejszej troskliwości ochmistrza, jest to lube wzruszenie, jakiego dozna młodzieniec na widok płci przeciwnej. Rousseau zauważył, że ci, których rozkosze poczynały się wcześniej, byli twardzi a nawet okrutni. Ludzie, przeciwnie, długo zachowujący niewinność, bywali zwykle drodzy społeczeństwu, w skutek wzruszających cnót. Dla zaprowadzenia więc porządku i prawidłowości wśród rodzących się żądz, radzi rozdłużyć przeciąg ich rozwoju. Na pierwszym szczeblu skali uczuć łagodnych stawia on miłosierdzie, wielkie mu w ukształceniu charakteru moralnego nadając znaczenie.

Z rozwojem moralności, nastąpi doba stanowcza do nauczania Emila jak ma poznawać ludzi, z którymi nareszcie wejść musi w stosunek. Dwa tu przedstawiają się szkopuły: wyobrazić mu społeczeństwo w barwach korzystnych, byłoby to oszukaństwem; odmalować mu takim jakim jest, pełném kłamstwa, nizkości i bezprawia, znaczyłoby to obrzydzić mu bliźnich, a z obserwatora uczynić satyryka. Ażeby więc uniknąć tych szkopułów, trzeba mu ludzi ukazać zdaleka; w innych czasach, w innych miejscach, tak, iżby uczeń widział scenę, bez możliwości działania na nią. Oto historyał o której Rousseau mówi z uniesieniem, swoją drogą mocno krytykując dotychczasowy sposób jej traktowania, z tej mianowicie strony, że niedość usiłuje sięgać do głębi charakterów ludzkich, jak to czynił niegdyś Plutarch, jego wzór ulubiony (nie znał jeszcze Macaulay'a). Kiedy młodzian czyta historiją, której wypadki zajmą go geniuszem, talentem lub cnotą jakiego znakomitego bohatera, gorąca wyobraźnia przenosi go na miejsce, wprowadza w akcyę samą; chce być, wyobraża sobie, że jest tym wielkim człowiekiem, którego rozpoznaje czyny. Rousseau wzbrania Emilowi tój szlachetnej asymilacji: „jeżeli choć raz się zdarzy, powiada, że w tych porównywaniach, będzie wołał być tym innym, niż sobą, bogdajby nawet Sokratesem lub Katonem, wszystko przepadło; kto poczyna stawać

się obcy samemu sobie, niebawem zapomni o sobie zupełnie." Przyznać trzeba, że uczeń Roussa musi mieć w gruncie porządną zasób pychy, by się wobec tak wielkich przykładów z życzeniem zbliżenia do nich powstrzymać: filozof też nasz ma sposoby przeciw jego zarozumiałości. Użyje on doświadczenia, wystawi ucznia na to, ażeby stał się igraszką ludzi zręcznych, ofiarą oszustów i pochlebców. Wtedy to zaledwie każe mu odczytać ową bajkę Lafontena o kruk i lisie, którą za zbyt wczesną, jako dla dziecka uważał. Teraz dopiero czas na apologi: jak kto popadnie w błąd, wtedy podsuwaj mu obrazy dające uczuć niechęć błędu.

Nie ma może w całej tego rodzaju literaturze świata nic święniejszego pod względem wymowy i nic prawdziwszego, jak ten opis wieku, w którym budzą się namiętności i zapowiadają burze szczegółowe. Istna to kopalnia dla psychologów i romansopisarzy. Wszystko co tu czytamy, wypowiada Rousseau z potężnym uczuciem uczciwości, z namaszczeniem. Z uwagi na prawdziwość zasad, na dzielność metod jakie wskazuje, te prawidła postępowania moralnego, te sposoby przemawiania młodzieży cnotami społecznymi, to rzecz godna stać się podręcznikiem domowym dla wychowawców. Jeden tylko szczegół razi w niej niemiernie. Jeżeli Emil dozna obelgi czynnej (policzek), albo choćby zniewagi od jakiego pijaka, ochmistrz radzi mu, wprowadź bardzo głucho i niewyraźnie, zabić go, i bynajmniej nie w pojedynku, to byłoby szaleństwem, ale przez prosty czyn morderstwa. Nie potrzebujemy przytaczać żadnego argumentu przeciw takiemu zdaniu, które, nie przestając dziwić nas ze strony przyjaciela ludzkości i filozofa, jest prostym wybrykiem umysłu paradoksalnego.

Moralność prowadzi do metafizyki, którą obchodzi tylko Rousseau zdaleka, by całą rozwiązać w religii.

Otoż tu spoczywa kamień obrazy, a zarazem najwyższy może interes tej sielanki pedagogicznej. Emil jego jest dotychczas bezwyznaniowym, nie dlatego iżby Rousseau lekcewał religią, przeciwnie: „zaniedbanie religii wszelkiej—powiada on ¹⁾—prowadzi do zaniedbania obowiązków.” Ale Istota Najwyższa, jest to pojęcie tak wzniosłe, że ani sposób było wspominać wcześniej o tem w jego systemacie wychowawczym, który wyklął raz na zawsze wobec dziecka, używanie słów, jakichby ono doskonale pojąć nie było zdolne. Czas na to nadszedł dopiero po wywieszeniu jego ciała, zmysłów, sądu, po nabyciu wiadomości wstępnych, po wzbogaceniu zwłaszcza rozumu i serca pojęciami moralnymi, tak blisko graniczącymi z ideą Boga. Autor wprowadza tu nową figurę, to jest „Wikaryusza sabaudzkiego,” odbicie księdza Gaime z lat młodości własnej: jemu to on oddaje swą obecną rolę, sam się wszakże nie wyłączając z akcji, siebie owszem, swoją własną historią, przedstawiając w tych łamaniach sceptycyzmu i libertyństwa, nędzy i rozpacz, któremu wdanie się niegdyś księdza Gaime'a

¹⁾ Ks. III, str. 48.

położyło koniec. Wikaryusz sabaudzki przedstawia tu swoje wyznanie wiary. Jest to jednak zarazem wyznanie wiary Roussa, stanowiące odrębny zupełnie epizod w tém dziele, z czego i my skorzystamy, ażeby odrębnie niejako przedstawić pojęcia religijne Roussa.

W życiu jego prywatnem widzieliśmy przejścia jakie go skłaniały do zmian konfesyjonalnych; ale wyznanie, to tylko forma narzucająca się na treść skutkiem czyto skłonności wrodzonej do pewnych kierunków, czy skutkiem tradycyi i nawyknienia od młodości. Religia ma swoją stronę poetyczną, równie jak metafizyczną; i ta ostatnia jest powszechną, gdy pierwsza zależy od wielu przyczyn czasowych i miejscowych, od warunków cywilizacyjnych i klimatycznych, od obyczajów a nawet od polityki. Religia téż, jako forma czyli sposób wyznawania treści, jednem słowem kult, stanowi jeden z czynników życia, podchodzących pod rozwój historyczny społeczeństw, gdy grunt realny każdej religii, czyli wiara w przyczynę tajemniczą wszechrzeczy, jest wszędzie i zawsze jeden i ten sam: to grunt naturalny religii.

U Russa, owo wyznanie wiary Wikaryusza sabaudzkiego, jest w gruncie także samo jak u Woltera wyznanie wiary Teistów, z pewnemi jednak różnicami. Nasamprzód co do treści, Wolter nie ma wyboru pomiędzy wszystkimi wyznaniem, szykanuje wszystkie z rozmaitych punktów i stawia głuchą, abstrakcyjną, do niczego w życiu nie obowiązującą, ideę Boga, z którym człowiek nie ma nic do czynienia. Powtóre, co do formy, jest to wykład suchy, teoretyczny, jak gramatyka lub chemia. U Russa ta lekcya religii naturalnej, wprawiona w obraz majestatyczny, dramatyczny, naturalny, sprawia wrażenie głęboko poetyczne i chwyta za serce malowniczością słowa, urokiem uczucia. Co do treści, część jej dogmatyczna kojarzy się z Platonem i Kartezjuszem: to spirytualizm najczystszej wody, wygłoszony w swych wierzeniach najistotniejszych wobec filozofii współczesnej tchnącej materjalizmem. Rousseau nadto, nieprzychylny Rzymowi, całym sercem skłania się do chrystyanizmu pojętego poswojemu, to jest, ile możności według pojęć pierwszych wieków i egzegezy pierwotnej, a często przytaczany po różnych pismach jego krasomówczy ustęp, w którym osoba Chrystusa porównywaną jest z Sokratesem, kończy się temi słowy: „Tak; jeżeli życie i śmierć Sokratesa świadczą w nim mędrca, życie i śmierć Jezusa Chrystusa świadczą Boga.” Widzieliśmy w „Contrat Social,” że Rousseau uważa chrystyanizm za antisocyjalny, ale to nie sprzeczność, to nie stanowi w jego oczach ujemności chrystyanizmu; przeciwnie, to wada społeczności ludzkiej, że się nie może pogodzić z chrystyanizmem, tak dogodnym dla małych kółek i małych zabiegów życiowych: dlatego téż on społeczeństwu przecznacza religię cywilną. Rousseau zatem ma swą predylekcyą, która atoli nie jest tak rozległą, by się narzucała i nie stanowi tu zasady ogólnej: tą wyłącznie tu jest religia naturalna, jako konieczność etyczna i estetyczna.

Co do gruntu téż metafizycznego religii nie znajdujemy w nim twórczości prawie żadnej i pod tym względem Rousseau stoi raczej

w szeregu wielkich moralistów niż metafizyków. Umyślnie też usuwa on te wielkie zagadnienia, około których obracał się Kartezyanizm, jako to: wieczność, czyli niezniszczalność materii, jedność lub wielorakość pierwiastku rzeczy, oraz jego natura. Jakikolwiek byłoby rozwiązanie tych zagadnień, dla „Wikaryusza sabaudzkiego wystarcza to, że „w każdym razie wszystko jest jednością i oznajmia inteligencję jedyną“ (Istota Najwyższa). Cała też jego oryginalność polega na wstrzemięźliwym a rozsądnym wyborze dowodów; na zręczności, powiązaniu i obrocie argumentów wymierzonych przeciw sofistom swojego czasu; na wzniosłości, mocy przekonania i słodkiej melancholii tonu. Nigdzie w jego pismach nie napotkać tak głębokiego wzruszenia i tak ścisłego rozumowania, zwróconego na usługę prawdy i cnoty, w którym chodzi mu głównie o wynalezienie prawdziwego miejsca, jakie w rządzie stworzeń należy się rodowi ludzkiemu, już wówczas ściąganemu przez doktryny materyalistyczne do jednego ze zwierzęty poziomu. Ztąd ustawiczna jego polemika z temi doktrynami, mianowicie z Helwecyuszem Diderotem, Holbachem.

Istnienie Boga i wielkość człowieka naprowadzają z konieczności na ocenę wartości czynów, na ich wolność i odpowiedzialność, na dobro i zło. W wysileniach spirytualistycznych, skierowanych ku stwierdzeniu swobody postanowień, jedynie nadającej cechę moralną czynom, Rousseau wystawia drogi Opatrzności, która samym błędem i upadkiem człowieka jeszcze oznaczyła wyższość jego natury. Ażeby nigdy nie popełnił nic złego, miałaż go ograniczyć do ślepych i machinalnych instynktów, uczynić go zwierzęciem? Jakżeż tu świetnie „Wikaryusz Sabaudzki“ zbija autora rozprawy „O nierówności!“ lubo rzadko, tu i owdzie, ozwie się jeszcze głos tęsknoty za pojęciami rozwiniętymi w owój rozprawie. Nie powiada on już tu, że „człowiek przemyślający jest wyrodzonem zwierzęciem,“ ale zawsze większą część moralnego zła i cierpień ludzkich w stanie społecznym przypisuje „naszym smutnym postępom.

W takim systemacie, nieśmiertelność duszy musi oczywiście być uzasadnioną. Rousseau gwoli temu nie znajduje innego punktu nad kartezyański rozdział na substancję rozciąglą i substancję myślącą. Cały jego dowód zawiera się niejako w tych słowach ¹⁾: „W każdym razie, pojmuję jako ciało się zużywa i niszczy przez rozkład części; ale nie mogę pojąć podobnego zniszczenia istoty myślącej i nie wyobrażając sobie, jakim sposobem może ona umrzeć, przypuszczam, że nie umiera. Ponieważ przypuszczenie to pociesza mnie i nie mieści nic przeciwnego rozumowi, czemużbym się obawiał oddać się mu?... Ja czuję moją duszę, znam ją uczuciem i myślą: wiem, że ona jest, nie wiedząc jaka jęj natura; nie mogę rozumować na tle pojęć, których nie posiadam. Co wiem dobrze, to, że tożsamość jaźni przedłuża się jedynie przez pamięć i że, ażebym był istotnie tym samym zawsze, muszę

¹⁾ Ks. III, str. 79.

pamiętać, że byłem.” A wyżej nieco (str. 78), wikaryusz, nie zważając na zakłętę kółko, jakie się ztąd tworzy, dowód nieśmiertelności duszy chce wyciągnąć z moralności samój, mówiąc: „Jeżeli dusza jest niematerialną, może ona przeżyć ciało; a jeżeli przeżywa ciało, Opatrzność jest usprawiedliwioną. Gdybym nie miał innych dowodów nieśmiertelności duszy, nad tryumf złych i ucisk sprawiedliwych na tym świecie, to jedno nie pozwoliłoby mi o tém powątpiewać. Tak uderzający rozstrój w harmonii powszechnj zmagliłby mnie do starania się o pogodzenie. Powiedziałbym sobie: wszystko nie kończy się dla nas z życiem, wszystko wraca do porządku po śmierci.“ Rozumie się, że z przyjęciem takiej podstawy rozumowania, istnienie kar i nagród jest prostém następstwem uzasadnione.

Uczucie też zatém, i tylko uczucie, pod nazwą sumienia, bierze Rousseau za zasadę moralności, lubo z drugiej strony, temu boskiemu instynktowi, tak wspaniale głoszonemu przez wikaryusza, nadaje on, może się nawet dostatecznie nie spostrzegając, powszechność rozumu samego, a to w energicznj obronie jedności moralnej przeciwko wszystkim sofizmatom, przeciwko wszystkim błędom pogaństwa.

Jakkolwiek Rousseau wysoko ceni chrystyanizm, jednak religia jego nie jest chrystyanizmem, w znaczeniu dogmatyczném. Usuwa on zeń przedewszystkiém cuda, stanowiące jego podstawę, a z drugiej strony wikaryusz sabaudzki, tak silnie i rzewnie przywiązany do idei Boga, nie lubi, zarówno z Wolterem, kwestyi teologicznych, nie wdaje się w nie. „Służę ja Bogu — mówi — w prostocie mego serca; a starani się wiedzieć to tylko, co mi potrzebném jest do mego postępowania: co się zaś tyczy dogmatów, które nie wpływają ani na czyny, ani na moralność, a tylko trapią tylu ludzi, o te nie troszczę się bynajmniej“¹⁾; i zdanie to, wyrażone tu krótko, powtarza się niejednokrotnie w „Emilu“ w szerszém i śmielszém rozwinięciu. W życiu Russa, jako człowieka, daje się spostrzegać pewna różnorodność co do usposobienia religijnego. Był on z urodzenia chrześcianinem i wierzył dogmatycznie; przyznaje się sam, że po swém nawróceniu, szczerze czas jakiś sprzyjał dogmatom katolickim, które następnie porzucił, ostrą nawet broń wymierzając za każdą sposobnością przeciwko kościołowi rzymskiemu i wrócił do kościoła kalwińskiego, ale zdaje się więcej z powodów obywatelskich niż religijnych, nigdy bowiem nie słyhać o jego praktykach, lubo tu i owdzie chwali urządzenia gmin kalwińskich. Wszędzie zaś i zawsze, czyto w młodości, czy na starość, czy jako prywatny człowiek, czy jako pisarz, jest on wyznawcą religii naturalnej, prostj, ograniczającj się do wiary w Istotę Najwyższą, o kilku dogmatach, nie będących niczém inném, tylko przyznaniem pewnych tój Istocie przymiotów. Ztąd „Wikaryusz Sabaudzki,“ to cały Rousseau religijny; silnie trzymający się wiary w Boga opatrzniejszego i wszechmocnego, a pełen sceptycyzmu lub indyferentyzmu (o ile nie wywracały pojęć jego

¹⁾ Ks. IV.

moralnych) dla wszelkich dogmatów: słowem, głoszący pod tym względem najzupełniejszą tolerancją, jako w rzeczach sumienia. Jeżeli zaś chrystyanizmowi nadaje pierwszeństwo, to dlatego, iż go uważa za „religię naturalną, tylko lepij wytlómaczoną“¹⁾. Taki téż jest charakter drugiej części jego „Wikaryusza Sabaudzkiego“, poświęconej głównie rozbirowi dogmatów w religiach pozytywnych, z którego żaden z kościółów istniejących nie mógł być zadowolonym.

Ażeby dać wyobrazenie, jak tę część „Emila“ rozumiał tam autor, przytoczymy co o niej powiada w odpowiedzi na memoriał arcybiskupa Paryża. Wyznanie wiary Wikaryusza sabaudzkiego, powiada²⁾, składa się z dwóch części. Pierwsza obszerna, ważniejsza, wypełniona prawdami uderzającemi i nowemi, ma za zadanie całą siłą, na jaką zdobyć się może autor, zbijać nowoczesny materyalizm, uzasadnić istnienie Boga i religii naturalnej... Druga nierównie krótsza, mniej regularna, mniej głęboka, przedstawia wątpliwości i trudności co do objawień wogóle, nadając przecie objawieniu naszemu (chrześcijańskiemu) jego istotną pewność w czystości i świętości doktryny, oraz we wzniosłości zgoła boskiej Tego, kto był jej założycielem. Celem tej drugiej części jest sprawić to, ażeby każdy, wyznający pewną religię, oględniejszym był w posądzaniu o złą wiarę wyznających inną religię, oraz okazać, że dowody każdej poszczególniej nie są tak przekonującemi w oczach wszystkich, ażeby potrzeba było uważać za występnych tych, którzy nie widzą w niej takiej samej jasności jak my... Pierwsza część, zawierająca to co stanowi właściwą istotę religii, jest stanowczą i dogmatyczną. Autor nie chwije się, nie waha. Sumienie i rozum naprowadzają go w sposób nieprzewyciężony. Wierzy on, i twierdzi, ma przekonanie niezkłomne... W drugiej, przedstawia zarzuty, trudności, powątpiewania; przytacza jednak zarazem swe wielkie i silne powody wierzenia; z całej zaś tej dyskusyi wynika pewność dogmatów istotnych, a sceptycyzm pełen uszanowania względem dogmatów innych.

Jestto, rzeczywiście, dokładne streszczenie ducha jego rozprawy religijniej, noszącej nazwę: Profession de foi du Vicaire Savoyard, ale zarazem jest i jej krytyka. Rousseau nie oświadcza się z taką stanowczością, jak Wolter za przyjęciem lub odrzuceniem religii teologicznych. Nie jest on przyjacielem filozofów: o Ewangelii i Chrystusie nakreślił on karty tak sympatyczne, że wolnomysliciel żaden nigdyby ich nie podpisał. Z drugiej zaś strony jego religia naturalna nie jest przecie chrystyanizmem, choćby sprowadzonym do form najmniej symbolicznych i najelementarniejszych. Razem tedy z Wolterem, tylko na inny sposób, wybiera on z chrystyanizmu raczej moralność samą, a dogmat puszcza mimo uszu. Czém wreszcie odróżnia się od prawowiernych jakiegobądź Kościoła chrześcijańskiego i czém ich na siebie obu-

¹⁾ List z r. 1763 do p. Petit-Pierre, prokuratora w Neufchatel.

²⁾ Lettre à M. de Beaumont.

rza, to tém, iż podtrzymując wiarę w nieśmiertelność duszy, zbawienia jęj nie czyni zależném nawet od wiary w Boga, ale od samych czynów ¹⁾. Ależ skoro się opieramy na samych czynach, to będzie już raczej religia Sokratesa, Marka-Aureliusza, Epikteta, ale nie Ś-go Pawła. I wreszcie nie potrzebujemy się niczego domyślać ani wyszukiwać, gdy autor sam wypowiada nam zdanie swe kategorycznie w „Emilu” ²⁾. mówiąc: „Uważam wszystkie religie poszczególne jako instytucye zbawienne, przepisujące w każdym kraju jednostajny sposób chwalenia Boga przez oddawanie Mu czci publicznej, a które wszystkie razem wzięte mogą mieć swą rację w klimacie, rządzie, w duchu narodu, lub w innej przyczynie miejscowej, nadającej pierwszeństwo jednemu wyznaniu nad drugim, według czasu i miejsca. Uważam je wszystkie za dobre, jeżeli Bogu służą tam ludzie przyzwoicie. Cześć istotna jest w sercu. Bóg nie odrzuca jęj, jeżeli jest szczerą, w jakiejbądź formie będzie wykonaną.“ Tego przecież nie podpisze żaden filozof XVIII-go wieku, ani żaden prawowierny. Religia zależna od klimatu! od przyczyn lokalnych!... Ależ ona dla filozofa niepotrzebna wcale; dla prawowiernego potrzebna i ważna tylko taka, jaką on wyznaje. Religia Russa jest religią po większej części wieku XIX-go, rozpowszechniającą się wśród ludzi oświeconych. Wiara w Boga, jedyny dogmat pozytywny: co do innych eklektyzm, wątpliwości, sceptycyzm cichy, modyfikowany przywiązaniem tradycyjném, poczują wspomnień wieku dziecięcego... w ostatnim razie okrzykiem serca: co mi tam! byłem był uczciwym człowiekiem i miał czyste sumienie przed Bogiem, a śmiało oko przed ludźmi.

W wieku téż XIX, kto nie jest zacierzwionym materyalistą albo zagorzałym bigotem, ten może się pogodzić z „Wikaryuszem sabaudzkim;” ale w wieku XVIII prawowierni nie mogli mu darować odrzucenia cudów, poprzestawania na samych dobrych uczynkach, i innych wykroczeniach antidogmatycznych; filozofowie głoszący tolerancję, nie mogli mu przebaczyć tolerancji religii jako religii. Przyznać więc trzeba, że autor „Emila” dał dowód wielkiej odwagi, pchając się między dwie kolumny nienawiści. A kiedy go nareszcie z obu stron przywitano rotowym ogniem pocisków, potrafił odstrzeliwać się zwyczajko, tak dobrze arcybiskupowi de Beaumont jak stronnictwu ateistycznemu, którego niecierpiał zarówno z Rzymem. Takie téż przekonania i takie męztwo pragnie on wszczepić w swego ucznia, kończąc całe swe wyznanie ustępem następującym, który, choćby dla cudnej piękności słowa przytoczyć musim ³⁾.

„Unikaj tych, którzy pod pozorem wytlómaczenia natury, zasiewają w sercu ludzkim doktryny zgubne, a których pozorny scepty-

¹⁾ Porównaj: „Nowa Heloiza“ część 6. „List“ ze stycznia 1769 roku, do M...

²⁾ Księga IV: „Wyzn. wiary wik. sab.“

³⁾ Zakończenie wyznania wiary Wik. sab., w ks. IV „Emila.“

cyzm jest stokroć bardziej twierdzącym i dogmatycznym, niż ton stanowczy ich przeciwników. Pod wyniosłym pozorem, że oni jedni są oświeceni, prawdziwi, dobrej wiary, poddają nas rozkazująco pod swe wyroki nieodwołalne i niby za prawdziwe zasady wszechrzeczy podsuwają nam systemata niezrozumiałe, które zbudowali w swej wyobraźni. Wreszcie, wywracając, niszcząc, depreczając nogami wszystko co ludzie otoczyli szacunkiem, odejmują zasmuconym ostatnią pociechę w nędzy, potężnym i możliwym ostatnie wędzidło namiętności; wyrrywają z głębin serc zgryzotę występku, nadzieję cnoty i jeszcze chełpią się, że są dobroczyńcami rodu ludzkiego. Nigdy, powiadają, prawda nie szkodzi ludziom. Ja wierzę tak jak i oni; i w tém téż, zdaniem mojem, wielki dowód, że to, czego oni nauczają, nie jest prawdą. Dobry młodzieńcze, bądź szczerym i prawdziwym, bez pychy; umiej być nieświadomym: nie oszukasz ani siebie, ani innych. Jeżeli kiedy rozwój twych zdolności da ci możność rozmawiania z ludźmi, nie mów do nich inaczej tylko według sumienia, nie troszcząc się o to, czy oni będą ci radzi. Nadużycie wiedzy sprowadza niedowiarstwo. Każdy uczony gardzi uczuciem pospolitóm; każdy chce mieć swoje własne. Pyszałkowata filozofia prowadzi do niedowiarstwa, tak jak ślepa pobożność do fanatyzmu. Unikaj tych ostateczności, wytrwaj niezłomnie w prawdzie, lub w tém co za prawdę uznasz w prostocie twego serca, z drogi téj nie schodząc nigdy przez próżność lub słabość. Śmieję wyznawać Boga wobec filozofów; śmieję głosić ludzkość wobec nietolerantów: może będziesz sam jeden po swojej stronie, ale w sobie samym znajdziesz świadectwo, które ci zastąpi świadectwa ludzi. Czy cię będą kochać czy nienawidzić, czy będą czytać lub lekceważyć twe pisma, mniejsza o to. Mów co jest prawdą, czyń co jest dobrém: dla człowieka najważniejszém to, ażeby spełnił swe obowiązki na ziemi, a on właśnie zapominając o sobie, pracuje dla siebie. Dziecko moje, zwoźdź nas interes prywatny; tylko nadzieja sprawiedliwego nie zawodzi nigdy."

Wszystkie zasady zawarte w „Wyznaniu” podaje on nie jako prawo uczuć mających absolutnie kierować w materji religijnej, ale jako wzór sposobu, którym rozumować należy z uczniem, w zgodności z ogółem metody przyjętej przezeń w edukacji. Zdanie jego jest takie, że dopóki umysł nie poddaje się powadze ludzi, ani przesądom kraju w którym się urodził, samodzielne światło rozumu pod przewodnictwem natury saméj doprowadzić może człowieka nie dalej jak do religii naturalnej. I na tém téż tylko ograniczył się ze swoim Emilem: umocnił jego umysł w podstawie głównej, w treści powszechnej wszechreligii. To nie przeszkadza uczniowi później nadać téj treści, lub przyjąć gotową, formę, jaka mu się podoba. „Jeżeli ma mieć inną (religię)—powiada—nie mam pod tym względem prawa być mu przewodnikiem: jego samego rzecz wybrać ją sobie."

Bez względu na wartość wewnętrzną całej téj metody pod względem ukształcenia intelektualnego, moralnego i religijnego, o ileśmy ją tu naszkicować zdołali, a która ma niezaprzeczenie ścisłą swoją logikę,

to tylko zauważyć potrzeba, że przeprowadzenie takiej edukacji, byłoby niepodobnym zgoła bez zupełnego odosobnienia, które znowu niepodobnym jest w dzisiejszym stanie społeczeństw. Rousseau, przez lat dwanaście zajęty głównie ćwiczeniem zmysłów swojego ucznia, powstrzymuje się od udzielania mu jakichbądź pojęć moralnych, z zasady, że nie należy głosić prawdy tym, którzy nie są zdolni jej zrozumieć, jeżeli nie chcemy natomiast zaszcześcić w nich błędu. Na tej samej zasadzie, milczy on o Bogu aż do lat mniej więcej ośmnastu, ażeby odezwaawszy się nie w porę, nie dał wyobrażenia fałszywego lub brutalnego o Istocie Najwyższej. Ma on słuszność pod pewnym względem. Dzieci, dla których religia jest tylko rzeczą powagi i posłuszeństwa biernego, mogą czasami czerpać w edukacji gruby niezdrowy zabobon, zakorzeniający się w nich na całe życie, albo też za pozbyciem się którego odrzucają zarazem całą moralność, nie mającą w ich oczach innej podstawy. Dobrze więc jest przed pojęciami religijnymi dać im pokochać moralność dla samej siebie, dla jej piękności, pożytku i racjonalności. a potem wskazać jej źródło najwyższe, ognisko, w którym zestrzeliwają się wszystkie zasady moralne. Ale zamilczanie to do pewnych kresów jest zgoła niepraktyczne: dziecko nie tu to owdzie zawsze usłyszy coś nie w porze naznaczonej przez wychowawcę i ztąd niebezpieczeństwo, o które on się obawia, stanie się jeszcze gorszym. Lepiej więc samemu powoli otrząskiwać z nim, niż czekać, aż trafi na umysł wcale nieprzygotowany i zajdzie ze strony najłabszej. Pod tym względem stara metoda jednoczesności w rozwoju pojęć nierównie jest praktyczniejszą, może jednak zyskać bardzo wiele na zastosowaniu się do uwag teoretycznych Russa.

Dzieło jego edukacyjne, po przedstawieniu pojęć religijnych, po pewnych studyach literackich i zbadaniu świata, do którego nareszcie mistrz wprowadza swego ucznia, zamyka się wyborem dla niego towarzyski, czemu poświęcona jest cała niemal księga piąta, nosząca tytuł: Zofia.

Księga ta zawiera właściwie program edukacji kobiecej, a odznacza się zarówno świeżością kolorytu, jak niezwykłą trafnością pojęć i głębokością spostrzeżeń, które ażeby dać poznać, trzeba by chyba całą księgę przepisywać, bo okres za okresem tak się prześcigają w pięknościach, że niewiadomo co wybrać. Śmiało rzec można, że tak ze względu na ważność przedmiotu, jako i na sposób wykonania, najtrwalsza to spuścizna po filozofie Genewskim. Nigdy też pora nie była właściwszą do ukazania się takiej książki jak wiek XVIII. Kiedy same kobiety zdeptały wstyd, najpierwszą zaletę płci, kiedy rzekomi filozofowie nazywali go przysądem, Rousseau wykazuje, że jest on uczuciem przyrodzonym, a więc koniecznym i niezatrącalnym. Kiedy kobiety lekcewały opinię publiczną, on rozumuje w ten sens, że kobieta, nawet dobrze czyniąc, „spełniła dopiero połowę zadania, a to co ludzie mówią o niej, niemniej ważnym jest od tego, czém ona jest w istocie.” Za czém idzie, że i cały system jej edukacji powinien różnić się

pod tym względem od mężczyźń, gdyż „opinia jest grobem cnoty mężczyźń, a tronem cnoty kobiecęj.” Kiedy małżeństwo było tylko parawanem cudzołóstwa, Rousseau wskazuje obowiązki żon i tłumaczy na zasadach równie fizycznych, jak moralnych, hańbę małżonki, niewiernęj mężowi. Kiedy nareszcie większość kobiet dla płochych zabaw światowych poświęcała obowiązki macierzyństwa, on wytknął je tak wymownie i z elokwencją, że aż Buffon odezwał się z tej okazji: „Myśmy to wszystko powiedzieli, ale Rousseau nakazuje i zmusza do posłuszeństwa.”

Jakąż ma więc być edukacja, któraby kobiety do wszystkich tych celów doprowadziła?

Jak w „Emilu,” tak i tu, wychodzi on z zasady, że edukacja Zosi odbywać się ma w porządku i za wskazówkami natury. I dziwna rzecz! Kiedy doszukując się tej natury w „Emilu,” zrobił zeń istotę raczej fantastyczną, niż rzeczywistą, Rousseau kobietę odgadł wybornie, a co mianowicie przedziwnie w niej zauważył, to raczej instynkta, niż uczucia. Nie poszedł on torem edukacji starożytnej, która albo zanadto w wychowaniu równała płcie, albo stawiała je na zbyt przeciwnych krańcach; on w systemacie swym, jeżeli bacznie uważa na podobieństwa, więcej jeszcze przestrzega różnic, nader trafnie co do tego się wyrażając, że „wszystko, co jest między niemi wspólnego, tak we względzie moralnym, jak w fizycznym, należy do gatunku, gdy to, co ich różni, należy do płci.” Jeżeli więc jest za tém, ażeby wychowanie rozwinęło w kobiecie wszystkie przymioty moralne i intelektualne, do jakich jest zdolną, nie przynajmniej, ażeby to były przymioty męskie. Pod tym względem, nie onto pierwszy dał hasło do dzisiejszych mrzonek i szafów, wznieconych na rzecz edukacji kobiecęj. Dla niego te same właśnie różnice, wydatne do tego stopnia, że jedna płeć drugiej zastąpić nie może, stanowią między niemi prawo równości, a w stosunkach życiowych prawo harmonii—jedność.

Ze względu więc na różnice płci, budowy organicznej, usposobień, temperamentu i przeznaczenia socyalnego, edukacja kobiety różną być winna od mężczyźń: ale znowu ze względu na stosunek życiowy, winna być zastosowaną do tej roli, jaką kobiety wygrywają odnośnie do mężczyźń. Szczegółowo i wyczerpująco rozbiiera Rousseau tę wzajemną od siebie zależność płci obojęd. Kobięta zależy od mężczyzny w swych potrzebach fizycznych, zależy od jego uczuć, na łasce których niejako pozostaje; ale z drugiej strony, od dobrej budowy matek zależy dobra budowa dzieci, od starań kobiety pierwotne wychowanie mężczyźń, od niej też zależą ich obyczaje, namiętności, gusta, rozkosze, szczęście. Jest to więc wymiana wzajemna, wymagająca i ukształcenia w kobiecie wzajemności tej odpowiadającego, nie takiego, któreby z kobiety uczyniło niedociągniętych mężczyźń, ale któreby w różnaitości usposobień i przeznaczeń dopomagało do równowagi. Nie prostemi gospodyniami chce on uczynić kobiety; owszem, niech one myślą, sądzą, kochają, znają, niech pielęgnują umysł, zarówno jak wdzięki, ażeby się podobały: powinny umieć wiele rzeczy, ale te tylko, które przydatne są do utrzyma-

nia harmonii w różnicach, jakie płeć wyznaczyła. Usuwa więc z edukacji kobiecej naukę zasad. Gdyby kobiety, według jego rozumnego zdania, mogły wznosić się aż do zasad, tak jak mężczyźni, a ci posiadali, tak jak one, zdolność chwywania i rozrabiania szczegółów, harmonia by się zerwała i nastąpiłaby jednostajność, skutkiem której wynikłaby zbyt wielka niezależność jednej płci od drugiej, i obie płcie żyłyby z sobą na stopie wiecznej niezgody: gdy przeciwnie, kiedy jedna strona posiada to, czego drugiej brakuje, obie są wzajem dla siebie pożądane, celem wzajemnego się uzupełnienia.

W tém usunięciu nauki zasad ze sfery edukacji kobiecej dochodzi jednak Rousseau aż do przesady. Pomiędzy warunkami wychowania stawiając uległość, nie dozwala on, tak jak Emilowi, ażeby kobieta wybrała sobie religię, ale żąda, iżby córka przyjmowała religię matki, a żona religię męża. Dziwna rzecz, z kąd temu filozofowi liberalnemu przychodzą często do głowy takie zachcianki tyrańskie. Postawiwszy kobietę z jednej strony tak wysoko, naraz wymaga od niej poniżenia, psującego cały poprzedni aparat. Jakiężże to bowiem potrzeba bierności, jakiej próżni w umyśle i sercu, ażeby na skinienie można zdjąć z siebie religię tak jak suknię. Albo tam religii nie było, a więc kobieta nie jest ukształconą według programu; albo religia była, a więc wydrzeć jej siłą zewnętrzną nie można i chyba tylko najbrutalniejszy gwałt zdoła powściągnąć formy. Inną przesadą Russa jest zbyt częste zalecanie oglądania się na opinię, na przyzwoitość, na owo francuzkie *qu'en dira-t-on?* Nacisk, jaki kładzie na tę konieczność dobrego przedstawienia się na zewnątrz jest tak wielki i tak zmierzający na stanowisko zasady, że pozory czyni niemal równoważnemi rzeczywistości i mógłby niejednej kobiecie podać myśl wyreżania jednej drugimi.

Oprócz tych dwóch punktów, w których niepodobna zgodzić się z autorem, „Zofia” jest dla nas dziełem wzorowem, z którego usunęlibyśmy tylko zbyt częste czasami jaskrawą realność opisów dotyczących zmysłowego ustroju kobiety. Rousseau w ogólności więcej wzniosłym jest niż delikatnym, a ta uwaga nasza niemniej dotyczy Zofii w „Emilu,” jak Julii w „Nowej Heloizie.”

Na Emilu ożenionym kończy się zadanie wychowawcy i dzieło się zamyka. Towarzyszka jego, lubo Villemain oświadcza, iż to jest tylko kochanka, która się umie podobać; nam, oprócz zbyt częstej dbałości o opinię świata i zbyt częstej uległości w podstawach religijnych, przyznajemy, podobała się bardzo. Mamy przytém świadectwa poważnych pisarzy francuzkich, jak Buffon i pani de Staël ¹⁾, że Rousseau obrazem swęj Zofii nietylko zachwycił, ale wywarł wielki wpływ na kobiety swego czasu i zwrócił powszechną uwagę na potrzebę właściwszego spełniania obowiązków niewieścich.

Ale czyż możemy powiedzieć toż samo o Emilu?

¹⁾ „Listy o Russie,” z r. 1789.

Jestto dziecko wszystkich jego myśli religijnych, politycznych i moralnych, jakie widzieliśmy w utworach poprzednich, a więc dziecko chaosu i sprzeczności. Nie zważajmy, że dzieło edukacji w niektórych szczegółach kłóci się z dziełem o umowie społecznej lub dawniejszemi rozprawami; grunt jego jest ten sam: pesymizm społeczny, walka z całym porządkiem społecznym, gdzie zwycięstwo częstokroć jest po stronie Russa, ale z którego on bardzo źle korzysta. Jego Emil wychowany jest tak, że będąc pełnoletnim i panem siebie, może z czystym sumieniem wyrzec się ojczyzny i ojcowizny; to tylko człowiek, żyjący tak dalece sam dla siebie, że będzie miał wstręt do wszelkich zajęć, do wszelkich funkcji pożytecznych a nawet nieodzownych dla kraju. Uczonym nie będzie, bo uczoneść odbywająca się kosztem uczucia, zawsze mu przedstawiana była jako szkodliwa; artystą nie będzie, bo sztuka gotowa mu zepsuć obyczaje, jak to wiemy jeszcze z listu do d'Alemberta; a handel, finansowość, magistratura, wojskowość, wszystko to mu nie do smaku. Innego szczęścia znać on nie będzie nad to, ażeby żyć niepodległym ze swoją Zofią, zyskując przez pracę codzienną apetyt i zdrowie ¹⁾.

Po przejrzeniu rozmaitych rządów istniejących, przejmie się on zgrozą względem prawa politycznego i oświadczy że ono jest dopiero do zrobienia, i nie wie nawet czy robi się kiedy. A na zapytanie, jakie prawo może być istotnem i słusznem, odpowie, że takie tylko które uchwalili wola powszechna, gdzie każdy z uczestników ma głos w redakcyi, tak samo jak we władzy najwyższej. Słowem, powtórzy wszystkie zalety i wady rozwinięte w „Contrat social.” Powie, że Chrystus, oddzielając system polityczny od teologicznego, sprawił, iż państwo przestało być jednością i zaprowadził niezgody wewnętrzne, nieprzystające wiecznie zaburzać ludów chrześcijańskich. Nie zna on nic przeciwniejszego duchowi społecznemu nad Chrystyanizm, którego wada destrukcyjna leży w samej jego doskonałości.

Takim byłby Emil względnie do ojczyzny, prawa politycznego i ustaw społecznych, względnie do religii, nauki i sztuki. Ten dziczek ucywilizowany Russa, wyjąwszy pewne wiadomości, jest takim samym jak dziczek brutalny, którego opisywał w swój rozprawie „O nierówności.” Ale będzie to człowiek prawy, szczerzy, dobroczynny, serdeczny, miłujący prawdę i niepodległość nad wszystko na świecie, a zaraz potem żonę i rodzinę.

* * *

Takie to zatem dzieła, których zaledwie grube zarysy zdołaliśmy przedstawić, wznieciły burzę wściekłą nad głową ich twórcy. Schroniwszy się przed pociskami obskurantów i fanatyków aż pod opiekę króla filozofa, Rousseau w cichém miasteczku Mottiers, razem ze swą Teresą, pragnie wieść nadal życie samotne i nie narażać się na prześladowa-

¹⁾ „Journal Encyclopédique,” rekonzya przedrukowana w zbiorze pism Russa z r. 1776, t. VII, str. 212.

nia. Nie z wielką on chęcią udawał się pod tę opiekę, a to z powodu następującego: „Pewna tajemna trudność, powiada ¹⁾, o której nie wypadało mi mówić, mogła mnie powstrzymać. Ta wrodzona miłość sprawiedliwości, zawsze paląca me serce, w połączeniu z tajemną skłonnością ku Francji, przejmowała mnie odrazą do króla pruskiego, który i swemi zasadami i postępowaniem zdawał mi się deptać i szacunek dla prawa naturalnego i dla obowiązków ludzkich. Pomiędzy rycinami oprawnemi, któremi ozdobiłem moją wieżyczkę w Montmorency, był portret tego monarchy, pod którym stał dwuwiersz (układu Russa):

Il pense en philosophe, et se conduit en roi;
La gloire, l'intérêt, voilà son Dieu, sa loi.”

Cóżkolwiekby, przyjął ofiarowaną sobie gościnność. Zamknięty w kółku życzliwych sąsiadów, unikał na okazy mówienia o sobie, ale mimo jego woli, świat o nim mówił wiele i głośno. „Nowa Heloiza” sprawiała wrażenie w świecie literackim; „Contrat social” w świecie politycznym, a „Emil” w kołach duchownych. Pierwsze z tych dzieł wywoływało podziw; dwa drugie — osłupienie. Teraz to prawdziwie mógł Rousseau powiedzieć o sobie: Mam przyjaciół wiernych i wrogów zaciętych.

W liczbie pierwszych główne wtedy miejsce zajmuje pani Julia Bondeli ²⁾, młoda dama Berneńska, światła, wielka wielbicielka Russa, a szczególnie jej „Nowej Heloizy.” Odwiedzała go, korrespondowała z nim i o nim. Po przeczytaniu jednego z jej listów, Rousseau miał się odezwać: Ależ to umysł Leibnitza, a pióro Woltera! Ona to opisuje go w jednej korespondencji w ten sposób:

„Zwyczajnie trzyma się on pochyło, głowa opada mu na piersi. Ale w rozmowie podnosi się, a ruchy jego i oczy tracą wszelki ślad osłabienia. Ma lat 53 (omyłka: miał tylko lat 50); kiedy mówi, wygląda na 30, a na 80, kiedy nie mówi. Słowo jego jest powabne, równie jak styl, miły, a silny, zawsze trzymany w tonie entuzjazmu. Mówi dużo, lub milczy. Zdrowie jego jest liche, lubo nadzwyczajnie nie cierpi. Nie sypia już i nie mogę zrozumieć, jak on jeszcze żyje. Musi rąbać drzewo przez cały dzień, ażeby spać ze dwie godziny w nocy. Stan jego jest okropny i bez nadziei. Raz zawiodłszy się na lekarzach, uporczywie wzbrania się odtąd zażywać lekarstw. Użyję całej swój wymowy, ażeby go skłonić do użycia jakiego środka uspokajającego. Jego mizantropia jest tylko potrzebą samotności, a skutkiem choroby. Tak samo, jak ktoś (domyślany się, że mowa o Wolterze) inny oświadcza, że kawa jest jego posiłkiem głównym i on używa jej ogromnie; wstaje w nocy, by ją sobie urządzać, by nie trudzić swój gospodyni. Świeżo

¹⁾ „Confessions;“ ks. XII, pod r. 1762.

²⁾ Szczegóły o tej pani, oraz o jej stosunku z Russom, czerpiemy z książki: „Julie Bondeli, l'amie de Rousseau et de Wieland,“ par J. J. Schädelin.

mi przysłał broszurę swą o „Naśladowaniu teatralném,” a jednocześnie przekład tego, co Plato powiedział przeciwko malarzom i poetom.”

Pani ta kreśli i konterfekt Teresy: „Prawdą jest, że zagarnęła nad nim władzę niemającą, która stanowi istotną przyczynę udręczeń, jakie znosi. Ona to władza i rozkazuje, zawsze zajęta, gadatliwa, zawsze niezadowolona, a Rousseau sądzi ludzi z zasady swój, nie według charakteru ich, ale według zobowiązań, jakie względem nich zaciągnął.” Prawdę niezawodnie mówi pani Bondeli, bo i sam Rousseau w „Wyznaniach” z owych lat, nieraz z goryczą odzywa się o Teresie, mówiąc, że nie jest już taką, jak była niegdyś ¹⁾.

Dowiadujemy się też od pani Bondeli, że jego „Emil” już tworzy prozelitów: ksiązę Ludwik wirtemberski kazał ściśle wychowywać córkę swą według wzoru Zofii. Rosyanin też jakiś skłonił żonę, by syna wychowywała od niemowlęctwa na sposób Emila. Tradycya nie doszła o tém, jakie były rezultaty tego wychowania.

Kiedy Rousseau w swym zakątku spokojnie zajmuje się botaniką, tymczasem na szerokim świecie robi się wielki hałas około jego imienia. Do Neufchatelu ściągają tłumy ciekawych, by poznać tę osobliwość, którą zajmuje się cała Europa. Bo też dzienniki i broszury ścigają się w rozbieraniu jego utworów, duchowieństwo wszystkich wyznań chrześcijańskich piorunuje, a najbojaźliwsi wyrzucają państwowi, że tolerują tak niebezpieczną osobistość. Sorbonna wyrzekła cenzurę, arcybiskup paryzki wydał list pasterski, który mocno pognębił biédnego Russa.

Ze wszystkich tych jednak zaciekłości najboleśniej dotknął go interdykt Genewy, jako ojczyzny. Wtedy to wygnaniec postanowił wyrzec się narodowości genewskiej, a nawet nazwiska. Posłał do rady wyrzeczenie się, opatrzone komentarzem, w którym odwołuje się do sądu potomności.

Postępek ten, zamiast zakłócić burzę, bardziej jeszcze roznamiętnił stronników jego i przeciwników. Wtedy to prokurator generalny Tronchin, przyjaciel Woltera, ogłosił swe „Listy ze wsi,” broszurę zręczną, napisaną nadzwyczaj kunsztownie, w duchu Rady genewskiej, na którą w odpowiedzi rzucił Rousseau swe „Listy z Góry,” uzupełnienie „Emila” i „Umowy Społecznej.” Listy te doznały w Paryżu tego samego losu, co i „Emil.” Dekretem z dnia 19 marca 1763 roku, razem ze „Słownikiem filozoficznym” Woltera, spalone zostały ręką kata, na co znowu w rym Francyi Genewa odpowiedziała jeśli nie gwałtownością, to wzgardą, oświadczając, że książka ta „niegodną jest spalenia przez kata,” oraz, że nie można odpowiadać na nią bez znieśławienia się, ani nawet żadnej czynić o niej wzmianki” ²⁾.

¹⁾ Szczałki dotyczące Russa tak się drogiemi stały Szwajcarom, że w akademii w Neufchatel przechowuje się dotąd rachunek z prania bielizny, napisany ręką Teresy na jednym z rękopismów Russa. Zestawienie doskonale symbolizujące stosunek w życiu tej osobliwej pary.

²⁾ „Confessions;“ ks. XII, pod r. 1763.

Wrzawa ta oddziaływała i na cichy pobyt autora w Mottiers. Duchowieństwo tameczne zanadto solidaryzowało z opinią powszechną kleru, by nie wzbudziło pewnej między ludnością agitacji, wygnaćcowi nieprzyjaznej. Uciekł więc ztamtąd aż na środek jeziora Bienne, na wyspękę Saint-Pierre, stanowiącą przynależność szpitala Berneńskiego, ufając, że może Berneńczycy już się w swęj złości ku niemu opamiętali. I znowu oddał się kontemplacji natury, za którą zawsze przepadał, botanice i wszem rozkoszom duchowym, gdy naraz zpośród tego upojenia wyrwał go rozkaz opuszczenia wyspy i nieukazywania się w granicach rzeczypospolitej pod najcięższą odpowiedzialnością.

Opuścił więc wyspękę Saint-Pierre w październiku 1765 roku, z zamiarem udania się do Berlina. W przejeździe przez Strasburg, doznał tam tak dobrego przyjęcia, że już zamierzał pozostać, ale uległ naleganiom filozofa szkockiego, Dawida Hume'a, także wolnomysliciela, który zapraszał go do Anglii. Ruszył więc w tym kierunku i zatrzymał się w Paryżu, gdzie skupił koło siebie najżywszą ciekawość. Ale pobyt jego tam nie mógł być długim. Pani d'Epina, dawna przyjaciółka, podszczuwała przeciwko niemu; wyrok wydany nań przez parlament, wisiał nad nim ciągle i minister Choiseul zmusił go do wyjazdu.

Pojechał więc do Londynu z Humem, w styczniu 1766 roku, gdzie również nie było końca ciekawości publicznej. Przedstawiony królowi Jerzemu III i królowej, wpadł w taki wir, że nie mając sił do jego zniesienia, po dwóch tygodniach zamieszkał w Wooton na ustroniu, gdzie napisał pierwsze sześć ksiąg swych „Confessions.”

Niebawem jednak, może skutkiem klinatu, zdjęła go mocniej dawna mizantropia, której ofiarą padł nawet sam Hume. Było w tém nieco i winy tego ostatniego, który zlekka przyłożył rękę do redakcyi pewnego listu, ułożonego przez Walpole'a, dla wyszykanowania Russa; ale téż ówczesni znajomi obeszlą się niemiłosiernie z człowiekiem, który prawie szalał w skutek doznanych nieszczęść i widocznej choroby, a jako geniusz, zastugiwał na oszczędzenie. Nie miano względu na to wszystko. Gdy sprawa tych niesnasek wyszła na widok publiczny, wielu pisarzy francuzkich z Wolterem na czele, zwróciło się przeciw tułaczowi, który téż, po 16-miesięcznym pobycie w Anglii, opuścił tę gościnną ziemię, poróżniony z Humem do tego stopnia, że ten pisząc o nim do swych przyjaciół francuzkich, wyraził się: „Rousseau jest złoczyńcą!”

Powróciwszy do Francyi w dniu 22 maja 1767 roku, osiada zrazu w Amiens, potem w zamku przyjaciela swego, księcia de Conti, pod Gisors; tuła się z kąta w kąt, nigdzie miejsca zagrać nie mogąc. Błąka się z miasta do miasta i w tójto pielgrzymce łączy się nareszcie formalnym węzłem małżeńskim z Teresą. Aż po czterech latach takiego życia tułaczego, kiedy już duch publiczny, do którego wprowadzenia przyczynił się on zarówno z Wolterem, stał się istotną potęgą, silniejszą od parlamentu, duchowieństwa i dworu, Rousseau zamieszkał znowu w Paryżu, na sławnej odtąd ulicy Patrière (dziś Rousseau). Jeszcze nie uniknął prześladowań, jeszcze i wtedy, za sprawą pani d'Epina, za-

broniono mu odczytywać w salonach „Confessions,” ale nie turbowano go w rzeczach głównych.

Mając już lat sześćdziesiąt, t. j. w r. 1772, autor „Umowy społecznej“ wykończył pracowity memoriał o konstytucyi dla Korsyki. Nieliczny lud téj wyspy oddawna walczył o swoje swobody, i byłby doszedł do nich nareszcie, gdyby nie zbrojna interwencya Francyi, która zajęła wyspę w r. 1771. Wypracowana téż przez Russa konstytucya stała się niepotrzebną. Tenże sam los spotkał jego konstytucyę, wypracowaną na prośbę księcia Wielhorskiego dla Polski, w r. 1772, w której to przynajmniej mamy do zaznaczenia, że prawodawca, wbrew zdaniu tak mocno motywowanemu w „Contrat,” tu uznaje potrzebę reprezentantów narodu na sejmie, kiedy tam wprowadzenie ich uważał za owe gnusności ogółu, który wszystkie uchwały powinien wydawać przez plebiscyty. Krytyka nie oszczędziła go i na tém polu: jeszcze na początku naszego wieku nazywauo go „fabrykantem konstytucyi nieczytelnych.”

Przez pięć lat żył on w Paryżu, przez pół zapomniany, w małym mieszkanku na ulicy Platrière, wśród książek swych i zbiorów, często odwiedzany, rzadko odwiedzający, czasami tylko goszczący w salonach. Umysł jego chorzał coraz bardziej, do tego stopnia, że ów człowiek niepodległy, tak dalece zapomniał siebie, iż wystosował memoriał, wzywający o miłosierdzie publiczne i przytułek choćby w szpitalu. Nie okazywał jednak do nikogo osobiście żalu ani nienawiści. Owszem, nieprzyjaciołom swym nawet, istotnym czy rzekomym, oddawał sprawiedliwość co do ich talentów i prac literackich. Dzienniki współczesne mówią o wielkiem powodzeniu, jakie, roku 1775, zyskał w „Comédie-Française“ jego melodram „Pygmalion.“ Pisał on téż książkę p. t.: „Rousseau sędzią Jana-Jakoba;“ są to rozmowy dosyć dziwaczne, przedstawiające bolesną walkę, jaką umysł schorzały toczy przeciwko własnym widziadłom: jednak druga z tych rozmów pełną jest opisowości poetycznych, wspomnień lubyh, pośród których autor zapomnieć usiłuje o dręczącej terażniejszości. Marzyciel całego życia, zakończył je wśród „Marzeń” (Rêveries du promeneur solitaire), stanowiących uzupełnienie „Wyznań,” przerwanych na roku 1765. Ostatnia z tych jego „Przechadzek,” skreśloną jest pod rokiem 1778, to jest przed samą śmiercią, którą o kilka tylko miesięcy poprzedziła śmierć Woltera.

Rozminęli się oni z sobą i w téj nawet uroczystej chwili. Kiedy Wolter przybywał z uroczego Ferney, ażeby umrzeć w Paryżu, Rousseau, w roku 1778, wyniósł się z Paryża do rozkosznej wioski Ermenonville, gdzie go zaprosił właściciel, p. de Girardin. Mieszkał on tam tylko dni 40 i umarł dnia 2 lipca 1778 roku.

Ponieważ życie jego było pełnem udręczeń, a próżném nadziei, śmierć zaś nastąpiła nagle, przeto powstało przypuszczenie samobójstwa. Przytaczano długi czas, w rozmaitych listach i biografjach, mnóstwo dowodów za i przeciw, z których jednak, wbrew twierdzeniu

pani de Staël i biografa jego, Musseta Pathay, nic podobnego przypuszczenia nie potwierdza. Do takiego przynajmniej wniosku przychodzi, profesor Barny ¹⁾, który wszystkie te relacje rozpoznał, oraz szwajcarski autor Meylan ²⁾.

Na wieść o śmierci wielkiego myśliciela, tłumy zjechały z Paryża i dnia 4 lipca, po odbytej sekcji, pochowano zwłoki wśród wysepki Topolowej na Nonnette.

W r. 1790, Konstytuanta francuzka, na wniosek margrabiego Mirabeau, z którym niegdyś korrespondował Rousseau, uchwaliła dlań posąg i pensję dożywotnią dla wdowy; a w r. 1794 szczątki filozofa przeniesiono do Panteonu, zamienionego na katakumby wielkich ludzi. Posąg nie przyszedł do skutku, zastąpiono go dość lichym biustem na rogu ulicy Platrière, nazwanej odąd ulicą Russa.

W r. 1793, owa Genewa, prześladowawcza ojczyzna Russa, która omal go za życia nie ukamienowała, wzniosła mu kolumnę bronzową.

Towarzyszka Russa, Teresa Levasseur, niedługo po śmierci swego znakomitego małżonka, poszła powtórnie za mąż za mastalerza i w tym nowym związku dożyła do roku 1801, wieku 80.

Czasy nienawiści i prześladowań za myśl minęły w Europie. Człowiek, o którym głoszone, że był zły i bezbożny, całe życie jednak zużył na potępianiu zła, na poszukiwaniu dobra, na wystawianiu tej wspaniałej natury, która mu natchnęła najpiękniejsze ustępy dzieł. Czas, ten najtrafniejszy krytyk, wymierzył mu sprawiedliwość: bez względu na błędy życia i myśli, zaświadczył, że Jan-Jakób Rousseau przyczynił się w znacznej części do wytworzenia nowych a szczęśliwych zasad życia społecznego. Potomność, używająca owoców jego usiłowań, ozdobiła wieńcem nieśmiertelników czoło twórcy „Emila“ i „Umowy Społecznej,“ a w stuletnią rocznicę śmierci uwielbienie swe i wdzięczność wyraziła serdecznie.

Ażeby sobie lepiej wyttómaczyć tryumfy i niepowodzenia człowieka, poznawszy autora, studyować trzeba Russa w jego, mianowicie, „Wyznaniach.“ Sądy tam jego o ludziach są po większej części przesadzone, zwłaszcza, gdy im przypisuje winy względem siebie, często sprzeczne, zależące od jego humoru: o sobie samym mówi najwięcej, nieraz z naiwnością zadziwiająco cyniczną, tak, iż mamy go tam jak na dłoni. Charakterystycznym co do jego osoby jest to, że w nim łączyły się dwie rzeczy, prawie nie do pogodzenia ³⁾, czego on i sam należyście zrozumieć nie mógł: temperament gorący nadzwyczajnie, namiętności żywe, gwałtowne; a z drugiej strony, powstawanie myśli leniwe, trudność w zebraniu się na zdanie, nieprzytomność umysłowa. Uczucie i umysł były u niego w ciągłym rozdwojeniu, jakby nie nale-

¹⁾ „Histoire des idées morales et politiques,“ t. II, lekyca 21.

²⁾ „Jean-Jacques Rousseau,“ wyd. 1878 r., str. 129.

³⁾ „Confessions;“ ks. III, rok 1731—1732.

żały do jednej osoby. Uczucie, z szybkością błyskawicy ogarniało duszę; ale zamiast oświecić, olśniewało go tylko i paliło. Czuł wszystko, nie widział nic; uniesiony był a bezwładny: potrzebował ostudzenia krwi, ażeby myśleć; potrzebował czasu, ażeby odzyskać wrodzony mu takt dość pewny w umyśle, przenikliwość a nawet finezyę. Na poczekaniu, publicznie czy w towarzystwie, nie zdobyłby się na nic mądrego.

I ta ciężkość myślenia, połączona z żywością uczucia, nietylko objawiała się w rozmowie, ale i przy pracy samotnej. Myśli układały mu się w głowie z niesłychaną trudnością. Obiegały głucho, wrzały, wierciły po mózgu aż do sprowadzenia bicia serca; ale wpośród tych wzruszeń nie widział nic jasno, niezdolny był napisać ani jednego wiersza. Musiał się dopiero uspokoić, ażeby wziąć pióro do ręki i kreślić już z bladych tylko wspomnień. Powiada tóż: „Gdybym ja naprzód umiał poczekać, a potem oddać w całej piękności rzeczy, które mi się przedstawiły: mało który z pisarzy byłby mnie przewyższył.” Przelewianie tóż jego na papier myśli przy sercu, nawet ukojeniem, było mozolne. Kreślił, mazał, przerabiał rękopism, przepisywał go po cztery i pięć razy; témbardziej, iż, jak sam kilkakrotnie zaświadcza, z piórem w ręku jest on do niczego. Dopiero na przechadce, w pośród lasów i skał; w łóżku podczas nocy bezsennych, przychodzą mu najlepsze koncepta, bo nawet formy wyrażenia, które sobie wypisuje w mózgu po kilka razy, by je zapamiętać, gdy zasiądzie nad raniem do stolika.

Łatwo sobie tedy wyobrazić, ile trudów i męczarni kosztowało tego człowieka wszystko to, co napisał do druku, i dziwić się, że był rozstrojony, cierpki, nieprzyjemny częstokroć w pożyciu. Dziwić się raczej potrzeba, jak on mógł żyć w takim stanie i nie wyczerpać tchu przez sześćdziesiąt sześć lat takiego życia, któreby z nóg zwałało najsilniejszy temperament.

Co większa, jak trudno myśli i pojęcia wydawał z siebie, tak trudno je i przyjmował. Z tego co słyszał, na co patrzył, nie mógł sobie nigdy na razie zdać sprawy; potrzebował czasu, ażeby przemyśleć, zorientować się. Sąd jego doraźny, nigdy nic nie był wart. To nam tłumaczy, dlaczego w słosunkach z ludźmi, powiedziawszy coś lub uczyniwszy pod pierwszym wrażeniem, mógł się albo źle przedstawić sam, albo narazić sobie innych. Na to nie było rady, przy takim temperamencie.

Z zestawienia wszystkich rysów, jakie uchwycić można w jego charakterze, to jedno jest nader widoczném, że w nim górowała wyobraźnia, a ztąd płynęły główne zalety jego jako pisarza, główne wady jako człowieka. Rządził się wrażeniami: one to roznamiętniały go na razie do pewnych osób, którym w dobrej wierze gotów był zaprzysięgać wieczną miłość i przyjaźń, bo czuł je w tój chwili: niebawem, wyobraźnia nasunęła mu inny widok, który zatarł wrażenia poprzednie, jeśli i same przez się nie spłowiwały, a Rousseau dziwił się wtedy same-

mu sobie, z kądem mu się wzięły zapaly dawniejsze. Ta nieustanna téz zmiana wrażeń, pociągająca zmianę w całym nastroju człowieka względem pewnych, czy ludzi, czy przedmiotów, powodowała go do téj analizy psychicznej, którą chciał dokonać piśmiennie, pod nazwą Moralności sensorywnej, a czego nie dokonał, bo zapewne nie mógł natrafić na właściwy, t. j. ogólny punkt wyjścia.

Życie jego cechowało się prostotą, pochodzącą zapewne w części ze skłonności przyrodzonej, w części z wychowania. W dojrzałym wieku nie dał się nigdy pociągnąć w stronę wyszukania: pomimo sposobności do zmiany, gusta jego pozostały prostemi: szkoda tylko, że prostota jego nie pogardzała popolitością; inaczej nie byłby się uwikłał w stosunek domowy, który tak go poniżył. Ta jednakże prostota, z drugiej strony, ułatwiła mu obstanie przy bezinteresowności i niepodległości, cnotach, stanowiących szczyt jego charakteru. Gdyby gusta jego i wymagania posuwały się w miarę wpływu, jaki wywierał, z wielką trudnością mógłby się oprzeć wpływom świata, wywieranym na siebie. Mniejsza, że Rousseau, wśród swych wykwintnych stosunków wyglądał na barbarzyńcę przypadkowo zamieszanego między ucylizowanych, jeżeli uratował to, co najwięcej zaleca pisarza: sumiennosc. Czy dobre, czy złe były jego pojęcia, gdy pisał, w każdym razie były to pojęcia jego własne; nie shaubił się ani przekręceniem prawdy, ani przemilczeniem jej dla względów postronnych: jeżeli się mylił, to w dobrej wierze, nie za pieniądze, jak Wolter i jego w tém rzemiośle dzisiejsi naśladowcy.

Nie był w zgodzie sam z sobą; więc téz trudno odeń żądać zgodności obiektywnej, harmonii zasad z czynami. Platonista i sensualista w życiu, takim jest niejednokrotnie i w pismach, a już co najwięcej, to jego „Wyznania“ noszą na sobie cechę tego potwornego związku. Posadzano go o niewdzięczność, że tak kompromitujące rzeczy, nie szcędząc nazwisk, wypisywał o kobietach pozostających z nim w stosunkach, z których cała korzyść była po jego stronie; zwłaszcza o pani Warens. Nie była to niewdzięczność: to prosty brak delikatności plotkarza, który prawdy od prostactwa odróżnić nie potrafi. Gdyby wychował się i żył w takim świecie jak Wolter, umiałby zachować miarę przyzwoitości w ten sposób, ażeby dokuczyć a nic z charakteru galanteryi nie utracić.

Wielce bo téz różni byli od siebie ci dwaj ludzie, których wiek zwykle łączy w reprezentacyi swych cech i dążeń. Wolter i Rousseau, to śmiech i ła, Demokryt i Heraklit społeczni. Pierwszy w umyśle swym jest odbiciem tego francuzkiego sens-commun, zdrowego rozsądku: zawsze jasny, urozmaicony, bujny w stylu, nigdy nie dopuszczający się przesady ani deklamacyi, równie jak nigdy wielki, ani patetyczny, ani wzniosły. Rousseau często zbacza od zdrowego rozsądku, ale rozumuje silniej od Woltera, unosi się, zapala, sztuką krasomówczą pokrywa gruby paradoks w treści; z niepopolitą wspaniałością traktuje uczucia wielkie, z których Wolter uśmiecha się sardonicznie. Wolter,

poeta, powiada Cezar Cantu ¹⁾, wszędzie rozprasza sztukę; śmieje się, wytyka nadużycia i występki, ale nie protestując przeciw współczesności, nie wskazując reform na przyszłość. Rousseau więcej obdarzon jest uczuciem, niż rozumem: on ześrodkowywa w sobie wszystkie cierpienia swego czasu, protestuje bez końca, wymyśla utopije. Jeden uosobistnia w sobie epigramat, drugi elegiję; jeden wątpi i drwi, drugi wątpi i drży, dreszczem przejmując innych. Wolter czci panujących tyle, ile pogardza ludem, a iżby im się przypodobać, walczy przeciwko duchowieństwu i religii; rewolucyonista w religii, słuźalcem jest w polityce: mniema, że sprawa filozofów stanowi jedność ze sprawą panujących. Rousseau, republikanin, kocha lud, i ku wielkiemu zgorszeniu Woltera, ucznia swego robi stolarzem. Wolter ubóstwia rozum, który rozdziela; Rousseau cały oddany jest uczuciu, które zbliża. Wolter gromi społeczność, ale się z nią kojarzy; przyjmuje pensye, tytuły dworskie, ma poddanych, handluje niewolnikami i życia używa przyjemnie: sztuka to praktyczna w całym znaczeniu. Rousseau, niepraktyczny do najwyższego stopnia, nie zna tranzakcyi, cierpi, oburza się, nie może oddychać w atmosferze zatrutój. Bronią Woltera jest sarkazm dzielny i nieubłagany; bronią Russa jest egzaltacya uczucia, entuzyazm cnoty i sprawiedliwości. Szkoła Woltera przepadła zaraz po dopełnieniu swój missyi, jak owad skrzydlaty po dopełnieniu funkcyi żywota; od Russa poczyna się ruch odnowienia w uczuciu, w sztuce, w wychowaniu polityczném i osobistém.

¹⁾ „Hist. powsz.“ tom XVII, rozdz. 8.

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

A. Gorajską *).

Tom I.

XXIII.

Niepodobna opowiedzieć wszystkiego, co Edward i Margarita wycierpieli w ciągu téj nieszczęsnej nocy. Dotkliwe wyrzuty sumienia, obawy, przestrasz, niebezpieczeństwa, grożące nagłą śmiercią, wszystko, co tylko może trapić śmiertelników, wszystko to spadło na te dwie dusze, pogrążając je w boleściach moralnych, stokroć straszniejszych jeszcze, aniżeli ta burza, której byli nieszczęsną igraszką.

Lecz noc tak straszna była jeszcze niczém w porównaniu z okropnością dnia, który ich czekał! Wiadomo, na czém zależał rząd w Neapolu. Wiadomo, iż dzisiaj absolutna monarchów władza nie jest opartą na owéj zobopólnój ufności, która stanowiła pomyślność naszych przodków, a dziś pozostała błogą mrzonką naszych polityków staréj daty. Wiadomo, iż król neapolitański, aczkolwiek powszechna wieść głosiła, iż był kochankiem swego ludu, posiadał mnogie wojska,

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za listopad r. b.

i sprawnych a z dobremi uszami uliczników, którzy zwykli nieradko częstować stryczkiem niegrzeczną dźwiatwę, zapewne na przypomnienie owego hiszpańskiego przysłowia, pozostałego po dawnych panach tej ziemi: „Kto cię bardzo kocha, na tego będziesz płakać.“

Łatwo zatem sobie wyobrazić, jak wielką była trwoga Margarity. A mimo to, skoro tylko ustały grzmoty i pioruny, gdy burza się uspokoiła, zdawało się, że sama za siebie wstydząc się, zaczęła powracać do dawnego zuchwalstwa.

— Cóż pocniemy—pytała—skoro nadejdzie biały dzień, który już zaczyna świtać?

— Musimy szukać jakich środków, ażeby uniknąć sideł policyi.

— Ja się jój nie boję.

— A ja się jój lękam tyle, co ty piorunów: to dosyć powiedzieć.

— Ten, którego opłaciliśmy tak drogo, aby stał na czatach, zapewne już nie znajdzie się na swoim stanowisku.

— Bardzo to być może. A ty, Margarito, właśnie ubiorem swoim zwrócisz na siebie uwagę.

— Ach! co za noc przebyliśmy! co za straszną noc!

— I cały nasz zamiar spełzył na niczym. Widzisz Margarito, że się to nieraz przytrafia, iż Bóg pokrzyżuje nasze plany, może dla ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, na jakie się narażamy.

Młoda kobieta rozśmiała mu się w oczy.

— Ach, Margarito, Margarito! Chciałbym doprawdy, ażeby się teraz znów pojawiła jaka grzmiąca chmura i w łonie swoim wraz z elektrycznością przyniosła ci choć trochę religijnego uczucia.

— Zaczynasz robić się sarkastycznym.

— Nic innego mi nie pozostaje.

— Edwardzie, myślmymy o ocaleniu siebie.

— Jak my wyglądamy! Przemoczeni do nitki, zbici, z oczyma pocerwieniałymi od bezsenności, z bólem w sercu, z ranami w duszy, powaleni błotem, które jest symbolem tego bagniska, w jakim żyjemy...

— O takiej porze i w takich kłopotach, jemu się zachciewa prawić morały, to doprawdy nie do uwierzenia.

— Na ten raz rzeczywiście masz słuszność.

— Już się widocznie starzejesz.

— Dlaczego?

— Bo zaczynasz zrędzić.

Edward lekko się uśmiechnął i wyszedł na pole, celem obmyślenia jakiego sposobu do wyjścia z niebezpiecznego położenia. Zorza już świeciła zpoza ciemnych chmur. Cała okolica przedstawiała straszny obraz spustoszenia. Na wszystkie strony widać było potrzaskane drzewa, zgłiszczą popalonych chatek, okropne ślady wielkiej burzy.

Nasi biędni wędrowcy całkiem zmylili drogę, i poszli w kierunku zupełnie przeciwnym temu, w jakim się udać byli powinni. Zamiast pójść w stronę sobie wskazaną, zapuścili się aż ku morskim brzegom.

Edward sam nie wiedział, jaki obrać środek ratowania się, jak uniknąć tak blizkiego a groźnego niebezpieczeństwa. W tém spostrzegł u brzegu jedną z owych dużych łodzi, które z lekko rozwianym żaglem, niby wielkie ptaki morskie, przemykają się wzdłuż brzegów Śródziemnego morza. Przyszło mu na myśl, iż mogłaby go przewieźć wraz z Margaritą, gdzieś w odległą stronę pobrzeża, i tam będąc można postarać się o ubiór kobięcy dla jego żony i o inną odzież dla niego samego, a potem wrócić do Neapolu.

Przybliżył się tedy do łodzi i ujrzał w niej rozciągniętego chłopaka.

— Hej! wiosłarzu!—zawołał.

Młody żeglarz obudził się i przecierał sobie oczy.

— Nie mógłbyś nas przewieść?

— A gdzie chcecie?—odrzekł wiosłarz przeciągając się i ziewając.

— Gdziekolwiek... gdzie sam zechcesz.

— A to dziwne żądanie!

Mówiąc to młody chłopak podniósł oczy.

— Al.. to wy... wy... jakaś przestraszony.

— Genero! Genero!—zawołał Edward.—Och, Boże, i któżby mógł nie wierzyć w Opatrzność!.. Zawieziesz nas tam...

I z dziwną mieszaniną uczuć radosnych i smutnych biegł ku małej szopie, gdzie została Margarita i zdaleka wołał na nią.

Młoda kobięta wyszła, zapachnięta, ledwo się wlokła.

— Popłyniemy tam, do twojej wioski—mówił Edward do wiosłarza.

Margarita machinalnie postępowała za nim i machinalnie weszła do łodzi.

— Rozwiń żagiel. Płyn!

Łódka zaczęła rażno pruć fale. Edwarda ogarnęła dziwna wesołość. Niebo zaczynało się rozpogadzać. Błękit piękniejszy jasnością świecił po burzy. Płaty chmur pierzchały, jakby stada biegłych orłów. Słońce rumianą swą barwą już horyzontu rozpałało krańce, malując je precudną krasą opalu i szkarłatu. Ptaszęta, jakby na podziękę Bogu za swoje ocalenie, wdzięcznie świegotały, a pienie ich roznosił powiew wzdymający białe żagle. Na polach, choć wodą zalanych, drzewa były piękniejsze, zieleńsze. Morze się uciszało, stękało potrochu, jak dziecię, które usypiając walczy jeszcze ze snem, a w wodach swoich odbijało obraz swojego kochanka nieba. Tak było jasne, tak piękne, tak do dna przezrocze, iż patrząc w jego tonie widzieć można było algi, konchy morskie, paprocie i różnobarwne rybki, płasające w płynnych jego kryształach, i wszystkie te miliony tworów, dowodzących jak obfitém, jak potężném, jak piękném jest życie, to życie, którego przedwieczném źródłem jest Bóg.

Kiedy wzrok się pogrąża w tych wspaniałych widokach, kiedy zmysł ogarnia te atomy światła, kiedy się odrycha tą miłą świeżością,

która robi wrażenie pocałunku przyrody; kiedy się widzi życie pulsujące w listkach drzew, w drganiach wód, w ptastwie, w rybach, w tylu nieskończonych miryadach tworów; słowem, kiedy się patrzy na życie pulsujące, tak samo jak krew pulsuje w sercu: wtenczas zatapia się dusza we wszechstworzeniu i chciałaby napawać się nektarem tego życia i w jego łonie się rozpląnąć, jak orzeł rozpląta się w niebieskich eterach.

Przez niejakiś czas Margarita zdumiona tym widokiem, témbar-dziej że następował po owym strasznym, na który niedawno patrzyła, zapomniała zapytać, gdzie mieli się udać; lecz po kilku chwilach ocknęła się z tego jakby odurzenia i spytała:

— Dokąd płyniemy?

— Do pewnego miejsca, którego byś się ani domyśliła.

— Cóżto za miejsce?

— Wolę ci nie mówić, dopóki tam nie staniemy.

— To bardzo źle; bo teraz koniecznie muszę wiedzieć dokąd płyniemy.

— Ujrzymy te pola, na których śliczny nasz słowiczek uczył się śpiewać.

— Co za słowiczek?

— Aniela.

— O! co słyszę!

— Czy ci to przykreść sprawa?

— Zapewne.

— Nie sądziłem...

— Bo tego ci tylko jeszcze brakowało, żebyś wyszedł całkiem na moralistę.

— Czy tylko dlatego?

— Tylko dlatego. A może sobie wyobrażałeś, że będę zazdrośną? Nie wart jesteś tego.

— Nie sądziłem, że ci to będzie niemiłym, ale teraz nie może być inaczej.

— Cóż robić? Zaliczę ten dzień do feralnych dni mojego życia.

Edward był bardzo wzruszony. Wszystkie te widoki, jakie przyroda stawiała mu przed oczy, przypomniaty mu spokojne dni młodości. Wtenczas miłość wonnością napawała mu serce; wtenczas roje skrzydlatych marzeń myśli jego napełniały: wtenczas miał wiarę w ludzkość, w swobodę, w Opatrzność, w Boga. Wtenczas dusza jego zachowywała nieskałaną swoją białość... ta dusza dziś poczerniała, skażona i chora! Wtenczas nie był automatem, lecz zostawał w posiadaniu całkowitem swojej wolnej woli.

Edward odświeżał swoją wyobraźnię na tych pięknych pobrzeżach, gdzie niegdyś był szczęśliwym. Tam sobie przypominał, jak omylna żądza, szukając szczęścia, goni za marą czczych mamideł, a potem cofa się wstecz o cały żywot, by odnaleźć ślady swoich lat młodości i tego szczęścia, którem wzgardziła, mieniąc je zwodni-

czém. Tam, pod ową wierzbą, nad brzegiem źródła, który jak dawniej jasne sączył wody, całą piersią oddychał tém przeczystém powietrzem, a przed oczyma jego snuły się wspomnienia dawniej miłości, obraz duszy młodzieńczej, gorącej. I tam czerpał siły na dalszą podróż życia... Lecz znajdował tam również i bolesne wspomnienia i obraz tych godzin w miłości spędzanych, które naówczas były jego rajem, a dziś w nim budziły żal gorzki...

Wreszcie za pomocą wielu starań i zabiegów, Edward i Margarita mogli bezpiecznie i cało powrócić do Neapolu.

XXIV.

Mniemał Edward, iż Margarita zaniechała już swoich planów zemsty; lecz myśl ta ani na chwilę nie opuszczała tej nieszczęsnej a upartej kobiety. Pałac jej, do którego cisnął się wprzód cały Neapol, zamienił się w pustkę; słychać było tylko stąpanie służących: żywa dusza nie zadzwoniła do bramy. Kiedy Margarita szła do teatru, nikt jej się nie kłaniał. Tysiące zabaw wyprawiano w mieście, na żadną nie otrzymała zaproszenia. Czoło jej napiętnował znak hańby; nad majątkiem zawisła groźba bliższej konfiskaty, nad całą jej osobą złowroga chmura nieszczęścia. Tak żyć było niepodobieństwem, zwłaszcza dla niej, nawykłej do zabaw, tryumfów, hołdów i pochlebstw.

A położenie to tak smutne, tak trapiące, ta samotność taka straszna, mogły się jednak, jakby mocą czarów przemienić w zdroj szczęścia, gdyby Margarita zdołała odzyskać utracone znaczenie, wydarta sobie potęgę. A więc najprzód dla pomszczenia się, a powtóre dla pozycy i korzyści, bezprzestanne knuła spiski.

Znajdował się na dworze ktoś, szczególniej dla niej nienawistny. Może czytelnik sobie przypomina pewną scenę, przytoczoną w początkach niniejszej opowieści. Przypomni sobie zapewne młodego człowieka, którego Margarita pragnęła pozbawić życia i którego Edward byłby zamordował, gdyby nie czarodziejski śpiew Anieli.

Otóż więc młody ów człowiek był dla Margarity przedmiotem największej nienawiści. I nie bez powodu. Ona go kiedyś kochała, a on nadużył jej słabości, a potem ją porzucił. Ona pocieszyła się po nieszczęśliwej miłości, powrotem i potęgą, a człowiek ten stanął jej w poprzek drogi i wydarł jej także potęgę: tego wroga potrzeba było pozbyć się koniecznie.

Lecz wrót ten był ogromną potęgą. Dostał wielkich godności, wielkich zaszczytów w pałacu, i pozyskał sobie bezwarunkową ufność monarchy. Powoli potrafił pousuwać z jego otoczenia całą tę część arystokracji, która jemu mogła zawadzać. Przez ręce jego przechodziły prawie wszystkie sprawy; rada jego była rozstrzygającą, wpływ potężny. Musiano koniecznie obalić tę potęgę. Panowie, dla których zapewne nie był wstrętnym system rządzący w Neapolu, obu-

rzali się na wziętość faworyta i nienawidzili go nie przez niechęć ku despotyzmowi, lecz dlatego, że oni byli ciemnieni, a nie ciemieżcami.

Znanym jest powszechnie wielki popęd Włochów do tajemnych stowarzyszeń; popęd ów zrodził się niewątpliwie z wielkich i bolesnych nieszczęść tego narodu. Królowie niecierpią tych stowarzyszeń, ścigają je i śmiercią karzą; a mimo to najdziwaczniejsze a najbardziej popularne towarzystwa istnieją we Włoszech, w tej krainie tak pełnej ran i wrzodów, jak pełne lawy są jój wulkany.

Owóż nieprzyjaciele faworyta, ci, którzy za jego sprawą wypadli z łaski u króla, połączyli się i utworzyli bardzo rozległy związek tajemny przeciw niemu: wynaleziono wszelkie możliwe środki podejścia jego władzy.

Zbytecznym jest zapewniać, iż tajemne stowarzyszenia uważamy za rzecz wielce szkodliwą. Będąc żarliwymi stronnikami jaknajswobodniejszego prawa stowarzyszeń, mamy przekonanie, iż związki, kryjące się głęboko w ciemnościach, są złem bardzo wielkiem. Lecz złe to wypływa głównie z natury pewnych systemów rządu i z ustroju pewnych społeczeństw. Narody, pozbawione swobody, tego cennego daru niebios, muszą na nieszczęście znosić wszelkie następstwa tych tajemnych związków. Sama jedynie swoboda przynosi z sobą harmonię, wielkość i spokój.

Najwięksi przeciwnicy tajemnych stowarzyszeń nie śmieliby wszakże nie uznać, iż podobne związki mogą mieć wielkie cele. Katakumby najpierwszych chrześcian, gdzie się odbywały tajemnice boskiej naszej wiary, były wielkiem stowarzyszeniem tajemnym. Zgromadzenia Pitagorejczyków, Neapolitańczyków w starożytności, były także wielkim związkiem tajemnym. W samych Włoszech znajdowały się i znajdują podobne, utworzone w celu wyzwolenia kraju z pod obcego jarzma. Takie stowarzyszenia mają swój cel, i można pojąć, że przez udział w nich naraża się wolność i życie. Lecz związek tajemny dla obalenia jakiegoś faworyta, dla stawienia oporu przemijającej władzy jednego człowieka, dla połamania szyków dworskiej intrygi; takiego rodzaju towarzystwo tajemne i z takim celem, jest niewątpliwie jednym z najbardziej chorobliwych i cierpkich owoców, jakie despotyzm wydać może.

I do takiego to właśnie stowarzyszenia Edward z Margaritą przystąpić zamierzali. Był to punkt zborny dla wszystkich malkontentów i jedyna nadzieja dla młodej kobiety, zbłąkanej wraz z swoim małżonkiem w zawiłym labiryncie wielkiego świata.

Związek ów nosił nazwę „Stowarzyszenie nieprzyjaciół tyrana.” Samotność, ciemność, najściślejsze milczenie i sekret, formułki sybiłińskie, tajemnicze obrzędy, słowem wszystko co może wyobrażać związek tajemny, wszystko tam było zastosowane.

Margarita i Edward nie mogli zostać przyjęci do tego stowarzyszenia, jak tylko dzięki pośrednictwu dobrze im znajomego Rafaela. Bardzo nie w porę dla nich przyszła burza owój nocy. Był to zły początek. Przystępując do związku, nie stawić się na pierwsze posiedzenie; przytém dłuższa nieobecność w domu obudziła podejrzenia w służących. A w krajach stojących na nieufności, gdzie władza ma sto ócz, sto rąk i sto nóg, w biednych tych krajach podejrzenia i szpiegostwo wciskają się nawet aż w święte i niepogwałcalne progi domowego ogniska.

Owym faworytem królewskim, a ztąd przedmiotem zawiści wielkich panów, był młody hrabia Artur, należący z rodu do najwyższej arystokracji. Ojciec jego padł na ulicach Medyolanu, ofiarą jednej z krwawych rewolucyi włoskich. Młodzieniec, acz wychowany w poglądach liberalnych, od téj chwili poprzysiął nienawiść rewolucyi, i obiecywał sobie mścić się na niej, o ile to będzie w jego mocy.

Pozyskawszy sobie najwyższe łaski królewskie, stojąc przy boku monarchy, podsycił w nim podejrzliwość względem całego otoczenia, a zwłaszcza względem domów arystokratycznych. Domy te, nie śmiejąc w służalczej uległości nienawidzić króla, nienawidziły jego faworyta. Szły więc głosy pod niebiosy, wołające o jego zgubę, a do tych głosów mogły się domieszać łatwo trucizna i sztylet, któremi Włochy władają tak zręcznie i często się posługują. Ale hrabia będąc panem królewskiego serca, żartował sobie ze swych nieprzyjaciół. Wiedział o każdym ich kroku i był pewnym ujęcia ich wszystkich w swoje sieci.

Był czas, że hrabia Artur kochał się w Margaricie i zakosztował gorzkich owoców téj nieszczęsnej miłości. Wreszcie przebrała się miara namiętności i Margarita stała się ofiarą jój zemsty. Odtąd wszczęła się wojna pomiędzy byłemi kochankami, wojna bez przerwy, bez wytchnienia: ona zamierzała pozbawić go życia, a on, przebieglejszy, zabił ją trafniejszym ciosem, t. j. wydarł jój wszystkie łaski, wszelki wpływ u dworu, całą siłę i potęgę. Wróg jój nieprzejdany starał się powoli zniechęcić do niej króla i królowę, którzy bardzo polubili żywość jój i wesołość. I trzeba przyznać, iż hrabia, jako Włoch nieodrodny, umiał na wyrzeczenie hasła wojny wybrać najstosowniejszą chwilę, taką, w której wszystkich oczy były na nią zwrócone.

Chociaż wiele domów popadło w podobną niełaskę, lecz żadna nie była tak niespodziewaną, ani tak rozgłosną, jak upadek Margarity. Młoda kobiéta już oddawna coś przeczuwała, odkąd widziała tak nagły wzrost wpływu hrabiego na króla; lecz gdy przeminęło tyle dni i tyle zdarzeń, w końcu wmówiła w siebie, że obawy jój były nieuzasadnione i przestała się lękać; pozostały jój pewne podejrzenia, lecz nic więcej.

Wreszcie spadła na nią ta niełaska, której się już nie obawiała. Hrabia Artur obrał najważniejszą dla niej chwilę, aby ją w samo serce ugodzić. Zaprawdę, cios to był podwójnie bolesny, tak swoją doniosło-

ścią, jako też chwilą wybraną do jego wymierzenia. Od tej przeto chwili zaczęła knuć spiski i starała się szerzyć nienawiść do tego tyrana, do faworyta, do czarownika, przeciw któremu zawiązało się tajemne towarzystwo: nic nie pomoże, on paść musi!

Lecz hrabia Artur z prawdziwie włoską przebiegłością, ze zrzecnością w intrygach, jaką mu powszechnie przyznawano, ujął w swoje ręce wszystkie nici tego rozległego spisku; do zgniecenia go czekał tylko chwili, w której Edward z Margaritą stanowiąc będą część tego związku.

XXV.

Pomimo tylu łask i zaszczytów, mimo tak wielkiej potęgi, hrabia Artur czuł się bardzo nieszczęśliwym. Miłość, lecz miłość nadzwyczajna, wpiła mu się w serce. Namiętność ta wielka, szalona, pogrążyła go w głębokim smutku: rozpaczął i nie dbał o życie.

Uczucie hrabiego Artura było czyste i głębokie. I ktoś to umiał wzbudzić je w jego sercu? Pewnego wieczora, kiedy Aniela śpiewała „Lunaticzkę“, głos jej szczególnie zachwyił Artura: było to wrażenie głębsze a rzewne. Muzyka Belliniego pozostanie zawsze najszczytniejszym hymnem miłości. Nikt nigdy nie potrafi wyrazić uczucia, tęsknoty, miłości, w sposób tak dojmujący, tak głęboki, tak wzniosły. Te tony, te melodye, te pieśni, są to łzy, uderzenia serca, oddźwięk rzewnej smętności, wszystko co sprawia miłość namiętna. Hrabia Artur poznał potęgę tego uczucia i od tej chwili postać Anieli, łzawa i tkliwa, wrażliwa się w jego umysł i serce: i odtąd życie mu się zmąciło, serce nie miało pokoju.

Pewnego dnia spotkał młodą śpiewaczkę w towarzystwie na poufnym zebraniu. Z nieśmiałością przybliżył się do niej i rozpoczął rozmowę. Aniela odpowiadała ze zwykłą sobie uprzejmością. Hrabia ośmielił się wyrzec kilka wyrazów, które ona przyjęła jako zwyczajną galanterię. Lecz niebawem rozmowa wzięła zwrot inny: powoli hrabia zaczął odkrywać stan swego serca. Aniela jakby chroniła się przed tym widokiem, a gdy hrabia zapragnął czytać w jej sercu, dała mu poznać w sposób bardzo delikatny, iż nikogo w świecie kochać nie będzie.

Słowa te bardziej jeszcze podnieciły miłość hrabiego Artura. Gdy się znalazł w samotności, obraz tej kobiety prześladował go i dręczył. W snach ona mu się zawsze przedstawiała, na jawie mimowolnie wymawiał jej imię. Bardzo często w salonach zbliżał się machinalnie do fortepianu i przegrywał wstęp do finału z „Lunaticzki“. Ile razy Aniela śpiewała w teatrze, hrabia, siedząc sam jeden zasunięty w kąt swojej łoży, słuchał jej głosu i płakał. I tak, miłość jego spotęgowała się do tego stopnia, iż nic już więcej nie obchodziło go na świecie.

Pewnego dnia, nie mogąc już dłużej tłumić w sobie tego uczucia, wziął pióro do ręki i pisał:

„Kocham cię, Anielo! Sądziłem, iż serce moje pokona tę miłość, lecz ono zranione i bezsilne. Świat cały, bez ciebie, jest dla mnie piekłem. Nie karz mię, Anielo. Jeżeli mię nie kochasz, zamilcz. Zostaw mię jaknajdłużęj w tęj niepewności. Smutny to stan, lecz wolę go od rozpaczy.“

Aniela, odebrawszy ten list, podarła go i nic nie odpisała. Jednego dnia, nad wieczorem, gdy się przechadzała po wybrzeżu, hrabia Artur zbliżył się do nięj z uszanowaniem.

— Panno Anielo!

— A! pan hrabia...

— Pragnę kilka słów powiedzieć.

— Słucham pana.

— Otrzymałaś pani mój list?

— Tak jest, panie hrabio. Łatwo domyślasz się pan, dla jakich powodów nie odpisałam.

— A więc teraz mi pani na niego racz odpowiedzieć.

— Panie hrabio, gdybym mogła kochać... możebym pana kochała; lecz nie chcę zwodzić: ani teraz, ani nigdy kochać go nie będę.

— Panno Anielo, zadajesz mi cios śmiertelny.

— Panie hrabio, uwierzyłam w szczerść słów pańskich, i szczerze na nie odpowiadam.

— Pani kochasz kogoś innego?

— O! nie, nie!... powiedziałam już, że nie mogę, nie powinnam kochać nikogo.

— Nie powinnam! Miałażby taka osoba, jak pani, być skazaną na wyrzeczenie się miłości?

Aniela dała głową znak potwierdzający.

— To być nie może.

— Nie możesz pan zbadać tajników mojego serca.

— Więc mię pani skazujesz na męczarnie do końca życia?

— Rozmyślisz się pan hrabia i będziesz mi wdzięcznym.

— Może pani przypuszczasz, iż ja nie czuję tego co mówię?

— Otóż wiedz, panie hrabio, do jakiego stopnia jestem zarzumiąłą: wierzę, iż szczerze są pańskie słowa.

— A gardzisz mną?

— Bynajmniej; lecz wola nie rozkazuje sercu.

Od tęj chwili podwoiły się zabiegi hrabiego. Stał się cieniem Anieli. Gdziekolwiek Aniela poszła, wszędzie pojawiał się hrabia Artur. Aniela zaczęła się chmurzyć; gorący jęj wielbiciel jeszcze mocniej rozgorzał: opanował go pewien rodzaj szału.

Biędna śpiewaczka liczyła do rzędu największych swoich zmartwień, mimowolne wzbudzenie tak szalonej namiętności i gorzkimi łzami oplakiwała to nieszczęście.

W tak smutném położeniu, hrabia stawał się coraz bardzićj srogim.

Siedział pewnego dnia zamyślony w swoim gabinecie, gdy nagle we drzwiach zjawiła się mała figurka, bardzo komicznie wyglądająca.

— A, kochanku, jesteś? chodź-że tu, chodź.

— Ważne wiadomości!— mówił ten cudak podskakując i zacierając ręce.

— Doprawdy? Bardzo się tём cieszę.

— Już przepadli.

— Mów, co? jak?

— Idą w przepaść na złamanie karku.

— Tego sobie najbardziej życzyłem.

-- Otóż spełniło się życzenie: połączyli się ze wszystkimi nieprzyjaciołmi pana hrabiego.

— Tём lepiej.

— Przystępują do tajemnego stowarzyszenia, do którego i ja należę; cha! cha!

— Do tego sławnego towarzystwa?

— Właśnie do tego.

— Tam więc będziemy mogli złapać ich na gorącym uczynku.

— Tak, sami wleżą nam w ręce.

— Niechaj tylko ryba dobrze zahaczy się na wędce.

— A wtenczas?...

— Wtenczas nie ujdą żywcem.

— Tak?

— Przynajmniej taki mam zamiar.

— O! bo pan hrabia należysz do liczby tych, którzy dotrzymują sobie wszystko, co tylko zamierzą, łamiąc wszelkie przeszkody.

— A! jednakże nie mogłem przełamać kobiecej woli!

— Pani Margarity?

Hrabia rozśmiał się głośno.

— No, no. nie bądź złośliwym. Lituj się nad niemi, patrząc, jak sami dobrowolnie wleżą w paszczę wilkowi.

— Ale, bo rzeczywiście jestem ciekawy; okropnie ciekawy, na jaki to mur trafił pan hrabia, taki, że mógł się oprzeć jego woli.

— Mówiłem już, że kobieta.

— No!... to chyba świat się kończy.

— Dosyć, nie chcę, żebyś o tём mówił...

— A więc mówny o zemście.

— O tak, to najlepsze...

— Otóż, wybierają się na schadzkę tajemnego związku.

— Oh! zdepczę ich stopami! zduszę!

— Pójdę z pewnością jutrzejszej nocy.

— To dobrze. Możesz już odejść.

XXVI.

Już po północy, jedna tylko lampa oświeca podziemną izbę. Słabe światło małej lampki nie dosięga do podłogi i służy do zwiększenia ponurych ciemności tej pieczary.

Izba ta ma pozór więzienny. Ściany chropawe, nicotynkowane. Kamienie, z których się zrąb składa, zdają się jak gdyby bez żadnego cementu, poustawiane jedne na drugich, zsiadły się i spoiły z sobą jedynie skutkiem nieuniknionego działania czasu. Sklepienie bizantyńskie, ciężkie. Strach bierze, ażeby grube płyty, z których jest utworzone, nie zwały się na wilgotną kamienną posadzkę.

W szczupłej tej izbie nic nie słysząc, coby oznaczało, iż tam przebywa jakaś ludzka istota. Nędzna ta lampka jedyną skazówką, iż stopa człowieka musiała tędy przechodzić.

Kiedy niekiedy naokoło światła nietoperz przeleci, rzucając ponury cień od czarnych skrzydeł; to znów puszczyk złowrogi silnie skrzydłem zamachnie, dla zagaszenia natrętnego światełka.

Głucha cisza, ciemność, lekkie i chyże nocnych ptaków fruwanie, wilgotne zimno, jakie się tam czuć daje, wszystko to straszne, przejmujące twogą. W lochu tym wieczna musi noc panować. Podobniejszy on do nadzwyczaj wielkiego grobu, aniżeli do ludzkiej siedziby.

Lecz otóż słysząc jakieś stukanie: zdaje się, jakby uderzenia młotka. Otwiera się jeden kamień u stropu. Ukazuje się deska i zwolna spuszcza się od góry na dół. Na desce leży jakaś postać ludzka, w długi czarny płaszcz obwinęta, zakapturzona, z czarną maską na twarzy.

Deska opuściła się aż na podłogę, leżąca na niej postać podniosła się. Nizka wzrostem stoi, szczeka zębami z zimna, drży... nagle wydaje krzyk przerażenia. Ogromne szczury przebiegły jej po stopach, nietoperz dotknął jej czoła zimną błoną swoich skrzydeł; nie śmie postąpić kroku.

Przypatrzwszy się uważnie tej postaci, poznalibyśmy w niej kobietę. Jestto Margarita. Stoi tam biedna, nie śmie ruszyć się z miejsca. Ogień namiętności rozgrzewa ją i podtrzymuje, zewnętrzny chłód mrozi i przejmuje ją dreszczem.

Nagle zagasa jedyna lampa, jaka oświecała ten loch ciemny. Wzmaga się znowu przestrasch Margarity: nie mogąc utrzymać się na nogach, siada na zimnych płytach podłogi.

Téjże samej chwili u kamiennego sklepienia ukazują się wydatnie, na czarném tle ciemności fosforyczne głoski w napisie: „Śmierć, śmierć, śmierć tyranowi!” Głoski te jakby niewidzialną ręką jakiegoś ducha kreślone w powietrzu, zdumieniem przejmują Margaritę. Jednakże, chrypliwie odchrząknawszy, woła głosem pewnym, śmiałym, silnym: „Śmierć go nie minie!”

I znów straszne ciemności zaległy podziemie. Noc zdaje się jeszcze ciemniejsza, jeszcze straszniejsza. Nagle zatrząsa się podłoga. Margarita chce oprzeć się o ścianę, lecz nie może dostać ręką. Zimny pot oblewa jęj skronie. Lecz gdy ją siły opuszczają, przywodzi sobie na pamięć zemstę: wspomnienie to ożywia ją i wzmacnia.

Trzęsienie wzmagą się i raptem roztworzyła się ogromna otchłani. Wychodzi z tęg otchłani płomień czerwony, krwawego koloru i barwą tą obleka całą przestrzeń podziemnego lochu. Zrywają się do lotu nietoperze, puszczyki, sowy, spłoszone tym blaskiem, podobnym do ognia, jakim pędzel Michała Anioła wyobraził piekło.

Nagle zgasł ogień; poraz drugi, w strasznej tęg izbie zrobiło się zupełnie ciemno; lecz otchłani pozostała otwartą, a przyciemnione światło rozwidniało jęj czeluście, podobne do roździanionej paszczyki jakiegoś bajecznego potworu. Wtedy dała się słyszeć ogromna wrzawa grzechotek, dzwoneków, wystrzałów, a głos jakiś mówił: „Idź, idź, idź tęg na tyrana.”

Margarita szła ku otchłani, śmiałą stopę postawiła na jęj krawędzi i raptem znikła, jak gdyby ziemia ją pochłoneła.

Zbliżając się do otchłani, Margarita zamknęła oczy. Poznała, że zsuwa się z wysokości, lecz nadzwyczaj powoli i wreszcie uczuła pod stopami bardzo miękko wysłaną podłogę. Znalazła się w porządniej-szej komnacie. Dwie świece paliły się na stole. Kirem pokryte ściany, sufit, podłoga, stół, wszystko, nawet krzesło stojące przy stole czarno było obite. Zdała dochodziły urywane tony śpiewu Miserere.

Margarita zbliżyła się do stołu i ujrzała leżący papier, a na nim nakreślone te wyrazy: „Pisz o ofierze.” Młoda kobieta wzięła pióro i pisała:

„Człowiek powinien się poświęcić dla drugich. Bywają ofiary smutne, krwawe, lecz konieczne. Najpierwszém, co powinniśmy poświęcić na rzecz dobrej sprawy, to są nasze cnotliwe skłonności. Ta jest jedyna ofiara wielka, prawdziwa, zaszczytna. Ja tu przychodzę pokonawszy w sobie wszelkie wrodzone mi popędy. Przynoszę siebie w ofierze. Lecz przekonany jestem, iż powinienem to uczynić dla zgładzenia tyrana, który czarami opętał króla i uciemieża naród. Każcie mi poświęcić wszystko, co jest szlachetném i uczciwém w sercu, a poświęcę bez wahania. Dajcie mi sztylet. Wyostrzę go, cios przygotuję i ugodzę: ciosem niechybnym w sam środek serca...”

Tu się odezwał głos ponury i tajemniczy: „Dosyć, dosyć.” Margarita wstała.

Jedna ściana roztwarła się szeroko, jakby ogromna brama. Młoda kobieta nic nie widziała przez ten wielki otwór. Światło dwóch świec nie sięgało w te strasznie ciemne przestrzenie.

Pomimo niesłychanego wstrętu, Margarita zapuściła się w te ciemności. Ściana się za nią zamknęła. Została się w najgłębszej ciszy, nic nie widząc, nie mogąc zmiarkować, gdzie się znajduje. Słyszała szelest, jakby machanie jakichś olbrzymich skrzydeł. Wytrzeszczała

oczy, ale nie widziała nic a nic. W powietrzu czuć było powiew; drżała zimnem przejęta. Nie zastanawiała się nad tém, czy to były dreszcze z przestracchu, czy od chłodu atmosfery.

Wtém po podłodze zamigotało fosforyczne światło. Margarita zasłoniła twarz rękami. Zobaczyła na ziemi kupy kości, trupich głów, szkielety, groby nawpół otwarte, z których wychodziły olbrzymie widma, popioły, rozbite puhary krwią powalane, czaszki z długimi włosami, całuny w szmaty podarte, mnóstwo sztyletów. W powietrzu także przebiegały także same ognie w rozmaitych kierunkach, ognie różnokolorowe, a pod sufitem olbrzymie pająki, nietoperze, puszczyki, szkielety siedzące na kijach od mioteł, czarownice, straszydła bez liku.

Wszystko to razem sprawiało ogromne wrażenie rzeczywistości. Rzekłbyś, iż to jest przyrodzenie w dniu sądu ostatecznego, ogarnięte ogniem z nieba, wytrącone z posad, w rozbięciu, w rozkładzie, w proch rozsypujące się; przyrodzenie obrócone w olbrzymiego trupa, pochłonięte, trawione przez wszystkie siły śmierci, zagłady, smutnego i przerażającego rozkładu. jakie w łonie swoim nosi. I o ile miłym jest widok życia, o ile duch się orzeźwia, patrząc na zielone pola, na kwiaty, owoce, o tyle cierpi on i upada wobec rozkładu, zburzenia organicznego świata, wobec smutnego i przerażającego widoku śmierci.

Margarita stała bez ruchu. „Idź, idź—odezwał się jakiś głos—depcz po prochach, po kościach, po szczątkach ofiar!”

Młoda kobiéta szła, ludzkie czerepy trzeszczały jój pod stopami tak zupełnie, jak kości ptaków chrupią w zębach psa gończego. Okropnym był trzask ten dla ucha. A jednocześnie po powietrzu rozlegały się westchnienia głębokie, przeciągłe jęki na wszystkie strony. Z głębi grobów blady wydobywał się płomień, żółtawy, a z grobowców spadały kamienie z przerażającym łoskotem, który w uszach Margarity brzmiał smutném i trwożném echem strasznej wieczności.

Margarita trzęsła się, jak gdyby napad epileptyczny targał jój nerwami, szarpał członki i sercem miotał.

— Kto jesteś?—mówił głos.

— Jestem zarówno z wami jedną z ofiar niesprawiedliwości.

— Czy masz odwagę?

— Mam.

— Lękasz się śmierci?

— Nie, jeżeli śmierć ma spaść za słuszną sprawę.

— Przypatrz się jój, przypatrz dobrze.

Żółtawe światło rozlało się po wszystkich tych sinutnych, nagromadzonych tam szczątkach, nadając im straszna, trupią bladość.

— Widzę ją, widzę—rzekła Margarita.

— Wejdz tam.

Jeden z grobowców otworzył się.

Kobiéta weszła do grobu. Nie mogąc w nim stać, położyła się, a kamienna płyta zapadła się nad nią i Margarita znalazła się zam-

knęta w grobie, bez tchu, gdyż zdało się jój, że przyszła ostatnia chwila jój życia.

Leżącą w tej smutnej, a ciasnej kryjówce, oblegały tysiące strasznych myśli. Zdawało jój się, że już za życia doznawała wszystkich okropności śmierci. Tam, bez światła, prawie bez powietrza, rozciągnięta, jak ciało nieboszczyka, w samotności, nic o sobie nie wiedząc, nic nie słysząc, Margarita czuła trwogę bez porównania silniejszą, aniżeli wszelkie obawy i strachy, jakie przeżyła w owęj burzliwej nocy.

Długi czas leżała w tym wielkim grobie, aż nareszcie uczuła, iż spód jego zaczął bardzo pomalutku opuszczać się na dół. Otworzyła oczy i ujrzała się w długim korytarzu, gdzie się w bezprzestannym ruchu, niby zęby koła młyńskiego, migwały ostrza mnóstwa mieczów.

„Naprzód!”—odezwał się głos, jakby z pod ziemi, a Margarita z heroiczném mężstwem wśród tych szpad postępowała, kierując się za błędem światelkiem, co słabo migotało na samym końcu wilgotnego korytarza.

Doszła nareszcie do gotyckiej bramy, a przez nią weszła do ogromnej sali, obitej czarno na wszystkie strony. Ławy trzema rzędami wznosiły się od dołu jedne nad drugimi. Siedziały na nich dziwne jakieś postacie, całkiem w bieli ubrane, istne upiory. Miały one na sobie białe tuniki, a na głowach ogromne czapki śpiczaste, które niesłychanie wzrost ich podwyższały.

W głębi sali, przy stole pokrytym czarném suknem, stały wielkie krzesła z bardzo wysokimi z tyłu poręczami, zakończonemi na szczycie puchaczami olbrzymich rozmiarów. Na krzesłach tych zasiadało trzech mężczyzn zamaskowanych, w szatach krwawego koloru.

W chwili, gdy Margarita wchodziła, ten, który się zdawał być głową tego tajemniczego wiecu szatanów, przytulał do łona postać, tak samo, jak ona, czarno ubraną. Poznała w niej Edwarda.

Skoro tylko weszła, ów spiskowy, w którym domyśliła się Edwarda, usunął się w jeden kąt sali, a przewodniczący wyrzekł:

— Młodzieńcze, przybliź się.

Margarita przystąpiła bliżej do stołu.

— Przyłóż dłoń do czarnej bryły, która leży przy twoich nogach.

Margarita pochyliła się, aby lepiej dojrzyć wskazany sobie przedmiot i poznała, że to był trup. Niepokonane uczucie zgrozy i wstępu paralizowało ją: lecz wola silniejsza w niej od wszelkich wrodzonych instynktów i słabości, wnet wzięła górę. Młoda kobieta przyklękła i położyła rękę na piersiach trupa.

— Czy widzisz dobrze tego człowieka?

— Widzę.

— Był to zdrajca.

— On!...

— Czy możesz przysiąc, iż pragniesz stać się tém, czém on jest, gdybyś kiedykolwiek nie dotrzymał twoich przysięg?

— Przysięgam!

— Powstań.

Margarita podniosła się, odrzucając w tył głowę z dumą i wdziękiem.

— W jakim celu tu przybyłeś?

— Aby ścigać tyrana.

— Kto jest tym tyranem?

— Hrabia Artur.

— Co sądzisz, iż powinno się z nim uczynić?

Margarita spostrzegła na stole błyszczące ostrze sztyletu; wzięła go w rękę i uczyniła nim ruch w powietrzu, naśladujący zadawanie rązów. Szmer pochwalny przebiegł po całym tém nieruchomém zgromadzeniu.

— Ogdadłeś myśl wszystkich—rzekł przewodniczący.—Nieprawdaż szlachetni współuczestnicy sprzysiężenia? Czyż nie tak?

Natychmiast mnóstwo głosów, jedno słumionym, a drugie podniesionym tonem, jedno spokojne, a drugie zmieszane, jedno silne, a drugie słabe, zaczęły mówić po kolei: „Tak, tak, tak...” a groźne te przytakiwania odbijały się echem złorzeczeń o sklepienie sali.

— Kiedy tak—mówił dalej przewodniczący—wszelkie odraczenie wykonania powziętego zamysłu jest czasem straconym; czasem, za który złożyć potrzeba będzie najściślejszy rachunek przed surowym sądem Przedwiecznego.

— Niezwłocznie, niezwłocznie, natychmiast—powtarzały głosy jeden za drugim.

— A więc przedstawcie środki!—zawołał przewodniczący.—Niechaj nam powie ostatni, który został przyjęty do grona sprzysiężonych, jak należy postąpić?

— Ja wnoszę—odrzekła Margarita tonem pewnym i spokojnym—wnoszę, abyśmy wszystkie nasze imiona wrzucili w jedną urnę. Oprócz tego ma być wrzuconą pospołu z imionami kartka z napisem: „Mściciel” i ten, po którego imieniu bezpośrednio ta kartka zostanie wyciągniętą, ten będzie obowiązany utkwic ten ostry sztylet w nieczemnej piersi tyrana.

Tenże sam, co wprzód, pochwalny chór głosów odpowiedział na te słowa.

Natychmiast dwóch ze spiskowych przynieśli urnę i wszyscy po kolei wrzucali w nią swoje imiona. Następnie przewodniczący zawezwał Margaritę, aby się przybliżyła.

Przy grobowém smolnych pochodni świetle zaczęło się odbywać ciągnięcie téj smutnej loteryi, losowanie zbrodni. Margarita musiała najprzód składać niezliczoną moc najstraszliwszych przysięg i zaklęć, a potem przystąpiła do ciągnięcia kartek.

Pomiędzy jedném imieniem a drugim, głęboka panowała cisza. Każdy spodziewał się, że smutny los na niego padnie, a raczej każdy się tego lękał.

Wreszcie wyszło imię Edwarda. Tym razem Margarita jakby z jakimś rodzajem szału sięgnęła ręką do urny, a potem przewodniczący uroczystym głosem wyrzekł powoli: „mściciel, mściciel, mściciel.” Skończyło się.

Głuchy szmer zadowolenia jednych, obawy drugich, przebiegł wśród zgromadzenia. Edward wyszedł na środek sali, krokiem wolnym lecz pewnym, objawiającym chłodny jego spokój.

Przewodniczący pobłogosławił sztylet i wręczył go Edwardowi z temi słowy:

— Zanim upłynie dni czterdzieści, miecz ten musi być utkwionym w sercu faworyta. Czy przysięgniesz na to?

— Przysięgam!

— Dobrze: a gdybyś tego nie uczynił, patrzaj co wisi nad twoją głową.

Tu, przewodniczący dał znak, a wszyscy sprzysiężeni błysnęli przy świetle pochodni tysiącem obnażonych mieczów.

— Widzisz, widzisz te ostrza?

— Widzę.

— Wiedz tedy, iż wszystkie ugodzą w twoje serce, gdybyś tego nie dopełnił.

— Dopełnię: ręka moja ugodzi hrabiego śmiertelnym ciosem.

Wtedy z pośrodku skupionej ciżby upiorów, wysunął się jeden, wystąpił na środek sali, przystanął chwilę z powszechném zdumieniem, zrzucił z siebie białą szatę i ukazując pańską postawę, rzekł:

— Wymierz więc cios w pierś moją: jam jest ten hrabia!

W samą rzecz był to hrabia Artur. Twarz miał bladą, jakby ją wstręt i obrzydzenie bladością powlekły. Wzrok iskrzył się dzikim blaskiem. Dolna warga pogardliwie ściągnięta drgała, nie mogąc ukryć wściekłości targającej jego nerwy. Pierś wyniosła silnie dyszała, jakby wskazując poruszeniami cel, w który zbrojna dłoń Edwarda miała wymierzyć uderzenie wyostrzonej stali. Stał z rękami nadół opuszczonemi, w postawie oczekującego na cios dłoń przygotowany.

Na widok téj postaci, spiskowi porwali się ze swoich miejsc, i w lot rozbiegli się z dzikim wrzaskiem, podobnym do wycia ściganego zwierza, a przewodniczący zapadł się w ziemię jak aktorzy w teatrze i stało się pusto, zupełnie pusto. Przy świetle pochodni widać było tylko hrabiego Artura, co stał obojętny i dumny, z najwyższą pogardą spoglądający na parę swoich morderców: na Edwarda i Margaritę.

Margarita jak nieprzytomna zaczęła biegać po sali, zapewne szukając jakiego wyjścia, chcąc się dowiedzieć którędy puciekali jój wspólnicy: pukała w ściany, tupała silnie w posadzkę, w ławy, wszędzie próbując czy nie można uciec; tak jak ptak zamknięty w klatce dziobie drucziane pręty i skrzydłami trzepocze, aby odzyskać wolność utraconą, tę drogą wolność, niezbędną warunek bytu.

Lecz wszystko było napróżno. Ani w ścianach, ani w podłodze żadne nie odkryło się wyjście. Instykt zachowawczy, ten instykt tak nieskończenie wyższy nad wszelkie wzruszenia, nad wszelkie popełdy, nad wszelkie wrażenia naszego życia, instykt zachowawczy odzywał się głosem potężnym i nad wszystkie inne górującym w zbolałym i wzburzonym jestestwie Margarity. Ale tam nie było ratunku, nie było środka do ucieczki. Wszystko wszędzie pozamykane, wszędzie głucha cisza. Nic słycać nie było, zgoła nic; ani nawet szelestu ludzkiego stąpania. Dawał się tylko słycać ciężki oddech hrabiego Artura, podobny do dyszenia dzikiego zwierzca obsaczonego przez ścigających go myśliwców. W tak więc krytycznym położeniu uczuła się zgnębioną przez jeszcze wyższą siłę, przez tę trwożę, tę obawę śmierci, która nad ludzkim sercem tyle ma mocy.

Którędy wymknęli się tamci? Co się stało ze spiskowymi, którzy tu, w tej sali, zgromadzeni byli na obradach? Gdzie się ci ludzie podzieli? Nie można było odgadnąć. Wszędzie ciemno, wszędzie głucho... Obraz śmierci stawał się przed suche zgorączkowane oczy Margarity, cisnął się do jej serca przepełnionego całym piekłem wrażeń; obraz śmierci wystąpił na blade jej czoło...

Edward całkiem przeciwnie: pozostał nieruchomy. Nie wiedział jak sobie wytłómaczyć to nagłe zjawisko, to ukazanie się widma. Ramię jego nie posiadało dosyć męztwa aby uderzyć na przeciwnika, ani duch dosyć hartu, by się odważyć na zbrodnię. Dawał się powodować chęciom Margarity i niewolniczo jej ulegał. Dusza Edwarda była jedną z tych, którym brak woli, tej woli co stanowi prawdziwą siłę i potęgę duszy. Dając się więc unieść prądom jej zachceń, wpadał w to pogębienie, w tę negacyę samego siebie, w tę chorobliwą niemoc, które były istotną podstawą moralnej jego natury.

Skoro już Margarita przekonała się iż wszystko stracone, wtedy w postawie rozjuszonej lwicy przystąpiła do Edwarda i z dzikiem wejzeniem mówiła doń:

— Jeszcze go nie zabiłeś?

— Nie, pani, jeszcze nie—odrzekł na to hrabia.

— A! zdradzili nas!—zawołała Margarita niosąc rękę do czoła, jak gdyby jej to wszystko snem być się zdawało.

— Wasza mściwość zgubiła was.

— Edwardzie!—krzyknęła Margarita chwytając męża za ramię —Edwardzie, uderz w niego!

— Lepiejbyś pani zrobiła—dodał hrabia—żebyś pomyślała nad tem, co ją ma spotkać w bardzo niedługim czasie.

— Co mię ma spotkać? co? mów pan!

— Posłuchajże mię pani—zawołał hrabia, silnie ujmując jej rękę.—Na co zasługują mordercy? Jaka według praw boskich i ludzkich powinna spaść kara na tych, którzy z zinną krwią obmyślają ohydny zbrodnię?

— Kara śmierci—odrzekł Edward budząc się jakby z letargu—żadna inna, tylko śmierć.

— To są pańskie własne słowa!—zawołał hrabia.

— A więc jeżeli tacy na śmierć zasługują—zawołała Margarita odrywając siłą rękę hrabiego od swojej—jeżeli śmierć im się słusznie należy, czemuż, Edwardzie, nie zabijesz coprędzej tego mordercy?

— A, pani!—odrzekł hrabia—ja jeszcze nie doszedłem do tego ażeby stłumić w sobie głos sumienia; jeszcze na szczęście, pomimo wszelakiego złego jakie mogłem popełnić, w najważniejszych godzinach mego życia, odzywa się ono i przemawia głośno w głębi mojej duszy. Mogę panią upewnić, iż żadne morderstwo, ani jedno, nie cięży mi na sumieniu. Na czoło moje ani jedna kropla krwi nie spadła. A mogłażbyś pani powiedzieć to o sobie?

— Ja to wiem, iż na świecie istnieją ludzie stworzeni do zbrodni, a którzy mają się za uczciwych, ponieważ nikogo nie okradli, nie popełnili żadnego zabójstwa—odezwała się Margarita uroczystym tonem—lecz wydrżać komuś godziwy cel jego pożądań, odebrać mu część jego życia, zdeptać serce nieszczęśliwego, stanąć mu kamieniem na drodze, jesto zbrodnią, tak, zbrodnią ohydną, stokroć nikczemniejszą od morderstwa; a taką zbrodnię, ty sam, panie hrabio, ty wszechpotężny, popełniłeś względem mnie. Tak, patrz na mnie, ja ci powiem to, co przed tobą zamilcza sumienie: jam twoją ofiarą!

— Moją ofiarą! To pani usiłowałaś rzucić się na ofiarnika. Czatowałaś u stóp ołtarza na sposobną chwilę, aby go ugryźć swoim żądłem żmii.

— Panie hrabio, to moja żona!—odezwał się Edward podnosząc głos gniewny.

— Nie moja wina, żeś pan żmiję wybrał sobie za małżonkę.

— Co pan mówisz?—zakrzyknął Edward coraz bardziej rozjątrzony.

— I cóżbym ja mógł ci powiedzieć, nieszczęsny, czegoby ci nie powiedziało miejsce gdzie się znajdujesz, zbójceki sztylet w twoim ręku i wznoszące się już na neapolitańskim rynku rusztowanie, na które potoczy się twoja głowa?—mówił hrabia z miną surową i groźną.

— Ach, Edwardzie, Edwardzie!—wołała Margarita rzucając się w objęcia męża.

— Rusztowanie, mówisz pan?—krzyknął Edward.

— Nie ja mówię: wasze sumienie wam to powiada.

Tu hrabia poszedł o kilka kroków do stołu gdzie się paliły świece.

— Słyszysz go Edwardzie, słyszysz?—cicho szeptała Margarita —jesteśmy zgubieni, ze szczętem zgubieni. O my nieszczęśliwi! Zabij go Edwardzie, zabij! tym sposobem ocalimy się, a przynajmniej się pomścimy! Tak, Edwardzie, pomścimy się. Pójdź, pójdź ze mną, utkwimy mu sztylet w piersi... Patrz, wyda rozkaz aby nas zamordowali.

— Nie, tego nie robi—mówił Edward.

— O! ty go nie znasz!... nie znasz go. Na Boga! Edwardzie, na Boga, zabij go, ratuj swoje życie!

— Co mi po życiu?

— Patrzaj, znów pisze wyrok śmierci; uprzedź go, zabij!

— Mówiłem ci już że mi życie całkiem obojętne.

— I obojętne ci życie twojej żony? i jej ratować nie chcesz?

Na te słowa Edward, jak zawsze ulegający wpływowi Margarity, a jeszcze jej gwałtowną rozpaczą podżegnięty, przysunął się ku hrabiemu kryjąc sztylet w dłoni, a stanąwszy tuż przy nim z wściekłością broń podniósł, by nią w jego pierś ugodzić. W tym samym momencie hrabia dotknął ręką jakiegoś przedmiotu mającego kształt dzwonu chińskiego, znajdującego się na stole i natychmiast rozległ się dźwięk rozgłośny. Jeszcze dźwięk ten nie przebrzmiał, kiedy Margarity przeraźliwie krzyknęła, a Edward pchnął sztyletem w pierś hrabiego, który go silnie pochwycił za ramię, pomimo że zbladł okropnie, zapewne w skutek otrzymanego razu.

I w téjże saméj prawie chwili roztworzyły się szeroko podwoje w głębi i ukazała się straż, a dalej wielu urzędników cywilnych i żołnierzy, wszyscy w porządku uszykowani. Kilka pochodni oświecało tę scenę, z niejednego względu tragiczną i straszną.

Hrabia jedną ręką zatrzymywał krew płynącą z rany, a drugą drżąc, wskazywał na dwie czarno zakapturzone postacie, stojące w głębi sali.

— Patrzcie, patrzcie—mówił—oto są moi zabójcy... to oni...

— Zabity!—zakrzyknęło wiele głosów—hrabia zabity.

— Nie, nie—odrzekł hrabia—nie zabity, ale raniony.

Jeden z licznój gromady, stojącój we drzwiach, przedarł się przez tłum i pośpiesznie biegł do krzesła, na które hrabia upadł nawpół omdlały. Był to zapewne lekarz. Wyjął z kieszeni bandaż i natychmiast zabrał się do opatrzenia rany.

A tymczasem jeden z sądowych urzędników, jak to można było wnosić z ubioru, uroczystym głosem wymieniwszy nazwiska Edwarda i Margarity zawołał:

— W imieniu króla, czy słyszycie? w imieniu króla jesteście więźniami.

Margarita jęknęła przenikliwie i oburącz uchwyciła się Edwarda. Edward opuszczył głowę na piersi.

— Więźniami—mówiła Margarity rozpaczliwie załamując ręce—my, więźniami!

— Poddaj się zrządzonemu losu, Margarito! Takie nasze przeznaczenie. Bóg tak chciał.

— Wolność, moja wolność utracona!

Edward pochylił się do jej ucha i szepnął:

— Zaskrzyliśmy na to.

— Edwardzie—mówiła—to ty twojemi przepowiedniami, twoją chwiejnością, twojém wahaniem ściągnąłeś na nas wszystkie te nieszczęścia...

Taki nawał wrażeń przez jakie przeszła, do tego stopnia ją znękał, iż usiadła mówiąc:

— Juź dłużej nie wytrzymam.

— A toż to dopiero początek—zawołał Edward.

— Więzienie!

— Powiedz raczej rusztowanie.

— Boże! rusztowanie!... o! nie, nie, to być nie może... tak nie będzie!...

— Cicho bądź, Margarito: umilknij.

Wtém młoda kobieta zerwała z twarzy maskę, odrzuciła czarny kaptur i ukazała piękne swe oblicze i jasne włosy, które w nieładzie rozsypały się na ramionach.

— Panowie, panowie!—mówiła zwracając się do sędziów, do straży—panowie, puście mię, pozwólcie mi wyjść. Przez litość! ja potrzebuję światła, potrzebuję powietrza, duszę się. Nie dręczcie biednej kobiety, nie odbierajcie mi wolności! ach, wolność! bez niej żyć nie można! Ulitujcie się nad mojami łzami, zmiłujcie się nad mojem udęczoném i zbolałym sercem. Pozwólcie mi wyjść ztąd!

Tamci wszyscy pozostali niewzruszonymi. Słychać było tylko skrzyp pióra na papierze pod ręką jednego z urzędników i pytania zadawane przez lekarza hrabiemu, który zaczynał przychodzić do siebie.

— Na Boga! panowie!—wołała znów Margarita. Cóż kobieta może komu zaszkodzić? ja nigdy nikomu nic złego nie zrobiłam. Błagam was, zaklinam! Ratunku, ratunku! wyprowadźcie mię ztąd, wypuście! Czyż szlachetny mężczyzna może odmówić kobiecęj prośbie?

A ja was proszę, błagam!

I padła na kolana.

Wtenczas Edward ruszył się z miejsca, łagodnie wziął Margaritę pod ramię i trzymał ją przy sobie, pomimo jej usiłowań aby się wyrwać i próbować jeszcze ujęcia sobie sędziów i więziennęj straży.

Przez czas gdy się to działo, hrabia odzyskał nieco sił, dzięki troskliwym staraniom lekarza i na jego ramieniu wsparty, opuszczał salę, mówiąc do młodej pary:

— Widzicie moją krew? Tak samo wasza popłynie na rusztowaniu.

Świece pogasty, zniknęli ci wszyscy co stali w progu, drzwi się zamknęły, a w téjże samej chwili Margarita krzyknęła i padła zemdlna na posadzkę.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

STACYA METEOROLOGICZNA

PRZY INSTYTUCIE ROLNICZO-LEŚNYM W NOWEJ ALEKSANDRYI (PUŁAWACH).

PRZEZ

Antoniego Orłowskiego.

Osada Puławy, nazwana Nową Aleksandryą, należy do gubernii lubelskiej, powiatu nowo-aleksandryjskiego; od strony południowo-zachodniej otoczona jest łąką i prawym brzegiem Wisły, oddzielającym ją od gubernii radomskiej; od strony zaś północno-wschodniej iglasto-liściastym lasem i linią kolei nadwiślańskiej. Odległą ona jest od Warszawy drogą żelazną godzin cztery i pół, od Lublina godzin dwie, od Radomia przeprawą przez Wisłę i ośm mil drogi pocztowej. Leży pod 51°25' szerokości północnej, a długości wschodniej od Greenwich 21°57' równających się: 1 g. 27 m 48 s.

W osadzie tej, mianowicie w gmachu przerobionym z pałacu, nigdyś rezydencyonalnego, na Instytut naukowy panien, nazwany Maryjskim, w roku 1862 pomieszczono Instytut politechniczny i Rolniczo-Leśny, który w roku 1869, zreorganizowano na Instytut czysto Rolniczo-Leśny. Otóż, w r. 1870 rada tegoż Instytutu, mając na względzie brak stacyi meteorologicznych w kraju, a głównie brak ścisłych i dokładnych na miejscu spostrzeżeń, niezbędnych przy rozmaitych pracach naukowych, udała się do władzy z projektem założenia takowej, na co otrzymawszy zezwolenie, projekt swój w miesiącu sierpniu 1871 roku urzeczywistniła. Przeszło półroczna zwłoka w otwarciu spostrzegalni, tłómaczy się: jużto budowaniem odpowiedniego pomieszczenia, jużto podjętymi staraniami o bezpłatne zaopatrzenie jój w dokładne przyrządy fizyczne z głównego obserwatoryum: czego Akademia nauk petersburska, do której w tym celu udawano się z prośbą, odmówiła. Instytut przeto ostatecznością dopiero zmuszony, z własnych funduszów one zakupił.

Sprowadzone przyrządy pomieszczono w osobnym drewnianym budynku, z umysłu na ten cel wystawionym w dziedzińcu instytutowym. Budynek ten, raczej spostrzegalnia, otoczona jest od strony południowo-zachodniej dwupiętrowym gmachem, od strony południowo-wschodniej i północno-zachodniej jednopiętrowymi skrzydłami tegoż gmachu, od strony zaś północno-wschodniej aleją lipową. Najbliższa jednak jej odległość od zabudowań wynosi metrów 26, a od małej sadzawki (442 metrów □ powierzchni), znajdującej się w środku dziedzińca, metrów 15.

Spostrzegalnię tę, postawiono według planu miejscowego budowniczego, profesora Martin i chociaż, jak utrzymują niektórzy turyści, niedość może gustowna, celowi swemu dostatecznie odpowiada ¹⁾. Ma ona formę ośmioboczną; szerokość każdej ściany równa się 1,22 metrów, a wysokość do dachu 7,32 metrów. Z pomiędzy tych ścian

1) Według naszego zdania, turyści mają słuszość. Spostrzegalnia puławska może być budyneczkiem nie bez pewnego smaku, ale bynajmniej nie odpowiada charakterowi użytku, do którego jest powołana: jestto sobie coś nakształt kiosku, budki do wody sodowej, albo... lecz nie zachodźmy dalej w porównaniach. Co większa, niepodobna pomyśleć gorszej dysharmonii, jak jej powierzchowność z resztą budowli, mieszczących się na wspaniałym dziedzińcu pałacu puławskiego. Pałac ten, o pięknym, dwupiętrowym froncie, z pawilonami także dwupiętrowymi, tworzy rozległość mniej więcej dziedzińca pałacu Kazimierowskiego w Warszawie, wpośrodku której zwierciedleje staw, otoczony klombem zagajonym różami wysokopiennymi, akacyami wyciągniętymi dookoła, a strzeżonemi po rogach przez cztery stare lipy. Otóż, przy tej potężnej budowie kamiennej, budka drewniana, karłowata i wątła, rzucona na środku klombu, nie przypięta do całości ani stylem, ani proporcją, wygląda tak obco, tak niesmacznie, iż dość ją w tém towarzystwie zobaczyć, ażeby się nasunęło na myśl przysłowie: „Przypiął różę do kozucha,” choć tu w znaczeniu architektonicznym trzeba by przysłowie to wziąć odwrotnie. Nadto, wysunięta nieco brami wjazdowej, stoi właśnie jakby umyślnie tak, ażeby idącemu od drogi zasłaniała część widoku na front pałacu, a tém samym psuła perspektywiczny efekt całości. Czy nikt w Instytucie nie miał poczucia tej niestosowności? czy też Instytut na swych obszernych terytoryach nie mógł znaleźć miejsca odpowiedniejszego na spostrzegalnię meteorologiczną? Pytanie, na które nikt sobie odpowiedzieć nie umie.

Pytanie to ściągnąwszy się także dało do tego, czy, zamierzają odnowić zaniebane i do upadku prawie doprowadzone przez poprzednią instytucją prześliczne Marynki (w uratowaniu których rzeczywiście zasługę położył Instytut obecny), należało w sąsiedztwie tej wytwornej willi, tuż zaraz za jej parkanem mурowanym, zakładać zabudowania folwarczne, stodoły, śpichrze i t. p., których rozlokowanie tam, ze względu na Marynki, jest prostém urągowskiem estetycznym? i czy miejsce na stodoły nie byłoby właściwszem tuż przy polu doświadczalnym, na gruntach końsko-wolskich?

cztery są ślepe i zwrócone ku głównym stronom świata. W wyróżnionym otworze ściany północnej obsadzona jest szafka cynkowa żaluzjowa, mieszcząca w sobie: psychrometr August'a, t. j.: termometr mokry i suchy; hygrometr Saussure'a i metaliczny termometr à maximum i minimum. Szafka z temi przyrządami otwiera się z wnętrza splotrzegalni, z zewnętrznej zaś strony pokryta drewnianą osłoną.

Na ścianie zachodniej wiszą dwa barometry: jeden Hermann'a, będący jakby połączeniem systemu Gay-Lussac'a z Fortinowskim; ma poprawkę + 0, 4 m. i służy głównie do czynienia splotrzeżeń, drugi syfonowy w metalowej oprawie, jako zapasowy.

Z pozostałych czterech ścian ośmioboku, trzy opatrzone w okna drewniane żaluzjowe, jak to: zachodnio-północna, północno-wschodnia i wschodnio-południowa: południowo zaś zachodnia w okno oszkłone, które, oprócz zasilania światłem wnętrza splotrzegalni, służy zarazem do pomieszczenia zwyczajnego sprężynowego zegara, regulującego się każdodziennie o godzinie pierwszej z południa i do wywieszania trzy razy dziennie stopni temperatury, według termometru Celsyusa, jak również ciśnienia powietrza atmosferycznego, wyrażonego w milimetrach.

Oprócz wyżej wymienionych przyrządów fizycznych, znajdują się jeszcze przy splotrzegalni: zegar południkowy, pozwalający odczytywać godziny z minutami; dwa metalowe udometry, czyli deszczomierze; dwa cylindry miarowe do mierzenia ilości opadów, aneroid i atmometr i ewaparametr, jedyny przyrząd, nadesłany bezpłatnie z głównego obserwatoryum, do oznaczania ilości parującej wody. Nadto, na splotrzegalni wznosi się anemometr ośmiopiętrowy, z tabliczką ruchomą, wskazujący, oprócz kierunku, siłę wiatru, dającą się obliczyć w metrach na sekundę. Wiatroskaz ten, na nieruchomej swjej podstawie ma przymocowane poziome pręty, wskazujące cztery strony świata; z tych północny, oznaczony literą „N” (nord). Nakoniec, w odległości pięciu metrów, po obu stronach drzwi wchodowych splotrzegalni, ustawione są dwa słupy: jeden kamienny po stronie południowo-wschodniej, z oznaczoną linią południkową dla zegara południkowego, drugi w stronie północno-zachodniej, będący drewnianą szafką, mieści w sobie deszczomierz.

Oto i całe urządzenie, jak również wszystkie przyrządy fizyczne, jakimi posługuje się stacya meteorologiczna, założona przy Instytucie Rolniczo-Leśnym w Puławach. Dodać tu tylko można, że przyrządy sprowadzone były z głównego obserwatoryum fizycznego w Petersburgu, że są dokładne, a tylko ceny ich za bardzo wysokie.

Aby dać gruntowne pojęcie, co założenie splotrzegalni kosztowało przy wygórowanej cenie dokładnych przyrządów, wraz z pobudowaniem stosownego pomieszczenia, podajemy szczegółowo ceny przyrządów i inne wydatki, jakie w tym celu poniósł Instytut i tak:

Drewniany budynek nowo postawiony	rs. 175 kop. 28
Barometr Hermann'a	" 60 " 65
Barometr syfonowy w metalowej oprawie	" 82 " —
Szafka cynkowa z psychrometrem, hygrometrem i termometrem à maximum i minimum.	" 78 " —
Anemometr, czyli wiatroskaz	" 24 " —
Dwa deszczomierze z dwoma cylindrami	" 40 " —
Zegar południkowy	" 30 " —
Aneroid	" 23 " —
Zegar sprężynowy zwyczajny	" 7 " —
Ceratowe napisy: „termometr, barometr” i liczby	" 4 " 50
Szafka drewniana na deszczomierz	" 7 " 50
Słup kamienny pod zegar słoneczny	" 7 " —
<hr/> Razem rs. 538 kop. 93	

Jeżeli do téj sumy dodamy rs. 25, jako przybliżoną cenę ewaporometru, nadesłanego bezpłatnie z głównego obserwatorium, to całkowita wartość spostrzegalni wynosić będzie rs. 563 kop. 93.

Od chwili otwarcia stacyi meteorologicznej, spostrzeżenia czynione są przez nas, ściśle stosując się do instrukcyi wydanej przez d-ra Wilde, dyrektora głównego obserwatorium fizycznego w Petersburgu. W czasie dokonywania spostrzeżeń trzy razy dziennie: o 7 rano, 1 z południa i 9 wieczorem, notuje się: temperaturę, ciśnienie powietrza, psychrometr, hygrometr, kierunek i siłę wiatru, zachmurzenie, kierunek obłoków i ilość parującej wody; nadto: rosę, przymrozek, sadz, gołoleź, mgłę, deszcz, śnieg, grad, krupy, koła i wieńce około słońca, koła i wieńce otaczające księżyc, błyskawice bez grzmotów, pioruny, burze, tęcze, silny wiatr, zorzę północną, suchą mgłę, zamieć śnieżną, słupy przy słońcu i t. d. Oprócz tego, o godzinie 7 rano odmierza się ilość zebranych opadów, a wieczorem o 9 oznacza się najwyższą i najniższą w ciągu doby temperaturę.

Spostrzeżenia zapisują się w odpowiednią książeczkę, a z końcem każdego miesiąca z tak zebranych danych, układa się tablicę, w której: wysokości barometryczne sprowadzają się do temperatury 0; z danych psychrometrycznych wylicza się absolutną i stosunkową wilgoć; resztę spostrzeżeń wpisuje bez zmiany, oblicza sumy i średnie z trzech spostrzeżeń dziennych, nakoniec, sumy i średnie z całego miesiąca.

Taka tablica wraz z książeczką, odsyła się co miesiąc do głównego obserwatorium w Petersburgu, gdzie dane z całego roku zebrane w ilości sztuk 12, drukowane są w rocznikach tegoż obserwatorium. Kopie tych tablic, pozostają w aktach instytucyjnych i służą między innymi do zestawiania średnich miesięcznych i rocznych, jakie pomieszczone są w Wiadomościach Nowo-Aleksandryjskiego instytutu rolniczo-leśnego. (Wiadomości wydawane kosztem Instytutu, wychodzą od r. 1876).

W przedostatnim tomie tych Wiadomości, to jest z r. 1878, drukowanym w roku zeszłym, oprócz tablicy o której mowa, pomieściliśmy siedm innych. Tablice te obejmują wypadki otrzymane z obliczeń sześćoletnich spostrzeżeń, podają ważniejsze normalne i średnie cyfry: stanu barometrycznego, temperatury, wilgoci, opadów, zachmurzeń, dni jasnych, w połowie pochmurnych i pochmurnych. Oprócz tego, zestawienie ważniejszych normalnych wypadków dla każdej pory roku i dla całego roku; porównanie niektórych normalnych danych z normalnemi Warszawy i nakoniec, zamarzanie i puszczenie Wisły.

Ponieważ, o ile sądzić można, pomiędzy czytelnikami znajdzie się wielu takich, którzy tego rodzaju badaniami niewątpliwie interesować się będą, załączamy tu dla ich dogodności, zestawienie ważniejszych przynajmniej danych miejscowych i porównanie tychże, z normalnemi Warszawskiego obserwatorium.

Zestawienie ważniejszych normalnych danych, otrzymanych z sześćoletnich spostrzeżeń czynionych na stacyi meteorologicznej przy Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej-Aleksandryi (Puławach).

Wyszczególnienie		Zimy	Wiosny	Lata	Jesieni	Rocznie
1	Ciśnienie powietrza atm...	748,71	746,45	747,18	747,79	747,31
2	Maximum ciśnienia.....	761,45	755,27	754,32	759,04	757,52
3	Minimum ciśnienia.....	731,44	733,23	738,76	734,20	734,39
4	Temperatura.....	— 2,69	+ 7,55	+19,63	+ 7,79	+ 7,95
5	Maximum temperatury....	— 0,00	+11,91	+24,12	+11,80	+11,95
6	Minimum temperatury....	— 5,32	+ 3,70	+15,46	+ 3,95	+ 4,45
7	Maxim. najw. temperat....	+ 5,99	+21,28	+30,44	+18,91	+19,05
8	Minim. najn. temperatury.	—15,22	— 2,35	+11,32	— 1,36	— 1,91
9	Absolutna wilgoć ¹⁾	3,74	6,06	11,65	7,09	7,13
10	Stosunkowa wilgoć ²⁾	86,03	74,75	69,45	81,46	77,88
11	Jasných dni.....	9,3	11,7	20,7	15,5	57,2
12	Wpółowie pochmurnych..	36,7	51,8	52,6	40,8	182,0
13	Pochmurnych dni.....	44,1	28,5	18,5	34,7	125,8
14	Stopień zachmurzenia..	7,3	6,2	5,1	6,2	6,3
15	Liczba dni z opadami....	51,7	50,7	41,7	39,0	183,0
16	Suma opadów wyr. w mili.	139,0	170,7	173,7	138,2	613,5
17	Śniegu i krupy.....					64,1
18	Gradu.....					2,3
19	Burz.....					12,8

Przeważająca ilość i siła wiatrów: południowo-zachodnich.

¹⁾ Absolutną wilgoć, to jest prężność pary wodnej znajdującej się w powietrzu, wyrażono w milimetrach. *Przyp. aut.*

²⁾ Stosunkową wilgoć, to jest stosunek prężności pary wodnej znajdującej się w powietrzu, do tej prężności, przy której powietrze byłoby nasycone przez parę, wyrażono w procentach. *Przyp. aut.*

Porównanie niektórych klimatycznych danych Warszawy, z takimiż danymi Nowej-Aleksandryi (Puław).

Wyszczególnienie	Nowo-Aleksand.-Puławy normalne z 6 lat	Warszawa normalne z 52 lat
Ciśnienie powietrza atmosferycznego	747,41	750
Temperatura zimy.....	— 2,69	— 3,42
„ wiosny.....	+ 7,55	+ 7,14
„ lata.....	+19,63	+18,19
„ jesieni.....	+ 7,79	+ 7,69
„ roczna.....	+ 7,95	+ 7,35
Jasných dni.....	57,2	57,6
W połowie pochmurnych dni.....	182,0	128,2
Pochmurnych dni.....	125,8	179,2
Wilgoci stosunkowej.....	77,88	79,7
Suma opadów w milimetrach.....	613,5	597,3
—————		
Szerokość północna.....	51° 25'	52° 13'
Długość wschodnia od Greenwich.....	21° 57'	21° 1'
Wysokość barometru nad powierzchnią morza...	146,7 metrów	103,5 metrów

Kończąc na tém krótki opis stacyi meteorologicznej przy Instytucie rolniczo-leśnym w Puławach, która po warszawskiej jest tego rodzaju drugim i ostatnim w kraju naszym zakładem rządowym ¹⁾, zwracamy jeszcze raz uwagę na konieczność założenia u nas pewnej liczby dobrze zorganizowanych stacyi, niezbędnie potrzebnych do wzbogacenia fizyografii krajowej i do możności zebrania danych, o własnościach sanitarnych naszego klimatu ²⁾.

Ważniejszymi punktami w których założenie spostrzegalni meteorologicznych, byłoby bardzo pożądane, są: Suwałki, Łomża, Piotrków, Kielce, Nowe-Miasto nad Pilicą, Sandomierz, Kalisz, Lipno; nakoniec, Biała i Hrubieszów. Ponieważ o założeniu takiej liczby stacyi, marzyć nawet trudno, wypada nam zatem myśleć obecnie o najważniejszych tylko, do których należą: Suwałki, Nowe-Miasto, Kalisz i Biała. Założenie czterech tych stacyi jest niezbędnie potrzebne i dlatego mamy nadzieję, że zarówno inteligencya miasta Suwałki, jak Kalisza

¹⁾ Prócz tych, są w kraju jeszcze obserwatoria meteorologiczne prywatne, kosztem własnym założone, z których dwa ważniejsze powinny tu być wymienione: w Romanowie na Podlasiu p. Kajetana Kraszewskiego i w mieście Płońsku na Mazowszu Płockiem d-ra Jędrzejewicza; oba te bowiem zakłady są zgodnie z wymaganiami naukowymi urządzone, zaopatrzone w narzędzia dokładne i ze znajomością rzeczy przez właścicieli prowadzone. P. R.

²⁾ W artykule: „Meteorologia i konieczność zakładania u nas stacyi meteorologicznych,” pomieszczonym w „Zdrowiu” (patrz Nr. 4, rok 1879), przyczyny podane są szczegółowiej.

i Białej ¹⁾, zechcą przyznać ważność powyższego zadania tyczącego się dobra ogólnego i szczerze się tćm zajmą. Co się zaś tyczy Nowego-Miasta nad Pilicą, to zakład hydropatyczny miejscowy, przy współudziale gości, mający nie tylko ogólne ale i własne dobro na celu, prawdopodobnie najprędzćj projekt ten wprowadzi w wykonanie. Założenie stacyi wymaga około 500 rs. kapitału, jeźeliby w danćj miejscowości okazało się niemożliwne odszukanie odpowiedniego pomieszczenia na przyrządy fizyczne; w przeciwnym razie rs. 300 ²⁾). Fundusz ten może być zebrany z pomocą mieszkańców miasta i okolicy w formie składki, lub tćż przez urządzenie w tym celu koncertu lub amatorskiego teatru.

Mówiąc o ważności zakładania u nas stacyi i dobrych chćciach jednostek, w artykule pomieszczonym w „Zdrowiu” (numer 4), przytoczyliśmy nazwisko obywatela zajmującego się od 18 lat zapisywaniem spostrzeżeń, w urzędzonćj przez siebie spostrzegalni meteorologicznćj; na co redakcja tegoż czasopisma zrobiła przypisek, który dosłownie podajemy w następującym cudzysłowie: „Stacye meteorologiczne prywatne, oprócz wspomnionćj istnieją u nas w pewnćj liczbie na prowincyi; lecz spostrzeżenia w nich czynione, pozostając zwykle w biurkach postrzegaczów, nie wzbogacają fizyografii krajowćj. Trudno nawet żądać, żeby mogło być inaczej przy obecnych warunkach; lecz z drugićj strony istniejące już dostrzegalnie prywatne mogłyby być zawiązkiem całćj sieci podobnych stacyi, w myśl autora powyższego artykułu.”

Przypisek ten, jak widzimy, nadzwyczajnie ważny i ciekawy, pozwala przypuszczać, że pomiędzy tą pewną liczbą spostrzegalni, znajdując się rzeczywiście i takie, w których zebrane spostrzeżenia okażą się dla nas cennym materiałem. Najprzejdźniej przeto prosimy wszystkich pp. postrzegaczy zmian atmosferycznych, mających swoje stacye w kraju, aby raczyli za pośrednictwem którćj z gazet zawiadomić: o miejscu ich istnienia, o przyrządach, jakości spostrzeżeń i warunkach przy których takowe są dokonywane: nakoniec z jakiego przeciągu czasu nagromadzone spostrzeżenia utworzyły zasób materiału mogącego wzbogacić naukę ³⁾.

Sierpień, 1880 r.

¹⁾ Miasteczko Biała potrzebuje pomocy Siedlec i Międzyrzecza.

²⁾ Sumy te obecnie są aż nadto wystarczające, ponieważ oprócz aneroidu, który przy dwóch barometrach jest niepotrzebny, i ewaporometru nie przedstawiającego wielkićj ważności, ceny przyrządów obniżyły się znacznie.

³⁾ Tego rodzaju sprawozdania drukowali: dr. Jędrzejewicz i p. K. Krauszewski w „Przyrodzie i przemyśle” z roku 1880, n-ra 1—9 i 13 (miesiące: lipiec, sierpień i 14 października).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA *).

Krytyka francuzka zajęła się żywo historyczną powieścią niemieckiego autora, Fryderyka Uhl p. t.: „Die Botschafterin.” Sami nie wiemy jak przetłómaczyć ten tytuł: w naszym języku niema wyrazu na jego określenie. Wbrew ludowemu przysłowiu: „Gdzie szatan nie może sam poradzić, tam posyła kobietę,” nasze niewiasty nie spełniały nigdy urzędowych poselstw, naród nie dawał im pełnomocnictwa do prowadzenia dyplomatycznych układów.

Wyjątkowo także zdarzył się podobny wypadek we Francyi, w połowie XVII wieku, kiedy rejentka państwa Marya Austryaczka, wyprawiła w poselstwie do Polski, margrabinę de Guebriant, skutkiem zaślubin naszego króla, Władysława IV, z Maryą Ludwiką Gonzagą, księżniczką de Nevers, związaną z dworem francuzkim węzłami pokrewieństwa. Poselstwo to zręcznej dyplomatkii, wziął Fryderyk Uhl za przedmiot historycznej powieści.

Zaciekawieni pochlebnym sądem Francuzów, odczytaliśmy dzieło w oryginale, i wyznać musimy, że w pochwałach tych wcale niema przesady. Styl błyszczący werwą, dyalogi tryskające dowcipem, postacie głównych osób, mianowicie samėj margrabiny de Guebriant, w jaskrawych odmalowane barwach, strona psychiczna oddana z głęboką znajomością serc ludzkich: wszystko to tém bardziej mogło przypaść do smaku Francuzom, że autor, Wiedeńczyk, przejął się zupełnie duchem ich literatury, że w jego dziele nie dopatrzyć nigdzie śladów pedantyzmu niemieckiego. Pod tym względem, powiedzmy nawet, że posunął rzecz do przesady. Powieść historyczna wymagałaby może niektórych notat i objaśnień; p. Uhl tymczasem, aby nie nudzić czytelników zbytnią erudycją, zupełnie się od nich wstrzymuje.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za listopad r. b.

Dla nas ta powieść, tém więcej przedstawia zajęcia, że ożywia chwilę z dziejów naszych, w której ostatni promień zorzy Zygmunto-wskiej przyświecał jeszcze nad narodem, nim zagasnął w odmęcie wojen zewnętrznych i domowych, za czasów ostatniego Wazy. Pod względem historycznym, autor nie rzuca nowego światła na dzieje Maryi Ludwiki, opracowane poważném piórem naszego historyka, profesora Plebańskiego; jakkolwiekbydź sam fakt, że cudzoziemcy zapuszczają wzrok w przeszłość naszą, że snują z nięj powieściowy wątek, w sposób nie obrażający naszych uczuć, nie powinien być dla nas obojętnym. Przyklaskujemy téż całém sercem nowęj pracy niemieckiego powieściopisarza.

Rzecz dzieje się w roku 1644. Władysław IV, po skonie Cecylii Renaty, pragnie wstąpić w powtórne związki małżeńskie. Przed laty kilku, nim zaślubił jeszcze Cecylią, marzył on o wdziękach Maryi de Nevers, którą panowie polscy, przebywający w Paryżu, w najpoważniejszym przedstawiali mu świetle. Wymagania polityki, skłaniające Polskę do przymierza z domem Rakuzkim, stanęły w poprzecz chęciom króla Władysława. Śmierć pierwszej żony rozwiązała mu ręce. Wyprawia zatém w poselstwie wojewodę Denhofa na dwór francuzki, z prośbą o rękę księżniczki Maryi.

Wjazd ambasady polskiej do Paryża, odbył się nadzwyczaj uroczyście. Z uczuciem upokorzenia poglądali Francuzi na dworskie konie i pojazdy, przyćmione całkiem wspaniałą uprzężą i dziarskiemi biegunami świetnych gości, na wytworne ich szaty, w których krój francuzki podniesiony wschodnim przepychem, błyszczący od złota i klejnotów, górował o wiele nad ich strojem. Co więcej, owi przybysze z kraju pomawanego o niższy stopień cywilizacji, odznaczeni się wszyscy wytworném obejściem i prawdziwie dworską ogładą.

Królowa rejentka, aby godnie uczcić posła polskiego, przyjmowała go w Fontainebleau, najwspanialszej z królewskich rezydencji. Księżniczka Marya, obecna w sali, kiedy weszło poselstwo, powstała żywo z krzesła i ukryła się za jedną z dam dworu, by nie być od nikogo widzianą. Spostreegli ją przecież panowie orszaku, którzy dawniej już przebywali we Francyi, ukazali ją towarzyszom i wszyscy, z posłem na czele, oddali hołd przysztęj królowej.

Jeśli Polacy dziwili Francuzów przepychem i ogładą, świadczącą o wysoko posuniętej w kraju cywilizacji, dwór za to królewski stał się przedmiotem podziwu dla panów polskich, wielkim bezładem i nie-dbalstwem. Kilka dziesiątków latzaledwie dzieliło te czasy od późniejszej epoki Ludwika XIV, od chwili, kiedy pyszny ten król, przezwany słońcem, miał blaskiem majestatu olśnić zdumioną Europę. Inaczej dwór przedstawiał się za regencyi królowej Anny i rządów Mazaryniego. Po uczcie, wyprawionęj na cześć poselstwa w imieniu regentki, panowie polscy, opuściwszy salę jadalną, zmuszeni byli w głębszociem ciemności, po omacku, spuszczać się po głównych schodach, prowadzących do komnat królowej.

W dniu 23 listopada, w kaplicy Palais Royal, odbył się przez prokuratora obrzęd zaślubin księżniczki Maryi z królem polskim. Wojewoda Opaliński ukląkł przed ołtarzem w zastępstwie króla, biskup Wacław Leszczyński pobłogosławił związek.

Tymczasem wieści tajemne, nadesłane z Warszawy, tyjące się króla Władysława, zaniepokoiły kardynała Mazaryniego; mianował on zatem marszałkową de Guebriant towarzyszką podróży królowej, co więcej, przewidując trudności, jakie Marya-Ludwika napotkać mogła za przybyciem, nadał marszałkowej formalne pełnomocnictwo, jakiego dwory udzielają tylko swym posłom.

Trudno było uczynić lepszy wybór. Wdowa po marszałku de Guebriant, znaną była w całej Francji z niepospolitego rozumu, nawet z mężkiej odwagi. Dzieliła ona niegdyś rycerskie trudy męża, była mu zdrową radą; w niejednej ciężkiej chwili, własny zapał wlewała w jego serce. Wiedział Mazaryni, równie jak królowa Anna, że w pewne ręce powierzają los Maryi.

Margrabiną de Guebriant, jak świadczy sam tytuł dzieła, główną jest bohaterką powieści. Autor, mieszcząc ją na pierwszym planie, stawia obok niej w panu de Bregy, dyplomatę innej zupełnie szkoły. Ukazuje tym sposobem dwa całkiem przeciwne systemata: jeden oparty na podstępnie i przewrotności, głoszący, jak później Talleyrand, że słowo na to dane aby pokrywać niemi myśl własną; drugi prosto i otwarcie zmierzający do celu, bez względu na spotykane zapory. Pierwszy systemat uosobiony w panu de Bregy; przedstawicielką drugiego, rozumna, zręczna, a zarazem sumienna marszałkowa.

Młoda królowa, otoczona polskiem i francuzkiem poselstwem, wyrusza tryumfalnie z Paryża, drogą, wiodącą na St. Denis. Tłumy ludu grzmiącym okrzykiem żegnają odjeżdżającą. Autor, w pełnych życia obrazach, opisuje czternastotygodniową podróż, tak lądem jak i morzem, bardzo uciążliwą w te czasy. Orszak zatrzymuje się w Gdańsku. Tu brat królewski, książę Karol, późniejszy kardynał, świetnie podejmuje królowę. Przy pierwszym wstępie na ziemię, która odtąd będzie jej ojczyzną, wielki dostojnik państwa Giebiewski (?), przemawia do niej krótkim ale treściwym słowem: „Królowo! miej odwagę: idź śmiało naprzód, a wnet osiągniesz władzę!”

Mimo to królowa, z tajemną w sercu trwogą, zbliża się do Warszawy. Smutne przeczucia dręczą jej duszę, mącą pokój, sen odganiają z jej powiek. Przeczucia nie zawiodły. Pierwsze spotkanie z królem Władysławem, ma się odbyć w kościele katedralnym, gdzie ślub zostanie uroczyście potwierdzony.

Wprowadzono królowę do kościoła, gdzie król pysznie odziany złotogłowem, błyszczący od klejnotów, oczekiwał już na nią. Marya, drżąc od trwogi, zbliża się do małżonka, według praw etykiety, klęka przed nim, przyciska do ust jego rękę. Ale Władysław nie patrzy na nią nawet, nie pomaga jej powstać. Z szyder-

czym uśmiechem na ustach zwraca się do francuzkiego pośta, hrabiego de Bregy:

— Tożto jest—rzecze—owa piękność, o której pan prawieś tyle cudów?

Królowa posłyszała te słowa: dreszcz przebiegł po jój żyłach.

Obrzęd odprawił się niebawem; poczem odniesiono króla do zamku, królowę wprowadzono do przeznaczonych dla niój komnat. Wieczorem podkomorzy koronny oświadcza marszałkowej, że król uczuł się nagle słabym, że stan jego zdrowia wymaga na długo zupełnej spokojności.

Pani de Guebriant odgadła rzecz odrazu. Nie były dla niój tajemnicą, dawne uczucia Maryi Ludwiki dla Cinq-Marsa, jak niemniej dla Gastona, księcia Orleanu. Widzi jasno, że spotwarzono królowę przed Władysławem. Położenie nadzwyczaj trudne, lecz dzielna kobiéta nie upada pod ciężarem przyjętych obowiązków. Bądźcobądź ona zerwie sieć intryg, oczyści Maryą z hańbiących ją zarzutów, zdobędzie dla niój serce i szacunek małżonka; słowem przywróci zmaconą harmonią; nie dopuści skandalu ubliżającego Francyi.

Rozumna kobiéta gardzi wszelkim podstępem, działa otwarcie, lecz z niesłychaną zręcznością. Zniewolony przez nią król, wyznaje, że po ślubie zawartym w Paryżu, otrzymał wieści o lekkomyślném życiu Maryi; postanowił nie zbliżać się do niój, uważa bowiem rozwód za konieczny obowiązek, dla utrzymania godności polskiego tronu.

Na te zarzuty margrabina odpowiada z całą prawdą. Wyznaje, że Marya miała niegdys skłonność do Cinq-Marsa, że w innym czasie gotową była zaślubić księcia Orleanu, ale w postępowaniu jój nie było żadnej winy. Księżniczka miała wtedy prawo rozporządzać swém sercem. Im silniejszy stawia król opór, tém silniej występuje margrabina. Śmiało grozi zerwaniem stosunków z Francją, zaciętą wojnę na lądzie i na morzu. Czaruje króla dowcipem, wymową, całym urokiem dworskiej wytworności. Nie zaprzecza bynajmniej zmyślonój jego chorobie; w raportach do dworu francuzkiego, aby uniknąć wszelkiego rozdrażnienia, utrzymuje, że Władysław ciężko zapadł. Działania jój nacehcwane nieporównanym taktem: zniewala sobie wszystkich. Królewicz Karol zupełnie jój oddany, Denhof, Sapicha, Kazanowski podziwiają wielki jój rozum. Szczególną przeciw ufność pokłada margrabina w wielkim kanclerzu, który w Gdańsku przyjmował królowę, mężu prawego charakteru, obok niezłomnej wytrwałości.

Prawą ręką margrabiny jest sekretarz jój, młody hrabia Blairauvalle, pełen szlachetnych uczuć i patriotyizmu. Tém silniej hrabia jój oddany, że kocha urocą bratankę zmarłego marszałka, Ludwikę de Guebriant. Z pomocą Blairauvalle margrabina rozstawia po mieście licznych ajentów, śledzi pilnie każdy ruch królewski. W liczbie owych ajentów niepoślednią gra rolę kupiec Aron; przebiegła dyplomata spostrzegła bowiem odrazu, jak wielką rolę szczep izraelski,

der nicht individuelle stamm, jak się wyraża autor, odgrywać musi w kraju zbytku i wybujałej swobody.

Zagmatwana sieć intryg rozwiązuje się pomału. Margrabina pochwyca najdrobniejsze nitki, z godną podziwienia przenikliwością. Nie wchodząc w szczegóły, powiemy tylko, że odkryła głównego potwarcę Maryi Ludwiki, w margrabim de Bois Darfin, który oskarżył ją przed królem Władysławem, podczas gdy poselstwo polskie przebywało w Paryżu. Bois Darfin, zakochany przed laty dwoma w pannie dworskiej księżniczki, obwiniał najnieśluszniej Maryą Ludwikę o intrygi w owój sprawie miłosnej i skłonienie panienki do życia klasztornego. Odtąd poprzysiągł jej zgubę i wnet dotrzymał słowa.

Pani de Guebriant rzuca w oczy zdradę nikczemnemu oszczercy, grozi mu zemstą Mazaryniego. Przerażony Darfin błaga o litość; na żądanie margrabiny pisze do króla Władysława, uznaje się kłamcą i nikczemnikiem: uroczystą przysięgą zaręcza niewinność królowej.

Sprawa napół wygrana; ale nowa staje na drodze trudność. Margrabina dowiadyuje się przez popleczników, że król Władysław zajęty żywo cudnie piękną dziewczką, córką ubogiego rybaka. Ów rybak nazwiskiem Krasny, mieszka w niskim domku ponad Wisłą; tam król przebrany za prostego szlachcica zachodzi niekiedy wieczorem przez zamkowe ogrody. Dwór nie wie nic o tych tajemnych wycieczkach; dostrzegł je tylko Aron, wysledziła je niemniej przezorna pani de Guebriant. Zagadniony Aron napomyka półstówkiem, że Krasny nie zawsze zapuszczał sieci w wodę; niegdyś pan wysokiego rodu, dziś nieszczęśliwy banita ukrywa się przed ludźmi: ciężką pracą zarabia na chleb dla siebie i dla córki.

Margrabina śpieszy do ubogiej chaty nad Wisłą: biedny rybak, jak tylu innych, nie umie się oprzeć jej czarom. Wyznaje, że zrodzony w szlacheckim gnieździe, odebrał wychowanie odpowiednie do stanu swego. On sam nie zawinił nic przeciw powadze majestatu, ale ojciec jego przyłączył się był do tłumu rokoszanów, w skutek czego, wyparty z dziedzicznej włości, wyzuty z praw wszelkich, zakończył życie na tułactwie. Po śmierci starego banity, syn stęskniony do kraju, powrócił tajemnie, z Kraśnickiego przezwwał się Krasnym, zlepił sobie chatę nad Wisłą i zamieszkał w niej jako ubogi rybak.

Zagadniona dziewczeczka wyznaje też swoje tajemnicę. Z pomiedzy licznych zalotników, wybrała już jednego, oddała mu serce i niezadługo stanie z nim przed ołtarzem: tym wybranym jest młody Rymski, przyboczny dworzanin królewski.

Zręczna margrabina umie korzystać z owych wyznań. Uwiadamia króla, że piękna Maryna ukochała młodego dworzanina, radzi mu zatem porzucić senną złudę, a szukać szczęścia obok małżonki, na drodze obowiązku. Błaga niemniej o łaskę dla Kraśnickiego, o przywrócenie go do praw, imienia i majątku. Tyle rozwinęła czarów, tyle porywającej wymowy, że pokonała króla: złamała wreszcie jego zacięty opór.

W kilka dni potém, w komnatach zamku warszawskiego, w obecności królowej, odbyły się zaręczyny pięknej Maryny Kraśnickiej z dworzaninem królewskim i Blairevilla z Ludwiką de Guebriant. Młode pary zamieniły pierścionki: uagle rozmykają się podwoje, wchodzi do sali król Władysław, oznajmia wobec dworu, że odzyskał już zdrowie, poczem siada u boku królowej. Ujrzał ją poraz pierwszy, od dnia zaślubin w kościele katedralnym: od dnia tego ubiegło trzy miesiące.

Pani de Guebriant szczęśliwa z tryumfu, wkrótce potém opuściła Warszawę; uniosła z sobą miłość i uwielbienie całej Polski.

Na tém kończy się zajmująca powieść. Autor nie występuje tu jako historyk, bardzo lekko dotyka polityki. Utwór jego nazwaćby można historyczno-rodzajowym obrazem: postać pani de Guebriant na pierwszym pomieszczona planie, świeci nad całą grupą.

W trafnie skreślonych rysach charakterystycznych, p. Uhl ukazuje społeczeństwo nasze, jakim było w połowie XVII wieku. Panie polskie, jak mówi, zachwycają oczy szlachetnym układem, połączonym z niejaką zalotnością. U mężczyzn grzeczność objawia się w ukłonach i ruchach, doprowadzonych do estetycznej formy. W Warszawie panuje głęboka i szczerza pobożność: post wielkanocny najściślej zachowywany, tak u stołu magnatów jak i mieszczan. W Wielki piątek tłumy ludu zwiedzają groby urządzone z największym przepychem; aby wziąć udział w męce Pańskiej, jedni drugich biczują i policzkują po kościołach. Późno w noc chmara pobożnych przebiega miasto z pochodniami; słowa litanii: Jezus fortis, Jezus immortalis, rozlegają się wielkim chórem.

Strona obrazowa stanowi główną zaletę dziełka pana Uhl. Nie myślimy bynajmniej, powtarzamy raz jeszcze, stawiać tak pobieżnego utworu, obok znakomitęj pracy p. Plebańskiego, w której historyk w szerokich zarysach ogarnął całą działalność polityczną małżonki dwóch Wazów; wdzięczni jednak jesteśmy autorowi niemieckiemu, że podjął przeszłość naszą z dodatniej strony, że nie skarykaturował jej ani ośmieszył, jak to czyni Freytag, Franzos, Sacher-Mazoch i tylu innych niemieckich powieściopisarzy.

Pod względem stylu uderzyły nas nieprzeliczone galicyzmy. Pełno tu słów czysto francuzkich, to zgiernizowanych zakończaniem, jak w angielskim języku, to wciśniętych w całości. Co chwila spotykamy podobne wyrazy jak: *fatiguen, constant, kollosal, aimable, reflectiren, konserwiren, admirable* i t. p. Pamiętamy, jak po wojnie ostatniej, rząd niemiecki, nienawistny Francuzom, zakazał używać lokacyi upowszechnionych zwyczajem *poste-restante* i t. p. Znać zakaz nie obowiązywał literatów ani dziennikarzy; powódź francuzka zalewa dziś tak książki jak gazety niemieckie, a szczególnie potoczna mowę.

Mamy właśnie przed sobą czwarty tom „Historji zbytku“ pana Baudrillard, dzieła uwieńczonego przez akademią, jak mówiliśmy powyżej. Ten ostatni tom żywiżej jeszcze zaciekawia niż poprzedni, rozpoczyna się bowiem z Henrykiem IV i Sullym, ukazuje najwyższą apoteozę królewskości w osobie Ludwika XIV, wreszcie za dwóch następnych królów, daje widzieć słońce monarchji, chyłące się do zachodu, lecz jaskrawym jeszcze przyświecające blaskiem, w chwili, gdy burza rewolucyjna sypnęła gradem i piorunami.

Postać Ludwika XIV żywym jest wyrazem swego czasu. Rzućmy tylko wzrokiem w świat sztuki: tak w architekturze, jak w rzeźbie, estetyczna prostota, cechująca epokę odrodzenia, przeistacza się nagle w rodzaj zwany baroco. Myśl artystów, rozbujana fantastycznie, nie umie zatrzymać się w granicach zakreślonych prawami piękna; ztąd ów niesłychany zbytek w ozdobach, rozbrat z harmonijną prostotą, owa pogoń za sztucznym efektem. Nowy ten kierunek myśli ludzkiej, wypiętnowany kamiennymi zgłoskami na pomnikach XVII wieku, widzimy żywo przedstawiony w osobie Ludwika XIV.

Pycha tego króla nie ma granic. Wspaniałe rezydencye w St. Germain i Fontainebleau, nie wystarczają dumie jego. Potrzeba mu nie pałacu, ale świątyni: buduje Wersal. Niewłaściwie porównywano ten pałac do Olympu. Gromowładny Jowisz cierpiał u boku swego innych potężnych bogów; Ludwik XIV w Wersalu sam przyświeca jak słońce, pochłania wszystko blaskiem majestatu swego. Ten który wyrzekł: „L'Etat c'est moi,“ nie zcierpi żadnego podziału. Na ścianach wersalskiego pałacu, w obrazach Lebruna, widzimy go zarówno Jowiszem, jak Marsem i Apolinem, zarówno Cezarem jak Aleksandrem W.

To właśnie ubóstwienie monarchizmu, nie jestże najsilniejszą protestacją przeciw dawnemu ustrojowi Europy? „L'Etat c'est moi!“ słowa streszczające kilkudziesięcioletnie rządy Ludwika XIV, stały się odtąd nowém hasłem dla państw europejskich, to téż społeczeństwa które nie mogły znieść gwałtownego prądu, narażone zostały na najcięższe próby: jedno z nich padło nawet ofiarą!

Baudrillard pokazuje cyframi, wyciągniętymi z archiwów koronnych, bajeczne sumy roztrwonione na podniesienie majestatu monarchji, który zcentralizował w sobie całą Francją. Do tego centrum ściąga rojem szlachta z najdalszych stron kraju. Wersal pochłania wszystko. Panowie opuszczają stare zamki i ziemskie posiadłości; zrywa się węzeł co łączył od wieków dziedzica z włościaninem. Lud rolniczy zna panów swoich jedynie tylko z opłat i danin, jakie zausznicy pańscy wyciskają zeń w okrutny nieraz sposób. Biedny kmięć pozbawiony wzoru i zachęty, oddaje się próżniactwu, żyje w nędzy i poniewierce. Rolnictwo upada. Podróżnicy angielscy patrzą ze zgrozą na odłogi zarosłe chwastem, na zrujnowane zainki, na wałące się chaty i zgorzałe domostwa. „Przewrót ten ekonomiczny, spowodowany zbytkami panów, należy—mówi Baudrillard—do najważniejszych fak-

tów historycznych tej epoki." Taki to skutek centralizacji państwowej, tak sprzeczny z duchem europejskich ludów!..

Minister Colbert, wielki ekonomista, z głęboką boleścią patrzy na ten rzeczywisty upadek kraju, przysłonięty na zewnątrz sztucznym blaskiem. Podczas gdy dwór cały przyklaskuje królowi, kiedy inny minister Louvois, popycha go do szalonych wydatków, sam jeden Colbert ma odwagę wypowiedzieć myśl z całą otwartością.

„Wypada, Najjaśniejszy Panie—pisze on—zaprowadzić oszczędność w rzeczach niepotrzebnych. Co do mnie, wyznaję, że uczta pochłaniająca 3000 liwów, sprawia mi niewymowną boleść. Inna rzecz gdyby szło o miliony na poratowanie szarpanego wojną Jana Kazimierza... ja sam gotówbym sprzedać wszystko co mam, oddać w zastaw żonę i dzieci, chodzić całe życie piechotą, byleby dopomódz mi w potrzebie." List ten nosi datę 1666 r.

Głos ten był głosem wołającego na puszczy: inne sprawy zajmowały monarchę. Rzućmy pobieżnie wzrokiem na jeden z tych bajecznych festynów, przypominający czasy rzymskich bachanalii. Szalona orgia trwa dni siedm, czarodziejskie sceny zmieniają się co chwila, jakby w zaklętym kalejdoskopie, król sam w każdej z nich bierze udział. To w purpurze cezara rzymskiego przyjmuje hołdy Persów, Egipcyan, Etyopów, słowem wszystkich plemion Południa i Wschodu; to w postaci krzyżowca, okuty damasceńską zbroicą, potyka się z Maurerem: to znów błyszczący od dyamentów, na czele konnego rycerstwa, przebiega zaklęte gaje Armidy. Znużony zasiada na tronie pod złotolitym baldachimem, dwór cały grupuje się wokoło, a oto przed okiem widzów defiluje najpyszniejsza kalwakata. Na słonecznym wozie przesuwają się cztery wieki: złoty, srebrny, spiżowy i żelazny, ugrupowane malowniczo wśród symbolicznych figur. Dwanaście godzin w postaci skrzydlatych dziewic, bieży w płaschach przed wozem; dwanaście cudniejszych jeszcze, wyobraża koło zodyaku. Pomrok zapada, tysiące pochodni rozświeca nagle przestrzeń; pory roku występują kolejno; otwiera pochód wiosna na pysznym biegunie andaluzyjskim, cała umajona zielenią; lato uwieńczone w kwiaty, występuje na słońcu; jesień na wielbłądzie pośród snopów zboża i koszów z winogradem; zima w postaci starca na kudłatym niedźwiedziu. Dalej ciągną gromady żniwiarzy w kłosisłych wieńcach i żniwiarek ze złotem i sierpami: pasterze przygrywają na kobzach i ligawkach. Istna parodia! inaczéj przedstawiał się lud na szerokiej przestrzeni od Alp do Pirenejów: wychudły, bosy, okryty łachmanami!

Każdy dzień kończy się lukullusową ucztą; posługują do niej całe chmary Faunów i Hamadryad; leśne nimfy podają zwierzynę, orszak Pomony obdarza owocami, orszak Cerery chlebem. Tak maluje te biesiady Wolter w obrazie wieku Ludwika XIV. Oczarowany, przyklaskuje gorąco, bije czołem przed siłą, jak to zawsze zwykł czynić.

Król odurzony dymem kadzideł, olśniony blaskiem własnym, nie chciał widzieć chmur wzbierających na wschodnim widnokręgu. Roz-

paczliwy jęk obłązonego Wiednia, kona wśród dźwięków biesiadniczjędźby. Okrzyk Rzymu: „ratujcie chrześcijaństwo!” nie przeniknie wersalskich murów. Prawnuk Ludwika świętego nie podejmie już krzyża. Z pogardliwym uśmiechem patrzy on na dawne krucyfiky; już płomień ofiary nie zapali serca, zagrzeszonego w pysznym samolubstwie. „L'etat c'est moi!” słowa te najsmutniejszą okazały się prawdą. Szlachta składająca wyłącznie ówczesny naród, idzie w ślad za królem: drogą zbytków i wyzdanej swawoli.

Wiek Ludwika XIV, tak wystawiony przez Woltera, pchnął Francją na nowy prąd dziejowy: z chrześcijańskię uczynił ją pogańską; zwichnął ją na drodze wiekowego jej posłannictwa.

I cóż dziwnego, że Colbert, oglądając na rzeczy trzewém okiem, zadrżał o przyszłe losy tego tronu, błyszczącego jeszcze słoneczną aureolą, lecz podkopanego już w posadach; i cóż dziwnego, że wielki pogromca Islamu, w chwili najwyższych tryumfów i poklasków świata całego, zapłakał gorzko, uderzony upadkiem serc i umysłów w tęg Europie, oczarowanej pogańskim wpływem Wersalu, w tęg Europie, którą on wyrwał ze szponów Ottomańskich, ale nad którą zawisła groźniejsza jeszcze chmura!

Baudrillard, obok obrazu szalonych zbytków, pochłaniających siły żywotne Francyi za czasów Ludwika XIV, pokazuje przeciw drugą stronę medalu. Ta dodatnia strona była dziełem kilku znakomych organizatorów, mianowicie Colberta. Pod energicznym ich kierunkiem, rozkwita przemysł, podniesiony sztuką do smaku wysoko estetycznego; Francya na tęg drodze staje się mistrzynią innych ludów. W tychże czasach, powstają instytucye i naukowe ciała, których rzeczywisty blask, więcej niż pogańskie fantasmagorye Wersalu miał uświetnić w obec dziejów epokę Ludwika XIV.

Guizot, oceniając tę epokę i dając poznać wpływ jej cywilizacyjny na wszystkie ludy europejskie, surowo przeciw sądzi jej skrzywiony kierunek. „Już przez to samo, mówi on, że rząd ówczesny nie miał innęj zasady nad władzę absolutną, że na tęg wspierał się tylko podwalinie, upadek jego nagły był i zasłużony. Czegoż niedostawało głównie Francyi Ludwika XIV? Oto instytucyi, oto niepodległych sił politycznych, istniejących samodzielnie, zdolnych w danęj chwili stawić niezłomny opór. Starodawne instytucye francuzkie, prawie już nie istniały, Ludwik XIV zniweczył je do reszty” 1).

Wielki malarz francuzki Julian Breton, który odtworzył już pędzlem całą epokę wieśniaczego ludu, wyśpiewał niedawno śliczny poemat ludowy p. t.: „Jeanne.” Poeta-malarz od lat wielu żyje pomiędzy wiejskim ludem, na północnym stoku Francyi, w pobliżu cieśniny Pas de Calais. Z jednéj strony balsamiczna woń ardeńskich sosen, z drugięj łoskot fal morskich, rozbijających się o skały: oba te wpływy złą-

1) Historia cywilizacji. Lekeya XIV.

zione razem, oddziaływały potężnie na wyobraźnię mistrza i dały jej ten samodzielny kierunek, tę siłę twórczą, drgającą życiem we wszystkich dziełach jego pióra, czy pędzla.

Poetyczna jego powieść, to szereg obrazów, częstokroć dramatycznych, to znów nacechowanych rzewnym liryzmem, a zawsze pełnych życia i barwy miejscowej. Nic w nich nie przypomina ekliwej manieri sielankowych poetów, z początków tego wieku. Breton nie naśladuje Teokryta, ani Wirgillego, tak w obrazach malowanych pędzlem, jak i w pieśni; bez sztucznych szkieł patrzy on na lud wieśniaczy; zna jego wady, ale obok tych drobnych skaz, nieodłącznych od natury ludzkiej, ceni wielkie jego cnoty: głęboką wiarę, miłość gniazda, pracowitość, gotowość do ofiar, słowem, to wszystko, co ma go uczynić w przyszłe czasy rolą ziemi, dźwignią zużytego społeczeństwa.

Poeta kreśli obraz wioski na dolinie, pod lasem. Z pomiędzy chat tu i owdzie rozrzuconych, ukazuje nam jedną, o białych, nieco zapadłych w ziemię ścianach. Zielony kłon, posadzony niegdyś u wrót, ochrania ją latem od skwaru, zimą od ostrych wichrów. W ogródku złocą się słoneczniki. Po pięknym dniu jesiennym nadszedł pogodny wieczór.

Oto na próbkę mały ustęp: słabe da on pojęcie o zaletach oryginału.

Słońko zaszło, powoli mrok wieczorny wzrasta,
 Na przyźbie, w progu chaty, podeszła niewiasta
 Przędzie na kołowrotku i wzrokiem tęsknoty,
 Goni na tle przeszłości watek wspomnień złoty.
 Wtém z kościelnej wieżeczki dzwonek się odzywa,
 Niewiasta wypuściła z ręki nić przędziwa;
 Pochyla kornie czoło, usta pobożnemi
 Szepece cichą modliwą za tych, co śpią w ziemi.
 Umilkł dzwon, kołowrotek zawarczał na nowo,
 Noc roztacza całuny niewieście nad głową;
 Raz poraz nowa gwiazda na niebie zapłonie,
 Ptaszka już posnęły w gniazdeczkach na klonie.
 W wiosce milkną pogwary, chwila dziwnie słodka,
 Żal zadumanej prządce odbiedz kołowrotka,
 I długo na tle nocy jej czepiec się bicli,
 Jej ręka coraz wolniej ciągnie nić kądzieli;
 Nić wspomnień, coraz słabiej snuje myśl znużona,
 A turkot słabnie, cichnie i wśród nocy kona.

Jakaż była ta przeszłość, co tej prządce starzej,
 Do duszy tak słodkimi przemawia pogwary?
 Czemu z kryjówek serca pamięć wydobywa,
 Złożoną tam na wicki jasną nić przędziwa?
 Czemu widok tych progów myśl jej samą budzi,
 Gdy noc kołysze zeicha spracowanych ludzi?
 Bo z ubogą tą strzechą zrosło się jej życie,
 Jej prace, jej uciechy, ły, co biegły skrycie

Z jęj powiek: walk, zawodów i boleści tyle,
I w krótkim jęj zaranku słonecznych dni chwile,
Wszystko tu jak w zwierciadle widzi stara prządka,
Cień przeszłości z każdego wygląda zakątka.
Stary klon coś jęj szepcze tajemnemi słowy,
I studnia i okienko i ten próg domowy.

Zaliż ona uboga izba nie pamięta,
Jak lat i trosk ciężarem ta prządka dziś zgięta,
Dziecięcemi nóżęty w radości i trwodze,
Raz pierwszy po ceglanej stąpała podłozde?
A oczy, niby modre na polu bławatki,
Z uśmiechem krasnych ustek zwracała do matki.

I nowa potęm chwila w pamięci jęj błysła,
Noc... ogień jasnym słupem wybuchu z ogniska;
Drużki na wieczorynkę przybiegły ochoczo,
W krąg izby kołowrotki rażno zafurkoczą.
Co tu śmiechu i gwaru! jaka radoś pusta!
Nagle rzewna piosenka zbieży im przez usta,
I na pola, na lasy, srebrne dźwięki płyną;
Usłyszał je Stefanek, biegnący doliną.
Hejże w cwał do okienka! ukryty pomrokiem,
Z poza szybki na dziewczę chciwym patrzy wzrokiem.

Po zimie przyszła wiosna i lato gorące,
Obciążona chustami, po skoszonej łące,
Ona idzie do rzeczki; coś migło jęj w oku:
— Stefanek!—myśli dziewczę: to przyspieszy kroku,
To zwolni... chusty ciężkie... chłopiec ośmielony,
Przybieży: idą razem po łączce zielonęj.
Gwarzą coś o słoneczku, o zmiennęj pogodzie,
Jaskółki skrzydelkami muskają po wodzie;
Będzie deszcz... a tu żniwa... Potęm chłopiec pusty,
Rad podstępem dziewczynie zabrać z koszem chusty.
Dziewczyna się opiera... ot już niedaleko,
Ledwie parę poskoków... stanęli nad rzeką;
Chłopiec wlepił w nią oczy, jęj drgnęło serduszko.
— Bodajbyś ty o kamień potraęła nóżką!
Wpadłabyś do rzeczułki!—Ona się zapłoni,
— Chcesz, abym utonęła?—O! niech cię Bóg broni!
Tacy jak ja, dziewczeczko, wody się nie boją,
Jabym cię uratował i byłabyś moją!

Wieczorem, kiedy słońko zagasło w mgłę sinęj,
Stefanek rażno stąpa u boku dziewczyny;

Niesie chusty z ceberkiem, snadź ona pozwala,
 A światełko przez szyby polyskuje zdala.
 I wnet próg rodzicielskiej przestąpili cłaty,
 Parę niedziel ubiegło, przyszły do dom swaty;
 Po żniwach, gdy zwieziono do stodoły zboże,
 Pleban ręce ich stałą związał, w Imię Boże!

Umarł w tych czasach w Madrycie jeden z najznakomitszych poetów i krytyków współczesnych, Juan Eugenio Hartzenbush. Pozostawił on liczne dramata i komedye, wysoko cenione w ojczyźnie Lope de Vega i Kalderona, gdzie zmysł dramatyczny, tak wysoko był i jest rozwinięty. Z dramatów jego najwyżej cenione: „Dona Mencía,” „La Redoma enamorada,” „Don Alfonso el Casto,” „Primeroy, el Novio de Buitrago, la Madre de Pelayo;” prawdziwem zaś arcydziełem między wszystkimi jest dramat: „Los Amantes de Terruel,” oparty na podaniu miejscowem. Nie samęj przeciw poezji i literaturze dramatycznęj poświęcił się Hartzenbush: pracował niemniej na polu badań historycznych. Wzbogacił wydaną obecnie „Bibliotekę autorów hiszpańskich,” wielką liczbą rozpraw przedwstępnych i notat; z tych najznakomitsze, a pełne erudycyi komentarze nad Tirso de Molina i Kalderonem. W ostatnich latach życia, osmdziesięcioletni starzec pracował nad skomentowaniem „Don Quichota.” Pierwsza edycya tego nieśmiertelnego dzieła, powtórzona za pomocą photo-typografii, obejmuje krytyczne studjum zmarłego erudyty.

Jeżeli imię Hartzenbusha nie zdobyło w świecie rozgłosu odpowiedniego wielkim jego zasługom i wysokięj zdolności poetycznej, powodem tego, jak utrzymują Hiszpanie, nadzwyczajna skromność utalentowanego pisarza i zamiłowanie cichęj pracy. Nie szukał on poklasków, unikał pilnie zapasów politycznych, nie dbał o popularność, czekał cierpliwie sądu przyszłych pokoleń.

Przez lat wiele był Hartzenbush dyrektorem Biblioteki narodowej w Madrycie: w ostatnich dopiero czasach, skutkiem podeszłego wieku, uwolnił się od tych obowiązków.

W jednym z literackich przeglądów peszteńskich: „Bazar novi Uysay,” Juliusz Balogh zbija silnie upowszechnione mniemanie, jakoby Publiusz Owidyusz Nazo, miał zakończyć życie w Tonie, nad brzegami Czarnego morza i tam być pochowanyin. Dawnięj już niektórzy pisarze twierdzili, że poeta rzymski w siedmnastym roku po narodzeniu Chrystusa, umarł w starożytnęj Panonii, w okolicy Steinamanger, niedgdyś Sabaryi, gdzie miał się znajdować jego grobowiec. Dziś nowe badania, jak się zdaje, potwierdzają silnie ten wniosek. Balogh twierdzi,

że napis grobowy odkryty został w Steinamanger. Ów napis brzmi w tych słowach:

Hic situs est vates, quem divi Caesaris ira,
Augusti patria, cedere jussit humo,
Saepe miser voluit patriis occumbere terris,
Sed frustra: hung illi fata debere locum.

(Tu spoczywa poeta ten, którego gniew boskiego Cezara Augusta z ojczyzny był wygnał. Często pragnął nieszczęśliwy umrzeć na łonie ziemi ojczystej, ale napróżno: złowrogie losy dały mu to miejsce ostatniego spoczynku.

KORRESPONDENCYA

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

(SPÓŹNIONA).

Zjazd historyczny imienia Długosza w Krakowie, w dniach 18—21 Maja 1880 r. *).

Nim przystąpimy do skreślenia prac kongresu historycznego, o ile nam dotąd ogłoszone i dostępne dla nas materiały, oraz własna pamięć i notatki dozwolą, podać naprzód musimy całkowity jego program, jaki był przy wezwaniu ogłoszony.

Z doświadczenia, którego dostarczają mnogie tego rodzaju zjazdy, corocznie się prawie odbywające w różnych europejskich stolicach, zawczasu przewidywać było można, iż program całkowity, który niżej podamy, bacząc raczej na potrzeby i wymagania naukowe, niż na czas i możliwość podołania zadaniu; wyczerpanym być nie mógł w przeciągu dwóch zaledwie dni i kilku godzin, jakiemi rozporządzało zgromadzenie. Z największą nawet gorliwością i wysiłkiem podołać wszystkiemu nie było podobna. Program więc należało uważać raczej za szranki, w jakich prace zgromadzonych członków kongresu obracać się miały, niż za ściśle oznaczone zadanie.

Podział na dwie sekeye: historyczną z historyczno-literacką i archeologiczną wraz z historią sztuki, do pewnego stopnia miał ułatwić kongresowi trud jego, choć w samym fakcie tego podziału tkwiło już to, co przewidzieć było łatwo, iż sekcya druga, nie mogąc się kusić o równouprawnienie z tą, od której wydzieloną została, a przez to już niejako upośledzoną, poświęconą będzie starszej siostrze.

Nie ulega wątpliwości, iż archeologia, jakkolwiek w ostatnich czasach wiele na metodzie zyskała, wiele ze swój pierwotnej fantastyczności i diletantyzmu straciła: dziś jeszcze ściśle naukowy podstawy raczej szuka, niż się na niej opiera. Słusznie więc może postawiono ją z osobna, aby się swobodniej, wedle obyczaju swego obracać mogła.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za sierpień r. b.

Gdzie się jednak archeologia kończy a historia poczyna i czy ona bądźco bądź nie stanowi części integralnej nauki dziejów, pozostaje wątpliwem. Historia zaś sztuki, że jest gałęzią, której odcięcie od pnia głównego więcej jej szkodzi, niż oswobadza, to zdaje się być pewnem. Wolelibyśmy ją byli widzieć uznaną, jak równouprawnioną, nie tylko treścią lecz i metodą z innymi dziejów odnogami. Historia literatury, która także przez czas długi stała jako coś zupełnie odrębnego i odosobnionego, a przez to nigdy pełną i założeniu swemu odpowiadającą być nie mogła, dziś przecie weszła w ogólny obraz dziejowy. Spodziewać się należy, iż i historia sztuki, jako coś podrzędnego, lekkiego i niby ornamentacyja dowolna, nie będzie dłużej upośledzoną.

Jak w naturze niema istot zbytecznych, tak w historii ducha ludzkiego wszystkie objawy działalności jego mają swe znaczenie.

Lecz przejdźmy do programu, który opiewa:

Sekcja pierwsza, d. 20 i 21 maja, miała następującymi zajmować się przedmiotami.

A) Z zakresu materiału historycznego.

1. O zakresie i niektórych potrzebach (?) wydawnictwa „Monumenta Poloniae historica,” referent dr. J. Ks. Liske.

2. O kwestyi wydawnictwa dyplomatów XV w., referent p. F. Piekosiński.

3. O wydawnictwie historyków XVI wieku, dr. W. Zakrzewski.

4. O zapiskach sądowych i ich wydawnictwie, prof. M. Bobrzyński.

5. O przygotowawczych robotach do geografii historycznej Polski, wraz z podniesieniem potrzeb uprawy historii lokalnej, dr. St. Smolka.

6. O ile do poznania ustawodawstwa Kościoła w Polsce potrzebnem jest zupełne wydanie Statutów synodalnych, tak prowincjonalnych jak dyccezjalnych i jakie warunki rzeczonemu wydawnictwu ustanowićby należało, ks. Polkowski.

7. Jakie są desiderata pod względem wydawnictwa ustaw polskich? prof. Bobrzyński.

8. O wyzyskaniu manuskryptów średniowiecznych dla historii, historii oświaty, języka i literatury, dr. Wł. Wisłocki.

9. Jakie przedruki dzieł XVI wieku byłyby pożądane dla historii oświaty i literatury, tenże.

10. Drogi poszukiwań zabytków starego języka polskiego, prof. Lucyan Malinowski.

11. Stan materiału historycznego i desiderata tegoż do dziejów uniwersytetu Krakowskiego, dr. J. Szujski.

12. Jak uczcić rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego, prof. Stan. Tarnowski.

B) Z zakresu kwestyi historycznych.

1. O Kazimierzu Mnichu, D. Tad. Wojciechowski.

2. Kilka kwestyi o źródłach Długosza, dr. A. Semkowicz.

3. Długosz w historii swój wobec Witolda, dr. Prochaska.

4. Jaka jest geneza ustawy „De non praestanda obedientia,” dr. J. Szujski.

5. Czy stronnictwo poselskie za Zygmunta Augusta dążyło do zmocnienia władzy rządowej, dr. M. Bobrzyński.

6. Stanowisko Jana Sobieskiego w armii sprzymierzonych w roku 1683, P. Fr. Kluczycki.

Program sekcji drugiej daleko mniej obfity, zawsze jednak w stosunku do czasu jój wymienionego, dosyć rozległy, podawał:

1. Czyli można konstrukcyę kościołów krakowskich XIV wieku uważać za cechę specjalną ostrołuku w Polsce? prof. Władysław Łuszczkiewicz.

2. Jakie badania nad zabytkami sztuki są konieczne dla związania ich z historią właściwą narodu? prof. M. Sokołowski.

3. Jaki szereg badań wypada przedsięwziąć, aby zyskać podstawę do wyjaśnienia wędrówek różnych plemion słowiańskich w epoce poprzedzającej pierwszy związek Polski? P. J. N. Sadowski.

4. Czy wpływ bizantyjski na sztukę średniowieczną w Polsce był, jaki i na czem polegał? p. M. Sokołowski.

5. Warunki wydawnictwa pomników architektury w Polsce, P. M. Sokołowski.

Program ten, jak widzimy, ściśle ograniczał czynności kongresowe polem historii polskiej i najbliżej z nią związanych, a dawniej w skład Rzeczypospolitej lub pod jój wpływem zostających krajów. Z tego powodu zapewne, udziału uczonych cudzoziemców, ani wymagać, ani się spodziewać było można. Sam nawet język, w którym rozprawy toczyć się miały, czynił je dla wielu niedostępnymi.

Wedle regulaminu, ogłoszonego nad każdą z tych wyżej wymienionych kwestyi, toczyć się miały dyskusye, w ciągu których każdy uczestnik kongresu mógł po dwakroć głos zabierać, a referent ostatni je zamykał. Zastrzeżono, ze względu na czas, treściwość rozpraw. Inne rozporządzenia, dotyczące się porządku dziennego i regulaminu, wzorem podobnych zjazdów ułożone zostały.

Pierwsze posiedzenie kongresu d. 20 maja, o czwartej po południu naznaczone, zgromadziło zawczasu bardzo znaczną liczbę gości, jużto czynny udział w kongresie brać mających, już dla przysłuchiwania się rozprawom przybyłych. W ciągu późniejszych posiedzeń, nigdy na słuchaczach płci obojga nie zbywało. Zajęcie było żywe i wytrwałe.

Z dostojniejszych osób, znajdujących się w Krakowie na pierwszej sesyi nie brakło nikogo. J. Eksceł. ks. biskup krakowski Dunajewski, przytomnością swą także zgromadzenie zaszczycił.

Sala przystrojona właściwie do tego obchodu, mieściła podniesioną estradę dla prezydyum i sekretarzy, ponad którą wznosiło się popiersie Długosza i starożytne chorągwie cechów krakowskich. Poniżej dwa stoły przygotowane były dla dziennikarzy, stenografów i sprawodawców.

Zagałł posiedzenie prof. Szujski, głos dając pierwszy prezydentowi miasta, D. Zyblikiewiczowi, który przemówił jak następuje ¹⁾:

„Przed rozpoczęciem prac kongresu, prosiłem szanownego gospodarza kongresu o głos, nie dlatego, żeby przy wstępie rozwodzić się nad znaczeniem kongresu. Zostawiam to fachowym uczonym. Mnie, jako gospodarzowi miasta, szło o to, aby z całego serca powitać zgromadzonych gości. Z dawien dawna jest Kraków dumny z téj tradycji, która go łączy z cywilizacją zachodnią tu na Północy, od czasu, jak Uniwersytet Jagielloński został założony. Po różnych kolejach losu, Kraków dzisiaj szczyli się tém, że znowu został siedliskiem nauk i sztuk pięknych i dlatego w imieniu miasta wyrażam radość, że poraz pierwszy odbywa się tu kongres. Szanowni goście, coście tu przybyli, pozwólcie, że w imieniu miasta serdecznie was powitam i pozdrowię.”

Oklaskami rzesistemi przyjęto głos prezydenta.

Nastąpiło zagajenie kongresu przez prof. Szujskiego długą przemową, którą powitał współuczestników zjazdu, zgromadzonych tu przez wspólną miłość dziejowej przeszłości i gorliwości w badaniu rzeczy polskich. Skreślił potem zadanie kongresu, wskazał ważność jego, dodając, że połączonymi siłami dokonywają się najtrudniejsze prace, wymagające wielorakiego roztrząsania i wszechstronnego rozbioru.

Kongres—mówił prof. Szujski—ogólne wywołał uznanie, które się w różny sposób wyraziło. Nie wszyscy, co chcieli, mogli w nim uczestniczyć, ale nikt się dlań nie okazał obojętnym. Tu wspomniał zagajający, z żalem, nieobecność na kongresie upragnionego współpracownika, prof. Zeisberga z Wiednia, któremu słabość, chociaż spodziewanym był, przybyć nie dozwoliła; wytłumaczył też nieobecność reprezentantów Akademii peszteńskiej, odbywającym się tam właśnie jubileuszem naukowym. Wspomniał o nadesłanym adresie Akademii zagrzebskiej w języku chorwackim, wyrażającym uznanie dla zasług Długosza (jednej z gwiazd słowiańskiego świata) i poczucie się do pokrewieństwa szczepowego. Wskazał powody dla których osieroczone zgonem dwóch swych przewodników Towarzystwo historyczno-literackie paryzkie (które utraciło ś. p. Teodora Morawskiego i Bronisława Zaleskiego) reprezentowaném na kongresie być nie mogło.

Następnie mówił o piśmie przesłaném przez prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, którego członkowie, ks. prałat Likowski, kanonik Korytkowski, ks. prof. Łukowski i prof. Rymarkiewicz świetnie tu przedstawili (z Poznania przybył też znany z pięknych swych prac historycznych p. Kaz. Jarochocki). Wspomniał z żalem nieobecność W. Hipplera, któremu Akademia zawdzięczała pomoc w wydaniu korespondencyi Hozyusza i o adresie Towarzystwa naukowego toruńskiego; o nieobecności ks. Wł. Czartoryskiego, hr. Augusta Ciesz-

¹⁾ Wszystkie przywiedzione przemówienia zmuszeni jesteśmy podawać wedle sprawozdań „Czasu,” który dał najobszerniejszą wiadomość o pracach kongresu.

kowskiego i pana Włodz. Spasowicza z Petersburga, z którym Akademia w ścisłych zostawała stosunkach.

Z Czech oznajmił przybycie członka czeskiego Narodowego muzeum, znakomitego historyka miasta Pragi—Tomka,

Należném téż uczcił wspomnieniem ś. p. Al. hr. Przędzieckiego, którego spadkobierca i woli jego wykonawca gorliwy, Konst. hr. Przędziecki stawił się tu z nową ofiarą dla pamięci Długosza, którą pierwszy zasłużony ojciec jego, dobył z długiego zapomnienia.

Zakończył mówca zwrotem do dziennikarstwa, które pracom zjazdu rozgłoś i rozpowszechnienie nadać miało, i do młodzieży; naostatek postawił wnioski urządzenia kongresu dotyczące; podział jego na dwie sekcje wyżej wymienione i wybór prezydium. Imieniem Akademii zaproponował na prezesa kongresu prof. Antoniego Małeckiego, na prezesów honorowych d-ra Roepla i Tomka; na prezesa sekcji historycznej ks. Waleryana Kalinkę S. J., na zastępcę jego p. Kaz. Jarochowskiego, na prezesa sekcji archeologiczno-artystycznej J. I. Kraszewskiego, na zastępcę Włodz. hr. Dzieduszyckiego.

Zgromadzenie jednogłośnie wnioski te przyjęło.

Przydujący kongresowi prof. Ant. Małecki zabrał głos:

„Serdeczne dzięki szanownym kolegom, szanownej publiczności i dostojnym gościom za te oznaki zadowolenia. Zaszczyt ten, abym był jednym z przewodniczących tego zjazdu, cenię wysoko, témbardziej, że nie poczuwam się do zasług, któreby ten mandat usprawiedliwiały. Jednakże życzliwość kolegów i ich wola zniewalają mnie do tego. Moja rzecz jest być posłusznym woli kolegów z całą pokorą.

„O zamiarze i celu zgromadzenia rozwinąć się nie będę, ponieważ to już było powiedziane. Cały przebieg kongresu wyświeci o co tu chodzi i wyrazić mogę nadzieję i życzenie, że nie przejdzie ten pierwszy zjazd na polu historycznym bez dobrych skutków dla powodzenia literatury historycznej. Dość pomyśleć o tém, że tu w tym grodzie jest ziemia klasyczna dla historii naszej i naszej sztuki, że do tych murów tyle rozmaitych i pięknych wspomnień jest przywiązanych, że w tych dniach gdy czcimy najślawniejszego historyka naszych wieków średnich, dość pomyśleć o tém wszystkiém, żeby powziąć pełną nadzieję, iż ten kongres wyda znakomity plon i że będzie dla nauki pomyślnym.”

Po przemówieniu prezesa, odczytaniu regulaminu ograniczającego sprawozdania nad przedmiotami w programie wskazanemi, do minut dwudziestu, a przemówienia członków do dziesięciu, wezwał przewodniczący na sekretarzy do pełnych posiedzeń kongresu, oraz sekcji historycznej prof. Bobrzyńskiego i S. Tad. Wojciechowskiego; dla sekcji archeologii i sztuki p. Maryana Sokołowskiego i Celichowskiego.

Naostatek profesor Smółka odczytał rozprawę: „O monarchizmie w pierwszych wiekach Polski;” świeżo uwieńczone tegoż autora, dzieło bardzo wyczerpujące o panowaniu Mieszka II, wkrótce na świat ukazać się mające (wyjątek z niego dała „Biblioteka Warszawska”) za-

znajomi czytelników najlepiej z poglądami autora na historią tych wieków, której nikt jeszcze na taką skalę, z takim bogactwem szczegółów i wielostronnością nie skreślił jak prof. Smółka. Praca jego nowe i wielkie światło rzuca na te dzieje, dotąd nam tylko z luźnych dat i luźnych wypadków znane.

Nazajutrz d. 20 maja, o godzinie kwadrans na dziesiątą rano, pod przewodnictwem ks. Kalinki, rozpoczęły się zapowiedziane prace kongresu. Wedle programu otworzył je prof. Liske, odczytaniem referatu o zakresie i potrzebach wydawnictwa „Monumenta poloniae historica,” rozpoczętych przez nieodżałowanego ś. p. Aug. Bielowskiego, a dziś pod kierunkiem Akademii dalej postępujących... Przedmiot ten, któryby był mógł wywołać rozprawy o planie i metodzie wydawnictw tego rodzaju, o zasadach naukowych na jakich się przedsięwzięcie je wspierać należy, wyborze źródeł i t. p., ze względu na czas, nader szczupło wydzielony i nawet przedmiotów, ograniczyć się musiał do niektórych szczegółów specjalnie wydawnictwa dotyczących. Prof. Liske rozbiierał zagadnienie czy „Kronika Jana z Komorowa,” już przez prof. Zeisberga wydrukowana i niektóre dzieła Kalimacha, całkowicie dotąd nieogłoszone, wejść powinny lub nie w skład Monumentów; również potrzebę i właściwość wciągnięcia do nich ruskich i czeskich kronik. Tu się nastęrczało nader trudne do rozwiązania zadanie całkowitego czy też cząstkowego, w wyciągach ogłaszania źródeł takich jak kroniki ruskie i czeskie; gdy wyciągi, choćby najtroskliwiej dokonane, przy tak ścisłym związku historii Rusi i Czech z Polską, nigdy w zupełności badacza zaspokoić nie mogą, a całkowite kroniki wydawnictwoby niepomierne rozszerzyły?

Prof. Szujski zwrócił uwagę komisji redakcyjnej na źródła znajdujące się w bibliotece Jagiellońskiej, dotąd nie zużytkowane. Prof. Szaraniewicz zabrał głos w przedmiocie kronik ruskich i wydawnictwa osobnego „Monumentów,” dla historii Rusi, wskazując mnogie źródła. Kwestya ta, w obec wydawnictw do historii Rusi już dokonanych gdzieindziej, lub zamierzonych i z łatwością dokonać się mogących, a zarazem potrzeb pilniejszych, w których zaspokojeniu nikt nas wyreczyć nie może—pozostać musiała nierozstrzygniętą.

W ciągu rozpraw tych, znany z prac swoich około dziejów polskich, autor dalszego ciągu historii polskiej po prof. Roepplu objętej—prof. Uniwersytetu wrocławskiego Caro, zabrał głos w języku niemieckim, przemawiając za wydaniem całkowitem dzieł Kalimacha, które nigdy zebrane i drukowane nie były, inne zaś dla rzadkości dawnych wydań, mało są dostępne. Z wielu względów byłoby to nietylko pożądanem, lecz niemal ze strony naszej obowiązkiem, gdyż Kalimach znaczniejszą część życia spędził w Polsce, miał w niej wpływ wielki a jako humanista, nietylko u nas ale i w literaturze europejskiej, znakomite zajmuje stanowisko. Prof. Roepfel, który miał niedługo zamiar wydać pisma Kalimachowe do rzeczy polskich się odno-

szące, oświadczył kongresowi, iż posiadając odpisy kilku z ich, chętnie je komisji wydawniczej udzielić jest gotów.

Jak wszystkie przemówienia d-ra Roeppla i profesora Caro, których udział w kongresie powitano z wdzięcznością i uczuciem, tak i te gorącemi okryto oklaskami.

Przybycie do Krakowa szanownych profesorów Uniwersytetu wrocławskiego, chociaż pracami ich około dziejów naszych tłómaczyć się dało, świadczyło zarazem o współczuciu dla nas, o uznaniu dla prac Akademii, którego w Niemczech dotąd małośmy mieli dowodów. Obecna chwila szczególniejsz tyla się odznaczyła oznakami niechęci, uprzedzeń i lekceważenia w prasie niemieckiej, w sądach o naszej przeszłości, iż dr. Roepfel i prof. Caro za zasługę poczytać było można, za pewien dowód odwagi cywilnej ich na kongres przybycie. Okazywano im też chętnie, jakeśmy to ocenić umieli.

Rozprawy w przedmiocie wydawnictwa „Monumentów” przeciągnęły się jeszcze uwagami nad niem pp. Radziwińskiego, prof. Bobrzyńskiego, P. Parczewskiego, d-ra Smołki, prof. Nehringa. Chociaż prezydujący zmuszonym był w końcu uznać rzecz za wyczerpaną i głos dać referentowi prof. Liske, który za światłe uwagi członkom podziękował, odpowiadając pokrótce na stawione pytania—w istocie czas ściśle wymierzony dozwolił zaledwie rzut oka dać na trudności zadania, na szerokie rozmiary, jakie „Monumenta” przybraćby mogły, chcąc objąć całość źródeł albo niedostatecznie wydanych, lub dotąd wcale nie tkniętych.

Przy dyskusji w tym przedmiocie przekonać się już mogli wszyscy, iż czas na prace kongresu wymierzony, dozwoli ledwie w ogólnych rysach sformułować liczne zagadnienia, programem objęte.

W związku z wydawnictwem „Monumentów” i przedłużeniem niejako rozpraw o ich składzie, był następujący referat prof. Bobrzyńskiego o zapiskach urzędowych, jako źródle dziejowém i o ich wydawnictwie. Wedle programu referat ten powinny być poprzedzić: kwestya wydawnictwa dyplomatów XV wieku (p. Piekosiński) i wydawnictwo historyków XVI wieku (p. W. Zakrzewski).

Prof. Bobrzyński mówił w ogóle o ważności sądowych zapisek pod względem prawnym, administracyjnym, politycznym i skarbowym, żądając systematycznego ich podziału, który z wielu względów okazałby się, ściśle biorąc, niemożliwym, gdyż prawne zapiski mogą mieć zarazem znaczenie polityczne i administracyjne, a skarbowe nie dla samej historii skarbowości są ważne. Żądanie specjalnych opracowań każdego rodzaju zapisków przez ludzi z przedmiotem obeznanych słuszném było, lecz poprzedzić je powinno wydanie pełne, bez podziału, zawsze pewną dowolnością mogącego się skazać. Zabrał w tym przedmiocie głos p. Parczewski, który świeżo wydał właśnie „Analekta Wielkopolskie,” opierając się na doświadczeniu. Po nim, zdawszy prezydium p. K. Jarochowskiemu, przemówił ks. Kalinka, zaliczając do źródeł

pierwszorzędnych, nie tkniętych prawie, tak zwane: Lauda (Mandats imperatifs), któremi województwa posłów swoich na sejmy opatrywały.

Rzecz o Laudach, poruszona u nas niemal poraz pierwszy i przedstawiająca je jako nieodzowne dopełnienie dyaryuszów, jako świadectwo desideratów kraju, potrzeb jego, usposobień, wreszcie jako materiał do historii parlamentarnej, dała powód do dłuższych rozpraw.

Ks. Kalinka motywował życzenia swe w sposób przekonywający, wskazując razem, iż zbiory tych Laudów istnieją, a wydanie ich, jeśli nie in extenso i w całości (bo wiele z nich niemal się powtarza dosłownie), do wyboru, jest możliwem, a pożądanem. Prosił więc Akademii, aby wydaniem tém bez zwłoki się zajęła.

Wezwanie to okryto naprzód oklaskami, lecz prof. Szujski, nie zaprzeczając Laudom pewnej ważności, przemówił jednak za pilniejszym wydaniem pełnych dyaryuszów sejmowych, od których ogłoszenia, zdaniem jego, rozpocząć należało. Ks. Kalinka odpowiedział zdaniem, iż obojga zarówno zaniedbać nie można (et haec facienda et illa non omittenda).

Pan Kazimierz Jarochoński, popierając ks. Kalinkę, dodał, iż dyaryusze sejmowe, przez ochotników najczęściej spisywane, cechy urzędowej nie mające, tak bywają niedokładne, iż częstokroć z nich żądań województw wyrozumić trudno: Lauda dopiero mogłyby je wyjaśnić.

Lauda jednak w tak ogromnej znajdują się ilości, iż wydawnictwo ich zależnem być musi od środków finansowych, jakimi komisya rozporządza.

Nie zaprzeczając zaczęcia Laudów, ważności ich, potrzeby zbioru dotąd zaniedbanego, możnaby wszakże na trudności zwrócić uwagę, jeśli całość nie może być drukowaną, a pozostanie wybór czynić między niemi. Nie zawsze są one w ścisłym związku z dyaryuszami sejmowymi: wiele za ich jest odgłosem potrzeb lokalnych, często spraw prywatnych: wszystko to do historii obyczaju i ducha ma znaczenie, chociaż w ramy życia parlamentarnego epizodycznie tylko wnijść może. W ostatnich zwłaszcza czasach, od połowy XVIII wieku, Lauda zapełnione są desideratami familii wpływowych, mówią o rzeczach prywatnych i tu wieleby eliminować przyszło, a czyniąc to, gdzie zacząć i na czém się zatrzymać? Jak każde wydawnictwo cząstkowe, tak i Lauda byłyby dla redaktorów ich, zadaniem nader drażliwem i trudnem. W pół wieku nowy pogląd na dzieje jużby zmusił zwrócić się do źródeł pierwszych i pełnych

Nie więc w tym przedmiocie nie postanowiono, choć niemniej należy wdzięczność ks. Kalince, iż o tém przemówił i oznaczył ważność tych kajetów naszych, które dotąd zaniedbano.

Profesor Liske, z powodu charakteru, jaki rozprawy nad referatami, z tytułu tylko znanemi, przybierały, odezwał się trafnie, iż na bardzo wiele pytań i kwestyi, stawionych przez prof. Bobrzyńskiego, ważnych i zawikłanych, staute pede odpowiadać nie było podobna.

Radził więc, by na przyszłych zjazdach, pytania pod dyskusyę poddać się mające, zawczasu ogłoszone były i rozpowszechnione. (Całkowite referaty właściwie). Zdanie to p. Liske znaczna część członków poparła. Co do zapisek sądowych, przemawiający był też tego zdania, iż podział ich byłby dowolny i szkodliwy, a dla znaczenia wielostronnego wydawać należy tak jak są, aby potem każdy na swój sposób z nich korzystał.

Profesor Caro zwraca uwagę na obfite źródła do historii polskiej w Archiwum państwa, w Moskwie się znajdujących; p. Radziwiński na wydawnictwa komisji archeologicznej kijowskiej i w ogóle na to wszystko, co w ostatnich czasach w Rosyi ogłoszonym było, do dziejów naszych się odnoszącego. Ad vocem wydawnictw rosyjskich dla nas zajmujących, należy przypomnieć pracę obszerną d-ra Jarochońskiego, którą historyczno-literackie Towarzystwo w Paryżu oceniło, a Akademia ogłosiła. Daje ona wyobrażenie o niewyczerpanych bogactwach, jakie archiwa biblioteki, muzea, zbiory aktów w Petersburgu i Moskwie publiczne i prywatne zawierają.

Ks. Łukowski mówił z kolei o ważności zapisków konsystorskich. Naostatek po zabranym głosie przez referenta prof. Bobrzyńskiego i podziękowaniu profesorowi Caro za udzielone wskazówki, posiedzenie zamkniętém zostało, a właściwie odroczoném do godziny trzeciej po południu.

Zaprzeczyć nie można, iż w sprawie wydawnictwa źródeł historycznych, wiele myśli rzuconych zostało, wiele braków wskazano, wiele desideratów przypomniano, chociaż czas nie dozwolił wejść w szczegóły i postanowić coś w tym przedmiocie. Wobec tego, co Akademia już uczyniła, co rozpoczęła, nowe wymagania byłyby niemal niesprawiedliwością. Kongres więc miał na celu innym naszym stowarzyszeniom naukowym, ludziom dobrej woli, miłośnikom nauk wskazać: w czém oni pomocą być instytucji mogą i powinni. Z tego względu posiedzenie miało doniosłość wielką.

Niezwłocznie po zamknięciu o wpół do dwunastej posiedzenia pierwszej sekcji kongresu, otwarte zostało pod prezydencją J. I. Kraśzewskiego, posiedzenie drugiej sekcji archeologiczno-artystycznej, w programie oznaczone rozprawą prof. Wł. Łuszczkiewicza: „Czy można konstrukcyę kościołów krakowskich gotyckich XIV wieku uważać za cechę specjalną ostrołuku w Polsce?”

Sporną tę kwestyę szanowny referent, który zasłużył się studyał swemi nad najstarszemi w Polsce pomnikami budownictwa, rozwiązać się starał potwierdzająco, dowodząc, że ściśle wzięwszy, głównych kościołów krakowskich zaliczyć niepodobna do dwóch głównych typów gotyku: zachodnio-europejskiego kamiennego i wiślano-baltyckiego ceglanego, na który materiał użyty wpłynął przeważnie, charakterystyczne wyrabiając kształty. Zdaniem prof. Łuszczkiewicza, krakowskie kościoły są niejako zlaniem obu tych typów, stanowiącém trzeci typ,

pewną odrębnością się odznaczający. Z formy ciosowej zachodniej zachowany tu jest filar aż do arkady otwierającej nawę boczną, arkada i wnęki podsklepienne: resztę wypełnia cegła. Cegła ad hoc urabiana, modelowana umyślnie, tu się nie spotyka; kształty halli i ceglane Strebebogen także. W kościołach krakowskich kształty są ciosowe, z małemi zmianami, do jakich materyał (cegła) zmuszał.

Jako charakterystyczny, wymienia profesor system skarpowania. Skarpy w kościołach o trzech nawach, zbiegające przy filarach prosto na dół, tak, że boczne nawy zostają poza niemi jak przybudowane, a usunąwszy je i zapełniwszy arkady boczne, z kościoła o trzech nawach, otrzymaćby można jednonawowy. Profesor przywiódł jako przykład tego wahania się i połączenia dwóch typów na Wawelu: filary skarpowane i łukowe przypory; u Panny Maryi łuki zaniechane, choć ślad pozostał, iż zamierzone były.

Gotyki ten krakowski widzi profesor w katedrze gnieźnieńskiej najsymetryczniej wyrobiony; jedyny przykład zastosowania go poza obrębem Krakowa. Nie zaprzeczając, iż w budowach tych pewne braki dostrzegać się dają, jako zalety ich, wymienia referent wyniosłość nawy głównej, wspaniałe okna, oświetlenie środkowej halli i t. p. To wszystko stanowi, zdaniem jego, oryginalność i właściwość budownictwa ostrołukowego krakowskiego.

Zabierający głos dr. M. Sokołowski, dodaje do znamion wymienionych charakterystyczną cechę okien głównej nawy w kościołach krakowskich, dolną swą częścią przypominających „zaczarowane jakby triforia romańskie.”

Analogię pewną tych budowli upatruje p. Sokołowski z niderlandzkimi, wskazując, że należałoby bliżej zbadać, czy budowle krakowskie nie są tylko rozwinięciem właściwem przyniesionych tu przez mistrzów niderlandzkich pierwiastków. Oprócz tego zadaje dwa pytania, mogące objaśnić główne badanie odległości filarów od siebie w kierunku długości kościoła, do szerokości nawy głównej. Stosunek ten, normalnie być mający, jak 1—2, dochodzi tu do 3—4. P. Sokołowski zapytuje, czy on nie wyniknął z odmiennego systemu skarpowania.

Ważniejszém jeszcze nam się wydaje drugie pytanie, czy w technice szczegółów i ornamentacyi gotyku nie odzywa się i nie przypomina budownictwo drewniane, które u nas było do wysokiego stopnia rozwinięciem i musiało w pewnej mierze wpłynąć na to, które po niem nastąpiło.

Pan Lindquist, budowniczy, potwierdzając zdanie prof. Łuszczkiewicza co do właściwości gotyku krakowskiego, cechuje go jako przejście z romańskiego stylu do ostrołuku. Naostatek referent wnioski swe powtarzając, dodaje, iż ów gotyk polskim przez niego nazwany, zjawia się późno, trwa wiek przeszło, ale wydaje małą liczbę kościołów w Krakowie samym, najbliższej okolicy i w Gnieźnie.

Czy odrębności tego stylu, bardzo trafnie wskazane przez prof. Łuszczkiewicza, starczą na nadanie mu tego nazwiska i czy pod wzglę-

dem artystycznym mają też znaczenie, jakie pod względem technicznym im przynależy; czy wreszcie myśl samowiedna wytworzenia nowego piękna wyłania się tu w tej walce dwóch materiałów budowlanych, rozstrzygnąć trudno. Właściwości podobnych w architekturze gotyckiej naliczyć można bardzo wiele we wszystkich większych ogniskach europejskich. Odznaczają się niemi nie tylko kraje, ale prowincye, co jednak nie przeszkadza, że do wielkich typów budowlanych są zaliczane te warianty jednego szerepu.

Przed zamknięciem posiedzenia Włodzimierz hr. Dzieduszycki przedstawił kongresowi przygotowane tablice do wydawnictwa, które nie tylko archeologią krajową, ale europejską najżywiej obchodzi. Przedmioty, które one przedstawiać mają, znalezione w Galicyi, stanowią epokę i stoją dotąd tak odrębnie, iż ich z niczem porównać, obok żadnego znanego wykopaliska stawić niepodobna.

O odkryciu tak zwanego złotego skarbu Michałkowskiego, o szczęśliwem nabyciu go przez Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, donosiły dzienniki. Oglądali te zabytki archeologowie nasi i obcy z równem zdumieniem i równem wahaniem się w oznaczeniu charakteru ich pochodzenia i wieku, do jakiego odnosić się mogą. Składają się one z ozdób, których nawet przeznaczenie nie daje się odgadnąć. Koronę, pas, guzy, spinki w nich widziano. Rysunek i kształty mają w sobie coś oryentalnego, dziwaczного, niemal barbarzyńskiego, choć wykonanie szczegółów pewnej technicznej wprawy dowodzi. Pomiedzy znanymi zabytkami sztuki złotniczej, w europejskich muzeach z trudnością się znajdzie coś, w analogii zupełnej stylu będącego ze skarbem Michałkowskim.

Hr. Włodz. Dzieduszycki całe to wykopalisko polecił artystom odwzorować jaknajstaranniej i zamierza wydać rysunki wraz z objaśnieniami. Dopóki to dokonane nie zostanie, wszelka dyskusya nad skarbem niemożliwa jest i niewłaściwa. Czekać więc musimy, choć z największą niecierpliwością, na wydanie, a tablice niestety, dłuższego czasu wymagać będą.

Skarb Michałkowski co do ilości znalezionych w nim ozdób, przewyższa sam wszystko, co na ziemi naszej razem wzięte ze złota odkrytém zostało. Tylko grobowce scytyjskie, z których dobyte złoto znajduje się w zbiorach petersburskich, mierzyć się z tém mogą.

O godzinie trzeciej tegoż dnia, przewodniczący sekcji historycznej, zagaik następne jej posiedzenie.

Na stole złożony został tom trzeci „Kodeksu dyplomatycznego” Uniwersytetu krakowskiego, wydany staraniem jego dla uczczenia pamięci Długosza.

Pominięty z programu na ranném posiedzeniu referat prof. Zakrzewskiego o wydawnictwie historyków XVI wieku, przyszedł teraz na porządek dzienny. Przedmiot ten dla ogółu dostępniejszy a szerokie pole do rozpraw podający, obudził żywe zajęcie i wywołał ciekawe a ważne komunikacye ze strony członków kongresu. Prof. Zakrzew-

ski wskazał ważność wydawnictwa „Tomicyanów,” przedsięwziętych przez Działyńskich i już do tomów dziewięciu doprowadzonych. (Ostatni, jak wiadomo, dwa razy był drukowany, dla poprawek, które się okazały niezbędnymi). Referent zastanawiał się nad warunkami podobnych publikacji, zalety i niedostatki wykazując, oraz metodę jakiej trzymać się należało.

Zabrał głos prof. Roeppeł, pochwalając gorliwość w wydawaniu źródeł nowych, uznając metodę, ale razem wyrażając obawę, aby zaprzątnienie niemi nie odwróciło uwagi od wielce potrzebnych przedruków dawnych historyków, które dla studyów młodzieży są nieodzowne. Nastawał na wydawnictwo tanich i popularnych źródeł, na wzór podobnego wydania Pertza, in usum scholarum. Szanowny profesor, który o wykształceniu nowego pokolenia pracowników nie zapomina, upomniał się w interesie jego o to, co może jedynie je ułatwić i wszystkim uczynić dostępnym.

Kwestya tanich wydań jest w istocie wielkiej wagi. Widzimy na wspaniałych i kosztownych „Tomicyanach,” wydanych oddawna, a wcale prawie nie zużytkowanych, bo z nich dotąd mało kto korzystał, jak wiele zależy na tém, by książka z bibliotecznego pulpitu dostała się do prywatnych zbiorów. Inne też kosztowne wydania, dotąd na własność ogółu nie przeszły.

Prof. Szujski, nie zaprzeczając ważności wniosku d-ra Roeppla, stającego w obronie interesów młodzieży i przyszłości; zwraca uwagę na źródła archiwalne, dotąd nietknięte i podaje w wątpliwość, czy przed wydobyciem ich z ukrycia, praca nad historją XVI wieku w ogóle jest możliwą.

W takim razie jednakże, długobyśmy na rozpoczęcie jój oczekiwać musieli, bo materyał nierychło zostanie wyczerpany. W krajach, w których oddawna, z wielkim zasobem sił naukowych i finansowych źródła się ogłaszają, jak np. we Francyi, w Anglii, w Niemczech, jeszcze ich ciągle wielka ilość przybywa; cóż dopiero mówić u nas, gdzie siły daleko mniejsze a materyał tak rozpieczniony, że niekiedy część jego nad Newą, druga nad Sprewą, a reszty nad Dunajem szukać potrzeba? Ileżto czasu upłynie, nim my go zebrać potrafimy?

Prof. Bobrzyński poparł wniosek Roeppla co do wydawnictwa źródeł dla uczniów seminariów historycznych, w porządku chronologicznym, zamykając jak ks. Kalinka rozprawę o laudach: et haec facienda et illa non omittenda.

Wszystko to razem otwiera tylko d-ra oczy, na niezmierną potrzebę usilnej pracy w rozmaitych kierunkach.

Dano głos d-rowi Arturowi Wołyńskiemu, przybyłemu z Florencyi, który odczytał wiadomość o materyałach do historyi polskiej znajdujących się w archiwach włoskich. Żałować przychodzi, iż niebytność na kongresie hr. Augusta Cieszkowskiego nie dozwoliła mu dopełnić jój, sprawozdaniem z poszukiwań w archiwach weneckich, które staraniem jego od lat wielu się czynią i obiecują plon obfity.

Z powodu wzmianki o „Tomicyanach,” w kwestyi autorstwa Conciones Górskiego i w sprawie tego wydawnictwa, zabrał głos d-r Liske, w końcu wniosek d-ra Roeppla popierając.

Ks. Chotkowski przemówił o potrzebie przedruków materyału do historii Unii w Polsce. Inni członkowie kongresu udzielają mu wiadomości o mniej znanych materyałach: prof. Smotka o korespondencji Albrechta I z rezydentami jego w Polsce od r. 1463, zachowującej się w Gdańsku, prof. Caro, o części jej w Petersburgu w Archiwum sztabu głównego. Wskazówki te prof. Caro, który niedawno badał archiwa petersburskie i moskiewskie, spowodowały wniosek, aby po ukończeniu prac kongresowych, osobno zebrane biuro, zasięgnęło u niego bliższych wiadomości w tym przedmiocie.

Następnie, z programem zgodnie, odczytał dr. Wiślocki rzecz o korzystaniu z manuskryptów średniowiecznych dla historii oświaty, sztuki i języka. Prof. Szujski wziął ztąd asumpt do przypomnienia o historii uniwersytetu w XV wieku, zapytując prof. Tomka o materyały do historii burs polskich i litewskich w Pradze. Prof. Tomek zabrał głos po czesku, a sprawozdawca Czasu wyraził się że: „samo brzmienie téj mowy, tak drogiej dla serca polskiego, wywołało w słuchaczach radość i przypomniało te błogie czasy, kiedy postowie królów czeskich w Krakowie, na dworze królów polskich, w swoim przemawiali języku.” Oklaski towarzyszyły sympatycznemu przemówieniu historyka Pragi. Prof. Caro ad vocem burs, napomknął o materyałach do historii burs polskich w Lipsku i innych uniwersytetach niemieckich, oddając cześć zastudze Muczковского w wydaniu ksiąg matrykularnych XV wieku.

I to więc posiedzenie obfitowało w różnorodne a ważne wskazówki, z których członkowie korzystać mogli. Rzucono wiele myśli, z których ziarna, da Bóg, w przyszłości coś urosnąć może.

Do czynności kongresowych d. 20 maja, ściśle biorąc uczyły w Sukiennicach dla przybyłych gości wydanój, zaliczyć się nie godzi, ale ani ją pominąć milczeniem. Jest w naturze podobnych zjazdów, iż urzędowe ich sprawy, często mniejszego są znaczenia i wpływu niż te, które poza obrębem posiedzeń i narad. Z prywatnego, poufatego zbliżenia się członków, wymiany myśli, zawiązania stosunków wyrastają. Obiad w Sukiennicach oprócz tego, obfitował w tyle charakterystycznych momentów, iż zamilczec o nim w sprawozdaniu się nie godzi.

W czém nam własna pamięć nie starczyła, opieramy się na relacyi „Czasu,” którą za urzędową uważać można.

Około godziny 6-ój zaproszeni zgromadzili się w Sukiennicach, gościnnie przyjmowani przez d-ra Szlachtowskiego, oczekując na przybycie współbismadników w salach wystawy sztuk pięknych i korzystając z téj chwili do obejrzenia obrazów, między którymi Matejko i Grotger, Ajdukiewicz i kilku młodszych uczniów szkoły krakowskiej zwracali uwagę.

Zgromadzenie bardzo liczne składało się ze wszystkich przybyłych gości i znakomitszych osób znajdujących się w Krakowie. Sala w pośrodku gmachu naprzeciw ulicy Szewskiej, przeznaczoną była na pomieszczenie towarzystwa i zaledwie objąć je mogła. Z gościnnością prawdziwie polską, gospodarze podejmowali członków zjazdu.

Pierwszy toast wznosił prezes kongresu dr. A. Małeczki na cześć cesarza, wskazując ile kraj mu był winien, a szczególnie ta instytucja, której zjazd był dziełem. „Nie jest to jedyne dobrodziejstwo—mówił—jakie naród nasz otrzymał z rąk najdosłojniejszego monarchy, który zgodnie z godłem swego domu wypisanem w Burgu wiedeńskim: „*justitia regnorum fundamentum*,” miłościwie nam panuje i obdarzył nas największym skarbem: bo językiem ojczystym w szkole, urzędzie i sądzie. Pierwszy też toast niech będzie toastem wdzięczności: „za zdrowie, pomyślność i cześć cesarza Franciszka Józefa.” Biesiadnicy powstali podnosząc trzykrotnie okrzyk i stojąc wysłuchali odegranego przez muzykę hymnu narodowego austriackiego.

Wkrótce potem wstał p. Paweł Popiel, wznosił drugi toast, który, ponieważ nas nie doszedł i nie był dla nas jasnym, powtarzamy według „Czasu.”

„Zebrałiśmy się wczoraj na tój skale, na której odbył się fakt historyczny, który dał cechę moralną całej przeszłości naszego narodu (?). Oddając cześć czterowiekową szczątkom ojca Kościoła, wielkiego miłośnika ojczyzny, polityka i pisarza, który, jak żaden przed nim i po nim, naród swój znał, kochał, strofował jego błędy, a zostawił prace pomnikowe, przechodzące siły jednego człowieka, bez których chodzilibyśmy dziś w przeszłości naszej jak poomacku, wierni jego naukom i przykładom, wyznajemy, że byt narodu jest nie w słowach, ale w czynie i w mocy i dlatego podnosząc te słowa i kielich, nie myślę zagrzewać do miłości i nadziei, bo tego zapалу nigdy u nas nie brakło, ale dlatego, aby dać świadectwo zdrowemu uczuciu, które nas tu zebrało i łączy pod godłem pamięci wielkiego męża, a które pomnikami pracy i nauki nanowo zakłada fundamenta bytu i ustroju ojczyzny. Instytucje, ustrój polityczny, siły społeczne są zawsze skutkiem nauki i zasad. Prawdy uznane albo ukochane błędy gotują życie albo śmierć, bo ludzkość co ukochała w myśli, to nieubłaganie wprowadza w czyn: te słowa zrozumie każdy, co umie czytać Długosza. Oddaną więc będzie cześć tym, którzy wykształcili nasze sądy i nauczyli cenić pisarza, który wyprzedził niemal o wiek Macchiavella, Gherardina, Filipa de Commines i który dlatego nie do naszej tylko, ale do ogólnej literatury należy. Czemuż Z. A. Helcel nie doczekał dnia tego, jemuby przystało podnieść głos o zasługach Długosza i podnieść kielich w tój myśli, aby za przykładem jego wytrwać w rozumnej i odważnej, uznanj albo nieuznanj pracy na chwałę Boga i dobro ojczyzny.”

Rektor Uniwersytetu dr. Dunajewski powstał, oświadczając, że zgodnie z wolą gospodarzy, toast następny wniesie w języku niemieckim, z powodu gości do tój narodowości się liczących, którzy zjazd za-

szczycili swą przytomnością. Dodać należy, iż w życiu parlamentarném wyćwiczony, utalentowany mówca, z wielką łatwością, elegancją, swobodą, wyrażał się jakby własnym językiem.

„Każdy czas ma swoje troski i każdy ma swoje pociechy, mówił; epoka nasza przedstawia nam walkę na polu moralnych, duchowych i narodowych zagadnień, a i w dziedzinie interesów materyalnych rzeczywista czy pozorna sprzeczność poruszyła aż do najgłębszej głębi wszystkie warstwy społeczeństwa, tak, że przyjaciel ludzkości nie bez wielkiej obawy spogląda w przyszłość, a nasuwa mu się wątpliwość, czy będzie nam możebném przekazanie przez kilka lat tysięcy najwyższe skarby cywilizacji, całe i nietknięte oddać następnym pokoleniom. Obok tych trosk są i pociechy: pierwszą znajdujemy w niezaprzeczo-ném w dziejach czuwaniu Opatrzności; w niedocieczonej swojej mądrości znalazła ona i znajdzie zawsze sposoby, aby rozproszyć mgły pokrywające walki i naszych najszlachetniejszych dążeń i poziomych namiętności, jasnym swym promieniem wskazać ludzkości drogę, wiodącą do najwyższych celów doczesnego życia, do wzajemnego porozumienia i poszanowania się narodów w prawdzie i prawdzie (?) bo tylko prawda jest rękomią prawdziwej wewnętrznej i zewnętrznej wolności. Znajdujemy także pociechę, że mimo i wśród tych rozterek żyje i działa jeszcze u wszystkich narodów europejskich, ta wielka res publica litterarum, która także przebywa swoje walki i swoje zwycięstwa, ale walki bezkrwawe, bo duchowe, a zwycięztwa nikomu niebolesne, bo wszystkim pożyteczne. Wszyscy tu szermierze jednego znają tylko nieprzyjaciela, t. j. błąd i jeden tylko cel, t. j. prawda, a jak pięknie nasz sz. gość (dr. Roepell) na posiedzeniu Akademii powiedział: „praca naukowa nie dzieli, ale łączy narody,“ a najszlachetniejszą, choć najdawniejszą, najwięcej zajmującą, choć może najtrudniejszą jest praca tych uczonych, którzy z najgłębszych szybów przeszłości, z tradycyi, z pomników, z świadectw wydobywają i odbudowują całość dziejów narodowych. I my tu, w tym starym grodzie królewskim, obchodzimy w tych dniach uroczystość narodową, dziejową ku czci zmarłego, a da Bóg na pożytek żyjących. Że tę uroczystość tak swobodnie, z takiem zaufaniem w trwałość naszej pracy obchodzić możemy, za to należne już dzięki wyraził szanowny mój przyjaciel (Małeck) wspaniałomyślnemu Monarsze, którego łasce i ojcowskiej opiece zawdzięcza ten ciężko doświadczony kraj, stan swój terażniejszy, o którym rzec można: *rara temporum felicitas, ubi sentire quae velis et quae sentias, dicere licet.*

Mnie, z woli gospodarzów, przypadł miły obowiązek pozdrowić na tém miejscu gości naszych cudzoziemców i podziękować im, że prawdziwi rycerze ducha nie wahali się na chwilę opuścić swe ogniska domowe i poświęcić czas swój służbie naukowej oddany, aby wspólnie z nami cześć złożyć ceniom wielkiego polskiego historyka. Wywiązując się z tego obowiązku, niech mi wolno jeszcze będzie wyrazić nadzieję, że szanowni goście nasi powezną z pobytu swego między nami

to przekonanie, że umiemy jak należy oddać cześć i uszanowanie wielkim zasługom i zdobyczom naukowym przodującego dziś w tej dziedzinie pracy naukowej narodu niemieckiego; że nie możemy lepszego dać wyrazu tego uszanowania, jak tém, iż usiłujemy ile możności naśladować was w wytrwałości, pracy i w koniecznym warunku każdego powodzenia: cierpliwości; że na was się zapatrując, staramy się z dziejów naszych niczego niezapomnieć a jak najwięcej się nauczyć, że w badaniach naszych szukamy przede wszystkim prawdy, wiedząc, że ona, choć gorzka, zawsze jest lepszą, niż każde złudzenie, a choć bolesna, najlepszym jest lekarstwem tak dla jednostki, jak dla całego narodu. Do tej nadziei niech mi wolno będzie dodać prośbę, abyście radość naszą, z powodu waszego uczestnictwa w tym zjeździe, nie mierzyli miarą skromnych naszych środków, lecz tém uczuciem, któremu należytego wyrazu słaby mój głos dać nie może. Odwołuję się więc do pomocy mych rodaków tu zgromadzonych, aby mi pomogli wnosząc ze mną toast na cześć gości naszych cudzoziemców dr. Roepella i dr. Caro."

Dr. Roepel odpowiedział na toast jak następuje:

"Słowa Jego Magnificencyi Rektora spotykają mnie nieprzygotowanego i wprawiają mnie w taki nastrój, że odpowiedzieć tylko mogę, jak odpowiada na głos przenikający nas do głębi wewnętrzne echo; więc w ten sam ton i tok myśli pragnę uderzyć. Jest temu lat czterdzieści, kiedy zwróciłem badania do dziejów Polski. Za godło tej pierwszej na tém polu pracy wziętem słowa: „Prawda was wyzwolił."

"Was man in der Jugend wünscht, hat man im Alter Fülle."

Powiedział Goethe, że marzenia młodości w starości się ziszczają. Nie odnosi się to do codziennych, osobistych marzeń; to inna sprawa i nie zawsze się tu te słowa sprawdzają; ale słowa te są prawdą, gdy marzenia nasze odnoszą się do rzeczy, do pracy podjętej. Otóż, panowie, ziściły się marzenia moje, odnośnie do historii polskiej. Gdy rozpoczynałem jej badanie, zasób źródeł do niej był tak nadzwyczaj szczupły, zastęp pracujących, jak Lesław Łukaszewicz, Moraczewski, Muczkowski, Antoni Helcel i inni, nieliczny. Dziś zgromadzenie to najlepszym jest dowodem, jak zastępy badaczy się wzmogły, a prace i źródła, dotyczące historii polskiej, rozszerzyły. Do jednej epoki wieków średnich, publikacje źródłowe tworzą już odrębną bibliotekę. Jego Magnificencya Rektor przypomniał słowa, które wyrzekłem na posiedzeniu Akademii, że zadanie historii badania i rozpowszechniania prawdy, nie rozdziela ale łączy narody. Jeśli panowie uznajecie, że naród, do którego ja należę, oddał ludzkości w postępie wiedzy usługi, to niemniej z pociechą i uznaniem patrzę na rozwój umiejętności historycznych w Polsce i powtarzam to godło, jakie wypisałem przed czterdziestu laty na pierwszej mojej książce. Spędziłem cały żywot w zawodzie profesorskim i wiem, jaka potęga leży w tém, aby zdobycze naukowe starszego pokolenia przechodziły w następne. Kraków, siedziba stariej wszechnicy, której, Ty, Magnificencyo, obecnie

przewodniczysz, stał się dziś ogniskiem życia naukowego. Pozwólcie więc panowie, że połączę dwa toasty w jeden: toast na cześć uniwersytetu Krakowskiego, ale w tém rozumiem profesorów oraz i uczącą się młodzież."

Oklaskami przyjęto odezwanie się szanownego profesora, który poraz już wtóry sprawę uczącej się młodzieży przypomniiał i sympatją okazał dla niej."

Prezes Akademii, dr. Majer, zwracając się potem do przytomnego dr. Tomka, wznioł toast uczonych narodu pobratymczego, z którym nas tyle łączy węzłów, oprócz szczepowych, historycznych i cywilizacyjnych. „To podanie sobie bratnich dłoni, mówił, na dwojakiem polu się odbywa: na jedném, gdzie przychodzi się zmierzyć z przeciwnikami; na drugiem, gdzie nauka wpływem swoim usuwa namiętności i myśli jednoczy. Czesi w życiu naukowym zaszczytne zawsze zajmowali miejsce: dość wspomnieć, że uniwersytet Pragski jest najstarszym z uniwersytetów monarchii austriackiej, że odrodzenie narodowe w naszym wieku od prac i badań uczonych, lingwistów i historyków się rozpoczęło. Jak my z ręki wspaniałomyślnego Monarchy otrzymaliśmy, tak Czesi oczekują warunków dla rozwoju życia narodowego na polu naukowym i językowym. Ziszczeniem tych życzeń, rozwoju w tym kierunku dla pobratymczego narodu pragniemy."

Wychyłono toast na pomyślność narodu czeskiego, dr. Tomek podziękował po czesku, wspominając obu narodów dni szczęśliwości i sławy, a po nich epokę nieszczęść; której, niestety, poczęści one same były przyczyną. Wyraził nadzieję, że pracą, nauką, siłami połączonymi dźwignąć się można z upadku.

Zawołano zewsząd „sława!"

Hr. Tarnowski powstał i począł, wśród natężonej uwagi słuchaczów:

„Obchód na pamiątkę i cześć historyka, zjazd naukowy historyków, rozprawy w przedmiotach historycznych, historia na porządku dziennym między nami, wciąga się ją w siebie w tych dniach jak powietrze, a wszystkie myśli tak nią przesiąkły, że i takiemu nawet, co wstaje mówić z kieliszkiem w rękę, płacze się ona ciągle po głowie.

Nie uczona wprawdzie, ani krytyczna, owszem ta dziecinna, która nas wszystkich niegdyś uczyła, że „około roku 500 po Chrystusie przyszedł do Polski Lech, znalazł orle gniazdo i założył na tém miejscu miasto, które nazwał Gniezdem," że później aniołowie przyszliz nieba błogosławić domowi kołodzieja, że kiedyś jeszcze ciemny chłopczyzna przejrzał cudownym sposobem przy odrzędzie postrzyżyn. Ale to wszystko bajka nie historia? Zapewne, tylko są bajki, którym krytyczna prawda nie poradzi: gdyby sto razy dowiodła, że nie było nigdy Achillesa, Achilles zawsze będzie żył w sławie u ludzi, wilczyca będzie zawsze symbolem początku Rzymu, choć dwojga bliźniąt nigdy zapewne nie karmila. Tak i Lech i Gniazdo i Piast z aniołami i postrzyżyny Mieczysława przetrzymają krytykę, choć jój nie wytrzymają, będą

nam przypominały zawsze, że tam koło Gniezna początek, ojcowski dach, zpod którego synowie rozeszli się po świecie. A to, to już nie bajka: jak i to nie bajka, że do tego rodzinnego gniazda zwracamy się zawsze ze czcią, z serdecznym przywiązaniem, z gorącym życzeniem, żeby je widzieć trwałem i mimo wieku kwitnącym. A gdybyśmy kiedy zapomnieć o niem chcieli, nie dałaby nam zapomnieć pierwsza w życiu lekcya historyi, bajka o Lechu i Piaście.

Historya, nie bajka już, mówi, że później, środek ciężkości przemieścił się z Wielkiej-Polski do Małej, a od koronacy Łokietka do śmierci Sfefana dobre i świetne czasy Rzpltej mieści w Krakowie.

Ale i ten jak odebrał niegdyś zaszczyt przodowania, tak go sam ustąpić musiał i dalsze pasmo dziejów wysnuwa się z Warszawy. A te późniejsze dzieje, choć czasem smutne jak śmierć, niemniej drogie od jaśniejszych i weselszych.

Zebrani w Krakowie z Wielkopolski i z Warszawy, przypominały sobie nawzajem te trzy epoki naszego bytu, te trzy przenosiny naszej korony i naszej stolicy. I nie jedno tylko, bo patrząc na obecnych, widzi się, że każdy niemal coś tu przypomina. Na widok jednego, myśl idzie daleko na Północ za Zygmunta Augusta infancką wyprawą, albo wyobraża sobie Chodkiewicza pod Kirchholmem; inny zwraca ją nad Dniestr i każe wspomnieć o Chocimiu. Zebrani dla uczczenia, dla poznawania przeszłości, jedni drugim stawiamy przed oczy, całą od pierwszej bajki o Lechu, aż do tej ostatniej, która w usta Kościuszki kładzie słowa, których nie powiedziały.

To przeszłość, a terażniejszość? Tej całym zadaniem właśnie dowieść fałszu tej ostatniej historycznej o nas bajce i zbić ją na zawsze. Czy spełnia to zadanie? nie dosyć zapewne, nie dobrze: ale o smutnych rzeczach nigdy tylko zapominać się nie godzi, godzi się nie zawsze o nich mówić. A więc mówmy o weselszych i powiedzmy sobie, że w tej terażniejszości smutnej są przecież pociechy, że ona jakkolwiek przecież obowiązek swój spełnia. A że tak jest, dowodem nie małym są słowa chlubne, które przed chwilą słyszeliśmy z ust poważnych, jak mało w Europie, a nie polskich. One świadczą, że wy panowie właśnie, wy, którzy przeszłością zajęci, macie powołanie, ale i odwagę mówić prawdę „niech boli jako chce,” wy, co mówicie ją o przeszłości nie dlatego, żeby rozwiać lotną mgłę legend o Lechu lub Krakusie, ale dlatego, by terażniejszość prawdy nauczyć, by rozbić twardy i uparty fałsz sądów i mniemań o sobie, by nauczona znać siebie zdołała silnie, niezbitcie zadać fałsz owęj ostatniej historycznej bajce, o której wspominałem.

A to czyż nie dowód także, że w imię terażniejszego obowiązku, przyszłego pożytku, a przywiązania do dawnych czasów i ludzi, zbieracie się ze stron najdalszych, że wspomnienie zmarłego przed wiekami człowieka, ściąga nas jak magnes dlatego, że nas dzisiejszych do owych przeszłych zbliża.

Zjazd wasz, panowie, dowodzi, że są w duszy ludzkiej i w dziejach ludzkich jedności nieprzerwane jak dzieje, wiekuiste jak dusza, silniejsze od czasu, a panujące nad przestrzenią.

W imię więc tej jedności duszy i dziejów, na miejscu, które jak niegdyś na dobre czasy Rzpltej patrzyło, tak dziś szczęśliwsze jest od innych, powodzenia naszym miłym gościom, z jakichbądź stron przybyli, czy tych, gdzie był początek naszej historii i tych, gdzie jej schyłek, jak i tych, gdzie jej najdalsze zapędy: życząc wszystkim, żeby nam niczego zazdrościć nie potrzebowali, a zapewniając, że jeżeli z ich tutaj pobytu urośnie może jaka miejscowa legenda, w której historycy przyszłości starannie będą fałsz od prawdy oddzielali, to rzetelną historyczną prawdą jest i będzie zawsze nasza dla nich gorąca, serdeczna miłość."

Po chwili J. I. Kraszewski wniósł toast na cześć Krakowa w tych słowach:

"Sądzę, że zabierając głos dla wzniesienia toastu na cześć starego grodu, który nas z taką staropolską przyjmuje gościnnością, spełniam nie tylko gorące pragnienie serca własnego, ale i wszystkich, jak ja, na tę uroczystość, na tę biesiadę przybyłych. Wdzięczni wam jesteśmy, szanowni rodacy, żeście nam dozwolili się tu skupić w imię wielkiej idei, dla oddania hołdu ceniom wielkiego męża, dla związania z sobą na polu pracy dwóch światów: przeszłości i przyszłości. Wnoszę więc toast na cześć Krakowa i Krakowian z tém życzeniem, aby ta stara, niegdyś państwa stolica, stała się dla nas stolicą nową i ogniskiem nauki, światła, stolicą sztuki naszego i pracy ducha polskiego, który przeżył grób i zmartwychpowstaje z niego do nowego żywota. Krakowa i Krakowian zdrowie!"

Po tym toaście dr. Zyblikiewicz zasługi Akademii wykazując w utrzymaniu i rozwijaniu bytu narodowego, w zachowywaniu tradycji i wspomnień przeszłości dla następujących pokoleń, wezwał do toastu na cześć Akademii.

Po nim mówił dr. Warschauer jak następuje:

"Pozwólcie, zacni panowie, bym wśród trwającego a uroczystego obchodu jubileuszowego wiekopomnego patrioty, myśliciela, polityka i historyografa, nie jako historyk z powołania, ale jako simplex servus Dei, jako przyrodnik i lekarz, nawiązał moje przemówienie, by podnieść zasługi dostojnych mężów, którym zawdzięczamy wydawnictwo dzieł Długoszkowych.

Na samym czele stoi Mąż patriotycznej a szlachetnej ofiarności, a tym jest nieodżałowanej pamięci hr. Aleksander Przędziecki, który pierwszy powziął myśl wydawnictwa dzieł po Długoszu pozostałych (huczne oklaski).

Dostojnym Jego Ceniom oddał należny hołd Przewodniczący komitetu gospodarczego zjazdu historycznego imienia Jana Długosza, dr. Szujski, w swém zagajeniu zjazdu (oklaski).

Ś. p. hr. Aleksander Przeddziecki przekazał w spuściźnie synom swym dostojnym hr. Konstantemu i Gustawowi dopełnienie tego pomnikowego przedsięwzięcia. Ci też dostojni panowie postępując w duchu swego przezacnego rodzica, chlubnie wywiązują się ze swego zadania (huczne oklaski).

Dla dopięcia celu zamierzonego, zaprosił sobie przed dwudziestu laty zacny dobrodziej i mecenas pamiątek naszej świetnej przeszłości, hr. Przeddziecki, uczonych, a w Krakowie zamieszkałych mężów, do zajęcia się naukową i techniczną stroną wzmiankowanego wydawnictwa.

Nazwiska tych mężów podać do publicznej wiadomości, uważam za święty obowiązek, a są nimi: dr. Żebrawski, sędziwy akademik, mąż głębokiej nauki, pracownik w licznych gałęziach nauki, badacz przyrody, matematyk, literat, archeolog, znawca numizmatów, a we wszystkich tych kierunkach znakomity, wydaje od samego początku wydawnictwa aż do obecnej chwili indeksa do wszystkich dzieł Długosza.

Udział w wydawnictwie prof. d-ra Łepkowskiego, znakomitego archeologa i badacza w dziedzinie historii i sztuki, p. Żegoty Paulego, znakomitego znawcy na polu bibliografii, odnoszącej się do rzeczy polskich, usta lającego tekst pozostałych prac Długosza, a nadewszystko głębokiej uczoności, a uosobionej skromności byłego profesora literatury polskiej przy Wszechnicy Jagiellońskiej, p. Karola Mecherzyńskiego, który dokonał przekładu polskiego dzieł Długosza właściwym sobie, a mistrzowskim językiem, godnym złotego wieku naszej literatury.

Mąż ten, wiekiem pochylony, a umysłu krzepkiego, dotychczas mimo swęj sędziwości pracuje cicho, skromnie, ale nader pożytecznie dla kraju i narodu; prace jego znakomite są a liczne, że tu tylko wspomnę o jego dziele: „Historya wymowy w Polsce,” które samo jedno wystarczyłoby do uwiecznienia jego zasług literackich.

Dostojni wyżej wymienieni panowie byli pierwszymi, którzy brali udział w wspólném przedsięwzięciu wydawniczym, dokończeniem zaś onego w tym samym duchu, jak i poprzednicy, zajmują się obecnie pp. Bobrzyński i Smolka.

Przejęty czcią i uwielbieniem dla zasług wymienionych wyżej, a dostojnych uczonych naszych, którzy ani trudu, ani czasu nie szczędzili koło wydawnictwa wiekopomnych dzieł, pozostałych po wielkim naszym historyku, wnoszą toast na cześć, zdrowie i pomyślność Tych dostojnych Panów, niech żyją!” (Żywe oklaski).

W końcu przemówił jeszcze prof. Liske, zamiast zwykłego, a tradycyjnego toastu „Kochajmy się,” wnosząc toast walki za prawdę, wytrwałego jęj poszukiwania, w myśl godła przywiedzonego przez d-ra Roeppla, pomyślnego rozwoju i postępu nauk historycznych w kraju.

Dosyć późno skończyła się ta biesiada, przy usposobieniu wszystkich ożywioném i podnieconym duchu, przyczyniwszy się do zbliżenia, zapoznania z sobą członków kongresu i wzajemnego ocenienia. Poza

urzędową jój częścią, toastami, z których umyślnie wykluczono wszelkie zdrowia osób pojedynczych (bardzo słusznie), w rozmowach poufatek mieli zrzeczność uczestniczący zbratać się i wymienić myśli.

Sprawozdawca „Czasu,” za którym iść byliśmy zmuszeni przywołując powyższe toasty, w końcu uczynił uwagę, iż zdało się niektórym z gości mniej właściwem pominieć zdrowia J. E. ks. biskupa Dunajewskiego. Wynikło to z zasady, iż na cześć osób, toasta wnoszone nie będą.

Nas inne uderzyło uchybienie, które się niczém, zdaniem naszym, usprawiedliwić nie daje. Mieliśmy wśród siebie na kongresie grono zasłużonych duchownych, pracowników na polu historycznym: ks. Kalinkę, prałata Likowskiego, Korytkowskiego, Łukowskiego i t. p. Należało więc wnieść toast na cześć duchowieństwa, dzielającego prace zjazdu i nieuchylającego się od trudów na polu nauki. Im dziś, na nieszczęście, mniej się spotykamy z duchowieństwem, które społeczności naszej ma do wyrzucenia jój ostyłość i stroni od niej podejrzewając o brak gorliwości w wierze, tém fakt ten chętnego zespolenia sił, uznania dla pracy naukowej, żywiej i wdzięczniej uczcić należało. Zgodnie z tradycjami dawnymi, toast na cześć duchowieństwa, któryby i J. E. ks. biskupowi zarazem za jego obecność podziękował, powinien był drugie zająć miejsce w szeregu tych jakie wnoszone były.

Dnia 21 maja, o kwadrans na dziesiątą, otworzył posiedzenie sekcji pierwszej historycznej, przydujący ks. Kalinka, odczytaniem odezwy p. Józefa Ulatowskiego, który nie mogąc sam uczestniczyć w kongresie, przesłał mu sto rubli, jako nagrodę za pracę tyzącą się Długosza, której określenie bliższe przekazał Akademii. Czytano potem wniosek Izydora hr. Dzieduszyckiego, ażeby następujący zjazd historyków odbył się za lat pięć w Poznaniu. Rozstrzygnięcie o tém do posiedzenia pełnego kongresu odłożono.

Dr. Wisłocki czytał potem referat w programie wymieniony: „jakie przedruki dzieł XVI wieku byłyby pożądane dla dziejów oświaty i literatury.”

Prof. Malinowski zabrał głos komunikując list z Berlina p. Jagicza, z wnioskiem, aby Akademia umiejętności w łonie swoim stworzyła komisję, któraby się zajęła przedrukiem zabytków do filologii słowiańskiej odnoszącemi się. Wniosek ten, w innych warunkach, zapewne pożądany, na któryby zgodzili się wszyscy, w obec nieprzeliczonych a pilniejszych zadań i ciężarów, jakie Akademia umiejętności dźwigać musi, nie mógł być uwzględniony.

Przydujący, natomiast, poparł wczorajszy a pilniejszy ks. Chotkowskiego, o przedruk materyałów do historyi Unii, która dla historyi Rusi i Polski jest niemałego znaczenia, a dawne pisma, tyzące się polemiki jaką Unia wywoływała, są dziś niezmierniej rzadkości. Dzieła Zizanij, kleryka z Ostroga, Pocieja, Smotrzyckiego i inne podobne kruski białe, nieoszacowaném będąc źródłem do początkowych Unii dzie-

jów, zaledwie we Lwowie w bibliotece Ossolińskich, lub z wyciągów obszernych u pisarzy rossyjskich, mogą być studyowane. Prezydujący do wyżej wymienionych dołączył imię Pocięja, jako pisarza w historii literatury polskiej zaszczytne miejsce zajmującego.

Prof. Szujski, wśród tych ciągle mnożących się wymagań i prac Akademii narzucanych, zmuszony był odezwać się, przedstawiając szczupłość funduszów instytucyi, nie przenoszących 8,000 fl; Akademia więc ledwie najpilniejszym potrzebom poddać może. Do tych zaliczył prof. Szujski wydanie poezyi polskich, poprzedzających czasy Kochanowskiego. Rzecz to w istocie równie pożądana jak pilna.

Dr. Warschauer upomniał się o wydanie przyrodników polskich, dr. Nehring do zbioru poezyi zażądał bardzo słusznie dodania działu średniowiecznych dramatów, na wzór tych które ogłosił we Włoszech Ancona, w Anglii W. Hone i Mazziott, we Francyi A. Jubinal, w Niemczech Mone i Inni. Że dramata podobne u nas się po bibliotekach znajdują i że zbiór ich dałby się wykonać, mieliśmy tego dowody sami, poszukując ich nie bezowocnie.

Ks. Kalinka, dziękując za poparcie wniosku ks. Chotkowskiego, obok braku funduszów, utyskuje na brak ludzi, utrzymując że łatwiej o pierwsze niż o drugich. P. Jarochowski, w obec tak mnogich desyderatów, wnosi, aby oznaczono które są najpilniejsze, zaliczając do nich materyały do historii Unii.

Prof. Małeckı, jako sprawę nagłą i w pierwszym stojącą rzędzie, podnosi wzmiankowane wydanie poezyi polskich, poprzedzających Kochanowskiego i Reja, wraz z innemi tej epoki pomniejszemi zabytkami piśmiennemi, rzucającemi światło na historią obyczajów i cywilizacji. Myśl tę popiera p. Pilat, i nie tylko zasługuje ona aby ją Akademia wpisała w poczet przyszłych wydawnictw swoich, lecz, by ludzie dobrej woli przyszli jej w pomoc do wykonania. Nie wiem czy jest jaka literatura w Europie, któraby już takiego zbioru inkunabułów poetycznych nie miała: nam jednym na nich zbywa.

Nawiasowo zaś, sprawozdawcy przy tych rozprawach, tyjących się materyałów do historii cywilizacji, oświaty, obyczaju, niech będzie wolno dodać, że jakkolwiek pomnożenie zasobów wielce jest pożądanę; równieby życzyć należało, aby to co już mamy, zużytkowanem zostało. Tak samo jak z wymienionych „Tomicyanów” dotąd prawie nikt nie korzystał, choć w nich skarby się ukrywają; tak z mnogich nowszych wydawnictw, a nawet ze starych, w których do dziejów obyczaju i cywilizacji materyał leży obfity, nic dotąd prawie, albo mało co dobyto. Ruda to niewytopiona, a tłómaczeniem zwykłym jest, iż, ponieważ wiele nam brak, zatem z tego co mamy nie czas jeszcze korzystać.

W samym Długoszu, jego kronice, „Liber beneficiorum,” korespondencyi, do obrazu XV wieku, nieoszacowane a mnogie szczegóły spoczywają nietknięte. Nie weszły one jeszcze w to mienie ogólne, którego część stanowić będą, gdy je ręka umiejętna wydobędzie, zestawi i objaśni.

Prof. Malinowski czytał potem referat: „Jakie drogi prowadzą do poszukiwań pomników dawnego języka polskiego.” Głównie zwracał referent uwagę na złomki drobne, które się w księgach ziemskich i starych aktach uchowały; a szczególnie na rotys przysięg, w dawnych księgach ziemskich i aktach prawnych, które zawierają słowa pojedyncze i wyrażenia, nie dające się tłómaczyć. Prof. Bobrzyński dodaje, że oprócz rot przysięg, które się w bardzo szczupłej ilości uchowały, wyroki sądów granicznych dostarczają też materiału językowego.

Ks. kanonik Likowski, w imieniu nieobecnego na posiedzeniu ks. Korytkowskiego, daje wiadomość o wynalezieniu w aktach konsystorskich gnieźnieńskich, listów z pierwszej połowy XVI wieku, pisanych przez właścian uskarżających się na ucisk Frycza Modrzewskiego, który jak wiadomo, o surowem obchodzeniu się z poddanymi pisał i obstawiał za nimi. Listy te pod względem języka są pamiątką cenną i zasługiwałyby na ogłoszenie. Odzywają się jeszcze w przedmiocie lingwistyki polskiej: Prof. Nehring i A. Małeckie, który zwraca uwagę na mowę Kaszubów, przechowującą dotąd wiele dawnych form języka. P. Fr. Kluczycki wspomina o modlitwie do N. Panny, czasu zarazy morowej, z XV wieku.

Prof. Bobrzyński, po wyczerpaniu tego przedmiotu, czyta referat o wydawnictwie ustaw polskich powszechnych.

Z głosu referenta, również jak z tych, co po nim przemawiali w tym przedmiocie i z całego posiedzenia w ogóle, najwyraziściej i najdobitniej to występuje, iż desiderata są olbrzymie, prac na dobre ilość niezmierna, pół odłogiem leżących mnóstwo, a temu czego się słusznie uczeni domagają, nie jedna, ale trzy akademie zaledwieby mogły podołać. Wbrew temu, co utrzymywał szanowny prezydujący, jak widzimy z rozpraw i z tych co w nich udział brali, łatwiejby było może o ludzi niż o fundusze.

Prof. Bobrzyński słusznie wskazał, że co do pomników prawodawstwa, więcej już uczyniono dla rozjaśnienia początków jego i rozwoju do XV wieku, niż dla czasów następujących, w których materyale są jeszcze próżnie ogromne, niedokładności i braki dotkliwie się czuć dające. „Ani jednego nie ma sejmu, utrzymuje referent, któregooby uchwał części jakiegós „Volumina Legum” nie opuściły. Idzie to tak daleko, że nawet uchwały sejmu czteroletniego kompletować potrzeba. Tak samo sejmu ostatniego grodzieńskiego, ustawy pełne nie istnieją.

Nawiasowo wspominał referent znowu o „Laudach,” i zbiorze ich w trzech obszernych tomach, przygotowanym przez prof. Pawińskiego. Równie one jak i uniwersały a instrukcyje królewskie domagają się wydania.

Ks. Cujon wzmiankuje o aktach konsystorskich, w których i sprawy świeckie niekiedy się mieszczą. P. Parczewski mówi o uniwersałach poborowych, Jarochowski nalega na potrzebę publikacyi uniwersałów laudów, nawet XVIII wieku, bo brak ich wielce się czuć daje.

Dalszym niejako ciągiem tych wniosków o desiderata, jest następny referat ks. Polkowskiego, w sprawie wydawnictwa polskich aktów synodalnych ¹⁾.

¹⁾ W drukowanym spisie, który referent rozdał członkom kongresu, wymienione są następujące synody dyecezyjne dyecezyi krakowskiej. (Załoski wymienia 9, ks. Fabisz 18, ks. Z. Chodyński w Encyklopedyi kościelnej 38).

1) Naukera z r. 1320, drukow. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 1. 2) Tegoż z r. 1324, ks. F., ks. Z. Ch.; 3) Jana Grota z r. 1327 ks. F., ks. Z. Ch. 4) Tegoż w Opatowie odprawiony r. 1331, drukow. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 33. 5) Bodzanty z r. 1355, ks. F., ks. Z. Ch. 6) Tegoż z r. 1356, ks. F., ks. Z. Ch., Volum. leg., 1, f. 98, mylnie 1369. 7) Flor. Mokrskiego z r. 1373, drukow. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 46. 8) Piotra Wysza z Radolina t. r. Mis. bibl. Jagiell. 9) Tegoż z r. 1396 w Wiślicy odprawiony, drukow. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 51. 10) Wojc. Jastrzębca z r. 1422, ks. F., ks. Z. Ch. 11) Tegoż w Krakowie r. 1422 odprawiony, drukow. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 61. 12) Zbigniewa Oleśnickiego z r. 1425 w Lublinie. 13) Tegoż z r. 1425 w Sandomierzu, ks. Z. Ch. 14) Tegoż z r. 1428 w Sandomierzu, ks. Z. Ch. 15) Tegoż z r. 1436 drukow. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 87. 16) Tegoż z r. 1446 ks. F., ks. Z. Ch. 17) Tegoż z r. 1451, ks. F., ks. Z. Ch. 18) Tegoż z r. 1453, ks. F., ks. Z. Ch. 19) Tegoż z r. 1454, ks. F., ks. Z. Ch. 20) Tegoż z r. 1454, ks. Z. Ch. 21) Tomasza Strzemińskiego z r. 1459 w Krakowie, drukow. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 101. 22) Jana Lutka z Brzezia z r. 1462, ks. F. 23) Tegoż statut z r. 1467, druk. w Star. pr. polsk. pomn., IV, 136. 24) Jana Rzeszowskiego z r. 1472 w Wiślicy, Acta Actorum Capit. Crac., II, 78. 25) Tegoż z r. 1478, ks. F., ks. Z. Ch. 26) Piotra Gamrata z r. 1544, ks. F., ks. Z. Ch. 27) Samuela Maciejowskiego w Wiślicy z r. 1547, Mss. w Bibl. Jagiell. 28) Tegoż z r. 1549, ks. F., Acta Actorum Capit. Crac. 29) Andrzeja Zebrzydowskiego z r. 1554, ks. F., ks. Z. Ch. 30) Piotra Myszkowskiego z r. 1580, w Ilży, Mss. w Arch. kapit. kujawskiej. 31) Tegoż z r. 1589, Acta Actorum Capit. Crac. 32) Jerzego Radziwiłła z r. 1593, drukowany osobno. 33) Tegoż z roku 1594, Ćwierczowicz i ks. Z. Ch. 34) Tegoż z r. 1597, ks. Z. Ch. 35) Bernarda Maciejowskiego z r. 1601, drukowany. 36) Tegoż z r. 1607, ks. F., ks. Z. Ch. Jest to raczej Tylickiego z r. 1608, drukowany. 37) Piotra Tylickiego z r. 1612, drukowany. 38) Marcina Szyszkowskiego z r. 1621, pod tyt.: Reformationes, drukowany. 39) Jana Olbrachta z r. 1634, ks. F., ks. Z. Ch. 40) Piotra Gębickiego z roku 1643, drukowany. 41) Kazim. Łubieńskiego z r. 1711, drukowany. 42) Andrzeja Załoskiego w r. 1759 zapowiedziany, do skutku nie przyszedł.

Synody dyecezyjne dyecezyi poznańskiej. (Załoski wymienia 4, ks. Fabisz. 9). 1) między r. 1251 a 1253 odprawiony przez legata papieżkiego. 2) r. 1420, za Andrzeja Gosławskiego, druk. w Star. pr. polsk. pomn., IV, na końcu. 3) r. 1430, za Stanisława h. Ciołek, Acta Capit. Posn. 4) r. 1450, za Andrzeja Opalińskiego, Acta Capit. Posn. 5) r. 1459, za tegoż, Acta Capit. Posn. 6) r. 1469, za tegoż, Acta Capit. Ecc. Cath. Posn. 7)

Co do wydawnictwa w s z y s t k i c h u s t a w s y n o d a l n y c h, w y w i ą z a ły s i ę r o z p r a w y. P r. B o b r z y ń s k i t w i e r d z i ł, i ż n i e w s z y s t k i e s ą r ó w n i e w ą z n e d l a h i s t o r y i k o ś c i e l n ę j k r a j o w ę j, g d y ż w i ę k s z a i c h c z ę ś c j e s t p o w t ó r z e n i e m i o g ł o s z e n i e m o g ó l n y c h p o s t a n o w i ę n k o ś c i o ł a k a t o l i c k i e g o, n i e m a ł d o s ł o w n ę m; i n n e, p o s o b i e i d ą c e w k r ó t k i c h c z a s u o d s t ę p a c h, l u b m a ł e m a j ą z m i a n y l u b s ą p o t w i e r d z e n i e m p o p r z e d z a j ą c y c h.

W i s t o c i e k o ś c i o ł k a t o l i c k i, j a k o t a k i (p o w s z e c h n y) m a ł o d o p u s z c z a ł s a m o i s t n o ś c i w u s t a w a c h m i e j s c o w y c h. N a j s t a r s z e s y n o d y p o d p r e z y d e n c y ą l e g a t ó w p a p i e z k i c h, z w o l y w a n e, b y ł y b y w i s t o c i e w ą z n e m i d o k u m e n t a m i, a l e t y c h u s t a w y z t r u d n o ś c i ą s i ę w y n a l e z ć d a d ą.

P r o f. B o b r z y ń s k i ʒ ą d a ł o c e n i e n i a i p o r ó w n a n i a u s t a w s y n o d a l n y c h p r z e d i c h o g ł o s z e n i e m.

P r o f. S z u j s k i p r z e m a w i a t a k ʒ e z a p o p r z e d n i ę m o g ł o s z e n i e m s y n o d ó w p r o w i n c y o n a l n y c h. P r o f. L i s k e w s p o m i n a o r ę k o p i ś m i e ũ s t a w s y n o d a l n y c h w a k t a c h k o n s y s t o r s k i c h w G a l i c y i, d o t ą d n i e z u ʒ y t k o w a n y c h. O s t a t e c z n i e z g a d z a j ą s i ę w s z y s c y n a t o, ʒ e p r a c a o k o ł o w y d a n i a u s t a w s y n o d a l n y c h p o ʒ ą d a n ą j e s t, a w y d a n i e d l a h i s t o r y i p o ʒ y t e c z n ę m.

P r o f e s o r S m o ł k a c z y t a r e f e r a t o p r a c a c h w s t ę p n y c h d o g e o g r a f i i h i s t o r y c z n ę j P o l s k i. W s k a z u j e o n n a d a w n ą k a r t ę d y e c e z y k r a k o w s k i ę j, j a k o d o w ó d, ʒ e g r a n i c e d y e c e z y r z a d k o s i ę z g a d z a ły z g r a n i c a m i w o j e w ó d z t w, ʒ e n a l ę ʒ y p o s z u k i w a ć p o w o d ó w, j a k i e w p l y w a ły n a t ę r ó ʒ n i c ę r o z g r a n i c z e n k o ś c i e l n y c h i ś w i e c k i c h, a w p r z e d m i o c i e t y m m a ł o a l b o n i c j e s z c z e n i e u c z y n i o n o. Z a l e c a o n u ʒ y c i e k a r t ś l ę p y c h, k t ó r e d o s t u d y ó w h i s t o r y c z n y c h w i e l k ą s ą p o m o c ą.

Z p o w o d u o p i s ó w k r a j u w r ó ʒ n y c h e p o k a c h, p r o f. C a r o ʒ ą d a g ł o s u i w y m i e n i a p o d r ó ʒ n i k ó w o b c y c h m a ł o z n a n y c h, k t ó r z y o P o l s c e p i-

r. 1471, za tegoż, Acta Capit. Ecc. Cath. Posn. 8) r. 1476, za tegoż za-
powiedziany, nie przyszedł do skutku, Acta Capit. Posn. 9) r. 1482, za U-
riela Girki, statut de anno gratiae, drukowany w Archiw. teologiczném, II,
516. 10) r. 1501, za Jana Lubrańskiego, odpis u ks. I. P. z akt kapitul-
nych. 11) r. 1511, za tegoż, w Łowiczu dla Archidyakowatu warszawsk.,
Acta Capit. Posn. 12) r. 1554, za Andrzeja Czarnkowskiego (?) ks. Fabisz.
13) r. 1557, za tegoż, odpis u ks. I. P., z akt kapitulnych. 14) r. 1561,
za tegoż, drukowany w archiw. teologicz., II, 216. 15) r. 1564, za tegoż,
drukow. w archiw. teologicz., I, 80. 16) r. 1578, za Łukasza Kościelskiego,
ks. Fabisz. 17) r. 1594, za tegoż, confer. Pliscius, fermo synodiceus.
18) r. 1607, za Wawrzyńca Goślickiego, Mss. w Akt. kapit. 19) r. 1608,
za Andrzeja Opalińskiego, notaty ks. Jabczyńskiego. 20) r. 1621, za tegoż,
drukowany w Archiw. teol., I, 505. 21) r. 1622, za tegoż, Mss. w Arch.
kap. pozn. 22) r. 1628, za Łubieńskiego, odpisany u mnie z Mss. bibl. kap.
w pozn. 23) r. 1642, za Szoldrskiego, drukowany osobno. 24) r. 1649,
za Stanisława Witwickiego, drukow. osobno. 25) r. 1720, za Krzysztofa
Szembeka, drukow. osobno. 26) r. 1739, za Stanisł. Hozyusza, drukowany
osobno.

sali; mianowicie trubadurów z XIII i XIV wieku; w części wydanych, lub dotąd w rękopismach przechowujących się. Jeden z nich znanym był Przeddzieckiemu, dla nas są oni dotąd prawie nieużytkowani i czekać zapewne będziemy musieli, aż ich we Francyi wydadzą. Wskazówki prof. Caro przyjęto z żywem zajęciem.

W tymże przedmiocie mówili pp. Radziwiński i Jarochoowski, ale spóźniona pora wyczerpać go nie dozwoliła. P. Radziwiński zbiór lap-topisów ruskich przedstawił.

Posiedzenie sekcji historycznej musiało być zamkniętém, chociaż wiele przedmiotów zostało nietkniętych.

Taż sama krótkość czasu do bardzo szczerpłych rozmiarów ograniczyła posiedzenie ostatnie sekcji archeologiczno-artystycznej, pod prezydencją hr. Dzieduszyckiego. Prof. Sadowski odczytał obszerną swą pracę: Jaki szereg badań wypada przedsiębrać, aby zyskać podstawę do wyjaśnienia wędrówek różnych plemion słowiańskich w epocę poprzedzającej pierwszy związek Polski."

Piękna ta rozprawa, znanego ze swych badań autora, zbyt była mało dostępną dla słuchaczy, aby bez przygotowania głos w tym przedmiocie zabierać mogli.

O godzinie pół do piątej, tegoż dnia 21 maja, z żalem wszystkich biorących udział w kongresie, musiało nastąpić ostatnie pełne jego posiedzenie i zamknięcie.

Prof. Małecki zagałł je odczytaniem pisma od akademii Peszteńskiej.

Prof. Bobrzyński zabrał głos potem dla ustnego sprawozdania zjazdu, sekcji historycznej, podnosząc jego znaczenie, wskazując ważność takiego skupienia i zbliżenia się niemal wszystkich pracowników na tém polu. Zarazem uznaje referent, iż kongres dla nawału przedmiotów, które były na porządku dziennym, a niedostatecznego wymiaru czasu, wielu z nich zaledwie mógł dotknąć, inne całkowicie pominać był zmuszony. Sprawiedliwość jednak każe przypomnieć, iż wszystkim prawie tego rodzaju zjazdom wspólném jest, iż ich programy zawiele zakreślają, a czas nigdy nie dopuszcza ich wyczerpać: zaradzić temu na pierwszym naszym zjeździe było niepodobieństwem.

Co do wniosku Izydora hr. Dzieduszyckiego, aby za lat pięć drugi kongres historyczny zebrał się w Poznaniu, prof. Bobrzyński wyraża życzenie, aby oznaczenie miejsca i czasu zostawioném było komisji z łona Akademii wybranej. Dla ułatwienia w przyszłości rozpraw i przyspieszenia ich biegu, a oszczędzenia czasu, uznaje referent, iż pożądanemby było, aby główne referaty zawczasu drukowane były, rozesłane i przygotowanie się do rozbioru ich w ten sposób ułatwione.

Wnioski te zgromadzenie przyjęło jednogłośnie.

Sprawozdawca z czynności sekcji archeologiczno-artystycznej, dr. Maryan Sokołowski, odczytał treść rozpraw, wskazał rezultaty dyskusji i wzmiankę uczynił o wniosku dr. Cwiklińskiego, aby przedru-

kować i wydać pisarzy klasycznych, którzy o Słowianach wzmiankują. Naostatek rozpoczął dr. Wojciechowski czytanie ciekawej pracy swój, w której, na podstawie lepiej zrozumianego tekstu kroniki Galla, starał się dowieść, iż obalone przez powierzoną krytykę twierdzenie, jakoby Kazimierz, zwany Mnichem, oddany był do klasztoru Benedyktynów, jest faktem historycznym. Wyraz oblatu, użyty przez kronikarza, na który nie zwrócono uwagi, posłużył dr. Wojciechowskiemu do oznaczenia, jakie w zakonie zajmował stanowisko.

Zakon Ś. Benedykta (i kanonicy regularni) przyjmował takich oblatów, t. j. chłopców małoletnich, ofiarowanych (oblati) przez rodziców. Dziecię, zakonowi oddane, nie miało prawa go opuścić, nie dziedziczyło po rodzicach i potrzeba było dyspensy papieżkiej, aby do świata i rodziny powrócić mogło (Ducange v. oblati: *Ex laudato capite colligitur, pueros istius parentum oblationis vi, ita Monasterio fuisse alligatos, ut ab eo recedere, et ad saeculum reverti neutiquam iis licitum fuerit*).

Takim to oblatem był nasz Kazimierz. Zastugą jest dr. Wojciechowskiemu, iż sprawę tę wyjaśnił.

Po wysłuchaniu wielce zajmującego odczytu tego, p. A. Matecki zabrał głos, powtarzając w ogóle, co zjazd Długoszowy zamierzał i spełnił i, chociaż rozmiary jego były skromne, uznając doniosłość tego kongresu, będącego inauguracją i początkiem, pierwszym wciele niem myśli pięknej, obfite obiecującej owoce.

„Spełniło się—rzekł mówca—życzenie owe historyka naszego (Długosza), który spuściznę po sobie przekazując Akademii, pisał:

„Proszę, zaklinam i błagam Akademię Krakowską, aby po mojej śmierci tę historią dalej prowadzono i nie dozwolono dziełu zaginać.”

Okryto oklaskami prezydującego, gdy w dalszym ciągu podniósł wielkie zasługi Aleksandra hr. Przezdzieckiego i synów jego: Konstantego i Gustawa, którzy, po tylu latach zaniedbania, narodowi oddali Długosza poraz pierwszy takim, jakim go przeszłe wieki pożądały a nie znały.

Pierwszy, ś. p. Aleks. Przezdziecki, myśl powziął wydania historyka, przygotował do niego z wielkim trudem i kosztem materyały, i z tą wytrwałością, jaka go znamionowała w każdym przedsięwzięciu, dokonał co zamierzył, razem Długoszowi i sobie stawiając pomnik nieśmiertelny: pobożne ręce synów wzniosły go i dopełniły.

W krótkim zarysie przedstawił prezydujący losy dziejów naszych w czasach podługoszowskich, zaniedbanie ich, dźwignięcie za Stanisława Augusta, ożywienie studyów i poważniejsze ich pojęcie w pierwszej połowie XIX wieku, naostatek założenie Akademii i wpływ zbawienny tej instytucji w najbliższej nas chwili.

Z niedostatecznego tego sprawozdania, czytelnik poweźmie niejaki wyobrażenie o zajęciach kongresu i jego rzeczywistém znaczeniu.

Zjazd nasz ani mniej, ani więcej nie dokonał nad to, co wszystkie podobne zwoływane co roku w Europie, spełniają. Owoców ich nie potrzeba szukać na posiedzeniach, grzeszących zawsze tém, że więcej obiecują niż dać mogą; poza szrankami obrad i sesyi, zjazdy są bodźcem, środkiem porozumienia, obfitują we wskazówki, przynoszą myśli, ułatwiają wyszukanie źródeł, zbliżają ludzi, rodzą nowe kwestye, a często dawnych przyśpieszają rozwiązanie. Posiedzenia są zawsze tylko okazem publicznym tego, co dla ogółu jest przystępném.

Zjazd Długoszowy już przez to, że był pierwszym u nas, że go zwołała Akademia nauk, że ściągnął tak mnogich ze wszech stron pracowników, że mu sympatycznie przyklasnęła Akademia Peszteńska i Zagrzebska, że uniwersytet Wroclawski dał mu trzech z łona swego pierwszorzędných uczonych, że Czechy przysłały nań reprezentanta, ma wyjątkowe znaczenie i doniosłość.

Wprawdzie same rozprawy nad programem, szczerze mówiąc, doprowadziły nas tylko do poznania, na czém nam zbywa, a nie do zaradzenia i wykazania środków, jakimi byśmy radzić sobie mogli.

Niemal przerażający ogrom desideratów roztoczył się przed nami. Siły Akademii podjąć mu nie mogą, lecz nie wątpimy, iż ludzie dobrej woli w pomoc jej przyjdą i usiłowania prywatne w wielu zadaniach instytucją wyręczą. Poznanie tego, co niezbędnie potrzebném jest, abyśmy jasno przeszłość naszą pojęli, niematem samo z siebie jest dobrém. Być bardzo może, iż niejednego powstrzyma ono od zawczesnego porywania się na te dzieje, do których na budulcu nam zbywa.

Ze względu na stanowisko dzisiejsze szkoły naszej historycznej, w porównaniu do tego, czém ona była niedawno (ćwierć wieku temu) w ręku dyletantów i autodydaktów, możemy być z postępu dumni. Stoimy dziś, dzięki młodszym zwłaszcza pracownikom (prof. Smółka, dr. Liske, dr. Bobrzyński, Wojciechowski i w. i.), wykształconym w uniwersytetach naszych i obcych, na równi z europejską umiejętnością, metodą badania i wydawnictwa.

Zjazd Długoszowy był tego najlepszym dowodem.

Nie pełnem byłoby sprawozdanie nasze, gdybyśmy choć w kilku słowach nie wspomnieli o dwóch połączonych z kongresem wystawach. Staraniem Akademii, pod kierunkiem prof. Szujskiego i p. Ziemięckiego, urządzony był zbiór prawie kompletny tego wszystkiego, co do historii naszej od r. 1830, wydaném zostało u nas i za granicą. Tu naocznie, dotykalnie przekonać się było można, ile na tém polu dokonano; a bliższe rozpoznanie tych skarbów wykazywało fakt, gdzieindziej prawie niepraktykowany, że znaczniejsza część kosztownych nakładów ofiarnością osób prywatnych, kosztem nie instytucyi, ale obywateli wydana została. Tém pochłubić się możemy i być dumni. Któż wydał „Tomicyany,” „Długosza,” „Theinera” i wspaniałe te facsimila rękopisów? ludzie, których miłość kraju, przeszłości i nauki natchnęła.

Obok tych ksiąg ofiarnych, to co w krótkim przeciągu bytu swego Akademia wydała, jest równie podziwienia i wdzięczności godnym. Mogła ona przybywającym wskazać na ten szereg wydawnictw swych, aby obudzić dla siebie poszanowanie.

W położeniu naszym to, co wystawa dotykalnie nam przedstawiła, jako owoc półwiekowych usiłowań, niejednokrotnie przerywanych katastrofami, zdumiewającym jest i każe nie zwątpić o przyszłości. Znaczenie akademickiej tej wystawy w oczach naszych jest tak wielkie, tak wymownie ona powiada, iż się z upadku dźwigamy, jest takim monumentem, że sam kongres przy niej drobniej, jako owoc tylko tego drzewa.

Druga wystawa pamiątek, odnoszących się do Długosza, urządzona w kapitulniku katedry krakowskiej, przez ks. Polkowskiego, żywo też mogła zająć każdego miłośnika przeszłości. Chociaż ks. Polkowski tłumaczył się, iż naprędce ją zebrał, była ona tak obfita i piękną, a zgromadziła tyle pamiątek rozproszonych i drugi raz już z trudnością mogących się spotkać w takiej liczbie, iż każdy, kto nie oglądał jej, żałować tego powinien.

Na pierwszym miejscu leżały autografy dzieł Długosza i odpisy ich, po nich szły dokumenta kapitulne, odnoszące się do historyka, drukowane wydania i dzieła o Długoszu. Oprócz tego zebrane były, niestety zamało autentyczne, a wielce od siebie różne, wizerunki Długosza, obok których słusznie postawiono portret ś. p. Przedziwieckiego, tego, co go z grobu dobył.

Niepodobieństwem jest wyliczać wszystko, lecz, jako pomniki wieku XV i próbka bogactw, które posiada kapituła, rękopisma wyłożone, były jedną z rzeczy najżywsze obudzających zajęcie.

Począwszy od kodeksu z X wieku (Praedicationes secundum Evangelium) ozdobami charakterystycznymi i wykonaniem, należącego do najrzadszych pomników europejskich tej epoki; dwa pontyfikaty Fryderyka Jagiellończyka z miniaturami: Złotkowskiego i Zbigniewa Oleśnickiego; téjże ręki mszał, graduały, biblie, antyfoniarz, stanowiły zbiór, któremu równego chyba we Florencji w San Marco szukać potrzeba.

W poczcie naszych artystów, ów skromny Złotkowski i jego prace prawie zapomniane zostały. Nie znał go nikt i te charakterystyczne miniatury, przedstawiające portrety, ubiory, postacie fantastyczne, nigdy pono reprodukowane nie były.

Może być, że gorliwości ks. Polkowskiego, który ocenić je umiał, zawdzięczać będziemy, ten rys nowy do dziejów XV wieku, który i w artystycznym względzie rozbudzonem odznaczał się życiem. Wydanie, choćby najgłówniejszych ilustracji Złotkowskiego, dla historii sztuki naszej byłoby niezmierną zasługą.

J. I. Kraszewski.

II.

W miesiącu wrześniu r. b., w Zagrzebiu i w południowej Styryi obchodzono uroczyste siedmdziesięcioletnią rocznicę urodzin poety i narodowca południowo-słowiańskiego: Jakóba Frassa, znanego w literaturze i w dziejach odrodzenia chorwacko-słoweńskiego pod nazwiskiem Stanka Vraza. Vraz urodził się 30 czerwca 1810 r., we wsi Cerowcu, w południowej Styryi, którą, jak wiadomo, zamieszkuje lud pochodzenia słowiańskiego, zwany Słoweńcami. Z zapalem przyłgnąwszy do idei połączenia wszystkich południowych Słowian, pod chorągwią tak zwanego Iliryzmu, którą to chorągiew rozwinął w Zagrzebiu Gaj i jego koło ilirskie, Vraz porzucił narzecze rodzinne, lubo takowe i pod względem literackim uprawiać już poczęto i pisał po chorwacku, popierając wszelkimi siłami dążenia owego koła, co chociaż nie zdołało dopiąć wszystkich swoich celów, jednakże odrodziło upadłą narodowość Chorwatów i położyło podstawę nowej epoki literatury owego narodu. Vraz w przyłączeniu się do zagrzebskiego koła, nie znalazł naśladowców między Słoweńcami, za to został najlepszym piewą tego okresu i umierając r. 1851, pozostawił piękną spuściznę literacką, oraz pamięć o sobie, jako o człowieku szlachetnym, poświęconym całą duszą swojej idei; pamięć o duszy czystej, niezmazanej żadną plamą samolubstwa i małoduszności. Matica chorwacka w Zagrzebiu, pragnąc uczcić wspomnienie poety i zarazem przypomnieć ideę ścisłego braterstwa pomiędzy Chorwatami i Słoweńcami, wspólnie z patriotami słoweńskimi w Styryi, urządziła uroczystość siedmdziesięcioletniej rocznicy Vraza. Rozpoczęła się ona od koncertu w Zagrzebiu dnia 4 września. Teatr pełen był wyborowej publiczności; począwszy od bana Pejaczewicza i ministra chorwackiego Bedekowicza, byli tam członkowie sejmu, dygnitarze, przedstawiciele literatury, oraz inteligentniejsi mieszkańcy Zagrzebia, płci obojój. Uwertura Lisińskiego z opery: „Intryga i miłość,” pochodząca jeszcze z okresu ilirskiego, rozpoczęła koncert, poczem dyrektor teatru Mandrowicz, deklamował prolog pióra Józefa Eugeniusza Tomicza, a towarzystwa śpiewackie: „Kolo” i „Sloga,” odśpiewały kantatę Jana Zajca, ze słowami tegoż Tomicza. Po różnych pieśniach jużto słoweńskich, już chorwackich, grano uwerturę „Sława” Jerzego Eisenhutha, a w końcu An. Fijan deklamował wyjątek z utworów Vraza, noszących tytuł „Dżulabije.”

Wieczorem 7 września, na dworcem kolei w Zagrzebiu zebrali się goście tak z Zagrzebia, jak i z prowincyi i nocnym pociągiem przez Steinbrück i Pragerhof, odjechali do miasta Ormużu, zwanego po niemiecku Friedau. W Ormużu oczekiwali gości chorwackich zebrani już Słoweńcy, a na czele ich przewodniczący komitetowi dr. Jan Gerczak, miejscowy notaryusz. Przybyli jeszcze z drugiej strony Chorwaci z Waradina: z nimi był hrabia Bombelles, magnat z okolicy tego miasta. Całe towarzystwo przystrojone w szaty narodowe, w czamary, kołpaki

i szable przy boku, udało się do wsi Jeruzalemu, do którego parafii należy Cerowec. Tu w starym kościele odprawił mszę przyjaciel Vraza, sędziwy patriota, prof. dr. Józef Murszec. Na całej drodze wiele chat wiejskich ozdobiono chorągwiami narodowymi, w kilku miejscach wzniesiono bramy tryumfalne, a lud sielski z radością łączył się z drużyną gości jubileuszowych. Z Jeruzalemu ruszono do Cerowca, tłum wzrósł do 6000 osób: samych Chorwatów było około 600. Otoczono dom, w którym urodził się poeta, a w którym dotąd jeszcze mieszka jego rodzina. Po uwerturze Jan Kuljewicz-Sakciński, prezes „Maticy,” a dawny przyjaciel Vraza, miał mowę do zebranej publiczności i umieszczoną na domu tablicę pamiątkową oddał Słoweńcom w imieniu narodu chorwackiego, wyrażając życzenie, aby słoga (zgoda) między obu bratnimi narodami wiecznie trwała. Entuzjastyczny okrzyk był odpowiedzią na słowa zasłużonego narodowca. Śpiewacy odśpiewali wspomnianą już kantatę Zajca, wystąpił stary kapłan słoweński Bożydar Raicz i w gorących słowach wypowiedział cały żywot i całą działalność poety, poczem spadła zasłona z marmurowej tablicy i cały tłum jednym okrzykiem powitał imię Vraza, złotemi głoskami na nią wypisane. W. Holz deklamował wiersz słoweński, Andrzej Fijan wiersz chorwacki, Augusta Szenoi, ad hoc napisany: jeszcze było kilka śpiewów, a w końcu hymn wojenny słoweński D. Jenka, po całej Austrii znany i grywany „Napréj!” Po uroczystości była uczta, na której co chwila jakiś toast wznoszono wśród okrzyków zgromadzonych. Między lud, garnący się do gości, rozdawano wizerunki Stanka Vraza. Wieczorem powrócono do Ormużu, gdzie na rynku śpiewano rozliczne pieśni, póki wieczorny pociąg nie odwiózł gości chorwackich do domu. Komitet słoweński zaprosił także i niektórych naszych literatów na tę uroczystość, lecz, o ile wiemy, z Polaków nikogo na nią nie było. Na pamiątkę uroczystości „Matica” chorwacka wydała wybór pieśni Stanka Vraza, z życiorysem, pióra prof. d-ra Franciszka Markowicza. Popiersie poety, roboty rzeźbiarza chorwackiego Rendicza, dar pań chorwackich, ustawiono w pokoju rodzinnym Vraza, gdzie stoi jeszcze stół jego.

Bron. Grabowski.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„In der Schweiz” eine Dichtung Julius Słowacki's übersetzt von L. Kurtzmann, Wien 1880. Vincens Pol's „Lied von unserem Lande” aus dem polnischen im Versmaasse des Originals übersetzt von Louis Kurtzman, Posen 1880. „Maria Stuart,” Drama in fünf Aufzügen von Julius Słowacki, übersetzt von Ludowick German. Leipzig, 1879.

Powszechnie przyznają Niemcom wyjątkowy dar umiejętnego przyswajania swojej literaturze najpiękniejszych płodów obcej muzy. Pod tym względem nie wytrzymują z nimi porównania ani Włosi, ani Anglicy, ani Francuzi. Francuzi np. po większej części nie zadają sobie trudu oblekania swych przekładów w szatę rytmiczną lub rymowaną, lecz zwykli tłómaczyć prozą i to z takimi nieraz modyfikacyami, które zacierają zupełnie poetyczny koloryt pierwowzoru. Niemcy przeciwnie, dzięki jużto bogactwu swego języka, już téż wrodzonej temu narodowi cierpliwości, zdumiewają zaletami swoich przekładów, odtworzących dokładnie piękności oryginału.

Do rzędu takich tłómaczów należą, prócz H. Nitschmana, niewątpliwie pp. Kurtzmann i German, którzy zaznajamiają rodaków swoich z najcelniejszymi płodami polskiej muzy. Ile przedstawia trudności dla tłómacza taki poemat, z tęczyowych barw utkany, jak „W Szwajcaryi” Jul. Słowackiego, wie o tém każdy, a jednak p. Kurtzman wyszedł z téj próby zwycięzko, chociaż tu i owdzie zaznaczyć można pewne usterki, nieodłączne od tego rodzaju pracy. I tak: początek pierwszej pieśni jest daleki, jeżeli nie od myśli, to przynajmniej od obrazowości oryginału; z wyjątkiem pierwszego wiersza, dosłownie przełożonego, następne są dosyć blade.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty
 Seitdem sie wie ein goldner Traum verschwunden
 Uyscham z żalu, umieram z tęsknoty
 Kann nimmermehr mein Herz gesunden (?).
 I nie wiem czemu ta dusza z popiołów
 Was hält die Seele noch zurück hienieden
 Nie wylatuje za nią do Aniołów?
 Das sie nicht eingeht in des Himmels Frieden?

Bezbarwnością również grzeszy tłumaczenie następujących wierszów pieśni drugiej:

Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
 Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie
 Przez tęczę szybko przeleci i błysnie...
 Manchmal begehrt die durst'ge Taube auch
 Für sich ein Stäubchen von dem Farbenglanz
 Fliegt schnell hindurch und lässt die Brücke ganz.

W téjże saméj pieśni Słowacki, opisując pierwsze spotkanie z kochanką, mówi o niéj obrazowo, że była „rozwidniona źrenicą z błękitu,” t. j. że okrom promieni słońca, w których się naówczas kąpała twarz dziewczyny, postaci jéj nadawały również szczególną jasność oczy niebieskie. Wiersz ten tłumacz oddaje niedokładnie, mówiąc: So strahlt aus ihr das Licht durch's Augenpaar! Nie możemy również zgodzić się na to, że porównanie: „I byłem jak ci, co się we śnie boją” zostało wiernie odtworzone przez „Und schrecklich war des Traumes Angst und Pein.”

W pieśni trzeciej uderza nas nieściskość tłumaczenia następujących wierszów:

Pamiętam chwilę.. poranek był skwarny
 Es war noch früh am Tag (?) der Morgen klar
 Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny
 Da jagte ich (?) auf ein scheues Rehpaar
 Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome
 Doch mussten sie dem Glück der Menschen trau'n
 Stały blisko złote, nieruchome,
 Sie blieben steh'n und liessen sich beschau'n (?)
 I utopiły oczów błyskawice
 Vielleicht hielt sie der Liebsten Blick gebannt
 W kochanki mojej błękitno źrenico
 Weil sie in's Aug' ihr schauten unverwandt.

Pierwsza połowa pieśni siódmej, rzeczywiście nadzwyczaj trudna do tłumaczenia, wyszła w przekładzie p. Kurtzinana zbyt dowolnie, a nawet w kilku miejscach niezgodnie z myślą oryginału. Oto przykłady. Wyrażenie „do lodowej grotty” oddaje tłumacz przez parafrazę in eine Grotte, gewölbt aus einem Eiskristall, która, ze

względu na końcówkę, zmusza go do zaimprovizowania naprzód wiersza „Ein magisch Licht beleuchtet diese Hall,” mającego znaczyć: „tam ją obielił dzień alabastrowy,” a następnie dodatku und wandelt meine Fee zum Marmorbild, który wcale nie istnieje w tekście polskim. A dalej prześlizgny dwuwiersz:

I mróz na czole mój jasnej królowej
Perłami okrył wszystkie polne róże.

wychodzi błado, bo niedokładnie, w tłumaczeniu:

Sogar der Schmuck des Haar's, die Rose wild
Erscheint im Reif aus Silber (?) glitzernd weiss.

gdyż poeta nadzwyczaj trafnie i obrazowo porównał zaskrzepłe pod działaniem mrozu kropelki rosy na świeżo rankiem zerwanych różach do pereł, tłumacz zaś robi z tego „szron srebrzysty, błyszcząco-biały...” Tę samą niedokładność spotykamy dalej w téjże pieśni. Słowacki, mówiąc, że „ze sklepienia łyzy leciały duże,” dodaje:

A we łyżach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną

co tłumacz tak oddaje:

Die Thränen weinten Sylfen aus der Höhe (?)
Hierab auf meine stille, bleiche Fee

pozwalając sobie również i następny dwuwiersz:

Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej
Cała się szatą okryła zazdrośniej

sparafrazować w ten sposób:

Die weinten aber alle nur aus Neid (??)
Darum hielt sie sich ängstlich in ihr Kleid.

I jeszcze w téj saméj pieśni niemoc tłumacza wobec trudności oryginału przejawiała się w przekładzie następujących wierszów:

I wszystko oczom ciekawym ukradła
Vor Neidesblick zu bergen ihren Reiz
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne choć zakryte.
Legt ausserdem die Hände über's Kreuz
Gefaltet auf die Brust, als wie zur Wehr (!).

Dalej zaś p. Kurtzman, odtworzywszy dość dokładnie wiersz: „Koło niéj igraty tęczé w blaski rozmaite” przez “um sie her brach sich das Licht ein farb'ger Glorienschein,” dla rymu jedynie stwarza wiersz następujący, którego niéma w oryginale: „Für mein Madonnenbild aus weissem Stein.” Rozstając się z tą pieśnią, zaznaczamy je-

szcze, że owe podwakroć powtórzone z ogromnym efektem „Ave Maria,” a rymujące naprzód z następnym, a przy końcu z poprzednim wierszem, zostało mechanicznie tylko przyczepione w przekładzie p. Kurtzmana, który, pomimo że cały poemat tłómaczy wierszem rymowanym, téj swawoli wszakże poetycznej sprostać nie mógł, czemu się wcale nie dziwimy.

W pieśni X następujące wiersze nie stoją na wysokości oryginału:

Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą
 Byliśmy niczem nie strwożeni, sami,
 Czytając książkę pełną łez... ze łzami.
 Ein Morgen war's wir sassen ganz allein
 Und lasen in des Wasserfalles Näh'
 Ein Buch, geschrieben wohl in tiefem Weh.

Prześliczny wiersz pierwszy pieśni XIII oddał tłómacz zbyt prozaicznie i aż w dwu wierszach:

Płonęła wonna jak kadzidło miry
 Die Rede (!) trieb ihr in's Gesicht das Blut
 So wie die Myrrhe weckt der Kohle Gluth.

Takąż samą parafrazę spotykamy w XV pieśni, gdzie p. Kurtzman wiersz oryginału „z grotty ta piękna wyjść nie śmiała sama” rozważnia w dwuwierszu:

Als sie nun lassen sollte der Grotte Raum
 Da wagte sie allein hinauszutreten kaum!.

Podobnej wodnistości nie ustrzegł się tłómacz i w następnej pieśni, przekładając wiersz jój pierwszy:

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać

przez dwuwiersz:

Erwartungsvolles Schweigen findet Statt
 Zur Stunde, da der Mond aufgehen will.

Wtedy, mówi poeta: „słowiki milkną, liście nie szeleszczą i źródła nie dyszą.”

Jakby ta gwiazda miała coś nakazać
 I o czym cichem pomówić ze światem,
 Z każdym słowikiem, z listeczkiem i kwiatem.

Te ostatnie dwa wiersze p. Kurtzman tłómacząc przez

Weil (!) dies Gestirn für jedes Botschaft hat
 Für Rose und Quell, für Nachtigal und Blatt.

zmienia hypotetyczność wyrażenia w twierdzenie i pozbawia przekład owego malowniczego obrazu o „cichój gawędzie księżycy ze światem.”

Jeżeli zaś porównamy następujący ustęp w tej samej pieśni:

Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi błądy pierścionek Dyjany,
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą
I wszystkie liście na drzewach zabręcą
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O, takięj chwili, ach!.. dwa serca płaczą,
Jeśli coś nią przebaczyć—przebaczą,
Jeżeli o czém zapomnieć—zapomną.

który tłómacz odtwarza w ten sposób:

Doch (?) wenn Dianens blasser Reif sich zeigt
In Silbervölkchen langsam aufwärts steigt:
Dann grüßet ihn die Klag' der Nachtigall
Die Blätter auf dem Baume rauschen all'
Die Quelle rinnet lauter murrend gleich
Zu solcher Stunde werden Herzen weich:
Vergeben ist all' Herzeleid und Streit
Vergessen ist, was immer sie entzweit.

to przekonamy się, że przekład ten, pozbawiony obrazowości zwrotów i niezrównanej onomatopoeicznej dźwięków oryginału, nie daje wcale wyobrażenia o kolorycie tej pieśni poematu.

W pieśni XVII zaznaczamy brak jednego wiersza: „Zabite śmierci ćwiekiem okiennice,” niewiadomo z jakiej racyi wyrzuconego.

Wszystkie te drobne usterki, któreśmy wyżej zaznaczyli, giną zupełnie wobec stron dodatnich tłómaczenia, które śmiało znakomitęm nazwać można. Z całej tej pracy, rzetelnie artystycznej i sumiennej widać jasno, że p. Kurtzman zna gruntownie nasz język, że umiał odczuć najsztubtelniejsze odcienia nieśmiertelnej perełki Słowackiego i że sam prawdziwym jest poetą.

Też same zalety w równym zupełnie stopniu posiada przekład „Pieśni o ziemi naszej” (Lied von unserm Lande), tegoż tłómacza. Jeżeli poemat „W Szwajcaryi,” przedstawia niesłychane trudności dla tłómacza ze względu na niedościgłą eteryczność formy, to wspomniony utwór Pola jest niemięniej trudny dla cudzoziemca, z powodu swojego kolorytu nawskroś narodowego. A jednak, powiedzmy otwarcie, dokładność i piękność przekładu p. Kurtzmana przechodzi wszelkie oczekiwanie. Począwszy od wiernie odtworzonego rytmu pieśni polskiej, aż do najsztubtelniejszych, że tak powiem, zwrotów i wyrażeń, nieraz i dla Polaka dzisiaj dość archaicznie wyglądających, z małym wyjątkiem wszystko wychodzi w tłómaczeniu p. Kurtzmana bez zarzutu. Wprawdzie przekład dokonany jest wierszem białym, ale poetyczność jego stoi prawie zawsze na wysokości oryginału.

Weźmy oto np., znany powszechnie początek słynnej pieśni:

Kennst du denn auch, junger Bruder,
 Die dir Stammverwandten Völker?
 Die Gorale und Lithauer,
 Żmudz die fromme, und die Rus,
 Kennst du denn auch, junger Bruder,
 Deine Länder, deine Ströme,
 Und was ihren Lauf berühmt macht,
 Von den Quellen bis zur Mündung?
 Kennst du denn auch, junger Bruder,
 Deiner Heimat üpp'gen Segen,
 Ihre Gräber, Todtenmale,
 Die Geschichte, die so trüb ward?

Usterki tego tłumaczenia są tak nieliczne i drobne, że mówić o nich nie warto.

Przechodząc do p. Germana, możemy powiedzieć bez przesady, że tłumaczy on „Marya Stuart” wiersz w wiersz, słowo w słowo, pomimo, że przekład jest rymowany i odtwarza dokładnie wszystkie piękności oryginału. W akcie I-ym zaznaczamy jedynie brak wiersza: „Biała, jak kość słoniowa, wesola dziewczyna” (scena I), zresztą jest tu wszystko bez zarzutu, podobnie jak i w dwóch następnych aktach.

W czwartej scenie aktu czwartego, piękność porównania, wypływająca z kontrastu, zaginęła w przekładzie następnych słów konającego go Nicka:

O! kłózbę, kłózbę sądził, że pod dachem nędzy,
 Urodzi się istota, co się będzie śmiała,
 Ach! wer würde es glauben, dass zur Welt gekommen,
 Dort ein Wesen, das einzig zum Lachen kann taugen.

Balladę szkocką pазia w akcie piątym podaje tłumacz w przekładzie Herdera, kunsztownym wprawdzie, ale... nudnym... Wolimy przesłiczny przekład Juliusza. W scenie drugiej tegoż aktu dopuścił się tłumacz pewnej niedokładności. Gdy Marya, pewna śmierci męża, pyta Bothwela, co się z królem stało, ten odpowiada: „nie widziałem króla.”

— Więc żyć będzie?—woła kochająca małżonka.

— Zginie... może już zginął?—brzmi odpowiedź Bothwela.

Ten wiersz ostatni p. German tłumaczy:

Er wird sterben. Du hast ihn gesehen.

Druga połowa wiersza jest umieszczona w oryginale dopiero po zapytaniu królowej: „Jakto, ty go nie widziałeś?” wywołującego odpowiedź Bothwela: „Aleś ty go widziała.” Skrócenie to nie psuje myśli oryginału, ale... jest samowolne.

W scenie piątej tegoż samego aktu, gdy paź konający pyta królowę: „Kochasz mię?” Marya odpowiada: „Jak syna.” Tłumacz skrepowany końcówką poprzedniego wiersza, kładzie w usta Maryi odpowiedź:

„Aus ganzem Herzen,” która wbrew intencji poety, rzuca niepotrzebnie fałszywe światło na stosunek królowej do pазia.

Żeby dać czytelnikom próbkę pięknego przekładu p. Germana, przytoczymy, nie wybierając wcale, końcowy monolog Maryi w pierwszej scenie aktu czwartego, kiedy królowa, odebrawszy od Bothwela flaszczkę z trucizną, stara się wmówić w siebie, że płyn wręczony jej przez kochanka, jest tylko usypiającym napojem:

„Ich studirte ihn fleissig, um ihm bis zum Herzen
 Zu dringen, zu vernehmen des Verraths Geflüster.
 Traurig war er? Sein Antlitz ist durchfurcht von Schmerzen,
 Bleich war er?.. Er ist immer so bleich und so düster.
 Nein, kein Gift birgt die Flasche, wer würde nicht zagen,
 Wenn der Geliebten er den Todestrank empfehle?..
 Er müsste wohl im Herzen kein Gefühl mehr tragen,
 Ich müsste missverstehen des Geliebten Seele?..

Bodaj poeci nasi mieli zawsze takich tłumaczy!

J. A. Świącicki.

Oddając wszelką sprawiedliwość dokładnej pracy literackiej pana Germana, załujemy tylko, że nie poświęcił pióra swego innemu poematowi Słowackiego, gdyż Marya Stuart, jako utwór pierwszej epoki, należy do słabszych kreacji naszego wieszcza. Trafny wybór utworów najpiękniejszych naszych wieszczów podnosi bowiem zasługę tłumacza przez to, że przedstawia niechętnym sąsiadom naszym obrazy, którym nie mogą odmówić swojego uznania; gdy tymczasem rzeczy słabsze, przybrane w obcą sukienkę, popierają uprzedzenia, jakie względem literatury polskiej dość szeroko jeszcze w Niemczech panują. Okoliczność ta jest także przyczyną, dla której krytyka polska przekładami utworów naszej literatury na języki obce pilnie zajmować się powinna, oceniając je nie tylko pod względem artystycznym przekładu, ale i pod względem trafności wyboru.

Red.

„Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacji gminnej i wnioski reformy;” napisał dr. Franciszek Kasperek profesor uniwersytetu. Kraków, 1880. Str. 136, w 8-ce.

Liczbę dzieł, odnoszących się do samorządu gminnego galicyjskiego, powiększyła najnowsza praca prof. Kasparka pod powyższym tytułem wskazana. Niepowodzenia, jakie spotkały zastosowanie organizacji gminnej w tym kraju, skłoniły rozmaitych publicystów i uczonych do bliższego zajęcia się tą sprawą, do wyszukiwania skutecznego lekarstwa na poprawę złego. Błędy i wadliwości obowiązujących ustaw, starano się zmienić i w tej mierze poddawano je surowej krytyce.

Prof. Kasperek wytyka ujemne strony ustawy; lecz obok tego, spotykamy tu także wnioski reformy.

Zanim przejdziemy do samej treści rozprawy, winniśmy określić jej stanowisko w obec samorządu galicyjskiego w ogóle.

Prof. Kasperek nie jest za bezwarunkowym stosowaniem samorządu w Galicyi. Opieramy to nasze zdanie najprzód na tém, że prof. Kasperek wyraża zdziwienie, że Austria wydając ustawy, nie obrała sobie za wzór urządzeń francuzkich, „które zalecały się swą długo-trwałością” (str. 10). Cóż jednak spotykamy w owym czasie we Francyi? Oto złowrogi art. 13 prawa z dnia 15 maja 1855 r. ¹⁾, na mocy którego prefekt mógł zawieszac w urzędowaniu radzców municypalnych na dwa miesiące. Na ten czas prefekt mianował komisją zastępczą, której liczba członków równała się połowie radzców municypalnych. Prócz tego, naczelnik państwa, to jest cesarz, mógł zupełnie rozwiązać radę municypalną, a do końca pięciolecia, to jest kadencji zwykłej, komisya mogła zastępować jej miejsce.

Należy przytém zwrócić uwagę na to, że prawo pozostawiało we względzie rozwiązania lub zawieszania rad municypalnych najzupełniejszą swobodę wspomnianym organom państwowym. W ten sposób władze, powstałe z samorządu, były w zupełności zależne od rządu. Wprawdzie rady municypalne, jako organy doradcze, nie posiadały wielkiego znaczenia, lecz nie lepiej się działo z merami i ich pomocnikami (adjoints), których mianował bądź cesarz, bądź odnośny prefekt (art. 2). Czy taki samorząd mógł być wzorem dla Austrii i Galicyi?

Zresztą, każdy naród pod względem politycznym rozwija się samodzielnie; jak rośliny pochodzące ze stref zwrotnikowych z trudnością dają się aklimatyzować, tak i ustawy obce nie przyjmują się od razu. Każdy naród ma odrębne dążności; przeszczepione na jego grunt ustawy są często w sprzeczności z jego narodową tradycją i pojęciami, zdobytymi drogą dziejową. Przeniesiony np. na ląd stały selfgovernment angielski doprowadziłby do despotyzmu i wkraczania rządu w najdrobniejsze szczegóły życia społecznego. Jakże niebezpiecznym byłoby dla samorządu mianowanie przez koronę wszystkich urzędników gminnych, jak to ma miejsce w Anglii, gdzie wcale to nie tamuje rozwoju selfgovernment. Mamy historyczne zresztą dowody, a za przykład w tym względzie może służyć Francya. Mężowie stanu z epoki Restauracyi, idąc za przykładem Anglii, nadali państwu lub prefektom prawo mianowania radzców generalnych i municypalnych, powierzywszy jednocześnie wybór deputowanych ogółowi mieszkańców ²⁾. Rozumie się, że istota samorządu została w ten sposób najzupełniej zwichniętą.

Drugą zasadą sądu naszego o stanowisku profesora Kasparika

¹⁾ Vautrin Batbie, p. 287, Lois administratives français.

²⁾ Leroy-Beaulieu, p. 40, L'administration locale en France et en Angleterre.

w obec sprawy samorządu gminnego w Galicyi, jest projekt, dotyczący wprowadzenia do rady gminnej członków bez wyboru, a mianowicie: 1) właścicieli, wyłączonych dotychczas ze związku gminnego obszarów dworskich; 2) dusz pasterzy prawnie uznanych wyznań religijnych w każdej gminie, do ich parafii należących; 3) każdego członka gminy, opłacającego przynajmniej $\frac{1}{6}$ część całej sumy podatków bezpośrednich w gminie do opłaty przepisanych, niemniej 4) każdego posiadacza wcielonej do gminy majątności ziemskiej, jako osobne ciało w tabuli krajowej zapisanej, chociażby wspomnionej ilości podatków w gminie nie opłacał, jeżeli jest obywatelem państwa austriackiego. Ostatnia kategoria radnych, jest przewidziana § 16 ustawy z dnia 12 sierpnia 1866 r. Co się tyczy dwóch pierwszych, to prawdopodobnie przy włączeniu ich do radnych bez wyboru, kierował prof. Kasparkiem względ wprowadzenia inteligencji do zarządu gminnego. Autor zresztą sam to na str. 98 stwierdza. Bądź co bądź, podobny projekt wstrząsnąłby podstawami samorządu, który wyłącznie na wyborze opierać się winien. Gdzie ludność nie ma zupełnej swobody wyboru urzędników gminnych, tam o zaufaniu wzajemnym mowy być nie może. Wszelki nakaz z góry, podkopuje zasadę wyboru i niweczy ideę samorządu.

Wątpimy zresztą, czy w obec stosunków galicyjskich, względy praktyczne mogłyby przemawiać za p. K. Bardzo łatwo być może, iż właścicielem ziemskim zostanie Niemiec, a jednak w myśl ustawy, ma on być już z góry przez prawo naznaczonym filarem samorządu polskiego. Co się znowu tyczy dusz pasterzy prawnie uznanych wyznań religijnych, to należą do nich także przedstawiciele wyznania żydowskiego w osobach rabinów, których stanowisko zajmują w Galicyi nie rzadko chasydzi. W ten sposób pierwotna myśl prof. Kasparka, ulegnie zwłknięciu, a do samorządu wprowadzony zostanie czynnik ciemnoty i fanatyzmu, gorszego jeszcze od tego, jaki cechuje obecny ustrój gminny w Galicyi.

Stanowisko autora w obec istoty samorządu uwydatni się lepiej przy rozbiorze treści samej pracy, do której obecnie przechodzimy.

Prof. Kasperek przede wszystkim przedstawia zarzuty ogólnie czynione ustawie gminnej galicyjskiej, a następnie podaje wnioski reformy. Wspomniane wady są następujące: 1) wprowadzenie dualizmu władz rządowych i autonomicznych; 2) niejasność w określeniu obustronnej kompetencji; 3) wadliwe urządzenie toku instancyi w sprawach administracyjnych; 4) nadmierna ilość organów autonomicznych, co wprowadza zamęt w czynnościach; 6) pozbawienie władz autonomicznych władzy wykonawczej; 7) przeciążenie gmin czynnościami zakresu własnego i poruczonego; 8) nienależyte wypełnienie obowiązków gminy w sprawie policyi; 9) kosztowność urządzeń autonomicznych bez odpowiednich korzyści (str. 5).

Potępiając istniejący w Galicyi dualizm, prof. Kasperek twierdzi, że rozgraniczenie zakresu działania samorządu gminnego od państwa, nastąpić może tylko w miarę sił i środków, jakimi gmina rozporządza.

Nie może tu służyć za punkt wyjścia przedmiot, gdyż każda sprawa zarówno obchodzi gminę i państwo; to samo odnosi się do funkcji, gdyż tak państwo, jak i gmina jest związkiem gospodarczym i zwierzchniczym.

W ten sposób, prawo nie może poruczyć wszystkim gminom jednakowych czynności. Tymczasem ustawa gminna galicyjska nie trzyma się tej zasady, co stanowi ważną jej wadę.

Dodajmy jeszcze powierzenie pokrewnych zadań w tym samym obszarze władzom rządowym i autonomicznym. Sprowadza to ciągłe spory o właściwość, bądź dodatnie, bądź ujemne. Przynajmniej prawo nie określa, jaka władza posiada moc rozstrzygnięcia sporów ujemnych, to jest tego wypadku, jeżeli żadna władza daną sprawą zająć się nie chce. Niemniejszej krytyce autora podlega urządzenie toku instancji w sprawach administracyjnych. Szczególniej widzimy tu niejasność co do spraw własnego zakresu działania. Gminy pozostają w tym względzie pod kierunkiem rządu, a także wyższych organów samorządu. Prawo stanowi, że od zarządzeń zwierzchności gminnej idzie rekurs do starostwa powiatowego, a z drugiej strony do rady gminnej, czego zrozumieć nie można. Co się znowu tyczy postanowień rady gminnej, to ze skargą na takowe udać się należy do wydziału powiatowego, chociaż rząd stosownie do art. 105, ma prawo i obowiązek wstrzymać wykonanie uchwały rady gminnej, jeżeli ostatnia przekracza jej atrybucje, lub sprzeciwia się ustawom. Jestto nieprawidłowość, zupełnie nieuzasadniona. Zarzutu nadmiernej ilości organów autonomicznych nie uznaje prof. Kasperek za słuszny, motywując to tem, że w innych krajach, jak np. w Prusach, jest ich daleko więcej, a pomimo to, niektórzy uczeni stawiają urzędy pruskie jako ideał.

Daleko głębiej zastanawia się autor nad sprawą wydzielenia obszarów dworskich ze związku gmin wiejskich. Prof. Kasperek stanowczo powstaje przeciw temu anormalnemu zjawisku i powołuje się, celem zwalczania takowego na względy moralne i ekonomiczne. Tylko gmina ogólna jest w stanie zbliżyć większego właściciela do włościan i należycie się rozwijać. Prócz tego, stan taki wywołuje kolizje władz, a zresztą skutek ogólnego prawa o własności ziemskiej, mogącej ciągle zmieniać właścicieli, nie ma on racji bytu.

Autor omawia z kolei pozbawienie rad powiatowych i wydziału krajowego władzy wykonawczej, co w obec rozległych praw, przysługujących gminie, jest zupełną niekonsekwencją. Z kolei prof. Kasperek potępia utożsamienie (?) pod względem prawnym gminy wiejskiej i miejskiej, a także jej przeciążenie. Co do pierwszego, autor twierdzi, że środki, stopień wykształcenia gminy wiejskiej nigdy nie pozwolą na osiągnięcie tych celów, jakie może przeprowadzić miasto. Z tego stanowiska autor potępia ustawę austriacką, wskazując na owoce niwelacji, która wywołała rozstrój i nieudolność po wsiach, a z drugiej strony pomyślny rozwój w miastach. Co do zarzutu przeciążenia gmin,

autor zwraca tylko uwagę, że trzeba zachować miarę przy czynnościach poruczanych.

Tutaj nie należy wkładać na organy gminne takich obowiązków, które wymagają zawodowego wykształcenia. Prócz tego, w ten sposób zadania gminy schodzą na drugi plan, a urzędnicy gminni stają się zależni od państwa. Wreszcie w ostatnich, w skutek przeciążenia wyraża się niechęć ku urzędnikom gminnym. Wyliczając czynności własnego zakresu gminy, autor uważa za wręcz nieodpowiednie: czuwanie nad bezpieczeństwem osób i mieniem, policją nad czeladzią, sprawy ubogich, policją budownictwa.

Wada przeciążenia płynie, według autora, z błędnej zasady, że można przeprowadzić linię demarkacyjną między zakresem działań państwa i gminy (str. 59).

Zarzut nienależytego wypełniania obowiązków gminnych, daje sposobność autorowi do przedstawienia w żywych barwach smutnego nad wyraz stanu samorządu gminnego w Galicyi. Nie będziemy powtarzali tu odnośnych cyfr o składzie reprezentacyi gminnej, wykształcenia jej członków i t. d., gdyż znajdują się one w roczniku czwartym wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych, wydanych przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją prof. d-ra Tadeusza Piłata, (Lwów, 1878, „Statystyka gminna”). Zresztą już przed nami uczynił to p. Rembowski w artykule p. t.: „Przegląd prac odnoszących się do samorządu gminnego w Galicyi.” („Niwa,” rok 1879, zeszyt 114, 115 i 116),

Prof. Kasparek nie uważa kosztowności urzędzeń autonomicznych za rzecz ujemną, sądzi bowiem bardzo słusznie, że prawdziwy rozwój samorządu w szerokim zakresie, wymaga urzędów płatnych. Zarzut powyższy ma pewną racją bytu, odnośnie do obecnych stosunków, gdy należy wiele płacić za nic.

Skończywszy z zarzutami, autor wypowiada swe wnioski pozytywne w sprawie reformy gminnej, która winna być przeprowadzoną z poszanowaniem istniejących urzędzeń.

Pierwszą reformą projektowaną przez autora, jest zniesienie rozdziału gmin wiejskich i obszarów dworskich. Nie udowadniając potrzeby tego, gdyż uczynił to szanowny autor już w inném miejscu, prof. Kasparek powstaje tylko przeciw tworzeniu gmin zbiorowych. Pierwszym argumentem jest dlań tradycja historyczna, wzbraniająca formowania sztucznych organów, następnie wstępnie samych gmin do łączenia się, warunki geograficzne i t. p. Autor potępia także jednoczenie gmin miejskich i wiejskich; stwierdza najprzód cyframi nader ograniczoną ilość mieszkańców miast, a następnie niski ich stopień wykształcenia, jako składających się z zacofanych rzemieślników i fanatycznej ludności żydowskiej.” W następstwie zbiorowych gmin, autor zaleca: 1) powrót do dawnego dominium, jako do jednostki administracyjnej, 2) zasilenie gmin, prócz właścicieli większych, także duchowieństwem, któremu ma być przyznanem prawo należenia do rady gminnej bez wy-

boru i 3) przyznanie obszarom dworskim co najwięcej tych praw, jakie posiadają one w Morawii, a mianowicie oddanie zarządu niektórych wydziałów administracji miejscowej. Co do powrotu do dawnego dominium, to zdaje nam się, że zdanie prof. Kasparka w tym względzie, nie jest bardzo uzasadnione. Słusznie twierdzi p. Rembowski (l. c. str. 601), że gminę należy uposażyć w taki zasób ziemi i ludzi, jakiego jój istota i jój zadania wymagają. Dawne pozostałości winny ustąpić potrzebom nowego porządku, a przede wszystkim musi koniecznie pozyskać charakter publiczny samorządu gminnego, przed którym winna ustąpić wola miejscowej ludności.

Prof. Kasperek odmiennego jest zdania, a na poparcie swych twierdzeń przytacza tę okoliczność, że „utworzenie jednostki administracyjnej z dawnego dominium, byłoby powrotem do dawnych zabytków historycznych w odnowionej i stosunkom odpowiedniej formie” (str. 98). Jako dowód korzyści, płynącej z połączenia gminy z obszarami dworskimi, może służyć, według autora, Królestwo Polskie, gdzie, jakoby inteligencya wiejska korzysta w całej pełni z praw ustawą gminną z r. 1864 przyznanych i dobiła się przodującego w gminie stanowiska (str. 98).

Prof. Kasperek powołuje się w tym względzie na artykuł p. Jeleńskiego p. t.: „Obrachunek za rok 1878,” („Niwa,” tom XV, str. 5), gdzie mowa o zebraniach gminnych; o ile nam jednak wiadomo, udział w tych ostatnich, a jeszcze bardziej w zarządzie gminnym posiadłości większych, jest bardzo nieznaczny. Gdziekolwiek ledwo spotkać można wójta, pochodzącego z inteligencyi wiejskiej: przekonać się o tém może każdy, kto naocznie zapozna się z naszym samorządem. Czyż zresztą nawet udział w zebraniach gminnych jest dowodem korzystania z praw w całej pełni?

Przy sposobności pozwalamy sobie zwrócić uwagę szan. autora, że w Królestwie osobnej klasy społecznej: „szlachty wiejskiej” dziś nie ma; są tylko więksi i mniejsi właściciele ziemscy, a pochodzenie nie gra tu żadnej roli.

Drugą reformą proponowaną przez prof. Kasparka, jest projekt założenia komisji gminnych. Mają one usunąć wymieniony wyżej dualizm władz przez powierzenie rekursów władzom miejscowym: komisji gminnej krajowej przy starostwach i namiestnictwie, pod przewodnictwem naczelników tych władz. Organy te mają łączyć w sobie przedstawicieli rządu i wyższych władz samorządu, a zadaniem ich ma być usunięcie zgubnego nadzoru nad gminą dwóch władz: wydziału powiatowego i władzy politycznej powiatowej (dział VIII ustawy, § 98 —109)

Wprowadzie w ten sposób nastąpiłaby pewna jedność w procedurze, lecz sądzimy, że tu z równą siłą uwydatniłaby się kolizya władz rządowych i autonomicznych. Czyż nie lepiejby było iść za przykładem Anglii i powierzyć rekurs sądom? Uchroniłoby to może gminy od nadmiernej kontroli rządu, który obecnie jeszcze uważa się więcej za zwierzchnika, niż za obrońcę interesów państwa. Pięknie wpraw-

dzie brzmią słowa, że „rząd i samorząd nie są sprzeczne i zwalczające się potęgi” (str. 106), lecz do tej harmonii nie tylko w Galicyi, lecz nawet w krajach wyżej pod każdym względem stojących, jeszcze bardzo daleko.

Celem uchylecia przeciążenia gmin, prof. Kasperek projektuje uszczuplenie zakresu działania gmin, tudzież przymusowe połączenie gmin słabszych z innymi. Autor wyraża to zdanie, pomimo swęj antypatii do przymusu.

Następnie autor żąda przyznania władzy wykonawczej organom samorządu, przedłużenia okresu wyborczych do lat sześciu, co jest terminem zbyt długim i podniesienia kwalifikacyi zwierzchności urzędników gminnych. Autor co do tego ostatniego punktu zaleca, aby po latach 12 obieralni byli tylko ci, którzy uczęszczali do szkół ludowych, dla pisarzy zaś żąda zaprowadzenia kursów specjalnych.

W końcu spotykamy jeszcze kilka ważnych projektów, jako to: unormowanie posiedzeń rady gminnej, ustanowienia terminu dla unieważnienia jej uchwał i wreszcie: urządzenie sądów gminnych, na wzór istniejących w Królestwie.

Pracę prof. Kasparka zamyka sformułowanie reform, wskazanych według systematu dzisiejszych ustaw gminnych.

Zastanawiając się głębiej nad treścią rozprawy prof. Kasparka, dojdziemy do wniosku, że autor kładzie główny nacisk na ujemne strony ustawy gminnej galicyjskiej, stawia ich poprawę za rzecz pierwszorzędnej wagi, mogącą życie gminne w Galicyi wprowadzić na racjonalniejsze tory. Wprawdzie prof. Kasperek twierdzi, że i brak ludzi odpowiednio uzdolnionych stanowi tu ważną przeszkodę (str. 3), lecz zawsze, jak widać z całego toku pracy, strona prawna więcej technicznej natury, ma dlań główne znaczenie. Z podobnym poglądem autora trudno się zgodzić.

Pomiędzy warunkami niezbędnymi dla rozwoju samorządu w ogóle, należy na najpierwszém prawie miejscu postawić uregulowanie stosunków ekonomicznych kraju. Gdzie nie ma dobrobytu, zapewniającego większości mieszkańców niezależny byt materyalny, tam życie publiczne w ogóle, a témbardziej samorząd gminny kwitnąć należycie nie może. Pojedyncze warstwy ludności, hojniej uposażone, mają czas do poświęcania się sprawom ogółu, lecz ludność cała staje się obojętną, obcą niemal względem spraw gminy. To nam tłumaczy, dlaczego Galicya pod względem rozwoju samorządu gminnego stoi bardzo nisko. Widzimy tam ogólną apatię, wywoływaną przez biedę powszechną, ciągłe emigracye ludu, szukającego chleba na obczyźnie. Prócz tego, brak środków odpowiednich hamuje urzeczywistnienie najlepszych i najszlachetniejszych celów. A zatém w kwestyi ekonomicznej spoczywa rdzeń niepowodzenia samorządu galicyjskiego. Oto z kąd należy rozpocząć reformy, aby organizacya gminna nie była cczą zabawką, lecz rzeczywistą szkołą życia politycznego dla całej ludności galicyjskiej.

Prof. Kasperek nie uwzględnia tej ważnej sprawy; autor widząc, że samorząd gminny w Galicyi nie odpowiada celowi, stara się zmienić niektóre jego strony prawne, które według zdania prof. Kasparka, tamują rozwój instytucyi. Autor jednak zapomina, że przyczyna walenia się gmachów społecznych zależy czasem od natury gruntu, który wymaga zupełnego przekształcenia.

Henryk Konitz.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Listopad 1880 r.— Pisma codzienne donoszą, że z początkiem roku 1881, prasa peryodyczna w Warszawie zubożać się ma, prócz dawniej zapowiedzianych, jeszcze kilku nowemi wydawnictwami, mianowicie: p. Gracyan Unger zamierza wydawać pismo tygodniowe beletrystyczne p. t.: „Romans i powieść;” p. Władysław Maleszewski tygodnik ilustrowany p. t.: „Wiosna polska;” a p. Jaksza Bykowski pismo codzienne p. t.: „Kuryer polski” i t. d. Fakt mnożenia się tak skwapliwego różnych organów pracy umysłowej zdaje się być na pierwszy rzut oka pocieszającym zjawiskiem, bo przemawia za tém, że mimo trudnych miejscowych warunków zwiększa się u nas szczęśliwie zastęp czytelników—każe przypuszczać, że kierunki pracy umysłowej pomysłnie się rozgałęziają, tak, że mogłyby nam tego pozazdrościć nawet społeczeństwa, wśród których jest otwarte pole do dyskusyi dla rozmaitych stronnictw politycznych, religijnych, naukowych. Tymczasem o tém wszystkiém nie może być tu mowy i łudzą się ci, którzy kilka oderwanych sentencji podnoszą do godności sztandaru osobnego kierunku naukowego; chociaż nie zastaniamy sobie oczu na niektóre jaskrawości, pragnące się uważać za osobne, albo raczej za wyosabniające się sztandary. Nasza literatura peryodyczna traci od niedawnego czasu w tym samym stosunku na gruntowności, w jakim zyskuje na rozciągłości, ponieważ wobec smutnego faktu krytycznego materialnego położenia chwili, przy trudności odpowiedniego stanowiska dla ludzi wykształconych, musi większa część z pomiędzy nich zarabiać piórem na kawałek powszedniego chleba. Z tém zbyt twardém położeniem powinien się każdy sumiennie rachować, gdy się nad gorączkowym prawie mnożeniem pism peryodycznych zastanawia. Nie myślimy tóż bynajmniej ubliżać uczciwym chęciom tych powszednich pracowników na niwie literackiej, eksploatowanych bez litości w bogatszych nawet krajach od naszego; ale ośmielamy się zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, które się w tém zjawisku niepostrzeżenie ukrywa. Wobec tak

licznych potrzeb redakcyjnych, przyzwyczajają się piszący do pracy powierzchownej, zacierają się zwolna gruntowność pracy fachowej, specjalnej, wyrabiają się chodzące encyklopedye, które o wszystkich przedmiotach z równą pewnością wyrokują. Wśród takich stosunków zdolne nawet umysły, dostatecznie naukowo przygotowane, które w innych warunkach mogłyby się gruntownie wydoskonalić i do wzrostu nauki się przyczynić, poprzestają na pracach okolicznościowych, powierzchownych, bez gruntowniejszego rzeczy zgłębiania. Poważna i gruntowniejsza myśl jest jednak niezaprzeczoną potrzebą umysłu ludzkiego, jak tego dowodzi to napozór anormalne zjawisko w prasie naszej, że pisma codzienne (nawet przeważnie lokalnym interesom poświęcone) dla zainteresowania większego swoich czytelników, drukują poważne, uczone traktaty, rozbiory i krytyki dosyć obszerne dzieł naukowych; pisma zaś naukowe ogłaszają znów dla zaspokojenia ciekawości swoich czytelników różne kroniki i przeglądy drobnych, oderwanych wypadków, które z osnowy swojej kwalifikują się doskonale na feiletony do gazet codziennych. Coraz większe pożądanie takiej treści, dowodzi, że zastęp czytelników rzeczy poważnych u nas się zmniejsza, a nie pomnażają go, jak dawniej, ani wyższe zakłady naukowe, ani sądownictwo, ani sfery administracyjne, ani wojskowe. Skutki powierzchownej pracy piszących artykuły dla przeróżnych redakcyi, muszą się odbić i w pismach; a ponieważ temi pismami karmią się setki i tysiące, rozplywa się ten płytki strumień myśli na wszystkie strony, a pod jego wpływem jałowiciej niepostrzeżenie umysł czytającego ogółu, unika coraz bardziej gruntownego, wszechstronnego rozbioru zjawisk życia powszedniego i społecznego. Taki stan umysłowości ma tę słabą stronę, że w chwilach stanowczych brakuje zupełnie opinii i zdań indywidualnych o najważniejszych potrzebach narodu: spotykamy tylko opinie i zdania gromadne, zdania niewyrozumowane samodzielnie; ale przyswojone niepostrzeżenie, bez świadomości ich racjonalnej wartości. Dalecy od narzucania komukolwiek naszego sądu o tej sprawie, pragnęlibyśmy przez tę uwagę wskazać nowopowstającym pismom tę słabą stronę naszego peryodycznego piśmiennictwa. W przekonaniu, że co do zapatrywania się na tę kwestyę, sporu być nie może, powitamy z całą życzliwością każdego pracownika na niwie gruntownej uprawy umysłowości naszego narodu.

— Gazeta „Wiek” podaje, według pism petersburskich, wiadomość, że ministerjum sprawiedliwości przedstawiło projekt o przyłączeniu archiwum płockiego do warszawskiego głównego archiwum. Archiwa akt dawnych w Królestwie Polskiem, na zasadzie Najwyżej zatwierdzonych w r. 1875 przepisów, pozostawione były na tych samych miejscach, gdzie się przedtém znajdowały. Tego rodzaju archiwów, wliczając w to dwa archiwa w Warszawie, jest w Królestwie Polskiem dziesięć i znajdują się one w Kaliszu, Piotrkowie, Radomiu, Kielcach, Lublinie, Siedlcach, Płocku i Łomży. Archiwum płockie mieści się w dwóch lokalach. Najważniejsza jego część mieści

się w wieży kościoła katedralnego, druga zaś w domu prywatnym. Pierwsze pomieszczenie jest tylko chwilowém i wkrótce trzeba będzie wynieść ztamtąd księgi, które już dwa razy były poruszane, w skutek czego oprawy uległy niemałemu zniszczeniu. Okrom tego, pomieszczenie w wieży nie pozwala korzystać z ksiąg, zresztą mieszczą się tam także rzeczy, należące do zarządu kościelnego. W archiwum plockiem znajduje się około 4,000 ksiąg. Sprawa przeniesienia archiwum poruszoną została przez władzę sądową.

— Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Um. w Krakowie d. 10-go b. m., odczytał pr. dr. Smolka rozprawę o testamencie Bolesława Krzywoustego. Autor, zbijając przedewszystkiém twierdzenie d-ra Maksymiliana Kanteckiego, jakoby Krzywousty w testamencie swoim wprowadził zasadę pierworodztwa, wbrew zasadzie senioratu, która przed rokiem 1138 w państwie Piastowskiém obowiązywała, zastanawiał się nad interpretacją trzech ustępów kroniki mistrza Wincentego o testamencie Krzywoustego, usuwając wątpliwości, wynikające z zawilego i niejasnego tekstu kroniki Kadłubka, obszernym wywodem krytyczno-hermeneutycznym, że kronikarz używał niewłaściwie wyrazu primogenitura w znaczeniu wprost przeciwnego pojęcia, t. j. senioratu, głównie zaś oparł się autor na najważniejszym źródle do rozwinięcia téj kwestyi, którego dr. Kantecki nie dostrzegł, t. j. na liście papieża Innocentego III z dnia 9-go czerwca 1210 r. W liście tym zatwierdza Innocenty III osnowę testamentu Krzywoustego według wiadomości, których mu dostarczył książę szlącki Henryk Brodaty, i usuwa świadectwem swoim wszelkie wątpliwości, że Krzywousty oparł postanowienia swoje o następstwie tronu na zasadzie senioratu. W końcu zwrócił autor uwagę na zasadnicze znaczenie téj kwestyi, wykazując, że od jój rostrzygnięcia zawisł pogląd na dzieje całego okresu po śmierci Bolesława Krzywoustego.

— Znany na polu naukowém badacz przeszłości polskiej, Kazimierz hr. Stadnicki, wydał w tych dniach dzieło p. t.: „O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce.”

— Ktokolwiek badając dzieje narodu polskiego, zwracał pilniejszą uwagę na historią cywilizacji społeczeństwa naszego, ubolewał nad tém, że historycy nasi nie uwzględniali dostatecznie przedmiotu tak ważnego, jakim jest stan przemysłu w dawnéj Polsce. W osnowie dzieł historycznych szukamy napróżno dokładnych o tym przedmiocie wiadomości, bo materiały do wyjaśnienia téj kwestyi kryją się po różnych rękopisach, aktach miejskich, dyaryuszach sejmowych, traktatach, relacjach poselskich, w starych gazetach i kalendarzach doskonale ukrytych przed ciekawém okiem szerszej publiczności. Z tego powodu należy się wdzięczność p. Julianowi Kołaczkowskiemu, że zebrane przez siebie fakta na tém polu, uporządkował i w artykule p. t. „Wiadomości o dawnych fabrykach w Polsce“ w „Przewodniku naukowo-literackim“ w r. 1880 wydrukował, a ostatecznie w osobnej odbitce

szerszemu kołu czytelników zakomunikował (Lwów, 1880, str. 16). Przedmiotu tak obszernego nie wyczerpuje Spis p. J. K.; ale przy ogólnym poglądzie na całość, daje nam krótką wiadomość o tych usiłowaniach, które w zakresie czynności fabrycznej podejmował naród polski od najdawniejszych czasów aż do 1774 r.

— W drukarni Zawadzkiego w Wilnie, ukazał się we wspaniałej edycji pierwszy tom „Historji Egiptu“ przez D-ra Ig. księcia Żagiella, z 42 tablicami litograficznymi. Autor mieszkał stale przez lat 21 w Egipcie, zwiedził Abissynią i część środkowej Afryki, tak, że dzieło jego obiecuje być ciekawem. Tom drugi ma niebawem wyjść z druku.

— Staraniem pana Antoniego Strzeleckiego wyszedł jedenasty rocznik wydawnictwa „Kalendarz rolniczy“ na rok 1881 w dwóch, jak zwykle częściach. Pierwsza ładnie oprawna, oprócz części kalendarzowej i informacyjnej, jest książką notatkową, druga zawiera wyłącznie artykuły treści rolniczej.

— Dr. Ludwik Kubala zebrał drukowane po pismach peryodycznych rozprawy swoje z historyi polskiej, szczególnie z czasów panowania Jana Kazimierza i wydał we Lwowie p. t.: „Szkice historyczne.“ Serya II, 1880, str. 324. Czytamy tu następujące artykuły: 1) „Proces Radziejowskiego;“ 2) „Pierwsze Liberum Veto;“ 3) „Krwawe Śwaty;“ 4) „Czarna Śmierć;“ 5) „Wyprawa Żwaniecka;“ 6) „Mieszczanin Polski w XVII w.“ Pod względem naukowym nie mogłaby się krytyka zawsze zgodzić z autorem; lecz są to też więcej opowieści, aniżeli systematyczne studia, z jasnymi historycznymi konkluzjami. Obok tego znajdujemy tu materyał dla badacza nadzwyczaj ważny, obficie zebrany i w pięknej formie przedstawiony. Rozprawa: „Mieszczanin Polski w XVII wieku,“ odślania nam stronę przeszłości naszej prawie zupełnie zaniedbaną, a nadzwyczaj pouczającą i ciekawą ze względu na stan oświaty naszego mieszczaństwa w wieku XVII-ym. W tak sumienny sposób pisane monografie pojedynczych faktów historycznych, umożliwią dopiero historykowi wystawienie całości dziejów naszych w wernym, duchem swojej epoki tchnącym obrazie.

— Z pomiędzy wydawnictw, mających na celu nietylko przyjemną rozrywkę literacką, ale poważniejsze zatrudnienie umysłu na obszerniej niwie literatury powszechniej, zajmują publikacye p. S. Lewentala, nakładzcy „Kłosów,“ jedno z miejsc zaszczytniejszych, a to mianowicie dla tego, że dokonują się podług pewnego umiejętnego planu, z względnie naukowej systematycznością, o ile to w zbiorze takim, jak „Biblioteka najcenniejszych utworów literatury europejskiej,“ przeprowadzić można. Zaznaczamy w tém miejscu dla dania wyobrażenia o całym tém chwalebnym wydawnictwie, że „Biblioteka najcenniejszych utworów literatury europejskiej,“ składa się z dwóch głównych działów, mianowicie: 1) z wydań najznakomitszych dzieł autorów literatury europejskiej, luźnie, bez organicznego związku dokonujących się, z odpowiednimi uwagami wstępnymi, zawierającymi wiadomości biograficzne i bibliograficzne

no-krytyczne, które ułatwiają pogląd na znaczenie historyczne i estetyczno-literackie płodów umysłu ludzkiego i 2) z „dziejów literatury powszechnej z ilustracyami,” które obejmować mają wykład historyczny organicznego rozwoju pracy umysłowej wszystkich narodów, rozpoczynający się od literatury najodleglejszego Wschodu. Praca w takich rozmiarach poczęta, zasługuje na szczególny rozbiór, którego na tém miejscu nie możemy wyczerpująco przedstawić, zwłaszcza, że dzieło daleko jeszcze do końca: pragnęlibyśmy tylko przez niniejszą wzmiankę, zwrócić uwagę publiczności na sprawę, zasługującą na wszechstronne poparcie. Z działu 2-go, rozpadającego się na trzy części: 1) dzieje literatury starożytnej; 2) średniowiecznej i 3) nowszej, ogłoszono dotychczas „Historią literatury chińskiej,” opracowaną przez J. A. Święcickiego na podstawie najnowszych badań, tudzież „Literaturę indyjską,” opracowaną przez p. Krasnosielskiego. Z działu pierwszego wydrukowano w ostatnich miesiącach: a) z literatury francuzkiej Honorusza Balzac'a: „Komedia ludzka,” t. I; „Kobięta trzydziestoletnia, Gobseck.” Przekład Waleryi Marrené; b) z literatury włoskiej: „Nicolo de Lapi,” powieść historyczna w przekładzie Józefa Korzeniowskiego; c) z literatury polskiej: 1) Wacława Potockiego: „Wojna Chocimska,” z wstępem ś. p. Aleks. Tyszyńskiego; 2) „Dzieła Józefa Kremera.” Tom X, zawierający 7-y i 8-y arkusz obszerniej pracy d-ra H. Struve'go p. t.: „Życie i prace Kremera.”

— „Encyklopedyi wychowawczej” wyszedł z druku zeszyt 5 tomu I-go i zawiera dokończenie artykułu: „Arystoteles” p. S. P., tudzież początek bardzo szczegółowego artykułu: „Arytmetyka” p. Wincentego Trybalskiego.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszedł nowy zeszyt „Biblioteczki ludowej,” zawierający 394 pieśni i śpiewek weselnych polskich, z ust ludu i źródeł etnograficznych drukowanych, zebranych przez Zygmunta Glogera p. t.: „Gody weselne.” Znaczenie tego rodzaju wydawnictw jest nadzwyczaj ważne, bo chroni lud przed rozmaitemi nowatorskimi wpływami, zacierającemi jego narodowy zwyczaj i obyczaj, tak, że przypominając to, co już „Biblioteka Warszawska” w tej sprawie powiedziała (zeszyt z lutego r. b., str. 336—338), pragnęlibyśmy zwrócić jak największą i najżyźliwszą uwagę na tę obywatelską pracę p. Z. Glogera.

— P. K. Żupański wydał skromną, bo niespełna 200 stronic w ósemce obejmującą książkę pod tyt.: „Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia;” Poznań, 1880. Pracę tę drukował najprzód „Przegląd krakowski” redagowany przez St. hr. Tarnowskiego. Autor nie znany; ale treść dziełka ciekawa i w szczegóły obfitująca. W obrazie, który nam autor kreśli, widzimy piśmiennictwo w związku z życiem społecznem i politycznem, przedstawione z głęboką znajomością stosunków i przymiotów (równie ujemnych jak dodatnich) charakteru narodowego. Pojedyncze szczegóły niezupełnie wykończone; ale całość przedstawia wybornie ważny moment naszego ży-

cia umysłowego. Sąd autora rozważny, żadną stronniczością nie podżegany, umie utrzymać szalę sprawiedliwości między gorącymi zapędami „Tygodnika literackiego” a ortodoksyą „Przeglądu poznańskiego.” Pobudką do tej pracy były odczyty profesorów M. Bóbrzyńskiego i hr. St. Tarnowskiego w Poznaniu „O literaturze wielkopolskiej.” Autor nie polemizuje jednak z nimi, chociaż wypowiada jasno swoje odmienne zdanie, np. o Fr. Morawskim, którego wzmiankowaue prelekcye zawysoko podniosły.

— Dr. Geitler, profesor uniwersytetu zagrzebskiego, powrócił tej jesieni z podróży naukowej po półwyspie Synai i przywiózł ztamąd odpisy starożytnych zabytków języka słowiańskiego, niezmiernie wielkiej wagi. Zabytki te odkrył on w klasztorze na górze „Mojżesz,” gdzie są przechowywane razem z rękopismami greckimi, koptyjskimi i syryjskimi, których klasztor bogaty zbiór posiada. Są to rękopisma gła-goliczkie, mianowicie podręcznik liturgiczny tak zwany „Trebnik,” do-tychczas całkiem nieznanym w literaturze starobułgarskiej i „Psałterz,” prawie kompletny. To drugie odkrycie ma równie wielkie znaczenie jak pierwsze, ponieważ w literaturze starobułgarskiej znane były tylko pomniejsze fragmenty psalterza. O ile wnosić można z pisma i języka, odznaczającego się czystością, rękopisma te zdają się pochodzić z końca X w. Obadwa mieszczą się na 300 ark. pargaminowych. *St. N.*

— Podpułkownik Jung, autor dwutomowego dzieła potępiającego pod każdym względem (a szczególnie lichą moralną stroną generała Napoleona I Bonapartego) poszukując temi czasy w archiwum francuzkiego ministerstwa spraw zagranicznych materyałów do dalszego ciągu swój pracy, znalazł tamże przypadkiem rękopis „Pamiętników Lucyana Bonapartego,” które jak wiadomo, były ogłoszone w roku 1836. Przeglądając pilnie rękopis, Jung przekonał się, że niektóre jego ustępy, bardzo ważne i zajmujące, opuszczono w druku. Ustępy te zawierają wiele ciekawych szczegółów o młodości Napoleona I, o całej rodzinie Bonapartych, tudzież o wypadkach przed i po 18 brumaire. Znajduje się tu także spisana własną ręką Lucyana lista wszystkich tych osób, które pomagały do przygotowania owego zamachu, jakoteż oficerów, którzy w dokonaniu go uczestniczyli. Podpułkownik Jung zamierza ogłosić odkryty rękopis. *St. N.*

— Zeszyt XI „Słownika Geograficznego” opuścił prasę i zawiera w porządku alfabetycznym wyrazy od Czeremszanka do Czulice. Przy tej sposobności redakcya „Słownika” zwraca uwagę publiczną, że z dniem 10 listopada r. b. rozpoczyna druk litery D; prosi więc o łaskawe nadsyłanie materyałów, które pod tą głoską mają być zamieszczone.

— Teodor Wierzbowski wydał w Rzymie, w języku łacińskim, „Spis nuncyuszów i posłów S-tój Stolicy Apostolskiej,” którzy sprawowali funkcyę dyplomatyczno-kościelną w dawniej Polsce od 1073—1794 roku, wraz z wykazem prymasów (legatus natus), internuncyuszów, komisarzów i innych posłów p. t.: „Synopsis legatorum a latere,

legatorum natorum, nuntiorum... in Polonia terrisque adjacentibus in ordinem digesta a Th. Wierzbowski, equite Polono. Romae, 1880 r., str. 66. Przedmiotem tym zajmowali się Sebastian Ciampi (Bibliografia critica etc. Flor. 1839 r., cz. II, str. 9—116); Aleks. hr. Przewdziecki (Wiadomość bibliogr. o rękop. Warszawa, 1850 r., str. 164—170); Władysław Fabisz (Wiadomość o legatach i nuncyuszach w dawnej Polsce. Ostrowo, 1864 r.) i arcyb. Józef hr. Garampi, który był nuncyuszem w Polsce 1772—1776 r. Garampi ułożył z dokumentów archiwum watykańskiego, tudzież z akt nuncyatury w Polsce „Index spraw kościelnych w Polsce” w 2-ch tomach, które ofiarował r. 1776 Ojcu Ś-mu, Piusowi VI. Prócz tego miał ułożyć osobny spis („Synopsis legatorum et nuntiorum”) w 2-ch woluminach, gdzie opisane były sprawy każdej pojedynczej nuncyatury i podany wykaz imienny wszystkich nuncyuszów. Tęj „Synopsis” wprawdzie dotychczas nie zdołano odszukać, ale imienny „Index” znalazł p. Wierzbowski przy owém pierwszym dziele Garampie’go, i na nim głównie się opierając, wydał niniejsze dziełko. Dzieli się całość na dwie części: w pierwszej mamy dokładną listę alfabetyczną posłów Stolicy Apostolskiej do Polski; w drugiej zaś czytamy tęj samą listę w porządku chronologicznym. Dla tém większego pożytku uczonych, zajmujących się historią polską, życzylibyśmy sobie byli, aby p. Wierzbowski przy tęj sposobności był zaznaczył przy każdej nuncyaturze, czy relacye jęj już są drukowane lub jeśli nie, czy znane są w rękopisach archiwów europejskich, o ile wykazać się to da z rozproszonych wiadomości bibliograficznych lub katalogów bibliotek europejskich. Krótkie wiadomości biograficzne byłyby również pożądane i mamy nadzieję, że p. Wierzbowski pracę swoję w tym kierunku tak chwalebnie rozpoczętą, szczęśliwie dalej poprowadzi.

— Karol Estrejcher wydał w osobnej odbitce rozprawę swoję drukowaną w „Przewodniku naukowo-literackim,” p. t.: „Wawrzyniec Puttkamer” (u. 1794 † 1850), Lwów, 1880, str. 16. Jestto krótka biografia zacnego obywatela, męża Maryi Wereszczakówny, znanęj publiczności polskiej z „Dziadów” Mickiewicza, przypominającęj się żywo tęj młodzieży, która rozpaczała wspólnie z Gustawem i Konradem. Mickiewicz pisał rozpaczne strofy, ale cenił męża Maryi, nie okazywał mu żalu ani zazdrości. Z listu syna Puttkamera, opisującego ostatnie chwile ojca, możnaby wnioskować, że z serca przyjaciela („wieszcz nasz litewski”) popłynęły słowa określające trafnie życie Wawrzyńca w posmiertnym nagrobku:

„Przechodniu stój! bo stoisz nad męża mogiłą,
Co myślą stał na czasu swego wysokości,
Serce jego dla cnoty i dla prawdy biło;
A życie jego pasmem ofiar było;
Służąc ludzkości w Bogu a Bogu w ludzkości!”

— Muzeum przemysłowe miejskie we Lwowie, złożyło piękny dowód swęj działalności obywatelskiej, ogłaszając pierwszą seryą „Wzrost”
Tom IV. Grudzień 1880.

rów przemysłu domowego włościan na Rusi," Lwów, 1880. Po wstępnych uwagach etnograficzno-historycznych i po skreśleniu znaczenia téj publikacji (w języku polskim, francuzkim i niemieckim) dla etnografów i historyków, którym obok wykopalisk, lingwistyki i antropologii może także i przemysł domowy posłużyć za nitkę Aryadny do badań w labiryntach etnografii, przedstawiono na dziesięciu tablicach wzory haftów włościan na Rusi, zestawione przez Ludwika Wierzbickiego, członka zarządu Muzeum, a wykonane przez uczennice tegoż Muzeum. Ktoby chciał dokładnie ocenić wartość téj obywatelskiej pracy, musiałby rozważać to dzieło nie tylko pod względem estetycznym i artystycznym; ale i pod względem uytłitarnym niemniej i ekonomiczno-handlowym. Dziś bowiem przy coraz trudniejszych warunkach życia powszedniego powinno każde społeczeństwo zwracać uwagę na siły, zdolności i motywa miejscowe, jakie w przemyśle ludowym znaleźć się mogą. Tym sposobem unikniemy bowiem niewolniczego naśladowania i sprowadzania drogich a lichych wyrobów zagranicznych i zdołamy wytworzyć wyroby swojskie i oryginalne, które z czasem mogą się stać obfitým źródłem dochodu krajowego. Rozpowszechnione i modne w ostatnich czasach hafty różnokolorowe na bieliźnie, firankach, serwetach i t. d., są przeważnie w tym rusińskim, przypominającym grecko-bizantyński, guście. Strona artystyczna tego wydawnictwa nie pozostawia nic do życzenia i świadczy korzystnie o pracy zarządu i zdolności uczennic, które tę pracę wykonały. Słowo wstępne napisane, jak wspomnieliśmy, w 3-ch językach, otworzy tym „Wzorom” drogę i zagranicę i ułatwi głębsze i artystyczne rzeczy pojęcie zamiast mechanicznego przenoszenia deseni na haftowany lub tkany materiał. W końcu zapowiedziano jeszcze 9 dalszych seryi, mających zawierać dalsze wzory haftów, dywanów, kilimków, dymek, wyrobów garncarskich snycerskich i t. p.

† Dnia 5 listopada r. b. umarł *Aleksander Tyszyński* b. profesor literatury polskiej w b. Szkole głównej, w dobrach swoich Miassocie w powiecie wilejskim, gubernii Wileńskiej, licząc lat 69 wieku, pochowany na cmentarzu parafialnym w miasteczku Radoszkowiczach d. 9 listopada. Ś. p. Aleksander był jedaym z założycieli „Biblioteki Warszawskiej” w roku 1840 i pozostał do śmierci najżyyczliwszym jęj współpracownikiem. Zaslugi jego w sferze życia obywatelskiego i naukowego są tak znaczne, że jako wzór cnotliwego obywatela i poważnego uczonego zasługują na szczegółowy rozbiór, który „Biblioteka” w osobném studyum niebawem przedstawi. Tymczasem składamy na tém miejscu winny hołd ceniom zasłużonego męża słowami starożytnego historyka: *Si quis piorum manibus locus, si ut sapientibus placet non cum corpore extinguuntur magnae animae, placide quiescas!*

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM,
z r. 1880.

stron.

Filozofia.

- Psychologia w Anglii i w Niemczech (część I. La psychologie anglaise contemporaine par Th. Ribot. Paris, 1875). (Dokończenie). 38
Jan-Jakób Rousseau. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . 184, 348

Historja.

- Wschód średniowieczny. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. . . 76
Opis zjazdu historycznego w Krakowie, z powodu czterechsetletniego jubileuszu Jana Długosza. Przez J. I. Kraszewskiego. (Dok.). 438

Nauki społeczne.

- Kwestya leśna w Królestwie Polskiem. 1
Pogląd na obecny stan filozofii społecznej w systemie umiejętności.
Przez J. B. Oczapowskiego 329

Astronomia.

- Obserwatoryum meteorologiczne w Nowej Aleksandryi (Puławach).
Przez Antoniego Orłowskiego. 418

Literatura i sztuki piękne.

Siostra miłosierdzia. Powieść Emila Castelara, tłómaczona z hiszpańskiego przez A. Gorajską. (Ciąg dalszy).	55, 219, 398
Frańciszek Karpiński. Wspomnienie z okoliczności postawienia pomnika temu poecie w Kołomyi dnia 16 września 1880 roku. Przez Adama Belcikowskiego.	157
Przegląd najnowszej literatury włoskiej. Przez Juliana Adolfa Święcickiego. (Ciąg dalszy).	247

Rozbiory krytyczne.

Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego. Przez d-ra Antoniego Małeckiego. Lwów, 1879 r. Przez Ad. Ant. Krywickiego. (Dokończenie).	111
Starzowie. Obraz dramatyczny z pierwszej połowy XI wieku, przez Agnieszkę Baranowską. Poznań, 1880 roku. Przez K. Kaszewskiego.	129
Historyi polskiej, treściwie opowiedzianej, ksiąg dwanaście. Napisał prof. Józef Szujski. Warszawa, 1880. Str. VI i 429, w 8-ce. Drukiem J. Bergera. Przez F. K.	296
Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcją F. Sulimierskiego, Br. Chlebowskiego i Wł. Walewskiego. Tom I. Zeszytów 1—10. Str. 800. Warszawa, 1880 r. Przez A. W.	313
„In der Schweiz,” eine Dichtung Julius Słowacki's übersetzt von L. Kurtzman, Wien, 1880. Vincens Pol's: „Lied von unserem Lande,” aus dem polnischen im Versmaasse des Originals übersetzt von L. Kurtzman, Posen, 1880. „Maria Stuart,” Drama in fünf Aufzügen von Julius Słowacki übersetzt von Ludowik German, Leipzig, 1879. Przez Juliana Adolfa Święcickiego.	469
„Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacyi gminnej i wnioski reformy;“ napisał dr. Frańciszek Kasperek, profesor uniwersytetu. Kraków, 1880. Str. 136, w 8-ce. Przez Henryka Konitza.	475

Kronika krajowa i zagraniczna.

Kronika lwowska. Przez Władysława Zawadzkiego.	101
Kronika poznańska. Przez Ludwika Żychlińskiego.	283

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Historya Francyi za małoletności Ludwika XIV” p. Cheruol.—„Dawny rząd w prowincyach Lotaryngii i Baru” przez księdza Mathieu.—

„Wojna trzydziestoletnia” p. Chaveriat.—„Studia nad historią Prus” p. Lavissee.—„Historia zbytku” p. Baudrillart.—„Mitologia Grecyi starożytnéj” p. Descharmes.—„Badania nad Szekspirem” p. Stapfer.—„Małżeństwa w dawném społeczeństwie francuzkiém” p. Bertin.—Przekłady z Juwenalisa i Katulla.—„Geografia Strabona” przekład p. Tardieu.—„Prawdziwa historia podboju Meksyku przez Hiszpanów,” przekład don Joze de Herredia.—„Księga rzemiosł z czasów Ludwika Świętego,” wydana z komentarzem p. Lespinasse.—„Ogródek panny Joanny” p. Debeaux.—„Instykt i Inteligencya” p. Hement.—„Metamorfozy owadów” p. Girard.—„Astronomia popularna” p. Flamarion.—„Podróż po Szwajcaryi” p. Gourdaud.—„Zefiryn Czazawan w Egipcie” p. Edmunda Chojeckiego.—„Pamiętniki Kopciuszka” p. Fexier.—„Obyczaje we Francyi” p. Legrand.—Fréchette, poeta kanadyjczyk.—Mowa Wiktoryna Sardou, przy rozdaniu nagród Monthion.—„Wercyngetoryx,” dramat p. Coffinet.	269
Powieść Fryderyka Uhl: „Die Botschafterin.”—„Ludwik XIV: L'état c'est moi!” z Baudrillarta.—„Jeanne, poemat ludowy Juliusza Bretona.—„Eugenio Hartzenbuch,” zmarły poeta hiszpański.—Grób Owidyusza w Węgrzech.	425

Korrespondencye.

Cmentarzysko pogańskie w Sosnowcu. (Notatka archeologiczna). Przez F. K. Martynowskiego.	131
W kwestyi leśnej. Przez J. Aleksandrowicza.	294
W kwestyi gobelinów Rzeczypospolitéj, „Potop” zwanych. Przez T. Korzona.	294
Obchód uroczystości na cześć poety Stanka Vraza w Zagrzebiu. Przez Bronisława Grabowskiego.	467
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKI I ART. 136, 319, 483	

Nekrologia.

Ś. p. Albert Antoni Marcinkowski (Gryf, Nowosielski)	326
Ś. p. Aleksander Tyszyński.	490

Od Redakcyi.

Konkurs kaliski oświaty ludowej imienia J. I. Kraszewskiego.	152
Sprostowanie do tomu III-go.	156
Prospekt Biblioteki Warszawskiej na rok 1881.	491

Od Redakcyi.

Biblioteka Warszawska, pismo peryodyczne, poświęcone naukom, literaturze, sztuce i przemysłowi, wychodzić będzie i w r. 1881 raz na miesiąc zeszytami, obejmującemi najmniej dziesięć arkuszy druku.

Biblioteka Warszawska wychodzi bez przerwy od 1-go stycznia 1841 r. i zawiera dotąd tomów 160. Literatura lżejsza, nie krepując się wytrwale jednolitością zasad, zajmuje tylko i bawi, a na téj drodze powiększa zastęp czytelników. Lecz prasa dzisiejsza w interesie najważniejszych spraw społeczeństwa, któremu powinna służyć, nie może poprzestać na takim zajęciu: rozmowa piszących z publicznością powinna do pewnego stopnia być wyższą szkołą, w której czytająca publiczność znaleźćby mogła poważniejszą naukę we wszystkich kierunkach życia społecznego i narodowego. W takim położeniu rzeczy, **Biblioteka Warszawska** miała i ma na celu zajmować umysły poważniejsze literaturą, obznajmiać publiczność z pracami znakomitszych myślicieli, tak swojskich, jak i zagranicznych, z wyższemi utworami estetycznymi w dziedzinie literatury i sztuki, ze zdobyciami nauk ścisłych w sferze gospodarstwa krajowego, przemysłu, handlu, słowem z tém wszystkiém, co jest zdobyczą XIX stulecia, co nietylko stanowi postęp wiedzy, ale i uszlachetnia ludzkość. **Biblioteka** szanuje realne zdobycze wieku, ale nie wyrzeka się ideałów, które niby gwiazdy przewodnie, prowadzą ludzkość na coraz wyższy stopień nietylko intelektualnego, ale i psychicznego udoskonalenia.

Redakcyja **Biblioteki Warszawskiej** postępując tą drogą, nigdy nie liczyła na materyalne korzyści: pragnęła tylko obok kształcenia pojęć i z bogacenia wiedzy czytelników, dać sposobność uczonym naszym przyczynienia się do pomnożenia i pielęgnowania wspólnego dobra, jakie się mieści w umysłowości każdego narodu, licząc zawsze na zasady postępowe, opierające się na podstawie moralności, poszanowania religii, kościoła i przeszłości, badanej przy świetle dzisiejszej nauki, szukającej w historii dowodów postępowej i cywilizacyjnej pracy. Czterdziestoletnie usiłowania Redakcyi **Biblioteki Warszawskiej** nie pozostały bez skutku: żadne dotąd pismo peryodyczne treści literackiej i naukowej w kraju naszym, nie przetrwało tyle lat pożytecznej, jak ogólnie przyznają, działalności. Mimo różne koleje, towarzyszące zwykle przedsięwzięciom ludzkim, pod względem liczby prenumeratorów—przybywali i przybywają coraz nowsi pisarze do wspólnej, pod sztandarem **Biblioteki Warszawskiej** pracy, tak, że niema znakomitszego, któryby pod tą chorągwią nie był nigdy stanął. Podtrzymywane faktem tak pocieszającym obywatelskie dążności Redakcyi **Biblioteki War-**

szawskiej, zachęcają ją do pracy wytrwałej na utorowanej drodze, a licząc na wszechstronne poparcie tak czytających, jako i piszących, przekonanych o ważności upowszechnienia u nas oświaty, prowadzić będzie dalej dzieło swoje z zupełnym zaufaniem w powodzenie dobrej sprawy.

Biblioteka Warszawska obejmuje wszystkie działy nauk filozofii, historii, geografii, literatury i sztuk pięknych, nie pomijając beletrystyki, nauk przyrodzonych, gospodarstwa i przemysłu krajowego, z wytrwałą dążnością upowszechniania postępu i wszechstronnej wiedzy na podstawie zasad cywilizacji i historycznego rozwoju społeczeństwa naszego. **Biblioteka Warszawska** przemawia w imię interesów oświaty, pragnie rozszerzać wiedzę, ale troszczy się równocześnie o wszystko to, co uszlachetnia uczucia i uzacnia prace umysłu ludzkiego. Forma wykładu akademickiego służy za wzór dla artykułów **Biblioteki Warszawskiej**. Program **Biblioteki** obejmuje następujące działy:

I. Filozofia. Wykład systemów filozoficznych, tudzież dyskusya o dzisiejszych kierunkach pracy filozoficznej.

II. Historia i geografia, niemniej wszystkie umiejętności w związku z historią zostające. Przy uwadze na organiczny rozwój dziejów powszechnych, uwzględnia **Biblioteka Warszawska** szczególnie dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich w ich indywidualnym rozwoju.

III. Statystyka i nauki społeczne, objaśniające kwestye ekonomiczne, prawne i administracyjne.

IV. Nauki przyrodzone w ich historycznym rozwoju, niemniej krytyczne relacje o nowych odkryciach, tudzież o rezultatach, przez naukowo stwierdzone doświadczenia osiągniętych.

V. Nauki filologiczne i lingwistyka, uwzględniająca warunki i prawa fizyologiczne, historyczne, etnograficzne i literackie w dziejach języków i mowy.

VI. Pedagogika i sprawy szkolne, tak krajowe, jak i zagraniczne.

VII. Literatura i sztuki piękne; utwory poezyi i prozy: powieść, dramat, poematy, humorystyka, nowele i t. p.

VIII. Korrespondencye o pojedynczych szczegółach naukowych.

IX. Sprawozdania i rozbiory krytyczne o ważniejszych dziełach wszelkiej treści, tak krajowych jako i zagranicznych.

X. Kronikę z kraju i zagranicy.

XI. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie, artystyczne i społeczne.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*